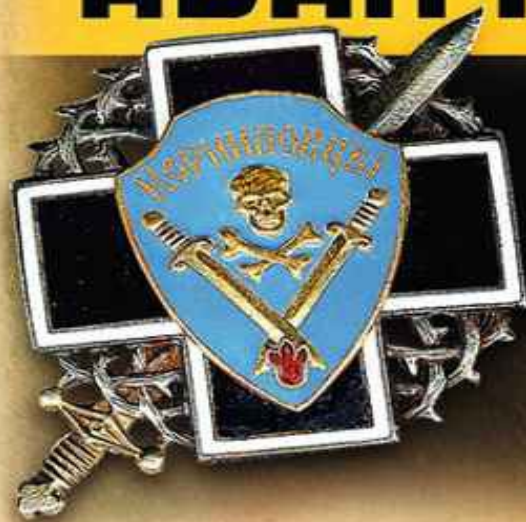




fabryka słów



ADAM PRZECHRZTA



**DEMONY
CZASU POKOJU**

ADAM PRZECHRZTA



DEMONY CZASU POKOJU

fabryka słów®

Lublin 2015

Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Zwroty obcojęzyczne i ciekawostki

Adam Przechrzta

Cykl Wojenny Adama Przechrzty

Nakładem naszego wydawnictwa ukazały się

fabrycznazona.pl

Karta redakcyjna



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Uniosłem szklanke, zadźwięczało trącone szkło: świętowaliśmy zakończenie nauki. Ja, Ania Osipowa, Oleg Tkaczow i Marina Kowalenko. Nasza czwórka ukończyła z wyróżnieniem szkolenie dla frontowców chcących pracować w organach ochrony prawnej. Tak jak większość kursantów, dziewczyny i Oleg wybrali prokuraturę, tylko ja zgłosiłem się do pracy w milicji.

– Twoje zdrowie, Saszka! – wzniosła kolejny toast Marina.

– Zdrowie Saszki! – krzyknęli unisono Oleg i Ania.

Podziękowałem lekkim uśmiechem, polałem wódki. Poszło prawie pół litra, jeszcze trochę i trzeba będzie otworzyć kolejną butelkę. No i nic dziwnego: nikt z nas nie był alkoholikiem, ale wszyscy potrafili pić. Na wojnie wódka to często jedyne źródło ciepła, lekarstwo i pocieszenie...

Ania, sympatyczna szatynka o figlarnych piwnych oczach, przytuliła się do Olega, pocałowała go w ucho. Ten trącił ją przyjaźnie ramieniem, ale nie rwał się z pieszczotami. Nie żeby mu się nie podobała – zgrabna niczym sarna dziewczyna przyciągała męskie spojrzenia – ale wolał się nie spieszyć. Wszyscy na kursie wiedzieli, że Ania przeszła specjalne szkolenie i w czasie wojny wykonywała wyroki na zdrajcach i winnych zbrodni wojennych oficerach wroga. Własnoręcznie zabiła nożem dwóch gestapowców. Takiej lepiej nie chwytać od razu za kolanko.

Tymczasem Marina, w której mieszkaniu się bawiliśmy, wstała od stołu i nastawiła gramofon, po czym dygnęła przede mną jak pensjonarka.

– Wasza wysokość będzie łaskaw? – spytała z lekką kpiną w głosie.

– Moja wysokość będzie – odparłem lakonicznie.

Po chwili zawirowaliśmy w tańcu, Ania i Oleg bili brawo. Czuję ciepło przytulonej do mnie dziewczyny, zapach perfum i świeżo umytych włosów. Marina była nie mniej atrakcyjna niż Ania: przepastne, ciemne oczy, brzoskwiniowa, nieskazitelna cera, śliczna buzia i długie, smukłe nogi wraz z ognistym temperamentem składały się na więcej niż interesującą całość. No i dziewczyna nie potrafiła posługiwać się nożem – w czasie wojny służyła jako pilot w pułku nocnych bombowców, co czyniło ją znacznie bardziej dostępną od przyjaciółki. Tyle że jej bliskość nie wywoływała we mnie żadnej ekscytacji: od czasu rozprawy z von Ziethenem kobiety dostarczały mi jedynie wrażeń estetycznych. Prognozowana jeszcze w niemieckim szpitalu w Breslau poprawa zdrowia nie nadchodziła.

– Zmiana! – zarządziła Ania. – Teraz my zatańczymy.

Marina wzięła mnie za rękę, poprowadziła z powrotem za stół. Rozgrzana tańcem i alkoholem, oparła się o mnie lekko, dając poczuć przez moment kuszącą krągłość piersi. Westchnąłem – rzecz była do przewidzenia, dziesiątki mniej i bardziej wyraźnych sygnałów świadczyły, że podporucznik Razumowski zdecydowanie się jej podoba. Problem w tym, że w żaden sposób nie mogłem odpowiedzieć na jej awanse. A gdyby mój stan... zdrowia przestał być tajemnicą, musiałbym zmienić pracę, a może i miejsce zamieszkania: milicja rządzona była przez stuprocentowych samców. W takim wypadku nie pomogłoby mi nawet wstawiennictwo mojego przyjaciela, pułkownika Poliakowa. Taaak, wyglądało na to, że mam problem. Kobięca dłoń na udzie uzmysłowiła mi, że to poważny problem.

Odsunąłem się nieznacznie, przeniósłem wzrok na tańczącą parę, dając sygnał: „nie teraz”. Usłyszała.

Poczekąłem, aż melodia ucichnie, otworzyłem drugą butelkę Moskowskiej, napełniłem naczynia po brzegi.

– Za tych, co nie wrócili z wojny – powiedziałem, stojąc.

Cóż, nie miałem wyjścia: wiedziałem, że to jedyny toast, od którego nikt się nie uchyli i wszyscy wypiją do dna. Wódka spłynęła w gardło ostrą, palącą strugą, niespodziewanie stanęły mi przed oczyma twarze Saszki Riumina, Pietki Drozda, Witki Potapowa, Wiery Turkuł... Ocknąłem się, czując dotyk dłoni Mariny, która podawała mi chusteczkę.

– Proszę – powiedziała miękko.

– Przepraszam – wydukałem. – Nie chciałem...

– Nie przepraszaj, nie trzeba – weszła mi w słowo. – Tu, między nami, nie musisz się tłumaczyć. My rozumiemy.

Ania skinęła poważnie głową, Oleg potwierdził nieartykułowanym pomrukiem.

– Nie zdążyłeś ich opłakać, prawda?

Odwróciłem wzrok.

– Może opowiesz nam o nich? – zasugerowała.

Zagryzłem wargi, wiedziałem, że to oferta przyjaźni. O takich sprawach rozmawiano tylko z bliskimi. Byłem pewien, że jeśli odmówię, nikt się nie obrazi, nie będzie żadnych nacisków, ale nie otrzymam też kolejnej podobnej propozycji. Musiałem zdecydować tu i teraz.

Usiadłem z westchnieniem, podsunąłem Olegowi szklankę.

– Wiera Turkuł – powiedziałem, przymknąwszy oczy. – Poznałem ją w czterdziestym drugim w Leningradzie...



– Podporucznik Razumowski! – wywołał mnie kościsty kapitan o smagłej, surowej w wyrazie twarzy.

No tak, moja kolej... Od godziny wraz z innymi świeżo przyjętymi do pracy oficerami czekałem w korytarzu przed gabinetem Poliakowa. Widać ten postanowił udawać, że się nie znamy, albo przynajmniej nie okazywać mi specjalnych względów. Mądra decyzja, lepiej, żeby nikt nie wziął mnie za pupilka dowódcy – takich otaczała powszechna pogarda. Być może, kiedyś przyjdą czasy, kiedy moskiewską milicją będą rządzić karierowicze i lizusy, ale to jeszcze nie teraz, zdecydowanie nie...

Wszedłem do gabinetu, stanąłem na baczność i zameldowałem się regulaminowo. Poliakow bez słowa zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Nie tak mocno, matołku – stęknąłem. – Połamiesz mi żebra.

– Siadaj – zaprosił, odsuwając mnie na długość ramienia. – Mamy dziesięć minut, lepiej nie przekraczać czasu, jaki wyznaczyłem na indywidualne rozmowy. Czegoś ci potrzeba? Mieszkania, a może pieniędzy? I co to w ogóle za pomysł, żeby służyć w milicji? Nie żebym się martwił, pomożesz mi uporządkować ten burdel.

Uśmiechnąłem się pod nosem, wiedziałem, co ma na myśli Poliakow: upadek Trzeciej Rzeszy zakończył wojnę, ale przyniósł też wiele problemów. Do kraju powróciła armia, która zobaczyła, jak wygląda życie poza granicami Związku Radzieckiego. Wrócili nie tylko zwykli, rozbestwieni frontową swobodą i oszołomieni bogactwem zamieszkanymi przez burżujów państw żołnierze, ale i ci, których rozkaz Stalina wyciągnął z więzień i łagrów, którzy mieli własną krwią odkupić swoje winy. I odkupili. A teraz mieli zamiar powetować sobie czas spędzony w okopach i za kratami. Byli wśród nich więźniowie polityczni, ofiary donosów, walk frakcyjnych i nadgorliwości NKWD, ale i zwykli bandyci. Ci ostatni nie bali się niczego ani nikogo, bo przeszli już piekło na ziemi, mieli broń i wiedzieli, jak jej używać: wojnę przeżyli tylko najlepsi, najtwardsi, najsprytniejsi. Po kraju rozlała się niespotykana

wcześniej fala zbrodni. Nie poprawiła też sytuacji ogłoszona w związku ze zwycięstwem nad Niemcami amnestia, na mocy której wypuszczono z więzień drobnych przestępców i darowano winy żołnierzom oskarżonym o niesubordynację, samowolne oddalenie się z miejsca służby i cały szereg innych, mniej czy bardziej poważnych naruszeń regulaminu. Milicja nie dawała sobie rady z doświadczonymi, kutymi na cztery nogi, zaprawionymi w walkach frontowcami. Niemal codziennie prasa donosiła o zabójstwach milicjantów, którzy weszli w drogę lepiej uzbrojonym, wyszkolonym i zorganizowanym bandytom. Taaak, Poliakov miał się czym martwić...

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem. – Mam pieniądze i mieszkanie. Teoretycznie nadal jestem pułkownikiem GRU, a do milicji zostałem jedynie czasowo oddelegowany – wyjaśniłem, widząc pytające spojrzenie przyjaciela.

– Oddelegowany? – wymamrotał ze zdziwieniem w głosie Poliakov. – Nie słyszałem o takim przypadku.

– Zawarłem ze Stalinem coś w rodzaju umowy – mruknąłem niechętnie. – Długo by opowiadać...

– Zatem niczego ci nie potrzeba?

– Niezupełnie...

– Tak?

– Nie mam zamiaru stawać na baczność przed byle poruczniczyzną, więc muszę szybko awansować. Rozumiesz, nie chodzi o jakieś szczególne względy, tylko przydzielenie zadań, dzięki którym moja kariera nabierze tempa. Nie ma innej możliwości, bo na ręce będzie mi patrzył sam Stalin...

– To da się zrobić – zapewnił Poliakov. – Coś jeszcze?

– Tak. Macie tutaj jakąś ślicznotkę w typie lodowej księżniczki? Wiesz, taką, co to niespecjalnie interesuje się facetami.

– A co? Mało ci normalnych bab? Chcesz pobić jakiś rekord? Mamy, a jakże! – przyznał wreszcie, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi.

Zachęciłem go gestem do rozwinięcia tematu.

– Rozumiem, że chodzi ci o te ładne, a nie takie, które udają niezainteresowane, bo i tak nikt nie rzuciłby na nie okiem dwa razy?

Potwierdziłem.

– No dobrze: jest kapitan Liza Wierchońska. Zajmuje się kradzieżami. Dwa lata temu straciła męża i od tej pory nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie. Nie żeby chłopaki nie próbowały, bo Liza jest warta grzechu, ale... – Wzruszył wymownie ramionami.

Skrzywiłem się niechętnie; z opisu Poliakowa wynikało, że dziewczucha jest po prostu wybredna albo jeszcze w żałobie po mężu. Nie takiej szukałem.

– Nie pasuje? – westchnął milicjant. – To może Nina Rusłanowa?

- Co za Nina?
 - Śliczna bestyjka, ale ma specyficzne... upodobania – powiedział, z trudem powstrzymując uśmiech.
 - To znaczy? – spytałem nieufnie.
 - Cóż, lubi dominować. Wiesz: bicze, kajdanki i takie tam...
 - Kola!
 - Nie chciałbyś paru klapsów na goły tyłek? – zarechotał.
- Pogroziłem mu pięścią.
- No dobrze – odparł z udaną powagą. – Nie to nie. Jest jeszcze Katia, ale...
 - Tak?
 - To beznadziejny przypadek, ona naprawdę nie lubi mężczyzn.
 - A ma powody?
 - Czort wie, nie jestem psychiatrą, takie fobie czasami bywają irracjonalne, choć równie dobrze mogą mieć związek z jakimś konkretnym zdarzeniem...
 - Czym się zajmuje?
 - Jest lekarzem sądowym. Niedawno zrobiła też specjalizację w zakresie zabezpieczania i badania śladów z miejsca przestępstwa. Powierzamy jej wszelkie trudniejsze sprawy.
 - Jak się nazywa?
 - Jekatierina Romanienko.
 - Dzięki.
 - I co, pasuje?
 - Zobaczymy. A teraz co do roboty i szybkiego awansu...
 - Cóż, jest pewna opcja, lecz uprzedzam, że ryzykowna. Mogę cię zrobić dzielnicowym na Arbacie.
 - I gdzie tu ryzyko? Przecież to centrum Moskwy?
 - Niby tak, ale od paru miesięcy mamy tam kłopoty: ludzie rezygnują ze służby albo giną.
 - Jak to giną? Znikają?
 - Nie, giną w dosłownym sensie. Pięciu milicjantów zastrzelono, ostatniego dzielnicowego znaleziono z poderżniętym gardłem. Dwóch innych poprosiło o przeniesienie, a jeden zaproponował operację typu wojskowego, w celu, jak się wyraził, „oczyszczenia rejonu”...
 - Bandyci?
 - Bandyci – przytaknął posepnie Poliakow.
 - Myślałem, że trzymasz ich w ryzach?
- Milicjant skrzywił się, jakby właśnie rozgryzł coś paskudnego.
- Trzymałem – poprawił sucho. – Teraz, po wojnie, wszystko się popieprzyło. W bandyckim świątku trwa walka o władzę i nikt nie przestrzega ustalonych dawniej

zasad.

– W Moskwie?

– Skąd! W całym kraju. *Błatni* nazywają to suczą wojną. Najpierw ogłoszono amnestię, w wyniku której wypuszczono na wolność tabuny drobnych i nie takich znowu drobnych przestępców, teraz z kolei zaostrzono przepisy dotyczące zaboru mienia państwowego: za drobną kradzież można dostać dwadzieścia lat! No i do więzień i na zony trafiły setki tysięcy złodziei, w tym także *błatni*, którzy w czasie wojny służyli w armii.

– I co z tego?

– Jakakolwiek współpraca z organami państwa to złamanie złodziejskiego kodeksu. Ktoś taki to już nie *wor*, nie *wor w zakonie*, tylko suka.

– Rozumiem, że byłym frontowcom nie za bardzo podoba się nazywanie ich sukami?

– Owszem, choć to najmniejszy problem. *Błatni*, którzy wojnę przesiedzieli w więzieniach, chcą karać suki za złamanie zasad i zabrać im posiadaną wcześniej władzę. Więc leje się krew...

– Ci moskiewscy to tradycjoniści czy suki?

– Czort ich wie! Mam nadzieję, że i to wyjaśnisz, bo moi informatorzy nabrali wody w usta. Jedno jest pewne: stare struktury już nie istnieją.

– Ile czasu mam na załatwienie sprawy?

– Tydzień, może dwa, nie więcej. Parę dni temu generał Szołkin otrzymał ultimatum: albo w Moskwie zapanuje względny spokój, albo...

– Bezpieka?

– Gorzej. – Poliakov wymownym gestem wskazał w górę.

Znaczy Kreml... Jak i wszyscy mieszkańcy Moskwy wiedziałem, że generał-major Szołkin jest tylko figurantem, w rzeczywistości stolicą rządzi pułkownik Poliakov. Przynajmniej tak to wyglądało do niedawna... Było oczywiste, że groźba skierowana jest pod adresem Poliakowa, a nie Szołkina. Dlaczego jednak sprawą interesował się sam towarzysz Stalin? Czyżby sytuacja w Moskwie wyglądała aż tak kiepsko? Cóż, pewnie i tego przyjdzie mi się dowiedzieć.

– Jakieś wsparcie? – spytałem.

– Tylko to, co zastaniesz na miejscu – odparł Poliakov. – Jeśli dam ci swoich ludzi, tamci po prostu znikną na jakiś czas. A ty nie masz za nimi ganiać, tylko rozwiązać problem.

– Ograniczenia?

– Nie rozumiem? – zmarszczył brwi Poliakov.

– No wiesz, czy muszę to załatwić bez użycia siły albo w jakiś szczególny sposób?

– Popierdoliło cię?! Codziennie giną moi ludzie, a ty pytasz, czy możesz użyć siły?! Mam w dupie, co zrobisz z tymi bandziorami, postaraj się tylko ustalić ich

personalia. Dowództwo lubi szczegółowe raporty, a i wypadaloby wiedziec, co napisac takiemu na nagrobku. W koncu nie jesteŃmy dzikusami...

– Rozumiem.

Widzając ponaglający gest Poliakowa, odmeldowałem się pospiesznie. Nie było sensu tracić czasu, miałem zadanie do wykonania.



Nowiutka mosiężna tabliczka kontrastowała mocno z brudnymi, obdrapanymi drzwiami. Te ostatnie – podobnie jak i cały budynek komendy w Krzywoarbackim Zaułku – wyglądały, jakby nikt nie odnawiał ich od czasów ostatniego cara. Kto wie? Może tak i było.

Przyjrzałem się jeszcze raz napisowi „Podporucznik Razumowski. Dzielnicowy” i nacisnąłem klamkę. No tak, można się było tego spodziewać: połamane krzesła, kulawe biurko, warstwa kurzu gruba na centymetr. Ot i mój gabinet! Trzeba będzie coś z tym zrobić, tyle że nie dzisiaj, chwilowo miałem ważniejsze sprawy.

Wychodząc, niemal zderzyłem się ze starszym mężczyzną w granatowym mundurze. Trzy wąskie paski na pagonach oznaczały sierżanta.

– Towarzysz Razumowski? – zapytał, stając na baczność.

– We własnej osobie – mruknąłem.

– Melduje się sierżant Kasjanow – oznajmił i zasalutował.

Oddałem honory, obrzuciłem go taksującym spojrzeniem. Oto jeden z moich dwóch podwładnych, pięćdziesiąt procent wsparcia, na jakie mogę liczyć... Mężczyzna miał swoje lata, dałbym mu z sześćdziesiątkę, ale nie wyglądał na niedołężnego. Inna sprawa, że w poważnej walce wielkiego pożytku z niego nie będzie – nie ten wiek.

– A gdzie szeregowy Bugrowski?

– Zapewne na zebraniu Komsomołu. Towarzysz Bugrowski jest jednym z aktywistów – dodał z lekkim, niemal niedostrzegalnym sarkazmem.

Świetnie! Znaczący przydzielono mi gówniarza komsomolca, pewnie świeżo po szkole, i emeryta. To ci dopiero oddział szturmowy!

– Za mną! – rzuciłem lakonicznie.

Sierżant bez słowa wykonał polecenie. Widać negatywny, dobre i to.

– Znacie tu jakąś przyzwoitą knajpę? – spytałem, kiedy wyszliśmy na ulicę.

– Knajpę?

– Musimy gdzieś porozmawiać, a przecież nie w tym chlewie, który wyznaczono mi na gabinet – wyjaśniłem niecierpliwie.

Milicjant obrzucił mnie uważnym spojrzeniem szarych jak stal oczu, rysy wychudłej, pokrytej zmarszczkami twarzy wyostrzyły się, na chwilę odejmując mu lat.

– Znam. To niedaleko – zapewnił.

Ruszyłem za prowadzącym sierżantem. Korzystając z tego, że znalazłem się za jego plecami, analizowałem każdy gest starszego mężczyzny. Coś mi w nim nie pasowało: energiczny, rozkołysany krok, mimowolny ruch lewej ręki... Tak, nie ulegało wątpliwości, że trafił mi się niezwykajny podwładny. Kiedy zatrzymał się przez moment na rogu ulicy, nie zdołałem powstrzymać uśmiechu. No, teraz wszystko jasne. Ciekawe tylko, czy mój drugi podwładny, komsomolec, będzie równie nietuzinkową osobą?

– Jesteśmy – oznajmił Kasjanow.

Knajpka była niemal niewidoczna: ot, pomieszczenie cztery na pięć metrów, mieszczące kilka niewielkich stolików. Szyld nad wejściem do lokalu pokryty był rdzawymi zaciekami, co dziwnie przypominało kamuflaż. Znam nieźle Arbat, lecz tę knajpę widziałem pierwszy raz w życiu. Prawda, że po wojnie nie miałem zbyt wiele czasu na spacer.

Kelnerka w wieku sierżanta pojawiła się znikąd, jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, postawiła na stole dwa kufle piwa i talerz z suszoną rybą. Zanim podniosłem wzrok, zniknęła.

– Częstujcie się – wymamrotał Kasjanow, unosząc kufel.

Łyknąłem ostrożnie, zakąsiłem. I piwo, i taranka były znakomite.

– Przedrewolucyjna jakość – powiedziałem z uznaniem.

– Przedrewolucyjna? – zmarszczył brwi milicjant.

Zauważyłem, że odstawił kufel, jego prawa dłoń znalazła się nagle w okolicy pasa, blisko kabury...

Roześmiałem się serdecznie: będę musiał go poznać z damami dworu ostatniej carycy.

– Esauł? – spytałem.

– Co takiego?!

– Pytałem o wasz stopień, wiecie, ten przedrewolucyjny – wyjaśniłem spokojnie.

– Skąd wam to przyszło do głowy?!

– Pomyślmy: chodźcie jak kawalerzysta, co jakiś czas wykonujecie gest, jakbyście chcieli podtrzymać szablę, no i zatrzymaliście się w miejscu, gdzie kiedyś stała cerkiew Mikołaja Cudotwórcy. Dawniej ludzie żegnali się, przechodząc obok... O ile pamiętam, zniszczono ją dopiero w latach trzydziestych.

Poblądły Kasjanow wyglądał, jakby ujrzał ducha.

– Spokojnie, sierżancie – mruknąłem. – Nic mi do tego. A piwo i rybka przepyszne.

– Skąd wiecie, że byłem esaułem?

– Zgadywałem. – Wzruszyłem ramionami. – W czasie rewolucji mieliście około

trzydziestu lat. Jesteście Kozakiem, to rzuca się w oczy, stąd moje przypuszczenie, że mogliście dojść do stopnia esauła.

– Ja... Wy nie zamierzacie chyba...

– Nie zamierzam – zapewniłem. – Ale chciałbym, żebyście mi pomogli zorientować się w sytuacji.

– Albo?

– To tylko prośba, nie jestem donosicielem – powiedziałem ostro. – A wy nie uważacie, że powinniście pomóc przełożonemu? I jak wasze wrażliwe, przedrewolucyjne sumienie jest w stanie dźwigać odpowiedzialność za śmierć moich poprzedników?

– Odpowiedzialność?! – wybuchnął Kasjanow. – Uprzedzałem tych idiotów, ale mnie nie słuchali!

– Uprzedźcie i mnie – zaproponowałem. – Ja was wysłucham.

– Co chcecie wiedzieć?

– Przede wszystkim ilu ludzi liczy ekipa, która rządzi teraz dzielnicą, i kto stoi na czele tej bandy?

– Osiem, może dziesięć osób. Miszka Czort – odparł zwięźle Kasjanow.

– Skąd ta ksywa?

– To straszny gnojek, nawet *blatni* go nie trawią. W normalnych warunkach nigdy nie stanąłby na czele własnej grupy, ale dzisiaj nie ma komu go zastopować, za duży bałagan.

– Rozumiem, że to nie jest nikt ważny?

– Zwyczajny urka, tyle że ponadprzeciętnie brutalny. Parę lat temu udowodniono mu przekręty finansowe i *schodniak* wyrzucił go z Moskwy. Dopiero niedawno odważył się wrócić, gdyby nie wojna wśród *worow*, byłby już trupem.

– Nie rozumiem.

– *Schodniak* to zebranie bandyckiej elity, coś w rodzaju rady i sądu w jednym. Rozstrzyga spory, rozwiązuje problemy... Za niepodporządkowanie się jego dyrektywom jest tylko jedna kara: śmierć.

– Co za przekręty?

– Każdy bandyta musi wpłacać część zysków na wspólny fundusz, którym zarządza ciesząc się powszechnym autorytetem *wor w zakonie*. To pieniądze na adwokatów, paczki żywnościowe, łapówki... Miszka zataił część dochodów. Wtedy właśnie nadano mu przydomek „Czort”, w żargonie *blatnych* to ktoś, kto nie przestrzega zasad.

Podziękowałem nieartykułowanym mruknięciem. Z tego, co mówił Kasjanow, wynikało, że nikt nie będzie płakał ani po Miszce, ani po jego ludziach. No i dobrze, nie uśmiechało mi się wchodzić w konflikt z *blatnymi*, wrogów i tak mi nie brakowało.

– Co chcecie zrobić? – spytał niespokojnie sierżant. – Z nimi nie można się dogadać, a we trzech nie damy rady całej bandzie.

– Gdzie ich można znaleźć?

– W „Literackiej”.

– Słucham?!

– W kawiarni „Literacka” – powtórzył cierpliwie.

Pokręciłem w zdumieniu głową, pamiętałem lokal sprzed wojny – elegancki wystrój, markizy, kryształowe pucharki, w których podawano lody...

– Rozumiem, że teraz nie zbiera się tam raczej elita intelektualna?

– Nie, tylko Czort i jego ludzie, czasem trafi się jakiś niezorientowany przechodzień – odparł posepnie Kasjanow. – Jeśli coś planujecie, może mógłbym...

– Pomóc? – dokończyłem z uśmiechem. – Nie, sierżancie, dziękuję za dobre chęci, ale dam sobie radę. Będę miał za to dla was inne polecenie.

– Tak?

– Znajdźcie mi jakiegoś *wora w zakonie*, kogoś, kto cieszy się autorytetem u *blatnych*.

– Tu, na Arbacie?

– Gdzieś w okolicy – przytaknąłem.

– To nic trudnego, choć wątpię, żeby ktoś taki chciał z wami rozmawiać. Z jakimkolwiek milicjantem – uściślił po namyśle.

– To już nie wasz problem – uciałem. – Wystarczą wam dwa dni?

– W zupełności.

– Dziękuję za poczęstunek – zakończyłem rozmowę, wstając od stolika.

Cóż, teraz trzeba tylko załatwić sprawę z Miską. Nie żeby było czym się martwić: ot, jeszcze jeden obszczymurek. Podejrzywałem, że problemy zaczną się, dopiero gdy odbiję dzielnicę.



Mżyło. Postawiłem kołnierz płaszcz, nasunąłem na czoło czapkę. Przez szklaną witrynę widać było, że od czasu, kiedy byłem tu po raz ostatni, w lokalu zaszły spore zmiany. Smętny barman serwował tylko wódkę, a przy stolikach zamiast elegancko ubranych kobiet i mężczyzn siedzieli *blatni*. Kilku przypadkowych klientów spoglądało na nich z mieszaniną strachu i fascynacji. Z kawiarnianego ogródka uprzątnięto wabiące klientów kolorowe markizy, chodnika przed lokalem nie zamiatano pewnie od wojny.

Niewielki, zamontowany przy drzwiach dzwoneczek oznajmił moje przybycie.

Byłem w mundurze, więc natychmiast przyciągnąłem uwagę obecnych. Z reakcji otaczających Miszkę urków wywnioskowałem, że dawno nie widziano tu żadnego milicjanta. Mimo zaskoczenia *błatni* zareagowali bez chwili wahania – błyskawicznie zajęli pozycje pod ścianami, tworząc luźną formację w kształcie litery U. Zupełnym przypadkiem znalazłem się wewnątrz... Gdyby Miszka wydał rozkaz, aby mnie zabić, nie miałbym żadnych szans, zaatakowany z trzech stron. Cóż, nic nadzwyczajnego, choć taktyka wystarczająco skuteczna na jednego przeciwnika. Widać, że nie byli w wojsku, wówczas zajęliby po prostu punkty dominacji – miejsca, skąd można kontrolować całe pomieszczenie. No i dobrze, dużo trudniej byłoby poradzić sobie z zawodowcami.

Podszedłem do Miszki i nie mówiąc słowa, nacisnąłem spust. Dwa strzały w pierś, kontrolny w głowę. Bandyta osunął się na podłogę z wyrazem komicznego wręcz osłupienia na twarzy. No bo jakże to tak? Żadnych pogroźek, żądań, poleceń? Tylko śmierć?

Wykorzystałem moment zaskoczenia, zastrzeliłem jeszcze dwóch kompanów Czorta, po czym zwinąłem się w błyskawicznym półobrocie, biorąc na cel kolejnego bandytę. Zbyt wolno: tamten mierzył już do mnie. Znienacka na jego czole, tuż powyżej nasady nosa, rozkwitła czerwona róża, rozległy się kolejne strzały. Sapnąłem gniewnie: kiedy to dziewczusko przestanie się popisywać? Gadaj takiej sto razy, a ona i tak robi wszystko po swojemu.

Tima Kotuszew wyszedł zza swojego stolika i dobił ruszającego się jeszcze bandytę. Widać trafiła nam się wyjątkowo żywotna gadzina, bo facet dostał przecież swoje trzy kule. No nic, to po imprezie... Policzyłem trupy: siedem sztuk. Znaczy brakuje przynajmniej jednego.

– Nic wam nie jest, *komandir*? – upewniła się Elena.

– W porządku – odburknąłem. – A wy?

Dziewczyna obróciła się na pięcie niczym modelka, demonstrując, że jest cała i zdrowa, Kotuszew uniósł w górę zakrwawioną rękę.

– Draśnięcie – zameldował bez emocji.

Cóż, od czasu postrzału w głowę porucznik Kotuszew rzadko kiedy okazywał uczucia. Przywykłem. W sumie chłopak i tak miał szczęście: Wiera Turkuł i Pietka Drozd spoczywają do dzisiaj w jakiejś bezimiennej mogile pod Aleksandrowką... Podszedłem do barmana, zamówiłem kolejkę dla wszystkich. Nie żebym musiał się wykosztować, pozostali przy życiu klienci opuścili lokal, wrzeszcząc z przerażenia.

– Kto jeszcze został z bandy Miszki Czorta? – spytałem.

– Nie wiem, o czym mówicie – odparł barman z twarzą białą jak papier.

– Tima? – poprosiłem znużonym głosem.

Chłopak jednym susem przeskoczył kontuar i wyczarował skądś paskudnie wyglądający nóż.

– Odpowiadaj – ponaglił łagodnie.
– Je... jeszcze dwóch – wymamrotał nieskładnie barman.
– Nazwiska?
– Nie znam, tylko ksywy.
– Tak?
– Bankier i Gracz.
– Gdzie ich można znaleźć?
– Nie wiem, ale dziewczyna Gracza pracuje w knajpie na Dworcu Białoruskim. Ja naprawdę nic więcej... – urwał, patrząc z przerażeniem na Kotuszewa.
– Załatw to, Tima – poleciłem. – Jeszcze dzisiaj.
Chłopak posłusznie skinął głową.
– Będę wam jeszcze potrzebna, *komandir*? – spytała Elena.
– Nie, możesz wracać do swoich pędzli i gołych modeli – mruknąłem.
Dziewczyna parsknęła jak rozzłoszczona kotka, ale nie skomentowała: zdążyła się już przyzwyczaić do docinków. Z jakichś względów niezmiernie mnie bawiło, że panna Szewieliewa studiuje w niedawno utworzonej Akademii Sztuk Pięknych.
– Dzwon na milicję – rozkazałem barmanowi. – I niech przyślą ze dwa, może trzy trupowozy, trzeba tu zrobić porządek...



Uścisnąłem dłoń kolejnego nieznanego milicjanta, odkąd pojawiłem się na Pietrowce, musiałem witać się co kilka kroków. Cóż, tym razem nie byłem anonimowym funkcjonariuszem, po mieście rozeszły się wieści o likwidacji bandy Miszki Czorta.

Przed gabinetem Poliakowa dyżurował ten sam chudy kapitan. Mężczyzna bez słowa otworzył przede mną drzwi.

– Generał was oczekuje – oznajmił.

Ki czort? Co za generał? Czyżby na Pietrowce pojawił się Szołkin?

Postawny, wysoki oficer o regularnych rysach twarzy przypominających rzymskich imperatorów stał przy oknie, bawiąc się nerwowo przyciskiem do papieru. Złota gwiazda na pagonach oznaczała stopień komisarza milicji trzeciej rangi. Znaczący jednak Szołkin... Mimo że ranga generała-majora istniała tylko w armii, mało kto używał słowa „komisarz”. Za bardzo kojarzyło się z bezpieczeństwem. No chyba że chodziło o oficjalne okazje.

– Towarzyszu komisarzu trzeciej...

– Wystarczy, Razumowski. – Generał powstrzymał mnie gestem. – Przyszedłem

specjalnie, żeby się z wami zobaczyć i pogratulować udanej akcji. Jeszcze dzisiaj moja kancelaria przyśle do MUR-u dokumenty awansowe: otrzymacie stopień porucznika ze starszeństwem liczonym od dnia dzisiejszego.

– Do MUR-u? – powtórzyłem bezmyślnie.

– Tak – rzucił niecierpliwie Szołkin. – Zostaniecie oddelegowani do MUR-u. Detale wyjaśni wam pułkownik Poliakov. A teraz wybaczcie, towarzysze, oczekuję mnie na zebraniu partii.

Poczekąłem, aż za Szołkinem zamkną się drzwi, dopiero potem stanąłem w pozycji na „spocznij”.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytałem niepewnie. – Przecież jestem dzielnicowym.

– Siadaj! – burknął Poliakov. – Napijesz się?

– Czemu nie? Trochę się zdenerwowałem.

– Nie przejmuj się Szołkinem. – Poliakov sięgnął po butelkę wódki. – Nie będzie nam przeszkadzał. Wygląda jak marmurowy posąg i jest równie bystry...

– Przeszkadzał? W czym?

– W uładzeniu sytuacji.

– Masz na myśli Arbat?

– Mam na myśli Moskwę – doprecyzował. – Arbat to dopiero początek.

– Zwariowałeś?! Mam wystrzelać wszystkich bandziorów w stolicy?!

– Ciekawy pomysł. – Skrzywił usta w oszczędnym uśmiechu. – Jednak myślę, że nie będzie trzeba. Teraz, kiedy pokazałeś, co grozi gnojkom w rodzaju Miszki, *blatni* potraktują nas poważnie. Poprowadzisz negocjacje w moim imieniu.

– Chcesz odzyskać władzę nad miastem?

– To także – przyznał Poliakov. – Przede wszystkim jednak chcę zaprowadzić porządek w Moskwie. Zalewa nas fala przestępczości. Trzeba coś z tym zrobić.

– Myślisz, że układ z *blatnymi* załatwi ten problem?

– Nie, ale to dobry początek. Czy nam się to podoba czy nie, *blatni* stworzyli coś w rodzaju państwa w państwie.

– On z tym MUR-em na poważnie? Przecież mnie zabiją śmiechem...

Moskowskij Ugołownyj Rozysk skupiał najlepszych śledczych w kraju, o ich wyczynach krążyły legendy. Co prawda nie miałem specjalnych kompleksów, ale przyzwyczałem się do działania w specyficznych warunkach: moi... klienci nie mogli poskarżyć się na brutalne traktowanie. Czy dam sobie radę w czasie pokoju? Miałem w tej kwestii poważne wątpliwości.

– Poradzisz sobie – zapewnił Poliakov. – Na razie wejdiesz tu jako nadetatowy, bo potrzebuję cię i na Arbacie.

– Nadetatowy? – Skrzywiłem się niechętnie. – To znaczy, że przyjdzie mi zapychać dziury?

– Owszem, ale to ja będę decydował, do jakiej ekipy cię przydzielić. Wracając do rzeczy: umówiłeś się już z *błatnymi*?

– Sprawa jest w toku. Mój sierżant, niejaki Kasjanow, ma to załatwić.

– W porządku, tylko pamiętaj, że w przyszłym tygodniu będę musiał złożyć raport o postępach operacji. W razie jakichś problemów kontaktuj się bezpośrednio ze mną albo z jednym z moich zastępców. Oni zawsze wiedzą, gdzie mnie znaleźć.

Z wrodzoną bystrością zorientowałem się, że to koniec audiencji. Na korytarzu zatrzymał mnie chudy kapitan.

– Wasze kartki – powiedział, wręczając mi zalakowaną kopertę.

– Kartki?

– Do stołówki – wyjaśnił. – Przysługują wam jako pracownikowi MUR-u.

Podziękowałem i zszedłem na parter. Może rzeczywiście warto coś zjeść? Pora w zasadzie obiadowa... MUR słychać z dobrej kuchni.

Korzystając z umieszczonych na ścianach tabliczek, bez problemu dotarłem do stołówki. Najwyraźniej dopiero rozpoczynano wydawanie posiłków: ledwo połowa miejsc była zajęta. Podeszedłem do okienka, stanąłem w kolejce. Odbierając tacę, wyczułem za plecami poruszenie, na sali zapanowała cisza przerywana tylko brzękiem sztućców. Widać jednak nie do wszystkich dotarły najnowsze plotki. Westchnąłem ciężko, niby milicja, niby elita, a zachowują się jak banda żuli. Nie żebym był zdziwiony, taka, kurwa, tradycja...

Drogę do stolika blokowało mi dwóch młodzieńców w mundurach poruczników. Zapewne zamierzali niby przypadkiem podstawić mi nogę albo przynajmniej wybić z rąk tacę. Ot, matołki!

Odłożyłem żarcie, w chwilę później byłem już przy dowcipnisiach. Jednego powaliłem krótkim, niesygnalizowanym ciosem w splot słoneczny, drugi zdążył się zamachnąć. Bez trudu przechwyciłem jego rękę, założyłem bolesną dźwignię na nadgarstek, po czym kopnięciem pod kolano posłałem chłopaka na podłogę.

– Ktoś jeszcze? – spytałem.

– Co to za zachowanie, podporuczniku?! – warknął otyły, łysawy major. – To niedopuszczalne! Przychodzi takie coś świeżo po kursach i wydaje mu się, że może tu urządzać bijatyki! Pieprzony szcur tyłowy!

Roześmiałem się autentycznie ubawiony – wyglądało na to, że Poliakov nikogo nie poinformował, kim naprawdę jestem. Biorąc pod uwagę mój wiek i niski stopień, miejscowi zapewne założyli, że jestem pociotkiem jakiegoś aparatczyka, wciśniętym po znajomości na kurs dla frontowców. Wniosek był logiczny: podejrzewałem, że niewiele osób wyrzekłoby się rangi pułkownika i przyszło na ochotnika pracować w milicji...

– Wydaje ci się to zabawne, gnoju?!

Purpurowy z wściekłości major zerwał się z miejsca z zaciśniętymi pięściami,

jednak zanim zdążył zrobić coś więcej, na drodze stanął mu inny oficer. Sylwetka tego ostatniego wydała mi się znajoma. Hmm... cztery gwiazdki na pagonach, znaczy kapitan. Tylko gdzie ja go spotkałem?

– Zejdź mi z drogi! – warknął łysy. – Ja go zaraz...

– Daj spokój! On nie jest...

Nie dokończył, odepchnięty przez grubasa.

– Dosyć!

Tym razem interweniowała ładna, na oko trzydziestoletnia szatynka.

– Jak dzieci! I wy, Borysie Iwanowiczu – odezwała się z wyrzutem do majora. – Jak tak można?

– Wybacz, Lizka, ale...

– Nie ma żadnego „ale”, dajecie zły przykład młodzieży – przerwała mu bezceremonialnie.

Skarcony major opuścił wzrok niczym złapany na psocie uczeń. Lizka? Czyżby to ta sama Liza Wierchońska, o której opowiadał wcześniej Poliakov? Przyjrzałem się kobiecie uważnie: włosy w kolorze jesiennego kasztana, ciemne oczy, zgrabna figura, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, nadające jej z lekka egzotyczny wygląd. Rzeczywiście ślicznotka.

– A wy też moglibyście okazać nieco powściągliwości. – Tym razem wycelowała palec we mnie.

– Istotnie – przyznałem natychmiast. – Wybaczcie, towarzysze, moją... nadmiernie emocjonalną reakcję.

– I postarajcie się na przyszłość nie denerwować pułkownika Razumowskiego – poradził ironicznie kapitan, poprawiając mundur. – Bo inaczej nasza Katia będzie musiała przyjmować miejscowych... ekhmm... pacjentów.

– Pułkownika? – zmarszczyła brwi Wierchońska.

– Kiedy go ostatnio widziałem, był pułkownikiem *wojennej rozwiadki*. Odznaczonym Złotą Gwiazdą – wyjaśnił kapitan.

– Safronow – mruknąłem.

Wreszcie go poznałem: był jednym ze śledczych prowadzących zajęcia dla kursantów Smiersza.

– Do waszych usług, sir – skłonił się z przesadną rewerencją milicjant.

– To co, pokój? – Wyciągnąłem dłoń do majora.

Ten uściśnął ją pod surowym spojrzeniem Wierchońskiej.

– Niech będzie – wymamrotał.

Zabrałem tacę i usiadłem przy wolnym stoliku. Zobaczmy, co my tu mamy: kapuśniak, gulasz z ziemniakami, sałatka z buraków, kompot. Niby nic nadzwyczajnego, ale i nie najgorzej – cały kraj był wygłodzony, minie wiele czasu, zanim odbijemy sobie wojenne straty.

Skosztowałem zupy, okazała się znakomita. Nie na darmo chwalili kuchnię MUR-u.

– Mogę się przysiąc? – usłyszałem głos Wierchońskiej.

– Oczywiście. – Uprzejmie odsunąłem jej krzesło.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu, poświęciłem ten czas na obserwację towarzyski. Była ubrana po cywilnemu: sukienka, kaszmirowy sweterek, eleganckie buciki. Wszystko dobrej jakości, ale nic ostentacyjnie kosztownego. Zaczesała na bok włosy miała spięte srebrną spinką, otaczał ją dyskretny aromat perfum. Ciekawe: większość moich rodaczek używała pachnideł bez opamiętania. No i perfumy były zagraniczne.

– Jak lustracja, towarzyszu zwiadowco? – spytała, przerywając ciszę.

– Naprawdę chcecie wiedzieć?

– Naprawdę.

– Liczycie sobie trzydzieści, góra trzydzieści dwa lata, ważycie około sześćdziesięciu kilogramów. Pracujecie na ulicy, nie w gabinecie. Nie bierzecie łapówek, ale macie dodatkowe źródło dochodów. Używacie perfum nieznannej mi marki. Ostatnio nadwerżyliście sobie prawy nadgarstek – odparłem obojętnie.

– Macie dobre oko. Wiek i waga się zgadzają. Perfumy to Soir de Paris – poinformowała, wydymając usta. – Ale reszta...

– Buty na płaskim obcasie, można w nich biegać. Gdybyście tylko przekładali papierki, wybralibyście szpilki. Jesteście dostatnio ubrani, ale nie na tyle, żeby świadczyło to o korupcji. Na waszym stanowisku moglibyście dostać od *błatnych* dużo więcej.

– Może się maskuję? – spytała zaczepnie.

– Mało prawdopodobne. Co to za maskowanie, skoro na pierwszy rzut oka widać, że wydaliście na ubranie więcej, niż byłoby was stać z pensji?

– A nadgarstek?

– Używacie sztucców, wykonując ruchy z łokcia. To nienaturalne, robimy tak tylko wtedy, gdy boli nas nadgarstek.

– Zgadza się – mruknęła. – Dałam komuś w mordę. Jak się okazało, miał szczękę mocniejszą niż moja ręka.

– Nie powinniście bić pięścią – poradziłem. – To ryzykowne. Bywało, że nawet zawodowi bokserzy odnosili kontuzje w ulicznych bójkach. Lepiej uderzać podstawą dłoni.

– To znaczy jak? – Zmarszczyła brwi, wyraźnie zainteresowana.

– Trzeba silnie zgiąć dłoń w nadgarstku i teraz zadać cios, o tak – zademonstrowałem.

Wierchońska powtórzyła kilkakrotnie ruch.

– To skuteczne? – upewniła się.

– Bardzo. Jeśli chcemy kogoś nokautować, to bijemy pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni, uderzenie skierowane w górę odrzuci głowę przeciwnika i złamie mu kręgosłup.

– Próbowaliście kiedyś tego, poruczniku? Tak, wiem o waszym awansie – dodała, widząc moje spojrzenie.

– Raz czy dwa.

– I z jakim skutkiem?

– Odpowiednim – odburknąłem niegrzecznie.

Też mi pytanie! Jeszcze trochę i dziewczucha zażyczy sobie, żebym jej opowiedział życiorys.

– Co z tym pułkownikiem? Przecież gdyby pozbawiono was stopnia, nie pracowalibyście tutaj?

– Nie pozbawiono.

– A konkretniej? Muszę wiedzieć, rozumiecie, wygrałam was na aukcji.

– Co takiego?!

– Brakuje kadr, więc od czasu do czasu przysyłają nam uzupełnienie. Szefowie poszczególnych wydziałów zgłaszają zapotrzebowanie i każdy stara się przekonać pułkownika Poliakowa, że to właśnie jemu najbardziej potrzeba wzmocnienia. Przypomina to licytację – wyjaśniła z uśmiechem.

– Było wielu chętnych?

– Niespecjalnie, większość uznała was za nic niewartego dupka...

– To skąd wasze zainteresowanie?

– Safronow szepnął mi, że warto. Wracając do sprawy...

Łyknąłem kompotu, wyglądało na to, że będę musiał udzielić wyjaśnień: jeśli przydzielono mnie do Wierchońskiej, dziewczucha będzie moim przełożonym.

– Zostałem czasowo oddelegowany do pracy w milicji – odparłem po namyśle. – Stopień pułkownika nadal mi przysługuje, mogę nosić mundur i wszystkie posiadane odznaczenia, ale tu, u was, jestem tylko porucznikiem.

– To prawda, że w pojedynkę zlikwidowaliście bandę Miszki Czorta?

– Nieprawda, nie w pojedynkę.

– Dziwne to wszystko – wymruczała Wierchońska. – Bo podobno macie pracować też jako dzielnicowy?

– Owszem – przyznałem. – Jednak nie sądzę, żeby zabrało mi to zbyt wiele czasu.

– No, po tym, co spotkało Miszkę, wasz rejon będzie pewnie jednym z najspokojniejszych w Moskwie...

Znowu zajęliśmy się jedzeniem, ale widziałem, że Wierchońska co jakiś czas spogląda na mnie spod oka. Pewnie zastanawiała się, czy nie zostałem nasłany przez bezpiekę. Ta ostatnia, mimo że zmieniła nazwę, nadal opierała się na donosach i prowokacjach. Dobrze chociaż, że nie dowodził już nią nienawidzący mnie Beria.

– Sam poprosiłem o przeniesienie – poinformowałem. – Z przyczyn osobistych.

Wierchońska skinęła głową, ale nie skomentowała. Bo i o czym tu gadać? Deklaracje deklaracjami, a życie życiem. Mądra dziewczynka.

Kończąc posiłek, nie podejmowaliśmy już żadnych poważnych tematów. Moja przyszła szefowa zapoznawała mnie z miejscowymi ploteczkami, a ja odwzajemniłem się, opowiadając kilka starannie dobranych i nieco ocenzurowanych wojennych przygód. Miałem nadzieję, że nasza współpraca jakoś się ułoży, byłem już za stary na lawirowanie w polityce i kolejne misje dla towarzysza Stalina. Nie sądziłem, aby praca w milicji – jakkolwiek trudna czy ryzykowna – choćby w przybliżeniu przypominała to, co robiłem w czasie wojny. Do czterdziestki jeszcze mi trochę brakuje, ale z pewnością przydałoby się zwolnić obroty.



Zameldowałem się u dyżurnego kilka minut przed czasem i pomaszerowałem do gabinetu Wierchońskiej. Na pagonach miałem już gwiazdki porucznika – wydział kadr załatwił wszelkie formalności z oszołamiąjącą szybkością, być może, dzięki wstawiennictwu Szołkina. Wierchońska nie była sama, towarzyszyło jej dwóch młodych, liczących sobie nie więcej niż dwadzieścia kilka lat oficerów. Z jednym z nich spotkałem się już wcześniej, w stołówce. Bandaż na jego nadgarstku świadczył, że pewnie i on mnie zapamiętał...

Przywitałem się ze wszystkimi, nie wyłączając kontuzjowanego porucznika. Wierchońska aprobująco skinęła głową, widząc, jak podaję mu dłoń, w chwilę później dokonała formalnej prezentacji. Okazało się, że mój wczorajszy adwersarz nazywa się Igor Starcew, a jego kolega to Kirył Rudenko. Mimo że byliśmy równi stopniem, obaj, zwracając się do mnie, używali imienia i patronimiku, tak jak jest to przyjęte, kiedy rozmawiamy z kimś stojącym wyżej na drabinie społecznej. Cóż, wyglądało na to, że ustaliłem swoją pozycję w stadzie...

– Mam nadzieję, że wszelkie nieporozumienia zostały wyjaśnione? – odezwała się, kiedy rozsiedliśmy się przy zawalonym dokumentami stole.

Mój wczorajszy adwersarz skwapliwie przytaknął, popatrując na mnie z niepokojem.

– Poruczniku Razumowski?

– Oczywiście.

– W takim razie przejdźmy do rzeczy. Kirył?

Porucznik Rudenko rozpiął kołnierzyk, tak jakby ten stał się nagle zbyt ciasny, i nerwowym gestem otworzył zwykły szkolny zeszyt.

– Liczba kradzieży narasta lawinowo. Dwa miesiące temu notowano kilka tygodniowo, teraz około pięćdziesięciu – zameldował ponuro.

– Rozmawiałeś z Cichym?

– Wczoraj.

– I co?

– I nic, roześmiał mi się w twarz.

Wierchońska zmęczonym gestem rozmasowała skronie, jej mina świadczyła, że nie spodziewała się niczego innego.

– W czym problem? – spytałem.

– Kradzieże kieszonkowe w tramwajach – odparła sucho. – Chodzi o linię numer czternaście.

– Nie rozumiem. W innych tramwajach nie kradną?

– Kradną, tylko że nikogo to nie obchodzi. Czternastka jedzie przez centrum, po drodze są urzędy, banki, duże sklepy. Ofiarami padają przeważnie wyżsi urzędnicy i ich bliscy, stąd zainteresowanie władz. Problem w tym, że nie da rady załatwić tego oficjalnie, bo prawie nikt z poszkodowanych nie chce składać skargi. A skoro przestępstwo nie zostało zgłoszone, nie można ukarać złodzieja, nawet jak go złapiemy.

– Nie rozumiem?

– A co w tym skomplikowanego? – odburknął Starcew. – Pensja takiego, bo ja wiem? sekretarza rejonowego komitetu partii to kilkaset rubli. Nie stać go na złoty zegarek albo diamentową kolie dla żony czy kochanki. Przynajmniej w teorii... Więc kiedy ją okradną, nie może tego zgłosić, bo musiałby wyjaśnić, skąd wziął forszę na biżuterię tej klasy. A do tego żaden z nich się nie pali. Za to nikt im nie zabroni naciskać na nieudolną milicję, aby ta rozwiązała problem kradzieży. To wszystko, rzecz jasna, w najlepiej pojętym interesie klasy robotniczej! Te gnoje...

– Igor!

W głosie Wierchońskiej można było wyczuć i gniew, i zniecierpliwienie – zapewne porucznik Starcew nie po raz pierwszy demonstrował swój stosunek do „przewodniej siły narodu”, jak od niedawna gazety zaczęły nazywać partię. Dziw, że chłopak do tej pory pracuje w milicji, zamiast wydobywać uran czy złoto w dużo chłodniejszym niż moskiewski klimacie.

– Wybaczcie, poruczniku Razumowski, towarzysza Starcewa czasem ponosi elokwencja, jednak jest on oddanym komunistą i...

Przerwałem jej leniwym gestem.

– Nie plotkuję o tym, co usłyszałem w prywatnej rozmowie – poinformowałem. – A poglądy polityczne towarzysza Starcewa obchodzą mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Inna rzecz, że mógłby nauczyć się trzymać gębę na kłódkę, bo takim marudzeniem może zaszkodzić nie tylko sobie, ale i innym.

– Ja tylko...

Ku mojemu zdziwieniu Starcew zaczerwienił się i spuścił wzrok.

– Postaram się uważać na przyszłość – obiecał.

– Tak lepiej – mruknęła Wierchońska. – Wracając do sprawy: macie pomysł, jak z tym skończyć, Aleksandrze Nikołajewiczu?

– To zależy – odparłem ostrożnie.

– Od czego?

– Jak daleko możecie się posunąć?

– No, na pewno nie tak daleko jak wy z Miską, ale poza tym... – Wzruszyła ramionami. – Kiedyś kazałam chłopakom stłuc jednego, ale kiedy tylko wyszedł ze szpitala, znowu wrócił do roboty... Tych kieszonkowców jest tam ze trzydziestu, to bogata okolica, nie możemy każdego złapanego łąć do nieprzytomności. Wiecie, są pewne procedury: każdy przypadek udzielenia pomocy medycznej trzeba udokumentować. Jeśli będzie ich zbyt dużo, naślą na nas kontrolę.

– Chodzi o wezwanie lekarza do zatrzymanego? – upewniłem się.

– Owszem.

– Czyli jak ktoś oberwie po pysku w mieście, to...

– To jego prywatna sprawa – weszła mi w słowo Wierchońska. – Więc? – Uniosła brwi. – Co z tymi pomysłami?

– Musiałbym najpierw sprawdzić pewne detale – odpowiedziałem wykrętnie. – Potrzebowałbym też chłopaków, bo sam pewnie nawet nie zauważę kieszonkowca.

– Na kiedy?

– Może teraz? – zaproponowałem. – Na parę godzin.

– Cóż, i tak patrolujemy miasto... No dobrze – zdecydowała. – Idźcie. Tylko żebym nie musiała się później za was tłumaczyć! – Pogroziła palcem.

– Ależ skąd! – zapewniłem.

Obaj porucznicy przybrali odpowiednio niewinne miny. Jak się wydawało, mieli w tym sporą wprawę.



Dostatnio ubrany mężczyzna z bródką i wąsami à la Lenin zajęczał boleśnie, usiłując się wyswobodzić. Bez specjalnego skutku: założyłem mu dźwignię na łokieć. Porucznicy Rudenko i Starcew trzymali jego współnika, nobliwego z wyglądu staruszka. Przed chwilą wyjęli z za pazuchy dziadka trzy skradzione portfele, złoty zegarek i bransoletę.

– Obywatele! – zawołał Rudenko. – Proszę sprawdzić, czy nikomu nic nie zginęło!

Pasażerowie tramwaju numer czternaście zaczęli gorączkowo macać się po kieszeniach i przeglądać torebki. Ech, żeby inne polecenia milicji wykonywano z takim zapalem...

– Mnie zginął portfel! – zameldował z przerażeniem na twarzy łysy tłuścioch w eleganckim gabardynowym garniturze.

– A ja nie mam bransoletki! – krzyknęła wysoka, chuda blondynka. – Och, ty gadzie! – zawyła, orając paznokciami twarz schwytanego przeze mnie kieszonkowca.

– Spokojnie, towarzyszeko! – poprosiłem, rozluźniając uchwyt.

Tak jak się spodziewałem, złodziej natychmiast mi się wyrwał, uderzeniem w brzuch powalił blondynkę, po czym runął do wyjścia. Energicznym podcięciem posłałem go na podłogę, przydepnąłem prawą dłoń. Do kobiecych pisków dołączył męski bas: łamanie palców boli jak cholera, a trzeba przyznać, że przyłożyłem się do roboty...

– Spokój! – wrzasnąłem. – Kirył, kajdanki!

Po chwili obaj współnicy leżeli skuci, a pasażerowie odbierali swoją własność.

– A teraz spisujemy protokół z zajścia – oznajmiłem.

– Nie będę niczego podpisywał! – warknął grubas, tuląc czule swój portfel. – Grunt, że nie dopuściliście do kradzieży.

Szmer poparcia świadczył, że i pozostali pokrzywdzeni nie mają zamiaru oficjalnie dochodzić swoich krzywd.

– Źle mnie zrozumieliście, towarzysze – powiedziałem. – Macie rację, że oficjalne dochodzenie wiązałoby się dla was z pewnymi niedogodnościami, bo wszystkie ukradzione rzeczy byłyby dowodami w sprawie. Nie chcemy sprawiać wam problemu – zapewniłem z dobrodusznym uśmiechem. – Niemniej jednak ten człowiek został poszkodowany. – Wskazałem jęczącego kieszonkowca. – Prawdopodobnie zmiądzylem mu palce... Chciałbym mieć wasze podpisy na oświadczeniu stwierdzającym, że stało się to wyłącznie z jego winy, w trakcie próby zapobieżenia kradzieży.

– A to zupełnie inna rzecz! – rzucił po krótkim namyśle tłuścioch. – Jestem gotów potwierdzić, że działaliście w obronie ludzi pracy, ściśle w ramach obowiązującego prawa.

– I ja! Ja też!

Protokół wyglądał imponująco, poręczyli za nas: sekretarz rejonowej organizacji partyjnej, dwóch wysokich rangą działaczy Komsomołu, dyrektor departamentu w Ministerstwie Handlu, chirurg Instytutu Sklifosowskiego... Najwyraźniej pasażerowie czternastki stanowili dość specyficzną grupę, nic dziwnego, że byli w stanie obrzydzić życie pracownikom MUR-u.

– Połamane palce, też coś! – parsknęła gniewnie poturbowana blondynka. – Rozstrzeliwać by takich! Ale co by nie mówić, ten bandzior długo nie wyciągnie

nikomu portfela z kieszeni – dodała mściwie. – Zuchy z was, towarzysze milicjanci!

Zawtórowali jej inni. Kiedy wyprowadzaliśmy zatrzymanych z tramwaju, żegnały nas oklaski. Poczekalem, aż czternastka zniknie w oddali, po czym rozkułem obu złodziei.

– Co robicie, Aleksandrze Nikołajewiczu? – zaprotestował Starcew. – Toż to przestępcy. Możemy ich zamknąć, bo stawiali opór przy aresztowaniu!

– Ech, Igor, Igor – westchnąłem, żegnając kieszonkowców solidnymi kopniakami.

– A ja już wszystko rozumiem – pochwalił się Rudenko. – No, prawie wszystko.

– To może mi wytłumaczycie?!

– Za chwilę – obiecałem. – Myślę, że zasłużyliśmy na małe piwo.

– To będzie musiało być bardzo małe piwo – odparł smętnie Rudenko, grzebiąc po kieszeniach. – Koniec miesiąca...

– Ja stawiam – uspokoiłem go z uśmiechem.

Knajpka wyglądała tak samo niepozornie, jak to zapamiętałem.

– „Anastazja” – odszyfrował niemal nieczytelny szyld Starcew. – Co to za dziwna nazwa?

– Tak miała na imię rzekomo zaginiona córka ostatniego cara, prawda? – rzucił Rudenko.

– Prawda – potwierdziłem, usadowiwszy się za stołem.

– Dziwne – powtórzył Starcew.

Podeszła do nas młoda, z wyglądu niespełna dwudziestoletnia dziewczyna. Nie była specjalnie urodziwa, ale każdy jej gest emanował wdziękiem i czymś, co można by nazwać dostojnością. Biały fartuszek kelnerki wyglądał na niej jak suknia balowa.

– *Gospoda?* – spytała uprzejmie.

– Piwo i zakąski – zadysponowałem.

– Jakie zakąski? Mamy...

– Według waszego uznania, *barysznia*.

Dziewczyna skinęła głową i zniknęła na zapleczu.

– *Gospoda? Barysznia?* Czuję się jak przed rewolucją – powiedział Rudenko.

Pochyliłem się nad stołem, przyłożyłem palec do ust.

– To enklawa „białej” Rosji – oznajmiłem scenicznym szeptem. – Przychodzą tu tylko wtajemniczeni.

Moi towarzysze wpatrywali się we mnie okrągłymi ze zdumienia oczyma, wreszcie wybuchnęli śmiechem.

– Aleksandrze Nikołajewiczu... – Rudenko z wyrzutem pokręcił głową.

– Założysz się?

– O co?

– Nigdy nie piłeś takiego piwa, jakie nam zaraz podadzą, bo przestali je wytwarzać

po rewolucji. A i zakąski... – urwałem, robiąc tajemniczą minę.

– Przestali wytwarzać? To skąd ci tutaj je biorą? – Starcew uniósł brwi.

– W kilku browarach warzą je jeszcze w niewielkich ilościach. Tylko dla swoich.

– Jasne – przytaknął ironicznie Rudenko.

Dalszą dyskusję przerwała nam kelnerka, po chwili każdy z nas miał przed sobą kufel pianistego napoju.

– Wiedeńskie z browaru Alfreda von Vacano – poinformowała nas dziewczyna.

– Wiedeńskie? – wymamrotał Starcew. – Nie ma takiego piwa.

Wykonałem gest znaczący tyle co: „a nie mówiłem”? Po chwili na stole pojawiły się zakąski – ugarniowane pietruszką raki, płaty łososia i plastry usmażonego na chrupko bekonu. Poruczników zamurowało. Mnie też. W Moskwie bywały problemy ze zdobyciem ziemniaków, a tu takie smakołyki...

– Ile płacę? – Sięgnąłem do kieszeni.

– To na koszt zakładu, *wasze błagorodie* – odparła kelnerka ze skromnym dygnięciem.

Twarz dziewczyny zastygła w wyrazie głębokiego szacunku, ale w jej oczach wychwyciłem figlarne iskierki.

– Więc wy naprawdę...? Przecież to niemożliwe – powiedział bezradnie porucznik Starcew.

– Możesz nie jeść – zaproponowałem. – Skoro to tylko złudzenie optyczne...

– A ja się poczęstuję – stwierdził z zapalem Rudenko. – Może nawet poproszę o dokładkę?

Pociągnąłem łyk złocistego napoju: piwo było tak samo dobre jak podczas mojej wcześniejszej wizyty. Trudno było zarzucić coś i zakąskom – dawno nie jadłem tak dobrze przyrządzonych raków. Miny moich towarzyszy świadczyły, że i oni wysoko oceniają poczęstunek. Pozostawało tylko dowiedzieć się, skąd to wszystko i czemu zawdzięczam takie względy. No ale to może poczekać, raki nie: po kilku godzinach uganiania się za kieszonkowcami czułem nieprzyjemne ssanie w żołądku.

– To co z tymi żulikami? – zapytał Starcew. – Może mi wreszcie wyjaśnicie, dlaczego ich wypuściliśmy?

– To proste – odparł Rudenko, przełamując z chrzęstem skorupkę. – Cichy nie chciał się dogadać po dobroci, to teraz będzie po złości...

– Akurat! Ten gnojek wróci do roboty, ledwo się wyleczy!

– Nie wróci – zapewniłem. – Ani do roboty, ani do dawnej sprawności. Kieszonkowiec z pogruchotanymi paluchami nie będzie już w stanie kraść. Takie urazy paskudnie się goją.

– Więc...?

– Nie zamknęliśmy ich, bo chodzi o oddziaływanie psychologiczne – dokończył z mądrą miną Rudenko. – Jeśli rozejdą się wieści, że każdy złodziej złapany na trasie

czternastki wypadła z obiegu, nikt nie zmusi ich do roboty w tym rejonie.

– A jeśli trzeba będzie, złożę wizytę Cichemu – uzupełniłem.

– Chyba nie chcecie go jak Miszkę...? – spytał niepewnie Starcew.

– Zgłupiałeś?! Miszka był mordercą, gdybym go nie zabił, on zabiłby mnie.

A Cichy to tylko złodziej.

– I *wor w zakonie* – powiedział Rudenko z troską w głosie.

Obojętnie wzruszyłem ramionami.

– Mieliście już z takimi do czynienia?

– Owszem.

– Opowiecie?

– Nie opowiem – odparłem lakonicznie.

Rudenko naburmuszył się, ale nie na tyle, żeby przerwać jedzenie. Podobnie jak Starcew, niszczył zakąski w zastraszającym tempie.

– A ta dziewczyna? – spytał Starcew.

– Tak?

– To arystokratka?

Zagryzłem wargi, żeby nie parsknąć śmiechem – widać kelnerka wpadła mu w oko, a moja historyjka jeszcze podsyciła zainteresowanie chłopaka. Tylko trzeba uważać, żeby nie przesadzić, bo jak któryś poleci z donosem...

– Kto wie? Nie wypada pytać. Sam rozumiesz, że obecnie to żaden powód do chwały.

– Znacie ją?

– Niespecjalnie.

– Będziemy tu mogli jeszcze przyjść? No, wiecie, na piwo i w ogóle...

– Zaraz zapytam – obiecałem, podnosząc się zza stołu.

Tak czy owak, czas porozmawiać z „arystokracją”. Wąski korytarzyk zaprowadził mnie do okazałych rozmiarów kuchni, wewnątrz krzątało się kilka osób, w tym dwie kobiety w fartuszkach kelnerek. Wysoki, szczupły mężczyzna w kucharskiej czapce rzucał krótkie, szorstkie rozkazy niczym kapitan toczącego bitwę okrętu. W ogromnych garach bulgotały zupy, w miedzianych rondlach wesoło perkotały sosy, na patelniach dochodziły mięsiwa i ryby. Ilość przygotowywanych potraw zastanawiała, na pewno nie szykowano ich dla klientów „Anastazji”: knajpka świeciła pustkami, a w lokalu mieściło się ledwo sześć czteroosobowych stolików. Niepodobieństwo.

– Kto tu rządzi? – spytałem, przekrzykując kuchenny gwar.

Ku mojemu zdumieniu podeszła do mnie młodziutka kelnerka.

– Jestem upoważniona do prowadzenia z wami pertraktacji – oznajmiła z godnością.

Mimo woli wybuchnąłem śmiechem. Cóż za słownictwo! Co za mina! Dziewuszka

wyglądała jak księżniczka zniżająca się do rozmowy z pańszczyźnianym chłopem.

Złapałem ją za ucho, pociągnąłem lekko. Pisnęła zaskoczona. Już nie wyglądała jak arystokratka, w jej oczach pojawiła się obawa, choć jeszcze nie strach. No i dobrze – nie miałem zamiaru przerazić dzieciaka na śmierć, a jedynie wyegzekwować wykonanie polecenia.

– Kto kieruje tym wszystkim? – powtórzyłem bez specjalnego nacisku, ale nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Auć! Ciocia Mira!

– Mira?

– Mirosława Piotrowna.

– Która to?

W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze dwie kobiety, jedna z nich obsługiwała mnie, kiedy byłem tu z Kasjanowem, druga, potężnej postury matrona, siekała właśnie zieleninę. Z nieprawdopodobną, oszołamiającą wręcz szybkością. Tyle że jej twarz świadczyła wyraźnie, że dłonie ma sprawniejsze od mózgu.

Nie pomyliłem się, szczupła, niewysoka kelnerka popatrzyła na mnie z obawą, wreszcie podeszła z wyraźnym ociąganiem. Ta się bała. Otaczała ją aura przeraźliwego strachu, równie wyraźna jak zapach perfum. Zupełnie nieodpowiednich dla kelnerki perfum. Bez trudu zidentyfikowałem zapach: cytrusy, jaśmin, bergamotka, róża, do tego niemal niewyczuwalna nuta bzu, brzoskwini i cynamonu. Mitsuoko, Guerlain.

– Może przejdziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać? – zaproponowałem.

Byłem pewien, że kobieta poprowadzi mnie do knajpki, jednak nie, bez słowa otworzyła ledwie widoczne przez kłębny parę drzwi i po chwili młoda kelnerka, Mira Piotrowna i ja znaleźliśmy się w luksusowo urządzonym gabinecie.

– Co to jest? – spytałem zdziwiony. – Burdel?

– Jaki burdel?! – tupnęła ze złością dziewczuszka. – To nielegalne kasyno. Najlepsze w Moskwie – dodała z dumą.

– Rzeczywiście – mruknąłem. – Jak mogłem się nie domyślić? Nielegalne kasyno. To wszystko zmienia...

– W zasadzie dostarczamy tam tylko jedzenie, co do opłat musicie rozmówić się z nimi osobno – poinformowała.

– A skąd takie względy dla mojej skromnej osoby i darmowy poczęstunek?

– No przecież... – urwała, zagryzając wargi.

– Tak?

– Teraz, kiedy nie ma już Miszki, to wy tu rządzącie...

Starsza kobieta spojrzała na nią niespokojnie, ale dziewczyna najwyraźniej nie wyczuwała zagrożenia. A przecież gdybym poinformował przełożonych

o prowadzonych w knajpie interesach, wróciłaby do Moskwy nie wcześniej niż za dwadzieścia lat. O ile w ogóle by wróciła. Za to stara bała się i za siebie, i za nią: jej dłonie drżały wyraźnie, a postawa świadczyła, że w każdej chwili gotowa jest zasłonić się przed niespodziewanym ciosem. To nie wyglądało na irracjonalny lęk, raczej doświadczenie...

Przyjrzałem jej się dokładniej, zwracając szczególną uwagę na twarz i ręce. No tak, teraz wszystko jasne.

– Możecie wrócić do kuchni – zezwoliłem. – Omówię wszystko z... – zawiesiłem wymownie głos.

– Mam na imię Tatiana – oznajmiła dziewczuszka, wydymając wargi.

– Z Tatianą – dokończyłem.

Starsza kobieta zniknęła, zanim zdążyłem dokończyć zdanie.

– Przestraszyliście ją – odezwała się z wyrzutem Tatiana.

– Nie ja – odburknąłem.

– Nie rozumiem?

– Nie szkodzi. Co z tymi opłatami?

– Płaciliśmy za ochronę Miszce, teraz będziemy płacić wam. – Wzruszyła ramionami.

– A konkretnie?

Tatiana popatrzyła na mnie z namysłem. Widać było, że zastanawia się, ile mi powiedzieć. Pacnąłem ją w nos złączonymi palcami, jak gryzącego buty szczeniaka.

– Auć! Co znowu?!

– Nie próbuj mnie oszukiwać, i tak dowiem się wszystkiego, a jeśli mnie okłamiesz, będę niezadowolony. Bardzo niezadowolony.

– No dobrze: dwadzieścia procent. Ale to naprawdę za dużo. Dawniej...

Powstrzymałem ją stanowczym gestem – nie było sensu podejmować decyzji bez zastanowienia i konsultacji z kimś, kto znał miejscowe układy. Cóż, najwyższy czas porozmawiać z sierżantem Kasjanowem.

– Pomyślę o tym – obiecałem. – Tymczasem karmicie mnie i moich ludzi za darmo.

– To wszystko? – spytała nieufnie.

– Na razie tak.

– Ilu jest tych waszych ludzi?

– Tych dwóch, z którymi przyszedłem, może jeszcze kilku. Jakby co, każdy z nich powoła się na mnie. Nazywam się Razumowski. No i, rzecz jasna, Kasjanow.

– Wujek Fiedia? On i tak je u nas za darmo.

– A to z jakiego powodu?

– Nie mam pojęcia, Mirosława Piotrowna tak zarządziła.

– W porządku, to wszystko. Aha, jeszcze jedno: nie przesadzaj z tymi arystokratycznymi manierami. Ktoś może nie poznać się na dowcipie i polecieć

z donosem.

– Sami zaczęliście! Wszystko słyszałam!

– No, jeśli chodzi o chłopaków, możesz sobie pofolgować. Ale tylko z nimi. Bo inaczej narobisz wszystkim kłopotów. Zrozumiałaś?

Tatiana niechętnie przytaknęła.

– I uważaj – dorzuciłem z uśmiechem. – Bo jeszcze któryś się zakocha.

– Żartujecie sobie ze mnie! – nadała się.

– Skąd! Porucznik Starcew już pytał o ciebie. Wyraźnie go zainteresowałaś...

– Starcew? Który to?

– Ten wyższy, szatyn. Brunet to Rudenko.

– Odprowadzę was – zaproponowała.

– Jak chcesz – odparłem obojętnie.

Nie sposób było nie zauważyć, że dziewczyna zastanawia się nad czymś intensywnie. Biedny Starcew...

Kiedy wychodziliśmy z lokalu, pożegnała nas lekkim ukłonem, obdarzając jednocześnie Starcewa przeciągłym spojrzeniem spod opuszczonych rzęs. Wnioskując z miny chłopaka, mogłem się założyć, że najdalej jutro znowu odwiedzi „Anastazję”.

– Możecie stołować się tu bezpłatnie – poinformowałem. – Ale tylko wy, żadnych kumpli – uprzedziłem.

Starcew wyszczerzył zęby w uśmiechu, Rudenko ledwo skinął głową. Chmurna mina świadczyła, że coś go niepokoi.

– Widzieliście tę starą? – zapytał. – Tę, która przyniosła nam dokładkę, gdy wstaliście od stołu.

Potwierdziłem mruknięciem.

– Zauważyliście, że...

– Zauważyłem – bezceremonialnie wszedłem mu w słowo.

– I co?

– I nic – odburknąłem. – Skoro ją wypuścili, znaczy była niewinna.

– O czym wy mówicie? – otrząsnął się z zamyślenia Starcew.

– Ta starsza kelnerka była przesłuchiwana. I to intensywnie – wyjaśnił Rudenko. – Połamali jej palce.

– Do tego nos i szczękę – uzupełniłem. – Miała dobrego lekarza, stąd niewiele widać, ale jak się przypatrzeć z profilu...

– Nie zwróciłem uwagi – przyznał Starcew.

– Pewnie – mruknąłem. – Byłeś zajęty panienką Tatianą.

– Ładne imię – zauważył. – Dobrze ją znacie?

– Już o to pytałeś. Widziałem ją pierwszy raz w życiu.

– Więc wy nie... – urwał zakłopotany. – Ja...

Zrozumienie, o co mu chodzi, zajęło mi dobrą chwilę – miałem na głowie

ważniejsze sprawy niż życie uczuciowe porucznika Starcewa. Pojawszy, ryknąłem śmiechem.

– Jest cała twoja. Nie będę ci stawał na drodze – zapewniłem, ocierając załzawione oczy.

– Nie podoba się wam? – rzucił zaczepnie Starcew.

– Ależ podoba, Igor, podoba. Tylko jak by to powiedzieć? Jest dla mnie chyba trochę za młoda.

– Co innego Elizawieta Lwowna – stwierdził chytrze Rudenko.

– Tak – przyznałem z udaną powagą. – Kapitan Wierchońska jest w sam raz. A teraz wracajcie na Pietrowkę, ja mam jeszcze coś do zrobienia.

Pożegnałem ich nonszalanckim machnięciem ręki i ruszyłem w stronę komendy. Czekala mnie jeszcze rozmowa z Kasjanowem.



Rozwalający się fotel nie budził zaufania, usiadłem więc na brzegu biurka. Kasjanow przycupnął na skrzypiącym, poobijanym krześle. Z gabinetu zniknęły śmieci i gruba warstwa kurzu. Widać sierżant dopilnował, aby go wysprzątało, niestety, meble pozostały te same...

– Żartujesz – powiedziałem bez przekonania.

Po namyśle przeszedłem z sierżantem na ty. Rzecz jasna, jednostronnie...

– Jeżeli wy tego nie zrobicie, zajmie się tym kto inny – powtórzył uparcie Kasjanow. – A wtedy stracimy kontrolę nad dzielnicą.

– Przecież to niedaleko Nikitskiego Bulwaru, poza granicami Arbatu!

– No tak, ale nie chodzi o podział administracyjny, tylko obszar, który kontrolował Miszka.

– Więc mam zostać alfonsiem?! – warknąłem ze złością. – Żeby kontrolować dzielnicę?!

Kasjanow przewrócił oczyma i wziął głęboki oddech.

– Raczej opodatkować alfonsów. Ten burdel to obok kasyna najbardziej dochodowy interes w okolicy – powiedział dobitnie. – Nie możecie zostawić go ot tak, bo natychmiast zabierze go sobie ktoś inny. Nie chodzi nawet o pieniądze, tylko o władzę. Jeżeli oddacie burdel, *blatni* dojdą do wniosku, że nie jesteście w stanie rządzić dzielnicą, i wojna zacznie się od nowa.

– A gdyby go zlikwidować?

– To dziewczęta zaczną pracować na ulicy i w bramach, bo nie wyobrażacie sobie chyba, że się... przekwalifikują? Do tego stracimy kontrolę nad nimi, a jak zaczną

zarażać klientów...

– Dobrze, już dobrze! – powstrzymałem tyradę Kasjanowa. – Niech ci będzie, opodatkuję ten burdel. Jaki procent proponujesz?

– Burdel i kasyno po dwadzieścia procent – odparł zdecydowanie. – Reszta w zależności od waszych preferencji.

– Nie rozumiem?

– Jeśli chcecie, żeby ludzie byli zadowoleni, nie więcej niż dziesięć procent. Knajpy pięć, z zastrzeżeniem, że wy i wasi ludzie mają w nich nieograniczony kredyt. *Błatni* dwadzieścia procent.

– Jacy, do cholery, *błatni*?!

– Złodzieje, bandyci, wszelkiej maści oszuści. Ale o tym musicie pogadać z Tichonowem. Pamiętajcie, prosiliście mnie, żebym nawiązał kontakt z *worem w zakonie*. Największym autorytetem cieszy się Tichonow, pseudo Cichy.

– Zaraz, zaraz... – Zmarszczyłem brwi. – Czy to nie on kieruje brygadą kieszonkowców?

– Owszem, i nie tylko. Swoją dolę płacą mu też włamywacze, szulerzy i żebracy. Umówiłem was na jutro.

– Gdzie mamy się spotkać?

– W jego chałupie, na Nadbrzeżnej. Wieczorem, o dwudziestej drugiej.

No tak, a jakżeby inaczej... Nadbrzeżna nie cieszyła się dobrą sławą nawet w dawnych, spokojnych czasach. Była miejscem bandyckich spotkań, to właśnie tam ferajna wyjaśniała sobie wszelkie nieporozumienia, bywało, że za pomocą kastetów i noży, po czym niejeden trup lądował w rzece. Czyżby Cichy chciał nie tylko porozmawiać, ale i pozbyć się konkurencji? Cóż, zobaczymy.

– No dobrze, niech będzie po twojemu – zadecydowałem. – Jeszcze dziś obejdiesz dzielnicę i wyznaczysz wysokość... podatku. Według swojego uznania.

– Także w „Anastazji”? – upewnił się Kasjanow.

– Owszem. Na pięć procent z kredytem. À propos „Anastazji”, nie wiesz czasem, skąd oni biorą to całe żarcie?

– Znajomek Mirosławy Piotrowny ma dostęp do speczapasów dla partyjnej nomenklatury.

– To nie jest niebezpieczne? Okradanie partii?

– Nie przy tych ilościach towaru, tam zresztą wszyscy kradną, a kontroli nie będzie, z oczywistych względów – uspokoił mnie sierżant.

– A ta mała, Tamara?

– Tatiana – poprawił.

– Nieważne. Skąd się tam wzięła?

– Straciła rodziców na początku wojny, Mirosława Piotrowna zaopiekowała się dziewczyną. Teraz uczy się w szkole teatralnej – dodał z odcieniem niemal ojcowskiej

dumy.

– Dobrze ją znasz? – spytałem domyślnie.

– Owszem – przytaknął, nie dając jednak żadnych objaśnień.

– W porządku, zapisz mi adres Cichego i masz wolne na dzisiaj – oznajmiłem, podsuwając mu kartkę.

– Jest jeszcze jeden problem – powiedział.

– Tak?

– Nie wyrobię się w pojedynkę, za duży rejon. Potrzebny mi pomocnik.

– Pomocnik? – powtórzyłem bezmyślnie. – A skąd ci go wezmę? Chłopaków z MUR-u na razie lepiej do tego nie mieszać, za mało ich znam. A poza nimi... – Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Jest jeszcze Bugrowski – wymamrotał, odwracając wzrok.

– Zwariowałeś?! Ten komsomolec? A co, jeśli nas zakabluje? Albo naskarzy na panienkę Tatianę? Pomyślałeś o tym?

– On nie kabluje, sprawdziłem – odparł Kasjanow. – Jest trochę dziwny z tym całym Komsomołem i w ogóle, ale nie donosi.

No, no, chyba właśnie towarzysz Bugrowski został zweryfikowany. Pozytywnie zweryfikowany. Z drugiej strony lepiej na zimne dmuchać, niepotrzebne mi komplikacje.

– Co znaczy „dziwny”? – spytałem nieufnie.

– Píše wiersze.

– A to łobuz! – wykrzyknąłem kpiąco.

– Dla mnie to nienormalne – odparł sierżant, wyraźnie rozdrażniony.

– Dobrze chociaż te wiersze?

– Nie mam zielonego pojęcia. Nie rymują się.

– W porządku. – Machnąłem ręką. – Idź już, a po drodze zawołaj tego poetę.

Dymitr Fortunatowicz Bugrowski nie wyglądał imponująco: niewysoki, o okrągłej jak księżyc w pełni twarzy i niezbornych ruchach, sprawiał wrażenie całkowicie oderwanego od rzeczywistości. Jednak oczy koloru starego srebra nie pasowały do obrazu fajtlapy. Patrzyły chłodno i uważnie, wydawało się, że dostrzegają każdy detal.

– Podobno piszesz wiersze? – rzuciłem prowokacyjnie.

– Bywa – potwierdził bez emocji.

– Pokaż! – rozkazałem.

Chłopak bez słowa sięgnął do raportówki i położył na biurku oprawiony w płótno zeszyt.

– Zapisuję je w układzie chronologicznym – poinformował sucho.

Przerzuciłem kilka kartek: rzeczywiście, pierwszy wpis pochodził sprzed dziesięciu lat, ostatniego dokonano wczoraj.

wymilcz dla mnie cyrograf
a wokół twej ciszy się oplotę
nerwem zmysłem
snem
tylko proszę proszę
wyśnij mój grzech

doznaj na mgnienie
na nieruchomość serca
pomiędzy
słowem

nie oddzielaj nieba od ziemi
albowiem i tak będzie
odebrane

Zagryzłem wargi: przy pierwszym czytaniu słowa sprawiały wrażenie rozsypanych bezładnie okruchów. Przy drugim już nie. Paliły chłodnym ogniem, drażniły, przywracały pamięci dawno zapomniane chwile, ludzi, uczucia... Szlag! Też mi się trafił podwładny!

Odłożyłem z trzaskiem zeszyt, odsunąłem jak najdalej od siebie, zapaliłem papierosa. Bugrowski nadal stał wyprężony na baczność.

- Siadaj! – burknąłem.
- Nie wyglądacie na zachwyconego – zauważył, sadowiąc się ostrożnie na rozchwierutany krześle.
- Bo i nie jestem. Nie możesz jakoś inaczej?
- Biały wiersz to specyficzny rodzaj... – zaczął znużonym tonem.
- Wiem, co to biały wiersz! – warknąłem. – Chodzi mi o treść.
- Więc wy... zrozumieliście? – spytał z niebotycznym zdumieniem.
- Owszem. I jak zauważyłeś, nie jestem zachwycony.
- Chłopak skinął melancholijnie głową.
- Mało kto jest – przyznał.
- Co ktoś taki jak ty robi w milicji?!
- Szukam sprawiedliwości – powiedział poważnie.
- Sprawiedliwości? – powtórzyłem z ironią. – Nie mogłeś wybrać czegoś łatwiej osiągalnego?
- To znaczy? – zmarszczył brwi chłopak.
- Bo ja wiem? Kwiatu paproci, skarbu chana Bułgarów, w ostateczności śpiącej

królewny...

– Możecie sobie kpić, ale przecież nie kto inny, jak wy wymierzyliście sprawiedliwość Miszce i jego bandzie.

– Przy okazji – oznajmiłem zimno. – Chciałem przejąć kontrolę nad dzielnicą, a Miszka stanął mi na drodze. A propos dzielnicy...

– Tak?

– Potrzebny mi pomocnik, sam Kasjanow nie da rady.

– Co miałbym robić?

– Niewiele więcej niż zwykle: patrolować teren, zbierać... podatki, badać ewentualne skargi. Takie tam drobiazgi. Nic specjalnie facygującego.

– Skargi?

– Czy mi się to podoba czy nie, właśnie stałem się kimś w rodzaju barona albo księcia Arbatu – poinformowałem kwaśno. – Jestem najwyższą instancją, do której będą zwracać się mieszkający w tym rejonie, śledczym, sędzią i katem... Na tym polega układ: oni mi płacą, ja ich chronię.

– W porządku – oznajmił bez namysłu Bugrowski. – Jednak i ja miałbym prośbę.

– No tak – westchnąłem, sięgając po portfel. – Te milicyjne pensje... Ile ci potrzeba?

– Nie, nie o to chodzi! Chciałbym, żebyście mnie szkolili.

– W jakim sensie? – spytałem ostrożnie.

– Chcę zostać oficerem dochodzeniowym. Kiedyś, w przyszłości – doprecyzował. – Jednak brakuje mi doświadczenia.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem: ktoś, kto chciał zostać śledczym, szedł na odpowiednie kursy, a nie szlifował bruki jako szeregowy. Czego jak czego, ale inteligencji z pewnością Bugrowskiemu nie brakowało, tym bardziej niezrozumiała była jego prośba.

– Przecież Komsomoł może dać ci rekomendację na...

– Nie chodzi mi o przydział do pionu dochodzeniowego. No, nie tylko o to. A do szkoły oficerskiej mogę się dostać bez waszej pomocy.

– Więc czego ode mnie chcesz?

– Powiedziałem już: szkolenia. Weźcie mnie do swojej ekipy.

– Jakiej, do licha, ekipy? Jestem zwykłym dzielnicowym!

– Jesteście też pracownikiem MUR-u... Prędzej czy później sformujecie własną grupę.

Zamrugalem z niedowierzaniem: w głosie Bugrowskiego nie było cienia wątpliwości. I skąd gadzina wiedział, że dostałem przydział do MUR-u? Przecież to ledwo parę dni? Czyżby Kasjanow się wygadał?

– Na razie nie ma o czym mówić, pracuję w wydziale zajmującym się kradzieżami.

– To już niedługo – oznajmił z niewzruszoną pewnością Bugrowski. – I jeszcze

jedno: nauczcie mnie walczyć.

– Co takiego?!

– No wiecie, chodzi mi o walkę wręcz, strzelanie, co tylko uznacie za stosowne.

– Każdy milicjant może zapisać się na kursy sambo, a strzelnica otwarta jest...

– Próbowałem – ponownie przerwał mi chłopak. – Niestety, efekty były co najwyżej mierne. Podejrzewam, że nie mam ku temu specjalnych predyspozycji.

– Dlaczego uważasz, że uda mi się to, czego nie byli w stanie zrobić doświadczeni instruktorzy?

– To proste. Jesteście lepsi. Dużo lepsi.

Roześmiałem się mimo woli. A to uparciuch!

– Dlaczego miałbym tracić czas na szkolenie kogoś „bez predyspozycji”?

– Bo chcecie, żebym zbierał dla was haracz?

– Na litość boską, człowieku! Jesteś poetą, nie powinieneś targować się jak przekupka na rynku! – powiedziałem z niesmakiem.

– To, że ktoś pisze wiersze, nie musi od razu oznaczać, że jest naiwniakiem – poinformował Bugrowski, oglądając paznokcie.

– W porządku, zastanowię się nad tym. A teraz znikaj i rób wszystko, co każe ci Kasjanow.

Bugrowski uśmiechnął się jak zadowolone z siebie kocisko, po czym był uprzejmy opuścić mój gabinet. Nie ma co, niezłych ludzi mi przydzielili, nie wiadomo, kto gorszy: przedrewolucyjny esaul czy poeta-szantażysta? Z drugiej strony mogło być gorzej – o przeszłości Kasjanowa wiedzą pewnie tylko bliscy sierżanta, a i z Bugrowskim sobie poradzę. Dlaczego by nie dać mu tego, o co prosi, i nie zapoznać z technikami zawartymi w „Żelaznej księdze” Doskonałych? Wielogodzinne ćwiczenia oddechowe w najdziwniejszych pozycjach, włącznie ze staniem na rękach, tysiące uderzeń w worki z piaskiem i żelaznymi opilkami, codzienne picie obrzydliwie smakujących mikstur. To przecież nie moja wina, jeśli Bugrowski zrezygnuje...

Cóż, tak czy owak, pora zbierać się do domu, jutro czeka mnie pracowity dzień. Trzeba przygotować się na spotkanie z Cichym.



Moja kamienica znajduje się w spokojnej okolicy, otoczona plataniną wąskich, cichych uliczek, wyglądających tak, jakby czas zatrzymał się dla nich pod koniec dziewiętnastego wieku. Rzadko kiedy naruszają ich spokój furmanki czy auta. Gdzieś tam, w oddali, dzwonią tramwaje, dudni metro, warczą silniki samochodów, ale w moim mieszkaniu potężny puls stolicy słychać tylko w dzień. Później

wielkowiejskie odgłosy cichną, wytłumione aksamitną dłonią nocy.

Naprzeciwno mojego domu stoi pałacyk należący dawniej do sławnej moskiewskiej piękności, księżnej Marii Bołkońskiej. Lubię patrzeć w nocy na osrebrzony światłem księżycy dach budowli, parapety i fantazyjnie powyginaną balustradę balkonu połączonego z sypialnią księżnej. Czasem wyobrażam ją sobie, jak stoi, opierając się o pręty z kutego żelaza, i spogląda w gwiazdy...

Leniwym gestem sięgnąłem po kolejną butelkę piwa, poprawiłem poduszkę: siedziałem w oknie ze zwieszonymi na zewnątrz nogami. W powietrzu czuć było nadchodzącą jesień, ale noc była jeszcze ciepła. Przymknąłem oczy, ukołyszany cichym pomrukiem zasypiającego miasta i szumem drzew pobliskiego skwerku. Kiedyś był on częścią parku założonego tuż po wojnach napoleońskich. Rozrośnięte, ponadstuletnie wierzby, dęby i klony przywodziły na myśl dziarskich ułanów i towarzyszące im kobiety w powiewnych, sięgających ziemi sukniach i kapelusikach ozdobionych zawadiackimi egretami.

Z pólśnu wyrwał mnie odgłos kroków. Elegancko ubrana kobieta nadchodziła od strony skweru, jej obcasy stukwały o bruk w spokojnym, spacerowym rytmie. Widać było, że nigdzie się nie spieszy. Przez chwilę pomyślałem, że pojawiła się tu prosto z kart jednej z historycznych książek Olgi. Choć może powinienem powiedzieć: „książek napisanych przez Olgę”, bo przecież jako autor każdej z nich figurował profesor Łobanowski. Miałem je wszystkie. Z zamazanym starannie nazwiskiem Łobanowskiego, tuż poniżej drukowanymi literami wypisałem personalia prawdziwego autora: OLGA MAJKOWSKA.

Tymczasem kobieta zbliżała się, o dziwo, starając się nie wychodzić z cienia rzucanego przez ściany budynków. Większość ludzi w podobnej sytuacji szłaby środkiem ulicy. Tak, to było niezwykłe. Podobnie jak brak jakiegokolwiek napięcia w sylwetce czy ruchach nieznajomej. A tu przecież noc i nikogo wokół... Niejeden mężczyzna byłby niespokojny. Znienacka przyszło mi do głowy, żeby ją postraszyć, strąciłem z parapetu na wpół opróżnioną butelkę. Rozprysła się na bruku niczym miniaturowa kometa. Tajemnicza spacerowiczka skoczyła do przodu, w świetle księżycy błysnęła krótka klinga. No, no, tego raczej nie uczą w szkole...

Patrzyłem z rozbawieniem, jak rozgląda się czujnie wokoło. Cóż, mało kto wypatruje zagrożenia na wysokości trzeciego piętra.

Klasnąłem w dłonie, usiłując zwrócić na siebie uwagę kobiety. Zwróciłem: błyskawicznie zmieniła uchwyt i zamierzyła się do rzutu. Klnąc w myślach, runąłem w tył. Na szczęście – mimo czterech piw – wylądowałem prawidłowo, uderzając o podłogę całą powierzchnią pleców. Pospiesznie wykonałem przewrót przez bark i sięgnąłem po broń. Ja ci zaraz porzucam nożem, panienko! Do cyrku z takimi numerami, a nie uczciwych ludzi straszyć!

Zanim włożyłem buty, usłyszałem zgrzyt klucza w zamku: ktoś usiłował otworzyć

mieszkanie naprzeciwko. Zakląłem ponownie, tym razem na głos – od zakończenia wojny kilkakrotnie usiłowano nielegalnie zasiedlić chałupę Pokrowskich. Jak dotąd udawało mi się uniemożliwić wszelkie takie próby. Nie bez wysiłku, bo miejscowi urzędnicy nie mogli spokojnie spać, wiedząc, że w okolicy jest wolne mieszkanie, o które nikt się nie upomni.

Wypadłem na korytarz, złapałem za kołnierz odwróconą tyłem damulkę, potrząsałem jak terier szczurem.

– Dokumenty! – warknąłem, zapalając światło.

– I ja się cieszę, że cię widzę – odparła.

Nie rozpoznałem schrypniętego, podszytego ironią głosu, rozpoznałem twarz intruza.

– Natasza – wymamrotałem. – Natasza Pokrowska...



ROZDZIAŁ DRUGI

Popijałem kawę, zagryzając konserwą – trzeba było jakoś zlikwidować efekt kilku wypitych piw, nie mogłem pozwolić sobie na alkoholowe otępienie. Nie teraz. Tymczasem Natasza krzątała się przy kuchni. Zmarszczyłem brwi, widząc, ile herbaty sypie do blaszanego, poobijanego kubka. Czajura, napój więźniów. Żaden normalny człowiek nie byłby w stanie wypić czegoś takiego dla przyjemności. No, no, Nataszka, co się z tobą porobiło...

– Opowiadaj, co się z tobą działo – poprosiła, mieszając morderczy napar.

– Może najpierw ty? – odburknąłem. – Ze szczególnym uwzględnieniem kwestii, jakim cudem skazana na dwadzieścia lat za zdradę ojczyzny powraca w dobrym zdrowiu po paru zaledwie latach?

– W dobrym zdrowiu, po paru latach – powtórzyła beznamiętnie.

Nie dałem się nabrać, wychwyciłem w jej głosie niemal niezauważalny, podskórny ton. To nie był gniew. Coś głębszego, dużo głębszego. Przypominało warkot wściekłego psa na moment przed zerwaniem się z łańcucha.

– Natasza?

– Już dobrze. – Postawiła z trzaskiem kubek na stole. – Rzeczywiście, nie narzekam na zdrowie. Przeszłam tyfus, zapalenie płuc, dwukrotnie miałam złamaną rękę, nie wiem, ile razy pobito mnie do nieprzytomności. Nie pamiętam. Nie chcę pamiętać. Liczy się tylko to, że przeżyłam, prawda?

– Natasza, ja...

Powstrzymała mnie gwałtownym gestem.

– Jakim cudem wróciłam? – kontynuowała. – Wyobraź sobie, że zostałam zrehabilitowana, uznano, że nic nie wiedziałam o zdradzie męża. Rozkaz zwolnienia podpisał sam towarzysz Stalin. I tak oto zatryumfowała sprawiedliwość... – zakończyła z gryzącą ironią.

– Jak to Stalin? Przecież to niemożliwe! Mógłby podpisać akt rehabilitacji, gdyby chodziło o generała czy marszałka, ale...

– Ale nie o żonę zwykłego kapitana? A jednak podpisał.

Natasza sięgnęła do torebki i podała mi starannie złożoną kartkę. Rozprostowałem ją drżącymi rękoma. Pod dokumentem potwierdzającym, że wszelkie zarzuty wobec Nataszy Pokrowskiej zostały wycofane, a ona sama zrehabilitowana, widniał podpis Stalina. Odreśny podpis. Zakląłem wściekle: znowu się zaczyna...

– Co się dzieje, Saszka? Coś nie tak z papierami?

Bez słowa wypadłem z mieszkania Nataszy, po chwili wróciłem z butelką wódki.

– Saszka!

Nalałem pół szklanki, wychyliłem duszkiem. Nie trudząc się rozpinaniem guzików, jednym szarpnięciem rozdarłem koszulę pod szyją.

– Papiery są w porządku – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Chodzi o Stalina.

– Nie rozumiem?

– Skumplowałaś się z *blatnymi*? – odpowiedziałem pytaniem.

– Owszem – odparła zimno. – Tylko dlatego przeżyłam. Rozumiem, że jako milicjant...

– Och, zamknij się, idiotko! – warknąłem. – Tu nie chodzi o milicję i urków, tylko o mnie i ciebie. I moich przyjaciół. I twojego syna – dokończyłem ciszej.

– Co z Lonią?! – zawołała, chwytając mnie za rękę.

– Uspokój się! Nic mu nie jest, opiekuje się nim ta baba, Kalinina. Widziałem się z nim nie dalej jak tydzień temu.

– Więc o co chodzi?

Odetchnąłem głęboko, zniecka poczułem zmęczenie, jakbym nie spał przynajmniej dwie doby.

– W przeszłości wykonywałem różne dziwne prace dla Stalina. Myślałem, że ten etap mam już za sobą, ale widać myliłem się. Twoje zwolnienie świadczy o tym wyraźnie.

– A to z jakiej racji? Miałam szczęście, to prawda, ale...

– To nie szczęście, tylko zainteresowanie towarzysza Stalina – przerwałem jej znużonym tonem. – Mówią, że dobry szachista potrafi przewidzieć posunięcia przeciwnika na kilka ruchów naprzód. No i przewidział...

– Stalin?

– Stalin – przytaknąłem. – *Blatni* stworzyli państwo w państwie i trzeba coś z tym zrobić. I to szybko. Aparat urzędniczy jest skorumpowany do szpiku kości, a *blatni*

mają pieniądze, dużo pieniędzy – kontynuowałem. – Prasa co rusz donosi o procesach urzędasów, którzy współdziałali z waszymi. Jeszcze parę lat i krajem rządziłaby rada *worow w zakonie*. Dlatego Stalin poszczuł suki na bandziorów starego chowu.

– Poszczuł?! Ciekawe jak?

– Powojenna amnestia stworzyła idealne warunki dla twoich nowych... przyjaciół, a niedawno wprowadzone ostrzejsze przepisy spowodowały, że w więzieniach i na zonach wylądowały setki tysięcy złodziei. W tym wielu *worow*, którzy z tych czy innych powodów walczyli w czasie wojny. Wszyscy skazani na długoterminowe wyroki. No i tak *blatni* zaczęli zabijać *blatnych*... Bo zaczęli?

Natasza skinęła głową.

– Nie wyobrazasz sobie, co się dzieje w łagrach i więzieniach – szepnęła. – Bywa, że jednego dnia giną dziesiątki ludzi. Broń robi się ze wszystkiego: śrub, gwoździ, nożyczek. I leje się krew. Dzień za dniem...

– Tylko że to nie załatwia sprawy. Ta sucza wojna. Bo zrobił się straszny burdel i ktoś musi go posprzątać. Niedawno milicja dostała polecenie, żeby zaprowadzić porządek w Moskwie. Polecenie z samej góry. Zgadnij, kto ma się tym zająć? A teraz nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiaasz się ty. I nie dość, że zostałam zwolniona przed terminem, to jeszcze zrehabilitowana. To nie może być przypadek.

– No dobrze, założmy, że Stalin rzeczywiście chce cię w coś wrobić, tylko co mi do tego?

– To oczywiste. – Wzruszyłem ramionami. – Nie mogę zabić wszystkich urków w Moskwie, trzeba będzie się z nimi dogadać, a ja nic o nich nie wiem. Nie znam ich zasad, zwyczajów, hierarchii. Stąd potrzebny mi będzie ekspert, ktoś, kto zna *blatnych* od podszewki. I proszę, oto jesteś!

– Ja nie mogę pomagać milicji, jeśli jakiś *wor* dowie się o tym, natychmiast mnie zabiją – odparła blada jak płótno Natasza.

– Wolałabyś, żeby bezpieka zajęła się twoim dzieckiem? Albo odesłali cię z powrotem na zonę? Nie masz wyjścia, tak jak i ja. Oboje wisimy na haku: ty masz syna, a ja przyjaciół. Szach i mat...

Natasza zgięła się w pół, jak po uderzeniu w brzuch, opadła na kolana.

– Lonia – wyjęczała, ukrywając twarz w dłoniach. – Lonia...

– Uspokój się! – rozkazałem. – Jakoś się z tego wywinie!

– Jak?!

– Jakoś – odburknąłem lakonicznie. – Boisz się kablować? Nie będziesz pierwszą ani jedyną. Po prostu utrzymamy to w tajemnicy.

– Jak długo? I nie chcę zwracać się przeciwko swoim, tylko dzięki nim przeżyłam. Nie raz i nie dwa ratowali mi życie. A teraz będę musiała...

– To już twoja decyzja – odparłem chłodno. – Jeśli uważasz, że wierność bandyckiemu kodeksowi jest ważniejsza niż życie Lońki...

Natasza rzuciła się na mnie z pięściami. Pozwoliłem jej na to, wiedziałem, że nie chce zrobić mi krzywdy – wtedy wyjęłaby nóż.

– No już, cicho, cicho... – wymruczałem, obejmując ją ciasno. – Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

– Dobrze?!

– Wykonywałem trudniejsze zadania. Zajmuję się takimi sprawami od lat – poinformowałem ze zniecierpliwieniem. – I żyję. To chyba nie najgorsza rekomendacja. Rób, co ci każe, a i ty przeżyjesz.

– Zostań ze mną dzisiaj – wyszeptła Natasza. – Nie chcę być sama. Nie mogę się z tobą kochać, ale proszę, nie zostawiaj mnie samej.

Ukradkiem otarłem pot z czoła: mało brakowało. Znajac temperament swojej sąsiadki, raczej nie wykręciłbym się bólem głowy. Grunt to mieć szczęście...

Poszliśmy do mojego mieszkania, położyliśmy się w chłodnej pościeli. Natasza nie tuliła się do mnie jak dawniej, wyraźnie unikała bliższego kontaktu, tyle że trzymała mnie za rękę, tak jakby od tego zależało jej życie. Sen przyszedł do mnie, ledwo zamknąłem powieki. Spałem dobrze, choć gdzieś na granicy percepcji cały czas czułem ciepło ciała Nataszy, jej oddech, zapach.



Major Maksimow – ten sam, z którym zapoznałem się w stołówce – zerwał płótno gestem prestidigitatora, odsłaniając zwaliste cielsko. Nie żeby mnie to zaskoczyło, w końcu dowodził wydziałem zabójstw.

– Może wy coś wymyślicie – mruknął.

– Cóż – powiedziałem ostrożnie. – Widać, że działał tu zawodowiec, ofiara została zabita jednym celnym ciosem noża w serce.

– Razumowski! – warknęła, powstrzymując śmiech, Liza Wierchońska. – To dowód w sprawie. Problem w tym, że posiedzenie sądu nie wcześniej niż za miesiąc, a do tego czasu niewiele z niej zostanie.

– Może przechować ją w kostnicy? – zaproponował niepewnie Starcew. – Katia ma jedno wolne miejsce w chłodni. Sprawdzalem dziś rano.

– W żadnym wypadku! – zaprotestował Maksimow. – Nie będę jadł niczego, co leżało z trupami!

Jeszcze raz przyjrzałem się świni: była wyjątkowo dobrze odpasiona. Rzeczywiście żal, żeby tyle mięsa się zmarnowało.

– Dowód? – spytałem.

– Owszem – mruknął Maksimow. – Dwóch rzeźników w ubojni pokłóciło się o to,

jak najlepiej zabijać świnie. Jeden preferował cios w serce, jego rywal przecięcie tętnicy szyjnej. Obaj chcieli to zademonstrować przed audytorium złożonym z pracowników zakładu, ale zostało tylko jedno zwierzę do zabicia. Nasza przyjaciółka. – Wskazał świńską tuszę. – No więc ten drugi pokazał swoją technikę na koledze...

– W takim razie nie tyle potrzebna wam świnia, co udokumentowanie rodzaju rany, jaką jej zadano – stwierdziłem, drapiąc się po głowie. – Może wystarczyłyby zdjęcia?

– To nie takie proste – westchnął major. – Coś takiego musiałby zrobić specjalista, do protokołu. A jedyną osobą, która ma do tego uprawnienia, jest Katia Romanienko.

– Więc w czym problem?

– Ona jest... – Maksimow zawahał się, najwyraźniej zastanawiając, co powiedzieć.

– ...bardzo zasadnicza – dokończyła Wierchońska.

– Może ja spróbuję? – zaproponowałem.

– Dlaczego nie? – odparł Maksimow z niewinną miną.

Zanim wyszedłem, zauważyłem kątem oka, jak zakłada się ze Starcewem. Biorąc pod uwagę sytuację, nie miałem wątpliwości, na kogo stawia. Niby oficerowie, a zachowują się jak dzieci...



W kostnicy czuć było zapach środków dezynfekcyjnych i formaliny, podszyty wszechobecną wonią śmierci. Nic niezwykłego. Nic nowego. Przeszedłem do mieszczącego się po sąsiedzku laboratorium. Średniego wzrostu kobieta o rudych, przypominających płynny ogień włosach zebranych w schludny koczek oglądała coś pod mikroskopem. Tuż obok na laboratoryjnej wadze spoczywał krwawy ochłap, dziwnie przypominający ludzką wątrobę.

– Jekatierina Romanienko? – spytałem niepewnie.

Do tej pory nie spotkałem jeszcze lekarki. Cóż, najwyższy czas się przedstawić.

– We własnej osobie – odparła, nie odwracając głowy. – Jeśli przyszłście w sprawie Wawiłowa, moja odpowiedź nadal brzmi: nie.

– W zasadzie chodzi mi tylko o świnie – sprostowałem.

Teraz ją zainteresowałem; odwróciła się na obrotowym fotelu, zdjęła okulary. Znaczący – dalekowiedz. Była śliczna: prosty, delikatny nosek, alabastrowa cera, zielone jak butelkowe szkło oczy. Jednak jej twarz ściągnięta była w wyrazie ni to czujności, ni to przemieszanej z goryczą ostrożności. Od razu widać, że to nie rozrywkowa panienska...

– Porucznik Razumowski? I dobrze słyszałam? Chodzi o świnie?

– Tak, i tak – odpowiedziałem dziarsko.

– Co za świnia?

– Jest dowodem w sprawie, chwilowo znajduje się w gestii wydziału zabójstw. Chciałbym prosić, żebyście sporządzili dokumentację fotograficzną nieboszczki.

– W celu?

– Przekazania świni kucharzom.

– Cóż... – Wydeła wargi. – W zasadzie mogłabym to zrobić.

Uniosłem brwi. Kobieta wydawała się opanowana, a nawet lekko protekcyjna, ale coś mi tu nie pasowało. Rozmawiając ze mną, zaciskała dłonie na poręczach fotela z taką siłą, że jej palce zbieleły, i co chwila spoglądała w bok. Co tam takiego interesującego? Odruchowo powiodłem za jej wzrokiem: tuż obok wagi leżała gazeta. Wnioskując z daty, wczorajsza.

– To znaczy?

– W zamian za drobną przysługę.

– W czym mogę wam pomóc?

– W wydziale kadr pracuje niejaki Archipow. Kapitan Archipow. Jest strasznie namolny, wolałabym, żeby przestał mnie... odwiedzać.

Kadrowiec w laboratorium czy kostnicy? A co on ma tu do roboty? I ta gazeta... Przecież dziewczyna nie położyła jej po to, żeby zawinąć w nią wątróbkę.

Podszedłem do długiego, zastawionego sprzętem medycznym stołu. Pod wczorajszym numerem „Prawdy” leżał lancet. No ładnie, znaczy, że kapitan Archipow był więcej niż namolny, bo panna Romanienko nie wyglądała na taką, która reagowałaby na zwykłe zaczepki ciosem noża. Gnojek musiał ją doprowadzić do ostateczności.

– Zostaw to! – krzyknęła.

Cofnąłem się o krok, uspokajającym gestem uniosłem dłonie.

– Ten lancet to chyba nie najlepszy pomysł – powiedziałem. – Porozmawiam z tym Archipowem.

– Zapomnijcie o tym – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – I o tej świni.

Bez słowa ruszyłem do wyjścia.

– I nie ważcie się opowiadać...

– ...o twoich problemach z Archipowem? A może o lancecie? Nie martw się, nie jestem plotkarzem.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na ty!

– O ile pamiętam, ty pierwsza odezwałaś się do mnie w ten sposób – zauważyłem z uśmiechem.

Panna Romanienko poczerwieniła ze złości, zerwała się z fotela. Mimo okrywającego ją bezkształtnego fartucha było na co popatrzeć: pod białą tkaniną wyraźnie odznaczały się kobiece krągłości, a drobne stopy i zgrabne kostki

sugerowały, że i nogi są niczego sobie.

– To jest...

Zamknąłem drzwi, zanim sięgnęła po lancet. Wolałem nie sprawdzać, czy obiegowe opinie o temperamencie rudowłosych odnoszą się i do niej. Tylko głupiec drażni kobietę z nożem.



Po trwających dobry kwadrans poszukiwaniach znalazłem wreszcie drzwi z napisem „Kadry”. Trzeba będzie zerknąć na plan budynku albo poprosić o oprowadzenie, szkoda czasu na błądzenie po okolicy.

W obszernym pomieszczeniu siedziały cztery osoby: dwie młode dziewczyny, zasuszona okularnica pod sześćdziesiątkę i wysoki, postawny mężczyzna – ani chybi niesławny Archipow we własnej osobie...

– Proszę o pozwolenie zwrócenia się do kapitana Archipowa – powiedziałem, stając na baczność przed okularnicą.

Samotna złota gwiazda na pagonach kobiety identyfikowała ją jako majora milicji.

– Zezwalam – odparła sucho.

Podszedłem do biurka Archipowa, wyjąłem mu z ręki pióro.

– No co sobie pozwalacie, poruczniku! – warknął, zrywając się na równe nogi. – Wy...

Nie dokończył, nie mógł: złapałem go za ucho, przycisnąłem głowę do blatu, a usta zatkałem zgarniętymi z biurka papierami.

– Powiem to tylko raz, więc słuchaj uważnie – odezwałem się cichym, złowrogim tonem. – Jeśli moja przyjaciółka Katia Romanienko poskarży się na ciebie jeszcze raz, połamię ci gnaty. Zrozumiałeś?

– Zabiję cię, gnoju! – zawył Archipow.

Jakimś cudem udało mu się wypluć knebel.

– Zła odpowiedź! – odparłem, uderzając głową adwersarza o biurko.

– No, no – powiedziała ostrzegawczo okularnica. – Archipow to tylko Archipow, ale biurko własność państwowa.

Nie wyglądało, aby którakolwiek z obecnych w pokoju kobiet przejęła się losem kapitana. Obie dziewczyny obserwowały moje poczynania z przyjaznym zainteresowaniem. Najwyraźniej Archipow napastował nie tylko Katię.

– Przepraszam – burknąłem.

Wywlokłem kapitana na środek pomieszczenia, trzasnąłem w brzuch, a kiedy zgiął się wpół, złapałem za kark i nacisnąłem punkty u podstawy czaszki, tak jak zalecała to

„Żelazna księga”. Podziałało: natychmiast zwiotczał niczym mokra szmata. Cóż, widać ludzie, którzy ją napisali, znali się na rzeczy.

– Zapamiętałeś, co powiedziałem o Katii? – powtórzyłem.

– Ja... zrobię, jak chcecie, nie bijcie mnie, proszę.

– Nazywam się Aleksander Razumowski – poinformowałem, patrząc mu prosto w oczy.

Wiedziałem, że ledwo wyjdę, facet chwyci za telefon, żeby poskarżyć się Poliakovowi albo sprawdzić, kim jestem. A może jedno i drugie.

– Przepraszam za kłopot – rzuciłem pod adresem kobiet.

– Żaden kłopot! – odparła wesoło okularnica. – Zaglądajcie częściej, towarzyszu!



Z sufitu zwisała na kablu żarówka bez oprawy, podmuchy wiatru wpadające przez wybite okna poruszały nią w chaotycznym rytmie, to oświetlając, to pogrążając strych w mroku. I Cichy, i jego ludzie trzymali dłonie w kieszeniach marynarek. Ja nie, nie musiałem. Gdzieś tam, w ciemności, czaili się Tima Kotuszew i Elena, każde z karabinem snajperskim, a Lewartow miał zająć się pozostałymi kumplami Tichonowa. Ci zapewne ukrywali się w zakamarkach domu, w którym Cichy wyznaczył spotkanie.

– Może przejdźmy do rzeczy? – zaproponowałem znużonym tonem.

Bandyci nie kwapili się do rozmowy o konkretach, tak jakby na coś czekali.

– Czego chcesz? – zapytał Tichonow.

Wor w zakonie wyglądał całkiem zwyczajnie: ot, szczupły, starszy mężczyzna o pooranej zmarszczkami twarzy. Gdybym minął go na ulicy, pewnie nie zwróciłbym uwagi.

– Płacisz mi dwadzieścia procent i pozwalam ci pracować – odpowiedziałem, wzruszając ramionami.

– To za dużo! I skąd pomysł, że potrzebuję twojego zezwolenia? – w głosie Tichonowa dało się wyczuć niechęć, nieledwie gniew.

– Ja rządę tą dzielnicą i ja ustalam stawki – odparłem niegłośnie. – Nie popełnij błędu, Cichy, pomyśl o Miszce.

– Przyszedłeś sam – powiedział z namysłem.

– Nie.

Wiedziałem, o co mu chodzi: *wor* nie *wor*, musiał zachować twarz przed swoimi ludźmi. Jeśli ci dojdą do wniosku, że jestem „frajerem”, zbuntują się prędzej czy później. Albo spróbują mnie wykończyć. Tu i teraz. Tichonow potrzebował

demonstracji.

Leniwym gestem uniosłem dłoń i zacisnąłem ją w pięść, jednocześnie zamykając oczy. Kiedy zgasła rozbita celnym pociskiem żarówka, byłem już gotów. W chwilę później dwaj towarzysze Cichego leżeli ogłuszeni na podłodze, a sam Tichonow czuł na głowie dotyk lufy mojego pistoletu.

– Anton! – zawołałem.

– Idę! – odkrzyknął Lewartow.

Skrzywiłem się, czując zapach karbidu. Naprawdę nie dało się znaleźć mniej śmierdzącej lampy?

– I jak tam? – rzuciłem.

– Wszystko w porządku – zameldował wesoło Lewartow. – Na dole znalazłem jeszcze trzech. Z pepeszami.

Paroma kopniakami doprowadziłem do przytomności akolitów Cichego, po czym rozsiadłem się na podsuniętym przez Antona fotelu.

– Czy teraz wszystko jasne? – upewniłem się.

Tichonow skinął głową.

– Jeszcze jedno: macie zostawić w spokoju tramwaje dojeżdżające do centrum i wyższych rangą urzędasów. Jeśli przez przypadek zdarzy się, że obrobicie kogoś takiego, wszystkie fanty natychmiast lądują u mnie w gabinecie – uprzedziłem.

– Na Pietrowce? – zaniepokoił się jeden z urków.

– Skąd! Na komendzie w Krzywoarbackim Zaułku.

– Co z moimi ludźmi? Żyją? – zapytał Cichy.

– Anton? – scedowałem odpowiedź na Lewartowa.

– Żyją – zapewnił. – Zabrałem im tylko broń i związałem.

– No to do domów – zadecydowałem.

Nikt się z nami nie pożegnał, nikt nie podał ręki – nie żebym był jakoś szczególnie rozczarowany, sama idea dogadania się z *błatnymi* budziła we mnie mieszane uczucia. Nie miałem ochoty spoufalać się z nimi bardziej, niż to konieczne. Zastanawiałem się, czy któryś nie wykorzysta okazji, kiedy odwrócimy się do nich plecami. Nikt nawet nie próbował. Mądra decyzja: Kotuszew i Szewieliewa zajęli pozycje w sąsiednich domach, trafić w cel z takiej odległości dla strzelców ich klasy to fraszka. Mimo kiepskiego oświetlenia. No i dobrze, jakby co, musiałbym szukać innego *wora w zakonie...*



Anton zajął się naszymi kieliszkami, panna Szewieliewa podała kanapki z kawiozem.

Wypadało oblać kolejną udaną akcję.

– Macie burżuazyjne upodobania, *komandir* – zauważyła Elena, łakomie oblizując palce.

Udałem, że chcę jej zabrać talerz, odsunęła się ze śmiechem.

– Może zaprosimy Nataszę? – zaproponował prostodusznie Tima. – Widziałem, że wróciła.

– Nie przyjdzie – powiedziałem.

– Dlaczego? Już was nie lubi?

Westchnąłem ciężko, mimo upływu czasu porucznik Katuszew nadal nie wrócił do dawnej sprawności intelektualnej i tłumaczenie mu czegokolwiek niezwiązanego z wojną czy walką przypominało rozmowę z dzieckiem.

– Ona jest z *błatnymi*, nie może zadawać się z milicjantem. Przynajmniej oficjalnie – dodałem po namyśle.

– Dlaczego?

– Mogliby ją skrzywdzić – wyjaśniłem.

– Nie jeśli zabiłbym ich pierwszy – oznajmił z mrozącą krew w żyłach nonszalancją.

– Na razie nic jej nie grozi – uspokoiłem chłopaka.

– Ale powiecie mi, jakby miała jakieś problemy?

– Powiem – obiecałem pospiesznie.

Katuszew nigdy nie sprawiał wrażenia groźnego, a postrzał w głowę spowodował, że i intelektualnie plasował się sporo poniżej średniej. Widząc go, łatwo było zapomnieć, że jest prawdziwą maszyną do zabijania i aby ją uruchomić, wystarczy tylko wskazać mu cel. Gdybym potwierdził, że moskiewscy *błatni* stanowią jakiegokolwiek zagrożenie dla Nataszy, następnego dnia rano byłoby ich już znacznie mniej...

– Powinniście załatwić sobie lodówkę – stwierdziła Elena.

– Po cholere?

– Można w niej długo trzymać żywność, a tak musicie zjeść kawior w dwa miesiące, bo się zepsuje.

– Nie ma szans – zapewnił Lewartow.

– To znaczy? – zmarszczyła brwi dziewczyna.

– Żadna puszka kawioru nie przetrwa spotkania z tobą...

Odchrząknąłem z rozbawieniem – rzeczywiście, Elena zaopatrzyła się w łyżkę do zupy i niszczyła moje zapasy kawioru w iście zastraszającym tempie. Nie żebym jej żałował, wiedziałem, że niejeden miesiąc przeżyła na konserwach i wojskowych sucharach. To, co cywile nazwaliby patologicznym łakomstwem, było normalną reakcją organizmu. Przejdzie za parę lat. No chyba że wybuchnie kolejna wojna...

Naburmuszona Elena pogroziła mu pięścią. Chłopak zachichotał.

– Utyjesz na tym kawiorze – uprzedził. – Mam wrażenie, że biodra już ci się zaokrągliły.

– *Komandir*, powiedzcie, że to nieprawda! Tima!

– Nie, skąd – wymamrotał Kotuszew. – No a przynajmniej nie bardzo...

Panna Szewieliewa zerwała się od stołu, przypuszczałem, że będzie bić Antona, ale nie, pobiegła do łazienki.

– Co ona robi? – zdziwił się Lewartow. – Myślałem, że się na mnie rzuci.

– Mam nowe lustro – wyjaśniłem. – Wiecie, takie na pół ściany. Pewnie poszła oglądać biodra...

Anton zarechotał z rozbawieniem, Tima, jak zwykle, nie pojął dowcipu.

– Wcale nie jest gruba – zaprotestował. – Odwiedza koszary częściej niż wy, *komandir*.

– Ja ćwiczę sam – powiedziałem. – Przychodzę tylko postrzelać.

– A co konkretnie robicie? – spytał Lewartow z ciekawością.

– Nic specjalnego – odparłem wymijająco.

Obaj chłopcy pracowali jako instruktorzy, szkoląc agentów *wojennej rozwiadki*. Wołałem nie chwalić się swoim treningiem, zawierał zbyt wiele elementów... irracjonalnych. Wiedziałem, że żaden z nich na mnie nie doniesie, ale strzeżonego...

– To już koniec. – W drzwiach stała Elena.

– Koniec czego? – nie zrozumiał Lewartow.

– Kawioru – poinformowała z satysfakcją.

Dziewczyna wyciągnęła z za pleców otwartą puszkę i wymownym gestem zanurzyła w niej łyżkę.

Anton jęknął boleśnie, wpatrując się w czarne ziarenka niknące w ustach panny Szewieliewej. Ta oblizwała demonstracyjnie wilgotne wargi.

– Powiedzcie jej coś, *komandir*! Trzeba ją powstrzymać! – zawołał, zrywając się z miejsca.

– Za późno – ocenił trzeźwo Tima. – Zdąży wylizać puszkę, zanim jej dopadniesz.

– Dzieciaki – mruknąłem. – Dzieciaki...



Kapitan Wierchońska wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem, po raz kolejny poprosiła o powtórzenie, tak jakbym nagle zaczął mówić w obcym języku. Widać było, że jest zdenerwowana: a to bawiła się guzikiem munduru – dziś przyszła do pracy w stroju regulaminowym, a to poprawiła się w krześle.

– Cichy obiecał, że jego ludzie zostawią w spokoju linię numer czternaście. Mamy

kłopot z głowy – zapewniłem po raz kolejny.

– Obiecał? Bez żadnych warunków?

Roześmiałem się mimo woli, lokalny obszczymurek stawiający mi warunki...

Dobre sobie!

– Powiedziałaś coś zabawnego? – spytała złowieszczym tonem Wierchońska.

– Skąd! Ale nie rozumiem, w czym rzecz? Nie wierzycie, że załatwiłem sprawę z Tichonowem?

– Wierzę! – odburknęła po chwili. – I w tym problem...

– A konkretnie?

– Od dwóch miesięcy próbuję dogadać się z *błatnymi* i nic, a tu przychodzicie wy i załatwiacie sprawę w ciągu paru dni.

– Myślicie, że przeszedłem na ich stronę? – Zmarszczyłem brwi.

– Nie, nie! Po prostu czuję się rażąco niekompetentna...

– Biedna dziewczynka – powiedziałem z udanym współczuciem.

Wierchońska pogroziła mi pięścią, lecz nie było po niej widać prawdziwego gniewu – wręcz przeciwnie: w jej wzroku pojawiło się uznanie, może nawet coś więcej. Szlag! Powoli zaczynałem rozumieć, jak czują się kelnerki w podłych knajpach. W którą stronę się odwrócisz, zawsze ktoś poklepie po dupie. Jeśli mi zaczniesz robić awanse, a ja nie zareaguję...

– Wybieracie się na zabawę? – spytała z wystudiowaną obojętnością.

– Na jaką, do licha, zabawę?!

– Świńską – wyjaśniła z uśmiechem. – Katia sfotografowała tę zamordowaną świnię, więc świętujemy – dodała. – To jak? Kucharze zapewniają, że dawno nie widzieliśmy takich frykasów.

No ładnie, znaczy nie mam wyjścia, bo jeśli nie pójdę, to miejscowi zaczną się zastanawiać, co ze mną nie tak. I prędzej czy później ktoś rozwiąże zagadkę, w końcu to MUR...

– Oczywiście, przyjdę – zapewniłem.

– I jeszcze jedno...

– Tak?

– Może zaczniemy mówić sobie po imieniu? W końcu jesteście starsi ode mnie, a i wasz stopień wojskowy sprawia, że mi nieswojo, kiedy zwracacie się do mnie tak oficjalnie.

– Chętnie – zadeklarowałem z wymuszonym uśmiechem.

– To prawda, co mówił Safronow? O tej Złotej Gwieździe?

– Prawda. Słuchaj, muszę zameldować się u Poliakowa, więc jeśli nie masz dla mnie żadnych poleceń...

– Tylko jedno: o osiemnastej masz być w stołówce.



Zanim doszedłem do gabinetu Poliakowa, kilkakrotnie przypomniano mi o zabawie. Najwyraźniej porucznik Razumowski robił się popularny. Z jednej strony było mi to na rękę – jeżeli Stalin rzeczywiście ma co do mnie jakieś plany, każda pomoc się przyda, z drugiej obawiałem się zainteresowania ze strony kobiet. Zainteresowania, którego nie będę w stanie odwzajemnić. Nie znałem oficjalnych statystyk, ale nie ulegało wątpliwości, że wojna mocno zaburzyła proporcje między płciami: na jednego mężczyznę przypadało teraz kilka bab. Mocno wyposzczonych bab... Cholera by to wzięła! Do tej pory sam polowałem, a teraz przyjdzie mi uciekać. Jedyna nadzieja w krwi Doskonałych. Może kiedyś...

Dyżurujący przed gabinetem Poliakowa oficer dał gestem znać, że droga wolna. Cóż, dobre i to. Nie uśmiechało mi się czekanie w kolejce, musiałem dzisiaj załatwić jeszcze jedną sprawę. Może mi się uda...

Tym razem nie zwracałem sobie głowy stawianiem na baczność, nie byłem w nastroju. Wyglądało, że i Poliakow nie oczekuje ode mnie ćwiczeń gimnastycznych.

– Co z dzielnicą? – zapytał, ledwo zamknąłem za sobą drzwi.

– Jest moja, a raczej twoja – burknąłem, rozsiadając się na krześle.

– Wódki? – spytał.

Mimo braku komentarza widziałem, że odetchnął z ulgą. Czyżby martwił się, że nie wykonam zadania? Widać sytuacja w Moskwie była gorsza, niż myślałem.

– Odrobinę.

– Co się stało?

– Wypuścili Nataszę. Została zrehabilitowana. Dokument podpisał sam Stalin: ani chybi coś się szykuje.

– Masz jakieś domysły?

– Pewnie kolejne zadanie dla pułkownika Razumowskiego, a cóż by innego? – odparłem z goryczą.

– Myślisz, że to przynęta? A może nagroda, żebyś się zaangażował?

– Czort wie! Jednego nauczyłem się w kontaktach ze Stalinem: nic nie jest takie proste, jak się wydaje. Ona trzyma teraz z *blatnymi*, może ma być moim źródłem informacji? Bo tę suczą wojnę trzeba jakoś zakończyć.

– Możliwe – mruknął w zamyśleniu Poliakow. – Jeśli masz rację, pewnie niedługo wezwą cię na Kreml.

– Zobaczymy – westchnąłem. – A teraz do rzeczy: dzielnica. Odbiłem ją bandytom, opodatkowałem miejscowych przedsiębiorców, wyznaczyłem ludzi, którzy mają czuwać, żeby wszystko szło jak trzeba. Co dalej?

– Chcesz mi ją oddać ot, tak sobie? – zapytał z udanym zdziwieniem Poliakov. – Żadnych targów, żądań, warunków?

Powiedziałem mu, co może sobie zrobić z dzielnicą, używając krótkich, prostych określeń bazujących na czynnościach fizjologicznych, jakich raczej nie omawia się w dobrym towarzystwie.

Milicjant zarechotał, dolał mi wódki. Obaj wiedzieliśmy, że między nami nie może być mowy o żadnych rozliczeniach – kiedyś Poliakov uratował mi życie, ryzykując głowę, później ja jemu. Tyle że żaden z nas nie miał zamiaru o tym rozmawiać.

– No dobrze – powiedział. – Dwadzieścia procent.

– Nie rozumiem?

– Potrzebne ci źródło dochodów, stałych dochodów – wyjaśnił, poważniejąc. – Na specjalne wydatki, łapówki, dla twoich ludzi, bo pewnie niedługo sformujesz własną ekipę. Inaczej nic nie zdasz, nie w naszym kraju. Arbat i okolice są twoje, będziesz mi płacił dwadzieścia procent od zysków. Normalnie stawka jest odwrotna: to zarządzający dzielnicą dostaje dwadzieścia procent, resztę zabiera szef.

– Jak uważasz. – Wzruszyłem ramionami. – Coś jeszcze?

– Na razie nie. Jak będę potrzebował pomocy, to cię poinformuję. Tymczasem zacznij się rozglądać za ludźmi do swojej grupy. Śledczych twojej klasy można policzyć na palcach jednej ręki, nie mam zamiaru pozwolić ci się marnować na jakimś podrzędnym stanowisku.

– Mam dowodzić ekipą śledczą jako porucznik? Nie żartuj... A przecież dopiero dostałem awans. Na kolejny przyjdzie mi poczekać.

– Nie martw się swoim stopniem, jakoś to załatwię.

– Ciekawe jak?

– Mam napisać raport dla Kremla. Na temat sytuacji w Moskwie. Zaznaczę, że jesteś mi potrzebny jako oficer dochodzeniowy, i tyle – odparł beztrosko. – Założę się, że nie minie dzień, jak ten papier wyląduje na biurku Stalina. Myślisz, że gensek będzie miał coś przeciwko twojemu awansowi w sytuacji, kiedy trzeba zaprowadzić porządek w Moskwie? Albo że ktoś ośmieli się oprotestować jego decyzję? Nie żartuj!

– Bo ja wiem? – powiedziałem niezdecydowanie. – Może masz rację.

– Przełożony zawsze ma rację, zapamiętajcie to, poruczniku Razumowski, a jeszcze lepiej: zapiszcie. Tak czy owak, to nie twój problem. Zajmę się wszystkim. Przyjdiesz na zabawę?

– Pewnie tak – mruknąłem bez entuzjazmu. – A ty?

– Owszem. I pamiętaj: pełna gala!

– To znaczy?

– Do munduru przypinamy wszystkie odznaczenia i medale.

– Żartujesz sobie?!

– Ani mi się śni. I nie próbuj kombinować, bo przydzielę cię na tydzień czy dwa do

patrolowania ulic. Widziałeś te konne patrole? À propos, jak radzisz sobie z końmi?

Zagryzłem ze złością wargi. Potrafiłem prowadzić samochód, dałbym sobie radę i z samolotem, i czołgiem. Może i z jakąś łajbą. Ale konie...? To była moja pięta achillesowa. Nie ma co ukrywać: bałem się bydlaków. A one to wyczuwały. Bogu dzięki, że instruktorzy *wojennej rozwiadki* jakimś cudem to przeoczyli, bo pewnie dostałbym skierowanie na kurs wołyżerki. Najwyraźniej Poliakow dowiedział się o mojej słabości i postanowił to wykorzystać. Pieprzony szantażysta, a nie przyjaciel! Jeśli przyjdę na zabawę przy orderach, to wszystkie baby rzucą się na mnie, zanim zawołam: „Mamusiu, na pomoc!”. Bo do niektórych odznaczeń przypisane są świadczenia finansowe. Niebagatelne świadczenia...

– Nikołaj! – jęknąłem błagalnie. – Proszę...

Poliakow przez krótką chwilę usiłował utrzymać poważny wyraz twarzy, w końcu nie wytrzymał i ryknął śmiechem, waląc pięściami w biurko.

– Nie mogę... – wymamrotałem, ocierając łzy. – Razumowski...

– Czego?! – warknąłem naprawdę zirytowany. – Co w tym takiego zabawnego, matole?!

– Pierwszy raz w życiu widzę cię wystraszonego. Ka... kawaler medalu Złotej Gwiazdy, zimnokrwisty zabójca, postrach faszystów boi się, że miejscowe ślicznotki zagną na niego parol.

– Och, zamknij się!

– Już, już, zaraz...

Pułkownik Poliakow heroicznym wysiłkiem pohamował wesołość i wymownym gestem kazał mi wyjść.

– Do zobaczenia na zabawie – oznajmił stanowczo.

Dyżurujący w poczekalni oficer spojrzał na mnie z naganą, chyba zamknąłem drzwi zbyt energicznie... Cóż robić, byłem wściekły. Nie, nie na Poliakowa! Na sytuację. Inna sprawa, że nawet gdyby nie ta dzisiejsza zabawa, i tak trzeba by coś wymyślić. Nie żebym musiał się długo zastanawiać, tylko jedno mogło zabezpieczyć mnie przed zakusami bab goniących za każdą parą spodni: fakt, że jestem zaangażowany uczuciowo. A w okolicy była tylko jedna dziewczyna, która – być może – zgodziłaby się udawać, że jesteśmy parą. Jekatierina Romanienko...



Katia Romanienko przypatrywała mi się nieufnie, trzymając dłonie w kieszeniach fartucha. Miałem nadzieję, że nie ma tam lancetu...

– Nie rozumiem – powiedziała wreszcie. – Chcecie zaprosić mnie na zabawę?

Doceniam to i jestem wam wdzięczna za załatwienie sprawy z Archipowem, ale nie przepadam za tańcami i chlańskim, więc...

Wzdrygnęła się, kiedy sięgnąłem do kieszeni, nie ma co, ktoś musiał ją nieźle nastraszyć.

– Znacie niemiecki? – spytałem.

– Owszem. – Zmarszczyła brwi. – A co to ma wspólnego...

– Czytajcie – burknąłem.

– To wypis z karty pacjenta. Aleksander Roth?

– To ja – poinformowałem sucho.

– Myślałam, że nazywacie się Razumowski?

– Pracowałem w wywiadzie, pod koniec wojny wylądowałem w Breslau, przecież nie mogłem tam występować pod swoim nazwiskiem! – wyjaśniłem niecierpliwie. – Doczytajcie do końca.

– Tu jest napisane, że... – urwała, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

– I owszem, to prawda.

– Ale dlaczego mi to pokazujecie? Ja zajmuję się medycyną sądową.

– Mam dla ciebie propozycję. Nie znudziły ci się czasem te wszystkie zaczepki ze strony nachalnych samców? Strach, kiedy zostajesz sam na sam z mężczyzną? Trzymanie się na uboczu? Przecież jesteś normalną dziewczyną, na pewno chciałabyś od czasu do czasu poplotkować, może zaprzyjaźnić się z kimś...

Jekatierina Romanienko słuchała z zaciśniętymi ustami, ale nie próbowała mi przerwać. Nie zaprotestowała nawet, kiedy ponownie zwróciłem się do niej na ty.

– Nie chciałabyś wreszcie pożyć normalnie? – kontynuowałem.

Wiedziałem, że ryzykuję: jeżeli dziewczucha jest po prostu nieśmiała i miała nieszczęście spotkać jednego czy drugiego agresywnego adoratora w rodzaju Archipowa, wyśmiejemy mnie i pośle w diabły. Dobrze jeszcze, jak nie obgada za plecami. Pokazywanie jej diagnozy doktora Franckego było cholernie ryzykowne. Z drugiej strony, jeśli rzeczywiście boi się mężczyzn, naprawdę boi – być może nie bez powodu – wtedy mam szansę...

– Co proponujecie? – wycedziła przez zaciśnięte usta.

No, no, chyba trafiłem w dziesiątkę. Dzięki Bogu...

– Chciałbym, żebyś pozwoliła mi na pewną... poufałość. Dzięki temu i ty, i ja będziemy mieli święty spokój. Ciebie nikt nie będzie zaczepiał, a za mną przestaną ganiać niedopieczzone panienki.

– Poufałość? – spytała podejrzliwie.

– Musimy sprawiać wrażenie pary – powiedziałem cierpliwie. – A mnie nie musisz się bać, z oczywistych względów...

– Proponujecie coś w rodzaju białego małżeństwa?

Nie znałem tego terminu, choć bez trudu domyśliłem się, o co chodzi.

- Mniej więcej – mruknąłem.
- Skąd mam wiedzieć, że te dokumenty są autentyczne i Aleksander Roth to naprawdę wy?
- Postrzelono mnie i leczyłem się w Breslau, tam jest opis rany.
- Jak mam to...
- Bez słowa zdjąłem bluzę i podkoszulek, zademonstrowałem bliznę. Panna Romanienko obejrzała ją z zainteresowaniem, po czym kazała mi się odwrócić.
- Podobno kula przeorała mięsień zębaty przedni? – rzuciła pytająco.
- Owszem, pokazać?
- Pokazać – potwierdziła z nieśmiałym uśmiechem.
- Z westchnieniem uniosłem ramię.
- Mieliście... Miałeś szczęście – zauważyła. – Parę centymetrów w bok i nie wykpiłbyś się szramą.
- Co z moją propozycją? – przypomniałem.
- Zgoda, ale nie mogę iść z tobą na zabawę.
- A to niby dlaczego?
- Nie mam w co się ubrać – odparła z nutą desperacji w głosie.



W specklepie na placu Smoleńskim powitano nas ukłonami, od czasu kiedy zaszedłem tu po raz pierwszy, minęło parę lat, a i zarządzających zmieniano kilkakrotnie, zawsze z tego samego powodu: malwersacji, jednak nie wpływało to w żaden sposób na moje stosunki z kierownictwem. Cóż, ludzie plotkują. Moje życzenia spełniano zawsze błyskawicznie i nie wdając się w dyskusje – najwyraźniej rozeszły się wieści, że nie warto drażnić pułkownika Razumowskiego.

Regały jak zwykle ugiwały się pod ciężarem luksusowych produktów – zwykli ludzie nie widzieli takich nawet w kinie – a na manekinach i wieszakach pyszniły się jedwabne suknie, futra z soboli i gabardynowe garnitury. Wszystko w obfitości i za grosze: naród radziecki funduje. Partyjni działacze żyli lepiej niż carscy urzędnicy.

Katia Romanienko rozglądała się wokół szeroko otwartymi oczyma, jakby nie mogła uwierzyć, że to rzeczywistość, a nie sen. Nie dziwiłem się jej: po raz pierwszy znalazła się w świecie niewyobrażalnego luksusu, nijak niepasującego do ideałów komunizmu. Być może zaczynała sobie zdawać sprawę, że nie wszyscy traktują te ideały poważnie.

– Trzy sukienki wieczorowe i odpowiednie do tego pantofle, bielizna, może jakiś płaszcz – zarządziłem.

– Saszka! – syknęła Katia, wbijając paznokcie w moją dłoń. – Wara ci od mojej bielizny!

Roześmiałem się ubawiony: oszołomiona obfitością prezentowanych kreacji dziewczyna nie zauważyła nawet, że trzymam ją za rękę. Może terapia zakupowa to akurat to, czego jej trzeba? Gdybym był psychiatrą, stworzyłbym nową szkołę leczenia zaburzeń emocjonalnych u kobiet.

– Jak sobie życzysz, ale słyszałem, że mają tu kolekcje prosto z Paryża. A sama wiesz, jak to u nas wygląda: rzuca coś do sklepu i od razu ustawia się kolejka na kilometr. Mimo że cały ten damski rynsztunek szyją według wzorów modnych w czasach wojny krymskiej...

– Ta francuska bielizna musi kosztować krocie, a nie pozwolę, żebyś płacił za zakupy. Nie będę twoją...

– Utrzymanką? – dokończyłem ubawiony. – Pamiętaj, że mam w tym i swój interes. Może umówimy się tak: ja płacę za suknie i pantofle, ty za całą resztę?

– Nie wiem, czy wystarczy mi pieniędzy – wyznała dziewczyna.

– Przecież możesz zapytać sprzedawcę, co ile kosztuje – zaproponowałem.

– Mam przy sobie tylko pięćdziesiąt rubli!

– Oddasz mi pieniądze, kiedy wrócimy do domu. – Wzruszyłem ramionami.

– Wrócimy? Ja...

– Odprowadzę cię do domu, tak wypada – powiedziałem z ciężkim westchnieniem.

– Przecież wiesz, że nie musisz się mnie obawiać – dodałem ciszej.

W oczach panny Romanienko zabłysło współczucie, wyraźnie wyszła z zakupowego transu.

– Oczywiście, przepraszam. – Dotknęła mojego ramienia pocieszającym gestem.

No, no, robimy postępy. Aż żal, że nie jestem rozpustnikiem i cała ta historia z moją... kontuzją nie jest jedynie podstępem.

– Jeśli chodzi o bieliznę, otrzymaliśmy właśnie dostawę produktów firmy Lejaby – poinformował z szacunkiem jeden z ekspedientów.

Szczupły, wymuskany mężczyzna o błyszczących od brylantyny włosach wyglądał na znawcę tematu, o ile nie amatora damskich fatałaszków...

– Oddaję cię w fachowe ręce – wymruczałem, siadając na pospiesznie podsuniętym krześle.

– Jeszcze się nie zgodziłam! Ja...

Dziewczyna zamarła jak rażona gromem, patrząc na ekspedienta demonstrującego zwiewne niczym mgiełka tkaniny: satynowe majteczki, nylonowe pończoszki, ozdobione koronkami halki... Rzeczywiście było w czym wybierać.

Usadowiłem się wygodniej, przymknąłem oczy. Z doświadczenia wiedziałem, że tego typu zakupy mogą się przeciągnąć. No i nic dziwnego – spróbujcie wpuścić wygłodzoną lisicę do kurnika...

Stopniowo głosy klientów i personelu stawały się coraz bardziej przytłumione, tak jakby dochodziły z oddali, przycichł uliczny gwar, czasem z półsnu wrywał mnie szurgot przesuwanych pudeł czy okrzyk zachwytu Katii. Najwyraźniej dziewczyna nieźle się bawiła. No i dobrze, im szybciej przekona się do naszego układu, tym lepiej.

– Saszka?

Zerwałem się na równe nogi, z bijącym jak werbel sercem i dłonią na kaburze. Nie otrzeźwił mnie głos Katii, lecz zapach: perfumy Shalimar.

– Wybacz, nie chciałam cię wystraszyć – powiedziała ze skrucą. – Co do zakupów...

– Weźmiemy wszystko, co wybrałaś – wszedłem jej w słowo. – Z wyjątkiem perfum. Kup jakieś inne.

– Ale dlaczego? Zapach mi się podoba.

– Mnie nie! Proszę – dodałem ciszej.

– No dobrze, co proponujesz?

– A jaki mamy wybór?

Dziewczyna wzięła mnie za rękę i bez słowa zaprowadziła pod półkę z perfumami.

– Bo ja wiem? Może L’Heure Attendue Jeana Patou? – powiedziałem niepewnie.

– Doskonały wybór! – zapewnił wymuskany ekspedient.

Facet pojawił się przy regale niczym za skinieniem czarodziejskiej różdżki.

– Te perfumy skomponowano z okazji wyzwolenia Paryża – poinformował.

Katia wyjęła zatyczkę z eleganckiego flakonu, musnęła nią przegub.

– I jak? – spytała.

Pochyliłem się nad jej dłonią: drzewo sandałowe, narcyzy, bez. Elegancja i klasa w jednym.

– Ciekawy zapach – przyznałem. – Ale chyba nie dla ciebie. Zbyt... wyrafinowany.

– Może L’Heure Bleue? – zaproponował sprzedawca. – Zapach stworzył Jacques Guerlain w tysiąc dziewięćset dwunastym roku. Zainspirowało go wieczorne niebo, chwila, kiedy słońce już zaszło, ale jeszcze nie widać gwiazd.

– Spróbujmy – zachęciłem.

– Nie bardzo mam gdzie – wyznała z zakłopotaniem dziewczyna. – Próbowałam na przegubach i szyi...

– W zgięciu łokcia? – poddałem.

Jej skóra parzyła jak rozgrzany jedwab, zapach oszołamiał bogactwem odcieni: anyż, bergamotka, róża, fiołki, tuberoza, gorzka pomarańcza. To wszystko podszyte nutą irysa i wanilii.

– Co o tym myślisz?

– Nada się – zdecydowałem.

– A może bardziej szczegółowo, towarzyszu Razumowski? – Zmarszczyła brwi. – Jak to odbierasz?

– Spokój, nostalgia, marzenia o idealnym świecie w letnią noc. Bezpieczeństwo – dodałem, odwracając wzrok.

– Nie wiedziałam, że jesteś poetą – powiedziała, przypatrując mi się uważnie.

– Nie jestem – uciałem. – To co? Bierzemy te perfumy?

– Bierzemy, mnie też się spodobały. Tylko nie wiem, czy damy radę zapłacić za to wszystko... Może odłożę sukienkę lub dwie?

– Wykluczone! Proszę o rachunek – rzuciłem sprzedawcy.

– Czteryście pięćdziesiąt siedem rubli – oznajmił dziarsko.

Bez słowa odliczyłem cztery sturublowe banknoty z podobizną Lenina i jedną pięćdziesięciurublowkę, także – a jakby inaczej! – z obliczem wodza rewolucji. Później sięgnąłem po bilon. Cóż, trzeba przyznać, że nasi nie przepracowali się, tworząc wzory banknotów: albo godło Związku Radzieckiego, albo łysy i brodaty Lenin ze wzrokiem wbitym w niedosiężne dla zwykłych śmiertelników dale. Nuda śmiertelna!

– Niecałe pięćset rubli? – zdziwiła się panna Romanienko. – Myślałam, że zapłacimy co najmniej...

Uciszyłem ją jednym spojrzeniem. Też sobie znalazła czas i miejsce! Personel pewnie nikomu nie doniesie – wiedzą, że wchodzenie mi w drogę to nie najlepszy pomysł, ale jeśli ją usłyszy ktoś z klientów, mogą być kłopoty. Swoboda, z jaką partyjna nomenklatura korzysta z bogactw naszego kraju, jest wstydliwą tajemnicą. Stąd dyskretnie zasłonięte witryny specsklepów – po co drażnić ludzi? Stąd i brak karteczek z cenami przy towarach. Te znają tylko wtajemniczeni...



Już w korytarzu usłyszeliśmy muzykę – grali walca „Na wzgórzach Mandżurii”. Katia nerwowym gestem złapała mnie za rękę.

– Boję się – wyznała. – Tak dawno nie byłam na żadnej zabawie. Nie zostawiaj mnie samej – poprosiła.

– Nie ma obawy – odparłem ponuro. – Nie zostawię.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przed wielkim ściennym lustrem. Zapewne ktoś zawiesił je z okazji zabawy. Obrzuciłem nasze odbicia niechętnym spojrzeniem – nie ma co się łudzić, nie przejdziemy niezauważeni. Zgodnie z poleceniem Poliakowa przypiąłem wszystkie odznaczenia: Złota Gwiazda, Order Lenina, Order Czerwonego Sztandaru, Order Suworowa, „Za Obronę Leningradu”, „Za Odwagę”, „Za Zasługi w Boju”, „Za Zwycięstwo nad Niemcami”... Szkoda wyliczać, zebrało się tego trochę. I jak ja będę tańczył? Podzwaniając przy każdym ruchu?! Szlag! Podobnie, jeśli nie

gorzej, rzecz przedstawiała się z Katią: sukienka za kolana, w kolorze morskich fal eksponowała zgrabną figurę dziewczyny, współgrając z kolorem jej oczu. Do tego eleganckie pantofelki i rozsypane na zielonym jedwabiu płomienne włosy. Wątpiłem, czy na sali znajdzie się choć jeden mężczyzna, który spojrzy na nią obojętnie. No, rzecz jasna, poza mną...

Kiedy stanęliśmy w progu, muzyka jak na złość przestała grać. Ot, pech! Spojrzenia obecnych świadczyły wyraźnie, że staliśmy się sensacją wieczoru. Poprowadziłem dziewczynę do stolika zajętego przez Wierchońską i chłopaków, zawsze to jakieś znajome twarze...

– Myślałam już, że nie przyjdiesz – powiedziała Wierchońska.

– Jak widzisz, jestem – odburknąłem niechętnie.

– Może wódki albo szampana? – włączył się do rozmowy Starcew.

– Albo szynki? – zawtórował mu Rudenko. – Naprawdę smaczna – zapewnił, podsuwając nam talerz. – Kucharze przeszli samych...

Przerwała mu kolejna melodia, tym razem grali walca „Fale Amuru”. Skorzystałem z okazji, skłoniłem się przed Katią.

– Nie denerwuj się – wyszeptalem, obejmując dziewczynę.

Wkrótce wirowaliśmy już wśród innych par. Panna Romanienko tańczyła znakomicie, jej ciało reagowało na każdy mój ruch. Czułem aromat L’Heure Bleue, ciepło obejmujących mnie dłoni, jej włosy na moim policzku...

– I jak? – spytałem.

– Dobrze – odparła z rozmarzonym uśmiechem. – Ale co będzie, jak mnie ktoś inny poprosi do tańca?

– Dopóki jesteśmy razem, najpierw musi spytać mnie, czy nie mam nic przeciwko. Wreszcie możesz się nie zgodzić pod byle pretekstem. Nie ma powodu do obaw – powtórzyłem.

– A jak będzie... natarczywy?

Roześmiałem się mimo woli.

– Natarczywy? Wątpię.

– A to dlaczego? Do tej pory...

– Byłaś sama – wszedłem jej w słowo. – I każdy cham i prostak w okolicy wiedział, że może cię zaczepiać bezkarnie. Teraz sytuacja zmieniła się radykalnie: nikt nie odważy się powiedzieć ci złego słowa. Bo musiałby odpowiedzieć za to przede mną.

– Jesteś tylko porucznikiem – powiedziała nieprzekonana.

– A Archipow kapitanem – przypomniałem.

– Nie chciałabym, żebyś miał przeze mnie kłopoty.

– Nie będę miał – zapewniłem.

– Ale...

Westchnąłem ciężko, a to uparte dziewuszyisko. No i widać, że miejscowi

„gentlemani” nieźle dali jej się we znaki. Wypadałoby ją jakoś uspokoić, tylko jak? Zauważyłem przepychającego się przez tłum Poliakowa. Cóż, okazja sama wchodzi mi w ręce, grzech nie skorzystać.

Uniosłem dłoń i przywołałem go energicznym gestem.

– Tak?

Lekko niezborne ruchy mojego przyjaciela świadczyły, że ma już nieźle w czubie, widać się nie oszczędzał – wiedziałem, ile może wypić...

– Znasz niejakiego Archipowa z kadr? – zagailem.

– No owszem. Napisał na ciebie skargę, ale nie miałem jeszcze czasu przeczytać.

A co?

– Wywal gnoja na zbity pysk. Obiłem mu mordę, bo napastował Katię, a z zachowania innych kobiet wnioskuję, że nie tylko ją.

– Napastował? Katię? Jaka, do licha, Katię?!

– Tę! – wyjaśniłem, biorąc za rękę swoją towarzyszkę.

Oczy Poliakowa rozszerzyły się, jakby zobaczył dziewczynę pierwszy raz w życiu.

– Przepraszam – wymamrotał. – Nie poznałem...

– Więc?

– Oczywiście – obiecał. – Jutro załatwię tę sprawę. Jedna uwaga na przyszłość, towarzysko Romanienko – zwrócił się do Katii. – Jesteście cenną specjalistką i trudno by mi było znaleźć kogoś, kto mógłby was zastąpić. A Archipow to tylko szcur kancelaryjny. W razie problemów, jakichkolwiek problemów – zaakcentował – poinformujcie mnie o nich. Wówczas Saszka nie będzie musiał zdzierać sobie skóry z pięści. Nie żebym miał coś przeciwko – dodał, wzruszając ramionami. – A teraz wybaczcie, czekają na mnie.

– Więc wy...?

Dziewczyna wpatrywała się z niedowierzaniem w plecy odchodzącego Poliakowa.

– Owszem, jesteśmy przyjaciółmi – potwierdziłem. – Uspokoilaś się wreszcie?

Zamiast odpowiedzieć, panna Romanienko objęła mnie za szyję i ucałowała gorąco w policzek.

– Może wrócimy do stolika? – zaproponowała. – Zjadłabym coś.

Nie miałem nic przeciwko: nie co dzień zdarza się taka wyżerka. Tym bardziej że nasz stół należał do lepiej zaopatrzonych – z daleka widziałem, jak obaj porucznicy niosą wielkie półmiski wędlin, opędzając się po drodze przed konkurencją...

– Wreszcie wróciliście – wysapał zdyszany Starcew. – Jedzcie, bo jak się ludzie zaczną do nas dosiadać, to niewiele zostanie.

Zobaczmy: plastry pieczonego boczku, salami, kilka gatunków kiełbas, polędwica, szynka, roladki... To wszystko udekorowane pomidorami, zieleniną i marynowanymi grzybkami. Nie ma co – kucharze się postarali.

– Katia?

– Może trochę szynki – poprosiła.

Zapełniłem jej talerz plasterkami smakowitych wędlin, dołożyłem grzybków i pokrojonych w różyczki pomidorów. Nie poszło mi to zbyt sprawnie – w końcu nie jestem kelnerem – ale Katia i tak wyglądała na zadowoloną.

– To za dużo – zaprotestowała.

– Lepiej się zabezpieczyć, zanim Anton wszystko zje – wyjaśniłem.

Starcew wyszczerzył się w uśmiechu. Chłopak patrzył na Katię z mieszaniną zachwyty i niedowierzania. Cóż, zapewne pierwszy raz ujrzał ją w sukience, a nie workowatym fartuchu...

Rudenko bez słowa nalał wódki, uniósł pytająco brwi. Byłem najstarszy, więc pierwszy podniosłem kieliszek.

– Za Katię, która umożliwiła nam tę świńską wyzerkę! – zawołałem.

– Za Katię! – zawtórowali chłopcy.

Wierchońska uniosła swoje szkło w milczeniu, choć z uśmiechem.

– Dziękuję – powiedziała zarumieniona Katia.

Po chwili rozkaszała się, zasłaniając usta dłonią. Widać, że dziewczyna rzadko pija wódkę. Podsunąłem jej na widelcu plasterek szynki, poczęstowała się, dziękując uśmiechem.

– Już lepiej – zapewniła.

– Znowu grają – zauważył Rudenko. – Zatańczycie? – Ukłonił się przed Katią. – Za waszym pozwoleniem – dodał pospiesznie, widząc mój wzrok.

Dziewczyna spojrzała na mnie niepewnie, ale skinąłem przyzwalająco głową. Po chwili oboje zniknęli w tłumie.

– Patrzcie, jaki szybki – wymamrotał zawistnie Starcew.

Liza Wierchońska z irytacją dziabnęła plasterk szynki – ruch bardziej przypominał dźgnięcie w walce na noże niż próbę nabicia na widelec bezbronnej przecież wędliny. Najwyraźniej fakt, że przestała być ośrodkiem męskiego zainteresowania, wyraźnie ją uwierał. To ma być niby ta niedostępna? Ech, baby... Tak czy owak, wypadało zareagować, nie było sensu robić sobie z niej wroga, a tym bardziej pozwolić, żeby skierowała swoje niezadowolenie przeciwko Katii.

– Można? – Wyciągnąłem rękę.

Odpowiedziała nieco niepewnym uśmiechem, lecz pozwoliła zaprowadzić się na parkiet.

– Poprosiłeś mnie z obowiązku czy rzeczywiście chciałeś zatańczyć? – szepnęła mi do ucha.

Mimo woli wybuchnąłem śmiechem: a to kokietka! Najwyraźniej kapitan Wierchońska miała ochotę usłyszeć kilka komplementów.

– Zdajesz sobie sprawę, że istnieje tylko jedna prawidłowa odpowiedź na to pytanie? – odparłem kpiąco.

– A jakże! – potwierdziła figlarnie.

Przytuliłem ją mocniej – tańczyliśmy tango – i zapewniłem, że o niczym innym nie marzyłem. Nie musiałem specjalnie naginać prawdy, jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność. Jak się wydawało – z wzajemnością. Co prawda nie kokietowała mnie otwarcie, ale miałem wrażenie, że pozwala mi na więcej, niż wymagałaby tego konwencja tańca. Nic konkretnego: ot, muśnięcia bioder czy piersi, wpisane wszak w figury tanga, a jednak o ton śmielsze, trwające uderzenie serca dłużej...

Nagle tęskna melodia urwała się w pół nuty, a nad gwarem zapanował potężny głos Poliakowa.

– Pół godziny przerwy – oznajmił. – Orkiestra też musi coś zjeść. I wypić – dodał po namyśle.

Odpowiedziały mu jęki zawodu co młodszych uczestników zabawy i oklaski muzyków.

– Trudno, trzeba wracać – stwierdziła Liza.

Dziewczyna wzięła mnie pod ramię, przytuliła się lekko, dając poczuć żar rozgrzanego tańcem ciała. Odruchowo objąłem ją w pasie, dłoń ześliznęła mi się na biodro partnerki. Cofnąłem ją natychmiast, jednak nie dość szybko, żeby nie zauważyć reakcji Lizy: rozszerzonych źrenic, zmysłowego westchnienia... Cholera! Znaczący dziewczucha rzeczywiście jest wybredna, a nie oziębła, a jeśli od śmierci męża nikogo nie miała, lepiej trzymać się od niej z daleka. Przynajmniej dopóki nie wrócę do zdrowia. O ile wrócę...

– Chodźmy – powiedziałem szorstko.

Przy naszym stole zastaliśmy gości, na dostawionych krzesłach rozpierali się major Maksimow i Poliakow. Ten drugi z dziwnie oficjalną miną.

– Częstuj się. – Poliakow podsunął mi półmisek wędlin. – Bo zaraz będziesz pił.

– Jakaś szczególna okazja? – spytałem bez zainteresowania.

– Owszem, dla ciebie.

– Nie rozumiem?

Maksimow zabrał mi kieliszek i zamienił na szklanę, po czym napełnił ją wódką po brzegi. Uniosłem w zdziwieniu brwi: o alkohol troszczył się zawsze najmłodszy przy stole, no i dlaczego major nalał tylko mnie? Nie musiałem długo czekać na rozwiązanie zagadki – Poliakow wrzucił do mojej szklanki osiem złotych gwiazdek.

– Dostałeś awans na kapitana – poinformował.

Chłopcy zawyli tryumfalnie, od Katii i Leny dostałem po buziaku, ale sam nie byłem specjalnie uradowany. Awans z przeskoczeniem jednego stopnia mógł przyjść tylko z Kremla. A to oznaczało zainteresowanie Stalina i – jakżeby inaczej! – kolejną robotę dla Razumowskiego. Teraz rzeczywiście będę mógł sformować własną grupę...

– Saszka! – ponaglił Poliakow.

Wstałem i wychyliłem szklanę do dna, witając pocałunkiem nowe gwiazdki. Oby

przyniosły mi szczęście...

Starcew wyczarował skądś linijkę i natychmiast umieścił gwiazdki na moich pagonach, starannie odmierzając przepisowe odstępy.

– W ciągu tygodnia dobierzesz sobie ekipę – powiedział Poliakov, wtórując moim myślom.

– Nie za wcześnie aby? – zauważył Maksimow. – Doceniam talent Razumowskiego, ale...

– Nie doceniasz – przerwał mu bezceremonialnie Poliakov. – A ponieważ nie chcę żadnych tarć między swoimi ludźmi, oświecę cię w tej materii. Pamiętasz, jak w czterdziestym drugim wymordowano cały personel szpitala wraz z rannymi?

– Szpital wojskowy numer siedemdziesiąt cztery – mruknął. – Pamiętam.

– To Razumowski dorwał tych kanibali – poinformował Poliakov.

– Kanibali?!

– Owszem. Widzę, że muszę zacząć od początku...

– Nikołaj! – warknąłem. – To tajemnica państwowa!

– Już nie, zaledwie poufne dane – sprostował z uśmiechem Poliakov.

– To może i ja coś opowiem? – zagroziłem.

– Co takiego? – zainteresował się Maksimow.

– Jak poznałem tego tu mądralę. Pamiętasz, Kola, ten zaułek i kopa, jakim posłałem cię w błoto?

– Pamiętam – zarechotał Poliakov. – Tylko wiesz co? Odwdzięczę się historią o tym drugim szpitalu.

– Jakim, do licha, szpitalu?!

– No wiesz, „Trzynastce”. Nawiasem mówiąc, Warwara Siemionowna kazała cię pozdrowić i dać w łeb, co niniejszym robię – powiedział, stukając mnie energicznie w głowę.

– A to za co?!

– Kiedy ją odwiedziłeś? – odpowiedział pytaniem.

No tak, rzeczywiście nieładnie wyszło. Ostatni raz widziałem się z nią w zeszłym roku. Wstyd...

– Co z tym szpitalem i kanibalami? – ponagliła Wierchońska.

Z niechęcią zauważyłem, że jak i pozostali wpatruje się z napięciem w Poliakowa, niczym oczekujące bajki dziecko.

– Najpierw o „Trzynastce” – oznajmił Poliakov tonem konferansjera. – Pewnego razu, tuż po wypisaniu ze szpitala...

– Wypisaniu? Był ranny? – rzuciła szybko Katia.

– Odmrożenia – wyjaśnił Poliakov. – Po misji na tyłach wroga, w której stracił niemal cały oddział i sam ledwo uszedł z życiem.

– Co za misja? – zainteresował się Starcew.

– Niestety, wszystko, co dotyczy tego zadania, do dzisiaj jest ściśle tajne – odparł Poliakov, czyniąc gest naśladujący przekręcanie klucza. – Dość powiedzieć, że przez tydzień bronił się przed Niemcami w wilczej jamie. Przy kilkunastostopniowym mrozie.

– Jaki tydzień, pleciugo?! Leżałem tam wszystkiego parę dni, z tego większość czasu bez przytomności!

– To za to ta Złota Gwiazda? – spytał miękko Maksimow.

Poliakov przytaknął. Jęknąłem głucho, nie ma co, zapowiada się upojny wieczór: odczyt pod tytułem „Bohaterskie wyczyny pułkownika Razumowskiego”... Tańczyć nie można, bo ogłoszono przerwę, zostaje tylko jedno – zatroszczyć się o znieczulenie. Napełniłem wszystkim kieliszki, sobie szklanę.

– Co dostanę, jak cię uratuję? – szepnęła mi w ucho Liza.

– Cokolwiek zechcesz – odparłem natychmiast.

– Pamiętaj: jedno życzenie – zaznaczyła z naciskiem.

– Już czuję się jak złota rybka – odburknąłem.

– Nie to nie...

– No dobrze, ratuj! – powiedziałem pospiesznie.

Dziewczyna zrobiła zboląłą minę, wydawało się nawet, że pobladła – a to aktorka! – po czym powiedziała zgaszonym głosem:

– Chyba nie czuję się najlepiej.

– Wódki? – podsunął zaniepokojony Starcew.

– Nie, nie, zaraz mi przejdzie.

– Duszno tu – zauważyłem. – Może wyjdziemy na moment? Odetchniesz świeżym powietrzem.

– Chętnie...

– Nie myśl, że uciekniesz! – powiedział z rozbawieniem Poliakov.

Pogroziłem mu pięścią.

– Aleksandrze Nikołajewiczu, a może wzięlibyście udział w naszym dorocznym turnieju sambo? – zaproponował Rudenko z błyskiem w oku. – Od kilku lat czempionem jest niezmiennie towarzysz pułkownik. Najwyższy czas to zmienić – dodał z bezczelnym uśmiechem.

– Nie ma mowy! – zaznaczył stanowczo Poliakov. – On nie potrafi czysto walczyć. Jak wracał z tego szpitala...

– Z „Trzynastki”? – upewnił się Maksimow.

– A jakże! Natknął się na trzech bandziorów i dziewczę w opałach. Ledwo łąził, bo dopiero co go wypisali, ale był nie w humorze. Nieco wcześniej paru urków pobiło pielęgniarkę, która się nim opiekowała. Efekt? Trzy trupy. Nawet noże im nie pomogły...

– Gołymi rękoma? – spytał z niedowierzaniem Starcew.

- Ładne chociaż to dziewczę? – dołączył się Maksimow.
- Tak i tak, widziałem ją – pochwalił się Poliakov.
- Idziemy stąd! – Pociągnąłem za rękę Lizę.
- On nie zmyślał, prawda? – powiedziała, kiedy wyszliśmy z budynku.
- W ogólnych zarysach – przyznałem niechętnie.

Nie miałem ochoty opowiadać ani o okolicznościach, w jakich nagrodzono mnie tytułem Bohatera Związku Radzieckiego, ani o znajomości z Olgą. Obie sprawy przypominały mi o śmierci bliskich. Tym bardziej że ludzie, którzy zamordowali Olgę i jej ojca, nadal żyli – jeszcze jeden rachunek do wyrównania. No nic, kiedyś spłcę i ten dług. Z procentami. Tak jak zapłaciłem von Ziethenowi za śmierć moich ludzi...

- Nie lubisz o tym mówić? Przecież nie masz się czego wstydzić.
- Nie lubię – potwierdziłem.
- Dlaczego? Myślę, że jesteś mi winien wyjaśnienie – dodała na widok mojej miny.
- Gdyby nie ja, siedziałbyś teraz i pocił się pod spojrzeniami zachwyconych panienek.
- Rozumiem, że to twoje życzenie?

Wierchońska zachichotała i nie mogła się uspokoić przez dłuższą chwilę.

- Myślałeś, że tak łatwo się wywiniesz? Nie ma mowy! To po prostu grzeszność.
- No dobrze – burknąłem. – Niech będzie grzeszność... Moi przyjaciele zginęli, a ja przeżyłem, do tego przyznano mi nagrodę, która należała się im. Czuję się jak oszust.
- A ta dziewczyna? Pod szpitalem?
- Ona też nie żyje – powiedziałem głucho.

Liza przytuliła się do mnie mocniej, ucałowała w policzek.

- Wojna – westchnęła ze smutkiem. – Każdy z nas stracił kogoś bliskiego. Mój mąż był artylerzystą, nie zabito go w walce, zginął podczas ćwiczeń tuż po klęsce Niemców. Głupia, niepotrzebna śmierć!

Milczałem, bo i o czym tu gadać: rzeczywiście głupio wyszło. Pewnie jakaś sztabowa menda zarządziła działoczniny, aby żołnierze nie pomyśleli, że mogą sobie odpuścić, skoro Berlin padł...

- Wracajmy – westchnąłem. – Obiecałem, że nie zostawię Katii samej. Może ten matole już skończył opowiadać swoje historyjki?

– Naprawdę kopnąłeś pułkownika w...

- ...dupę? Naprawdę – zapewniłem. – Usłyszałem odgłosy bójki, ale było ciemno i nie widziałem, co się dzieje. Ludzie, którzy napadli Nikołaja, uciekli, słysząc, że nadchodzę, ale trochę mnie przy tym potarłosili. Stąd na wszelki wypadek rozpląszczyłem go na ziemi.

- Ten napad to był przypadek czy raczej... – Dziewczyna urwała, nie wiedząc, jak dokończyć.

Było oczywiste, że coś podejrzewa – mało kto odważyłby się zaatakować pułkownika milicji. A i Poliakov nie wyglądał przecież na ułomka.

- Raczej. Ale wolałbym nie wchodzić w szczegóły, to sprawa Nikołaja.
- Rozumiem. Widzę, że obaj mieliście burzliwą przeszłość...
- Mniejsza z przeszłością, oby przyszłość była mniej burzliwa – odparłem posepnie.
- A to co znowu? – spytała Liza, zatrzymując się w progu.
- Zamarłem: nasz stolik otoczył tłum kilkudziesięciu osób. Na nasz widok rozległy się gromkie okrzyki i wiwaty.
- No, wreszcie możemy przystąpić do rzeczy! – zawołał Poliakov.
- A konkretnie? – spytałem zdeorientowany.
- Ach, to! Zupełnie zapomniałam: z okazji awansu wypada wypić kilka bruderszaftów, to tradycja MUR-u, tu wszyscy oficerowie od kapitana w górę mówią sobie na ty – wyjaśniła pospiesznie Wierchońska.
- Nie jestem pewien, czy moja wątroba to wytrzyma – zaznaczyłem cierpko.
- Cóż robić? Zawód milicjanta wymaga poświęceń...
- Jęknąłem głucho, ale podszedłem do stołu. Na rozkaz Poliakowa oficerowie ustawili się karnie w kolejce, każdy ze szklanką wódki w ręku.
- Zaczniemy od tych, których już znasz – zdecydował Poliakov. – Borys Iwanowicz Maksimow, szef wydziału zabójstw...



ROZDZIAŁ TRZECI

Mój pierwszy dzień na stanowisku dowódcy Specjalnej Grupy Śledczej (dźwięczna, choć niewiele mówiąca nazwa) rozpoczął się nienadzwyczajnie: męczył mnie potężny kac. No i nie dziwota – nie byłem już młodzieniaszkiem, a wraz z upływem czasu wydolność organizmu maleje. No i wątroba już nie ta...

– Razumowski – rzuciłem krótko, zatrzymując się na moment przy dyżurce.

– Wasz gabinet znajduje się na pierwszym piętrze. – Młody, góra dwudziestoletni milicjant w stopniu młodszego sierżanta nawet nie podniósł wzroku.

Znaczy wieści już się rozeszły. Cóż, zobaczymy, jak wygląda moje lokum. Miałem nadzieję, że nieco lepiej niż w komendzie na Arbacie.

Poczłapałem po schodach, wymieniając pozdrowienia z ludźmi, których nijak nie kojarzyłem; końcówkę wczorajszej zabawy pamiętałem jak przez mgłę. Podobnie jak twarze oficerów, z którymi piłem bruderszaft...

Zanim zdążyłem wspiąć się na piętro, z dołu dobiegły mnie krzyki i zduszone przekleństwa. Zawróciłem z jękiem, gdy rozpoznałem głos Starcewa. W co tym razem wkopał się ten matolek?

– Dawaj klucze od celi! – wydarł się na dyżurnego Rudenko.

Obaj porucznicy starali się obezwładnić łysiejącego mężczyznę z zakrwawioną twarzą. Z pewnym zdziwieniem zauważyłem, że nikt nie skuł mu rąk. Udało mu się na moment wyswobodzić, ale zamiast uciekać, wykorzystał sytuację, aby kopniakiem rozbić szybę w dyżurce, po czym zamierzył się na Starcewa. Porucznik fachowo zablokował nieporadny cios i odpowiedział krótkim uderzeniem w żołądek napastnika.

– Co on się tak awanturuje? – spytałem. – Obraziliście jego mamusię czy co?
– A czort go wie?! Gość jest pijany w trzy dupy! – warknął Rudenko, wyciągając kajdanki.

Nadepnąłem na kark furiata, ułatwiając chłopakom skucie go.

– Dziękuję – powiedział Starcew. – Dyżurny! – wrzasnął. – Długo będę czekał na ten klucz?!

– Co on takiego zrobił? – zainteresował się sierżant. – A co do tej szyby, to trzeba będzie spisać protokół, towarzyszu poruczniku.

– Jaki znowu protokół?!

– Normalny, dotyczący niszczenia własności państwowej...

– Nie będę odpowiadał za tego wariata!

– A kto? Przecież to wasz wariat – zauważył sierżant rozsądnie. – To wy go tu sprowadziliście. Trzeba mu było od razu założyć kajdanki.

– Dopóki nie weszliśmy w drzwi, facet był spokojny jak baranek. Śmierdzi od niego wódką na trzy metry i ledwo trzyma się na nogach. Myśleliśmy, że nie ma potrzeby – wzruszył ramionami Rudenko.

– Po cholere go tu targaliście?

– Wypadł z fantami z cudzego mieszkania, niedaleko przystanku, roztrącił ludzi i zaczął uciekać. Oczywista sprawa: wywalone drzwi, kradzież z włamaniem. Wyobraź sobie, że to wszystko tuż obok, na Pietrowce.

– Rzeczywiście wariat – przyznał dyżurny. – No dobrze, daruję wam już protokół, jakoś spiszę tę szybę.

– Pierdolone gliny! – wydarł się nagle aresztant. – Ja wam...

– Grzeczniej! – uprzedził Starcew, wymownie zaciskając pięści.

– Bałwany! Nawet nie umiecie rozwiązać krzyżówki! – prychnął tamten pogardliwie.

Zerknąłem przez ladę: tuż obok dziennika, w którym dyżurny notował wchodzących i wychodzących, leżała gazeta z na wpół wypełnioną krzyżówką.

– Śmieci! – zawył, uderzając głową w twarz Rudenkę.

Chłopak padł jak ścięty, Starcew potężnym sierpem znowu powalił awanturnika.

– Co za gnida! – zawołał ze złością, kopiąc leżącego.

W tym samym momencie usłyszałem tupot butów i w korytarzu zaroilo się od umundurowanych kursantów. Na czele grupy kroczył Borys Maksimow.

– Co tu się dzieje? – zapytał gniewnie. – Starcew, Rudenko!

Starcew zastygł, wpatrując się z oszołomieniem w przybyłych, Rudenko usiadł i próbował wytrzeć krew z twarzy.

– Problemy z zatrzymanym – wyjaśniłem.

– Ty też go...? – Maksimow wykonał nieokreślony gest.

– Nie – roześmiałem się. – Oni sami.

Tymczasem aresztant poderwał się z podłogi i kopnął Starcewa w pachwinę. No nie, tego już za wiele... Uderzyłem go w punkt pod obojczykiem i powaliłem energicznym podcięciem, kiedy leżał, nadepnałem mu na nogę tak, aby ucisnąć nerw piszczelowy. Teraz już nie będzie taki szybki... Facet zawył z bólu, ale co ciekawe, nie spieszył się z przekleństwami. Dziwne, bo wyglądał na takiego, któremu wszystko jedno.

– Borysie Iwanowiczu, sami widzicie, co to za gadzina – wycedził przez zaciśnięte zęby Starcew.

Zauważyłem wśród kursantów kilka kobiet, te przypatrywały się całej scenie z mieszaniną oburzenia i niedowierzania. Jak się wydawało, pracownicy MUR-u nie wypadli w ich oczach najlepiej...

Aresztant podniósł się na kolana.

– *Musora! Musora!* – zaryczał.

Przez twarz Maksimowa przeleciała błyskawica gniewu. Podobno termin *musor*, „śmieć”, pochodził od noszonych jeszcze przez carską policję plakietek z napisem *Moskowskij Ugołownyj Sysk* lub wręcz *Moskowskoje Uprawlenije Sysknogo Otdiela Rossii*, ale jak łatwo się domyślić, milicjanci nie przepadali za tym określeniem.

– Do celi z nim! – polecił.

– Beethoven, matole! – krzyknął tryumfalnie awanturnik. – Muzykę do opery „Fidelio” napisał Beethoven!

Z rumieńca na twarzy dyżurnego można było się zorientować, że uwagę skierowano pod jego adresem. Ku mojemu zdumieniu mężczyzna bynajmniej nie protestował, kiedy porucznicy prowadzili go do celi. Tak jakby osiągnął, co chciał...

– Stać! – zawołałem. – Poczekajcie!

– Co znowu? – zapytał niechętnie Maksimow. – Mało ci jeszcze tego bałaganu? – mruknął, podchodząc bliżej. – I tak założę się, że połowa tych dzieciaków nasmaruje na nas donosy, ledwo wrócą do siebie – dodał ciszej.

– Może nie, jeśli to odpowiednio rozegramy.

Major obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, po czym wzruszył ramionami.

– W porządku – stwierdził głośno. – Masz pięć minut.

– Co widzieliście? – zwróciłem się do kursantów.

– Pijaka bitego przez milicję – odburknął któryś.

– Chuligana wyzywającego milicjantów – dodał inny.

– Tylko tyle? – upewniłem się z udanym rozczarowaniem w głosie.

– Milicjantów naruszających socjalistyczne normy praworządności – powiedziała średniego wzrostu blondynka o nieładnej, przypominającej gryzonia twarzy.

Z reakcji kursantów można było wywnioskować, że nie jest specjalnie lubiana: większość dzieciaków przyjęła jej słowa pełnymi dezaprobaty grymasami.

– Milicjant nie może pozwolić na to, aby go lekceważono, a tym bardziej bito czy

wyzywano – poinformowałem z pobłażliwym uśmiechem.

– Nie widzieliśmy, jak to się zaczęło – zripostowała. – Może porucznicy naruszyli jego prawa jeszcze przed naszym przyjściem. Może...

– Byłem tu i nic takiego nie miało miejsca – uciałem stanowczo. – Nie w tym rzecz.

Starcew i Rudenko popatrzyli na mnie z nadzieją. Odpowiedziałem im lekkim skinieniem głowy. Spokojnie, nie dam was zjeść, chłopaki...

– A w czym?

– Przygotowujecie się do zawodu milicjanta, spróbujcie sami do tego dojść – zaproponowałem.

– Nie widzę tu niczego nadzwyczajnego – stwierdził po chwili chudy rudzielec o piegowatej twarzy. – Ot, agresywny pijak i tyle.

– No dobrze – westchnąłem. – Podsumujmy: pijany chuligan awanturuje się na komendzie i dostaje wycisk od wkurzonych jego zachowaniem milicjantów.

– Dokładnie tak! – potwierdził stanowczo rudzielec.

– To teraz małe pytanie: wiedziałeś, kto napisał muzykę do opery „Fidelio”?

– Co to ma za znaczenie?!

– Rozumiem, że nie wiedziałeś... A może ktoś z was?

Odpowiedziało mi milczenie, choć po minach kursantów widziałem, że są zaintrygowani.

– Dodam, że ów rzekomy pijaczek został przez poruczników złapany na gorącym uczynku: wybiegł z cudzego mieszkania objuczony kradzionymi rzeczami i próbował uciekać. A ledwo został przyprowadzony na komendę, zaczął się awanturować, ot tak, bez żadnego powodu. Do tego wybił szybę w dyżurce. – Wskazałem rozrzucone po korytarzu szklane odłamki.

– Rzekomy pijaczek? – zaprotestował rudy. – Toż czuć od niego wóde na kilka metrów!

– Owszem, czuć – przytaknąłem. – Tylko że popisał się dość specjalistyczną wiedzą i wybił szybę jednym celnym kopniakiem. Tak więc jego koordynacja ruchowa i stan umysłu nijak nie wskazują na upojenie alkoholowe.

– Pierdolone gliny! Ja...

– Milczeć! – warknąłem. – Jeśli odezwiesz się jeszcze raz niepytany... – zawiesiłem wymownie głos.

Mężczyzna umilkł. Widać było, że próbuje się opanować, ale jego twarz przybrała kolor papieru. W sumie nic dziwnego: jeśli moje domysły były słuszne, miał się czego bać.

– Twierdzicie, że on nie jest pijany? – upewniła się blondynka.

– Jak chcesz, to sama sprawdź – przyzwoliłem.

Dziewczyna podeszła do aresztanta, zmarszczyła z obrzydzeniem nos.

– Tu nie ma najmniejszej wątpliwości. Facet cuchnie jak gorzelnia.

– A ty? – Wskazałem piegowatego kursanta.

Rudzielec obszedł zatrzymanego dokoła, wreszcie dotknął jego koszuli. Mężczyzna próbował uderzyć rudego głową, ale Starcew i Rudenko odciągnęli go w tył.

– Ma wilgotne ubranie – oznajmił ze zdziwieniem chłopak. – On wcale nie jest pijany, tylko oblał się wódką!

Wśród kursantów rozległ się ożywiony szmer, kilka osób obmacało odzież awanturnika.

– Rzeczywiście! – przyznała blondynka.

Obaj porucznicy ledwo powstrzymywali szarpiącego się mężczyznę. Dobrze, że był w kajdankach, bo pewnie nie poradziłiby sobie. Cóż, nie od dziś wiadomo, że strach dodaje sił.

– No dobrze, ale dlaczego on udaje pijanego? – zapytał rudowłosy kursant.

– Zastanów się.

– Tworzy sobie alibi?

– Alibi?

– No wiecie, powie, że był pijany i nie pamięta, żeby kogoś okradł. I tak dostanie parę lat, ale może sąd uwzględni, że działał pod wpływem alkoholu, i...

– ...złagodzi wyrok? – dokończyłem. – Zapomnij! Nie ma szans! Kradzież z włamaniem to kradzież z włamaniem, przy obecnych przepisach to minimum siedem lat. Jak będzie miał dobrego adwokata... I nikt nie będzie się przejmował, czy facet chlał przed skokiem, czy nie.

– Więc o co chodzi?

– Nie uwzględniłeś wszystkich danych.

– A mianowicie?

– Podsumujmy – zaproponowałem. – Trzeźwy, dysponujący niebagatelną wiedzą mężczyzna włamuje się do cudzego mieszkania w biały dzień, niedaleko MUR-u, potem roztrąca przechodniów i zaczyna uciekać. Ucieka tak, żeby dać się złapać, po czym prowokuje na wszelkie sposoby milicjantów, aby ci go pobili...

– To nie ma najmniejszego sensu! – orzekła stanowczo blondynka.

Westchnąłem ciężko: najwyraźniej ci akurat kursanci nie należeli do najbystrzejszych...

– A dlaczego facet prowokował tylko poruczników, a nie mnie czy majora Maksimowa?

– Świnia! Faszysta! – wydarł się znowu aresztant, tym razem wyraźnie pod moim adresem. – Przeklęty...

Uciszyłem go solidnym ciosem w brzuch.

– Zabierzcie go stąd! – poleciłem porucznikom. – Nie jest nam do niczego potrzebny.

Nagle wrzaskom wyprowadzanego zawtórował Maksimow: major zaklął ze złością

i pobiegł na górę, przeskakując po trzy stopnie.

– No, dalej! – zachęciłem kursantów. – Towarzysz Maksimow już rozwiązał zagadkę.

– Wyzywał i was – zauważył z satysfakcją piegowaty. – Ale dopiero teraz – przyznał. – Może dlatego, że jesteście starsi stopniem?

– Czyli co? Facet prowokuje tylko niższych rangą? Ale dlaczego?

– Boi się? – poddał niepewnie rudzielec.

– Boi się – przytaknąłem. – Tylko czego? Co różni mnie czy majora od poruczników? Poza gwiazdkami na pagonach?

– Już wiem! – wykrzyknęła blondynka. – Jesteście doświadczonymi śledczymi. On nie chce, żebyście się nim zainteresowali!

Zaklaskałem demonstracyjnie, po chwili do braw dołączyli kursanci. Dziewczyna spłonęła rumieńcem i skłoniła się niczym baletnica. Gest zrobiłby większe wrażenie, gdyby była choć trochę ładniejsza...

– Brawo! Dokładnie o to chodzi!

– Ale dlaczego chciał być pobity? Może to jakiś masochista?

– Nie, wtedy prowokowałby wszystkich. Zastanów się, co jest bezpośrednim skutkiem pobicia?

– Siniaki?

– Obita twarz – potwierdziłem.

– Idiota! – wrzasnął rudzielec, uderzając się w czoło. – On chce się schować w więzieniu! Robi wszystko, żeby skazano go za drobne przestępstwo, a nie to, które naprawdę popełnił!

– No, wreszcie się domyśliliście. Zapewne są świadkowie jego wyczynów, stąd na wszelki wypadek dał sobie przefasonować twarz.

– Ale siedem lat? – spytała z akcentem wątpliwości blondynka. – To co on takiego zrobił, zamordował kogoś? Bo przecież trzeba być desperatem, żeby dać się posadzić na niemal dekadę...

– Myślę, że rzecz się wyjaśni lada moment. Major Maksimow sprawdza teraz raporty z ostatnich paru dni – odpowiedziałem. – Mogę się mylić, ale to musi być coś paskudnego. Może i morderstwo, choć stawiałbym raczej na gwałt.

– A to dlaczego? Za morderstwo przecież dłużej się siedzi?

– Może i dłużej, lecz pozostaje kwestia: jak?

– Nie rozumiem...

Rozmasowałem fraszobliwie skronie – nie byłem pewien, czego uczą tych dzieciaków, na moim kursie wykładowcy raczej nie próbowali idealizować rzeczywistości, wiedzieli, że frontowcy nie daliby sobie wciskać propagandy. Tymczasem tutaj... Czort wie. Jedno zdanie za dużo i ktoś może polecieć z donosem.

– Towarzyszu kapitanie? – ponaglił mnie rudzielec.

– Na zonach i w więzieniach rządzą *błatni* – powiedziałem niechętnie. – To druga władza poza więzienną administracją. Oni mają coś w rodzaju własnego kodeksu. W ich świecie złodzieje, wszelkiej maści bandyci, a nawet mordercy cieszą się uznaniem. Jednak są rzeczy, których *błatni* nie tolerują, na przykład dzieciobójstwa czy gwałtów. Pierwsze, o co pytają „nowego” zaraz po wejściu do celi czy baraku, to z jakiego paragrafu go osądzono. To decyduje w dużym stopniu o jego miejscu w hierarchii. Gwałciciele są bezlitośnie prześladowani i zajmują pozycję na samym dnie. Bez możliwości zmiany...

– A jeśli ktoś skłamie? Przecież więźniowie nie mają dostępu do akt.

– Nie bezpośrednio – odparłem wykrętnie. – Jednak prędzej czy później prawda wychodzi na jaw.

– Ale...

– Razumowski!

– Tak?

– Miałeś rację z tym gnojem!

Major Maksimow z zaciśniętymi zębami podał mi raport. Gniew buchał z niego niczym żar z hutniczego pieca, nie zazdrościłem temu, kto wejdzie mu dzisiaj pod rękę. Zerknąłem na papier – tak jak myślałem: gwałt. Na dwunastolatce. Sprawcę widziało trzech świadków, opisali go jako „łysawego mężczyznę po czterdziestce, o inteligenckim wyglądzie”. Znaczy pewnie to nasz awanturnik. Mało kto z obitą mordą wygląda na inteligenta, stąd jego zachowanie. Jeszcze parę minut zabawy z porucznikami i nie poznałaby go rodzona matka.

– Co z nimi? – Wskazałem ruchem głowy kursantów.

Maksimow odetchnął głęboko, zmarszczył brwi.

– Sam nie wiem – wymamrotał. – Miałem się nimi zająć, ale teraz...

Nie dokończył, nie musiał: obecnie kwestia zajęć z kursantami schodziła na dalszy plan, trzeba było zorganizować rozpoznanie podejrzanego, a później – jeśli nasze teorie się potwierdzą – dyskretnie przekazać informacje *błatnym*. Aby naszego melomana odpowiednio powitano w areszcie i na zonie...

– Przecież nie musisz sam tego robić, niech się za niego weźmie odpowiedni wydział.

– Gdyby nie ty, facet zrobiłby mnie w konia – wycedził. – Zatrośczone się o niego osobiście.

Uniosłem brwi, ale nie skomentowałem, może to kwestia urażonego ego. W końcu Maksimow był doświadczonym oficerem, a może zwykła złość na zboczeńca. W tym momencie było to mało ważne, liczył się rezultat. Grunt, żeby potraktować gwałciciela w taki sposób, aby podobni mu popierdoleńcy śnili o tym koszmary. Z doświadczenia wiedziałem, że jest tylko jeden sposób na powstrzymanie tego typu przestępstw: strach.

– W porządku – westchnąłem. – Zajmę się nimi.

Maksimow zniknął niczym za skinieniem czarodziejskiej różdżki, a ja zostałem z kilkudziesięcioma kursantami... Cholera, co z nimi robić?

Odwróciłem się, słysząc ciche chrząknięcie. Wrócili Starcew i Rudenko.

– Może zaprowadzić ich do sali gimnastycznej? – zaproponował Igor. – Zrobimy pokaz sambo.

Z trudem utrzymałem poważny wyraz twarzy.

– Znaczy wy chcecie ten pokaz? – doprecyzowałem.

– Skąd! Sierżant Klimenko. On załatwia takie sprawy. W zeszłym roku zajął drugie miejsce na Wszechzwiązkowym Turnieju Pracowników Milicji.

– Nie popisaliśmy się, prawda? – mruknął Rudenko.

– Nie jest tak źle, wytłumaczyłem was przed dziećmiakami, po prostu następnym razem nie oszczędzajcie na kajdankach. Ale dość o tym! Trzeba brać się do roboty: Igor, ty zajmiesz się organizacją pokazu, Kirył, zaprowadzisz grupę na salę.

– A wy?

– Ja pójdę obejrzeć swój gabinet. No już, na co czekacie?

– Tak jest! – odparli bez entuzjazmu porucznicy.



Gabinet nie porażał luksusem: biurko, fotel, krzesło dla interesanta i wmurowany w ścianę sejf – ot i wszystko. Jednak widać było, że meble, choć proste i funkcjonalne, lśnią nowością. Cóż, dobre i to, najwyżej wymienię fotel, o ile ten okaże się za twardy. Może Elena ma rację i rzeczywiście nabieram burżuazyjnych przyzwyczajień? Jeśli nawet, po tylu latach wojaczki coś mi się należy od życia...

Podniosłem słuchawkę, wybrałem numer komendy na Arbacie.

– Kapitan Razumowski – przedstawiłem się krótko. – Znajdźcie Bugrowskiego i przyślijcie do MUR-u – poleciłem dyżurnemu.

Rozłączyłem się, nie czekając na odpowiedź: nie ma co ukrywać, nie byłem w szampańskim nastroju. Nieuchronnie zbliżał się moment, kiedy po raz kolejny zostanę wezwany do Głównodowodzącego. Nie, wróć! Teraz to nie Gławkom, ale gensek: *gienieralnyj siekrietar'*. Nie żeby to robiło jakąś różnicę...

No dobrze, czas zastanowić się nad składem mojego nowego zespołu. Bugrowski – raz. Po pierwsze dlatego, że nie mam wielkiego wyboru, na razie nie jestem oblegany przez kandydatów, po drugie wyczuwałem w poecie jakiś ukryty potencjał. Nie wiedziałem, czy będzie dobrym śledczym, ale co mi szkodzi spróbować? Jeśli się nie sprawdzi, wróci na Arbat. Kto jeszcze? Starcew i Rudenko? Trzeba przyznać, że

chłopaki znają swoją robotę, tylko Wierchońska pewnie ich nie puści, a i zadania, jakie przyjdzie mi wypełniać, będą dużo większego kalibru niż te, jakimi do tej pory się zajmowali. Tak czy owak, musiałbym ich uczyć. Szlag! Potrzebowałem chociaż jednego doświadczonego oficera. Może Safronow się zgodzi? Swego czasu wywarł na mnie pozytywne wrażenie.

Rozmyślania przerwało mi pukanie.

– Wejść! – przyzwoliłem.

No nie... Poliakov, i co gorsza, z butelką...

– Może oblejemy twój nowy gabinet? – zaproponował.

– Jeśli już, to tylko symbolicznie – powiedziałem, masując skronie. – Nie każdy ma takie chamskie zdrowie jak ty.

– No, ja też tylko odrobinę. Trochę wczoraj przesadziłem.

Poliakov postawił na biurku szklanki, nalał na dwa palce koniaku. Posmakowałem: trunek był przedni, szkoda takiego na kaca, ale skoro dają...

– Co z twoim zespołem? Wybrałeś już kogoś? – zapytał.

– Na razie jednego, to niejaki Bugrowski – poinformowałem.

– Ten poeta z Arbatu? – zmarszczył brwi Poliakov.

– Znasz go?

– Owszem, pisze niezłe wiersze. Do tego jego ojciec jest wykładowcą w akademii.

– Jakiej, do licha, akademii?!

– Naszej. Milicyjnej – uściślił ze zdziwieniem Poliakov. – A co, nie wiedziałeś?

– Miałem ważniejsze zmartwienia niż rodzinne koligacje Bugrowskiego – odburknąłem. – Skoro już się o tym zgadało: co o nim sądzisz?

– Bo ja wiem? Mało go znam, wydaje się, że to inteligentny chłopak, tyle że nieco... niezgrabny.

– Ponoć gorliwy komsomolec?

– W pewnym sensie. Działa aktywnie w sekcji literackiej, ale polityka zupełnie go nie interesuje. Ani robienie kariery.

– No, to akurat nie grzech, nie potrzeba mi karierowiczów.

– Naprawdę chcesz wziąć go do zespołu?

– Naprawdę. Chyba że masz dla mnie lepszą propozycję?

– Zapomnij! – powiedział szybko Poliakov. – Młodzi ci się nie przydadzą, a doświadczonych ci nie dam. I tak brakuje mi dobrych oficerów.

– W porządku, jednak jest osoba, która będzie mi niezbędna...

– Kto taki? – spytał nieufnie.

– Katia Romanienko.

Po chwili milczenia pułkownik niechętnie skinął głową.

– Niech będzie. Ale tylko jeśli nie będzie to kolidowało z jej obowiązkami! – zastrzegł natychmiast.

Mruknąłem coś pod nosem, a Poliakov pogroził mi pięścią. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli otrzymam od Stalina kolejną misję, moje potrzeby będą miały pierwszeństwo. Bezwzględne pierwszeństwo.

– To co, jeszcze po jednym?

Bez słowa podsunąłem przyjacielowi szklanę.

– Jak ci się podoba twój gabinet?

– Może być, choć ty masz wygodniejszy fotel. I ładniejsze biurko – dodałem z akcentem udawanej zawiści.

– Są jedyne w swoim rodzaju – zgodził się z uśmiechem Poliakov. – Należały do Trepowa.

– Kogo?

– Poczytałbyś coś poza tymi waszymi skryptami w rodzaju: „Jak zasztyletować faszystę słomką do napojów”. Trepow był ostatnim oberpolicmajstrem Moskwy. A to biurko należało wcześniej do jego ojca, także oberpolicmajstra.

– Skąd wiesz?

– Zasięgnąłem opinii historyków, a pod blatem znalazłem napis.

– Jaki napis?

– Inicjały starszego Trepowa i daty: tysiąc osiemset trzydzieści jeden i tysiąc osiemset sześćdziesiąt cztery.

– To wtedy upadły polskie powstania?

– Tak, starszy Trepow brał udział w ich tłumieniu.

– I co?

– Nie rozumiem.

– Tak to zostawiłeś? Pracujesz przy biurku, na którym jakiś carski urzędnik wyrył daty upamiętniające jego zwycięstwa nad Polakami?

Jako jeden z nielicznych wiedziałem, że szeryf miasta Moskwa jest wnukiem polskiego powstańca.

– Cóż, nie stałem ich, tak jakby to pewnie zrobił taki ruski bandyta jak ty – odparł po polsku.

– To co zrobiłeś? – spytałem zaciekawiony.

– Nic specjalnego – odparł z niewinną miną. – Dodałem swoje inicjały w łacińskim alfabecie, do tego orła w koronie i dwie inne daty: tysiąc osiemset osiemdziesiąt dziewięć i tysiąc dziewięćset sześć.

– Czyli?

– To daty śmierci obu oberpolicmajstrów...

Parsknąłem śmiechem – kierować moskiewską milicją zza biurka należącego kiedyś do jednego z najbardziej zagorzałych zwolenników caratu, demonstrując przy tym swoje polskie korzenie, to była niezła sztuczka. Godna polskiego ułana. Być może niezupełnie trzeźwego ułana, bo gdyby ktoś zauważył i odpowiednio zinterpretował te

napisy... No ale jak pisał towarzysz Lermontow: *I kto dwa raza w dien' nie pjan, Tot – izwinitie! – nie ułan.*

Poliakow po raz kolejny sięgnął po butelkę, odmówił energicznym gestem: to nie był czas na rozrywki tego typu.

– W takim razie będę się zbierał – westchnął. – Czeka na mnie pół tony dokumentów...

W drzwiach niemal zderzył się z Lizą. Jak się wydawało, kapitan Wierchońska zamierzała właśnie mnie odwiedzić. Nie ma co gadać: pierwszy dzień w gabinecie, a interesanci już ustawiają się w kolejce...

– Dobrze, że jesteście tu obaj – stwierdziła Liza. – Mam sprawę do towarzysza kapitana – ironicznie zaakcentowała mój stopień – ale i wy powinniście być na bieżąco.

Poliakow uniósł brwi, widziałem, że jest zaniepokojony. Poza oficjalnymi okazjami Wierchońska zwracała się do niego po imieniu.

– Mam nadzieję, że to nic złego – wymamrotał.

– Chcę do zespołu Saszki – oznajmiła.

– Ale...

– Jesteście mi winni przysługę, towarzyszu pułkowniku, pamiętacie? I ty też! – Wskazała mnie palcem.

– Cóż, ja... – odchrząknąłem niepewnie.

Niewątpliwie przydałby mi się ktoś taki jak Wierchońska, lecz nie sądziłem, że Poliakow mi ją odda. Liza należała do najbardziej doświadczonych oficerów MUR-u. Gdyby nie była kobietą, dawno dostałaby szlify majora. Niestety, dowództwo tolerowało kobiety w tym stopniu jedynie na stanowiskach urzędniczych.

– Liza, to wariactwo! – powiedział gniewnie Poliakow.

– Obiecałeś!

– Wszystko, tylko nie to!

– Dałeś słowo!

– Nie wiesz, w co się pakujesz!

– Do elitarnego oddziału kierowanego przez najlepszego oficera śledczego, jakiego kiedykolwiek spotkałam!

– W porządku! – warknął Poliakow. – Saszka! Jeśli ją chcesz, jest twoja. Tylko najpierw poinformuj panią kapitan, jakie są stawki w tej grze!

Wierchońska wzdrygnęła się, słysząc huk zatraskiwanych drzwi. Nasz przełożony nie oszczędzał ręki. Na szczęście framuga wytrzymała.

– Co on miał na myśli? I skąd ta złość? Obiecał mi kiedyś...

– Nie o to chodzi, on po prostu martwi się o ciebie.

– Jestem już dużą dziewczynką – zauważyła.

– Nie aż tak.

- Może jaśniej, towarzyszu kapitanie?
- Idziemy stąd – rzuciłem.
- Gdzie?
- Zobaczysz.
- Wiesz, jesteśmy w pracy – zauważyła. – A dopiero dziesiąta.
- Nikołaj zrozumie – uciałem krótko.

Na schodach spotkaliśmy Bugrowskiego. Zdyszany poeta przeskakiwał po trzy stopnie, podtrzymując objającą się o biodro raportówkę. No, przynajmniej się nie lenił: dobry prognostyk na przyszłość.

- Towarzyszu kapitanie, melduje się...
- Za mną! – rozkazałem, nie zwalniając kroku.

Cóż, trzeba pogadać i z Dymitrem Fortunatowiczem. Znałem miejsce, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.



Panienska Tatiana królewskim gestem podała nam menu. Nazwy potraw wypisano ręcznie na czerpanym papierze, z zachowaniem przedrewolucyjnej ortografii: widać dziewczynę nadal cieszyła zabawa w arystokratkę. Mimo woli uśmiechnąłem się pod nosem – nie miałem nic przeciwko, zobaczymy, jak zareagują moi nowi współpracownicy.

Liza rozglądała się ze zdumieniem w oczach. Siedzieliśmy w jednym z zacisznych gabinetów, stół z kaukaskiego orzecha, wygodne, wyściełane krzesła, śnieżnobiały obrus i eleganckie tapety stwarzały wrażenie luksusu. Obcego klasowo luksusu...

– To jakiś żart? – spytała, zerkając w kartę dań. – Homar w maśle czosnkowo-cytrynowym?

– W żadnym wypadku – zaprzeczyła Tatiana. – Homar jest znakomity. Jednak polecałabym carską uchę i boeuf Strogonow z kaszą gryczaną. Udały się dzisiaj wyjątkowo. Do tego szuba. Z alkoholi proponuję gruzińskie wino Mukuzani i wódkę.

– Co za szuba? – zmarszczyła brwi Wierchońska.

– To sałatka z buraczków, śledzia, ziemniaków, cebulki, jajek i sosu prowansalskiego – wyjaśniła obojętnym tonem Tatiana. – Wszystkie składniki układa się warstwami.

– Skąd ta dziwna nazwa?

Dziewczyna spojrzała na mnie niespokojnie, jakby nie była pewna, czy może szczerze odpowiedzieć na pytanie.

– Proszę wyjaśnić damie – poleciłem.

– *Słuszajus', wasze wysokobłagorodie* – szepnęła, pokornie spuszczać wzrok. – Sałatkę stworzył w czasie rewolucji kucharz Aristarch Prokopcew na zlecenie swojego pryncypała, znanego kupca Anastasa Bogomiłowa, posiadacza wielu jadłodajni w Moskwie i Twerze. Ten chciał w symboliczny sposób zjednoczyć wszystkie grupy rosyjskiego społeczeństwa, które wówczas wystąpiły przeciwko sobie. Stąd pomysł sałatki, w której każda warstwa znalazłaby coś dla siebie: proletariat ulubionego śledzia, bolszewicy buraczki symbolizujące czerwoną rewolucję, chłopci ziemniaki i cebulę, wreszcie arystokracja i burżuazja sos prowansalski. Nazwał ją SZ.U.B.A od słów „Szowinizmowi i Upadkowi Bojkot i Anatema”. Sałatkę po raz pierwszy podano z okazji obchodów świąt nowego, tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku i od razu zrobiła ona furorę jako zakąska do wódki i innych alkoholi.

Liza odchrząknęła niepewnie, najwyraźniej nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

– *Wasze wysokobłagorodie?* – spytała. – Co to za tytułatura?

– W tym lokalu obowiązuje nadal tabela rang ogłoszona przez Piotra Pierwszego – odparła dumnie Tatiana. – Z późniejszymi zmianami. Do oficera w stopniu kapitana zwracamy się *wasze wysokobłagorodie*.

– Ale...

– Dla pani homar, dla nas to, co proponowałaś. Do tego wino – przerwałem dalszą dyskusję.

Wolałem interweniować, zanim panienka Tatiana zaproponuje nam odśpiewanie: „Boże chroń cara”. Żarty żartami, ale dziewczucha nadmiernie wczuwała się w rolę. W sumie nic dziwnego: aktorka.

– Natychmiast – odpowiedziała kelnerka, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Saszka! Co to wszystko znaczy?!

– Nie zwracaj uwagi. – Machnąłem ręką. – To tylko lokalny koloryt.

– Mam rozumieć, że z tym homarem to nie żart?

– Sama zobaczysz, ale zapewniam cię, że mamy ważniejsze sprawy do omówienia niż menu.

– Słucham.

– Mój wydział nie powstaje dla wygody MUR-u, tylko towarzysza Stalina – oznajmiłem bezceremonialnie. – To nie pierwszy raz, kiedy wykonuję jego zlecenia. Problem w tym, że wszystkie one były skrajnie niebezpieczne, a w przypadku niepowodzenia... – zawiesiłem wymownie głos.

– Tak? – Liza ponagliła mnie zaniepokojonym tonem.

– Za porażkę przyjdzie nam drogo zapłacić. I nikt nie będzie się nawet zastanawiał, czy i na ile jesteśmy winni. Dla towarzysza Stalina liczy się tylko rezultat.

– Co to znaczy w praktyce? – odezwał się Bugrowski.

– To, że w razie czego oberwiemy nie tylko my, ale i nasi bliscy.

– Nie obawiacie się mówić o tym tak otwarcie? – spytał Bugrowski.

Mina chłopaka wskazywała, że nie jest zachwycony nowiną. Także Wierchońska wyglądała na przestraszoną.

– Stalin?

– I Stalin, i Beria, i czort wie kto jeszcze – potwierdziłem ponuro. – Dlatego dobrze się zastanówcie, zanim podejmiecie decyzję. Jeśli któreś z was wstanie i wyjdzie, nie będę miał mu tego za złe – zapewniłem. – Bo praca dla Stalina to droga w jedną stronę... Dlaczego rozmawiam z wami otwarcie? A co mi innego pozostaje? Nie potrzebuję niewolników, tylko ludzi, którzy świadomie podejmą ryzyko. I nie liczę na swojego ojca generała – zwróciłem się do Bugrowskiego. – To nie ta liga. Jakby co, w niczym ci nie pomoże, odwrotnie: ty mu możesz zaszkodzić.

– Rozumiem. Jakie są plusy tego układu?

Uśmiechnąłem się pod nosem: niegłupi chłopak.

– Mamą *carte blanche*.

– Co to znaczy? – uniosła brwi Wierchońska.

Bugrowski milczał, choć widać było, że zrozumiał zwrot. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że wszelkie wyjaśnienia lepiej zostawić dowódcy. Prawdziwy dyplomata...

– Możemy robić, co chcemy, i żaden dupiek nie stanie nam na drodze – wyjaśniłem zwięźle. – Istnieją pewne wyjątki, ale naprawdę nieliczne.

– Na przykład?

– Beria.

Liza zagryzła wargi: chociaż Beria już w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego został zwolniony z funkcji szefa NKWD, jego władza bynajmniej nie zmalała; stanął na czele specjalnej komisji nadzorującej prace nad bronią atomową, od marca czterdziestego szóstego znalazł się w grupie sześciu najbliższych współpracowników Stalina zajmujących się najważniejszymi problemami kraju i jako zastępca przewodniczącego Rady Ministrów nadzorował pracę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego i budzącego grozę, tajemniczego Ministerstwa Kontroli Państwowej.

– Dlaczego akurat towarzysz Beria miałby nam...

– ...przeszkadzać? – poddałem sarkastycznie. – Bo mnie nienawidzi? Bo jest paranoikiem? Bo...

Przerwałem, w drzwiach gabinetu pojawiła się Tatiana wraz ze starszą kelnerką. Jak jej tam było? Mirosława Piotrowna?

– Co to jest? – spytała niepewnie Liza, patrząc na postawiony przed nią talerz.

– Homar – wyjaśniłem z uśmiechem.

– On ma szczypce...

– Bądź odważną dziewczynką, jesteś większa od niego.

Wierchońska szturchnęła mnie karcąco łokciem, tymczasem kelnerki rozmieściły

na stole resztę dań i alkohol.

– Smacznego! – pożyczyla nam Tatiana.

Mirosława Piotrowna milczała. Jak zwykle. Poczekalem, az obie kelnerki wyjdą, rozlałem wino.

– Jak mam to jeść?!

Bez słowa wskazałem jej sztucę do homara.

– Co mam z tym zrobić?

– To twój... pierwszy raz?

Bugrowski rozkaszał się, starając ukryć uśmiech. Bez powodzenia, więc także zarobił kuksańca.

– Biedna mała dziewczynka... No dobrze – westchnąłem. – Pomogę ci.

Dużą serwetkę zawiązałem Lizie pod szyją, mniejszą położyłem na jej kolanach, rozłupałem szczypcami kleszcze, po czym połamałem odnóża homara w stawach.

– Teraz możesz wydłubać mięso widelcem – poinformowałem.

– No nie wiem... – odparła, patrząc zazdrośnie na moją zupę.

– O-na się bo-i – przeciągnąłem sylaby niczym niegrzeczne dziecko.

– Razumowski!

– To udowodnij, że nie.

Liza podniosła ostrożnie do ust widelec, skosztowała białego, delikatnego mięsa.

– To jest całkiem niezłe! – stwierdziła po chwili z entuzjazmem.

– Ja też nigdy nie jadłem homara – oznajmił Bugrowski z pozorną obojętnością.

– A ja trzy lata temu – zawtórowałem.

– Nie dam! – zawołała Liza. – To moje!

– Tylko odrobinę – zaznaczyłem.

Bugrowski pokazał na palcach, jaką odrobinę.

– No dobrze, ale tylko tyle, ile zmieści się na widelcu.

– Rzeczywiście niezłe – przyznałem.

Bugrowski przytaknął energicznie. Przez dłuższy czas delektowaliśmy się jedzeniem i winem – panienska Tatiana przyniosła nam i białe, zapewne do homara. Przy jakiejś okazji będę musiał z nią porozmawiać, dziewczucha zaczynała mnie intrygować.

– Pyszności – stwierdziła w końcu Liza.

Ja i Bugrowski, jak przystało mężczyznom, nie rozplýwaliśmy się w pochwałach, poluźniliśmy jedynie paski od spodni...

– Wasza decyzja? – przypomniałem bez specjalnego nacisku.

– Wchodzę w to – powiedziała Liza.

– I ja – potwierdził Bugrowski.

– A teraz każde z was wyjaśni mi w kilku słowach swoje motyw. Jeżeli zauważę najmniejsze kłamstwo, a zauważę! pożegnamy się tu i teraz. Liza, ty pierwsza.

– Chcę awansować – wzruszyła ramionami dziewczyna. – Awansować na stanowisku operacyjnym. Tymczasem osiągnęłam szczyt możliwości, nawet pułkownik Poliakov nie jest w stanie przeskoczyć oporu starych pierdzieli przed awansowaniem kobiet.

– Uważasz, że jeśli zauważy cię towarzysz Stalin, to inni nie ośmielą się...

– Owszem – weszła mi w słowo.

– A teraz wy, Dymitrze Fortunatowiczu...

– Zależy mi na szkoleniu – odparł chłopak. – Wszechstronnym szkoleniu.

– Dalej upierasz się przy...

– Upieram – przytaknął twardo.

Poruszyłem w zamyśleniu kieliszkiem, obserwując, jak czerwone niczym krew wino obmywa rżnięte szkło.

– W porządku, z jednym zastrzeżeniem: jeśli się nie sprawdzicie, towarzyszu Bugrowski, wracacie na Arbat.

– Uczciwe postawienie sprawy – przyznał chłopak.

Nie wyglądało, żeby przejął się moją uwagą. Ciekawe dlaczego? Taki pewny siebie? Może cierpi na manię wielkości, w końcu nic dziwnego u poety... Cóż, lepiej sprawdzić, niż później żałować.

– Nie masz doświadczenia i nie potrafisz walczyć, do czego możesz mi się przydać?

– Każcie przynieść menu – zaproponował.

– Tatiana! – zawołałem.

Dziewczyna pojawiła się niemal natychmiast, pewnie podsłuchiwała pod drzwiami. Ciekawe, czy to tylko wścibstwo, czy coś więcej? Trzeba będzie wyjaśnić sprawę: jeśli szpicluje dla Berii, będę musiał coś z tym zrobić. Cóż, wypadki chodzą po ludziach, a Moskwa to niebezpieczne miasto. Chyba że mam paranoję...

– Poproszę menu.

Bugrowski zwrócił się do kelnerki suchym, obojętnym tonem, patrząc nie na nią, ale przez nią, jakby była przezroczysta. Tatiana spełniła polecenie bez słowa, choć widziałem, że w jej oczach błysnął gniew. Kolejny matolek, któremu zawróciła w głowie udająca arystokratkę dziewczucha, bo nie ulegało wątpliwości, że to rozmyślna strategia. W sumie niegłupia, acz ryzykowna. Nic tak nie wkurza kobiet jak brak zainteresowania...

Tymczasem chłopak wziął się do przeglądania obszernego, zawierającego kilkanaście stron menu. Co on, u licha, robi? Liczy kartki?

– A teraz mnie sprawdźcie – zaproponował.

Zmarszczyłem brwi: zdążył wszystko zapamiętać? Niemożliwe. Agentów wojennej rozwiadki uczono szybkiego czytania, ale tempo, w jakim Bugrowski zapoznał się – o ile to zrobił! – z kartą dań, było oszałamiające.

– W porządku – powiedziałem. – Drugi wers od góry, trzecia strona.
– Bliny z kawiolem – odpowiedział bez zastanowienia.
– Czwartry wers od dołu, siódma strona.
– Solony jesiotr.
– Najtańsze gorące danie?
– Kociołek Sybiraka.
– Skład?
– Ryba z ziemniakami i warzywami. To wszystko zapiekane w glinianym garnuszku.

– No dobrze, a teraz zamknij oczy.
Chłopak wyszczerzył się w kpiącym uśmiechu, ale zrobił, co mu kazałem.
– Za twoimi plecami stoi panienka Tatiana, opisz, jak wygląda. Z najdrobniejszymi szczegółami.

– Oczy koloru kawy z mlekiem, kasztanowe włosy, kilka piegów, lekko szpiczaste koniuszki uszu. Ma na sobie turkusową bluzeczkę i spódnicę w kolorze gorzkiej czekolady. Na tym biały fartuszek. Na lewym nadgarstku srebrna bransoleta z zielonymi kamieniami, na serdecznym palcu prawej ręki stara złota obrączka ślubna. Brązowe buciki na płaskim obcasie, nylonowe pończochy.

– Co to za kamienie? W tej bransolecie.

– Nie wiem – przyznał Bugrowski.

– Jaspis – poinformowała Tatiana.

W jej głosie oszołomienie mieszało się z nutą zainteresowania. Nie uległo wątpliwości, że Bugrowski zrobił na niej wrażenie. Kiedy się jeszcze dowie, że jest poetą...

– Paniencie Tatianie już dziękujemy – oznajmiłem cierpko.

Przez chwilę wyglądało, jakby dziewczyna miała zamiar protestować, w końcu skłoniła się lekko i wyszła.

– W takim razie kończymy – zdecydowałem. – Wracacie na Pietrowkę, żeby załatwić formalności. Od jutra macie być do mojej dyspozycji.

– Co będziemy robić, dopóki gensek nie przydzielili nam jakiegoś zadania? – spytał Bugrowski.

– Zajmiemy się co bardziej skomplikowanymi sprawami – odparłem, wzruszając ramionami. – Nie sądzę, żeby ktoś protestował.

– Na pewno nie – potwierdziła Liza. – Roboty wystarczy dla wszystkich. Szczególnie przeciążony jest wydział zabójstw.

– Pomożemy im – obiecałem z westchnieniem.

Nie przejmowałem się Maksimowem, choć wiedziałem, że skorzysta z okazji i przekaże nam najtrudniejsze, najbardziej zagmatwane sprawy. Wątpiłem, aby mógł się mną wysługiwać przez dłuższy czas, już towarzysz Stalin się o to zatroszczy...



Uderzyłem kantem dłoni w twarde, napełniony piaskiem i żelaznymi opiłkami worek. A później jeszcze raz. I jeszcze. Worek leżał na stole zrobionym z potężnych drewnianych bali: urządziłem sobie salę treningową w stajni mieszczącej się przy pałacyku Bołkońskich. Pomieszczenie wybrałem ze względu na grube mury – opisane w „Żelaznej księdze” ćwiczenia powodowały mnóstwo hałasu, a wolałem nie przyciągać niczyjej uwagi.

Roztarłem na rękach odrobinę ostro pachnącego płynu i krzywiąc się, wypłem pół szklanki cuchnącej mikstury. Cokolwiek by o tym powiedzieć, tajemnicze eliksiry były nad wyraz skuteczne. Mimo intensywnego treningu skóra na moich dłoniach była delikatniejsza niż przed przystąpieniem do ćwiczeń.

Kolejny worek – tym razem wiszący – ważył dobre osiemdziesiąt kilogramów. Zaatakowałem go jednoczesnym uderzeniem usztywnionych palców i kolaniem. Nie poczułem bólu, miałem wrażenie, jakbym nosił niewidzialną, elastyczną zbroję. Cóż, już ponad dwa lata codziennie, z benedyktyńską cierpliwością wykonywałem dziwne ćwiczenia bojowe Doskonałych.

Skrzypnęły drzwi i w progu stanął Bugrowski. Zerknąłem na zegar: siódma. Chłopak przyszedł punktualnie, co do minuty.

– To nie jest niebezpieczne? – spytał z ciekawością. – Takie uderzenie czubkami palców?

– Niebezpieczne dla kogo?

– Dla atakującego. Nie połamię sobie paluchów, jak trafi w coś twardego?

– Nie, jeśli spędzi parę lat na wbijaniu palców w piasek po nadgarstek – odparłem sucho. – A teraz dosyć teoretyzowania, do roboty!

– Mam boksować te worki?

– Nie, najpierw nauczę cię, jak prawidłowo oddychać. Uważa się, że odpowiednie oddychanie może zabezpieczyć przed urazami i zwielfokrotnić siłę ciosu.

– Co jest w tych butelkach?

– W treningu uderzeń dłonie nie są niczym chronione, dlatego używa się specjalnych mikstur, zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie. Mają zabezpieczać przed urazami, leczyć kontuzje, działać profilaktycznie i wzmacniać coś, co Chińczycy nazywają energią wewnętrzną.

– Energia wewnętrzna? – powtórzył z głupawym uśmieszkiem Bugrowski.

Westchnąłem ciężko: najwyraźniej chłopak wyobrażał sobie, że będę go przekonywał do mocno ezoterycznej koncepcji, której sam do końca nie rozumiałem.

Nie doczekacie się, towarzyszu Bugrowski!

– Możesz wyjść w każdej chwili – powiedziałem obojętnie. – Jeśli jednak zostaniesz, będziesz robił wszystko, co ci każę, bez zadawania głupich pytań.

– W porządku, zgadzam się – odparł szybko Bugrowski. – Chciałbym tylko wiedzieć, czy to wszystko jest cokolwiek warte?

Bez słowa podszedłem do jednego z boksów – dla swoich potrzeb uprzątnąłem tylko część stajni – i uderzeniem pięści wybiłem dziurę w solidnej, grubej na kilka centymetrów drewnianej ścianie.

– Jeszcze jakieś pytania?

– *Waprosow niet!* – zameldował Bugrowski, wpatrując się we mnie z oszołomieniem.

– To zaczynamy!



Mężczyzna mógł mieć około pięćdziesiątki. Siedział w głębokim skórzanym fotelu, przymknięte oczy sprawiały wrażenie, że śpi. Jednak linka, którą przywiązano go do ciężkiego mebla, i czerwona plama na piersi świadczyły o tym, że nigdy się już nie obudzi. Tuż obok leżały zwłoki jego żony: tę zabiło strzałem w głowę. W odróżnieniu od męża, kobietę nie tylko skrupowano, ale i założono jej knebel.

– Bugrowski?

– Timur Warłamowicz Markisian, pięćdziesiąt dwa lata, i Maria Wasiliewna Markisian, panięskie nazwisko Golidze, czterdzieści osiem lat. Timur Markisian kolekcjonował stare monety – wyrecytował bez namysłu chłopak.

Pokiwałem głową: otwarty ścienny sejf dowodził, że ten, kto zabił Markisiana, także wiedział o jego hobby.

– Katia?

– To wszystko jest dziwne – powiedziała z namysłem dziewczyna. – Na koszuli denata nie ma śladów prochu, stąd wniosek, że strzelano z pewnej odległości. Umieszczenie rany wskazuje, że zabójca najprawdopodobniej stał w drzwiach. Dziwne – powtórzyła.

– A co w tym takiego dziwnego? – spytał Bugrowski.

– Liza – scedowałem odpowiedź na kapitan Wierchońską.

Sprawa wyglądała na banalną, ale nawet w takich okolicznościach można sprawdzić kompetencje podwładnych. Nie żebym miał wielki wybór: jeśli Stalin powierzy mi jakieś zadanie, cała moja ekipa znajdzie się od razu na głębokiej wodzie. Wypadało sprawdzić, czy wszyscy potrafią pływać.

– On nie chciał ich zabić – stwierdziła pewnie Wierchońska.

– Jasne – odburknął Bugrowski. – Tak mu jakoś wyszło.

Stuknąłem go w głowę.

– Słuchaj, co mówią mądrzejsi, i nie przerywaj – upomniałem surowo.

– Skąd wiadomo, że nie chciał ich zabić? – zapytał, masując potylicę.

– Bo dostał, co chciał, i już wychodził. Tak jak powiedziała Katia: strzelał w drzwiach. Myślę, że sekcja wykaże, że strzał padł pod kątem, bo on stał, a obie ofiary siedziały, z tym że Maria Markisian spadła po śmierci z krzesła. Zobacz, nie była nawet przywiązana jak jej mąż. Napastnik skrępował jej ręce, nogi i zakneblował. Nie spodziewał się oporu – wyjaśniła Wierchońska.

– Napastnicy – poprawiłem. – Było ich dwóch.

– A to dlaczego? – zmarszczył brwi Bugrowski.

– Zwróć uwagę na więzy: ofiary skrępowano bez nadmiernego okrucieństwa, ale starannie. Gdyby morderca był sam, omotałby ich sznurem byle jak, pospiesznie. Tymczasem ten, kto ich wiązał, najwyraźniej się nie spieszył. Bo i nie musiał, jego kumpel trzymał małżeństwo na muszce.

Po dłuższej chwili Liza skinęła głową.

– Masz rację – przyznała. – Było ich dwóch.

– A dlaczego nie trzech czy czterech? Tak naprawdę wiemy tylko, że napastnik nie działał sam – podkreślił Bugrowski.

– Niby tak. Tylko że i w tej dziedzinie obowiązuje zasada brzytwy Ockhama. Ilu bandytów potrzeba, żeby sterroryzować dwójkę bezbronnych ludzi w średnim wieku?

– Niech będzie, ale co do reszty... Nie ma śladów prochu? A może sprawca chciał stłumić hałas i strzelał, bo ja wiem? przez poduszkę? – uparcie dążył chłopak.

– Strzały usłyszeli sąsiedzi, oni też zadzwonili na milicję – przypomniałem.

– A poduszka wytłumiłaby całkowicie odgłos strzału?

– Nie, nie do końca, jednak...

– Tak? – ponaglił mnie Bugrowski.

– To stare budownictwo, jeszcze przedrewolucyjne, zwróć uwagę na grubość ścian, a to samo dotyczy też pewnie sufitów, dawniej dbano o komfort lokatorów. Napastnicy musieli o tym wiedzieć, wątpię, żeby specjalnie przejmowali się hałasem. Według zeznań sąsiadów Markisianów zabito około czwartej nad ranem, a wtedy większość ludzi śpi twardym snem. Nawet gdyby obudził cię jakiś dziwny odgłos, wątpliwe, żebyś od razu skojarzył to ze strzelaniną. Gdyby sąsiedzi nie cierpieli na bezsenność, zwłoki znaleziono by nie prędzej niż za kilka dni. Co do odległości, z jakiej strzelano, to detale wyjdą dopiero na sekcji, ale myślę, że Katia ma rację: morderca stał parę metrów dalej. Gdybyś strzelał z bliska, przez poduszkę, najłatwiej byłoby celować w głowę. W ten sposób zakończyłbyś sprawę jednym strzałem i nie musiał się schylać.

Podszedłem do zwłok i wyciągnąwszy broń, wycelowałem w trupa.

– Zwróć uwagę, że mierząc w serce, musiałbym się pochylić albo trzymać dłoń w niewygodnej pozycji. Wówczas pocisk wszedłby pod dużo bardziej ostrym kątem, skierowany z góry w dół.

– Tego nie widać przez ubranie – zauważył Bugrowski.

– Niedokładnie – zgodziła się Katia. – Jednak plama krwi miałaby wtedy inny kształt. Poza tym jest jeszcze jeden sposób, żeby potwierdzić, że zabójca stał w progu.

– Jaki?

– Saszka?

Stałem w drzwiach i wycelowałem w Markisiana. Katia podniosła z podłogi kłęb sznura – zapewne tego samego, którego użyli mordercy – po czym przywiązała jeden koniec do kabłąka mojego tokariewa i poprowadziła linkę do piersi zabitego.

– Widzisz? – powiedziała. – Mężczyzna średniego albo nieco powyżej średniego wzrostu, celujący lekko w dół trafiłby dokładnie tam, gdzie oberwał Markisian.

– No dobrze, wyobraźmy sobie, jak to wyglądało – zaproponował Bugrowski. – Drzwi wejściowe i zamek są nienaruszone, czyli małżeństwo musiało ich wpuścić.

– Zgadza się – przytaknąłem.

– W środku nocy? Obcych?

– Bo ja wiem, czy obcych? – odparłem wykrętnie.

– Co macie na myśli?

– Na razie nic specjalnego, skoncentruj się na tym, co mamy.

– No dobrze – odburknął chłopak. – Jeśli założyć, że bandyci nie chcieli zabijać, coś musiało się stać w ostatniej chwili, kiedy już wychodzili. Tylko co? Bo przecież zabrali monety, Markisian podał im kod do sejfu...

Przytaknąłem.

– Powiedział coś, co im się nie spodobało? Może obraził? Bo nie miał knebla w ustach jak jego żona.

– Ciepło – zachęciłem.

Bugrowski potarł z namysłem skronie, mamrocząc pod nosem:

– Powiedział, powiedział... Nie – zdecydował. – On nie mógł ich prowokować, bał się o żonę. Bo napastnicy zagrozili, że będą ją torturować, dlatego miała knebel. Znaczący wiedzieli, że facet pęknie, jeśli ją skrzywdzą. Ktoś, kto oddał majątek, żeby ocalić żonę, nie unosiłby się honorem w ostatniej chwili.

Ponownie przytaknąłem. Widać było, że chłopak jest zielony jak szczypiorek na wiosnę, ale uczy się w błyskawicznym tempie. Może nie pożałuję, że wziąłem go do siebie? Po minie Wierchońskiej widziałem, że rozwiązała już zagadkę. Przyłożyłem palec do ust, nakazując jej milczeć. Posłusznie skinęła głową.

– On ich rozpoznał! – wykrzyknął Bugrowski. – No, może jednego z nich – poprawił się szybko. – Tylko jak, bo przecież na pewno nosili maski? Aleksandrze

Nikołajewiczu?

Wydałem z namysłem wargi, zastanawiając się, czy nie ochrzanić chłopaka za zwracanie się do mnie z użyciem patronimiku – zbyt duża różnica wieku i rangi, żeby mógł sobie na to pozwolić. Z drugiej strony pewnie nie miał nic złego na myśli, poczuł się częścią zespołu. No i najważniejsze: wykonał zadanie, domyślił się, dlaczego zastrzelono Markisianów. A niech mu tam będzie...

– To nie ma znaczenia – odpowiedziałem. – Może skojarzył głos albo jakiś gest, sposób poruszania się?

– Czyli przynajmniej jeden z nich był znajomym kogoś z gospodarzy?

– Oczywiście. A skąd wiedziałby o monetach, o tym, jak dostać się w nocy do mieszkania Markisianów, wreszcie że facet bardziej będzie się bał o żonę niż kolekcję złotych monet?

– Na kogo byście stawiali? Jak myślicie, to ktoś z rodziny?

– Liza?

– Wątpię – odezwała się z namysłem Wierchońska. – Za duże ryzyko, że ich rozpoznają. Wtedy bandyci od razu braliby pod uwagę morderstwo.

– Ale maski...

– Nie poznałbyś własnego ojca czy brata, niechby i w masce? – odpowiedziała pytaniem.

– No tak, rzeczywiście... To kto zostaje? Sąsiedzi?

– Niekoniecznie obecni – wtrąciła się milcząca do tej pory Katia. – Niemniej jednak to ktoś, kto mieszkał przez jakiś czas w tej kamienicy i nieźle znał zabitych.

– To trochę się nachodzimy, żeby ich znaleźć – westchnął Bugrowski.

– Chyba nie, zerknij na więzy – zaproponowała.

– No patrzę, lina jak lina. – Wzruszył ramionami.

Podszedłem i ja, zaalarmowany tonem dziewczyny.

– To nie są węzły żeglarskie ani *hojojutsu*... – urwałem, zastanawiając się, gdzie coś takiego widziałem.

Bo że widziałem, byłem pewien.

– Co za *hojojutsu*? – spytała Liza.

– To japońska sztuka krępowania. Czasem się przydaje – dodałem z roztargnieniem.

– Kto jeszcze poza marynarzami wykorzystuje na co dzień liny? – zastanawiał się na głos Bugrowski.

– Alpiniści – poddała z uśmiechem Katia.

– W takim razie trzeba się dowiedzieć, kto w okolicy uprawiał wspinaczkę albo służył w oddziałach strzelców górskich – powiedziałem.

– Myślałem, że pójdziemy świętować – odparł naburmuszony Bugrowski. – No bo przecież praktycznie rozwiązaliśmy sprawę.

– Rozwiązaliśmy i pójdziemy – zapewniłem. – Lecz ktoś musi postawić kropkę nad „i”...

Przez chwilę chłopak wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem, wreszcie jęknął głucho.

– Nie, nic nie mówcie, niech zgadnę: powinienem zgłosić się na ochotnika?

– Niekoniecznie, mogę cię wyznaczyć, ale skoro sam proponujesz...

Katia i Liza zachichotały, patrząc na nieszczęśliwą minę najmłodszego członka zespołu.

– A wy będziecie obżerać się kawiozem w „Anastazji”?

– Niezły pomysł – przyznałem. – Co wy na to, drogie panie?

– Całe lata nie jadłam kawioru – odezwała się Katia.

– Ja parę dni temu, ale lubię kawior. Jak myślicie? Zamówimy do tego bliny? – zasugerowała Liza.

– Gryczane bliny z kawiozem i kwaśną śmietaną – poddała Katia. – A może z dodatkiem łososia?

– Jedno i drugie – zdecydowałem.

Bugrowski wyglądał jak dziecko, któremu zabrano ulubioną zabawkę.

– A ja w tym czasie...

– Ty będziesz rozmawiał z sąsiadami, dopóki nie znajdziesz naszego alpinisty – dokończyłem. – I jeszcze jedno: nie waż się z nim gadać, chyba że trafisz na niego przypadkiem. Zaczynaj od samotnych starych bab, te zazwyczaj wiedzą najwięcej. Gdy ustalisz jego personalia, natychmiast zamelduj się na Pietrowce!

– Tak jest! – odparł ponuro Bugrowski.

Wychodząc z mieszkania Markisianów, słyszałem, jak chłopak klnie pod nosem. Cóż, życie to nie bajka: czasem trzeba zrezygnować z kawioru...

– Może trzeba mu było dać kogoś do pomocy?

W głosie Lizy wychwyciłem nutę niepokoju. Nie dziwiłem się jej, w końcu była doświadczonym oficerem.

– Nie! – powiedziałem twardo.

– Do pomocy? – zmarszczyła brwi Katia. – Sam sobie nie poradzi?

– Zależy z czym – odparłem cierpko. – Liza boi się, że Bugrowski mnie nie posłucha i polezie jednak przesłuchiwać naszego alpinistę. Albo nawet zechce go samodzielnie aresztować. Tyle że zabroniłem mu tego robić, jeśli naruszy mój zakaz...

– Obojętnie wzruszyłem ramionami.

– To co? Myślisz, że tamten...

– Myślę, że morderca nie ma nic do stracenia. Myślę też, że nie potrzebuję głupich współpracowników ani takich, którzy mają problemy z wykonywaniem rozkazów.

– Saszka! Musimy...

– Nie! – powtórzyłem z naciskiem.

Wyszliśmy na ulicę, w powietrzu czuć było nadciągającą jesień. Z pobliskiego rynku dochodziła woń kwiatów i owoców, podszyta aromatem dymu i nagrzanej ziemi. Przymknąłem oczy oślepiiony błyskiem odbitego w szybie słońca – ktoś otworzył okno w stojącej naprzeciwko kamienicy. Odruchowo zerknąłem w górę: drugie piętro. I nikogo w oknie. Uderzenie serca później runąłem na bruk – za wolno! – poczułem smagnięcie ognistego bicia.

– Snajper na dwunastej! – wrzasnąłem, rzucając się do biegu.

Znowu odruch, tyle że bezsensowny: tu nikt nie osłoni mnie ogniem – broń miała tylko Liza, a tej nie uczyli taktyki walk ulicznych. Wiedziałem, że mam tylko jedną szansę: albo załatwię snajpera tu i teraz, albo facet zwieje i kiedy spotkamy się ponownie, nie chybi...

Wbiegałem po schodach, czując, jak z każdym krokiem ucieka ze mnie życie. Pocisk przeszedł pod obojczykiem, jeśli trafił w tętnicę...

Czekał na mnie za załomem korytarza, wybił pistolet jednym uderzeniem kolby. Dokładnie tego chciałem: nie sposób bawić się w podchody, gdy nie wiesz, ile sekund życia ci pozostało...

Kopnięciem złamałem mu goleń, kiedy zaczął padać, wbiłem ostrze w brzuch, przekreśliłem w ranie. Ledwo zdążyłem – w sekundę później zdrętwiała mi lewa ręka.

– Kim jesteś?! – wycharczałem, patrząc w gasnące oczy. – Kto cię przysłał?!

– *Hie gut Brandenburg allewege* – odszepnął z krwawą pianą na ustach.

I po chwili zupełnie innym, miękkim głosem:

– *Mutti, Mutti...*

Ktoś powtarzał moje imię, dudniły drewniane schody, ktoś krzyczał, ktoś płakał. Wzrok przesłoniła mi gęstniejąca z każdą chwilą mgła. Zanim zapadła ciemność, z półmroku wychynęła sylwetka młodej kobiety. Nieznajoma stanęła przed wielkim ściennym lustrem i skłoniła się swemu odbiciu z dystynkcją godną cesarskiego dworu.

– *Bonjour, madame la baronne* – powiedziała z figlarnym uśmiechem.

– *Balonne?* – usłyszałem dziecięcy głos.

– Saszka, ty mały łobuzie! – zawołała, maskując czułość udawanym gniewem.

Po chwili objęły mnie czyjeś ramiona, poczułem zapach nieznanych, a jednak znajomych do bólu perfum.

– Saszka, Saszka!

Powitałem mrok uśmiechem.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Białe płaszczyzny ścian kołysały się w rytmie mojego oddechu, w świetle elektrycznej żarówki majaczyła blada plama czyjejś twarzy. Zamrugalem, nie pomogło: kontury przedmiotów nadal pozostały rozmyte jak pod wodą. Zamknąłem oczy i wstrzymałem oddech, skoncentrowałem się na uderzeniach serca. Kiedy ponownie uniosłem ciężkie powieki, widziałem już dużo lepiej. Warwara Siemionowna siedziała przy moim łóżku, szepcząc czułości na zmianę z przekleństwami. Zmieszane z tuszem do rzęs łyzy malowały na jej policzkach dziwaczne wzory podobne do indiańskich tatuaży.

- Nie płaczcie już. Okropnie wyglądacie – wyszeptalem.
- Zobaczyłbyś siebie – odburknęła, pociągając nosem.
- Gdzie... jestem?
- To dawny szpital numer trzystaście, obecnie dziecięcy. Przywieźli cię tutaj, bo było najbliżej.
- Jakie... rokowania?
- Jeśli w ranę nie wda się zakażenie, wszystko będzie dobrze. Tyle że straciłeś mnóstwo krwi.

Dopiero teraz zauważyłem, że lewą rękę trzyma opartą o kolano i od czasu do czasu masuje zgięcie łokcia.

- Oddaliście mi krew! – powiedziałem oskarżycielsko. – W waszym wieku to wariactwo!
- To nie moja wina, że masz rzadką grupę! Mieliśmy takiej tylko pół litra.

– Tak czy owak, koniec z tym – rzuciłem ponuro. – Jakby co, zadzwonię na Pietrowkę, Poliakow ma taką samą grupę jak ja, a z takiego byka można uzyskać sporo... hmm... surowca.

– Ten pułkownik? Jesteś pewien, że się zgodzi?

– Zgodzi się, zgodzi. Tylko uprzedźcie go, żeby wcześniej nie chlał, bo dostanę więcej wódki niż krwi.

– Zadzwonię – obiecała. – A jutro i tak przyjedzie tu pół MUR-u. Wszyscy chcą oddawać krew.

– A to po cholere? Niepotrzebne mi aż tyle, a i większość ma inną grupę.

– No tak, ale oni o tym nie wiedzą – odparła spokojnie Warwara Siemionowna. – A nam się przyda. Te dwie ślicznotki i pucołowaty oddali krew już wczoraj. Wiesz, kiedy cię przywieźli.

– Bugrowski też?

– Tak się chyba nazywał.

– No, no...

– Teraz musisz coś zjeść.

– Nie jestem głodny.

– Razumowski...

– Kiedy naprawdę nie mam apetytu.

Siostra oddziałowa nabrała tchu i w prostych, żołnierskich słowach wyjaśniła mi, gdzie ma mój brak apetytu. Po chwili karmiła mnie już łyżką. Mimo że zostałem zbesztany jak uczeń, czułem więcej ulgi niż złości: widać nie jest ze mną tak źle. Pamiętałem, że Warwara Siemionowna nie krzyczy tylko na naprawdę ciężko chorych. Znaczą jeszcze trochę pożyję...



Obudził mnie dziwny metaliczny zgrzyt. Uchyliłem ostrożnie powieki: na brzegu łóżka siedziała zabiedzona kilkulatka i dojadała resztki mojej wczorajszej kolacji. Kiedy zauważyła, że się ocknąłem, rzuciła talerz i uciekła. Zacisnąłem ze złością usta. Nie jestem specjalnie sentymentalny, lecz nie miałem ochoty oglądać głodujących dzieci – w czasie wojny widziałem ich aż nadto. A mała wyglądała na niedożywioną. Coś tu było nie tak, bo jeśli chodzi o zaopatrzenie, szpitale traktowano priorytetowo.

– Wracaj! – zawołałem.

Odpowiedział mi tylko tupot nóg. Widać dzieciak nie na żarty się wystraszył.

– Wołałeś mnie? – W drzwiach stanęła Warwara Siemionowna.

– Niezupełnie, ale dobrze, że jesteście. Co to za dziewczuszka?

– Aniuta?

– Ta, co przed chwilą biegła korytarzem – doprecyzowałem.

– To ona. A co, obudziła cię? Mówiłam paskudzie, żeby...

– Nie o to chodzi – przerwałem bezceremonialnie. – Wylizywała resztki zupy z mojego talerza. Wygląda na zagłodzoną.

Bardzo się starałem, żeby nie zabrzmiało to jak zarzut, jednak Warwara Siemionowna i tak spuściła głowę.

– Dyrektor i intendent – wymamrotała niewyraźnie.

– Tak?

– Kradną na spółkę. Zawiadomiłam milicję, ale najwyraźniej mają układy w miejscowym komisariacie. – Wymownie wzruszyła ramionami.

– A co z wami?

– Nie rozumiem.

– Rozumiecie, rozumiecie! – burknąłem. – Przecież nie puścili wam tego płazem!

Przez moment wyglądało, jakby Warwara Siemionowna chciała zaprzeczyć, w końcu ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie jestem już siostrą oddziałową – przyznała.

– Dlaczego nie zwróciliście się do mnie albo do Poliakowa? Mówił, że widział się z wami niedawno.

– Nie chciałam zwracać ci głowy, a Poliakow to twój kumpel, nie znam go bliżej. On ma dość... specyficzną opinię, bałam się, że dostaje dołę od tych milicjantów.

Westchnąłem bezradnie: kobiety...

– Do Poliakowa możecie zwracać się jak i do mnie: w każdej chwili i w każdej sprawie. I wybaczcie, że nie będę was odwiedzał co tydzień i zapewniał o swoich uczuciach, to raczej nie w moim stylu – odparłem sucho. – Niemniej jednak wolałbym wiedzieć, jeśli potrzebujecie pomocy. Jakiegokolwiek. Kiedykolwiek – dodałem z naciskiem.

– Dobrze, Saszka – powiedziała pokornie.

Kiedy wyszła, siłą woli musiałem powstrzymać się przed zgrzytaniem zębami. Co za pierdolone gnoje! Już ja się nimi zajmę! Cóż, dopóki nie zobaczę się z Poliakowem, i tak nic nie zdziałam. Akurat mam czas, żeby ułożyć listę. Bo ze złodziejami mógłbym ewentualnie rozliczyć się sam, ale nie przywrócę przecież Warwarze Siemionownie stanowiska – za wysokie progi dla kapitana, a nawet pułkownika Razumowskiego. Tyle że przecież Warwara Siemionowna niejednego prominenta wyciągnęła spod kosy. A ja nie byłem taki dumny, żeby nie poprosić o pomoc. Oczywiście ludzie są różni: niektórzy błyskawicznie zapominają o wyrządzonych im przysługach, ale inni chętnie spłacą dług...



Katia odłożyła wyniki badań, w zamyśleniu zabębniła palcami po blacie: dla wygody odwiedzających do mojej izolatki wstawiono kulawy stolik i krzesło.

- I co? – ponagliłem.
- Będziesz żył – odparła z uśmiechem.
- Jakie są rokowania? Kiedy stąd wyjdę?
- Najpierw musisz wrócić do sił. Potrzebujesz odpoczynku.
- Nie mam na to czasu!
- Będziesz musiał znaleźć – stwierdziła chłodno.
- Katia!

Jekatierina Romanienko, doktor nauk medycznych, demonstracyjnie i bez pośpiechu pokazała mi język. Sapnąłem ze złością. Ledwo położyła człowieka w szpitalu, a natychmiast zbiegła się gromadka kobiet, które lepiej od niego wiedzą, czego mu potrzeba...

- Jak myślisz, skąd się wziął ten snajper? – spytałem z wymuszonym spokojem.
- Nie rozumiem.
- Pamiętasz, jak wyglądało pomieszczenie, z którego strzelał?
- Oczywiście, sama zajmowałam się dokumentacją fotograficzną.
- Więc?
- Otwarte okno, nieco w głębi pokoju stół, do klamki okna przywiązany był kawałek linki...
- To był zawodowiec najwyższej klasy – wszedłem jej w słowo. – Usiadł albo uklęknął na stole i kiedy zauważył, że wychodzę, otworzył okno, ciągnąc za sznurek. Tak żeby z ulicy nie można było niczego zobaczyć. Gdyby nie to, że oślepiło mnie odbite w szybie słońce, leżałbym teraz w zupełnie innym miejscu... Takich sztuczek uczył tylko dywersantów. Kiedy umierał, szepnął: *Hie gut Brandenburg allewege*.

- Co to ma niby znaczyć? Znam niemiecki, ale...
- To dewiza niemieckiej jednostki dywersyjnej „Brandenburg” – wyjaśniłem sucho. – Trudno ją dosłownie przetłumaczyć, to coś w rodzaju: „Wierni Brandenburgii na zawsze” albo „Brandenburgia po wsze czasy”. Nieważne. W czasie wojny wzięliśmy do niewoli sporą grupę brandenburczyków. Tylko wiesz co? Wszyscy oni siedzą w obozach, pod specjalnym nadzorem. Bo wiemy, na co ich stać. A ten nagle nie dość, że znalazł się na swobodzie, to jeszcze uzbrojony po zęby. Wniosek: ktoś chce posłać do piachu niejakiego Razumowskiego! I to nie byle kto, ale ktoś bardzo wpływowy, bo nie każdy może zorganizować ucieczkę brandenburczykowi!
- Myślałam... Gazety pisały, że to zwykły żołnierz, że uciekł z konwoju...

– A co miały napisać? Przyznać, że ktoś wykiwał system? Że na swobodzie hulają sobie niemieccy dywersanci? Że ktoś z naszych im pomaga i zaopatruje w broń? Katia, Katia...

– Dwa, może trzy dni – powiedziała po namyśle. – Jeśli wyjdiesz wcześniej, rana może się znowu otworzyć, nie mówiąc już o tym, że najprawdopodobniej padniesz po przejściu stu metrów.

Przytaknąłem niechętnie. Rzeczywiście moja kondycja pozostawiała wiele do życzenia – na razie ledwo byłem w stanie przejść parę metrów dzielących mnie od toalety.

– W porządku, zostanę, chciałbym jednak cię o coś prosić.

– Tak?

Wziąłem dziewczynę za rękę i wypisałem jej na dłoni kilka cyfr kopiającym ołówkiem, który zostawił ktoś z personelu.

– Zadzwoń pod ten numer i powiedz, że leżę w szpitalu.

– Co to za numer?

– A nie możesz spełnić mojej prośby bez zadawania pytań?

Katia wydeła wargi i przecząco pokręciła głową.

– Mocodawca tego brandenburczyka nie przerwie polowania tylko dlatego, że leżę w szpitalu. Może zechce mnie udusić poduszką, a może wrzuci przez okno wiązkę granatów. Ten telefon to sygnał alarmowy dla ludzi, którzy będą w stanie zatroszczyć się o moje bezpieczeństwo i dopilnować, żeby nikomu z pacjentów czy personelu nie stała się krzywda. Zadowolona?!

– Przepraszam, Saszka, ja...

– Idź już – poprosiłem. – Jestem zmęczony.

Wyszła bez słowa.



Obudziło mnie uczucie, że nie jestem sam: tym razem dziewczuszka – jak jej tam było? Aniuta? – raczyła się gotowanymi ziemniakami. Siedziała – a jakżeby inaczej! – na skraju mojego łóżka, choć tuż obok stało krzesło. Ech, ani chwili spokoju...

– Kto cię tu wpuścił? – spytałem surowo.

– Wujek – wymamrotała niewyraźnie. – Ten, który stoi przy drzwiach.

– Po co tu przyszłaś?

– Dać ci ziemniaczka ze swojego obiadu. Bo zjadłam ci zupę.

– Ktoś ci kazał?

– Nie, ja sama! – zaprotestowała z oburzeniem. – Wiem, że to nieładnie zabierać

komuś jedzenie, ale brzusek bardzo mnie bolał...

– Nie chcę – mruknąłem. – Nie jestem głodny.

– To mogę wszystko sama zjeść?

– Możesz.

– Naprawdę? Bo dzisiaj dostałam dużo ziemniaczków. Ciocia Warwara mówi, że tak będzie już zawsze.

– Naprawdę. A gdzie jest Warwara Sie... ciocia Warwara?

– Pojechała na milicję z wujkiem Kolą.

– Jakim, do licha, Kolą?!

– Nie przeklinaj! – upomniała mnie surowo. – Bo ciocia Warwara wyszoruje ci buzię mydłem.

Westchnąłem bezradnie, najwyraźniej przespałem to i owo.

– Wujek Kola to takie wielkie byczysko?

Dziewuszka przytaknęła z powagą.

– Rozmawiał dzisiaj z in... inte...

– Intendentem?

– Uhm. I ryczał jak byk.

– Znaczy kto ryczał? Wujek Kola czy intendent?

– Wujek Kola. Intendent piszczął jak mała dziewczynka. Ale ja nie piszczę. I jestem już duża – zaznaczyła dobitnie.

– Jasne...

– Nie piszczę! – powtórzyła, tupiąc nogą. – No, może trochę, ale to było wtedy, jak Wańka wrzucił mi żabę do łóżka...

– Każdy by zapiszczał – przyznałem zgodnie. – A teraz zawołaj tego wujka spod drzwi.

Po chwili dziewczuszka wróciła, prowadząc za rękę postawnego mężczyznę w wojskowym mundurze.

– Pewnie teraz mam sobie pójść? – zapytała domyślnie.

Oficer sięgnął do kieszeni i wręczył jej cukierka.

– Jesteś wyjątkowo inteligentną młodą damą – oświadczył. – I nie waż się podsłuchiwać!

Dziewczynka zachichotała i wybiegła na korytarz, a Siemionow – teraz już pułkownik, a nie major – przysiadł na krześle.

– Jak sytuacja? – spytałem bez wstępu.

– Chujowa – odparł równie bezceremonialnie.

– Co się dzieje?

– Żebym to ja wiedział – odburknął. – Szef był na Kremlu z twojego powodu, a później poderwał w trybie alarmowym całą grupę. Mamy cię ochraniać. No i jestem.

– Wzruszył ramionami.

– Myślałem, że to Katia was zawiadomiła.

– Nie, kiedy zadzwoniła, już tu byliśmy.

– Szlag!

Siemionow skinieniem głowy przyznał mi rację.

– Jakież plotki?

– Można? – Wyjął paczkę papierosów.

– Nie krępuj się – mruknąłem, wiedząc świetnie, że mój rozmówca nie pali.

– Na Kremlu panika – stwierdził szeptem, zakrywając usta pod pretekstem przypalenia papierosa. – Ogłosili alarm, odwołali wszystkie wyjazdy Stalina.

– Myślisz, że ma to coś wspólnego z tym zamachem na mnie?

– A ty nie? I druga plotka: podobno szykuje się jakaś kontrola w MGB, na celowniku są ludzie Abakumowa i on sam.

Uniosłem ze zdziwieniem brwi. Niedawno towarzysz Stalin mianował Abakumowa na stanowisko ministra bezpieczeństwa państwowego, aby przeciwdziałać rosnącym gwałtownie wpływom Berii. Znacząca sytuacja musiała wymknąć się spod kontroli, bo problemy Abakumowa to sukces Berii, a skoro chcieli osłabić tego ostatniego...

– Beria pewnie się cieszy?

– W tym sęk, że nie. Podobno nawet wspiera Abakumowa, tyle że po cichu.

– Żartujesz!

– Chciałbym – odparł ponuro Siemionow. – Wydaje się, że obaj grają przeciwko nam, bo poza *wojennoj razwiedkoi* nie ma innej siły, która mogłaby im zagrozić. Wiesz, ten brandenburczyk mógł być nasłany przez kogoś z nich. Szpiegów i dywersantów znajdują się w gestii MGB.

Zagryzłem wargi, jeśli ludzie Abakumowa czy Berii coś spieprzyli, Stalin mógł się odwołać tylko do jednej organizacji: *wojennoj razwiedki*. To znaczy, jeśli sprawa była naprawdę poważna. A gdyby dotyczyła bezpieczeństwa genseka... Tak, tu nie byłoby litości dla nikogo, w razie czego głowy polecą jak gruchy. Kto wie czy Beria albo Abakumow nie woleliby uprzedzić ciosu. A może sprzymierzyli się, żeby sprzątnąć niejakiego Razumowskiego? W końcu obaj mieli ze mną niezłatwione porachunki... Cholerny świat! Jedyna nadzieja, że obecny szef wojskowego wywiadu nie wystraszy się konfrontacji, bo bez wsparcia swoich nie przeżyje nawet tygodnia...

Ponure rozmyślenia przerwało mi pukanie, po czym w drzwiach stanął jeden z ludzi Siemionowa. Pamiętałem go jeszcze z Breslau, czy raczej z Wrocławia, jak od niedawna zaczęto nazywać to miasto.

– Kolejni goście – zameldował z uśmiechem.

– Co się tak szczerzysz? – warknąłem.

– Obawiam się, że będziecie mieli problem, towarzyszu pułkowniku – odparł, nie przejmując się moim tonem.

Cóż, my w *wojennoj razwiedkie* nie lubimy trzaskania obcasami – wystarczy, że

każdy pamięta, kto tu rządzi. Poza walką stosunki w naszej firmie są dość familiarne. Najwyraźniej żołnierz zakwalifikował ów „problem” jako niebojowy.

– A konkretnie?

– Konkretnie to na korytarzu czekają dwie ślicznotki: jedna z milicji, druga z prokuratury. I chyba obu chodzi o to samo...

Zakląłem pod nosem, tylko tego mi brakowało!

– Mam zatrzymać którąś siłą? – zaofiarował się ochoczo Siemionow.

– Wynocha stąd obaj! I zawołajcie je.

– Oto prawdziwy duch radzieckiego żołnierza: choć ranny, nie ucieka przed przeważającym liczebnie wrogiem, mimo że starcie może zakończyć się brutalną walką wręcz – zadeklamował kpiąco Siemionow.

– Won stąd, gadzino!

Marina Kowalenko i Liza Wierchońska stanęły przede mną z identycznymi, wyrażającymi zdecydowanie minami. Jedna i druga dźwigały sporej wielkości torby, zapewne zamierzały dokarmiać chorego. Gdybym wierzył w Boga, to pewnie doszedłbym do wniosku, że ktoś na górze bardzo mnie nie lubi. Albo kpi sobie ze mnie...

Przywitałem się z dziewczynami i dokonałem szybkiej prezentacji. Marina usiadła na krześle, Liza przycupnęła na brzegu łóżka.

– Zanim nas do ciebie wpuścili, sprawdzili, czy nie mamy broni. Dlaczego? – odezwała się Marina.

Jej lekko schrypnięty głos świadczył o zdenerwowaniu.

– To nie był przypadkowy atak, prawda? – kontynuowała.

– Jak się dowiedziałaś, że leżę w szpitalu? – odpowiedziałem pytaniem.

– Wszystkie gazety o tym piszą – odparła ze zdziwieniem.

– Wymieniają moje nazwisko?

– Oczywiście.

No tak, przecież jestem teraz kapitanem milicji, a nie agentem wywiadu...

– To nie był przypadek – przyznałem. – I dość o tym – uprzedziłem, widząc, jak Liza otwiera usta. – Sprawa dotyczy mojej służby w *wojennej rozwiadce*.

– Rozumiem, że nadal istnieje zagrożenie? – upewniła się Liza.

Przytaknąłem niechętnie.

– Mogę... możemy ci jakoś pomóc?

Pokręciłem przecząco głową.

– Teraz to obszar odpowiedzialności wojskowego wywiadu. Trzymajcie się od tego z daleka. Obie – podkreśliłem z naciskiem.

– Więc...

– Więc dziękuję serdecznie za odwiedziny i prezenty, ale proszę, nie przychodźcie tu więcej, dopóki sytuacja się... nie wyklaruje.

– Saszka, ja...

– Myślisz, że coś grozi i nam? – wtrąciła Marina.

– Nie mam pojęcia. Tylko wiesz co? Wolałbym tego nie sprawdzać. Wartownik! – zawołałem.

– Tak?

Zmarszczyłem brwi: zamiast żołnierza pilnującego drzwi w progu stanął Siemionow. No nic, może to i lepiej – pogadam bezpośrednio z dowódcą ochrony.

– Co z nimi? – Ruchem głowy wskazałem dziewczyny.

– Na razie nic im nie grozi – zapewnił. – Żadna nie miała ogona.

– Jesteście pewni? – odezwała się z troską Liza. – Bo sama nie zwróciłam na to uwagi.

Siemionow przewrócił oczyma i przesłał mi spojrzenie znaczące tyle co: „Czy można im zaufać?”. Mimo że skinąłem przyzwalająco głową, nie spieszył się z wyjaśnieniami, najwyraźniej cedując je na mnie. Cóż, tak czy owak, lepiej nie wchodzić w szczegóły.

– On wie, co mówi – stwierdziłem krótko. – Jeśli twierdzi, że nikt was nie śledził, to nie ma się czym martwić.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale” – przerwałem jej bezceremonialnie. – I jeszcze raz proszę: nie przychodźcie więcej, zanim na to pozwolę.

Pożegnaliśmy się zdawkowo. Kobiety były wyraźnie skrepowane bądź to obecnością Siemionowa, bądź sytuacją. Albo jednym i drugim. Cóż, nawet milicjanci i prokuratorzy nie co dzień stykają się z zamachami dokonywanymi przez niemieckich snajperów.

– Jesteś zainteresowany Mariną? – zapytał Siemionow, kiedy zostaliśmy sami. – Znacząco osobiście zainteresowany?

– A ty skąd wiesz, jak ma na imię?

– Przecież sprawdzałem jej dokumenty...

– Niespecjalnie – burknąłem.

– W takim razie chyba spróbuję szczęścia. Szkoda jej dla takiego matołka jak ty.

– Próbuje, na zdrowie. I rozdziel tę wałówkę między dzieciaki, tylko nie mów, że to ode mnie.

– Jeśli chcesz, nie będę tu wpuszczał nikogo poza personelem.

– Tak będzie najlepiej.

– W porządku, odpoczywaj.

Odpowiedziałem nieartykułowanym pomrukiem, przymknąłem oczy: pora przeanalizować wszystkie fakty. Bo lada dzień wyjdę ze szpitala, a wtedy nie pomoże mi żadna, nawet najbardziej fachowa ochrona. No a przynajmniej – nie na długo. Jeśli mój wróg może nasłać na mnie dywersantów tej klasy, co ostatnio, moja śmierć to

tylko kwestia czasu. Chyba że ustalę, kto chce mnie zabić, i uderzę pierwszy...



Warwara Siemionowna zamocowała starannie koniec bandaża i pomogła mi włożyć koszulę.

– Goi się jak na psie – oznajmiła z zadowoleniem. – Tylko pamiętaj, żeby przyjść na zmianę opatrunku.

– Nie ma mowy! – odparłem stanowczo. – Nie chcę was narażać. Ani dzieciaków – dodałem po chwili. – Kiedy tylko stąd wyjdę, zniknie i ochrona. Opatrunek może mi zmienić Katia, to w końcu nic wielkiego, a ona jest wykwalifikowanym lekarzem.

– Sądowym – zaznaczyła Warwara Siemionowna. – I owszem, ma dobrą opinię, weź jednak pod uwagę, że jej pacjenci nie mogą się skarżyć...

Odchrząknąłem z rozbawieniem: w głosie siostry przełożonej – tak, Warwara Siemionowna otrzymała z powrotem swoje dawne stanowisko! – można było wyczuć nutkę zawiści.

– Jak sytuacja w szpitalu? – spytałem. – Co z intendentem i dyrektorem?

– Obaj poszli pod sąd, a szpitalem ma kierować Emma Wasiliewna Kuntze, wiesz, ta sama, którą podglądałeś półnagą w łazience.

Westchnąłem głęboko, lecz nie podjąłem polemiki: oboje wiedzieliśmy, że nie tyle podglądałem Emmę Wasiliewną, co ona prezentowała mi swoje wdzięki.

– W takim razie nie będziecie mieli problemów z nowym dyrektorem – zauważyłem.

– Na pewno nie. Dzięki tobie...

– Dajcie spokój – powiedziałem niechętnie. – Wykonałem tylko parę telefonów, resztę zrobili inni.

Mówiłem prawdę, okazało się, że zdumiewająco wielu byłych pacjentów Warwary Siemionowny pamiętało, komu zawdzięcza życie, i nie wahało się stanąć w jej obronie. Inna rzecz, że nie wiązało się to dla nich ze specjalnym ryzykiem; szpital okradało kilku drobnych kombinatorów rozbestwionych wieloletnią bezkarnością. Gniew generałów i wysokich funkcjonariuszy partyjnych spadł na nich niczym bicz boży i pogrążył w przerażeniu całe tabuny im podobnych. Osobiście wątpiłem, czy jakikolwiek urzędnik odważy się wejść w drogę Warwarze Siemionownie przez najbliższe kilka, o ile nie kilkanaście lat...

Skrzypnęły drzwi, do sali zajrzał Siemionow.

– Sasza! – powiedział nagłym tonem.

– Już idę – zapewniłem.

– Uważaj na siebie – poprosiła Warwara Siemionowna. – I odwiedź mnie, kiedy to wszystko się skończy.

– Odwiedzę – obiecałem.

Objęła mnie delikatnie, starając się nie urazić bolącego miejsca, jej łyzy zmoczyły mi policzki.

– Do widzenia – powiedziałem, niezgrabnie odwzajemniając uścisk.

Ludzie Siemionowa czekali tuż przy wyjściu ze szpitala, otoczyli mnie natychmiast, formując z baletową precyzją klasyczny szyk zamknięty, znany na Zachodzie pod nazwą „Gwiazda Teksasu”, a u nas nazywany po prostu „Piątką”. Sam Siemionow zajął pozycję nieco z tyłu, po mojej lewej stronie. Wiedziałem, że w razie czego to właśnie on osłoni mnie własnym ciałem i ewakuuje spod ognia wspierany przez pozostałych członków zespołu. Nie ma co ukrywać, że przedsięwzięte środki ostrożności nie wzbudziły mojego zachwytu. Świadczyły dobitnie, że zagrożenie jest więcej niż poważne. Podobnie jak nie poprawił mi humoru widok składającej się z pięciu maszyn kolumny pojazdów. Siemionow był zawodowcem i nigdy nie wykorzystywałby sił większych, niż potrzeba. A skoro uznał, że niezbędne jest aż pięć samochodów...

Siemionow wyszedł na moment z szyku i wykonał kilka na pozór przypadkowych gestów. Kurwa mać! Znaczą gdzieś w pobliżu muszą znajdować się ludzie z sekcji antyobserwacyjnej, a może i antysnajperskiej. Wniosek? Zagrożenie wychodziło poza skalę – nie jestem przecież głową państwa – i priorytetem było przywiezienie żywego pułkownika Razumowskiego na Kreml...

Po chwili znalazłem się w samochodzie. Ruszyliśmy w trzy wozy, dwie maszyny zajęły pozycję kilkadziesiąt metrów za nami. Grupa wsparcia: ci będą interweniować w razie ataku na główną kolumnę.

Od razu dało się zauważyć, że kierowcy po mistrzowsku potrafią utrzymać odpowiednie odstępstwa, tak aby w razie zagrożenia poszczególne samochody mogły manewrować, nie pozwalając jednocześnie na rozdzielenie kolumny poprzez wjechanie w nią obcego pojazdu. Z jednej strony dobrze, że chronią mnie zawodowcy, z drugiej widać, iż *wojenną razwiedką* przydzieliła mi najlepszych ludzi. A to było niepokojące. Bardzo niepokojące. Bo podobną ochronę mógł otrzymać marszałek Związku Radzieckiego, a nie zwykły pułkownik...

Nasza kawalkada zmierzała na Kreml okreśną drogą, omijając wszelkie wzniesienia, wąskie uliczki i mosty – miejsca, w których najłatwiej byłoby urządzić zasadzkę. Obserwowałem trasę przejazdu, starając się znaleźć choć jeden błąd Siemionowa, nie znalazłem żadnego. Wreszcie podjechaliśmy pod bramy Kremla. Ochrona wpuściła nas bez żadnych formalności. Najwyraźniej ktoś uprzedził o naszym przybyciu.

Ku mojemu zdumieniu pozwolono nam zachować broń, a ludzie Siemionowa

eskortowali mnie aż do skrzydła, w którym mieszkał Stalin. Dopiero tutaj zmienili ich oficerowie należący do osobistej ochrony genseka.

Gabinet Stalina nie zmienił się ani na jotę od mojej ostatniej bytności: te same meble i portrety na ścianach, ten sam samowar i serwis do herbaty. Tylko sam generalny sekretarz wyglądał na dużo starszego i bardziej zmęczonego niż w czterdziestym piątym.

Po krótkim powitaniu Stalin bez słowa podsunął mi cienką tekturową teczkę. Wewnątrz znajdowała się kartka z wypisaną na maszynie listą nazwisk. Kilka z nich skreślono czerwonym atramentem, ale to trzy ostatnie zwróciły moją uwagę: Abakumow, Beria, Stalin...

– Co to ma znaczyć? – spytałem zdezorientowany.

– Kojarzycie te nazwiska? – odpowiedział pytaniem Stalin.

– Tylko trzy ostatnie.

– Cóż, pozostali to pracownicy aparatu bezpieczeństwa, głównie MBP i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Czterech z nich już nie żyje.

– Rozumiem, że nie umarli z przyczyn naturalnych?

– Słusznie się domyślacie. To lista skazanych na śmierć.

Mało brakowało, a parsknąłbym śmiechem: ostatnie nazwiska z listy wskazywały, że jej autorem jest kompletny wariat. Tylko idiota groziłby Abakumowowi – ten słyszał z tego, że nie zostawiał żywych wrogów. Jednoczesna groźba pod adresem Abakumowa i Berii sugerowała, że jej autor znajduje się poza skalą psychicznych aberracji, a dodanie do niej Stalina w ogóle nie mieściło się w głowie. Dlaczego jednak wezwano mnie z tak idiotycznego powodu?

– Dziwicie się, prawda? – odezwał się Stalin.

Odchrząknąłem niepewnie.

– No, dalej, nie krępujcie się, zależy mi na waszej opinii!

– Mam wrażenie, że to sprawa dla psychiatry – odparłem wreszcie.

– Chciałbym się z wami zgodzić – odburknął gensek. – Niestety, nie mogę...

– Towarzyszu generalny sekretarzu, fakt, że ktoś zabił kilka osób, nie świadczy o jego wszechmocy czy geniuszu, nawet jeśli ci ludzie mieli ochronę. Taki zamach to nic trudnego.

– Możecie to wyjaśnić?

– Większości urzędników i funkcjonariuszy średniego szczebla przysługuje jednoosobowa ochrona. Przeważnie jest nią uzbrojony szofer. W tej sytuacji jakiegokolwiek rzeczywiste zabezpieczenie przed atakiem jest fikcją. Nie można jednocześnie znajdować się u boku ochranianej osoby i sprawdzać pomieszczenia, do którego ona wchodzi. W czasie jazdy ochroniarz ma zajęte ręce, bo przecież kieruje, więc nie może jednocześnie odpierać ataku... A działania kontrinwigilacyjne? A ewakuacja rannego czy udzielenie mu pierwszej pomocy w przypadku ataku?

Nawet szczebel wyżej...

– Tak?

Zagryzłem wargi: nie ulegało wątpliwości, że muszę odpowiedzieć na pytanie genseka, jednak jeśli przesadzę ze szczerością...

– Nawet jeżeli ktoś z racji stanowiska dysponuje dwójką czy trójką ochroniarzy, rzadko kiedy łączy się to z prawem posiadania drugiej maszyny – powiedziałem ostrożnie.

– I co z tego?

– Ta zwiększona liczebność ochrony przydaje się tylko w określonych sytuacjach, natomiast w razie ataku na samochód nie ma wielkiego znaczenia. Bo wszyscy znajdują się w jednym pojeździe. Wystarczy go uszkodzić i... – zawiesiłem wymownie głos.

– Znakomita analiza, pułkownika Razumowski – pogratulował mi ironicznie Stalin.
– A teraz zapoznajcie się z tymi dokumentami. – Podsunął mi kolejną, tym razem mocno wypchaną teczkę.

Przeglądałem papiery dobry kwadrans, podczas gdy gensek cierpliwie czekał, popijając herbatę. Sprawozdanie dotyczyło skomplikowanego, wieloetapowego zamachu na naczelnika więzień specjalnego przeznaczenia, niejakiego Parfimowa (jego nazwisko znajdowało się wśród skreślonych na czerwono). Sprawcy zaatakowali w czasie jednej z podróży inspekcyjnych generała: unieruchomili samochód otwierający złożoną z kilku maszyn kolumnę, zablokowali wąską górską drogę ustawioną w poprzek ciężarówką, co uniemożliwiło zawrócenie kolumny, po czym ostrzelali i obrzucili unieruchomiony konwój granatami. Efekt? Dwunastu zabitych ochroniarzy, no i oczywiście sam generał Parfimow...

– I co o tym myślicie? – spytał wreszcie Stalin.

– To wygląda poważnie – przyznałem niechętnie. – Tym razem sprawcy pokonali dobrze zorganizowaną ochronę. Widać, że ten, kto dowodził zamachem na Parfimowa, ma duże doświadczenie i spore możliwości, ponieważ w ataku wykorzystano panzerfausty, granaty i broń maszynową.

– To wszystko, co możecie wywnioskować z tych dokumentów?

– Reszta to tylko moje przypuszczenia...

– Przypuszczajcie – zezwolił gensek.

– Uważam, że zamachowcy przeszli nie tylko szkolenie wojskowe, ale mają też pewne doświadczenie bojowe. Są zgrani, to nie jest jakaś zbieranina, być może walczyli wspólnie w czasie ostatniej wojny.

– Rozumiem, że zmieniliście zdanie? Ci bandyci stanowią jednak realne zagrożenie?

– Zależy dla kogo – odparłem ostrożnie. – Parfimow miał niezłą ochronę, ale na pewno nie była to najwyższa półka, poza tym zaatakowano go na terenie, który

sprzyjał zamachowi, za to poważnie ograniczał możliwości ochrony. Do tego rzecz miała miejsce na odludziu. Gdzie indziej taka strzelanina natychmiast wywołałaby reakcję odpowiednich organów.

– A jak oceniacie zamach na was? Pod względem fachowości?

– Był... dziwny.

– A to dlaczego? Z tego, co mi wiadomo, przeżyliście tylko dzięki łutowi szczęścia.

– Z jednej strony zamachowiec zachował się jak zawodowiec najwyższej klasy: przeprowadził rozpoznanie, znakomicie wybrał miejsce akcji, cierpliwie czekał na dogodną okazję, trafił, mimo że w ostatnim momencie rzuciłem się na ziemię. Z drugiej, zamiast uciec, kiedy zorientował się, że żyję, zaczął się na mnie, tak jakby za wszelką cenę musiał mnie zabić. A przecież wiedział, że szanse, aby ujść cało, maleją z każdą sekundą. To było... nieprofesjonalne.

– Tak jakby ktoś go zmusił, żeby was zabił, choćby za cenę własnego życia?

– Możliwe – potwierdziłem ponuro.

– Pewnie zastanawiacie się, dlaczego zawracam wam głowę?

– Mój czas należy do was, towarzyszu generalny sekretarzu.

– Muszę się wam przyznać do małego oszustwa: lista, którą wam pokazałem, jest niekompletna, ale chciałem, żebyście zachowali maksymalny obiektywizm. Oto wierna kopia oryginału.

Wziąłem podaną mi przez Stalina kartkę, prześliznąłem się po niej wzrokiem. Lista różniła się od poprzedniej tylko jednym detalem: dodano do niej moje nazwisko...

– Wariactwo – wymamrotałem pod nosem.

Bo i cóż mogłem mieć wspólnego z Berią, Stalinem, Abakumowem i nieznanymi mi nawet z nazwiska funkcjonariuszami aparatu bezpieczeństwa? A autor listy najwyraźniej uważał, że coś mnie z nimi łączy.

– Wiadomo, kto to napisał?

– Owszem, dlatego was wezwałem. Listę sporządził Jurij Dymitrowicz Wołkow. Znalaziono ją w moim gabinecie.

– Generał Wołkow?! Dołączono do niej jakiś list? Była podpisana?

– Dołączono.

– Kto go podłożył?

– Jedna ze sprzątaczek. Popełniła samobójstwo, zanim została aresztowana.

– Co było w liście?

– Nic specjalnego, jedno zdanie: *Za moju docz.*

– Dlaczego miałyby się mścić za córkę? Aresztowaliśmy ją co prawda, ale nikt nie zrobił jej krzywdy. A biorąc pod uwagę, że była narkomanką, nie mieliśmy innego wyjścia.

– Pół roku temu Swieta Wołkowa została przeniesiona do aresztu śledczego MGB, a później specjalnego więzienia dla osób osądzonych z paragrafów „zdrada ojczyzny”

i „kontrewolucja”. Na wniosek towarzysza Abakumowa...

– Przeniesiona?

– Generał Wołkow szantażował nas, że ujawni swoją misję, jeśli jego córka nie będzie bezpieczna. Na początku tego roku kwestia stała się nieaktualna, ponieważ siatka, którą kierował Wołkow, została wykryta przez angielski kontrwywiad. Obecnie nikt nie ma wątpliwości, że zbliża się czas, kiedy staniemy do konfrontacji z niedawnymi sojusznikami. Niektórzy nazywają to „zimną wojną”.

No tak, fakt, że szpiegowaliśmy sojuszników, przestał być tajemnicą, stąd Wołkow stracił swój jedyny atut. Ale dlaczego aresztowania Wołkowa nie powierzono *wojennej rozwiadce*? Czyżby Stalin obawiał się, że GRU będzie chroniło swojego byłego agenta? Idiotyzm! A może to kolejna zagrywka w celu osłabienia wojskowego wywiadu? Niedawno połączono siły wojskowego i cywilnego wywiadu, tworząc Komitet Informacji, w wojsku zaś pozostała jedynie niewielka *Razwiedywatielno-Diwersionnaja Służba*, choć i tak wszyscy nasi używali nazwy GRU. No nic, miejmy nadzieję, że to nie na długo. Kurwa, jak ja nienawidzę polityki!

– Co się stało ze Swietą Wołkową?

– Według meldunku dyrektora więzienia, pułkownika Riabcewa, zmarła na gruźlicę.

Pokiwałem głową: nazwisko Riabcewa znajdowało się na pierwszym miejscu listy. Przekreślone na czerwono...

– Niech wolno mi będzie zgadywać, towarzyszu generalny sekretarzu: w areszcie GRU córka Wołkowa nie wykazywała nijakich objawów gruźlicy?

Stalin przytaknął posępnie.

– Co sądzicie o wyjaśnieniach MGB? – zapytał.

– Nie wykluczam, że to prawda – odpowiedziałem z namysłem. – Więzienia specjalnego przeznaczenia to nie kurorty. Nie jestem lekarzem, być może ktoś ją zaraził, bo wątpię, aby trzymano ją w jednoosobowej celi, jednak... – zawiesiłem głos, nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.

Nie mogłem przecież powiedzieć, że moim zdaniem bezpieczeństwa zamęczyła dziewczynę. Tylko dlaczego Abakumow nie przyznał tego wprost? Przecież zgodnie z rozporządzeniem Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej z dziesiątego stycznia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku organy bezpieczeństwa miały prawo używać siły wobec: „szpiegów, dywersantów, terrorystów i innych aktywnych wrogów narodu radzieckiego, którzy odmawiają zeznań na temat swojej przestępczej działalności i nie chcą wydać współników”. Taaak, ciekawe...

– Jednak? – ponaglił mnie Stalin.

– Z tego, co wiadomo na temat Wołkowa, wynika, że to pragmatyk. Inaczej nie przeżyłby tak długo, nie odniósł tylu sukcesów. Zwróćcie uwagę, że mimo

aresztowania córki nie spełnił swojej groźby, nie ujawnił Anglikom operacji. Jednym słowem, zareagował racjonalnie i bez zbędnych emocji: zrozumiał, że nie mieliśmy innego wyjścia, jak zatrzymać Swietę. Myślę, że gdyby chodziło tylko o śmierć córki, nie robiłby takiego cyrku.

– Myślicie, że śledczy przesadzili i w trakcie przesłuchania... – tym razem to Stalin nie dokończył.

– Kto wie? Jednak nadal coś tu nie pasuje. Po pierwsze dlaczego w ogóle ktoś ją przesłuchiwał? Przecież wiadomo było, że dziewczucha nic nie wie o działalności ojca, jest tylko zakładnikiem. A martwy zakładnik na nic się nie przyda... I druga sprawa: skąd moje czy wasze nazwisko na liście? Jeśli nawet śledczy podeszli do przesłuchania z nadmiernym... entuzjazmem, tam powinny być tylko ich nazwiska. Niechby i dyrektora więzienia, w ostateczności towarzysza Abakumowa. Ale reszta? Wygląda, jakby Wołkow przestał myśleć racjonalnie, a to do niego niepodobne.

– Jak oceniacie zagrożenie ze strony Wołkowa?

– Jako poważne – odparłem bez namysłu. – Nawet dla was.

– To ciekawe, bo towarzysz Beria uważa, że nie ma się czym przejmować.

– Obawiam się, że towarzysz Beria nie pojmuje wagi problemu – stwierdziłem chłodno. – Wołkow to żywa legenda, odnosił sukcesy tam, gdzie wszyscy inni ponieśli klęskę. Wypełniał zadania, które eksperci uznali za niemożliwe do wykonania.

Stalin skrzywił usta w wyrazie niezadowolenia, zamieszał energicznie – zbyt energicznie! – stygnącą herbatę.

– Trudno to nazwać wyczerpującą analizą – zauważył po chwili milczenia.

– Nie mam dostępu do akt Wołkowa – odparowałem. – Znam tylko przebieg tych akcji, które ujawniono na szkoleniu. A to jedynie wierzchołek góry lodowej.

– Naprawdę myślicie, że może mi zagrozić?

No ładnie: jeśli odpowiem twierdząco, podpadnę Stalinowi – nikt z rządzących nie lubi przypominania, że jest śmiertelny, jeśli zaprzeczę, a Wołkow dokona kolejnego, niechby i nieudanego zamachu...

– To możliwe, towarzyszu generalny sekretarzu – odparłem wreszcie.

– Wyjaśnijcie!

– Podstawą działania ochrony nie jest konfrontacja, bo to ostateczność, tylko praca koncepcyjna: obserwacja otoczenia, zmiana tras, którymi jeździ ochraniający, na samym końcu zabezpieczenie fizyczne. Wasza ochrona należy do najlepszych na świecie, ale pewnych rzeczy się nie przeskoczy.

– Na przykład?

– Jeśli zamachowiec wie, gdzie i kiedy będzie przebywała osoba, którą chce zabić, ma ogromną przewagę. Bo wówczas może wcześniej przygotować się do ataku. A Wołkow to wie...

– Nie rozumiem? Sugerujecie, że ma tu swoich agentów? Na Kremlu?!

– Niewykluczone, ale nie to miałem na myśli. Załóżmy, że nie ma, że nie wie nic o waszych działaniach i nie będzie wiedział. Tyle że niczego to nie zmienia: nie tylko Wołkow, ale i cały kraj zdaje sobie sprawę, gdzie będziecie na przykład dziewiątego maja, w Dzień Zwycięstwa...

– Co proponujecie?

– Sformowanie specjalnej grupy dochodzeniowej z bardzo szerokimi kompetencjami oraz zapleczem technicznym, logistycznym i siłowym. Grupa odpowiadałaby tylko przed wami.

– Cele grupy?

– Zbadanie okoliczności śmierci Swietłany Wołkowej i aresztowanie, a w razie konieczności fizyczna likwidacja generała Wołkowa i jego pomocników.

– Co nam da wyjaśnienie, jak zginęła córka Wołkowa?

No proszę, towarzysz Stalin użył terminu „zginęła”, a nie „umarła”, czyżby też miał swoje podejrzenia?

– Przede wszystkim dowiemy się, o co chodzi, a to podstawowa sprawa, jeśli mamy określić stopień zagrożenia, jaki mogą stanowić działania Wołkowa. Poza tym, być może, problem nie tylko w Wołkowie...

– Jak to rozumiecie?

Zagryzłem wargi: jeśli córka Wołkowa została zabita przez ludzi Abakumowa, wypadało wyjaśnić dlaczego. Bo równie dobrze mógł to być przypadek, jak i celowe działanie. Do tego ten zamach na mnie...

– Jak już mówiłem, towarzyszu generalny sekretarzu, nie było żadnego powodu, aby przesłuchiwać Swietlanę Wołkową, a tym bardziej z użyciem siły. Zdajecie sobie sprawę, że gdyby żyła, Wołkow nie ośmieliłby się wystąpić przeciwko wam? Jeżeli winę za jej śmierć ponoszą pracownicy MGB, trzeba ustalić, czy zginęła przypadkowo, czy ktoś zabił ją umyślnie, wiedząc, że sprowokuje tym Wołkowa do...

– ...zamachu na mnie? – wszedł mi w słowo Stalin.

– Niekoniecznie na was, być może chodziło mu o towarzysza Abakumowa. Mógł nie przewidzieć takiej... eskalacji.

– Trochę to wydumane – zauważył gensek.

– Nie twierdę, że tak było – zastrzegłem się natychmiast. – Uważam jednak, że należy to sprawdzić. Chciałbym też wyjaśnić okoliczności, w jakich zostałem postrzelony.

– Co w tym niejasnego? O ile wiadomo, ten Niemiec uciekł z transportu, zabrał broń konwojentowi i zaatakował pierwszego, kto nawinął mu się pod rękę.

– Na pewno nie – oświadczyłem zdecydowanie.

Myślałem, że Stalin zaprzeczy, ale siedział tylko w milczeniu, świdrując mnie spojrzeniem spod nawisłych brwi.

– Jesteście pewni? Przecież nie mieliście czasu przeprowadzić śledztwa w tej

sprawie – powiedział w końcu.

– To był żołnierz elitarnej jednostki dywersyjnej „Brandenburg”. Takich jak on nie przewozi się razem z innymi jeńcami, tylko trzyma w więzieniach pod specjalnym nadzorem – wyjaśniłem sucho. – I zauważcie, jaki zbieg okoliczności: zaatakowano mnie tuż przed wezwaniem na Kreml.

– Wołkow?

– Być może. Tylko że wszyscy brandenburczycy, którzy dostali się do niewoli, odsiadują wyroki w więzieniach MGB. Oczywiście, teoretycznie rzecz biorąc, Wołkow mógł zorganizować jednemu z nich ucieczkę...

Nie rozwijałem tematu, nie musiałem; ktoś, kto tyle lat utrzymał się u władzy, musiał być paranoikiem. Inaczej by nie przeżył. Nie w naszym kraju.

– No dobrze, sformujemy grupę śledczą, co dalej? W jaki sposób powstrzymamy Wołkova od dalszych zamachów?

– Proponowałbym, żeby nie przesadzać z tym powstrzymywaniem...

Stalin uniósł brwi, zachęcił mnie gestem do kontynuowania wypowiedzi.

– Jeśli towarzysze z MGB sprowokowali tę awanturę z Wołkowem, nieważne, umyślnie czy przypadkowo, sami są sobie winni. Oczywiście należy ich ostrzec, przydzielić wzmocnioną ochronę, a za samym Wołkowem wydać list gończy. Niezależnie od tego, czy przebywa nadal na terenie kraju, czy za granicą, utrudni mu to życie. Jednak każdy kolejny zamach to okazja, żeby coś poszło nie tak, bo przecież tym razem ofiary będą się miały na baczności. A nam potrzebne jest coś, co naprowadzi nas na Wołkova. Rzecz jasna, nie będziemy czekać z założonymi rękoma, grupa dochodzeniowa pójdzie tropem wcześniejszych zamachów. Jednak jeśli będą miały miejsce następne, to dla nas dodatkowa szansa. Do tego proponowałbym odstąpić od uroczystych obchodów Dnia Zwycięstwa. I ogłosić to, powiedzmy, w grudniu.

– Zwariowaliście, Razumowski! Nie można ot tak zlikwidować święta państwowego!

– Nic nie mówiłem o likwidacji, chodziło mi jedynie o uroczystości. Gdyby dziewiąty maja był dniem pracy, nie musielibyście pojawiać się publicznie. Jeżeli do tej pory złapiemy Wołkova, nie będzie to miało żadnego znaczenia, jednak jeśli nie, mocno popsuje mu to plany: całe miesiące przygotowań pójdą na marne. Bo możecie zmienić wszystkie inne terminy publicznych wystąpień, ale nie ten.

– No dobrze, a skąd pewność, że Wołkow nie spróbuje mnie zabić wcześniej? Jeżeli był w stanie podrzucić list do mojego gabinetu, kto wie jakich ma tu jeszcze współników?

– Niemożliwe – odparłem stanowczo. – Najpierw zabije wszystkich innych.

– A to dlaczego?

– To kwestia planowania. Każdy taki zamach wymaga starannych przygotowań,

jeżeli coś się zmieni, trzeba zaczynać od początku. Gdybyście zginęli, na wszystkich szczeblach władzy miałyby miejsce poważne zmiany: niektórzy by awansowali, inni zostali zdegradowani, ktoś trafiłby do więzienia albo wyjechał.. Nie, dopóki pozostanie przy życiu choć jedna osoba z listy poza wami, jesteście bezpieczni. Nie wierzę też, że Wołkow ma na Kremlu jakichś współpracowników. To zawodowiec, doskonale zdawał sobie sprawę, że po podłożeniu listu wszyscy zatrudnieni na Kremlu zostaną ponownie sprawdzani.

– A jednak już raz mu się udało!

– Owszem, ale stawiałbym raczej na łut szczęścia niż planowanie, w końcu mógł wam dostarczyć tę listę na sto różnych sposobów. Na pewno interesował się waszym otoczeniem i, być może, poznał czyjąś słabość, jakiś fakt, który pozwolił mu uciec się do szantażu, ale drugi taki przypadek jest mało prawdopodobny. W końcu na Kreml nie bierze się byle kogo. Jeśli nawet ktoś z miejscowych ma coś do ukrycia, wątpliwe, żeby Wołkow się o tym dowiedział. Wymagałoby to dostępu do tajnych dokumentów, zbadania sytuacji rodzinnej danego pracownika, długotrwałej inwigilacji... Nie, nie sądzę – zakończyłem.

– Chcecie dostępu do akt Wołkowa?

– Nie. Gdybym je przeczytał, nie mógłbym wyjechać z kraju, a pewnie będę musiał. Najprawdopodobniej Wołkow już jest za granicą.

– Rozumiem, że jest wam potrzebna pełna autonomia?

– Inaczej MGB nie wpuści mnie nawet do więzienia, gdzie zmarła Swieta Wołkowa. Będzie mi też potrzebny dostęp do wszelkiego typu dokumentacji, nie wyłączając niejawniej, oraz prawo do przesłuchiwania i aresztowania pracowników aparatu bezpieczeństwa.

– Zdajecie sobie sprawę, jak do tego podejną towarzysze Abakumow i Beria?

Siłą woli powstrzymałem się przed wzruszeniem ramionami. Rzecz była oczywista, obaj mnie nienawidzili. Wiedziałem, że wykończą mnie przy pierwszej sposobności. To, czy poprowadzę śledztwo, nie miało żadnego znaczenia.

– Owszem – zapewniłem sucho.

– Dostaniecie wszystko, o co prosiliście, ale uważajcie, żebyście nie ugryźli więcej, niż będziecie w stanie przełknąć.

– Wybaczcie, towarzyszu, ale nie bardzo rozumiem...

– Rozumiecie, rozumiecie! Czasem człowiek musi trzymać złe psy w gospodarstwie, bo inaczej złodzieje rozgrabią mu majątek. Jednak kiedy kundły zasmakują we krwi, trzeba im pokazać, kto tu rządzi. Dlatego rozsądny gospodarz zawsze ma pod ręką kij. Wy jesteście moim kijem, jednym z wielu. Jeśli będziecie nieostrożni, przyjdzie mi was zmienić na inny, a nie chciałbym, bo jesteście wyjątkowo... przydatni.

Poczułem zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Straciłem rachubę, ile razy mi

grożono czy ostrzegano, ale nigdy w taki bezosobowy, beznamiętny sposób. Stalin nie udawał, nie próbował zrobić na mnie wrażenia, w jego oczach byłem tylko żywą figurą na szachownicy, na której rozgrywał swoją partię. Czy ją przeżyję? Cóż, czas pokaże...



Przeczytałem uważnie wniosek o aresztowanie Borysa Denisowicza Szatuńskiego. Formalnie był bez zarzutu. Podobnie jak uzasadnienie postanowienia o przeszukaniu mieszkania obywatela Szatuńskiego. Podpisałem się w odpowiedniej rubryce, teraz jeszcze tylko prokurator...

– Jesteś pewien, że to on? – spytałem.

– Całkowicie – odparł Bugrowski. – To doświadczony alpinista, mieszka w sąsiedniej kamienicy. Ostatnio miał problemy finansowe i co ważne, pracuje w pogotowiu.

No, no, chłopak nie jest głupi: nawet najostrożniejszy wpuściłby do domu lekarza, niechby i w nocy.

– Markisian jako jeden z nielicznych w okolicy miał telefon – kontynuował Bugrowski. – Nie sądzę, żeby się specjalnie zdziwił, gdyby ktoś ubrany w lekarski fartuch chciał z niego skorzystać w nocy. Pewnie Szatuński trochę się ucharakteryzował albo puścił przodem kumpla, którego tamten nie znał. Kiedy otwarto im drzwi, włożyli maski. Tak to sobie wyobrażam.

– Dobra robota – pochwaliłem. – Jeszcze dzisiaj zajdę do prokuratury.

– Towarzyszu kapitanie...

– Tak? Co jeszcze? Mam nadzieję, że nie rozmawiałeś z Szatuńskim? Bo jak nam zwieje, to wywrócę cię na lewą stronę!

– Musiałem z nim porozmawiać, żeby nie nabrał podejrzeń – wyjaśnił Bugrowski, przewracając oczyma. – Tak jak i innych sąsiadów spytałem go tylko, czy nie widział nikogo obcego w noc zabójstwa.

– To skąd wiesz, że facet jest alpinistą?

– Sprawdziłem moskiewskie kluby wysokogórskie. To dość hermetyczne środowisko, wszyscy się znają.

– Powiedziałeś, że szukasz przestępcy?

– Nie, właściciela skradzionego sprzętu alpinistycznego. I nie wypytywałem wprost o Szatuńskiego.

– Dobra, więc w czym rzecz?

– Mamy problem. Zarządzający burdelem alfons pociął twarz jednej z dziewczyn.

– Jak to pociął?
– Normalnie, nożem. Koleżanki tej panienki zgłosiły coś w rodzaju oficjalnej skargi.

– Tobie?

– Nie, sierżantowi. On przysłał mnie do was.

Westchnąłem ciężko. Nie dość, że rozpoczynam najbardziej ryzykowne śledztwo w swojej karierze, że uganiają się za mną pracujący chuj wie dla kogo brandenburczycy, a wydział zabójstw oczekuje pomocy w sprawach banalnych morderstw, to czeka mnie jeszcze rozmowa z poszkodowaną kurwą. No ale jak ma się własny burdel...

– Może odłożyć to na później? – zaproponował Bugrowski, kiedy zobaczył moją minę. – W końcu mamy ważniejsze problemy.

– Nie da rady, jeśli nie załatwi się tego od ręki, facet jutro powtórzy swój wyczyn albo jeszcze gorzej. Tacy ludzie to zwierzęta.

– To co robimy?

– Nie mam wyboru, trzeba odwiedzić ten przybytek występnych rozkoszy.

– Weźmiecie mnie ze sobą? – spytał szybko poeta. – Nigdy nie byłem w burdelu.

– Jak chcesz. – Wzruszyłem ramionami.



Siemionow zaparkował przed budynkiem prokuratury, wysiadł z wozu i otworzył mi drzwi. Z zachowania Bugrowskiego wywnioskowałem, że chłopak uznał go za kierowcę przydzielonego dla potrzeb nowo powstałej grupy śledczej. Nie wyprowadzałem go z błędu ani nie informowałem, że ochrania mnie przynajmniej kilkunastu ludzi. Ustaliliśmy z Siemionowem, że spróbujemy sprowokować kolejny atak.

– Zostań w samochodzie – poleciłem Bugrowskiemu.

Chłopak skinął głową i z błogą miną rozparł się na tylnym siedzeniu. Cóż, nawet mając ojca generała, pewnie nie co dzień jeździł samochodem.

Ledwo wszedłem do holu, zauważyłem Marinę. Dziewczyna dostrzegła mnie niemal w tym samym momencie. Szlag...

– Jak się czujesz, Saszka? – spytała z niepokojem.

– Nic mi nie jest – zapewniłem. – Rana goi się znakomicie.

– Przyszedłeś służbowo czy może...

– I tak, i tak – skłamałem bez namysłu. – Potrzebuję parafki prokuratora na wniosku o aresztowanie. Tylko nie bardzo wiem, do kogo się zwrócić.

– Sprawa zostanie przydzielona konkretnej osobie dopiero po dokonaniu aresztowania, na tym etapie może podpisać ktokolwiek. A o co chodzi?

– Mamy podejrzanego o podwójne morderstwo i grabież – wyjaśniłem krótko.

– Może przejdziemy do mojego gabinetu? – zaproponowała.

Ruszyłem za Mariną bez słowa, choć wiedziałem, że stara się grać na czas. O areszcie decydował oficer śledczy, podpis prokuratora był w zasadzie formalnością, bo nie miał on prawa zmieniać decyzji śledczego. Niemniej jednak w wypadku zdecydowanej odmowy prokuratora kwestię zasadności aresztu rozstrzygał sąd, a tego wolałem uniknąć.

– Chcesz, żebym nadzorowała tę sprawę?

– Dlaczego nie?

– A jak tam twoje... problemy?

– Nic się nie zmieniło – powiedziałem szorstko. – Trzymaj się ode mnie z daleka.

– Gdybyś potrzebował pomocy...

Podziękowałem skinieniem głowy, wiedziałem, że dziewczyna mówi poważnie. W takich sprawach byli żołnierze nie rzucali słów na wiatr.

– I wzajemnie – mruknąłem.

Marina przeczytała uważnie oba wnioski i podpisała, używając drogiego wiecznego pióra.

– Prezent od ojca – wyjaśniła, widząc moje spojrzenie. – Wracając do sprawy: chciałabym uczestniczyć w przesłuchaniach.

– Nie ma problemu, tyle że chcę powierzyć tę sprawę jednemu ze swoich ludzi.

– Pewnie tej ślicznotce?

– Nie sądzę, żeby towarzysz Bugrowski był przesadnie urodziwy, ale w końcu co ja tam wiem... Nie jestem kobietą.

– Bugrowski?

– Nowicjusz. Generalnie zielony, za to bystry.

– Chcesz go uczyć?

– To też, przede wszystkim chcę zobaczyć go w akcji. Jeśli się zbłąźni, wywalę gówniarza na zbity pysk, nie potrzebuję w ekipie nieudaczników.

– Nie za ostro?

– Moja grupa będzie musiała zajmować się dużo poważniejszymi sprawami, jeśli chłopak nie poradzi sobie z banalnym morderstwem, niech wraca do patrolowania ulic.

– Jak bardzo poważnymi?

Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się, czy odpowiedzieć, czy zignorować pytanie, wreszcie podałem Marinie dokumenty wystawione przez kancelarię genseka. Tak było prościej, a przede wszystkim szybciej: udzielone mi pełnomocnictwa i podpis Stalina mówiły same za siebie.

– Ja nie myślałam, że...

– Teraz już wiesz. I dość o tym! Bądź jutro o dziewiątej na Pietrowce – powiedziałem, kładąc rękę na klamce.

– Będę.

Pożegnałem dziewczynę zdawkowym skinieniem głowy, otrzymując w zamian smutny półuśmiech, i cicho zamknąłem za sobą drzwi. Przechodzący korytarzem ludzie spieszyli w sobie tylko wiadomych sprawach, odlegli i obojętni, jakby żyli w innym świecie. Mój mózg zalała fala niezauważalnych na co dzień dźwięków, barw i zapachów. Przechodzący nieopodal mężczyzna w randze młodszego prokuratora rozciągał woń krochmalu, znaczy zapobiegliwa żona dba o mężowskie koszule... Zza pleców dobiegał odgłos szybkich, zdecydowanych kroków z lekkim zgrzytliwym pogłosem: metalowe zelówki. Symbol prokuratury na pagonach wchodzącej po stopniach kobiety (tarcza i dwa skrzyżowane miecze) zabłysnął nagle niczym miniaturowe słońce.

Odetchnąłem głęboko, zwilżając językiem suche jak wiór wargi, szum w uszach przeszedł w rytmiczne pulsowanie: moje serce biło w coraz szybszym tempie. Cóż, jeżeli ktoś chce mnie zabić, zaatakuję zaraz, jak wyjdę z budynku. Szansa, że ludzie Siemionowa zauważą snajpera, zanim ten naciśnie spust, nie była wielka. Plac, w którego rogu znajdowała się prokuratura, otaczały kilkupiętrowe kamienice. Raj dla snajpera, koszmar dla ochrony...

Już! Uliczny gwar uderzył nadwrażliwe zmysły z siłą kowalskiego młota; pokrzykiwania sprzedawców mieszały się z warkotem silników i klaksonami samochodów – niedaleko przebiegała jedna z głównych arterii miasta, tworząc ogłuszającą kakofonię. Siemionow stał tuż przy wozie, udając zainteresowanie grupką kłębiących się wokół budki z lodami rozchichotanych dziewcząt. Jeżeli snajper obserwuje wyjście, strzeli w ciągu kilku sekund, jeśli oszczędza wzrok, zdając się na obserwatora, pożyję chwilę dłużej...

Wzdrygnąłem się, widząc trzepoczącą na pobliskim budynku flagę: ot i wskaźnik kierunku wiatru...

– Dobrze się czujecie? – zapytał z niepokojem Bugrowski, uchylając drzwiczki.

– Wracaj do wozu! – warknąłem.

Chłopak naburmuszył się, ale usłuchał: jego szczęście. Cóż, jeżeli w ciągu najbliższych dwudziestu sekund mój mózg nie rozbryźnie się na chodniku, można uznać, że nikt na mnie nie poluje. Chwilowo...

Przymknąłem lekko oczy, starając się nie koncentrować wzroku na konkretnym punkcie. W taki sposób dostrzegamy mniej detali, za to szybciej wychwycimy ruch. Nie żeby mi to w czymś pomogło: unik nigdy nie będzie szybszy od kuli...

– Nie ma go tutaj – stwierdził Siemionow. – Możemy jechać.

– Kogo nie ma? Dlaczego staliście jak słup, zamiast od razu wsiąść do samochodu?

– spytał Bugrowski. – Zaraz! Spodziewaliście się kolejnego snajpera!

– Nie twoja sprawa – mruknąłem, naciągając mu czapkę na oczy. – Jeśli będziesz marudził, nie wezmę cię do burdelu.

– Milczę jak ryba – zadeklarował chłopak z uśmiechem.

Siemionow nie wyglądał na zachwyconego, zapoznałem go wcześniej ze sprawą i wiedział, że nie czekają nas żadne atrakcje, lecz niewdzięczna, brudna robota.



Zarządzająca burdelem na Twerskiej Ludmiła Olegowna Szwarz wyglądała niczym wyrzeźbiona z drewnianej deski: równie twarda, wysuszona i płaska. Jej głosem można by cyklinować podłogi. Rzadkie brązowe włosy zaczesane w koński ogon nie osłaniały czaszki obciążonej chorobliwie bladą skórą. Przeważnie jestem w stanie określić wiek rozmówcy z dokładnością do dwóch, trzech lat, ale Ludmiła Olegowna wymykała się wszelkiej klasyfikacji: równie dobrze mogła dochodzić do czterdziestki, jak i przekroczyć sześćdziesiątkę.

– Wasze zdanie? – ponagliłem.

Kobieta nerwowo przełknęła ślinę, popatrując na stojącego naprzeciwko osiłka o wyraźnie azjatyckich rysach. Nie winiłem jej. Pełniący obowiązki alfonsa i ochroniarza Wadim Kazbekow liczył sobie dobre dwa metry wzrostu i posturą przypominał goryla. Cholernie wielkiego goryla...

– Pozwoliłam Kseni wyjść na godzinę, bo miała chore dziecko. A ten...

– Niech szef jej nie słuca – odezwał się ochrypłym głosem Kazbekow. – Ta mała dziwka nie chciała pracować, więc ją pouczyłem.

– Gdzie ona jest?

– Czeka w sąsiednim pokoju.

– Przyprowadźcie ją – poleciałem.

Ospale ruchy dziewczyny stwarzały wrażenie, że jest naćpana albo pod wpływem środków uspokajających. Obandażowana twarz czyniła ją podobną do mumii z amerykańskiego horroru.

Skinąłem na Siemionowa i nakazałem mu gestem zdjęcie opatrunku. Dziewczyna pozwalała na wszystko, mimo że procedura na pewno nie należała do przyjemnych. W miarę jak znikwały kolejne warstwy bandażu, opuszczała coraz niżej głowę, aby w końcu skryć się całkowicie za zasłoną czarnych jak skrzydło kruka włosów.

Podszedłem do niej, ująłem pod brodę. Usłyszałem jęk Bugrowskiego: cięcia były tak głębokie, że w dwóch miejscach odsłaniały dziąsła i zęby. Kazbekow nie tyle pociął, co zmasakrował jej twarz. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczucha będzie

musiała zmienić profesję...

– Kto ci pozwolił niszczyć cudzą własność? – Obrzuciłem Kazbekowa zimnym spojrzeniem.

– Oj tam, wielka mi sprawa – mruknął. – Odpracuję.

– Ty świni! – wysyczał Bugrowski. – Ty pierdolona świni!

Chłopak rzucił się naprzód, nieporadnie atakując olbrzyma. Kazbekow uchylił się niedbale, po czym odepchnął Bugrowskiego.

– Weźcie stąd tego gówniarza – powiedział spokojnie. – Bo komuś może stać się krzywda.

Opuściłem powieki, w chwilę później Kazbekow runął na podłogę: Siemionow uderzył go kolanem w kręgosłup, tuż powyżej kości krzyżowej. Taki cios powoduje porażenie nerwów dolnych kończyn i wszelkich narządów w obrębie miednicy. Ofiara czuje przeraźliwy ból i nie może poruszać nogami. Jeżeli kręgi zostaną skruszone, odłamki kostne przemieszczają się w głąb ciała, uszkodzając naczynia krwionośne przylegające do kręgosłupa, co powoduje wewnętrzny krwotok i śmierć w męczarniach.

– Zawołajcie pozostałe dziewczyny – poleciłem Ludmile Olegownie.

– Ja...

– Natychmiast!

Wchodziły do pokoju jedna za drugą, wszystkie ładne, zgrabne i śmiertelnie wystraszone. Jak można się było spodziewać, ich uwagę przykuł wstrząsany drgawkami Kazbekow.

– Tylko jedna osoba na świecie ma prawo was karać: ja! – oznajmiłem głośno. – Kazbekow o tym zapomniał, dlatego dzisiaj się z nim pożegnamy.

– Nie będzie już tu pracował? – upewniła się jedna z dziewcząt.

– To także, choć miałem na myśli coś zdecydowanie bardziej ostatecznego.

Kłęknałem na plecach powalonego osiłka i jednym ruchem skręciłem mu kark. Niegłośny, suchy trzask, podobny do odgłosu łamanej gałązki, zaświadczył o tym, że umowa o pracę z Kazbekowem została definitywnie rozwiązana.

– Paniom już dziękuję – rzuciłem pod adresem przestraszonych dziewcząt.

Moje polecenie wykonano natychmiast i bez dyskusji, można nawet powiedzieć: z nadmiernym entuzjazmem. Przez chwilę myślałem, że prostytutki wyniosą drzwi razem z framugą.

– Co z nim zrobimy? – spytał Siemionow.

– Wywieźcie go nad rzekę, ale zanim pozbędziecie się trupa, niech młody nad nim popracuje.

– Co to znaczy „popracuje”? – zaniepokoił się Bugrowski.

– Zobaczysz – uciałem. – A teraz pomóż pułkownikowi, ja nie mogę jeszcze dźwigać ciężarów.

– Pułkownikowi?!

– Jazda! – ponagliłem.

Zwłoki zmieściły się w wyścielonym przezornie brezentem bagażniku, a wieczorowa pora i fakt, że zaparkowaliśmy samochód od podwórza, gwarantowały dyskrecję całej operacji. W pół godziny później Siemionow wysadził mnie pod domem, a sam wraz z Bugrowskim powiózł nieboszczyka na Nabrzeżną. Ciekawe, czy jutro poeta nadal będzie chciał się szkolić. Podejrzywałem, że niespecjalnie spodobają mu się zajęcia, jakie zaordynuje mu Siemionow. Cóż, najwyżej będę miał go z głowy...



Wciągnąłem powietrze, wizualizując strumień energii przepływający poprzez punkt na czubku głowy: wszystko zgodnie z zaleceniami „Żelaznej księgi”. Od kiedy wylądowałem w szpitalu z masywnym krwotokiem wewnętrznym, nie odważyłem się kontynuować ćwiczeń z zatrzymywaniem oddechu, choć może rozwiązałyby moje problemy... zdrowotne. Tymczasem jednak nie mogłem ryzykować, priorytetem było przeżycie.

Przymknąłem oczy, głębokie, brzuszne oddychanie wprowadziło mnie w rodzaj transu, świat zawęził się do wdechu i wydechu. Stopniowo mój brzuch stawał się coraz cieplejszy, odczuwałem wyraźne mrowienie w punkcie określanym przez Doskonałych jako Morze Energii. Słyszałem tylko delikatny szmer powietrza przechodzącego przez moje nozdrza. Zanim przeszedłem do kolejnej fazy ćwiczenia, przeszkodził mi jakiś obcy dźwięk. Po chwili zorientowałem się, że ktoś puka do drzwi.

Natasza Pokrowska wyglądała na zdenerwowaną, zaprosiłem ją gestem, przeszedłem do salonu.

– Przeszkodziłam ci? – spytała.

– Nieważne. Co się stało?

Dziewczyna zagryzła wargi, jakby zastanawiała się, od czego zacząć, jej palce bezwiednie skubały rąbek sukni. Sprawa musiała być poważna, bo moja sąsiadka nigdy nie należała do histeryczek, a po tym, co przeszła w więzieniach i na zonie, podejrzewałem, że mało co może wyprowadzić ją z równowagi.

– Lońka – powiedziała wreszcie. – Wczoraj go odwiedziłam. Kalinina poinformowała mnie, że czas na kolejną ratę, trzy imperiały. Nie mam i nigdy nie będę miała takich pieniędzy...

– Taka chciwa? – odparłem ze zdziwieniem. – Przecież to przyjaciółka tej

dziewuchy, która była z tobą na zonie. Jak jej tam było? Zoja?

– Zoja nie żyje.

– Co się z nią stało?

– Wpadła pod kołymski tramwaj – roześmiała się bezradośnie Natasza.

Zerknąłem na zegarek: dochodziła siódma.

– Chodź ze mną, muszę się ogolić.

Przeszliśmy do łazienki, namydliłem twarz.

– Pieniądze to nie problem – stwierdziłem, sięgając po brzytwę.

– Nigdy nie będę w stanie ci oddać...

– Nie musisz.

– Ale...

– Natasza, na litość boską! To nie zona, żebyś musiała odpracowywać każdą przysługę!

– Wiesz, że my już nigdy... Ja nie mogę...

– Takiej wdzięczności też mi nie trzeba – odburknąłem.

– Dlaczego to robisz?

Wzruszyłem ramionami.

– To dla mnie ważne.

Widziałem odbicie Nataszy w lustrze. Wyraz twarzy dziewczyny zmieniał się jak w kalejdoskopie: desperacja, nadzieja, rozpacz, nieufność.

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze. – Ale jeśli sądzisz, że to podstęp z mojej strony, zawsze możesz zabrać dzieciaka od tej baby. W końcu zostałaś zrehabilitowana...

– Ile czasu minie, zanim bezpieka dowie się, że Lonia znowu mieszka ze mną? – spytała gorzko. – Dzień? Dwa? Na pewno nie więcej.

Ostrze z solingeńskiej stali likwidowało zarost z cichym chrzęstem. Milczałem.

– Przepraszam – powiedziała. – I dziękuję...

– Wiesz, gdzie są pieniądze – mruknąłem.

Po chwili Natasza wróciła, niosąc niewielki skórzany woreczek. Jej mina wyrażała oszołomienie.

– Tu jest przynajmniej kilogram złota!

– Coś koło tego – przyznałem.

Niezgrabnie rozsupłała rzemień, wyjęła trzy carskie dziesięciorublówki.

– Weź wszystko. Na wszelki wypadek.

– Chciałabym powiedzieć, że kiedyś ci to oddam, ale... – Teraz to ona wzruszyła ramionami.

– Nie możesz pracować, prawda?

– Nie. *Błatni* nie pracują.

– Masz jakieś plany?

– Jest taki człowiek, Dato Petrosian, przypuszczam, że będzie miał dla mnie jakieś zlecenia. W zasadzie jedno już dostałam.

– Tak?

– On chce się z tobą zobaczyć...

– Rozmawiałaś z nim o mnie?

– Skąd! Sam mnie wezwał, wiedział, że się znamy.

– To *blatny*?

– Nie. Myślę, że warto, abyś się z nim spotkał.

– A to dlaczego?

– To ktoś o ogromnej władzy, ma układy ze wszystkimi: partią, wojskiem, administracją więzienną, *worami w zakonie*... Nie zastanawiałaś się, dlaczego tu jeszcze mieszkam? Drzwi w drzwi z milicjantem? Gdyby Dato nie pogadał z moskiewskimi *worami*, dawno ktoś nadziałby mnie na nóż.

– Czego on ode mnie chce?

– Nie mam pojęcia, to nie moje sfery.

– Skąd go znasz?

– Spotkałam go na Kołymie. W kolonii karnej. Uratował mi życie.

– Opowiesz?

Splukałem brzytwę wodą, zabrałem się do drugiego policzka. Twarz Nataszy przybrała kolor papieru, przez moment wyglądało, jakby miała zemdleć. Ponagliłem ją ruchem głowy.

– To było zaraz po śmierci Zoi. Kiedy przywieźli mnie do...

– Co się stało? – wszedłem jej w słowo.

– Mówiłam ci: kołymski tramwaj.

– Może bez tego żargonu? – poprosiłem chłodno.

– Konwój zatrzymał się w niewielkiej rybackiej osadzie. Do dzisiaj nie wiem, jak się nazywała. Było nas tylko pięć. Żołnierze, którzy eskortowali nas od stacji kolejowej, zapili i spóźniliśmy się na punkt zborny, statek z pozostałymi więźniami odpłynął dzień wcześniej.

Natasza mówiła bezdźwięcznym, monotonnym głosem, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

– Zamknęli nas w jakimś magazynie, a sami zaczęli pić. Początkowo myślałyśmy, że to normalny odpoczynek, bo nadchodził wieczór, ale później zaczęli się schodzić mężczyźni – kontynuowała. – Rybacy, geolodzy, górnicy z pobliskiej kopalni, a nawet więźniowie pracujący przy wyrębie lasu. Zauważyłam, że Zoja się boi, ale nie chciała powiedzieć, o co chodzi. Tylko ona wiedziała, co się szykuje... W końcu zaczęły się targi: płacono głównie samogonem. Przed drzwiami ustawiała się coraz większa kolejka... Wreszcie konwojenci wpuścili miejscowych do magazynu. Zoja wybiła okno i próbowała uciec, ale budynek był pilnowany ze wszystkich stron. Jeden

z żołnierzy ją zastrzelił. Wtedy się zaczęło... Najpierw zabarykadowali okna i drzwi od wewnątrz, a później rzucili się na nas. Uznali, że jestem najładniejsza, więc oddali mnie brygadystom. Poszczęściło mi się, było ich tylko kilku i wszyscy po pięćdziesiątce... Jedna, żona dyplomaty, próbowała się bronić. Ładna, dystyngowana, ubrana w wytworne palto. Wzywała na pomoc ochronę... W mgnieniu oka skatowali ją do nieprzytomności. Może zabili. Nie sądzę, żeby sprawiało im różnicę, czy gwałcą żywą, czy martwą kobietę. Była z nami młoda studentka, tej dostało się najgorzej: gwałciło ją chyba ze stu chłopów. Zmarła następnego dnia z wykrwawienia, rozerwali jej krocze. Rankiem żołnierze ocknęli się po pijaństwie i kazali wszystkim wychodzić. Nikt ich nie słuchał, więc musieli wyważyć drzwi i zabić kilku zeków. Z naszej piątki przeżyliśmy tylko dwie: ja i kucharka z Leningradu, Sofia Fiodorowna. Powiesiła się tydzień później...

– Mówiłaś o tym Petrosianie?

– Ach tak, Księżę, tak go nazywają. W kolonii od razu zakwalifikowali mnie jako „rublową”, więc oficer śledczy, niejaki Brusin...

– Nie rozumiem?

– Strażnicy i administracja dzielili kobiety na trzy grupy: najładniejsze „rublowe”, później „półrublowe” i „piętnastokopiejkowe”. Niemal każdy miał jakąś nałożnicę, niektórzy po kilka. Im kto miał wyższą rangę, tym ładniejsze mógł sobie wybierać. Ja spodobałam się Brusinowi.

Natasza przełknęła z wysiłkiem ślinę, zacisnęła dłonie w pięści z taką siłą, że palce jej pobielwały.

– Jeśli nie chcesz o tym mówić... – zacząłem niepewnie.

– Chcę... Żebyś wiedział, dlaczego nie mogę być z tobą.

– Natasza, ja...

Uciszyła mnie gwałtownym gestem.

– Nie jestem odważna, ale wtedy byłam na wpół oszalała. Zbierało mi się na mdłości na sam widok mężczyzny. Brusin przyszedł kiedyś do baraku z kumplami, wszyscy, rzecz jasna, pijani. Najpierw zgwałcili żonę wiceministra transportu. Dostała dziesięć lat, po tym jak rozstrzelali jej męża. Podobno znała osobiście Stalina... Później Brusin zaczął zdzierać ze mnie ubranie... Ja... przegryzłam mu tętnicę, ledwo go odratowali. Wrzucili mnie do karczeru, a następnego dnia zaprowadzili do budynku administracji, rozebrali do naga, położyli na wznak na stole i przywiązali. Nie, nie zgwałcili mnie! – powiedziała, widząc moją minę. – Towarzysz Brusin jakoś stracił ochotę. Dostałam za to sto uderzeń nahajką w krocze. Przez dwa lata nie mogłam nawet kucnąć czy umyć się bez bólu. Kiedyś obejrzał mnie lekarz, podobno dobry, zesłali go za politykę. Powiedział, że już nigdy nie będę mogła mieć dzieci. Ani być z mężczyzną... Byłam nieprzytomna niemal przez tydzień, później przyplątała się gorączka, niewiele brakowało, a zostałabym tam, na Kołymie... Wtedy przyjechał

Petrosian. Podobno załatwiał jakieś interesy z naczelnikiem kolonii, ale nie znam szczegółów. Usłyszał, co się stało, i kazał strażnikom zostawić mnie w spokoju. Pomówił też z *błatnymi*: ci zaopiekowali się mną w chorobie.

– Usłuchali go? Ot, tak sobie?

– A jakże! Na zonie, po obu stronach krat, uważano, że lepiej nie drażnić Dato. Nawet kiedy część zeków i personelu przeniesiono pod Moskwę, do więzienia dla „zdrajców ojczyzny”, Brusin nie odważył się mnie więcej zaczepiać.

– Pod Moskwę?

– *Włodimirskij Central* – wyjaśniła zwięźle. – Tam doczekałam rehabilitacji.

No tak, kto nie słyszał o Więzieniu Specjalnego Przeznaczenia we Włodzimierzu? Zbudowane na rozkaz Katarzyny Drugiej, od tysiąc dziewięćset szóstego roku było nazywane Głównym i trzymano w nim więźniów politycznych. Obecnie, zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów ZSRR, kierowano tam: „szpiegów, dywersantów, terrorystów, trockistów, mieńszewików, eserowców, anarchistów, nacjonalistów, monarchistów i członków innych antyradzieckich organizacji, a także osoby niebezpieczne ze względu na utrzymywanie kontaktów ze środowiskami o nastawieniu antyradzieckim bądź wrogą działalność”. Fama głosiła, że więźniów *Włodmirskiego Centrala* traktowano w sposób – w całym tego słowa znaczeniu – „specjalny”...

– Krwawisz. – Natasza dotknęła mojego policzka.

– To nic – wymamrotałem. – To nic...



Dymitr Fortunatowicz Bugrowski nie wyglądał najlepiej: podpuchnięte oczy i niezdrowy odcień cery świadczyły, że ostatniej nocy raczej nie spędził we własnym łóżku. Chyba że i owszem, ale nie samotnie... Mordercze spojrzenie, jakim obrzucił mnie na powitanie, sugerowało jednak, że nie tyle zmęczyło go towarzystwo pięknych kobiet, co raczej niespecjalnie atrakcyjnych zwłok. Cóż, nie można zrobić omletu, nie rozbiwszy jaj, a przecież sam mnie prosił, żebym nauczył go walczyć...

– Zrobiliście to specjalnie! – wysyczał wściekle. – On mi kazał dźgać trupa nożem i rozpruć mu brzuch! Rzygałem pół nocy!

– To standardowa procedura – zapewniłem chłopaka. – Jak inaczej mam cię nauczyć walczyć? Większość znakomicie wyszkolonych sportowców zbiera łomot od pierwszego lepszego chuligana, bo brak im praktycznego doświadczenia.

– Jasne!

– W każdej chwili możesz zrezygnować – zauważyłem.

- Nie doczekacie się!
- W takim razie... – Rozłożyłem wymownie rękę.
- Za pięć minut zaczynam przesłuchanie – powiedział nerwowo.
- Przemyślałeś strategię?
- Niespecjalnie – przyznał ponuro. – Co z grupą, która ma przeszukać jego chałupę?
- Wyjechali przed kwadransem.
- Dlaczego dopiero teraz?! Gdyby coś znaleźli...
- Katia była zajęta – przerwałem mu bezceremonialnie. – Ma mnóstwo roboty, a ta sprawa nie jest ani najważniejsza, ani specjalnie skomplikowana.
- Nieskomplikowana? A jak mu udowodnię, że to on strzelał? Jak wyjaśnię, kto mu pomagał, bo wiemy, że miał przynajmniej jednego współnika? Co innego, gdyby znaleziono u niego pieniądze albo broń. Wtedy...
- Byłby nienormalny, gdyby trzymał to u siebie. Prawdopodobnie niczego nie znajdziemy.
- To jak w takim razie mam go zmusić do przyznania? Siłą?!
- Zdecydowanie nie. To alpinista, a oni raczej nie należą do specjalnie bojaźliwych. Taki nie rozplącze się po paru klapsach w buzię. Choć z drugiej strony...
- Tak?
- Najpierw musisz ustalić, czy to on zamordował Markisianów. Twoja hipoteza jest bardzo prawdopodobna, ale to tylko hipoteza. No i wyjaśnić, jakich miał współników.
- Co mi radzicie?
- Przede wszystkim nie okazuj strachu. Wiem, że się boisz, to twoje pierwsze przesłuchanie, ale jeśli on zauważy, że jesteś zdenerwowany, trzeba będzie zmienić śledczego. Pamiętaj, że Szatuński nie zobaczy w tobie fajtłapowatego tłuścioszka, ale człowieka, który reprezentuje system. Za twoimi plecami zamajaczy mu sala sądowa, cela i baraki na zonie... Wykorzystaj to! A teraz co do bicia...
- Nie chcecie chyba, żebym wymuszał na nim zeznania?!
- Skąd! Nie ma potrzeby. Nie potrafiłbyś. Lecz przydałoby się wytrącić go z równowagi, wstrząsnąć nim. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie wyglądasz zbyt groźnie, a jeśli on cię zlekceważy, niczego się nie dowiesz.
- Więc co mam robić?
- Kiedy będziesz pewny, że to on jest mordercą, uderz go. Tylko raz, w szyję, o tutaj. – Pokazałem palcem. – Japończycy nazywają ten punkt *uko*, co znaczy tyle, co „drzwi w deszcz”. Tędy przebiega nerw błędny, jeśli go podrażnić, powoduje zaburzenia akcji serca, kłopoty z oddychaniem i potężny ból głowy. To wszystko przy niezbyt silnym uderzeniu, bo mocny cios jest przeważnie śmiertelny...
- Nie wiem, czy dam radę: ostatni raz biłem się w szkole, a i to przegrałem...
- Po pierwsze masz go tylko uderzyć, to nie będzie walka, po drugie jestem

pewien, że dasz radę. Po tych wczorajszych... zajęciach.

– Nie rozumiem...

– Każdy cywilizowany człowiek ma pewne ograniczenia, to efekt przystosowania do życia w grupie. Wczoraj przełamałeś kilka z nich: wbiłeś ostrze w ciało człowieka, upaprałeś się jego krwią, poczułeś smród rozcinanych wnętrzności. Wystarczy, że przypomnisz to sobie, jeszcze raz poczujesz, jak nóż w twojej ręce zagłębia się w opornie ustępującą tkankę, a twoja niepewność, twój strach zamienia się w agresję. Tylko pamiętaj: nie bij za mocno! Nie potrzeba nam trupa.

– No dobrze, a jak mam ocenić, czy facet kłamie? A jeśli się mylę i Szatuński nie jest mordercą?

– Jest wiele sygnałów pozwalających stwierdzić, czy ktoś kłamie, ale żeby je prawidłowo odczytać, potrzebne jest doświadczenie. Są ludzie, którzy szybko się tego uczą, są i tacy, którym przychodzi to z trudem. Sam musisz sprawdzić, do jakiej grupy należysz. Tak czy owak, nie mam czasu teraz cię instruować.

– Dajcie mi chociaż jakąś wskazówkę – poprosił Bugrowski, wyłamując palce.

– No dobrze. Siądź blisko Szatuńskiego, tak żebyś mógł obserwować jego oczy. Rozszerzone źrenice świadczą o pobudzeniu, to chyba najpewniejszy wskaźnik, nie można go kontrolować, bo to reakcja na aktywność określonych ośrodków mózgu. Jeśli powiesz mu, że uważasz go za zabójcę Markisianów, a jego źrenice zareagują...

– Rozumiem. Chciałbym jeszcze...

– Nie! Koniec dyskusji! – uciałem zdecydowanie. – Czas brać się do roboty.

– Będziecie w pokoju przesłuchań?

– Nie, na zewnątrz. Zobaczą wszystko przez weneckie lustro.

Nie dodałem, że towarzyszyć mi będzie prokurator. Po co dodatkowo denerwować chłopaka...



Bugrowski rozpoczął od rutynowych pytań: wiek, zawód, miejsce pracy i zamieszkania. Szatuński odpowiadał spokojnie i rzeczowo, wydawało się, że wizyta na Pietrowce nie jest dla niego żadnym problemem. Nie wierzyłem w to ani przez sekundę. W sytuacji, gdy za kradzież worka ziemniaków można było dostać kilkanaście lat (jeśli zakwalifikowano je jako własność państwową), nikt nie czuł się swobodnie, kiedy wzywano go na przesłuchanie. Chyba że spodziewał się zaproszenia wcześniej i wszystko dokładnie zaplanował...

Po jakimś kwadransie – sporo czasu zabierało protokołowanie odpowiedzi – Bugrowski przeszedł do sedna i zaczął pytać o morderstwo Markisianów. Na czole

Szatuńskiego pojawiły się krople potu, palce zaczęły nerwowo postukiwać w blat. Miałem nadzieję, że Bugrowski to zauważył. Jak na razie sytuacja wyglądała nieźle. Co prawda chłopak nie osiągnął specjalnych sukcesów, ale wyraźnie nadawał ton rozmowie. Dobrze i to. Jak na pierwszy raz...

– Gdzie byliście w noc morderstwa? – rzucił niespodziewanie Bugrowski.

– W domu, a gdzieżby indziej? – odparł z dobrze udanym zniecierpliwieniem Szatuński.

– Kto może to potwierdzić?

– Mieszkam sam, ja...

– Pracujecie w pogotowiu, prawda?

– Tak, ale nie rozumiem, co to ma do...

– Nosicie biały kitel poza godzinami pracy? Jak myślicie, czy Markisianowie otworzyliby w nocy drzwi lekarzowi? Wiedzieliście, że zamordowane małżeństwo jako jedno z nielicznych miało w mieszkaniu telefon?

Pytania padały jedno po drugim, Bugrowski nie dawał Szatuńskiemu czasu na zastanowienie. Wyraziste rysy mężczyzny wyostrzyły się, czyniąc go podobnym do drapieżnego ptaka, wyraźnie zbliżała się kulminacja: albo Bugrowski go złamie, albo tamten pozbiera się i przejdzie do kontrataku: w końcu nie mieliśmy nic poza przypuszczeniami.

– Protestuję przeciwko...

– Milczeć! – krzyknął Bugrowski. – Wiem, że jesteś w to zamieszany! Z zimną krwią zabiłeś swoich sąsiadów! – wysyczał, nachylając się nad Szatuńskim.

Teraz albo nigdy, pomyślałem.

– Ja...

Nie zauważyłem uderzenia – Bugrowski stał odwrócony plecami – ale Szatuńskiego wprost zmiotło z krzesła. Runął na podłogę z posiniałą twarzą, bezskutecznie walcząc o oddech.

– Nie za brutalnie? – spytała Marina.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że w jej głosie nie słychać prawdziwego oburzenia. Trochę dziwne, jak na kobietę i świeżo upieczonego prokuratora. Z drugiej strony pewnie napatrzyła się na wojnie różności...

Tymczasem Bugrowski dźwignął Szatuńskiego i ponownie usadził za stołem. Okrągła, dobroduszna zazwyczaj twarz poety zastygła w grymasie zawziętości. No, no, chłopak dorośleje w oczach.

– Wiesz, co teraz będzie? – spytał nadal oszołomionego Szatuńskiego. – Jedna ekipa przeryje twoje mieszkanie, druga pogada z sąsiadami i znajomymi. I wiesz co? Najdalej jutro będę miał listę wszystkich twoich koleśków, bo przecież nie byłeś sam u Markisianów. A wtedy rozpocznie się wyścig...

– Jaki... wyścig? – wymamrotał niezbornie Szatuński.

– Kto pierwszy zacznie sypać – wyjaśnił chłopak. – Bo ten, kto się przyzna, dostanie pewnie dwadzieścia pięć, a może nawet dwadzieścia lat, drugi, niestety, zawisnie...

Szatuński zmarszczył brwi, widać było, że rozpaczliwie stara się dojść do siebie.

– Niedawno zniesiono karę śmierci – wycharczał.

Bugrowski wybuchnął śmiechem.

– Ty naprawdę wierzysz, że nasze państwo będzie utrzymywać morderców takich jak ty? Karmić, ubierać, zapewniać dach nad głową? Owszem, chwilowo nie wieszają, ale założę się, że za rok, najdalej dwa przywrócą karę śmierci. Na prośbę ludu pracującego...

Pokiwałem z aprobatą głową: mądre posunięcie. Swego czasu zniesiono u nas karę śmierci dla nieletnich i kobiet w ciąży, wszyscy jednak wiedzieli, czym to się skończyło – Rada Ministrów zezwoliła ostatecznie na rozstrzeliwanie dzieci, które ukończyły dwunasty rok życia. I bynajmniej nie tylko za morderstwa! Wystarczyło, że dwunastolatek brał udział w kradzieży z użyciem siły... Od tego czasu żaden rozsądny człowiek nie uwierzy w likwidację kary śmierci. No bo niby jak władza utrzymywałaby wtedy dyscyplinę w narodzie? Nie wszyscy przecież kochają komunizm, oj, nie wszyscy. Od masowych protestów, a może i otwartego buntu zabezpiecza władzę tylko rzeka krwi...

Szatuński bezwiednie rozmasował szyję i tym razem nie chodziło chyba o następstwa uderzenia.

– Ja...

– Wiesz, co zrobić? – przerwał mu Bugrowski. – Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, nie będę cię więcej wzywał na przesłuchania. Dam fory twojemu kumplowi... Konwojent! – krzyknął, otwierając drzwi.

– Poczekajcie! Dajcie mi chwilę!

– Trzydzieści sekund – oznajmił bezlitośnie chłopak.

No, no... Ryzykant z naszego poety. Relacje śledczego z podejrzanym to dość skomplikowana sprawa: jeśli choć raz dasz się złapać na kłamstwie albo nie dotrzymasz słowa, nikt więcej nie potraktuje cię poważnie – takie wieści rozchodzą się błyskawicznie.

Zerknąłem na zegarek: minęło dwadzieścia sekund...

– Twoja decyzja? – przerwał milczenie Bugrowski. – Bo czas leci: tik-tak, tik-tak...

Nie doczekał się odpowiedzi, ponownie ruszył do drzwi.

– Dobrze! Zgadzam się! – zawołał Szatuński. – Ale zaprotokołujecie to jako dobrowolne przyznanie się do winy?

– Tak jak obiecałem – zapewnił Bugrowski. – Zaczynaj!

– Poszliśmy do Markisianów we dwóch: ja i Kola Sinicyn...

Odetchnąłem z ulgą, udało się. Nie zawiodłem się na Bugrowskim. Może warto

nico bardziej intensywnie popracować z chłopakiem? Cokolwiek by powiedzieć, dzieciak ma potencjał. Mało komu udałoby się złamać podejrzanego już za pierwszym razem.

– A mówiłeś, że to świeżynka – odezwała się z wyrzutem Marina. – Tymczasem poprowadził przesłuchanie jak z podręcznika.

– Bo to świeżynka, tyle że zdolna – odparłem z uśmiechem.

– Muszę lecieć, zajdę po południu zapoznać się z protokołem.

Cmoknęła mnie w policzek, po czym oddaliła się pospiesznie. I gdzie jej tak pilno? Toż miała uczestniczyć w przesłuchaniu. Ech, jacyś nerwowi ludzie w tej prokuraturze...



Dokończyłem pospiesznie gulasz, z rezygnacją uniosłem do ust szklanekę kompotu – wiedziałem, że nie dane mi będzie spokojnie dokończyć obiadu. Do naszego stolika co rusz dosiadał się ktoś z gratulacjami; sensacją dnia był Dymitr Fortunatowicz Bugrowski.

Uśmiechnąłem się, widząc ładną, nieco piegowatą, ale zgrabną jak diabli dziewczynę. Oto niesławna Nina Rusłanowa, bogini biczków i kajdanek. Ciekawe, czy i ona pogratuluje Bugrowskiemu? Pogratulowała. Nie zaszczycając mnie przy tym nawet jednym spojrzeniem. Nie byłem pewien, czy powinienem poczuć się urażony, czy odetchnąć z ulgą? Oj, coś mi się zdaje, że w najbliższym czasie życie osobiste pewnego poety ulegnie komplikacjom. I to znaczącym.

– A wy jak myślicie, *komandir*? Jak mi poszło? – zapytał rozochocony pochwałami chłopak.

– Dima, mężczyźnie nie przystoi wyłudzać komplementów – powiedziałem z łagodnym wyrzutem.

Bugrowski machnął lekceważąco ręką, najwyraźniej smakował chwilę: po raz pierwszy zwróciłem się do niego po imieniu.

– Może jednak? W kilku słowach?

– Nie odeślę cię do patrolowania Arbatu – odparłem wymijająco.

– Też coś!

– I nie gap się, matołku, na Rusłanową, ta mała ma szczególne upodobania. Warunki, na jakich pozwoliłaby się dotknąć, raczej by ci się nie spodobały.

– To znaczy?

Nachyliłem się do ucha Bugrowskiego i nie przebierając w słowach, objaśniłem sytuację.

- Ona naprawdę...?
- Tak mówią, osobiście nie sprawdzałem.
- Cóż, w takim razie...

Westchnąłem ciężko, słysząc zbliżające się kroki, zapewne kolejny wielbiciel Bugrowskiego. Uniosłem zaniepokojony głowę: gwar prowadzonych półgłosem rozmów ucichł jak ucięty nożem.

- Towarzyszu kapitanie?

Głos dyżurnego brzmiał dziwnie oficjalnie, mężczyzna wyglądał na zmieszanego.

- Co znowu? – odburknąłem niechętnie.
- Macie gościa. Niemca. Podobno to jakiś baron czy hrabia. Mówi, że was zna...

Uniosłem zdziwiony brwi. Bywało, że w Moskwie spotykało się Niemca, ale zawsze pod konwojem i nikt nie nazwałby kogoś takiego „gościem”. Nie miałem też wielu znajomych w niemieckich wyższych sferach. Nawet jeśli zetknąłem się z jakimś arystokratą, to nasze spotkanie było krótkie i raczej nie zapadało w pamięć. W końcu ile można zobaczyć przez celownik optyczny na chwilę przed naciśnięciem spustu? Zaraz! Chyba że... Nie, niemożliwe! A jednak: w drzwiach stołówki stał Horst von Bredow. Już nie chłopiec, ale mężczyzna, w eleganckim jak spod igły garniturze, z wyrazem chłodnego zainteresowania na twarzy. Dostrzegł mnie niemal w tej samej chwili, pozdrowił uniesieniem dłoni. Kurwa! Co on tu robi? No nic, zapewne zaraz się dowiem, najpierw jednak trzeba załatwić inną sprawę, Szwab w towarzystwie pracowników MUR-u, spośród których wielu miało przy sobie broń, to dość niebezpieczna kombinacja...

– Towarzysze! – zawołałem, wstając. – To niemiecki antyfaszysta, który pomagał mi w trakcie misji wywiadowczej w Breslau.

- Ktoś taki jak von Stauffenberg? – spytał major Maksimow.
- Mniej więcej – potwierdziłem.

Nie dodałem, że propagandowy obraz von Stauffenberga jako przeciwnika nazizmu różni się mocno od realnego. W rzeczywistości Stauffenberg uważał Słowian i Żydów za bydło nadające się tylko do pracy niewolniczej i chciał pokoju z Zachodem po to, aby móc wszystkie siły skierować na front wschodni...

Atmosfera zmieniła się diametralnie, młody von Bredow został natychmiast poprowadzony do mojego stolika, pozdrawiano go po rosyjsku i łamaną niemiecką, poklepywano po plecach. Na szczęście chłopak miał na tyle rozumu, żeby trzymać język za zębami.

– Pewnie chcielibyście porozmawiać – powiedział domyślnie Bugrowski. – Zostawię was, muszę jeszcze uzupełnić protokoły.

Podziękowałem skinieniem głowy. Po chwili rozeszli się i ciekawscy.

- Służy pan teraz w policji? – zagał lekkim tonem Horst.
- W milicji – poprawiłem.

– Przywiozłem rozwiązanie kolejnej zagadki z archiwum Himmlera. – Podsunął mi kopertę.

– Dobrze, że zadałeś sobie trud, żeby jakoś uzasadnić swój przyjazd – skomentowałem ironicznie. – Zdajesz sobie sprawę, na jakie ryzyko mnie narażasz? A może chcesz się zemścić za Breslau?

– Nie – zaprzeczył stanowczo. – Już nie. Miałem czas, żeby to przemyśleć.

– Więc?

– Mama mnie wysłała. Byłem przeciw, ale nalegała... – Bezradnie rozłożył ręce.

– O co chodzi? – spytałem szorstko.

– Moja siostra jest chora. Lekarze twierdzą, że śmiertelnie.

Zacisnąłem usta. Swego czasu uratowałem małą Klaudię von Bredow, kiedy umierała na zapalenie płuc. Najwyraźniej Inga sądziła, że dam radę dokonać tego po raz kolejny, tyle że sytuacja była zupełnie inna: wówczas wystarczyło zdobyć penicylinę, teraz Klaudii na pewno nie brakowało leków. Cóż mogłem zrobić, jeśli lekarze uznali, że są bezsilni?

– Przykro mi – powiedziałem.

– Nie przyjedzie pan?

– Nie przyjadę.

Chłopak przytaknął zrezygnowanym gestem, jakby niczego innego się nie spodziewał.

– Co to za choroba?

– Białaczka.

– I w czym mógłbym pomóc?

– Nie wiem – wymamrotał Horst.

– Mam nadzieję, że Klaudia nie cierpi.

Młody von Bredow spojrział na mnie z niedowierzaniem w oczach.

– Mama do pana nie pisała?

– O chorobie Klaudii? Nie.

– To nie Klaudia jest chora, tylko moja najmłodsza siostra. Urodziła się siedem miesięcy po naszym wyjeździe z Breslau. Mama nazwała ją Aleksandra...

Potrząsnąłem głową niczym bokser po otrzymaniu nokautującego ciosu. Jeśli dziecko urodziło się w grudniu czterdziestego piątego, to jego ojcem mogła być tylko jedna osoba... Miałem córkę.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Oparłem czoło o szybę, z napięciem obserwowałem ulicę. Na parapecie położyłem dwa granaty, obok pistolet. Jeśli Tima nie załatwi ludzi, którzy mnie śledzili, zostało mi kilka minut życia. Bo nie miałem zamiaru dać się aresztować...

– Co tam? – spytał nerwowo Horst.

Siedzieliśmy w milczeniu, przy zgaszonym świetle, nic dziwnego, że chłopak był niespokojny. W sumie i tak nieźle się trzymał.

– Na razie spokój – odburknąłem.

– Nie przesadza pan? Przyjechałem tu legalnie i dostarczyłem informację o kolejnej skrytce z dokumentami. Wasza *razwiedka* – wymówił to słowo po rosyjsku – powinna być zadowolona.

– Nie chodzi o wywiad, ale o bezpieczeństwo. Takie nasze gestapo. Jego szef mnie nienawidzi, podobnie jak jeden z najbliższych współpracowników Stalina, Beria. Wtedy, w czterdziestym piątym, wyrwałem mu was z łap w ostatniej chwili, pamiętasz? Bo on mi tego nie zapomni. Ani wam – dodałem ciszej.

– Ale...

– Ale towarzysz Stalin rozkazał im, żeby zostawili was w spokoju. Tyle że przebywaliście wtedy za granicą. A teraz jesteś tutaj. O ile ciężko by im było wykręcić jakiś numer w Austrii, tu zrobią to bez trudu i nie zostawiając śladów. A jak cię przesłuchają, to przyjdą i po mnie...

Chłopak nie zaprzeczył, nie uniósł się oburzeniem, nie zapewnił, że nigdy by mnie nie zdradził: zdecydowanie wydorósł od czasu, kiedy ostatnio się widzieliśmy.

- Zmusiliby mnie nie tylko do oskarżenia pana, ale i mamy?
- Owszem. Tym bardziej że obecnie robię coś, co bardzo im się nie podoba.
- Ale...
- Idzie! – przerwałem mu bezceremonialnie.
- Sam?
- Na to wygląda.

Horst von Bredow podszedł do parapetu i zabrał jeden z granatów.

- Otworzę drzwi – powiedział.
- W porządku – przyzwoliłem.

Sam stanąłem za załomem ściany, przyjmując znajomą do bólu postawę: lewa dłoń podtrzymuje nadgarstek prawej, opierając się przedramieniem o zasłonę, podobnie jak kolano lewej nogi. Idealny wariant do strzelania zza węgła.

Tima zapukał niecierpliwie, po chwili powtórzył sygnał. Znaczący wszystko w porządku. Tyle że poza bramą od ulicy było jeszcze wejście od podwórka, a tego nie widziałem...

- Otwieraj! – poleciłem.

Zacisnąłem zęby, słysząc dźwięk wyszarpywanej zawleczonej. Teraz wystarczy tylko rozgiąć palce...

- *Komandir?*
- Jesteś pewien, że nie miałeś ogona?
- Tak.

Cały porucznik Kotuszew: krótko, zwięźle i na temat. Żadnego tłumaczenia, żadnego wahania w głosie.

Zapaliłem światło w przedpokoju i podniosłem zawleczkę z podłogi. Horst ścisnął granat z taką siłą, że pobieleły mu palce. Ostrożnie zabezpieczyłem go z powrotem.

- No co tam? – ponagliłem Timę.
- Był tylko jeden, dlatego długo nie mogłem go zauważyć.
- Jak go oceniasz?
- Ekstraklasa.
- Załatwiłeś to tak, jak prosiłem?
- Tak, upozorowałem zabójstwo na akcję *blatnych*, ale nie sądzę, żeby dało nam to zbyt dużo czasu. Dwanaście godzin to góra. Niedługo zaczną go szukać.
- Jak dobry jest ten *blatny* ślad?

– Dobry. Wziąłem jeden ze swoich specjalnych noży, do tego tytoń w oczy i dwa uderzenia: brzuch i serce. Na rękojeści są odciski palców niejakiego Osieczkina, pseudo Gwóźdź.

- Mogą go znaleźć?
- Nie.

Skinąłem z aprobatą głową. Trop był rzeczywiście dobry, ale niewiele to zmieniało

– jeśli Abakumow czy Beria chcą porwać chłopaka, zaczną go szukać zaraz po tym, jak okaże się, że śledzący mnie agent nie nawiązał łączności o zwykłej porze. Bo fakt, że wiedzą o jego obecności, był oczywisty, rodzina von Bredow od dawna była solą w oku Berii, a i Abakumow zrobiłby wszystko, żeby wyrównać ze mną rachunki. Obaj potrzebowali tylko jednego: pretekstu.

– Nic nie rozumiem – odezwał się Horst. – Jaki tytoń? Dlaczego w brzuch?

Najwyraźniej młody von Bredow całkiem nieźle poduczył się rosyjskiego, choć widać było, że woli słuchać, niż mówić.

– *Błatni* to bandyci – powiedziałem po niemiecku. – Często stosują sztuczkę z papierosem. Większość naszych marek produkuje się bez filtra, to niewiele więcej niż tytoń zawinięty w bibułkę. Można zniecka wydmuchnąć go w oczy przeciwnika i zaatakować oślepionego. *Błatni* przeważnie biją najpierw w brzuch, żeby obezwładnić ofiarę, później spokojnie dokańczają dzieła.

– A ten specjalny nóż?

– To własność nieżyjącego bandziora.

– Czyli co, jestem bezpieczny?

– Nie, ta cała heca może dać mi alibi, ale dopóki nie wrócisz do Austrii, twoje życie nie jest tu wiele warte...

– Na dworcach i lotniskach są ludzie Berii i Abakumowa – ostrzegł Tima. – Nie dadzą mu wyjechać.

Przytaknąłem posępnie.

– Może nasi by pomogli?

– Nie w tej sprawie – westchnąłem. – Tu trzeba wymyślić coś innego.

– Jak uważacie, *komandir* – wzruszył ramionami Tima.

No tak, jeśli rzecz dotyczyła zabijania, trudno było znaleźć osobę bardziej kompetentną od Kotuszewa. Niestety, wszystko inne pozostawało poza jego zasięgiem. A czas nagli. Szlag! Pomyślmy: jeśli Horst znajdzie się za granicą, ani Beria, ani Abakumow nie ośmielą się nic zrobić, wiedząc, że jakakolwiek akcja zostanie uznana za naruszenie rozkazu Stalina. A Josif Wissarionowicz nie lubi osób lekceważących jego polecenia... Pozostaje jeden problem: jak go wyprawić na Zachód? *Wojennaja razwiedka* mi nie pomoże, bo oznaczałoby to otwartą wojnę z bezpieczeństwem. Z jej strony mogę liczyć co najwyżej na życzliwą neutralność. Pewnie dałbym radę jakoś zorganizować przerzut chłopaka przez zieloną granicę, ale na to potrzeba przynajmniej kilku dni. A mam co najwyżej parę godzin. Ech, nie ma co dumać, pozostaje tylko jedna opcja...

– Zbieramy się – zarządziłem.

– Wszystkie moje rzeczy zostały w hotelu – zaprotestował Horst.

– Jeśli tam wrócisz, włożą ci je do trumny w charakterze dramatycznej pamiątki – odparłem szorstko. – Idziemy! Tima, zatroszczysz się, żeby nikt nas nie śledził.

– A nasi?

– Poza naszymi – doprecyzowałem.

Nie wątpiłem, że ludzie Siemionowa obserwują mój dom przez całą dobę, ale nie było sposobu, żeby się ich pozbyć. Zresztą kto wie kiedy się przydadzą? Nie miałem pojęcia, jak i kiedy Wołkow zamierza mnie zabić...



Myślałem, że siedziba Petrosiana będzie przypominała jedną z willi, jakie wybierali dla siebie partyjni bonzowie. Pomyliłem się: Dato Petrosian mieszkał w pałacu. Ogrodzenie z kutego żelaza otaczało nie tylko sam budynek, ale i przylegający do niego park pełen starannie przystrzyżonych klombów i egzotycznych drzew, do wejścia prowadziły marmurowe schody.

Nasze przybycie nie pozostało niezauważone – mimo wieczorowej pory przy bramie natychmiast pojawił się starszy, utykający odźwierny. Nie sprawiał groźnego wrażenia, ale byłem pewien, że obserwują nas też dużo młodszy i o wiele sprawniejsi mężczyźni.

– Kto i do kogo? – rzucił lakonicznie.

– Razumowski do Petrosiana – odparłem równie zwięźle.

Pokuśtykał do budki wartowniczej, podniósł słuchawkę telefonu. Nie zrozumiałem, co mówi, ale rozpoznałem język: gruziński.

– Dato was oczekuje – oznajmił w chwilę później, otwierając bramę.

– Myślałem, że Rosja to biedny kraj – odezwał się ze zdumieniem w głosie Horst. – Co to w ogóle jest? Ten pański znajomy naprawdę tu mieszka?

– Skąd mam wiedzieć? – odburknąłem zniecierpliwiony. – Może to jeden z podmoskiewskich carskich pałaców? Albo domek myśliwski jakiegoś wielkiego księcia? Nie znam się na tym. I tak, Dato rzeczywiście tu mieszka.

Mężczyźni, którzy oczekiwali nas w holu, ubrani byli w jednakowe garnitury, co dziwnie przypominało liberie lokajów. U obu zauważyłem charakterystyczne wybrzuszenia w okolicy prawego biodra: znaczy wygoda przed dyskrecją. Najwyraźniej Dato nie miał zamiaru ukrywać, że jego ludzie są uzbrojeni.

Zostaliśmy przeszukani, lecz ku mojemu zdumieniu nie skonfiskowano mi broni. To po cholere było sprawdzać nam kieszenie?

– Dlaczego nie zabraliście mi pistoletu? – spytałem wprost.

– Jest pan oczekiwanym gościem Dato i w związku z tym może pan mieć przy sobie jednostkę broni palnej – odpowiedział jeden z ochroniarzy.

Jednostkę broni palnej? Żaden bandzior nie użyłby takiego terminu. Facet musiał

mieć coś wspólnego z wojskiem albo służbami specjalnymi. Ciekawych ludzi dobiera sobie Dato...

– To czego szukaliście?

– Granatów, materiałów wybuchowych i zapasowej broni – wyjaśnił rzeczowo mężczyzna.

– To co, można przyjść do Dato z jednym pistoletem, ale z dwoma już nie?

– Czasy są niebezpieczne i trudno chodzić z gołymi rękoma, jeśli jednak ktoś wybiera się w gości z granatem albo nie wystarczy mu jedna spluwa, może to świadczyć o nieszczerości lub braku zaufania do gospodarza...

Roześmiałem się mimo woli: trzeba przyznać, że Dato miał klasę. Może zgłosiłem się pod właściwy adres?

– Rozumiem.

– Tędy do jadalni – poinformował nas jeden z ochroniarzy.

– Jadalni? Będziemy jeść, zamiast rozmawiać? – zapytał szeptem Horst.

– Sądząc po nazwisku, Dato to Gruzin – odszepnąłem. – Jeśli nas poczęstuje, nie waz się odmawiać! To swego rodzaju ceremonia.

Pałacowa jadalnia była kilkakrotnie większa od całego mojego mieszkania, w jej centrum stał dwunastoosobowy stół zastawiony różnymi potrawami i butelkami wina. W ogromnym kominku płonął ogień. Dato oczekiwał nas u szczytu stołu.

Potężny mężczyzna pod sześćdziesiątkę wstał na nasz widok. Ubrany był w jedwabny szlafrok, zaczesane do tyłu, lekko przyprószone siwizną, smoliście czarne włosy odsłaniały wysokie czoło, w twarzy najbardziej rzucał się w oczy mięsisty nos i cienkie jak pajęczyna srebrne blizny na skroniach. Widziałem już kiedyś takie u byłych czołgistów – efekt operacji plastycznej.

Dato bez słowa wskazał nam krzesła, skinieniem dłoni odprawił ochronę.

– Rozumiem, że to nie jest rutynowa wizyta? – zagaił bez żadnego wstępu.

W jego głosie bez trudu wychwyciłem nutkę ironii.

– Istotnie – przyznałem.

– Częstujcie się – zaprosił.

Zjadłem kilka winogron, Horst naśladował mnie, rozglądając się ciekawie. A było na co popatrzeć: wytworne ni to krzesła, ni to fotele o oparciach i poręczach pokrytych złotem, kryształowe kandelabry, dywany z Isfahanu...

– W czym mogę wam pomóc? – zapytał Dato, kiedy dopełniliśmy rytuału.

– Mój przyjaciel musi jak najszybciej znaleźć się w Wiedniu – wyjaśniłem. – Z przekroczeniem granicy może być problem, niewykluczone, że jest poszukiwany.

– Kto go ściga?

– Beria albo Abakumow. Być może obaj.

Petrosian skinął głową, przyjmując informację do wiadomości. Nie wyglądał na przejętego faktem, że ktoś prosi go o pomoc przeciwko ludziom, których potęga

ustępowała tylko władzy Stalina. Albo jedynie udaje niefrasobliwość – a wtedy zaraz odmówi, albo rzeczywiście trafiłem pod właściwy adres...

– Wystarczy, jeśli wasz przyjaciel wylądował w Wiedniu jutro wieczorem?

– Owszem, ale wszystkie lotniska są...

– Poczta dyplomatyczna – powiedział, przerywając mi niedbałym gestem.

Cóż, w takim razie najważniejsza sprawa załatwiona, pozostaje pytanie, czego zażąda w zamian Petrosian? Bo że zażyczy sobie rewanzu, nie ulega wątpliwości...

– Pewnie jesteś zmęczony? – niespodziewanie zwrócił się do Horsta Dato.

Chłopak potwierdził niepewnie. Ciszę rozerwał dźwięk srebrnego dzwoneczka i w progu jadalni stanęła pokojówka w białym fartuszkach. Wyglądała na Rosjankę, co było o tyle dziwne, że mieszkańcy Kaukazu przeważnie ciągnęli za sobą całą czeredę krewnych i znajomych. Z drugiej strony obaj ochroniarze także mieli wyraźne słowiańskie rysy.

– Zaprowadź go do pokoju gościnnego – polecił Dato.

Kobieta dygnęła skromnie i wyprowadziła młodego von Bredowa. Zostaliśmy sami. Dopiero teraz Dato rozlał wino, ale nie spieszył się z sięganiem po kieliszek. Cóż, wyglądało na to, że piłka jest po mojej stronie boiska...

– Czy mógłbym jakoś odwdziaczyć się za tę przysługę? – spytałem.

Petrosian milczał przez chwilę, w jego oczach dostrzegłem błysk uznania.

– Owszem – potwierdził. – Jednak to dość zagmatwana sprawa. Niezależnie od waszej decyzji przetrzęcę chłopaka przez granicę. Dałem słowo – wyjaśnił, widząc moją minę.

– Rozumiem. W czym rzecz?

– Chodzi o porwanie dla okupu. Od dłuższego czasu w Moskwie działa banda, która zajmuje się tego typu... działalnością.

– Dlaczego nic o tym nie wiem? Milicja...

– Rodzice nie chcą nagłaśniać sprawy – wszedł mi w słowo Dato. – Na początku roku porwano syna dyrektora departamentu w Ministerstwie Górnictwa, kiedy facet zawiadomił MGB, dzieciaka odesłano mu w kawałkach. Poczta. To zawodowcy: wszystkie porwania są starannie zaplanowane, bezbłędnie wykonane, a ich ofiarami stają się tylko dzieci wysokich urzędników. I wiadomo, że kto zapłaci, ten odzyska dziecko. Problem w tym, że jeden z moich przyjaciół nie jest w stanie zebrać kwoty, jakiej zażądali porywacze. Jego aktywa zostały chwilowo zamrożone. Tamci mają znakomity wywiad, lecz tego akurat nie wiedzą: ostatnie operacje finansowe przeprowadził z zachowaniem wyjątkowej ostrożności.

– Co się stało?

– Większość swojego majątku przetrzucił za granicę, do szwajcarskiego banku. Dostęp do pieniędzy uzyska nie wcześniej niż za miesiąc. A termin wypłaty okupu ustalono na jutro...

– Czy ktoś nie mógłby mu pomóc? Pożyczyć brakującą sumę?
– Tylko ja, niestety, mam podobny problem, co on... A spieniężenie kosztowności wymaga czasu.

– O jaką sumę chodzi?

– Milion dolarów.

Niezależnie od udziału woli moje usta ułożyły się do bezgłośnego gwizdnięcia. Kim był człowiek, który mógł zdobyć taką kwotę? Pytanie czysto retoryczne – musiał należeć do ścisłego kierownictwa partii. Niedawno gazety podały, że na mocy pokoju paryskiego Włochy zostały zobowiązane do wypłacenia Albanii reparacji w wysokości pięciu milionów dolarów... Jaki bandzior ośmieliłby się zadrzeć z kimś takim? Tu odpowiedź była prosta: żaden. Wniosek? Sprawa śmierdziała na kilometr...

– Ile zebrano?

– Czterysta tysięcy.

– W jakich nominałach?

– Po sto dolarów. Myślałem, żeby zanieść im zebrane pieniądze, nawiązać kontakt i jakoś się dogadać...

– Bzdura! – warknąłem niegrzecznie. – Nie będzie żadnego kontaktu!

– Nie rozumiem?

– Każdy amerykański banknot, niezależnie od nominału, waży około grama. Czterysta tysięcy to cztery kilo i odpowiednia objętość. Milion to dziesięć kilogramów. Po rozmiarach torby czy walizki będzie widać, że nie zebrano całej sumy. A wtedy zamiast rozmawiać, bandyci zaczną ćwiartować dzieciaka.

– A gdyby uzupełnić niedobory fałszywkami lub odpowiednio pociętym papierem?

– Ta sztuczka podziała do momentu otworzenia walizki, nie dłużej. Bo oni na pewno mają pod ręką fachowca, który jest w stanie dokonać ekspertyzy. A jeśli wykryją podstęp, nie będą w nastroju do negocjacji...

– Co proponujecie?

– Istnieje tylko jedna opcja: operacja typu wojskowego, od początku nastawiona na uwolnienie dziecka i fizyczną likwidację bandytów.

– Gdyby ich przesłuchać...

– Niemożliwe, znikną z każdego więzienia. Albo ktoś ich wykończy.

– Zdaję sobie oczywiście sprawę, że muszą mieć wtyki w milicji, ale...

– Nie wtyki i nie w milicji. Oni sami muszą być z MGB lub podobnego resortu. Żadna banda nie byłaby w stanie zachować odpowiedniej dyscypliny operacyjnej i zatrzeć za sobą wszystkich śladów. Bo oni zatarli, prawda? Przypuszczam, że po przekazaniu okupu niejeden wpadł na pomysł, żeby im odpłacić?

Dato bez słowa przytaknął.

– To bezpieczeństwo – stwierdziłem stanowczo.

– Uważacie, że działają za wiedzą Abakumowa albo Berii?

– Wątpię – odparłem po namyśle. – Być może, gdyby chodziło o jakiegoś osobistego wroga, ale przez dłuższy czas? Nie, niemożliwe. To prywatna inicjatywa, lecz organizator akcji musi być dość wysoko w ich hierarchii. Stawiałbym na pułkownika.

– Co proponujecie?

– Mam pod ręką odpowiednią ekipę, jednak nie mogę przeprowadzić operacji bez zgody dowódcy *wojennej rozwiadki*.

– Coś jeszcze?

– Tak. Podejmę się tego tylko na zasadach *carte blanche*. I nie daję żadnej gwarancji...

– Kiedy zaczniecie?

– Od zaraz. Czy coś wiadomo na temat wcześniejszych porwań?

– Niewiele, tylko dwie osoby złożyły wyjaśnienia. Pozostali nie chcieli o tym rozmawiać. No i to nie było żadne przesłuchanie, raczej przyjacielska rozmowa.

– Mam nadzieję, że ktoś to chociaż zaprotokołował?

– Tak.

– W takim razie potrzebuję tych dokumentów, wyślijcie też po moich ludzi.

Petrosian skinął głową i sięgnął po dzwonek. Wychyliłem kilkoma łykami swoje wino. Było czerwone jak krew. Cóż, niezależnie od rozwoju wypadków czego jak czego, ale krwi jutro nie zabraknie...



Zamrugalem, lecz nic nie pomogło: oczy nadal piekły. Nic dziwnego, siedzieliśmy nad planami operacji całą noc. Na stole leżała mapa Moskwy upstrzona różnokolorowymi znaczkami, większość z nich koncentrowała się w śródmieściu.

– Jak oceniasz nasze szanse? – zapytał po raz nie wiadomo który Petrosian.

Zanim noc dobiegła końca, przeszliśmy na ty. Dato przeważnie milczał, ale nie opuszczał sali nawet na minutę, najwyraźniej zależało mu na uratowaniu dzieciaka. Albo nie chciał psuć sobie układów z jego ojcem... Nazwisko tego ostatniego nadal pozostawało w sferze domysłów, jednak nie nalegałem. To, kim jest, nie miało żadnego znaczenia dla przebiegu akcji. Może nawet lepiej nie wiedzieć? Po czorta się denerwować? Nie ulegało wątpliwości, że w najbliższym czasie dorobię się albo wpływowego przyjaciela, albo potężnego wroga...

– Wszystko zależy od tego, czy przechwycimy drugie ogniwo – wyjaśniłem.

– Nie rozumiem?

– Pieniądze odbierze człowiek, który nic nie wie o porwaniu czy o stojących za nim

ludziach. To tylko wynajęty pośrednik. W dwóch poprzednich przypadkach przekazywano forszę w centrum miasta, po południu. To dobry wybór, w okolicy zawsze jest sporo samochodów i przechodniów, tak że pośrednik zagubi się w tłumie.

– Dlaczego po południu?

– Nie ma tłoku ani korków na drogach, bo ludzie wrócili już z pracy do domów.

– Więc w czym problem? Przecież można go śledzić.

– Nie można. Nie bezpośrednio. Ci ludzie to nie grupa urków z przedmieścia, tylko zawodowcy. Na pewno będą obserwowali pośrednika. Jeśli zauważą coś podejrzanego, natychmiast zerwą kontakt.

– Aha, więc po to ci te patrole?

– Tak, nikt nie będzie za nim jeździł czy włóczył się po ulicach. Obstawimy całe centrum, a informacje będziemy przekazywać przez radio. W takiej sytuacji kontrolobserwacja jest praktycznie niemożliwa.

– Ale?

– Niestety, ten plan ma kilka słabych punktów: wystarczy, że zażyczą sobie przekazania pieniędzy poza centrum albo któryś zauważy anteny na samochodach, bo do koordynowania akcji nie wystarczą nam telefony, potrzebna będzie łączność radiowa.

– Założmy, że uda nam się dotrzeć do człowieka, który odbierze pieniądze od pośrednika, co wtedy?

– Po pierwsze trzeba będzie zlikwidować snajpera.

– Jakiego, do licha, snajpera?!

– Oni muszą w jakiś sposób kontrolować miejsce, gdzie dojdzie do kontaktu, bo ten drugi będzie już członkiem bandy. W razie najmniejszego podejrzenia po prostu go zlikwidują.

– Co zamierzasz?

– Mamy sekcję antysnajperską: ta zajmie się neutralizacją zagrożenia. Druga grupa zatrzyma pośrednika i bandziora. Wówczas trzeba będzie zdobyć informację, gdzie znajduje się miejsce, do którego bandyta miał zawieźć pieniądze. Problem w tym, że nie może nam to zająć więcej niż kwadrans, bo inaczej tamci zaczną coś podejrzewać.

– Dacie radę?

– Mamy pewne procedury na podobne sytuacje – zapewniłem. – Wówczas grupa szturmowa wejdzie się do budynku, gdzie trzymają zakładnika, i spróbuje go uratować...

– Spróbuje?! Sasza, wiesz, że nie mogę ci powiedzieć, kto jest ojcem chłopaka, ale na litość boską...

– Nie mam zamiaru składać obietnic bez pokrycia – przerwałem mu szorstko. – Jeżeli przy dzieciaku czuwa ktoś, kto ma go zabić w razie wpadki, albo w budynku podłożono ładunki wybuchowe, przegramy. Jednak wątpię: do tej pory nie było

najmniejszych zgrzytów i nie ma powodów do aż tak daleko posuniętej ostrożności. Przy tym oni są przygotowani, żeby oddać dziecko, a więc postarają się ograniczyć kontakt do minimum, zapewne po prostu trzymają je gdzieś pod kluczem i trzy razy dziennie ktoś w masce na twarzy przynosi żarcie i zabiera nocnik.

– Kto da im forse?

– Ja.

– Poprzednio żądali, żeby zrobiło to któreś z rodziców.

– Tym razem będzie inaczej – powiedziałem obojętnie.

– Sasza!

– *Carte blanche*, pamiętasz?

Dato otarł spocone czoło, choć w pokoju wcale nie było gorąco, popatrzył na mnie ni to z podziwem, ni to z dezaprobatą.

– Chciałbym mieć twoje nerwy – mruknął.

– To nie nerwy, to przyzwyczajenie. A teraz czas się zbierać, muszę złapać choć ze dwie godziny snu, inaczej nie będę w formie.

– *Ni pucha, ni piera* – pożyczył mi ze śmiertelną powagą Petrosian.

– *K czortu!* – odparłem równie serio.



Telefon zadzwonił o szesnastej, byłem pewien, że porywacze zażądają przekazania pieniędzy nie dalej niż za pół godziny. To standard w takich sytuacjach: nie ma czasu na myślenie, a jedynie na wykonanie polecenia. Tym razem jednak nie pójdzie im tak łatwo...

– Za pół godziny na placu teatralnym – powtórzyła posłusznie Nadia Konstantinowna.

Matka porwanego chłopca wyglądała na czterdzieści lat, choć prawdopodobnie była sporo młodsza. Wieku dodawały jej cienie pod oczyma i blada, wymizerowana twarz, efekt nieprzespanych nocy.

– Nie, mój mąż nie może tego zrobić, dziś rano dostał zawału serca – rzuciła drżącym głosem. – Poproszę przyjaciela rodziny. Ja...

– Odłożył słuchawkę – poinformował nagrywający rozmowę technik.

– A jeśli oni skrzywdzą Sławę? – zapytała.

– Nie skrzywdzą – zapewniłem. – Wasz syn jest dla nich wart milion dolarów. Nie zrezygnują z tej sumy tylko dlatego, że ktoś jest niedysponowany.

– Przerwali połączenie...

– Zadzwonią – westchnąłem. – Wierzcie mi, że zadzwonią.

Nadia Konstantinowna przygryzła wargi z taką siłą, że na jej ustach pojawiła się krew. Mijały sekundy i minuty, telefon milczał.

– Może trzeba było... – zaczęła.

Przerwał jej kolejny dzwonek. Słuchawka dwukrotnie wypadła kobiecie z dłoni, zanim zdołała przyłożyć ją do ucha.

– Zmieniłi czas i miejsce – powiedziała po chwili. – Teraz macie wrzucić walizkę z pieniędzmi do kosza na śmieci przy restauracji na Tagańskiej. O siedemnastej.

– Jedziemy! – zarządziłem.

– Aleksandrze Nikołajewiczu – poprosiła błagalnie – zatroszczcie się o mojego syna.

Skinąłem głową, ale nie odpowiedziałem. To nie był dobry moment na uspokajanie choćby najbardziej zdenerwowanej matki. Rozpocząła się pierwsza runda...



Śmietnik usytuowany był tuż przy tylnym wyjściu z restauracji, od strony podwórka. Nie było mowy, żeby ktoś mnie asekurował: porywacze mogli mieć obserwatora w którymś z pobliskich domów.

Podszedłem niespiesznym krokiem do śmietnika, zerknąłem na zegarek – jeszcze dwie minuty, lepiej poczekać. Wreszcie uniosłem ciężką blaszaną pokrywę, rozhuściłem walizkę. Wtedy mnie dopadli, jeden wyrwał mi pieniądze, drugi przystawił pistolet do skroni. Musieli wyskoczyć z zaplecza restauracji.

– Idziemy! – warknął wyższy.

Posłusznie ruszyłem w kierunku wejścia do sąsiedniego budynku, po chwili znaleźliśmy się na innej ulicy, później przebiegliśmy przez przydomowy ogródek, w nieodległym zaułku czekał samochód. Mimo że nie przyglądałem się specjalnie porywaczom – obaj nosili maski z pończoch – i tak zmuszono mnie do wciśnięcia głowy między kolana. Na karku czułem cały czas zimną stal: jeden z mężczyzn ułokował się wraz ze mną na tylnym siedzeniu.

Usłyszałem odgłos otwieranej walizki i szelest papieru. Najwyraźniej bandyci postanowili nie tylko zaasekurować się, biorąc dodatkowego zakładnika, ale i na miejscu sprawdzić pieniądze. Jeśli rozpoznają fałszywki, nic mnie nie uratuje, nie zdążę nawet mrugnąć. Nie teraz, kiedy mój konwojent trzyma palec na spuście. Brakującą kwotę uzupełniono z zapasów wojskowego wywiadu, sześćset tysięcy podrabianych dolarów. Podobno banknoty były nie do odróżnienia od prawdziwych – matryce sporządził jeden z najlepszych rosyjskich fałszerzy, jednak wolałbym tego nie sprawdzać. Nie w taki sposób...

– Na pierwszy rzut oka wszystko w porządku – zawyrokował w końcu siedzący obok kierowcy mężczyzna. – Pewność uzyskam po przeprowadzeniu kilku testów.

– Później – odpowiedział kierowca.

Nie mogłem podnieść głowy, za to łowiłem wszelkie dźwięki i zapachy. Jechaliśmy czterodrzwiowym moskwiczem: niezły wybór, w razie niebezpieczeństwa każdy z pasażerów mógł w dowolnej chwili wyskoczyć w biegu. O ile pamiętałem, samochód powstał na bazie niemieckiego opla kadetta K38. Szybkość nienadzwyczajna, pewnie nie więcej niż dziewięćdziesiąt, góra sto kilometrów na godzinę, ale wysokie zawieszenie i duże koła pozwalały przypuszczać, że wóz nieźle sprawuje się w terenie. Tak czy owak, nasze maszyny dysponowały przewagą mocy, więc odpada jedno zmartwienie: bandyci nam nie uciekną. Chyba że zorganizują po drodze zasadzkę. Nie zdziwiłbym się, gdyby coś takiego planowali. Za takie pieniądze...

Zakręciliśmy ostro i mój konwojent zwałił się na mnie całym ciałem. Poczulem zapach drogiej wody kolońskiej i smaru do broni. Znaczy facet nie jest biedny, dba o siebie i utrzymuje broń w sprawności. Oceniłem jego wagę na jakieś osiemdziesiąt parę, może dziewięćdziesiąt kilogramów. Dowodzący całą ekipą kierowca był niższy i szczuplejszy: jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu i siedemdziesiąt kilka kilogramów. Specja od finansów widziałem tylko przez moment i siedzącego, ale sprawiał wrażenie najszczuplejszego i najwyższego z całej trójki. Oceniłem, że w razie potrzeby być może dałbym radę zabić swojego strażnika, zanim ten zdążyłby użyć broni. Problem w tym, jak zachowaliby się pozostali... No i czy warto ryzykować? Nie ulegało wątpliwości, że porywacze złamali schemat, czort wie, gdzie mnie wiozą. Wariantów było przynajmniej kilka, w tym i takie, których wolałbym nie sprawdzać. Najgorszy z nich zakładał, że jestem dla nich tylko gwarancją braku pościgu i jeśli dotrą bez przeszkód do punktu, gdzie czeka na nich inny wóz, być może ubezpieczony przez snajpera, przesiądą się, zabierając pieniądze, a mnie po prostu zastrzelą... Optymistyczna wersja zakładała, że postarają się sprawdzić, kim jestem. Wówczas musieliby mnie dowieźć do swojej kwatery.

I znowu zakręt, tym razem w drugą stronę. Pilnujący mnie mężczyzna cofnął dłoń z pistoletem, lewą rękę położył mi na karku. Z jednej strony świadczyło to wyraźnie, że facet się odprężył, z drugiej utrudniało mi rozbrowienie gościa, bo nie wiedziałem, w jakiej pozycji trzyma pistolet. Szlag!

Znienacka rozległ się przeraźliwy wizg opon, moskwiczem zarzuciło: musieliśmy zawrócić na pełnej szybkości. Widać bandyci postanowili sprawdzić, czy nikt za nimi nie jedzie. Jeśli choć jeden śledzący nas samochód zmieni kierunek jazdy, będzie po mnie... Jedyna nadzieja, że Siemionow i Liza staną na wysokości zadania. Siemionow dowodził grupą szturmową i pojazdami *wojennoj razwiedki*, kapitan Wierchońska miała kierować biorącymi udział w akcji milicjantami.

Zatrzymaliśmy się z włączonym silnikiem i znowu poczułem na potylicy lufę pistoletu. Co się dzieje? Trzasnęły drzwiczki i samochód opuścił „bankier”, jak nazwałem na swój użytek chudzielca testującego banknoty. Po chwili znowu ruszyliśmy. Odetchnąłem: znaczy nie będzie zamiany samochodu, ale przejechaliśmy punkt kontrolny. Widocznie obserwujący okolicę snajper nie zauważył niczego podejrzanego. Świetnie!

Wóz podskoczył na nierównej nawierzchni, zwolniliśmy. Ocenilem czas jazdy na pół godziny, co dawało około trzydziestu kilometrów w linii prostej. Inna rzecz, że na pewno nie jechaliśmy najkrótszą drogą do celu. Wniosek? Nadal znajdujemy się w Moskwie i raczej nie na peryferiach.

Wjechaliśmy w tunel – głuchy odgłos świadczył, że otaczają nas ściany, później zatrzymaliśmy się na placu. Obszernym placu: zanim kierowca zgasił motor, echo odbiło warkot silnika od odległych budynków, być może muru. Pewnie jakaś opuszczona fabryka – po wojnie było takich od cholery, te, których jeszcze nie przestawiono na produkcję cywilną, po prostu porzucano. I znowu mądry wybór, takie miejsca obchodzono z daleka, gdzieniegdzie nadal straszyły tablice z napisami grożącymi śmiercią nieuprawnionym, którzy znaleźliby się na terenie zakładu. Niby głupstwo, jednak wszyscy wiedzieli, że szabrowanie powojkowego mienia nie popłaca; przy odrobinie dobrej (a raczej złej) woli śledczego można dostać wyrok nie tylko za kradzież, ale i szpiegostwo.

Dalsze rozmyślenia przerwał mi przeraźliwy ból – konwojent uderzył mnie ręką pistoletu w prawy bark. Cios był skierowany w dół i w kierunku centrum ciała, tak żeby porazić cały szereg nerwów odpowiedzialnych za poruszanie ręką, widać, że gad wiedział, co robi, i miał w tym wprawę. Znaczy nie pierwszy raz...

Facet wywlókł mnie brutalnie z samochodu i rzucił twarzą na maskę, asekurowany przez kierowcę przystąpił do przeszukania. Oszczędne ruchy mężczyzny świadczyły, że i w tej dziedzinie nie jest nowicjuszem. Moja teoria, jakoby za porwaniami stali agenci bezpieczeństwa, stawała się z każdą minutą coraz bardziej realna. Niestety, mało też prawdopodobieństwo, że wyjdę z akcji żywy. Dla zawodowców byłem tylko dodatkowym problemem, a problemy się likwiduje...

– Nie ma broni – oznajmił wreszcie.

Zabrał mi dokumenty, nie rzuciwszy nawet na nie okiem, włożył do kieszeni. Czyli najpierw sprawdzą, kim jestem, a dopiero później – o ile w ogóle – będą ze mną gadać. Widać mają tu jakiś telefon. Nie bałem się pobieżnej z konieczności weryfikacji, bo dokumenty identyfikowały mnie jako dyplomata, lecz sam fakt, że posiadali możliwość błyskawicznego sprawdzenia tożsamości, niepokoił. Podobnie jak pewność, że byli tylko wykonawcami – inaczej sami podjęliby decyzję. Tu i teraz.

– Do piwnicy z nim! – rozkazał kierowca.

Cóż, dobre i to, trochę jeszcze pożyję... Konwojujący mnie brutal wykręcił mi rękę,

zmuszając do zgięcia się w pól, i poprowadził w stronę najbliższego budynku. Grube żelazne drzwi odcięły mnie od wszelkich dźwięków i światła, piwnica nie miała okien. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem kontakt i przekręciłem bakelitowy przełącznik – o dziwo, działał. Światło wydobyło z mroku obszerną halę i kilka maszyn o nieznanym mi przeznaczeniu. Obszedłem całe pomieszczenie, ale nie znalazłem w nim nic ciekawego. Kto wie, może przygotowano je – na wszelki wypadek – do przetrzymywania zakładników? Pod jedną z maszyn walał się krótki stalowy pręt. Wsunąłem go za mankiet koszuli. A nuż się przyda...

Przycupnąłem niedaleko wejścia, po namyśle zdecydowałem, że nie wyłączę światła: dużo bardziej podejrzane byłoby, gdybym siedział w ciemnościach, większość ludzi boi się mroku. Teraz pozostawało tylko czekać. No i mieć nadzieję, że ludzie Siemionowa czają się gdzieś w pobliżu. I malec znajduje się na terenie fabryki. I wszystko pójdzie dobrze. Kurwa! Wyszłaby z tego niezła litania, nic, tylko zacząć się modlić...



Drzwi otworzyły się z nienacką i w progu stanął barczysty mężczyzna. Bez maski i z pistoletem w dłoni. Wniosek narzucał się sam: porywacze postanowili mnie zlikwidować. Cóż, spodziewałem się tego.

Nie wstając z betonowej podłogi, zahaczyłem lewą stopą nogę bandyty, kopniakiem drugiej w kolano obaliłem na ziemię. Padł jak ścięty. Ludzie często zapominają, że nogi mają dużo większy zasięg niż ręce i że nie zawsze opłaca się walczyć na stojąco.

Dopadłem go błyskawicznie, uderzeniem przedramienia w łokieć zламаłem staw i pozbawiłem broni. Nie przejmowałem się jego wyciem, wątpiłem, aby ktoś nas usłyszał.

– Gdzie chłopak? – spytałem szeptem.

Nie odpowiedział. Kopnięciem przymknąłem drzwi, powoli, z rozmysłem zacisnąłem dłoń, miażdżąc zdruzgotane kości. Ponownie zawył, tym razem głośniej.

– Gdzie trzymacie chłopaka? – powtórzyłem.

Słyszałem, jak bulgocze, zachłystując się własną śliną i krwią, poczułem odór moczu, ale facet nadal milczał. Cóż, wiedział, że za kilka minut ktoś zainteresuje się, dlaczego tak długo nie wraca. Tym gorzej dla niego: nie miałem kilku minut.

Jednym szarpnięciem oderwałem mu rękaw marynarki i zakneblowałem usta. Nie, nie chodziło mi o hałas! Czasem ludzie potrafią odgryźć sobie język...

Precyzyjnym kopnięciem zmiażdżyłem mu najpierw jedno, później drugie kolano.

Nie zdziwiłem się, kiedy zwiotczał, ludzki organizm może wytrzymać określoną dawkę fizycznego bólu, jeśli przekroczyć granicę, pogrąża umysł w omdleniu. Tyle że byłem na to przygotowany: ucisk pewnych punktów może każdego doprowadzić do przytomności.

Tym razem mężczyzna nie miał już siły krzyczeć, spod knebla dobiegały tylko żalostne jęki, szeroko otwarte, przerażone oczy szukały mojego spojrzenia. Wyrwałem mu knebel, stanąłem tak, żeby mnie widział.

– Gdzie jest dzieciak?

– W pokoju na piętrze – wybełkotał.

Odetchnąłem z ulgą, jeden kłopot mniej.

– Ilu was jest?

– Trzech... poza mną.

Facet wiedział, że jest już trupem. Cóż, miał rację...

– Bezpieka?

Nawet nie udawał, że nie wie, o co mi chodzi.

– GB – potwierdził.

– Kto jest szefem?

– Pułkownik Artemian.

– To wasza inicjatywa czy rozkaz Abakumowa?

– My... sami.

– Które to porwanie?

– Sze... szesnaste – wymamrotał.

– Jak się nazywasz?

– Zoszczenko.

Żrenice uciekały mu w górę, znowu był na granicy utraty przytomności.

– Zabijcie – poprosił. – Nie chcę... zdychać na Łubiance.

Wzruszyłem ramionami: też mi zachcianki! Trzeba było nie bawić się w porywacza. I nie zabijać dzieci...

Ponownie założyłem mu knebel, związałem ręce paskiem. O nogi nie musiałem się martwić – z przetrąconymi kolanami nigdzie nie ucieknie. Zanim odszedłem, przeszukałem kieszenie mężczyzny, zabrałem mu klucz oraz nóż sprężynowy.

Zamknąłem od zewnątrz drzwi, zdjąłem buty i ostrożnie zacząłem wspinać się na górę, kiedy usłyszałem głosy, opadłem na czworaki. Zerknąłem zza załomu ściany: rozmawiało dwóch ludzi, „bankier” i kierowca. Znajdowali się niedaleko wejścia do hali i – niestety! – schodów prowadzących na piętro. Obaj uzbrojeni byli w automaty. Nie było mowy, żebym prześliznął się za ich plecami. Zagryzłem usta; lada moment któryś zaniepokoi się, dlaczego ich kumpel nie wraca, a wtedy jeden z nich albo obaj zejda do piwnicy. Jeśli będzie ich dwóch, nie mam szans. Wystarczy, że któryś naciśnie spust...

Mijały minuty, wreszcie usłyszałem kroki: jeden człowiek. Przyczaiłem się w półprzysiadzie, wiedziałem, że kiedy wróg wyjdzie zza załomu, będę miał co najwyżej sekundę, nie więcej. Odruchowo sięgnąłem po nóż, ale ostatecznie wyciągnąłem stalowy pręt – szcęk mechanizmu sprężynowego mógłby zwrócić uwagę drugiego bandyty. A trudno ten odgłos pomylić z czymś innym...

Przez ramię przewieszony miał niemiecki MP 40, trzymał dłoń na kolbie peemu, ale lufa celowała w dół. Facet najwyraźniej nie spodziewał się żadnych problemów. Włożyłem kciuk w kabłąk spustowy, uniemożliwiając strzał, drugą ręką uderzyłem w oko. Ścięty ukośnie pręt o długości dziesięciu, może dwunastu centymetrów niemal całkowicie zagłębił się w oczodole. Wszedł pod idealnym kątem: „bankier” umarł w ciągu kilku sekund. Wbrew pozorom nie tak łatwo pozbawić człowieka wzroku, a tym bardziej dotrzeć przez oko do mózgu. Jednak jeśli się uda, efekty są spektakularne – momentalna śmierć na skutek krwotoku wewnętrznego. Mnie się udało.

Podtrzymałem padające ciało, zabrałem broń. Jeżeli Zoszczenko mówił prawdę, został tylko kierowca, no i facet na górze. Moja sytuacja poprawiła się wyraźnie, zarówno jeśli chodzi o liczbę przeciwników, jak i siłę ognia, ale nadal wolałbym nie ryzykować i załatwić sprawę po cichu. Niestety, szanse na taki rozwój sytuacji były niewielkie. Kierowca, bez wątplenia dowódca grupy, sprawiał wrażenie dużo bardziej kompetentnego niż jego towarzysze. A i ci przecież nie wypadli sroce spod ogona...

Wiedziałem, że decyzję muszę podjąć natychmiast, bo jeśli dowódca wyczuje niebezpieczeństwo, zamiast zejść do piwnicy, skąd nie wróciło dwóch jego kumpli, może wydać rozkaz likwidacji chłopca i na przykład podpalić fabrykę. A później spróbować ucieczki. Cała grupa wyglądała na zdyscyplinowaną, wątpiłem, czy któryś z porwaczy spróbuje ratować skórę na własną rękę. Byli na to zbyt doświadczeni. A jeśli pracowali w bezpiecu, zdawali sobie sprawę, że śmierć to wcale nie najgorsze, co może ich spotkać...

Cóż, wybór mam niewielki, trzeba zaryzykować. Pistolet włożyłem za pasek od spodni, starając się nie myśleć, że ten sposób przenoszenia broni nie bez przyczyny nosi nazwę „kabury eunucha”, odłożyłem automat i zacząłem skradać się na czworakach niczym indiański wojownik z powieści Karola Maya. Nóż trzymałem w zębach. Widok zapewne był pocieszny, choć nie było mi do śmiechu; pot zalewał brwi, serce obijało się o żebra. Stawką było nie tylko życie porwanego dzieciaka, ale i los pułkownika Razumowskiego. Wątpiłem, aby ojciec chłopaka darował mi śmierć syna.

Mimo że poruszałem się bezszelestnie, mój przeciwnik musiał coś wyczuć. W sumie nic dziwnego, poczucie zagrożenia wyostreza zmysły w stopniu wręcz niewyobrażalnym dla zwykłego człowieka. Facet odwrócił się, kiedy byłem w odległości jakichś czterech metrów. Zwolniłem ostrze i nie wstając z kolan,

cisnąłem nożem. Z takiego dystansu można rzucać dość precyzyjnie, bez rotacji. Tyle że z żywym celem nigdy nie udaje się tak jak z tarczą... Mężczyzna wykonał rozpaczliwy unik i ostrze trafiło go w bark zamiast w serce. W mgnieniu oka zerwałem się na nogi i z szerokiego zamachu uderzyłem, używając techniki, którą „Żelazna księga” nazywała pięścią-młotem. Takim ciosem można kruszyć deski i cegły. Albo zdruzgotać mostek... Mężczyzna runął na beton niczym zrąbane drzewo, momentalnie tracąc przytomność. Podbiegłem do okna i dałem sygnał do rozpoczęcia akcji – trzeba było jakoś wywabić ostatniego porywacza. Wspinanie się po wąskich, pokrytych śmieciami i gruzem schodach nie gwarantowało powodzenia.

Nie siląc się na delikatność, odciągnąłem bezwładne ciało pod drzwi piwnicy, zanim odszedłem, włożyłem do butonierki nieprzytomnego kierowcy białą chusteczkę. W czasie wojny oznaczaliśmy tak ciężko rannych, lecz szczególnie cennych jeńców, żeby nasi ich nie dobili. Ludzie Siemionowa na pewno zauważą znak.

Przyczałem się pod schodami, teraz kolej na ruch Siemionowa. Nie musiałem długo czekać: niebawem usłyszałem pijacki bełkot i ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Ku swojemu zdumieniu poznałem głos Bugrowskiego. Ki czort? Nie mogli znaleźć kogoś bardziej doświadczonego?

Przez dobry kwadrans nic się nie działo: Bugrowski przeklinał i kopał w drzwi z regularnością metronomu, ale ostatni z porywaczy nie miał zamiaru się ujawniać, choć nie wątpiłem, że słyszy łomot. Cholera, co robić? A jeśli facet zabije dziecko i wyskoczy przez okno? Ludzie Siemionowa na pewno go dorwą, ale co powiem ojcu chłopaka? Przyznam się, że siedziałem pod schodami, kiedy podrzynano dzieciakowi gardło? Ciekawe, jak długo po tym pożyję? Szlag...

Wreszcie usłyszałem cichy chrzęst: ktoś skradał się po schodach. Po chwili ujrzałem sylwetkę ostatniego z porywaczy, mężczyzna ostrożnie podchodził do drzwi. Popełzłem w ślad za nim, niewykluczone, że facet postanowi zabić Bugrowskiego, gdy tylko zorientuje się, że ten jest sam. A później zacznie się zastanawiać, gdzie zniknęli kumple. Zastrzeliłbym go od razu, ale obawiałem się hałasu. A jeśli Zoszczenko mnie okłamał i na górze jest ktoś jeszcze? Miałem nadzieję, że Bugrowski odwróci choć na chwilę uwagę bandyty i da mi przewagę zaskoczenia.

Mężczyzna po namyśle odłożył karabin i uchylił drzwi, trzymając prawą dłoń w kieszeni.

– Czego chcesz?! – warknął.

Nie dosłyszałem odpowiedzi Bugrowskiego, natychmiast skoczyłem naprzód. I równie szybko padłem na podłogę. Coś gwizdnęło mi koło ucha, a ciche „plop-plop-plop” świadczyło, że Bugrowski używa broni z tłumikiem. Mój Boże! Czy nikt nie powiedział temu matołowi, że strzelając z bliska, trzeba skierować lufę w dół albo pod kątem w górę, bo inaczej możemy podziurawić nie tylko wrogów?! Na szczęście po

chwili Bugrowskiemu skończyła się amunicja. Popędziłem do drzwi i zabrałem mu broń, zanim zdążył zmienić magazynek. To by dopiero wyglądało w nekrologu: „Zabity przypadkowym strzałem przez roztargnionego poetę”...

– To wy! – wykrzyknął z ulgą Bugrowski. – Żyjecie!

– To akurat nie twoja zasługa – odburknąłem. – Pogadamy jeszcze o tym w wolnej chwili. Teraz ściągnij tu ludzi, tylko niech podejda po cichu. Czort wie, kto czai się jeszcze w tej fabryce? Ja idę na górę.

– A co z resztą porywaczy? Wy ich wszystkich...

– Nie wiem – przerwałem niecierpliwie. – Zobaczymy. I nie ruszaj się stąd nawet na krok! Do środka mogą wejść tylko ludzie Siemionowa!

– Oddacie mi pistolet?

Westchnąłem ciężko, lecz zwróciłem chłopakowi broń: wypadało docenić starania podwładnego – w końcu próbował mi pomóc, no i zabił przed chwilą po raz pierwszy człowieka...

Nie spieszyłem się, wchodząc po stopniach, jeśli dzieciak był martwy, pośpiech mi nie pomoże, a kto wie czy porywacze nie zostawili jakichś niespodzianek. Byli ostrożni do granic paranoi.

W minutę później i piętro wyżej pogratulowałem sobie przezorności: ledwo zauważyłem cienki, upaprany cementowym pyłem drut – *raztiażka*. Granat przytwierdzony był do metalowej balustrady i zamaskowany odłamkami betonu. Gdybym zahaczył o przewód i wyrwał zawleczkę, pozbyłbym się wszelkich problemów tu i teraz...

Cofnąłem się z przekleństwem na ustach, to robota dla sapersa. Sama pułapka nie była zbyt wyrafinowana i rozbroiłbym ją bez trudu, ale po cholere ryzykować, skoro na miejscu są fachowcy? A jeśli to podstęp i unieszkodliwiając granat, uruchomię coś dużo gorszego? Słyszałem o takich przypadkach.

Na parterze powitali mnie Siemionow i Wierchońska. Pod ścianą ułożono zwłoki, nieopodal ktoś udzielał pierwszej pomocy kierowcy.

– Przeżyje? – spytałem.

Pochylony nad porywaczem żołnierz uniósł głowę, ujrzałem młodą, choć już naznaczoną doświadczeniem twarz.

– Może tak, może nie – odparł lakonicznie. – Ma zmiądzony mostek. Czym żeście go uderzyli, pułkowniku?

– Pięścią.

– Może następnym razem użyjcie topora bojowego? – zaproponował z irytacją w głosie. – Będzie miał większe szanse...

– Co robimy? – wtrącił się Siemionow.

– Na schodach są pułapki, ktoś musi się tym zająć. Uważajcie też na pokój, w którym trzymają chłopaka.

Siemionow skinął głową, wykonał nieokreślony gest. Najwyraźniej jego ludzie wiedzieli, co oznacza, bo na schody ruszyło natychmiast trzech żołnierzy wyposażonych w dziwne przyrządy, wśród których rozpoznałem tylko wykrywacz min.

– Mam nadzieję, że zdążyliśmy – mruknąłem.

– Czyj to w ogóle syn? – zainteresowała się Liza.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyłem ramionami. – Jak go uratujemy, to pewnie nam powiedzą. Jeśli nie, też dowiemy się w porę...

– Żebyś nie wykrakał! – skarcił mnie Siemionow.

Zamilkłem posłusznie, jak i wszyscy pozostali wpatrywałem się z napięciem w saperów. Ci zlikwidowali błyskawicznie *raztiażkę*, po czym ruszyli dalej. Po chwili zniknęli nam z oczu, ale dobiegające z góry przekleństwa świadczyły, że trafili na coś gorszego. Dobrze, że sam tam nie polazłem... Zdarzyło mi się parę razy założyć prostą pułapkę, jednak rozbijanie min to nie moja dziedzina. Do tego potrzeba talentu, jak i do wszystkiego – każdy może zaśpiewać piosenkę, ale tylko jeden na dziesięć tysięcy zostanie gwiazdą opery. Różnica jest jedna: marny artysta zostanie wygwizdany, kiepski saper zginie...

Wreszcie skrzypnęły drzwi, widocznie ludzie Siemionowa weszli do pomieszczenia, w którym przetrzymywano dzieciaka. Zaciśnąłem zęby w podświadomym oczekiwaniu na wybuch. Nie doczekałem się. I znowu pod butami saperów zachrząścił zalegający schody gruz, wsłuchiwałem się w kroki nadchodzących żołnierzy w napiętym milczeniu, z zaciśniętymi pięściami. Dwóch niosło sprzęt, trzeci prowadził za rękę umorusanego jak nieboskie stworzenie pięciolatka.

Zmęczenie zważyło się na mnie nagle jak lawina, poczułem bolesne pulsowanie w skroniach.

– Chyba muszę usiąść – wymamrotałem. – Ma ktoś coś mocniejszego?

Sanitariusz bez słowa podał mi sporą, napełnioną w trzech czwartych butelkę. Według etykiety zawierała silnie toksyczny płyn na wszawicę. Łyknąłem łąpczywie: koniak. Bardzo dobry koniak...

Ktoś zorganizował kilka kubków, rozlałem alkohol. Naczynia natychmiast zaczęły krążyć wśród żołnierzy, choć zauważyłem, że nikt nie przesadzał z piciem. Siemionow musiał trzymać swoich ludzi żelazną ręką.

– Wygraliśmy, Saszka! – zawołała Liza, salutując mi poobijanym garnuszkiem.

Dźwignąłem się z wysiłkiem na nogi, odpowiedziałem niepewnym uśmiechem. Rzeczywiście, wygraliśmy...



Eduard Malicyn, wysoki, postawny blondyn o przeraźliwie zimnych niebieskich oczach nie był zbyt wylewny, wydawało się, że słowo „dziękuję” z trudem przechodzi mu przez usta. A przecież uratowałem mu syna... Nie żeby mnie to dziwiło, już dawno przestałem liczyć na ludzką wdzięczność.

– Szkoda, że Artemian zdążył popełnić samobójstwo – zauważył, kiedy skończyłem relację z wydarzeń poprzedniego dnia.

– Przypuszczam, że mieli ustalone sygnały – odparłem obojętnie. – Kiedy tamci nie zgłosili się w odpowiednim momencie, zrozumiał, że ich wzięliśmy. Więc strzelił sobie w łeb.

– Sygnały?

– To mogło być cokolwiek, na przykład telefon o określonej porze.

– Na Łubiankę?

– Niekoniecznie. Porywacze mogli dzwonić pod umówiony adres, na przykład do restauracji albo filharmonii. A tamci przekazywali sygnał Artemianowi, informując o czymś pozornie bez znaczenia: zamówionym stoliku, biletach na koncert, czymkolwiek.

– Jak rozumiem, można ustalić wszystkich pośredników?

– Tak, pułkownik Siemionow zajął się tym już wczoraj. Do wieczora powinien mieć listę. Chyba że czekałsi będą wierzący, w końcu chodzi o ich ludzi. Wtedy sprawa się skomplikuje.

– Nie będą – zapewnił sucho Malicyn.

Uniosłem brwi, lecz nie skomentowałem. Czyżby mój nowy znajomy potrafił ustawić Abakumowa? Z tego, co powiedział Dato, wynikało, że Malicyn jest prawą ręką mało znanego, choć wpływowego polityka nazwiskiem Chruszczow. Nikita Chruszczow.

– Towarzysz Abakumow dopilnuje tego osobiście – dodał. – Niestety, w tej drugiej sprawie nie będę mógł wam pomóc. Nie bezpośrednio.

– Chodzi o moje...?

– ...dochodzenie – dokończył Malicyn. – Tak, wiem o zadaniu, jakie powierzył wam towarzysz Stalin. Ale być może dacie sobie radę. Tymczasem mam dla was prezent. – Na stole położył tekturową teczkę. – To nie jest spłata długu, a jedynie pierwsza rata.

No, no, chyba będę musiał zmienić zdanie na temat towarzysza Malicyna. Może nie był złotoustym mówcą, ale najwyraźniej nie miał zwyczaju zapominać o ludziach, którzy oddali mu przysługę. Przyjemna odmiana po dupkach w rodzaju Abakumowa

czy Berii...

– A teraz wybaczcie, żona na mnie czeka.

Kiedy wyszedł, milczący dotąd Dato wymownym gestem wskazał mi teczkę.

– Powinieneś to przeczytać, teraz – powiedział.

– Wiesz, co tu jest?

Potwierdził skinieniem głowy.

Rozwiązałem tasemki, wewnątrz znajdowały się tylko dwie kartki: kopia legitymacji służbowej Ministerstwa Kontroli Państwowej i wykaz kobiet służących w 46. Tamańskim Pułku Nocnego Lotnictwa Bombowego Gwardii. Nazwisko, na jakie wystawiona była legitymacja, nic mi nie mówiło, nie znałem Ariny Bystrickiej, co innego zdjęcie – z fotografii patrzyła na mnie Marina Kowalenko... W wykazie „nocnych wiedźm” nie figurowały ani Kowalenko, ani Bystricka.

Miałem ochotę coś rozbić, ale nie wypadało: byłem w gościach. Dato nalał mi koniaku, wychyliłem jednym haustem. A to suka! Podstępna, parszywa suka! Kowalenko (a raczej Bystricką) poznałem dwa lata temu, od tego czasu zawsze snuła się gdzieś w pobliżu. A ja dałem się nabrać...

– Jak myślisz, to Mechlis ją nasłał? – zapytał Dato.

– Wątpię. Nigdy nie wszedłem mu w drogę. To musiał być Beria.

– Beria? A to z jakiej racji?

– Mechlis co prawda kieruje Ministerstwem Kontroli Państwowej, ale to Beria nadzoruje pracę tej instytucji z ramienia Rady Ministrów i samego Stalina. Stąd może wydawać rozkazy i Mechlisowi.

– I dlaczego napuścił ją na ciebie?

– Uważa, że nie rozliczył się ze mną do końca.

– A ty z nim?

Nie odpowiedziałem. Szczerość szczerością, a instynkt samozachowawczy swoją drogą...

– Co zrobisz z tą babą? – zmienił temat Dato.

– Nie wiem, pomyślę. Na ile wiarygodne są te dane? Bo sam widziałem jej odznaczenia i dokumenty z czasów służby w Czterdziestym Szóstym.

– Na sto procent. A dokumenty i ordery to standardowa procedura w tym wypadku.

– Masz na myśli działalność agenturalną?

– Nie tylko. Żołnierze oddziałów zaporowych NKWD i plutonów egzekucyjnych dostali po wojnie fałszywe papiery i odznaczenia, z oczywistych względów: u nas nie lubią katów. Sfabrykowano im szlak bojowy i przyznano lipne medale. Takie życie...

– Ta suczka była w NKWD?

– Prawdopodobnie, do MKP przeszła z rekomendacji Berii.

Zagryzłem wargi. Wyglądało na to, że nie doceniłem Ławrentija Pawłowicza. Błąd, który mógł mnie kosztować życie. Gdyby nie Malicyń...

– Skąd wam w ogóle przyszło do głowy, żeby ją sprawdzić?

Petrosian zakręcił kieliszkiem, tak jakby interesowało go tylko wino, najwyraźniej zastanawiał się, ile mi powiedzieć.

– A jak myślisz, dlaczego chciałem się z tobą skontaktować?

– No właśnie, dlaczego? – powtórzyłem nieufnie.

– Nie tylko ty nie przepadasz za Berią – powiedział ostrożnie. – Ławrentij Pawłowicz narobił sobie wrogów.

– I co z tego? Nie jestem w stanie w żaden sposób pomóc wam w walce z Berią. Polityczne rozgrywki to nie moja dziedzina, a szczerze mówiąc, i nie mój poziom. Gdybym nie był potrzebny Stalinowi, Beria już dawno rozduśliłby mnie jak pluskwę.

– Nikt nie oczekuje od ciebie, że zajmiesz się polityką. Na razie Beria jest nie do ruszenia. Jednak w przyszłości... Może się zdarzyć, że będą potrzebne bardziej zdecydowane działania. Jak by to powiedzieć? Pozapolityczne...

– Teraz rozumiem: nie sprawdzaliście Kowalenko, sprawdzaliście mnie.

Dato nie zaprzeczył.

– To jakiś spisek przeciwko Berii? Powinniście wiedzieć, że niejeden próbował. A Beria ma się dobrze.

– To nie spisek, raczej coś w rodzaju luźnej konfederacji. W jej skład wchodzi ludzie, którzy chcą ograniczenia wpływów Ławrentija Pawłowicza.

– Grupa Chruszczowa?

– Wiesz, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– A co, jeśli się nie zgodzę na przyłączenie do owej konfederacji?

– Nic – wzruszył ramionami Dato. – Przecież wiemy, że nie pobeigniesz z donosem do Berii. Jesteś w sytuacji bez wyjścia: cokolwiek byś zrobił, on i tak zabije cię przy pierwszej okazji. Dlatego ci ufamy. Wierzmy też w twój zdrowy rozsądek. Potrzebujemy cię, ale i tobie prędzej czy później potrzebna będzie pomoc. A mamy spore możliwości, dowody leżą na stole.

– Co z Horstem?

– Jest już w Wiedniu.

– Nie było żadnych problemów?

– Skąd! Takie sprawy to dla nas drobiazg.

– Moglibyście przerzucić i mnie? Na dwa, góra trzy dni, tak żeby nikt o tym nie wiedział?

– Oczywiście. O ile zaakceptujesz cenę...

– Co mam zrobić?

– Wyciągnąć z więzienia pewną kobietę.

– Dlaczego sami tego nie zrobicie? Przy waszych wpływach?

– To córka pierwszego sekretarza kijowskiej organizacji partyjnej.

– Tym bardziej. Dziwię się, że ją w ogóle wsadzili.

- Nie mieli wyjścia, zabiła własnego ojca.
- Nie rozumiem. Dlaczego oskarżono ją o morderstwo? Nie było innych podejrzanych?
- Ona naprawdę go zabiła, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Świadkowie widzieli, jak władowała w niego cały magazynek. Do tego odciski palców na broni, krew na ubraniu, wszystko się zgadza. A ona się przyznała. Bez nacisków – dodał, uprzedzając moje pytanie.
- Poluźniłem kołnierzyk: zabójstwo takiej figury jak pierwszy sekretarz stolicy republiki to sprawa prestiżowa. Tu nie pomogą żadne, największe nawet łapówki ani wpływy. Istniała tylko jedna osoba, która mogła zmienić los morderczynie – Józef Wissarionowicz Stalin. Jednak bardzo wątpiłem, aby zechciał się za nią wstawić...
- Ciekawe, jak mam ją wyciągnąć z tego gówna! – warknąłem. – Zaatakować więzienie?!
- Niemożliwe, dziewczyna siedzi na Łubiance. Ze względu na rangę sprawy dochodzenie przejęli czekiści.
- To jakiś absurd! Nie jestem cudotwórcą!
- Przecież nie nalegam. – Dato rozłożył ręce. – Sam spytałeś o cenę...



Wpatrywałem się niewidzącym wzrokiem w protokoły przesłuchań morderców małżeństwa Markisianów. Wcześniej przeczytałem je kilka razy i były bez zarzutu. Nawet w szkole milicyjnej nie widziałem tak perfekcyjnej dokumentacji, najwyraźniej Bugrowski miał talent do wypełniania papierków. Złożyłem podpis w odpowiedniej rubryce, odsunąłem stertę kartek na bok. Przyszedł czas na kolejne podejście do listy Wołkowa... Pomijając zabitych oraz Stalina, Abakumowa i Berię, zostało sześć nazwisk. To tych właśnie ludzi powinienem przesłuchać i wyciągnąć z nich szczegóły śmierci Swięty Wołkowej. Zarządziłbym ekshumację i powtórny sekcję zwłok – pierwszą wykonali lekarze bezpieczeństwa, ale czekiści zatroszczyli się, żeby uniemożliwić taką ewentualność; ciało córki Wołkowa spalono dzień po śmierci. Rzecz jasna, wyłącznie z przyczyn sanitarnych...

Sierżanci Orłow i Basygin, porucznik Renn, kapitan Naryszkin, major Rubcow, pułkownik Trochimow. Wszyscy skazani na śmierć przez generała *wojenno* *raz* *wied* *ki* Wołkowa, z jemu tylko wiadomych powodów. No dobrze – byłego generała. Co prawda w wykazie figurowało jeszcze jedno nazwisko: moje, ale tym się nie przejmowałem. Wiedziałem, dlaczego Wołkow chce mnie zabić – to ja schwytałem Swiętę.

Zmusiłem się do ponownego przestudiowania listy, ale nie byłem w stanie racjonalnie myśleć: gdzieś tam daleko umierała moja córka. Córka... Dziwne, obce słowo.

Nie mogłem ot, tak sobie polecieć do Wiednia, wiedziałem, że Stalin nigdy nie zgodzi się na mój wyjazd, przynajmniej dopóki nie zamknę dochodzenia. A to zapowiadało się na długie i uciążliwe, nie trzeba geniusza, żeby przewidzieć, iż bezpieczeniacy zrobią wszystko, żeby mi je utrudnić albo i wręcz uniemożliwić. No i nic dziwnego – walczyli o życie. Jeśli okaże się, że swoim postępowaniem narazili Stalina, potoczą się głowy...

Zaryzykowałem i skorzystałem z propozycji Dato, lecz jego żądania były nierealne; mordercy pierwszego sekretarza kijowskiej organizacji partyjnej nie pomogą nawet hufce anielskie. Szlag!

Córka... Czy ma moje oczy? Czy rozpoznałbym swoje rysy w jej twarzy? Jak bardzo cierpi? W jaki sposób mogę jej pomóc? O ile w ogóle można jej pomóc... Co z tego, że przyjadę? Kosztowności, które darowałem Indze po wyjeździe z Breslau, wystarczyłyby na dwadzieścia lat dostatniego życia. Ponieważ Horst zjawiał się w Rosji jako przedstawiciel rodzinnej firmy, można wyciągnąć wniosek, że *Frau* von Bredow nie siedziała z założonymi rękoma i rozkręciła w Wiedniu całkiem niezły interes. Tak więc na pewno nie brakowało jej pieniędzy na lekarzy. Wniosek? Na nic się tam nie przydam, tyle że ujrzę córkę, zanim ta umrze...

Rozumowanie było logiczne, jednak wiedziałem, że istnieje jeszcze jedna opcja, skrajnie ryzykowna, ale rokująca pewne nadzieje: krew. Mogłem oddać córce swoją krew. Nie kilka kropli, jak w przypadku Kotuszewa, ale litr czy dwa. Z tego, co wiedziałem na temat białaczki, lekarze często stosowali transfuzje, chcąc poprawić stan chorych, więc nietrudno będzie namówić ich na kolejną. Chyba że będą przeciwwskazania medyczne, nie wiedziałem, jaką grupę krwi ma mała. Otwartą sprawą pozostawało, jak podzielała na nią krew Doskonałych. Czy dzieciak nie stanie się maszyną do zabijania o błyskawicznym refleksie i niezmaconym spokojem ducha jak Kotuszew? Co wówczas? Mam przeglądać prasę w oczekiwaniu artykułu w rodzaju: „Horror w przedszkolu: czterolatka skręciła kark koleżance, bo ta zabrała jej misia!”? Ech, kurwa...

– Co tak stękasz? – spytała z ciekawością Liza.

Zamrugalem zaskoczony: dziewczyna musiała stać tu jakiś czas. Nie zauważyłem nawet, kiedy weszła do gabinetu. Brawo, pułkowniku Razumowski! Ot, zwiadowca!

– Pukałam – zaznaczyła. – Tylko że nie odpowiadałeś, więc pomyślałam, że...

– Czego chcesz? – burknąłem niegrzecznie.

– Mam problem – poinformowała, siadając bezceremonialnie na biurku.

– Wstrząsające! – warknąłem. – Bo ja nie mam żadnych!

Kapitan Wierchońska wyduła z dezaprobatą wargi, ale nie wyglądała na obrażoną,

a tym bardziej wystraszoną. Tak to już jest: pójdiesz z kimś na akcję, a później dyscyplinę diabli biorą, bo ludzie myślą, że nic im nie zrobisz – w końcu osłaniali ci plecy. Jeszcze trochę, a i Bugrowski wejdzie mi na głowę...

– Słucham – mruknąłem mało zachęcającym tonem.

– Sąsiadka z góry zalała mi chałupę. Wszyscy znajomi mieszkają w *kommunalkach*, a w milicyjnym hotelu nie ma miejsc. Poliakov wyjechał i zanim wróci, nic się w tej kwestii nie zmieni. Hotelowi urzędnicy niespecjalnie mnie lubią, posadziłam kiedyś jednego na pół roku za kradzież – dodała tytułem wyjaśnienia. – Boria zaproponował, że mnie przenocuje, ale ma tylko jeden pokój, więc sam wiesz, jak to będzie wyglądać...

Dopiero po chwili skojarzyłem, że chodzi o majora Maksimowa. Cóż, z pewnością nie byłem u szczytu możliwości intelektualnych.

– W porządku, możesz na razie zatrzymać się u mnie – przyzwoliłem. – Choć wątpię, czy fakt, że mam trzypokojowe mieszkanie, powstrzyma kogoś od plotek.

– Będziesz jeszcze siedział nad tymi papierami?

– Owszem.

– Już po siedemnastej...

Po namyśle podałem jej klucze i na wyrwanej z notesu kartce wypisałem adres.

– Możesz urządzić się w salonie – powiedziałem.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem – odparłem niecierpliwie. – Sama widzisz, co tu mam. – Wymownym gestem wskazałem zavalone papierami biurko.

– Mogę w czymś pomóc?

– Nie. Znikaj.

Liza pocałowała mnie w policzek i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Perspektywa mieszkania z Wierchońską niespecjalnie mnie cieszyła – z wielu względów – ale nie miałem wyjścia. Gdybym odmówił, wyszedłbym na strasznego żłoba, a kto wie czy nie wzbudziłoby to podejrzeń. Większość pracowników MUR-u płci męskiej, nie wyłączając żonatych, dałaby wiele, żeby znaleźć się sam na sam z panią kapitan...

No dobrze, czort z Wierchońską! Trzeba zadecydować, co z wyjazdem do Wiednia. Nie żywiłem specjalnych sentymentów do niewidzianego nigdy dziecka, a idea ojcostwa była dla mnie abstrakcyjnym pojęciem, lecz z niewiadomej przyczyny myśl o umierającej córce drażniła niczym wbita pod paznokieć drzazga. Musiałem ją zobaczyć, spojrzeć jej w oczy...

Cóż, jeśli chciałem przekroczyć granicę, musiałem przyjąć propozycję Dato. Niezależnie od konsekwencji...



Dato Petrosian nie wydawał się zdziwiony moim widokiem, zapewne spodziewał się, że odwiedzę go prędzej czy później. Miałem tylko nadzieję, że nie dowie się nigdy, dlaczego tak mi się spieszy do Wiednia.

Po krótkiej rozmowie o wszystkim i o niczym, stanowiącej nieodzowny element gruzińskiej gościnności, Dato odsunął kieliszek z winem, sygnalizując, że przyszedł czas na interesy.

– Przyjmuję wasze warunki – poinformowałem sucho. – Z tym że dziewczuchą zajmę się dopiero po powrocie z Wiednia.

Dato z namysłem skinął głową.

– Jeśli mi się nie uda, uznam, że nadal jestem wam winien przysługę – kontynuowałem.

– Myślę, że możemy się na to zgodzić – odparł ostrożnie Petrosian.

– Potrzebuję pomocy w jeszcze jednej sprawie.

– Tak?

Powiedziałem mu. Wysłuchał mnie bez słowa, wreszcie rozłożył bezradnie ręce.

– Nie wiem, czy to w ogóle możliwe – stwierdził bez ogródek. – Być może Malicyn, w ramach spłaty długu... Zapytam go.

– Zapytaj.

– Na kiedy potrzebny ci transport? Najbliższy samolot wylatuje jutro.

– Za trzy dni. Muszę jeszcze coś załatwić.

– Jak sobie życzysz. Gdybyś chciał założyć konto w banku czy w ogóle przerzucić swój kapitał za granicę, moglibyśmy pomóc – oznajmił, obserwując mnie spod krzaczastych brwi.

– Może później. A skoro już o tym mówimy: ile by mnie to kosztowało?

– Dwadzieścia procent.

– Uczciwa cena – przyznałem. – Pomyślę o tym.

– Pomyśl. Sam nie dasz rady zrobić tego bez zostawiania śladów.

Mruknąłem potakująco i wstałem od stołu. Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni: więcej niż wspólnicy, mniej niż przyjaciele.

Przed pałacem Dato czekał już Siemionow z obstawą. Ciekawe, jak długo będę musiał tolerować ten cyrk. Nie rozmawialiśmy w trakcie jazdy, ja byłem zajęty swoimi problemami, Siemionow obserwował drogę. Chmurna mina mojego towarzysza świadczyła, że nadal przeżywa rewelacje na temat Mariny. Fakt, że dziewczyna została nasłana przez Berię, mocno go zaskoczył. Być może wiązał z nią jakieś nadzieje...

Zanim dojechaliśmy, zapadł zmierzch. Byłem zmęczony i wściekle głodny – poczęstunek u Dato był mocno symboliczny: owoce i wino.

Ledwo otworzyłem drzwi, zorientowałem się, że Liza czeka na mnie z kolacją. Mieszkanie wypełniał apetyczny zapach sosu grzybowego i duszonego mięsa. Dokonałem pospiesznych ablucji i zasiedliśmy do stołu.

– Ciężki dzień? – spytała ze współczuciem w głosie.

– Nie najlepszy – przytaknąłem.

Gorący posiłek przywrócił mi siły. Liza milczała, dopóki się nie najadłem, później naląła wódki. Sobie symbolicznie, mnie dobre pół szklanki. Wychyliłem alkohol kilkoma łykami: najwyższy czas się trochę odprężyć.

– Jutro zaczynamy śledztwo – powiedziałem.

– A konkretnie?

– Odwiedzimy *Władimirskij Central*. Większość osób z listy Wołkowa pracuje w tym więzieniu. A przynajmniej pracowała – dodałem ciszej.

– Bierzemy Bugrowskiego?

– Nie, za młody i wciąż zielony. Lepiej na zimne dmuchać, bo jedno jest pewne: bezpieka zrobi wszystko, żeby nam przeszkodzić.

– Myślisz, że damy radę?

– Zobaczymy – odparłem enigmatycznie.

Co prawda ufałem Lizie (i temu, że Dato sprawdził ją, jak i Marinę), ale po czorta ryzykować? Przyjdzie czas, a wszystko jej wyjaśnię. Nie wcześniej. Zresztą na razie nie bardzo było o czym mówić, moje plany wyglądały dość mgliście. Prawdę mówiąc, mocno mgliście...

– Wykręcasz się od odpowiedzi – stwierdziła z wyrzutem.

– Jestem zmęczony, pogadamy jutro. Zresztą wszystko zależy od sytuacji. Co prawda mam wszelkie pełnomocnictwa, ale... – Wzruszyłem wymownie ramionami.

– Nie sądzisz chyba, że odważą się sprzeciwić w sytuacji, kiedy sam gensek powierzył nam prowadzenie śledztwa?

– Na pewno nie wprost, ale przecież nie polecę skarżyć się Stalinowi, że zginęły jakieś dokumenty albo człowiek, którego chciałem przesłuchać, wyjechał w nieznanym kierunku. Nie ma co teoretyzować. Jutro przekonamy się, na czym stoimy.

– Kiedy wyjeżdżamy?

– O ósmej rano, to parę godzin drogi, a chciałbym być we Włodzimierzu nie później niż o dwunastej.

– To co, idziemy spać?

– Uhm.

Sięgnąłem po brudne naczynia, Liza powstrzymała mnie gestem.

– Pozmywam – powiedziała. – Ale nie myśl, że tak będzie co dzień. Jestem za

równouprawnieniem kobiet i uczciwym podziałem obowiązków domowych.

– Ja też – zapewniłem. – No, w ogólnym sensie... Co sądzisz o takim układzie: ty gotujesz i zmywasz, a ja wycieram naczynia? – spytałem z nadzieją.

– Zapomnij! Gotujemy i zmywamy na zmianę.

– Cóż, właśnie straciłaś bezpowrotnie swoją szansę.

– Co takiego?! – zmarszczyła brwi Liza.

– Nie poproszę cię o rękę...

– Matoł – stwierdziła cierpko.

Położyłem się do łóżka przy akompaniamencie dobiegającego z kuchni szczęku naczyń. Miałem wrażenie, że kapitan Wierchońska myje je nieco zbyt... energicznie. Czyżby poczuła się dotknięta moim żartem? Zasnąłem z uśmiechem na ustach.



Dzień był wyjątkowo ciepły, jak na październik, choć wietrzny. Wiatr targał czerwone flagi na okolicznych budynkach, rozwiewał włosy Lizy, podrywał z chodnika suche liście. Dziewczyna nie wyglądała na zdenerwowaną, ale prawą dłoń trzymała blisko kabury. Jak ja..

Za to Siemionow sprawiał wrażenie zrelaksowanego, przypatrywał się co prawda mijającym nas przechodniom, lecz w jego wzroku nie widać było napięcia, jedynie lekkie znużenie. Co się dzieje? Bo i nasza eskorta została zredukowana do trzech samochodów.

– Wsiadajcie – ponaglił.

Ku mojemu zdumieniu Lizę zaprowadzono do innego wozu. Ruszyliśmy, zanim zdążyłem zaprotestować.

– Mamy do pogadania – wyjaśnił Siemionow, przechwytyjąc moje spojrzenie. – Dlatego ją przesadziłem. Lepiej, żeby nie wiedziała za dużo.

– Co znowu, u licha?!

– Dostaliśmy przesyłkę od Wołkova.

– My?

– *Wojennaja razwiedka*. Wołkow wynajął skrytkę w szwajcarskim banku i powiadomił, że zostawił tam coś dla nas.

– Jak się z wami skontaktował?

– Przez ogłoszenie w gazecie. To zresztą nieistotne, ważne jest co innego: zawartość skrytki.

– Tak?

– To lista.

- Ta, którą dostał Stalin?
- I tak, i nie. Obie listy różnią się jednym szczegółem. Na tej „szwajcarskiej” nie ma twojego nazwiska.
- Niemożliwe!
- Możliwe, możliwe – powiedział posępnie Siemionow.
- Może to jakaś zmyłka? Wołkow chce, żebym stracił czujność, i wtedy mnie kropnie?
- Wątpię.
- Schwytałem Swietę. Gdyby nie to, dziewczucha być może żyłaby do dzisiaj.
- Przecież nie ty jeden.
- Nie rozumiem...
- Nie schwytałeś jej sam. Dlaczego na liście nie ma nazwisk naszych agentów, którzy ci pomagali? Na żadnej liście. Skoro Wołkow wiedział, że to ty, znałby i personalia pozostałych.
- Niby tak, ale mógł uznać, że ponoszę większą odpowiedzialność niż inni. To ja zaproponowałem, aby zatrzymać jego córkę.
- Siemionow zaprzeczył ruchem głowy, ale nie odpowiedział od razu, zajęty prowadzeniem wozu: jechaliśmy we dwójkę.
- To się nie trzyma kupy – oznajmił, kiedy wyszliśmy z zakrętu. – Nie chcę się wymądrzać, bo masz dużo większe doświadczenie operacyjne ode mnie, ale sam pomyśl: do tej pory wszystko mu się udawało, włącznie z podłożeniem listu na biurku Stalina, to raz, tak?
- Owszem.
- Dwa: od miesiąca, o ile nie dłużej, trwa polowanie, Wołkow ma przeciwko sobie wszystkich, a jednak wciąż pozostaje nieuchwytny.
- Ponownie przytaknąłem.
- Czy nie świadczy to wyraźnie, że facet nie tylko nie stracił talentu, ale znajduje się w szczytowej formie? Przecież inaczej dawno byłby martwy. Zastanów się: albo Wołkow jest genialnym taktykiem i ocenia wszystko racjonalnie, a wtedy nie ma do ciebie nijakich pretensji, bo dobrze wie, że jego córka wyszła spod kontroli i trzeba było ją odciąć od narkotyków, albo jest wariatem, chcącym zabijać wszystkich, którzy kiedykolwiek krzywo spojrzeli na Swietę. Ale nie może być jednym i drugim. Nie jednocześnie...
- Początkowo skłaniałem się ku myśli, że tego Niemca napuścił na mnie Beria albo Abakumow – przyznałem. – Ale to nie ma sensu, oni wiedzą, że Wołkow jest dla nich za dobry, pewnie kiedyś go złapią. Jeden człowiek nie może w nieskończoność wymykać się organizacji, sęk w tym, że trudno powiedzieć, kiedy to nastąpi. A jeśli zdąży dokonać zamachu na Stalina albo któregoś z nich? Skutecznego zamachu? Nie, i Beria, i Abakumow chcieliby w takiej sytuacji, żebym ścigał Wołkova. A do tego

jestem im potrzebny żywy.

– Żywy i zmotywowany – poprawił Siemionow. – Jeślibyś teraz zobaczył Wołkowa, zabiłbyś go bez wahania, prawda?

Potwierdziłem nieartykułowanym mruknięciem.

– A przecież to legenda *wojennej rozwiadki*, człowiek, na którego wyczynach uczyłeś się fachu. Jak i my wszyscy. Czy naprawdę byłbyś taki... zdecydowany, gdyby nie ten zamach? Może snajper wcale nie miał cię zabić, a właśnie zmotywować?

– No nie wiem – odparłem z namysłem. – Straszne ryzyko. Ułamek sekundy, centymetr czy dwa i byłbym trupem. I kto miałby mu wydać takie polecenie? Beria i Abakumow nienawidzą mnie serdecznie, ale nie zaryzykowałiby, wiedząc, że Stalin powierzy mi tę sprawę. Nie w sytuacji, kiedy życie samego genseka jest zagrożone. A zapewne wiedzieli.

– Chyba że towarzysz Stalin zaaprobował ten plan – powiedział cicho Siemionow.

Zimny pot zrosił mi czoło, przypomniałem sobie słowa Stalina, kiedy ostrzegął mnie, że śledztwo może okazać się niebezpieczne. I nazwał swoim kijem. Jednym z wielu...

– Poza tym jest jeszcze jedna kwestia – podjął Siemionow.

– Jaka?

– *Wojennaja rozwedka* to organizacja elitarna, a nie taki moloch jak безпеka. Może nie wszyscy znają cię osobiście, ale z pewnością o tobie słyszeli.

– Co to ma wspólnego z zamachem? – spytałem zdumiony.

– Gdyby ludzie sądzili, że zastrzelono cię na rozkaz Wołkowa, poszukiwania weszłyby w nową, dużo bardziej intensywną fazę...

– Chcesz powiedzieć, że...

– Tak. Wykonujemy, rzecz jasna, rozkazy, ale dla *wojennej rozwiadki* Wołkow zawsze był wzorem, kimś, kogo starano się naśladować. Wszyscy wiedzą, że jego córka zmarła w bezpieczniackim więzieniu, więc można przypuścić, że wielu naszych tropi go bez specjalnego entuzjazmu... Nie sądzę, żeby Stalin czy Beria nie zdawali sobie z tego sprawy. Oczywiście jest jeszcze MGB, jednak to my najlepiej znamy Wołkowa i mamy największe szanse go schwytać.

– Więc sądzisz, że byłoby im na rękę, gdybym zginął?

– Niekoniecznie, po prostu, tak czy owak, byłiby na plusie. Uważam, że snajper miał rozkaz cię zranić, nie zabić, ale gdyby do tego doszło, tamci też wyszliby na swoje, bo nasi nie darowałiby tego Wołkowowi i zintensyfikowali działania. A ciebie zastąpiłby ktoś z naszych najlepszych śledczych: Tatarczuk, Szulgin, może Riabko. Odpowiednio zmotywowany twoją śmiercią...

Wyciągnąłem papierośnicę i długo wpatrywałem się niewidzącym wzrokiem w grawerunek na srebrnym wieczku. Przedstawiał stylizowany krzyż. Dostałem ją jakieś pół roku temu od ciotki na urodziny. Podobno znalazła ją w rzeczach mojego

ojca. Po parotygodniowym szperaniu w archiwach udało mi się ustalić, że to znak pułkowy Lejb-Gwardyjskiego Keksholmskiego Pułku imienia Cesarza Austriackiego, stacjonującego niegdyś w Warszawie. Skąd takie cacko u ojca? Bo przecież nie z łupów wojennych. Ojciec pracował jako księgowy w kołchozie „Czerwony Sztandar”. Czasem dzieci wyobrażają sobie, że ich rodzice są kimś nadzwyczajnym, ja zawsze uważałem ojca za przeciętnego do bólu: ot, szczupły, spokojny mężczyzna w okularach, wykonujący nudną, niewdzięczną pracę. Może dlatego już jako nastolatek zgłosiłem się do wojskowej szkoły? Matkę pamiętałem jak przez mgłę – zmarła, kiedy miałem siedem lat.

Zapaliłem papierosa, Siemionow nie zaprotestował, choć wiedziałem, że nie lubi zapachu dymu.

– Może masz rację – powiedziałem wreszcie. – Chyba się starzeję, powinienem sam do tego dojść. Stalin to szachista, taki numer jest w jego stylu. A i co do Berii...

– Tak?

– Po tej historii z Mariną zaczynam zmieniać zdanie na temat Ławrentija Pawłowicza...

– A konkretnie?

– Facet jest dużo bardziej cwany, niż mi się wydawało. Nie zauważyłem tego wcześniej, bo budził we mnie pogardę. Nadal budzi. Problem w tym, że można być cyniczną świnią, erotomanem, lizusem, a jednocześnie sprawnym graczem politycznym i niezłym taktykiem. Mój błąd...

– Naprawdę nie zauważyłeś niczego podejrzanego w zachowaniu Mariny?

– Kiedy ostatnio próbowałeś poderwać jakąś dziewczynkę? – odpowiedziałem pytaniem.

– Bo ja wiem? Dawno temu. Nie licząc spotkań... służbowych – zastrzegł się natychmiast. – Jakoś nigdy nie miałem czasu. A podobno wygraliśmy wojnę – dodał z goryczą.

– Spróbuj – poradziłem. – Najlepiej w mundurze i przy orderach. Zanim mrugniesz okiem, będziesz miał po jednej pod każdą pachą, a trzecia będzie ci wisiała na szyi. Teraz każdy facet jest na wagę złota, bo wojna spowodowała niedobór tego towaru na rynku... A co dopiero pułkownik. Zeżrą cię żywcem. Z Mariną to było kurewsko sprytne posunięcie. Dziewucha jest na tyle ładna, żeby budzić męskie zainteresowanie, a jej zachowanie z pewnością nie odbiegało od normy, chyba że na plus: nie była tak nachalna jak wiele innych.

– Cóż, może rzeczywiście spróbuję – odparł, rozciągając wargi w skąpym uśmiechu. – Wracając do sprawy...

– To może być zagrywka Wołkowa. Ta druga lista. Pamiętaj, że on walczy o życie. Nic dziwnego, gdyby chciał zapewnić sobie *życzliwość wojennej rozwiadki*.

– Wtedy byłbyś ostatni na jego liście – odparował. – Albo przedostatni, zaraz przed

Stalinem. A tymczasem znalazłeś się wśród pierwszych do odstrzału... Tak czy owak, musisz koniecznie pogadać z Lidią Zosimowną. Ona najlepiej zna Wołkowa.

– Co przez to rozumiesz?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Swego czasu chodziły nawet plotki...

Stwierdzenie, że osłupiałem, byłoby eufemizmem. Lidia Zosimowna Siwers, autentyczna, przedrewolucyjna arystokratka była legendą naszej firmy. Pracowała w niej od początku, kiedy jeszcze *wojennaja razwiedka* działała pod niewiele mówiącą nazwą *Registracjonnoje Uprawlenije*, Zarząd Rejestracyjny. Była kierownikiem tajnego archiwum, czasem, w wyjątkowych sytuacjach, proszono ją o pomoc w planowaniu operacji. Obdarzona fenomenalną pamięcią i ostrym jak brzytwa intelektem, niejednemu z nas uratowała życie. I nigdy, w żadnych okolicznościach, nie słyszałem najmniejszej wzmianki, że zna generała Wołkowa...

– Plotki? – wymamrotałem, otrząsnąwszy się z zaskoczenia. – Ona i Wołkow?

– Podobno. Kiedyś, dawno – odparł niechętnie Siemionow. – Jeśli powtórzysz to komuś, zabiję.

Mój towarzysz nie podniósł głosu, lecz wiedziałem, że nie żartuje. GRU to stosunkowo niewielka organizacja, tu wszyscy wiedzą, kto ile jest warty. Siemionow nigdy nikogo nie straszył, to było uprzedzenie. Pierwsze i ostatnie...

– Nie powtórzę – zapewniłem. – Lidia Zosimowna parę razy ocaliła mi skórę.

– Tak też słyszałem, dlatego w ogóle poruszyłem ten temat.

– Nie sądzisz chyba, że...

– Że co? – burknął niecierpliwie Siemionow.

– No, że Swieta była jej córką?

Weszliśmy w wiraż – zbyt gwałtownie – silnik zawył spazmatycznie, zapiszczały opony.

– Ja pierdołę... – wymamrotał Siemionow. – Nie przyszło mi to do głowy. Jeśli to prawda... – nie dokończył.

– Jeśli to prawda, tłumaczyłoby to sukcesy Wołkowa – powiedziałem. – I fakt, że do tej pory wymyka się zarówno bezpiece, jak i nam. A dostęp do tajnego archiwum?! Mając do dyspozycji te dokumenty, można szantażować nie tylko sprzątaczkę z Kremla, ale i połowę Komitetu Centralnego!

Siemionow przytaknął. Cóż, jeśli Lidia Zosimowna jest po stronie Wołkowa, życie wymienionych na liście czekistów liczyło się na dni, może tygodnie. Wątpiłem, czy ktokolwiek z nich doczeka grudnia. W tej sytuacji wyjaśnienie, czy i ja znajduję się w spisie skazanych na śmierć, stawało się priorytetem. Bo jeśli tak, czas pisać testament...

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, żaden z nas nie miał ochoty strzępić na darmo języka. Bo i o czym tu gadać? Mogłem zabić Wołkowa, ale nie podniósłbym ręki na Lidię Zosimowną. Nie dałbym rady... A gdyby nawet, swoi ścigaliby mnie jak

wściekłego psa. Lidia Zosimowna od lat była szarą eminencją *wojennej rozwiadki* i liczone się z nią bardziej niż z niejednym dowódcą GRU. Tyle że w odróżnieniu od tych ostatnich była nie tylko szanowana, ale i lubiana. Nie darowano by mi, gdybym ją skrzywdził. Szlag!

– Dojeżdżamy – poinformował Siemionow.

Nie byłem nigdy we Włodzimierzu, nie widziałem więzienia, jednak *Włodmirskij Central* nie różnił się specjalnie od innych obiektów tego typu. Kto widział jedno więzienie, ten widział wszystkie. Wieżyczki strażnicze, wysoka siatka, zasieki z drutu kolczastego, bloki z czerwonej cegły, z zaślepiionymi stalową pajęczyną oknami. Do tego wartownicy, szczebanie psów i ostre, krótkie jak wystrzał komendy. *Włodmirskij Central*...

Mimo że naczelnik więzienia został uprzedzony o naszym przybyciu – prawda, że ledwo pół godziny wcześniej – wartownicy kilkakrotnie sprawdzili nasze dokumenty i przeszukali samochody. To wszystko pod lufami karabinów, przy akompaniamencie warkotu rwących się ze smyczy brytanów. Wreszcie otwarto przed nami bramę.

– Zapraszamy! – powiedział bez cienia ironii dowódca warty.

Nie jestem specjalnie nerwowy, lecz przez dłuższą chwilę zastanawiałem się, czy nie zawrócić. *Włodmirskij Central*...



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Porucznik Renn był wysokim, szczupłym mężczyzną pod trzydziestkę. Bezwłosa, niekształtna czaszka, chorobliwie blada cera i szaroniebieskie oczy w odcieniu ściętej lodem kałuży nie czyniły go sympatycznym. Podobnie jak wąskie, bezkrwiste usta. Wyglądał na okrutnika i zapewne takim był. Ze skąpych akt, jakie przekazało mi MGB, wynikało, że pochodzi z rodziny nadbałtyckich Niemców; jego przodkowie osiedlili się w Rydze. W miejscowym więzieniu pracował dwa lata na stanowisku oficera śledczego. Jeśli przesłuchiowano tu Swietłanę Wołkową, musiał coś wiedzieć. O ile sam nie brał w tym udziału. Jego nazwisko na liście świadczyło, że Wołkow miał na ten temat wyrobione zdanie...

Nie bawiłem się w podchody, nie próbowałem psychologicznych sztuczek. Renn zapewne znał je wszystkie. Od razu przystąpiłem do rzeczy:

– Dlaczego przesłuchiowano Świętę Wołkową? Kto wydał taki rozkaz? – pytania zadawałem szybko, jedno za drugim.

Renn poprawił się nerwowo na krześle i spojrzał na mnie ze złością, zapewne przyzwyczajony był siedzieć po drugiej stronie stołu. Rozmawialiśmy nie w jednym z gabinetów, ale w specjalnym pomieszczeniu. Wnioskując po jego wyposażeniu i wyglądzie (meble przytwierdzone na stałe potężnymi śrubami, betonowe ściany i podłoga), wykorzystywano je do przesłuchań szczególnie krnąbrnych więźniów. Takich, wobec których trzeba było użyć siły. Kto wie? Może w te ściany wsiąkała też krew córki Wołkowa?

– Nic nie wiem na ten temat! – odburknął, podnosząc się gwałtownie.

Kopnąłem go w brzuch, złapałem za kark, po czym uderzyłem jego głową w stół. Kiedy zwiotczał zamroczony, zabrałem mu pas z pistoletem.

Pewnie przełożeni obiecali mu nietykalność, może nawet nie poinformowali o moich pełnomocnictwach, a teraz porucznik Renn miał zapłacić za błędną ocenę sytuacji. Bywa – szczególnie w naszym kraju! – że ktoś przez lata pozostaje bezkarny, jednak prędzej czy później następuje koniec. Bo nic nie jest wieczne, a w szczególności łaska towarzysza Stalina.

– Przeczytajcie. – Rzuciłem na stół dokumenty podpisane przez genseka.

Krew z rozbitego czoła zalewała Rennowi oczy. Zamrugał nieprzytomnie i z pewnym wysiłkiem przestudiował papiery.

– Ja nie wiem... Ja nie wiedziałem... Kierownictwo... Wykonywałem tylko rozkazy! – wybuchnął w końcu.

– Kto wydał polecenie przesłuchania Wołkowej?!

– Bezpośrednio? Pułkownik Riabcew, były naczelnik więzienia. Ale rozkaz przyszedł z góry – wyszeptał cicho.

Zerknąłem na zegarek: od rozpoczęcia przesłuchania minęło zaledwie kilka minut, a Renn był już gotowy wyśpiewać wszystko, co wie. Pewnie pobili rekord. Nic dziwnego w przypadku bezpieczeniaków, większość z nich załamywała się błyskawicznie. Cóż, oni najlepiej znali system i wiedzieli, co ich czeka. Była w tym jakaś poetycka, a zarazem surowa do granic możliwości sprawiedliwość – ilu ludzi złamał taki Renn? Ilu okaleczył, być może w tym samym pomieszczeniu, w którym teraz siedzimy? Ilu po prostu zatłukł na śmierć?

– Z jakiego powodu? Przecież było oczywiste, że dziewczucha nic nie wie o planach ojca.

– Nie chodziło o informacje, tylko o zmuszenie Wołkowa, żeby się oddał w nasze ręce.

– A to w jaki sposób?

– Wszystko było nagrywane, rozumiecie, na taśmę filmową. Ja...

Zazgrzytał zamek. Drzwi otwierały się zarówno od wewnątrz, jak i z zewnątrz, takie przepisy.

– Nie oddawajcie im mnie! – zawołał błagalnie Renn. – Macie pełnomocnictwa! Nie pozwólcie, żeby...

Rozpoznałem go od razu, mimo że dołączona do akt fotografia miała swoje lata: pułkownik Trochimow, naczelnik więzienia, następca nieodżałowanego pułkownika Riabcewa... Ten w odróżnieniu od Rennego wyglądał, jakby zszedł z plakatu propagującego radziecki sport – przystojny, muskularny, z ogorzałą od słońca twarzą. Za jego plecami stało kilku ludzi z gotową do strzału bronią.

– Otrzymaliśmy przed chwilą telefonogram – poinformował. – Wzywa was towarzysz Beria. W trybie pilnym. Macie natychmiast wyjechać do Moskwy i stawić

się na Starym Placu.

Spodziewałem się czegoś podobnego, było oczywiste, że bezpieka nie pozwoli mi dowiedzieć się zbyt dużo na temat przesłuchania Wołkowej. I tak dobrze, że nie poprosili mnie do telefonu i nie zaciukali w jakimś korytarzu. A bo to wiele trzeba? Wystarczy, żeby jakiś przechodzący мимо więzień wyrwał się eskorcie i wsadził mi nóż w plecy. Rzecz jasna, zupełnym przypadkiem...

– Oczywiście – zapewniłem gorliwie. – Natychmiast.

Pomaszerowałem pospiesznie w stronę gabinetu, w którym Liza przesłuchiwała sierżantów Orłowa i Basygina. Całe szczęście, że to na tym samym piętrze. Wiedziałem, że liczy się każda sekunda.

– Razumowski! – wrzasnął Renn. – Wracajcie!

Otworzyłem drzwi bez pukania, wywołałem kapitan Wierchońską.

– Co znowu? – parsknęła gniewnie dziewczyna. – Jeszcze nie skończyłam! Orłow powiedział mi...

– Za mną! – rzuciłem krótko.

Ruszyłem w stronę wyjścia, dyskretnie luzując ramię zamykający kaburę.

– Razumowski! – zawył ponownie Renn. – Nie zostawiajcie mnie! Nie...

Krzyk urwał się, przechodząc w krótki bulgot. Ile czasu zajmie Trochimowowi zorientowanie się, że jego podwładny ujawnił mi jakiś istotny szczegół? Bo fakt, że sypnął, był oczywisty, wskazywało na to jego zachowanie. To tylko kwestia czasu, naczelnik więzienia musiał się zorientować, co powiedział mi Renn. I czy warto za to zabić...

– Co się dzieje, Saszka? Saszka?!

Wartownicy wypuścili nas z głównego budynku. Teraz aby do bramy. Jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Nie możemy pobiec, bo natychmiast nas zatrzymają. Jeszcze sto dwadzieścia metrów. Sto...

– Saszka!

– Jak dam znak, biegnij w stronę wyjścia.

– Ale...

– Zamknij się i rób, co każe! – wysyczałem przez zaciśnięte zęby.

Osiemdziesiąt metrów. Wartownicy przy bramie zaczęli odwracać się w naszą stronę. Nie, nie w naszą, patrzą w lewo. Kurwa mać! Zmiana warty. Teraz jest ich tam nie czterech, ale ośmiu!

Podeszliśmy bliżej, z odległości kilku kroków pokazałem dokumenty. Tym razem sprawdzono je jedynie pobieżnie. Po drugiej stronie zawarzały silniki, tak jak się umówiliśmy, Siemionow był gotów do natychmiastowego odjazdu.

Wartownik machnął ręką, podszedł do Lizy. Jakieś piętnaście sekund na sprawdzenie papierów, to tylko rutyna. Góra dwadzieścia. Chyba że odezwie się telefon i Trochimow każe nas zatrzymać...

Wreszcie strażnik zaczął otwierać szerokie wierzaje. Telefon milczał. Pociągnąłem Lizę za ramię, wyszliśmy na zewnątrz. Wreszcie.

Wsiadając do samochodu, widziałem, jak z budynku wybiega grupa uzbrojonych po zęby żołnierzy. Przypadek? Bunt w więzieniu? Akurat!

– Ruszaj! – rzuciłem niecierpliwie.

Siemionow nacisnął na gaz i wóz wystrzelił naprzód.

– Dzięki Bogu, że nie zadzwonili na wartownię – mruknąłem.

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Kazałem przeciąć druty jakieś pięć minut temu. Na wszelki wypadek.

– A to jakim cudem?

– Powiedziałem, że jeden z samochodów się psuje i potrzebny mi klucz francuski. Pozwolili mojemu człowiekowi przejść na drugą stronę i pogrzebać w skrzynce narzędziowej. Oczywiście nie za darmo.

No tak: *babło pobieżdżajet zło...*

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytał.

– Tak jak myślałem, zamęczyli ją skurwysyny. Wszystko filmowali, a gotowy materiał przesyłali Wołkowowi.

– Niby jak? Musieliby się z nim jakoś spiknąć.

– To akurat nie problem. Założę się, że Wołkow poinstruował córkę, co robić w sytuacjach kryzysowych. Myślisz, że wytrzymałaby długo, gdyby ją torturowali? A może Wołkow sam nawiązał z nimi kontakt, kiedy dowiedział się, że Swieta została przeniesiona do więzienia MGB?

– Sądziś, że chcieli go szantażować?

– A w jakim celu zabrali nam dziewczuchę? Pewnie wyobrażali sobie, że kiedy Wołkow zobaczy, co z nią robią, sam się do nich zgłosi. A oni polecą z tym do Stalina i pochwalą się, że złapali zdrajcę, czego nie była w stanie zrobić *wojennaja razwiedka*.

– Tyle że on świetnie wiedział, że jak tylko go dorwą, to zabiją i Swietę, i jego.

– Dlatego przeciągał sprawę i bezpieczniacy ją zatłukli...

– Skurwiele! – wycedził Siemionow z nienawiścią w głosie. – Ilu tam jeszcze zostało na tej liście?

– Czekistów? Niewielu. Tym bardziej że trzeba odliczyć obu sierżantów, a i Renn nie pożyje zbyt długo.

– Myślisz, że ich zlikwidują?

– Nie mają wyjścia. Założę się, że Beria mnie nie wzywał albo to jakaś bzdura, nic, co uzasadniałoby mój natychmiastowy wyjazd. Po prostu chcieli przerwać przesłuchania, bali się, że tamci za dużo powiedzą, jak zobaczą podpis Stalina na dokumentach. No i wiedzą, że drugi raz nie zaryzykuję wizyty we Włodzimierzu, tylko będę wzywał na przesłuchania do Moskwy.

– Usłuchają?

– Albo będą musieli przyjechać, bo pełnomocnictwa, jakie otrzymałem od Stalina, nie pozwalają na żadne manewry, albo wykończyć tych, których wezwę...

– A co z Berią? Jeśli i on jest w to zamieszany...

Wzruszyłem ramionami: tak czy owak, musiałem kontynuować śledztwo, i mnie rozkaz Stalina nie dawał żadnego wyboru. Taki, kurwa, los...

– Nic na to nie poradzę – powiedziałem po chwili. – A teraz bardziej mnie martwi, czy nie wyślą za nami pościgu.

– Klawisze kontra *wojennąją rozwiędka*? – Siemionow parsknął pogardliwie. – Nie żartuj! Musieliby na głowę upaść. Nic nam nie grozi.

Mruknąłem potakująco, rzeczywiście, pościg wydawał się mało prawdopodobny. Trochimow wiedział, że jego ludzie nie mogą równać się z naszymi, no i pewnie nie odważyłby się otwarcie wystąpić przeciwko śledczemu prowadzącemu dochodzenie z poruczenia samego Stalina. Co innego, gdyby udało mu się załatwić nas w więzieniu...

Rozpiąłem pas i usiadłem wygodnie: trzeba korzystać z okazji, kto wie kiedy nadarzy się kolejna szansa, aby zmrużyć oczy. Jeśli wezwanie od Berii nie jest blefem, może przyjdzie mi antyszambrować u Ławrentija Pawłowicza do późnej nocy?

– Obudź mnie, jakby co – poprosiłem.

– Śpij – odburknął Siemionow. – Do Moskwy kawałek drogi.

Zasnąłem momentalnie, ukołyszany pomrukiem silnika, w poczuciu bezpieczeństwa: w końcu znajdowałem się wśród swoich.



Moskwa przywitała nas gwałtowną jesienną burzą, ulice niemal opustoszały, nieliczni przechodnie przemykali pospiesznie po chodnikach, ukryci pod szarpanymi przez wiatr parasolami. Od czasu do czasu ciemniejące niebo rozjaśniała biała smuga błyskawicy i rozlegał się grzmot przywodzący na myśl ostrzał artyleryjski. To właśnie niebieska kanonada rozbudziła mnie, kiedy zaparkowaliśmy przed kompleksem gmachów należących do Komitetu Centralnego.

– Siedź! – polecił Siemionow, widząc, że gramolę się z siedzenia. – Sam cię zamelduję.

Wzruszyłem ramionami: skoro chce mu się biegać w deszczu... Gdzie jak gdzie, ale tu, w granicznym z Placem Czerwonym Kitaj-gorodzie nic mi nie groziło. To w tej właśnie dzielnicy znajdowała się większość ministerstw, przedstawicielstwa handlowe i tak zwane partyjne miasto – siedziba władz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, wraz z zapleczem zbudowanym specjalnie dla nomenklatury:

trzy piętrową restauracją, licznymi bufetami, księgarnią, centrum kultury, kolejowymi i lotniczymi kasami biletowymi (tylko dla wybranych!), specjalną pocztą, obiektami sportowymi i czort wie czym jeszcze...

Uchyliłem szybę. Powietrze pachniało deszczem i mokrym brukiem. Wejście do sześciokondygnacyjnego budynku oznaczone było smaganymi strugami wody czerwonymi tablicami. Nie musiałem ich czytać, wiedziałem, gdzie jestem: Stary Plac numer cztery. Dawny dom handlowy Titowa, teraz własność Komitetu Centralnego, święte świętych, z gabinetami sekretarzy KC na piątym piętrze.

Siemionowa nie było dobre pół godziny, wreszcie zobaczyłem, jak maszeruje przez plac, omijając co większe kałuże.

– Co tam? – spytałem, kiedy wgramolił się do wozu, zalewając wodą przednie siedzenie.

– Nic, towarzysz Beria nie ma dziś dla ciebie czasu, ale uzyskałem potwierdzenie, że jego sekretariat rzeczywiście wysłał telefonogram wzywający cię do Moskwy.

– Skąd wiedzieli, że jestem we Włodzimierzu?

– A jak myślisz? Pewnie naczelnik więzienia im nakablował.

– I co teraz?

– Masz czekać.

– Czyli co? Nie wolno mi opuszczać Moskwy?

– Tego nikt nie powiedział, po prostu zasugerowano, że zostaniesz ponownie wezwany w najbliższym czasie.

– W takim razie wracamy do domu. I zorganizuj mi spotkanie z Lidią Zosimową.

– W porządku.

Deszcz chłostał karoserię, zamazywał ulicę, chodniki i domy za szybą, stwarzał wrażenie dziwnej intymności, nieledwie bezpieczeństwa, jednak wiedziałem, że nie mogę poddać się nastrojowi. To było jedynie złudzenie. Wyjątkowo niebezpieczne złudzenie, miałem potężnych wrogów, którzy tylko czekali na mój błąd, chwilę nieuwagi.

Z rozmysłem rozpiąłem kaburę, dotknąłem zimnej stali – zadziałało. Trzymając w ręku ośmiokrotną śmierć, przestajesz marzyć o niebieskich migdałach, koncentrujesz się na tym, co najważniejsze: na przeżyciu. Zanim dojechaliśmy, byłem gotowy. Mój umysł znowu nastroił się na walkę i zabijanie, wpadł w utarte koleiny, jakby przejął właściwości pistoletu Tokariewa. Tak było dobrze, żadnych rozpraszających myśli, żadnego wahania, tylko działanie. Nie czułem strachu ani niepokoju – miałem w dłoni broń. Władalem swoim malutkim wszechświatem. Nie wiedziałem, czy i kiedy ktoś mnie zaatakuje, ale w każdej chwili mogłem podjąć decyzję. Ja, a nie Abakumow, Beria czy nawet Stalin. Wystarczyło przyłożyć lufę do skroni. Byłem spokojny...



Wytarłem się szorstkim ręcznikiem, stanąłem przed lustrem. Nie żeby było co podziwiać – ot, zmęczony życiem facet w średnim wieku, z pokrytym bliznami ciałem.

Narzuciłem jedwabny szlafrok (pamiątka z Breslau), sięgnąłem po tokariewa. Lekkie, niemal niezauważalne drżenie dłoni świadczyło o zmęczeniu. Cóż, nie młodzieję, a w ostatnich dniach miałem sporo... atrakcji.

Poczłapałem do pokoju, bez zdziwienia ujrzałem w swoim łóżku okutaną kocami Lizę. Wiedziałem, o co chodzi: po akcji ludzie często potrzebują towarzystwa, obecności kogoś, przy kim czują się bezpiecznie. W pewnym sensie obecność kapitan Wierchońskiej była komplementem, w innym – wyrefinowaną, choć niezamierzoną zniewagą.

– Nie dam rady zasnąć – powiedziała tonem usprawiedliwienia. – Nie teraz. Mogę posiedzieć u ciebie? Jak chcesz, przeniosę się na fotel.

– Siedź, gdzie siedzisz – przyzwoliłem. – Nie sądzę, żebym musiał obawiać się o swoją cnotę.

Ułożyłem się na łóżku, przypadkiem dotknąłem stopy Lizy – była lodowata, mimo że dziewczyna wzięła wcześniej gorącą kąpiel. Nerwy...

– Tak nigdy się nie rozgrzejesz, chodź do mnie – zaproponowałem.

– Rozumiem, że to nie jest propozycja erotyczna? – upewniła się bez specjalnego nacisku w głosie.

– No nie wiem, jak się na mnie rzucisz... Jestem tylko słabym mężczyzną.

Pokazała mi język i w mgnieniu oka wśliznęła się pod kołdrę. Przyciągnąłem ją do siebie, przytuliłem, ogrzewając własnym ciałem.

– Wreszcie zaczyna mi być ciepło – wymruczała. – To cię nie krępuje? – spytała z ciekawością.

Roześmiałem się mimo woli. Też wymyśliła...

– Parę razy musiałem tulić się do innych żołnierzy, żeby nie zamarznąć. To dopiero było krępujące – odparłem z uśmiechem.

– Mówisz, że ze mną lepiej?

– Bez wątplenia. Jesteś miłsza w dotyku i zdecydowanie ładniej pachniesz – zapewniłem.

– Saszka?

– Tak?

– Oni chcieli nas zabić, prawda? Tam, w więzieniu.

– Uhm.

– Ale dlaczego? Przecież wiedzieli, że dochodzenie powierzył nam sam towarzysz Stalin. Jak...?

– ...śmieli? – odpowiedziałem.

– Właśnie.

– Problem w tym, że my nie wiemy, czego chce towarzysz Stalin – odpowiedziałem pośpiesznie. – Nie do końca.

– Nie rozumiem... Przecież rozkazał ci wyjaśnić tę sprawę.

– Nie wiemy, czego naprawdę chce – doprecyzowałem.

Liza poruszyła się niespokojnie w moich ramionach, ale nie odsunęła. Jej włosy połaskotały mi szyję.

– Możesz to wyjaśnić? – poprosiła.

– Na pozór sprawa wydaje się jasna: ktoś zamęczył na śmierć córkę Wołkowa i sprowokował go do gróźb pod adresem najważniejszych funkcjonariuszy państwowych, w tym Stalina.

– No właśnie, więc w czym problem? Ustalimy, kto wydał rozkaz przesłuchania młodej Wołkowej, i na tym nasza rola się skończy.

– Akurat! Przede wszystkim wyjaśnienie „kto” nie będzie takie proste. Jeśli maczali w tym palce Beria albo Abakumow, prawdopodobnie niczego im nie udowodnimy.

– A to dlaczego? Przesłuchamy ludzi z listy Wołkowa i...

– To nic nie da – przerwałem jej bezceremonialnie. – Generała Parfimowa nie ma już wśród żywych, zginął jako jeden z pierwszych. A jeśli rozkazy przyszły z góry, był on jedynym łącznikiem między bezpieczniakami z listy i inspiratorem całej sprawy. Założę się, że inni nic nie wiedzą, po prostu wykonywali rozkazy.

– No dobrze, to po co jesteśmy potrzebni Stalinowi?

– Po pierwsze, aby wyświecić okoliczności tej afery, a tu wystarczą podejrzenia. Rzecz jasna, uzasadnione podejrzenia. Stalin chce wiedzieć, czy to wypadek przy pracy, czy spisek przeciwko niemu. Po drugie mamy przekazać posłanie, ba! sami jesteśmy żywym posłaniem.

– To znaczy?

– Stalin nazwał kiedyś Berię i Abakumowa wściekłymi psami, a mnie porównał do kija, za pomocą którego ma zamiar ich zdyscyplinować. Problem w tym, że oni są mu dużo bardziej potrzebni niż pułkownik Razumowski. Więc to dyscyplinowanie wcale nie musi prowadzić do ukarania sprawcy lub sprawców, całe nasze śledztwo może być jedynie ostrzeżeniem, aluzją, czym może się skończyć ich samowola. A wtedy będziemy tylko niepotrzebnymi nikomu świadkami rozgrywki między Stalinem i jego ludźmi. Kłopotliwymi świadkami...

– A twoi ludzie? *Wojennaja razwiedka*? Staną po naszej stronie?

Milczałem długo, zastanawiając się, ile jej powiedzieć. W końcu zdecydowałem się na szczerość: dziewczyna była dostatecznie inteligentna, żeby zdawać sobie sprawę,

że jedziemy na jednym wózku. Jeśli mnie zabiją, i ona długo nie pożyje.

– Nie wiadomo – odparłem z ciężkim westchnieniem. – Nie mogę pojąć, dlaczego GRU oddało Wołkową bezpiece. Przecież od początku było wiadomo, że nie wyjdzie z tego nic dobrego.

– Jeżeli Beria im kazał...

– Mogli odwołać się do Stalina, wyjaśnić, że trzymają w ryzach Wołkowa tylko dzięki temu, że jego córka jest zakładniczką. Być może to zrobili i Stalin odrzucił protest. To wyjaśniałoby jego nazwisko na liście. Jeżeli Wołkow się o tym dowiedział... Jednak równie dobrze mogli udać, że ustępują pod presją, a w rzeczywistości realizować własny plan.

– Jaki, do licha, plan?!

Liza przetoczyła się na brzuch i podparła na łokciu, patrząc na mnie z niepokojem.

– GRU i bezpieka nienawidzą się od lat – wyjaśniłem zwięźle. – To mogła być próba napuszczenia Wołkowa na Berię i wpędzenia jego oraz Abakumowa w kłopoty. Nie trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć, czym może się dla obu skończyć niełaska Stalina. A to, że popadną w niełaskę, jest pewne jak jutrzejszy wschód słońca.

– Nawet jeśli nie mieli z tym nic wspólnego?

– Nawet. Przejmując Swietę Wołkową z rąk GRU, Abakumow wziął na siebie odpowiedzialność za działania jej ojca. I spieprzył sprawę. A Beria musiał go poprzeć w sporze z *wojennoj razwiedkoj*, sam Abakumow nie byłby w stanie zmusić wojskowego wywiadu do oddania Wołkowej.

– To co z nami będzie?

– A co ma być? Zrobimy, co w naszej mocy, żeby wyjść z tego cało. Kto wie? Może nam się uda...

Spodziewałem się kolejnych pytań w rodzaju: „A co, jak nie damy rady?”, jednak Liza umościła się tylko wygodniej w moich ramionach i zamknęła oczy. Albo była zbyt zmęczona, żeby kontynuować rozmowę, albo doskonale знаła odpowiedź: będziemy martwi. Regularny oddech mojej towarzyszki świadczył, że znajduje się na granicy snu. I ja zacząłem się odpręzać, czułem przyjemny ciężar Lizy, lewą rękę trzymałem pod materacem, centymetry od pistoletu. Drobną niedogodność, bo jestem praworęczny, ale postanowiłem, że nie będę budził dziewczyny, w końcu uczono mnie i strzelania lewą. A mówią, że szkolenie wojskowe nie przydaje się w czasie pokoju! Ubawiony tą myślą, zapadłem w sen.



Obudził mnie zapach słodkich wafli, z kuchni dochodziły odgłosy krzątania. Kiedy

ostatnio jadłem wafle? Pewnie ze dwadzieścia parę lat temu.

Aromat wanilii drażnił nozdrza, zaburczało mi w brzuchu, reagowałem jak wygłodzony nastolatek. W sumie nic dziwnego: kiedy byłem dzieckiem, wafle stały się moim ulubionym przysmakiem. Po śmierci matki piekła je czasami ciotka. Tak pachniał dom...

Pomaszerowałem do kuchni; na stole piętrzył się stos jeszcze ciepłych wafli, obok stała miseczka z bitą śmietaną. Zanim się spostrzegłem, kończyłem już trzeciego. A może to był czwarty? Kto by tam liczył...

– Razumowski! – warknęła Liza. – Zanim wszystko zeżresz, wypadaloby się przywitać i podziękować kucharce!

Pisnęła przestraszona, kiedy objąłem ją w talii i bezceremonialnie posadziłem sobie na kolanach.

– Dzień dobry i dziękuję – rzuciłem między kęsami.

– Przynajmniej nie męczyłam się na darmo, nie muszę pytać, czy ci smakuje – powiedziała łagodniejszym tonem.

Przytaknąłem energicznie.

– Co zrobimy? – spytała. – Kiedy już zjesz wszystkie wafle?

– Chodzi ci o śledztwo? – wymamrotałem z pełnymi ustami.

– Owszem. Pójdiesz na Kreml?

– A to po co? Przecież niczego niezwykłego nie odkryliśmy. Nie mamy nawet protokołów zeznań Renna i tych dwóch sierżantów. A pogłoski i przypuszczenia to za mało, żeby zawracać głowę gensekowi.

– To co, na Pietrowkę? Pewnie nam znajdą jakąś robotę...

– Nie – powiedziałem po zastanowieniu. – Należy nam się odpoczynek. Co powiesz na obiad w „Anastazji” i wizytę u dam dworu ostatniej carycy?

– Potrafisz zainteresować dziewczynę – stwierdziła. – Z tymi damami dworu to serio?

– Jak najbardziej – zapewniłem. – Tylko nie chwal się za bardzo, bo sama wiesz: zażartujesz, a przyjdzie tłumaczyć się na Łubiance.

Liza skinęła głową, choć nie wyglądało, aby przejęła się specjalnie ostrzeżeniem.

– Jak je poznałeś?

– Przez Poliakowa, to dłuższa historia, kiedyś może ci opowiem.

– No dobrze. Jak się ubrać?

– Nie rozumiem...

– Na tę wizytę: mundur czy po cywilnemu?

– Chyba lepiej po cywilnemu, po co zwracać na siebie uwagę?

– Niech będzie. Ja pierwsza się kąpię, zasłużyłam!

– Zasłużyłaś – przyznałem zgodnie. – Leć.

Liza spojrzała na mnie podejrzliwie, po czym zdjęła fartuszek i zniknęła

w łazience. Cóż, Bogiem a prawdą puściłem ją pierwszą nie tylko dlatego, że jestem (a raczej bywam) gentlemanem. Miałem coś do załatwienia.

Poczekalem, aż odkręci kran, i wybrałem numer Petrosiana. Telefon stał w przedpokoju, szum wody powinien zagłuszyć rozmowę. Dato odezwał się od razu, jakby czekał na mój dzwonek.

– Jestem gotowy do podróży – oznajmiłem po krótkim powitaniu. – Najchętniej wyleciałbym jutro.

– W porządku, przyjedź do mnie o siedemnastej, nie bierz dużego bagażu, najwyżej podręczną walizkę.

– Mogę mieć towarzystwo – poinformowałem.

– To żaden problem, po prostu bądź o czasie.

Mruknąłem potakująco i odwiesiłem słuchawkę. Miałem nadzieję, że zamieszanie, jakiego narobiłem we Włodzimierzu, odwróci uwagę bezpieczeństwa od mojej osoby choćby na kilka dni, tak żebym zdążył wrócić z Austrii. Gorzej, jeśli pod moją nieobecność zatęskni za mną Beria, stawiałem jednak na złośliwość Ławrentija Pawłowicza; pewnie potrzyma mnie w niepewności jakiś tydzień, może i dłużej. Ot tak, żeby pokazać, kto tu rządzi. A dopiero później wezwie albo poinformuje, że nie jestem mu już potrzebny. Tak czy owak, byłem zdecydowany zaryzykować: w Wiedniu umierała moja córka...



Wspinając się po schodach arbackiej kamienicy, w której mieszkały starsze panie, zastanawiałem się nad przyjęciem, jakie może mnie spotkać. Nie odwiedzałem ich zbyt często, a tu nagle zjawiam się, i nie sam, ale w towarzystwie młodej, ładnej kobiety. Sam nie wiem, co mnie naszło, żeby zawitać tu bez uprzedzenia.

Na szczęście moje obawy okazały się płonne. Drzwi otworzyła Maria Aleksandrowna i od razu rzuciła mi się na szyję, wycalowała też Lizę, nieco oszołomioną serdecznością powitania.

– Praskowia! – zawołała. – Saszka do nas przyszedł!

Po chwili siedzieliśmy już za stołem. Mimo że nie byłem głodny, bo przedtem zjedliśmy obfity obiad w „Anastazji”, zauważyłem, że poczęstunek nie był nawet w połowie tak obfity jak dawniej. Czyżby problemy w branży spirytusowej? Brak klientów? Niemożliwe: produkowany przez byłe frejliny bimber przewyższał jakością sprzedawaną w sklepach wódkę. Coś musiało się stać. Dokonałem prezentacji, przedstawiając Lizę jako swoją koleżankę z pracy, po czym otwarcie spytałem, w czym rzecz.

– Nie produkujemy już alkoholu – odparła smętnie Maria Aleksandrowna. – Kłopoty z zaopatrzeniem. Namnożyło się rozmaitych komisji i komitetów, liczą każdy ziemniak. Nie da rady załatwić stu czy dwustu kilogramów surowca. A i siły już nie te.

– Dwieście kilo ziemniaków? – powtórzyła z niedowierzaniem Liza. – A co panie z tym robią?

– Jak to co? Wódkę – wyjaśniła prostodusznie staruszka.

– Tyle zacieru?

– A jakże! Chodź, to ci pokażę, kochanie.

I ja poszedłem w głąb mieszkania, ciekawy reakcji kapitan Wierchońskiej. Byłem pewien, że w swoim czasie zlikwidowała niejedną melinę...

Wyszczrzyłem zęby, widząc, jak dziewczyna otwiera w zdumieniu usta na widok potężnego kotła destylacyjnego ozdobionego carskim herbem.

– Wywiozłyśmy to z manufaktury Piotra Arseniewicza Smirnowa, osobistego dostawcy Jego Imperatorskiej Wysokości Wielkiego Księcia Siergieja Aleksandrowicza – oznajmiła z dumą Praskowia Aleksandrowna. – Zaraz po rewolucji lutowej.

– Imponujące – powiedziała słabo Liza. – I od tej pory panie...

– Tak. Prowadzimy maleńki interes. Prowadziłyśmy – doprecyzowała. – Niestety, przyjdzie nam z tym skończyć, zbyt duże ryzyko. Sąsiedzi z byle powodu piszą donosy, w zeszłym roku musiałyśmy się tłumaczyć przed aktywistami z Komsomołu. To strasznie nieprzyjemni młodzi ludzie – zauważyła.

– Pewnie dałyście sobie radę? – domyśliłem się.

– Oczywiście, tylko że poszło na to pięćdziesiąt litrów gotowego produktu – powiedziała z oburzeniem Maria Aleksandrowna. – Potrójnie destylowanego! Tyle wysiłku na marne!

– Ci komsomolcy musieli być spragnieni – zauważyłem.

– I owszem, ale jak można tak nie szanować ludzi pracy?

– Ludzi pracy? – zdziwiła się Liza.

– Przecież od lat żyjemy z pracy rąk. Jak ten, no...

– Proletariat – dopowiedziała jej siostra.

Zagryzłem wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, usiłowałem wyobrazić sobie nasze gospodynie w kombinezonach roboczych. Nie wyszło. Mimo podeszłego wieku obie emanowały charakterystycznym dla zeszłowiecznych szkół klasztornych wdziękiem i czymś, co słowniki nazywały „grandezzą”. Ich wygląd, gesty, zachowanie krzyczały o arystokratycznym pochodzeniu.

– Tak czy owak, przyjdzie nam poszukać jakiegoś zajęcia – powiedziała z ożywieniem Maria Aleksandrowna. – Może będziemy udzielały lekcji języków? Albo dobrych manier? Chociaż dzisiaj nie ma na to wielkiego zapotrzebowania –

przyznała z westchnieniem.

Języki, dobre maniery... A dlaczego by nie? Staruszki z pewnością nie przyjmą ode mnie pieniędzy, ale mógłbym załatwić im lekcje. Dużo lekcji. Oczywiście istnieje też możliwość, że zarobię po pysku (o co mniejsza, nie pierwszy raz) i co gorsza, obrażę śmiertelnie starsze panie. A tego bym nie chciał. Taaak... Jak to mówią: kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi...

– W zasadzie miałbym dla was, drogie panie, propozycję – powiedziałem, odchrząknawszy niepewnie.

Maria Aleksandrowna uniosła pytająco brwi.

– Jednak najpierw chciałbym się dowiedzieć, jak odnosicie się do osób z nizin społecznych?

– Nie jesteśmy snobkami – zapewniła mnie Praskowia Aleksandrowna.

– Niezupełnie o to mi chodziło...

– Tak?

– Mam na myśli pracę z młodymi dziewczętami. Krótko mówiąc: prostytutkami.

– Chcesz, żebyśmy pomogły ci je reedukować?

– Te dziewczęta same wybrały ten rodzaj zajęcia i raczej go nie zmieniają. A przynajmniej nie od razu. Chociaż gdyby uzmysłowić im, że nauka języków obcych i pewna... ogłada zapewniłyby im lepszą pozycję zawodową, być może, w przyszłości zastanowiłyby się nad wyborem innej drogi życiowej...

– Jednym słowem, chcesz, żebyśmy udzielały lekcji w domu publicznym?

– To tylko luźna propozycja – zastrzegłem się natychmiast.

Odniosłem wrażenie, że w oczach starszej pani zapaliły się figlarne ogniki. Być może, byłem nadmiernie ostrożny: ktoś, kto przeżył rewolucję, nie mógł być mimozą.

– Jak uważasz, Mario? Nigdy nie byliśmy w domu publicznym, nie licząc tego razu, kiedy księżna Orłowa poprosiła nas, abyśmy znalazły jej syna. A i wtedy niewiele zobaczyłyśmy...

– Mnie udało się zajrzeć do jednego z buduarów – zaznaczyła z satysfakcją Maria Aleksandrowna.

Wróciliśmy do stołu, Praskowia Aleksandrowna przyniosła butelkę koniaku.

– Czy to opłacalne? – spytała z akcentem wątpliwości w głosie. – Te lekcje w lupanarze? Kto będzie naszym pracodawcą?

– I najważniejsze: gdzie znajduje się ten przybytek? – dorzuciła jej siostra. – W naszym wieku dojazdy są dość męczące.

– Z dojazdami nie będzie problemu – zapewniłem. – To kilka ulic dalej, na Twerskiej. Właściciela znam osobiście i ręczę, że hojnie panie wynagrodzi.

– To kiedy zaczynamy?

– Może od przyszłego tygodnia? – zaproponowałem.

– Będziemy mogły obejrzeć gabinety? – upewniła się Maria Aleksandrowna.

– Oczywiście.

– A porozmawiać z dziewczętami? Nie chodzi o tajemnice alkowy! – zaznaczyła Praskowia Aleksandrowna z rumieńcem na twarzy. – Ale zawsze byłam ciekawa, jak żyją takie osóbki...

No, no, rozhulały mi się starsze panie, jeszcze trochę i zaczną pisać artykuły o ciężkim losie rosyjskich prostytutek w kraju powszechnej proletariackiej szczęśliwości. Rzecz jasna, do jakiejś zagranicznej, białogwardyjskiej gazetki...

Wzdrygnąłem się mimo woli, czasami odnosiłem wrażenie, że mimo wszystko obie były damy dworu miały niesamowite szczęście: najpierw wziął je pod opiekę Poliakov, teraz ja. A w związku z tym nie do końca uświadamiały sobie, co je może spotkać, jeśli zaczną iść pod prąd naszej radzieckiej rzeczywistości.

– Porozmawiać? Owszem, byle dyskretnie – powiedziałem wreszcie. – Tak, żeby nikogo nie narazić na nieprzyjemności.

– Będziemy uosobieniem dyskrecji – obiecała z psotnym uśmiechem.

Po raz kolejny zwróciłem uwagę na wyraźnie widoczną mimo zaawansowanego wieku żywotność obu pań. Nigdy nie dostrzegłem u nich tak charakterystycznej dla starszych ludzi apatii; podchodziły do życia z entuzjazmem małych dziewczynek. Może to właśnie recepta na długowieczność? Pozostać dziećmi? I nie przejmować się nadętymi waźniakami twierdzącymi, że w pewnym wieku nie powinno się już łązić po drzewach albo oczekiwać z ekscytacją wizyty w burdelu?

Pogroziłem im palcem, na co staruszki zareagowały, przybierając niewinne miny. Ależ to musiały być kokietki! Pół wieku temu...

Zbieraliśmy się już do wyjścia, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Ciekawe, kogo diabli niosą? Były damy dworu nie miały zbyt wielu znajomych, a teraz i klienci im się wykruszyli.

Dobiegające z przedpokoju radosne okrzyki świadczyły, że to nie kolejna komisja antyalkoholowa szukająca darmowego poczęstunku. Po chwili starsze panie pojawiły się, prowadząc pod rękę Kotuszewa. No proszę, myślałem, że Tima wychodzi z koszar tylko na akcje, a tu niespodzianka: chłopak utrzymuje kontakty towarzyskie jak każdy normalny człowiek. Może nie jest z nim aż tak źle?

– *Komandir...* – Kotuszew powitał mnie lekko zmieszany.

Czyżby wstydział się swoich wizyt u staruszek? Przedstawiłem mu Lizę, po czym mimo sprzeciwu gospodyń pożegnałem się, obiecując rychłe odwiedziny. Cóż, tak czy owak, zobaczymy się niedługo na Twerskiej...

– Muszą cię lubić – powiedziała Liza, kiedy wyszliśmy na ulicę.

– Znamy się od dawna – odparłem wymijająco.

– Jasne. I może kiedyś mi o tym opowiesz – mruknęła, naśladując mój głos. – I o tym burdelu...

Zbyłem dziewczynę machnięciem ręki: nie byłem w nastroju do żartów. Mimo

obietnic Dato obawiałem się, że w ostatniej chwili coś nie wyjdzie z moim wyjazdem. Albo nagle przypomni sobie o mnie Beria...

- Jutro wyjeżdżam – zmieniłem temat.
- Gdzie?
- Nie mogę ci powiedzieć, ale to ważna sprawa.
- Jeśli ten wyjazd ma związek ze śledztwem, to powinnam...
- Nie ma – uciałem stanowczo.
- A jeśli Beria cię wezwie? Albo Stalin zechce, żebyś mu złożył raport? Bo całkiem możliwe, że doszły już do niego echa tej rozróby we Włodzimierzu.
- Nic na to nie poradzę. Tego nie da się odłożyć.
- Co jest takie ważne, żeby ryzykować życie?
- To sprawa osobista. Postaraj się mnie osłaniać, póki to będzie możliwe, ale nie ryzykuj nadmiernie. Z Berią w ogóle nie rozmawiaj, jakby co, odwołaj się do Stalina, dam ci numer jego kancelarii, a gdyby przyszło wezwanie na Kreml...
- No właśnie, co mam robić, jeśli Stalin zażąda ode mnie wyjaśnień?!
- Mów prawdę. Poinformuj, że zniknąłem nie wiadomo gdzie, i zasugeruj, że być może ma to związek z dochodzeniem. Wreszcie opisz przebieg naszej wizyty we Włodzimierzu.
- To wszystko?!
- Nic więcej nie da się zrobić.
- Kiedy wracasz?
- Mój wyjazd potrwa trzy, może cztery dni, nie dłużej. Przez ten czas radźcie sobie sami. Będziecie mieli nadal ochronę z GRU, ale nie wykonujcie żadnych gwałtownych ruchów. Studiujcie akta sprawy.
- Żartujesz?! Jakie akta? W teczkach personalnych prawie nic nie ma. Widać, że ktoś je mocno przewietrzył, a zeznania na temat pobytu Wołkowej w więzieniu to wszystko lipa! Nikt nie uwierzy, że na serio próbujemy stąd coś wycisnąć!
- Niezupełnie, jest i coś interesującego. Opis zamachu na generała Parfimowa.
- Rzeczywiście jest dość szczegółowy – przyznała niechętnie Liza. – A co w nim takiego interesującego?
- Pogadaj z Siemionowem, pokaż mu dokumenty. Może razem coś wymyślicie. Bo sposób działania zamachowców wydaje mi się dziwny. Nie! Nie mam żadnych konkretnych spostrzeżeń! To raczej wrażenie.
- Kapitan Wierchońska skinęła głową, przez resztę drogi milczeliśmy. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nadchodzi przesilenie. Kiedy wrócę, trzeba będzie w taki czy inny sposób zakończyć dochodzenie. Problem w tym, ilu świadków będzie jeszcze żywych? I drugi, jeszcze ważniejszy: czy Stalin przyjmie nasze wyjaśnienia? Bo jeśli nie, możemy znowu odwiedzić *Władimirskij Central*, tym razem jednak w zupełnie innym charakterze...



Wysiadłem z tramwaju numer czternaście, uchyliłem kapelusza w odpowiedzi na uśmiech przechodzącej kobiety. Nie pierwszy i zapewne nie ostatni dzisiaj. Nie żebym jakoś specjalnie wyprzystojniał, ale ubrany w garnitur burberry, z elegancką walizką i w stylowym homburgu na głowie wyglądałem niczym wysokiej rangi urzędnik partyjny wyjeżdżający na wakacje. Najwyraźniej niektóre przedstawicielki płci pięknej nie miałyby nic przeciwko, aby się do mnie przyłączyć...

Wszedłem w wąską, zaniedbaną uliczkę i omijając co większe kupy śmieci, podążyłem pospiesznie w stronę pobliskiego skweru. Co prawda Dato wyraźnie zaznaczył, że nawet jeśli ktoś będzie mnie śledził, nie przeszkodzi to w wysłaniu mnie do Wiednia, ale strzeżonego... Co mi szkodzi spróbować kilku sztuczek? Ponieważ Siemionow zgodził się wycofać swoich ludzi, każdy obserwujący mnie człowiek musiał być wrogiem.

Zanim dojechałem do domu Dato (trzecią z kolei taksówką), kilkakrotnie zastawiałem pułapkę, starając się wykryć inwigilujących mnie agentów. Bezskutecznie. Nie znaczyło to, rzecz jasna, że takich nie było, ale jeśli tak, musieli być to najwyższej klasy profesjonaliści. Biorąc pod uwagę moją sytuację, nie byłoby w tym niczego dziwnego. I Beria, i Abakumow wiedzieli świetnie, że nie jestem nowicjuszem.

Znajomy staruszek otworzył mi bramę i znalazłem się na terenie posiadłości Petrosiana. Jeszcze raz obejrzałem się przez ramię: droga prowadząca do pałacu była pusta. Albo rzeczywiście nikt mnie nie śledził, albo kierujący inwigilacją miał głowę na karku i jego ludzie obserwowali tylko z daleka. No cóż, zobaczymy, co wymyślił Dato...

Gospodarz powitał mnie w holu i nie tracąc czasu na uprzejmości, poprowadził po schodach w dół. Nie jestem historykiem sztuki, ale pałacyk wyglądał na stary. Pewnie zbudowano go na początku dziewiętnastego wieku, może wcześniej. Kto wie co może kryć się w podziemiach takiej budowli?

Minęliśmy kilka piwnicznych pomieszczeń, dziwnie przypominających cele więzienne, po czym zagłębiliśmy się w labiryncie na pozór chaotycznie krzyżujących się korytarzy. Tunel, który ostatecznie wybrał Dato, był suchy, dobrze utrzymany i oświetlony lampami elektrycznymi: widać korzystano z niego intensywnie. Jak każdy żołnierz *wojennoj razwiedki* potrafiłem mierzyć odległość krokami. W sumie to nic trudnego, w równym terenie dokładność pomiaru jest niemal stuprocentowa. Przeszliśmy sześćset siedemdziesiąt dwa metry.

Tunel kończyła ślepa ściana i prowadząca do góry drabina. Dato wspiął się po niej pierwszy, po czym wezwał mnie niecierpliwym gestem. Otwór w sklepieniu emanował gęstą, prawie namacalną czernią.

Trwało dobrą chwilę, zanim moje oczy przyzwyczyły się do mroku, lecz słodkawy zapach zbutwiałych kości i wyłaniające się z ciemności kształty mówiły same za siebie: znajdowaliśmy się w grobowcu...

– Przed bramą cmentarza czeka samochód, który zawiezie cię na wojskowe lotnisko – poinformował Dato. – Teren obstawiają moi ludzie. Jutro rano będziesz w Wiedniu.

Bez słowa uściśniłem mu rękę.

– Powodzenia – powiedział. – Będzie ci potrzebne...

Zaskrzypiały ciężkie, zardzewiałe drzwi i promienie zachodzącego słońca oświetliły marmurowe ściany oraz rozpadające się trumny ozdobione dawno zapomnianymi herbami. Nie oglądając się za siebie, ruszyłem do wyjścia. W Wiedniu czekała na mnie córka.



Czas był dla niej łaskawy: ostatnio widziałem ją dwa lata temu we Wrocławiu, teraz wyglądała jak starsza siostra Horsta. Zniknęły cieniutkie niczym pajęczce nici zmarszczki w kącikach oczu, wypełniły się zbyt ostre od niedojadania kontury twarzy, podkreślając i tak nieprzeciętną urodę, jedwabna suknia w kolorze starego burgunda uwydatniała walory figury. Serdeczny palec prawej dłoni zdobił pierścionek, który podarowałem jej na urodziny. Być może miało to jakieś znaczenie, a może nie. Inga. Baronowa Inga Matylda Judyta von Bredow...

Poczułem, jak niemal bez udziału woli moje usta rozciągają się w uśmiechu. Odpowiedziało mi spojrzenie chłodnych niczym dwie kostki lodu oczu.

– Nie spieszyłeś się – powiedziała Inga.

Objąłem ją i pocałowałem. Idiotyczny odruch. W moim... stanie najlepiej unikać wszelkich kobiet, a co dopiero obdarzonych takim temperamentem jak *Frau* von Bredow.

Lód stopniał, Inga przywarła do mnie jak przestraszone dziecko.

– Myślałam, że nie zdążysz – wyszeptła.

– Aż tak źle?

– Lekarze dają jej najwyżej miesiąc życia.

– Dlaczego nic mi nie napisałaś?!

– Dla bezpieczeństwa. Bałam się, że twoi przechwycą list. Sfałszowałam metrykę

urodzenia i...

– No dobrze, a imię? Myślisz, że nikt tego nie skojarzy?!

– Po prababce – odparła szybko. – Moja babcia od strony matki nazywała się Aleksandra von Goetz.

– Kiedy możemy pojechać do szpitala?

– Kiedy tylko zechcesz, choćby teraz.

– Gdzie dzieciaki?

– Klaudia jest w szkole, a Horst przy małej, w szpitalu. Polubił ją...

– W takim razie jedziemy – postanowiłem.

– Może najpierw coś zjesz? Musisz być zmęczony po podróży.

– Jedźmy! – powtórzyłem niecierpliwie.

– Jak sobie życzysz – odparła z wyraźną ulgą w głosie.

Kamerdyner podał mi palto i kapelusz, otworzył drzwi. Przed domem czekał już wóz z szoferem. Od razu rozpoznałem model: rolls-royce silver wraith. Widać firma pani von Bredow przynosiła niebagatelne zyski, taki samochód to symbol luksusu.

– Do szpitala – poleciła Inga.

Ująłem ją za rękę, ogrzałem zadziwiająco chłodne, smukłe palce. Nerwy...

– Wszystko będzie dobrze – obiecałem.

Przytuliła się do mnie, nie przejmując obecnością kierowcy.

– Powtórz to – poprosiła.

– Wszystko będzie dobrze...

Długo jechaliśmy w milczeniu, niewidzącym wzrokiem wpatrywałem się w witryny mijanych sklepów, zabytkowe budowle i strzeliste wieże kościołów. To miasto – podobnie jak Moskwa czy Leningrad – miało w sobie niepowtarzalny klimat, tyle że w odróżnieniu od rosyjskich metropolii emanowało radością życia. A przecież i tu, i tam minęły ledwo dwa lata od zakończenia wojny...

Z zamyślenia wyrwał mnie gest Ingi: dziewczyna włożyła dłonie pod moją marynarkę. Nie było w tym nawet cienia erotyzmu, w tej chwili byłem dla niej tylko źródłem ciepła, a jednak poczułem ekscytację, jak dawniej, kiedy piękna kobieta zwracała na mnie uwagę. No dobrze – cień ekscytacji...

– Co to za szpital? – spytałem.

– Uniwersytecki. Wilhelminenspital uchodzi za najlepszy w mieście. Aleksandra leży na oddziale dziecięcym.

– Jak się czuje?

– Ma silne bóle, często wymiotuje, czasem leci jej krew z nosa, schudła... Ale jest bardzo dzielna – dodała szybko. – Sam zobaczysz.

Zacisnąłem zęby, czułem napięcie mięśni jak przed walką, tymczasem czekały mnie tylko odwiedziny u chorej dwulatki. Szlag! Najwyraźniej się starzeję.

Przejechaliśmy przez kutą żelazną bramę, szofer skręcił w boczną alejkę. Widać

było, że zna teren jak swoje pięć palców. No i nie dziwota: wiedziałem, że *Frau von Bredow* oddałaby życie za swoje dzieci i z pewnością sporo czasu spędzała z małą. Z moją córką...

Nikt nas nie zatrzymywał, nie żądał dokumentów, za to co chwila ktoś z personelu kłaniał się z uszanowaniem mojej towarzyszce.

– Jestem jednym z darczyńców szpitala – odpowiedziała na niezadane pytanie Inga.

Stanęliśmy przed pomalowanymi na biało drzwiami, nacisnąłem klamkę. Leżała pod kołderką w wesołe, kolorowe wzory kontrastujące brutalnie z jej wymizerowaną buzią. Burza płowych włosów zakrywała poduszkę, wokół leżały porzucone zabawki. Nigdy jej nie widziałem, Inga nie zdążyła pokazać mi nawet zdjęcia małej, a jednak rozpoznałem ją natychmiast. Moja córka. Aleksandra. Saszka...

Delikatnie odsunąłem z czoła dziecka pukiel włosów, pogładziłem policzek. Ocknęła się od razu czujna i przytomna, bez śladu sennego otępienia, spojrzała na mnie błękitnymi jak u matki oczyma.

– Kim jesteś? – spytała po niemiecku.

– To twój ojciec. Tata. – Inga z trudem hamowała szloch.

– Tata – powtórzyła mała, jakby smakując to słowo.

Wyciągnęła do mnie chudą, poznaczoną śladami wielokrotnych ukłuć łapkę, chwyciła za palec.

– Tata! Mój! – oznajmiła radośnie, obdarzając mnie uśmiechem, który skruszył mi serce.

To nie był grymas umierającego dziecka, ale zuchwały, nieledwie szelmowski uśmieszek, w którym próżno by doszukiwać się lęku czy prośby o pomoc. Tak mógłby uśmiechać się łobuz idący kraść jabłka w sadzie sąsiada. Saszka... Nigdy nie rozumiałem rodzicielskich porywów, nie zastanawiałem się, jakim będę ojcem, ale jedno pojąłem w ułamku sekundy: tak jak ja byłem jej, ona była moja. Wiedziałem, że zabiję każdego, kto jej zagrozi, jeśli będzie trzeba, rzucę się do gardła samemu Stalinowi. Czuję, jak wypracowywane mozolnie latami, wypalone, zdawałoby się, na wieczność w mózgu kody nakazujące przeżyć za wszelką cenę ustępują nowemu, nieznanemu uczuciu. Uczuciu trudnemu do nazwania, wymykającemu się wszelkiej definicji, a jednak wskazującemu precyzyjnie, co mam robić.

– Obudziła się – powiedział Horst.

Nawet nie zauważyłem, kiedy wszedł do pokoju. Towarzyszył mu starszy mężczyzna w okularach i białym fartuchu identyfikującym go jako lekarza. Zerknąłem na przypiętą do łóżka kartę pacjenta, odetchnąłem z ulgą: Saszka miała tę samą grupę krwi co ja.

– Czy można zrobić jej teraz transfuzję? – zwróciłem się do lekarza.

Medyk spojrzał na mnie niepewnie, jakby nie wiedział, czy odpowiedzieć, czy udawać, że nie dosłyszał pytania.

– Proszę odpowiedzieć, doktorze – przyzwoliła Inga. – *Graf Razumovsky* jest przyjacielem rodziny.

Uspokojony co do mojego statusu mężczyzna poprawił okulary i skłonił się z szacunkiem.

Pamiętając, że według zasad burżuazyjnego *savoir-vivre*'u to stojący wyżej na drabinie społecznej decyduje o formie powitania, pierwszy podałem mu dłoń – skoro mam być hrabią... Lekarz oddał uścisk z niekłamany entuzjazmem.

– Oczywiście – powiedział. – Co prawda kolejną transfuzję planowaliśmy na jutro, ale nie ma żadnych przeciwwskazań medycznych, aby nie przeprowadzić jej dziś. Co prawda dziecko ma rzadką grupę krwi, jednak...

– Ja mam tę samą – wszedłem mu w słowo. – Zależałoby mi, żeby przetoczyć małej moją krew.

– W takim razie konieczne są pewne badania – odchrząknął niepewnie lekarz. – Proszę mnie zrozumieć, to rutynowa procedura. Pan hrabia oczywiście zdaje sobie sprawę, że z naukowego punktu widzenia pochodzenie krwi nie ma żadnego znaczenia? Byle grupa się zgadzała.

– Jeden z moich przodków założył uniwersytet w Petersburgu – poinformowałem zimno. – Podejrzewa mnie pan o nieznamość faktów wiadomych każdej pielęgniarki?

– Ja... Ależ skąd! Najmocniej...

Powstrzymałem go niedbałym gestem. Umilkł.

– My, Rosjanie, jesteśmy sentymentalni – oznajmiłem. – Chciałbym coś zrobić dla tego dziecka. Razumowscy nigdy nie żalowali krwi dla przyjaciół. Ani na polu walki, ani w innych okolicznościach. Przy okazji... – zawiesiłem wymownie głos.

– Tak?

Wyraźnie zaniepokojony lekarz ściągnął brwi.

– Chciałbym osobiście przekonać się o sprawności waszego personelu. Moja rodzina zawsze wspierała użyteczne dla społeczeństwa instytucje. Na przykład szpitale. Tak więc, doktorze...

– Lischke – przedstawił się pospiesznie medyk.

– ...jeśli będę pewien, że moje pieniądze trafią we właściwe ręce, możecie spodziewać się dotacji rządu... – udałem namysł – jakichś dziesięciu tysięcy dolarów.

Widziałem, że kwota zrobiła wrażenie, jednak lekarz uparcie pokręcił głową.

– Proszę mi wybaczyć, ale w żadnym wypadku nie dopuszczę, aby dziecku przetoczono nieprzebadaną krew – oznajmił stanowczo.

– Doceniam pańską bezkompromisowość, doktorze, to dobrze świadczy o waszej placówce – przyznałem. – Oto wyniki badań. – Podałem plik połączonych spinaczem kartek. – Tekst jest w języku rosyjskim, lecz do każdej strony dołączono tłumaczenie.

– To zbędne – mruknął medyk. – W czasie wojny pracowałem w rosyjskim szpitalu

polowym.

Przez długą chwilę Lischke studiował zapełnione tajemniczymi adnotacjami dokumenty, widziałem, jak kilkakrotnie marszczy brwi, trafiwszy na jakiś bardziej skomplikowany termin. Cholera by to wzięła! A jeśli coś będzie nie tak? Przezornie zrobiłem wszystkie badania w milicyjnym szpitalu, ale dopiero teraz przyszło mi do głowy, że nasze standardy niekoniecznie muszą się pokrywać z austriackimi...

– Wygląda, że wszystko w porządku – oznajmił wreszcie. – Jednak taki pośpiech... Trzeba by dokonać transfuzji bezpośredniej: od dawcy do pacjenta.

– Czy to grozi jakimiś powikłaniami? – spytała prędko Inga.

– W zasadzie nie. Jednak obecnie mamy nieco inne procedury. Najpierw pobieramy krew od dawcy, później...

– W takim razie proszę rozpocząć przygotowania do zabiegu – ucięła *Frau von Bredow*.

Lekarz skłonił się lekko i wyszedł z pokoju, choć wyraz jego twarzy świadczył dobitnie, że cała idea niespecjalnie mu się podoba. Zdjąłem marynarkę i usiadłem na krześle przy łóżku. Cóż, nadszedł czas próby. Nie wiedziałem, jak moja krew podziała na dziecko. Może je zabije, zamiast wyleczyć... Księga Doskonałych przestrzegała przed oddawaniem komukolwiek krwi inicjowanego. Niestety, ten fragment napisano po francusku i nie byłem pewien, czy stanowi to zagrożenie dla dawcy, czy biorcy... Tak czy owak, sprawiał wrażenie bezsensownego bełkotu i roił się od wzmianek na temat czegoś, co nazywano krwawym ogniem. A może ogniem we krwi? Kto by tam się rozeznał w tych sekciarskich głupotach.

– Aleks, jesteś pewien, że to dobry pomysł? – w głosie Ingi brzmiał niepokój.

– A masz jakiś inny? – odparłem po rosyjsku. – Aleksandra ma przed sobą kilka tygodni życia i w perspektywie śmierć w męczarniach.

– Ale co da ta transfuzja? Poza chwilowym wzmocnieniem?

– Ufasz mi? – odpowiedziałem pytaniem.

– Tak.

– Więc ufaj dalej, wiem, co robię. Moja krew to jedyna i ostatnia szansa dla Aleksandry.

– Ale czym ona się różni od... – urwała, ujrawszy Lischkego i podążającą za nim pielęgniarkę.

– Siostra Luiza przeprowadzi zabieg – poinformował lekarz.

Podwinąłem rękaw koszuli, ubrana w biały fartuch kobieta sprawnie wkłuła mi się w żyłę, po czym pochyliła nad łóżkiem. Mała skrzywiła się, lecz nie próbowała protestować. Zacisnąłem zęby, patrząc na pokryte siniakami, wątłe ramię dziecka.

Rubinowa struga popłynęła powoli przez przezroczystą rurkę, aby połączyć nasze ręce: moją i Saszki...

Lischke skinął aprobowująco głową i skierował się do wyjścia.

– Będę w pobliżu na wszelki wypadek – powiedział.
Poczekalem, aż zamknie drzwi, przywołałem nieznacznym gestem Horsta.
– Usiądź w pobliżu drzwi – poleciłem po rosyjsku. – Nikogo nie wpuszczaj i nie wypuszczaj.

Chłopak spojrział na mnie ze zdumieniem, ale wykonał rozkaz.

– Aleks? Co się dzieje?

Inga von Bredow wyglądała na wystraszoną.

– Mogę dostać krwotoku z nosa i uszu, a nawet stracić przytomność. Gdyby tak się stało, podtrzymaj mnie i dopilnuj, żeby mała dostała przynajmniej pół litra mojej krwi.

– A co z tobą?

– Nieważne! – mruknąłem. – Rób, co ci każe!

Zerknąłem na ścienny zegar: sekundnik odmierzał czas z przerażającą powolnością. O ile dobrze pamiętałem, dzieciom nie przetaczano krwi w tempie szybszym niż piętnaście mililitrów na minutę. A siostra Luiza wyglądała na kompetentną. Cóż, pomyślmy: w ciągu pięciu minut Saszka otrzyma ledwo siedemdziesiąt pięć mililitrów. Mało. Żeby przetoczyć pół litra, potrzeba ponad pół godziny. Bo pewnie nie pozwolą mi oddać więcej.

Tymczasem uczucie lekkiej niewygody – siostra Luiza wbiła igłę naprawdę fachowo – zamieniło się w bolesne pulsowanie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wzdłuż przedramienia pełźnie fala gorąca. Pot zrosił mi czoło, zacisnąłem wargi, aby nie krzyczeć. Wreszcie zrozumiałem znaczenie dawno czytanego i na w pół zapomnianego fragmentu księgi Doskonałych. Tyle że niespecjalnie podniosło mnie to na duchu...

Krew adepta odżywia nieustannie przekazany mu przez mistrza Zarodek, dopóki ten nie przemieni się w Dziecko, a Dziecko nie stanie się Prawdziwym Człowiekiem. Jeśli adept zacznie tracić krew, czy to na skutek choroby, czy też w wyniku rany, obecna w niej Substancja Najwyższej Rzeczywistości oprze się czynnikowi, który doprowadził do utraty sił witalnych, rozniecając we krwi Wtajemniczonego ogień, który wypali wszelkie choroby i zanieczyszczenia oraz zasklepi rany, powodując jednakowoż katusze nie do wytrzymania. Jest to metoda leczenia nieuleczalnego, lecz bacz, aby przekazywać ją jedynie obdarzonym Zarodkiem Przemiany Rzeczywistości i nie stosować w błahych dolegliwościach!

Siedziałem tyłem do pielęgniarki, ale czułem, jak zdradliwa wilgoć przesiąka przez koszulę. Jeszcze chwila i baba zainteresuje się, co też mi jest. Nie byłem w stanie powstrzymać mimowolnych skurczy mięśni, krew z rozgryzionej wargi ściekała mi po brodzie. Horst i Inga wpatrywali się we mnie z przerażeniem, lecz nie komentowali

mojego stanu. Na razie... Dobrze, że chociaż Saszka przymknęła oczy i nie widzi, co się ze mną dzieje. Próbowałem skoncentrować się na oddechu, nie wychodziło. Udręka wypalała moje nerwy niczym rozżarzony do czerwoności pogrzebacz. Kurwa mać! Jeszcze parę minut i zacznę krzyczeć. Albo płakać jak mała dziewczynka... Ciekawe, dlaczego nie czułem takich sensacji, kiedy trafił mnie snajper? Przecież i wówczas wyciekała ze mnie krew.

Odpowiedź przysłała wraz z kolejnym spazmem bólu, przypomniałem sobie nie tylko odpowiedni cytat, ale i kształt liter oraz fakturę rękopisu:

Szybkość, z jaką zacznie działać Substancja Najwyższej Rzeczywistości, zależy od stopnia rozwoju Zarodka. W początkowym etapie wymaga to godzin, na średnim minut, u szczytu rozwoju Świętej Choroby reakcja jest niemal natychmiastowa.

No tak: siedzę tu już dobry kwadrans. Kiedy postrzelił mnie brandenburczyk, do momentu utraty przytomności minęło ledwo parę minut.

Głowę i ramiona ogarnęła mi fala ognia, spłynęła w dół, sięgnęła podbrzusza, wreszcie przeszła do nóg. Niekontrolowany skurcz łydek przerodził się w potężne wierzgnięcie i przewróciłem się wraz z krzesłem. Słyszałem krzyk pielęgniarki, później własny, zanim wszystko ogarnęła miłosierna ciemność.



Ocknąłem się, słysząc szelest przewracanych kartek, uniosłem powieki: Horst siedział przy moim łóżku i przeglądał nieuważnie książkę w kolorowej, krzykliwej okładce. O dziwo, nie czułem żadnej ociążałości ani dezorientacji, jakie towarzyszyły zwykle moim szpitalnym powrotom do przytomności. Ostrożnie przetoczyłem się na bok i usiadłem. Żadnych zawrotów głowy, nawet łamania w kościach. Dziwne...

– Wreszcie! – burknął chłopak, nieudolnie maskując ulgę opryskliwością. – Już myślałem, że przyjdzie nam skorzystać z usług pobliskiego zakładu pogrzebowego. Ja bym się co prawda specjalnie nie przejął, ale mamie byłoby przykro...

– Co z Aleksandrą?

– Na razie wszystko w porządku. Na śniadanie zjadła więcej niż wczoraj i spadła jej temperatura. Mama uważa, że idzie ku lepszemu, lekarze jednak są sceptyczni. Twierdzą, że to tylko chwilowa poprawa.

– Ile czasu tu leżę?

– Niemal dobę.

– Przynieś mi ubranie i załatw wypisanie ze szpitala.

– Jest pan pewien? Lekarze nie wiedzieli, co panu jest, doktor Lischke...

– Jestem pewien – bezceremonialnie wszedłem mu w słowo. – I pospiesz się. Zgłodniałem. A wolałbym nie chłeptać szpitalnej kaszki.

Horst uniósł sceptycznie brwi, ale wyszedł, zostawiając mnie samego w izolatce. Podszedłem do okna: na ulicy zapalały się latarnie, nadchodził wieczór. Cóż, mogło być gorzej, gdybym poleżał nieprzytomny parę dni dłużej, nie miałbym po co wracać. Nie żeby to robiło wielką różnicę, ludzie Abakumowa czy Berii znaleźliby mnie i tutaj. A śmierć jest wszędzie taka sama...

Skrzypnęły drzwi, w progu pojawił się Horst.

– Pańskie ubranie. – Rzucił moje rzeczy na łóżko. – Poczekam na korytarzu – dodał.

Podziękowałem skinieniem, zacząłem się ubierać. Czas zmienić lokum, najwyższy czas...

– Trzeba podpisać dokumenty – poinformował mnie Horst.

– Jakie, do licha, dokumenty?

– No, że dobrowolnie opuszcza pan szpital i wypisuje się na własną prośbę.

– W porządku, gdzie?

– U lekarza dyżurnego. Dobrze, że doktor Lischke ma dzisiaj wolne, ten by pana tak łatwo nie wypuścił.

– Gdzie twoja matka?

– W domu.

– A mała?

– Śpi.

– Zajrzę do niej na chwilę.

Chłopak spojrzał na mnie z namysłem, lecz nie zaprotestował. Zeszliśmy piętro niżej, gdzie podpisałem tasiemcowy protokół zwalniający szpital z wszelkiej odpowiedzialności za moje zdrowie teraz i w przyszłości. Pozwoliłem też zbadać się za pomocą stetoskopu, zmierzyć tętno i ciśnienie. Dyżurny lekarz, starszy mężczyzna pod sześćdziesiątkę, przyznał niechętnie, że wszystkie parametry mam w normie.

Aleksandra spała z pluszowym misiem przyciśniętym do policzka. Pochyliłem się nad nią z taką ostrożnością, jakbym podchodził wrogiego wartownika, pocałowałem w policzek. Naszła mnie ochota, żeby ją rozbudzić, przytulić, poczuć jej dotyk, jednak zrezygnowałem: moja córka bardziej potrzebowała snu niż dopiero co poznanego ojca. Musnąłem dłonią policzek Saszki – może ostatni raz? – i wyszedłem z pokoju. Horst bez słowa pomaszerował za mną. No i dobrze: każdego, kto próbowałby mnie teraz pocieszyć, kopnąłbym w dupę tak, że przesączyłyby się przez dziurkę od klucza. Nie byłem w najlepszym nastroju. Moje dziecko umierało, a ja nie mogłem zostać w Wiedniu, aby dowiedzieć się, czy i na ile mu pomogłem. Kiedy dotrze do mnie wiadomość od Ingi, Saszka będzie albo całkowicie zdrowa, albo od dawna martwa...

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, Horst podał kierowcy zupełnie nieznanymi mi adres.

– Nie jedziemy do domu? – spytałem.

– Jedziemy. Tylko po drodze musimy zabrać Klaudię ze szkoły.

– O tej porze?

– Pojechałbym po nią wcześniej, miałem jednak nadzieję, że odzyska pan przytomność. Nic się nie stało – zapewnił. – To katolicka szkoła z internatem. Siostrzyczki jej pilnują, gdyby było trzeba, mogłyby ją nawet przenocować.

– Rozumiem...

No tak, jeszcze tego mi brakowało: fochów w wykonaniu pani von Bredow. Ostatnio widzieliśmy się we Wrocławiu i nasze rozstanie raczej nie wypadło najlepiej. Z drugiej strony miałem większe zmartwienia niż mała Klaudia. Prawdę powiedziawszy, dużo większe...

Spory ceglany budynek utrzymany w stylu neogotyckim sąsiadował z niedużym parkiem. Zerknąłem na napis nad drzwiami: informował, że szkoła należy do sióstr franciszkanek.

Musiano nas oczekiwać, bo ledwo zajechaliśmy, na ulicę wyszła młoda, na oko dwudziestoletnia zakonnica, prowadząc za rękę ubraną w mundurek szkolny dziewczynkę. Minęła chwila, zanim w poważnie wyglądającym dziecku rozpoznałem Klaudię von Bredow. Wsiadłem z lekkim ociąganiem, ale cóż było robić? Nie będę się przecież chował przed siedmioletnią smarkulą...

– Aleks!

Klaudia wyrwała się zakownicy i niczym mały huragan rzuciła w moją stronę, zupełnie nie zwracając uwagi na brata. Zanim się zorientowałem, objęła mnie za szyję. Dopiero teraz doszło do mnie, że klęczę na bruku jak ostatni głupek. Co się ze mną porobiło?

– Aleks! Aleks! – powtarzała dziewczynka, pokrywając moją twarz pocałunkami. – Wróciłeś!

Wziąłem ją na ręce i podszedłem do nieco zaniepokojonej zakownicy.

– To przyjaciel rodziny – wyjaśnił Horst z uśmiechem. – Klaudia nie widziała go dwa lata.

– Może odbierać Klaudię ze szkoły?

– Nie będę miał...

– Odbierzesz mnie jutro? Proszę, Aleks!

– No dobrze – westchnąłem. – Ale tylko jutro.

Panna von Bredow rozpromieniła się, jakbym ofiarował jej największą czekoladę świata – tak, pamiętałem o jej gustach! – po czym łaskawie pozwoliła zanieść się do samochodu.

– Ja chcę siedzieć z Alekssem! – zażądała nieznośnym sprzeciwu tonem.

Horst z wyrozumiałym uśmiechem usadowił się obok szofera.

– A teraz opowiadaj! – zawołała, nie wypuszczając z dłoni mojej ręki.

– Co takiego mam ci opowiedzieć?

– Jak to co? Bajkę von Krylova. Taką, której jeszcze nie słyszałam! – zastrzegła się natychmiast.

– No dobrze – westchnąłem. – Opowiem ci o wronie i lisie...



Jedwabna pościel chłodziła delikatnie skórę, łóżko było więcej niż wygodne, a jednak nie mogłem zasnąć. Przewracałem się i wierciłem, jakbym leżał na gołej ziemi, a nie miękkim materacu.

Wzdrygnąłem się, kiedy nocną ciszę przerwało bicie zegara. No ładnie: północ. A przecież jutro powinienem być w formie. Może to kwestia emocji? Co prawda wieczór był dużo spokojniejszy niż pełen wrażeń dzień: zjedliśmy w czwórkę kolację, później dobrą godzinę opowiadałem Klaudii bajki. Jeszcze trochę i mała całkiem się rozpaskudzi... Całe szczęście, że to nie mój problem – niedługo będę już w drodze do Moskwy.

Jakimś cudem wyczułem jej obecność, zanim nacisnęła klamkę i zapaliła niewielką nocną lampkę: Inga. Miała na sobie tylko koszulkę nocną, a rozpuszczone włosy w kolorze starego złota okrywały jej ramiona. Weszła do pokoju i bez słowa położyła się przy mnie. Dotknąłem jej ramienia – było zimne niczym u marmurowej rzeźby.

– Przytulisz mnie? – spytała cichutko.

Przytuliłem. Długo leżeliśmy w milczeniu, stopniowo stawałem się coraz bardziej świadomy jej ciała, czułem zapach perfum, gładkość skóry, bicie serca. Sięgnąłem po nią jak po dojrzały owoc – była gotowa. Była moja. Kochaliśmy się niespiesznie, przeplatając wybuchy namiętności czułymi szeptami, wymawiając słowa zastrzeżone dla takich chwil. Później leżeliśmy ze splecionymi dłońmi jak para zakochanych dzieciaków.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała, muskając czułym gestem mój policzek.

– Ja też – odparłem. – Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że to prawda.

Odchrząknęła niedowierzająco.

– A te rosyjskie ślicznotki, o których opowiadał mi Horst?

– Jesteś pierwszą ślicznotką, jaką miałem od czasu wyjazdu z Breslau.

Uniosła się na łokciu, spojrzała na mnie z góry.

– Naprawdę?

– Naprawdę, naprawdę – odparłem, przedrzeźniając jej głos.

- Nie zmyślasz?
- Oficerowie i gentlemani nie zmyślają z definicji – stwierdziłem, szczypiąc ją w pupę. Woląłem nie wdawać się w szczegóły. Po cholere wyjaśnić, że cnotliwe życie było wynikiem dawnej kontuzji? I że moja... niedyspozycja dopiero co ustąpiła? Pisnęła zaskoczona, ale w jej oczach ujrzałem iskierki kobiecej satysfakcji.
- Jak myślisz? Co będzie z Aleksandrą? – spytała poważnie.
- Wzruszyłem ramionami, pewnie zrobiłoby to większe wrażenie, gdybym nie leżał w łóżku.
- A co ma być? Albo przeżyje, albo umrze. Zrobiłem, co mogłem. Być może moja krew... – urwałem, nie kończąc zdania.
- Tak?
- To długa historia – odpowiedziałem wymijająco.
- Opowiedz – poprosiła.
- Kiedy to mistyka. – Skrzywiłem się niechętnie.
- Nie szkodzi. Chciałabym mieć nadzieję... Mimo wszystko. Choćby przez dzień czy dwa.
- Zagryzłem wargi: gdybym opowiedział Indze o Doskonałych, byłbym całkowicie na jej łasce. Jeden donos i wylądowałbym w łagrze, a w najlepszym wypadku psychuszce, bo nikt nie tolerowałby sekciarza – niechby i mimo woli! – w swoich szeregach. Ani milicja, ani *wojennąją rozwiadka*. Z drugiej strony pani von Bredow nie raz już udowodniła, że można jej ufać.
- Boisz się? – spytała domyślnie.
- Boję – przytaknąłem.
- Wiesz, że ja też pierwszy raz... od naszego ostatniego spotkania.
- Usiadłem i spojrzałem Indze w oczy. Nie odwróciła wzroku.
- To idiotyzm! Narażasz w ten sposób i siebie, i dzieci! Jeśli ktoś się domyśli...
- Nie domyśli się – zapewniła. – Mam narzeczonego z dobrej, arystokratycznej rodziny.
- I co, odpowiada mu taki układ?
- Jeszcze jak! Wiesz, on preferuje męskie towarzystwo, a wolałby, żeby jego skłonności nie wyszły na jaw...
- Roześmiałem się mimo woli, niewątpliwie posiadanie takiego narzeczonego rozwiązywało wiele problemów. No i łechtало moją męską próżność. Bo Inga mogła przecież wybrać kogoś o bardziej tradycyjnych gustach.
- Dobrze – zdecydowałem. – Opowiem ci wszystko...



Saszka leżała na pierwszym piętrze. Wchodziłem powoli po szpitalnych stopniach, niczym ślepiec wodziłem dłonią po wyslizganej przez lata poręczy. Ilu ludzi dotykało jej przede mną? Ilu z nich już nie żyje? Moje palce zadrżały jak porażone prądem, miałem wrażenie, że dotykam niewidzialnej bariery i wystarczy zapragnąć, a poznam losy wszystkich byłych pacjentów: ich radości, smutki, ostatnie chwile...

Zdecydowanym ruchem cofnąłem rękę, ostatnie, czego mi teraz potrzeba, to wpaść w jakiś mistyczny trans. Zakląłem w duchu, widząc idącego po korytarzu lekarza: Lischke. Szlag! Niestety, wyglądało na to, że medyk nie ma zamiaru przepuścić mnie bez słowa...

– Muszę stanowczo zaprotestować przeciwko pochopnemu opuszczeniu szpitala przez pana hrabiego – zaczął bez żadnego wstępu. – Biorąc pod uwagę fakt, że stracił pan przytomność...

– Straciłem – przyznałem, przerywając mu bezceremonialnie. – A teraz czuję się znakomicie.

– Jednak...

– Pański kolega przeprowadził odpowiednie badania przed wypisem – przypomniałem. – A co do mojego zdrowia...

Zacisnąłem dłoń w pięść, uderzyłem w ścianę. Huk przypominał wystrzał z karabinu. Gruby na centymetr płat tynku upadł na podłogę, odsłaniając cegły.

– Nic mi nie dolega – powiedziałem z naciskiem.

– Pańska dłoń...

– Ma się równie dobrze jak ja. – Zademonstrowałem nieuszkodzone knykcie. – A teraz pan wybaczy, chciałbym odwiedzić Aleksandrę.

Otworzyłem drzwi bez pukania, Saszka spała. Inga siedziała przy wezgielciu łóżka, oglądając w zadumie buteleczkę lakieru do paznokci.

– Jak mała? – spytałem przyciszonym głosem.

– Zjadła obiad i śpi.

Spojrzałem na córkę – wyglądała nieco lepiej niż poprzedniego dnia, zmniejszyły się sińce pod oczyma, nie była już taka blada. Chyba że to tylko pobożne życzenia...

– Poprawia jej się – powiedziała Inga, jakby odgadując moje myśli. – Zjadła całkiem sporo i nie miała dziś nudności. Do tego...

– Tak? – ponagliłem.

– Marudziła trochę, więc pozwoliłam jej pogrzebać w torebce. To taka nasza zabawa – dodała tytułem wyjaśnienia. – Saszce spodobał się mój lakier, otworzyła go i upaprała pościel.

– No dobrze, ale w czym rzecz?

– Dzisiaj rano chciałam poprawić paznokcie, ale nie dałam rady odkręcić buteleczki. A ona zrobiła to z uśmiechem, bez żadnego wysiłku. Myślisz, że to... – nie dokończyła.

– Możliwe – przytaknąłem bez entuzjazmu.
– Nie cieszysz się?
– Cieszę.
– Ale...?
– Jeśli to nie przypadek, a rzeczywiście moja krew, skutki niekoniecznie muszą być pozytywne. Nawet jeśli Saszka przeżyje...
– Nie rozumiem... – zmarszczyła brwi Inga.
– Pamiętasz, opowiadałem ci wczoraj o Timie?
– Chodzi o tego chłopca, któremu dałeś kilka kropel krwi?
– Tak. Jego stan nie tylko się poprawił... No, względnie poprawił, bo przecież nie wrócił do poprzedniej sprawności intelektualnej, moja krew zmieniła także jego psychikę. Tima stał się obojętny, daleki. Czasami zastanawiam się, czy w ogóle cokolwiek odczuwa... Troszczy się o bliskich, ale momentami jego reakcje sprawiają wrażenie bardziej wyrozumowanych niż spontanicznych. Tak jakby postępował w zgodzie z jakimiś sobie tylko wiadomymi regułami. No i stał się zabójcą doskonałym. Och, i wcześniej potrafił zabijać! Jednak zabijał jak człowiek: bał się, nienawidził, wahał. Teraz działa jak maszyna. Wystarczy wskazać mu cel i wydać komendę. Nie wiem, czy jeszcze nie będziesz mnie przeklinać za to, że dałem Saszce swoją krew. Nie wiem, czy sam się nie będę przeklinał...

Inga pokręciła przecząco głową.

– Zrobiłeś, co mogłeś i co musiałeś – powiedziała. – I dość o tym! Ile ci czasu zostało?

– Zdążę odebrać Klaudię ze szkoły. Później mam samolot.

– Może zajechalibyśmy po nią razem?

– Jeśli chcesz...

– Chcę – odparła zdecydowanie. – A ty?

Przytaknąłem. Poczekalem, aż Inga wyjdzie na korytarz, pochyliłem się nad łóżkiem. Saszka pachniała różanym mydłem i słodyczami, jednak wszechobecny odór medykamentów nie pozwalał zapomnieć o jej chorobie. Zamruczała przez sen, kiedy dotknąłem ustami jej policzka. Z trudem powstrzymałem się, żeby nie przytulić córki. Kto wie czy jeszcze kiedykolwiek ją ujrzę?

Inga uchyliła drzwi i wymownym gestem postukała w zegarek. Czas się zbierać. Wyszedłem bez słowa protestu: każdego z nas prędzej czy później spotka śmierć, a tej jest obojętne, czy przyjmujemy ją w milczeniu, czy krzykiem rozpacz. Nie mogłem nic więcej zrobić dla swojej córki...



Sięgnąłem po szkatułkę, otworzyłem jedną z szuflad: była wypełniona po brzegi czekoladkami.

– Znakomity wybór – wymruczał młody, niespełna trzydziestoletni ekspedient. – To belgijskie pralinki. Najwyższa jakość!

– Nie uważasz, że to przesada? – spytała Inga. – Coś takiego byłoby odpowiednim prezentem dla dorosłej kobiety, no, niechby i młodej panienki, ale nie siedmioletniego dziecka.

– Dopilnujesz, żeby nie zjadła wszystkiego naraz – odparłem obojętnie. – Proszę to zapakować – poleciłem sprzedawcy.

– Natychmiast!

Roześmiałem się, widząc wyraz twarzy Ingi. Hrabina von Bredow starannie unikała mojego wzroku, a nadąsana mina świadczyła o niezadowoleniu. Czyżby nie tylko Klaudia liczyła na prezent?

– Poproszę jeszcze te nasączone amaretto – zadysponowałem.

Inga zarumieniła się jak podłotek, obserwując z nadzieją w oczach bajecznie kolorowe pudełko.

– To dla ciebie – powiedziałem.

– Skąd wiedziałeś, że uwielbiam amaretto?

– Zgadłem.

– I co ja z tym zrobię?!

– Proponuję przyjąć standardową procedurę: otworzyć i zjeść.

– No tak, ale one są od ciebie...

– Możesz zachować opakowanie na pamiątkę – podsunąłem.

Inga sapnęła gniewnie i wymierzyła mi ukradkiem szturchańca.

– Głupek!

– Potrzebuję jeszcze prezentów dla trzech, nie! czterech osób – powiedziałem niegłośnie. – Czekoladki mają być różnych gatunków i, rzecz jasna, odpowiedniej jakości. Proszę je zapakować do metalowych puszek bez żadnych oznaczeń. Cena nie gra roli.

– Większość opakowań, jakie wykorzystujemy, posiada znak firmowy – odparł niepewnie sprzedawca.

– Czy mam rozumieć, że nie jesteście w stanie wykonać mojego zamówienia? – Uniosłem brwi w udanym zdumieniu.

– Ależ skąd! Tyle że może to chwilę potrwać.

– Kwadrans, nie dłużej – stwierdziłem sucho.

Mężczyzna skłonił się lekko i zniknął na zapleczu. Dobiegające stamtąd odgłosy pozwalały przypuszczać, że przedstawiciele firmy Krohne i Synowie starają się ze wszystkich sił wykonać postawione przed nimi zadanie. Cóż, czasem oplać się być arystokratą...

– Spóźnimy się. – Inga spojrzała nerwowo na zegarek.
– Jestem pewien, że Klaudia nam wybaczy. Zaraz po tym, jak dostanie swoje czekoladki...

– Jesteś niemożliwy! – syknęła.

Odpowiedziałem półuśmiechem: za obopólną zgodą pomijaliśmy wszelkie poważne tematy. Żadne z nas nie miało ochoty o nich rozmawiać ani nawet myśleć.

– Gotowe! – zameldował starszy, szpakowaty mężczyzna.

No, no, czyżby pofatygował się do nas sam właściciel?

– Puszki wyprodukowano trzydzieści lat temu z okazji koronacji cesarza Karola. Mój ojciec był dostawcą dworu cesarskiego – dodał wyjaśniająco. – Nie posiadają żadnych znaków firmowych, a jedynie monogram Karola Habsburga: litery K i H. Zawartość to mieszanka ekskluzywnych szwajcarskich, belgijskich i holenderskich marek.

Skinąłem aprobującą głową i położyłem na kontuarze kilka tysiącszylingowych banknotów, stanowczym gestem odżegnałem się od odbioru reszty. Cóż, miejscowa waluta i tak mi się już nie przyda...



Klaudia von Bredow królewskim gestem podała mi tornister i przycisnęła do piersi swój prezent. Szkatułka musiała ważyć dobre parę kilogramów – zrobiono ją z prawdziwego drewna, a czekoladowa zawartość też była nielekka, ale nie wyglądało, żeby chciała kogokolwiek poprosić o pomoc. Widziałem, jak spod opuszczonych rzęs obserwuje koleżanki i napawa się chwilą. Nie po każdego przyjechało dwoje dorosłych, no i nikt poza nią nie dostał pralinek... Ot, mała kokietka!

Kiedy tylko usadowiliśmy się na tylnym siedzeniu, Klaudia natychmiast rozpoczęła indagacje na najbardziej interesujący ją temat.

– Ile tu jest czekoladek? – spytała.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Dużo.

– Sześć szufladek – powiedziała z namysłem. – Nie można tego jakoś obliczyć? Matematycznie? Siostra Urszula mówi, że jak ktoś zna matematykę, może użyć jej do wielu pożytecznych rzeczy...

Parsknąłem śmiechem: cokolwiek by o niej powiedzieć, dziewczynka wiedziała, czego chce od życia.

– Spróbujmy – zaproponowałem, zabierając jej szkatułkę. – Mamy sześć szufladek, w każdej z nich mieszczą się trzy warstwy pralinek. W jednej warstwie mamy... – Zastanowiłem się przez chwilę. – Dwanaście z jednego boku i osiem z drugiego, tak

więc wyjdzie nam w sumie dziewięćdziesiąt sześć czekoladek. Dziewięćdziesiąt sześć razy trzy równa się dwieście osiemdziesiąt osiem. Kiedy pomnożymy to przez sześć, wyjdzie nam tysiąc siedemset dwadzieścia osiem.

– Ile to tysięcy? Bo ja umiem liczyć tylko do stu – wyznała smętnie Klaudia.

– To dziesięć razy więcej niż sto – wtrąciła się Inga.

– Gdybyś codziennie jadła po jednej czekoladce, wystarczyłoby ich na ponad cztery lata – pospieszyłem z pomocą.

– Czyli Święty Mikołaj cztery razy przyniósłby mi prezenty? – upewniła się mała.

– Dokładnie – potwierdziłem.

– Wyjeżdżasz dzisiaj, prawda?

– Tak.

– Jeśli będę jadła po jednej czekoladce dziennie, tak jak mówiłeś, wrócisz, zanim mi się skończą?

– Nie wiem – odchrząknąłem niepewnie. – Postaram się.

– Postaraj się – poprosiła cichutko.

Milczeliśmy przez resztę drogi, nikt z nas nie miał ochoty na towarzyską pogawędkę. Byłem w dziwnym nastroju, po raz pierwszy w życiu wcale nie chciałem wracać do domu, i to nie tylko ze względu na Aleksandrę. Jednak zdawałem sobie sprawę, że muszę jak najszybciej znaleźć się w Moskwie – gdyby ktokolwiek odkrył moją nieobecność, zakwalifikowano by to jako zdradę. A wtedy miałbym przeciwko sobie wszystkich, nawet *wojennuju razwiedku*...

Sięgnąłem ręką ponad głowę Klaudii, Inga otarła się policzkiem o moją dłoń. Tu i teraz było to jedyne pożegnanie, na jakie mogliśmy sobie pozwolić.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Okręciłem się na podarowanym przez Poliakowa obrotowym fotelu (podobno należał do jakiegoś przedrewolucyjnego admirała), starając się nie tracić z pola widzenia gwałtownie gestykującej Lizy. Kapitan Wierchońska wyglądała na wkurzoną.

– Nie słuchasz, co mówię! – warknęła ze zniecierpliwieniem.

– Ależ słucham – zapewniłem bez przekonania.

Nowiny istotnie były niepomyślnie: porucznik Renn popełnił samobójstwo, a sierżanci Orłow i Basygin zginęli w wypadku samochodowym. Tyle że w odróżnieniu od Lizy spodziewałem się czegoś podobnego. Było oczywiste, że inspiratorzy zabójstwa Święty Wołkowej nie pozwolą nam przesłuchać świadków. Prawda, że miałem i powód do zadowolenia – nikt mnie nie szukał pod moją nieobecność. Nawet towarzysz Beria...

– Saszka!

Sięgnąłem za siebie i położyłem na biurku puszkę z czekoladkami.

– Co to jest? – Liza zmarszczyła brwi.

– Prezent – odparłem z uśmiechem. – Choć jedynie dla grzecznych dziewczynek.

– Mam zatańczyć nago na stole? – spytała nieufnie.

– Ciekawa propozycja, ale może nie na pierwszej randce.

Kapitan Wierchońska stuknęła mnie w głowę i otworzyła metalowy pojemnik.

– Pralinki? Widziałam coś takiego tylko na filmie... Skąd je wzięłeś?!

– Z daleka – odburknąłem.

Dziewczyna włożyła do ust czekoladkę i wydała pomruk zachwytu.

– Boskie!

– Cieszę się, że ci smakują.

Przez kilka minut delektowaliśmy się pralinami, wreszcie Liza stanowczym gestem zamknęła puszkę.

– Trzeba z tym skończyć, bo wszystkie zjemy – oświadczyła. – A chciałabym poczęstować jeszcze parę osób.

– Pewnie tak – przyznałem.

– Komu jeszcze przywiozłeś czekoladki? – rzuciła niespodziewanie.

– Katii i Warwarze Siemionownie – odparłem ze zdziwieniem. – Dlaczego pytasz?

– Tak sobie, bez powodu. Wracając do sprawy...

– Tak?

– Przestudiowaliśmy z Sieriożą te dokumenty, wiesz, opis zamachu na generała Parfimowa, i doszliśmy do wniosku, że strasznie fachowo to wszystko zorganizowano. Jak z podręcznika.

Przez chwilę zastanawiałem się, co za Sieriożę ma na myśli Liza, wreszcie przypomniałem sobie, że Siemionow ma na imię Siergiej. Cóż, nie byliśmy ze sobą zbyt blisko...

– Tyle to i ja wiedziałem.

– Czekać, to nie wszystko!

– Co jeszcze?

– Wiesz, tam był jeden czy dwa momenty, kiedy można było podjąć inną decyzję, niż sugerują schematy takich akcji, decyzję jak najbardziej umotywowaną i chyba korzystniejszą dla zamachowców, a jednak napastnicy nie odeszli od standardu. Tak jakby się bali, że w razie czego ktoś im to zarzuci.

Skinąłem z namysłem głową: tak, to było to! Od samego początku gnębiła mnie myśl, że z zamachem na Parfimowa coś jest nie tak. Teraz już wiedziałem co – był wzorcowy. Zbyt wzorcowy. Gdyby dokonał go Wołkow, nie martwiłby się drobnymi odchyleniami od schematu, ale zareagował tak, jak podpowiadałoby mu doświadczenie. Tymczasem ludzie Berii czy Abakumowa trzymaliby się kurczowo wzorców, bo wiedzieliby, że w razie gdyby coś poszło nie tak, będą musieli tłumaczyć się z każdego drobiazgu, a ich działania zostaną przeanalizowane pod kątem zgodności ze sporządzonym wcześniej planem operacji.

Westchnąłem ciężko. I tak skomplikowana sprawa gmatwała się coraz bardziej. Jeśli Parfimowa zabiła bezpieka, pewnie zatroszczyła się i o usunięcie wszelkich dowodów wskazujących na inspiratora całej akcji. Szlag!

– Co tak stękasz? Myślałam, że się ucieszysz.

– Nie mam z czego – mruknąłem. – Wykonaliście kawał dobrej roboty – rzuciłem szybko, widząc zawód na twarzy Lizy. – Jednak w niczym nie ułatwi nam to śledztwa.

– Nie rozumiem. Wiedza, że za zamachem na Parfimowa stała bezpieka, pozwoli nam...

– Na nic nam nie pozwoli – przerwałem jej bezceremonialnie. – Oni pozbyli się jedyne go świadka, który mógł nam powiedzieć, kto wydał rozkaz zabicia Swiety Wołkowej. Bo założę się, że wszyscy inni zamieszani w sprawę wykonywali po prostu polecenia swoich przełożonych.

– Z drugiej strony... – zaczęła z wahaniem Liza.

– No, gadajże!

– A może to jednak Wołkow? Przecież on zdawał sobie sprawę, że skoro rzecz dotyczy Stalina, do akcji wejdą najlepsi śledczy. I na pewno zauważą, że zamachowcy w niewolniczy sposób trzymali się schematu.

Zakląłem wścikie, Liza miała rację: jeśli Wołkow był choć w połowie tak dobry, jak sądziłem, mógł do pewnego stopnia przewidzieć tok śledztwa. I nic dziwnego, że chciał napuścić mnie na bezpieczniaków – w końcu ci zamordowali jego córkę... Jedno stało się jasne: musiałem jak najszybciej porozmawiać z Lidią Zosimowną.

– Wracam do swojego mieszkania, wreszcie skończyli remont – Liza nieoczekiwanie zmieniła temat.

– Znakomicie – odparłem z roztargnieniem.

Złe błyski w oczach dziewczyny zdradziły mi, że nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– Co znowu?

– Nic takiego – odparła zimno. – Jakby co, będę w swoim gabinecie.

Trzaśnięcie drzwiami było tak silne, że zakołysał się wiszący na ścianie portret Dzierżyńskiego. Kobiety...



Lidia Zosimowna popatrzyła z zadumą na menu, być może, przedrewolucyjna pisownia – dzieło panienci Tatiany – skojarzyła jej się z czymś dawno zapomnianym. Lidia Zosimowna Siwers... Kim była przed rewolucją? Dlaczego zgłosiła się do pracy w *wojennej rozwiadce*? Nikt tego nie wiedział, nie wiedziałem i ja, choć w obecnej chwili bardziej martwiła mnie jej zażyłość z Wołkowem. Bo jeśli Swieta była ich córką...

Podsunałem ciasteczka, dolałem herbaty. Podziękowała skinieniem głowy. Czekałem, aż się odezwie, wiedziałem, że nie ma sensu naciskać – kiedyś w mojej obecności przegoniła z archiwum zastępcę dowódcy GRU. I jak głosiła fama, to nie ona musiała później się tłumaczyć...

– Co chcesz wiedzieć? – spytała w końcu.

– Czy jestem na liście Wołkowa?

– Nie – odparła zdecydowanie.

– Zatem ten snajper to...

Powstrzymała mnie energicznym gestem. Umilkłem.

– Nie wiem – powiedziała. – Nie jestem pewna.

– To skąd przekonanie, że Wołkow nie chce mnie zabić?!

Spojrzała na mnie z namysłem, jakby zastanawiając się, ile może mi powiedzieć. Z pewnością nie chodziło o bezpieczeństwo: siedzieliśmy w jednym z luksusowych gabinetów należących do kasyna, a drzwi pilnował Siemionow.

– Rozmawiałam z nim – rzuciła jakby nigdy nic. – Zabroniłam mu cię zabijać, a on dał słowo, że tego nie robi. I nie rób takiej miny, być może, pokonałbyś go w bezpośredniej walce, ale pod każdym innym względem jesteś przy nim jak dziecko.

Przełknąłem ślinę. Protesty nie miały sensu, musiałem dowiedzieć się jak najwięcej o Wołkowie.

– Jeszcze nie skończyłam – powiedziała Lidia Zosimowna, widząc, że otwieram usta. – To obustronny układ: musisz mi przyrzec, że nie będziesz próbował go zabić.

– Jeśli on nie zacznie pierwszy.

Nawet w moich uszach zabrzmiało to niczym deklaracja rozkapryszonemu przedszkolaka...

– Nie zacznie – zapewniła z uśmiechem. – Jednak nie czuj się zbyt pewnie, on nie złamie obietnicy, ale należy ją traktować dosłownie.

– Nie rozumiem?

– To znaczy, że cię nie zabije. Nie obiecał, że nie zrobi ci krzywdy...

– Wiecie, co się stało ze Swietą?

– Wiem.

– Możecie opowiedzieć?

– Nie. Musisz sam do tego dojść.

– A to dlaczego?!

Lidia Zosimowna objęła oburącz filiżankę, zdawało się, że chce ogrzać dłonie.

– Lubię cię, Razumowski – odparła wreszcie. – Jednak jest coś, czemu poświęciłam pół życia i z czego nie zrezygnuję, nawet dla ciebie. Tymczasem kto wie jaki cię spotka los?

Zacisnąłem zęby, po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułem strach. Nie ten zwykły, codzienny, który przychodzi do nas wraz z hukiem wystrzałów czy błyskiem światła na nożu przeciwnika. To było obezwładniające przerażenie podobne do pełnącej wzdłuż kręgosłupa fali mrozu: Lidia Zosimowna spodziewała się, że mogę wyładować w katowni bezpieki. I powiedzieć więcej, niż powinienem...

– Jak myślicie, kto wydał rozkaz zamordowania Swiety? – spytałem nieswoim, ochrypłym głosem.

– Myślę, że nigdy się tego nie dowiemy. – Wzruszyła ramionami. – To mógł być ktokolwiek: nieboszczyk generał Parfimow, Beria, Abakumow, a nawet sam Stalin.

– Stalin?!

– Oczywiście. Może nie wprost, ale wystarczyła jakaś uwaga na temat Wołkowa i tego, że *wojennąj razwiedka* jeszcze go nie schwytała. I Beria, i Abakumow uznaliby to za rozkaz, a zarazem świetną okazję do utarcia nosa GRU. Stalin od lat rozgrywa przeciwko sobie ludzi i całe resorty. Dzięki temu jeszcze rządzi, dzięki temu jeszcze żyje...

– Jeśli tak, to po czorta zrobił z tego aferę? Nie lepiej było załatwić sprawę po cichu?

– Razumowski, Razumowski... Wołkow jest poważnym zagrożeniem nawet dla genseka, a Stalin świetnie zna możliwości bezpieki. Złapać Wołkowa to nie to samo, co wyprawić do łagrów kolejny milion nieprawomyślnych... Zrozum, on wygra w każdym wypadku. Jeśli dowiedziesz winy Abakumowa czy Berii, będzie miał na nich haka. Jeżeli zawalisz misję, rzuci cię im na pożarcie, dając tym samym fory bezpiece w starciu z *wojennoj razwiedkoj*. Wreszcie, to tylko przypuszczenie, może rzeczywiście cała inicjatywa wyszła z MGB?

– No tak, nawet jeśli to gensek zasugerował, żeby wykorzystać Świętę w rozgrywce z Wołkowem, nikt nie ośmielił się powiedzieć tego wprost, niezależnie od efektów śledztwa – dorzuciłem z goryczą.

– Witamy w realnym świecie – odparła z ironią Lidia Zosimowna.

– Co mi radzicie?

– Musisz znaleźć coś, co Stalin mógłby wykorzystać przeciwko Abakumowowi lub Berii. Albo obu razem. Dowód ich niekompetencji. Tylko wtedy przeżyjesz.

– Jeśli Wołkow jest taki genialny i naprawdę chce się zemścić na Stalinie, to dlaczego go ostrzegł? Wiecie, w tym liście. Teraz ochrona genseka wprowadzi takie środki bezpieczeństwa, że nie będzie miał najmniejszej szansy nie to, żeby zabić Stalina, ale podejść na odległość bliższą niż kilometr...

– Być może, choć nie przesądzałabym sprawy. Wołkow to nie tylko znakomity taktyk, ale i genialny strateg.

– To nie ma żadnego znaczenia, nie w tej sytuacji. Obecnie Stalin jest nietykalny.

– To ty tak sądzisz.

– Wiecie coś na temat...

– Niczego nie wiem – przerwała mi Lidia Zosimowna. – Tyle że znam Wołkowa. Stalin gra w szachy, Wołkow preferuje go.

– Co takiego?!

– Go. To taka gra. Trójwymiarowa w porównaniu z dwuwymiarowymi szachami. Szachista nigdy nie pokona mistrza go. A ty nawet nie grasz w szachy. Więcej pokory, Razumowski! Nie jesteś w stanie przecenić Wołkowa, możesz go tylko nie docenić.

Gdybym była hazardzistką, postawiłabym wszystkie pieniądze, że Wołkow zabije Stalina. Nie wiem, jak, kiedy i gdzie, ale jestem tego pewna. Podobny los czeka Berię i Abakumowa. Żaden z nich nie umrze własną śmiercią...

Spojrzałem zaskoczony: w głosie Lidii Zosimowny zabrzmiała nuta głębokiej, nieskrywanej satysfakcji. Czyżby podpora wojskowego wywiadu, bicz na wrogów Związku Radzieckiego, chciała śmierci kierownictwa kraju? Niepodobieństwo. Z drugiej strony dlaczego nie? Może i ona, tak jak Wołkow, miała jakieś rachunki do wyrównania?

– Kim jest matka Swiety? – rzuciłem ostro.

– Nie mam pojęcia. Dwadzieścia lat temu Wołkow prowadził dość bujne życie towarzyskie. Ale nie sądzę, żebyś musiał się tym przejmować.

– Jak myślicie, dlaczego Stalin powiedział mi, że i ja jestem na liście Wołkowa? Z początku pomyślałem, że chce mnie zmotywować, ale przecież moje życie i tak jest w jego ręku. Moje i moich przyjaciół...

– Uważam, że to był test.

– Jaki, do licha, test?!

– Stalin to paranoik, wszędzie węszy spiski. Chciał zobaczyć twoją reakcję, może obawiał się, że jesteś w zмовie z Wołkowem? Gdybyś zareagował niedowierzaniem, pewnie uznałby, że widziałeś wcześniej oryginalną listę.

– Skąd mam wiedzieć, czy przeszedłem ten test?

– To akurat jest oczywiste: nadal żyjesz.

– Ciekawe, jak długo? – odburknąłem.

– Nie mam pojęcia, nie jestem wróżką. Wracając do rzeczy: masz jeszcze jakieś pytania? Bo czas mnie goni, za dwie godziny muszę być w archiwum.

Pokręciłem przecząco głową – uzyskałem wszystko, co chciałem. Inna sprawa, czy wystarczy tego, aby przeżyć? Cóż, przekonamy się...



Gmach dawnego towarzystwa ubezpieczeniowego „Rossija” emanował dyskretną przedrewolucyjną elegancją, przytłumioną nieco przez rozpoczętą tuż przed wojną przebudowę. Jednak mało kto z wizytujących budynek zwracał uwagę na jego wygląd, teraz mieściła się tu siedziba budzącego grozę Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, następcy NKWD.

Pierwszy raz w życiu wizytowałem Łubiankę z własnej woli: przyszedł czas na spłatę długu. Jedyнным bagażem, jaki miałem przy sobie, była cieniutka tekturowa teczka z aktami sprawy niejakiej Wiery Gurin, córki pierwszego sekretarza kijowskiej

organizacji partyjnej...

Wartownicy sprawdzili moje dokumenty, musiałem też oddać broń, ale nie odniosłem wrażenia, aby starali się w jakiś szczególny sposób mnie szykanować. Dziw nad dziwy w tym akurat miejscu: bezpieczeniacy nadal uważali wywiad wojskowy za głównego konkurenta.

– Proszę zgłosić się do majora Sawczenki, gabinet sto trzydzieści siedem, pierwsze piętro – rzucił lakonicznie młody, liczący sobie niewiele ponad dwadzieścia lat porucznik.

Najwyraźniej moje przybycie zostało wcześniej zaanonsowane przez Dato. Ruszając w stronę schodów, widziałem, jak oficer podnosi słuchawkę telefonu. Mimo że nie przyszedłem tu w swojej sprawie, dłoń odruchowo powędrowała do kabury, niestety, aktualnie pustej kabury... Cholera! Inna sprawa, że nawet z bronią nie czułbym się tu bezpiecznie. Być może, sytuację zmieniałaby kompania żołnierzy *wojennej rozwiadki*...

Sawczenko wyglądał bardziej na profesora uniwersytetu niż czekistę. Rozumna w wyrazie twarz, wysokie czoło i okulary nie bardzo pasowały do wizerunku jednego z ludzi o „czystych rękach i gorących sercach”. Niemniej jednak wrażenie mogło być mylące – aby osiągnąć stopień majora, potrzeba przynajmniej kilkunastu lat, facet musiał rozpocząć swoją karierę w NKWD, a tam nie przyjmowali roztargnionych intelektualistów.

– Uprzedzono mnie o waszym przybyciu, pułkownik Razumowski – oznajmił bez żadnego wstępu. – Postaram się wam pomóc. W miarę możliwości, rzecz jasna.

No proszę, widać dzisiaj dzień cudów: życzliwy czekista... Nie przejąłem się specjalnie faktem, że bezpieczeniak zna mój wojskowy stopień, zdawałem sobie sprawę, że instytucja, którą reprezentuje, musi mieć grubą teczkę na mój temat.

– Chciałbym porozmawiać z aresztantką – poprosiłem.

– Obawiam się, że to akurat będzie niemożliwe – odparł major. – Nie zrozumcie mnie źle – dorzucił szybko na widok mojej miny. – Mogę was do niej zaprowadzić, jednak Wiera Gurin znajduje się w stanie wykluczającym jakiegokolwiek przesłuchanie...

– Nie rozumiem...

– Koma – odparł lakonicznie. – Dziewczyna znajduje się w śpiączce. I to nie my jesteśmy temu winni.

– Co się stało? – wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

Sytuacja i bez tego była skomplikowana, żeby nie powiedzieć – beznadziejna. Zabójstwo partyjnego bonzy to nie kradzież worka kartofli. Jeśli nie dam rady porozmawiać z dziewczuchą, i tak niewielka szansa, żeby ją stąd wyciągnąć, spadnie do zera.

– Wezwani na miejsce wypadku milicjanci stłukli ją do nieprzytomności –

wyjaśnił. – Zanim trafiła do nas, jej stan się jeszcze pogorszył. Od dwóch miesięcy nie ma z nią kontaktu.

– Gdzie ją trzymacie?

– Jak to gdzie? W szpitalu.

Zmarszczyłem z namysłem brwi, coś tu było nie tak: bezpieka to nie organizacja charytatywna, a szpital na Łubiance cieszył się dobrą opinią. No i nic dziwnego, trafiali tu więźniowie na tyle ważni, że ich śmierć mogła pomieszać plany Berii czy samego Stalina. Inna rzecz, że nie było czego zazdrościć wyleczonym pacjentom – ci wracali do swoich cel i kolejnej rundy przesłuchań...

– Drugi miesiąc?!

– Jeśli będzie trzeba, poleży tu i rok – odparł twardo Sawczenko.

No, no, czyżby ludzie zainteresowani losem Wiery Gurin mieli wpływy i na Łubiance? Warto zapamiętać.

– Chciałbym ją zobaczyć – powiedziałem. – Mimo wszystko.

– W takim razie proszę za mną.

Przeszliśmy na parter, gdzie potężna żelazna krata odgradzała szpital od reszty budynku. Zastanawiające, że pilnujący wejścia wartownicy nie poprosili mojego towarzysza o dokumenty. Widać był tu częstym i dobrze znanym gościem. Ciekawe...

Wiera Gurin leżała w luksusowo urządzonej izolatce. Poznałem ją od razu, mimo że głowę miała obwiązana bandażem, a ostatni raz widzieliśmy się dwa lata temu we Wrocławiu. Święta – Wiera z Odessy. Pamiętałem dobrze, że któraś z jej koleżanek raz przedstawiła ją jako Wierę, drugi jako Świętę. Wówczas nie zwróciłem na to uwagi – miałem ważniejsze sprawy – teraz wypadało się zastanowić: dlaczego? Czyżby uratowane przeze mnie robotnice przymusowe obawiały się ujawnienia jej prawdziwej tożsamości? Tylko z jakiego powodu? Bo przecież udowodniłem im, że mogą na mnie polegać. A może chodziło o stanowisko jej ojca? Wieść, że jego córka pracowała – niechby i niedobrowolnie! – na rzecz Trzeciej Rzeszy, pewnie nie pomogłaby mu w karierze. Dlaczego jednak dziewczucha powiedziała mi, że jest z Odessy, skoro jej ojciec żył w Kijowie? Bo raczej nie chodziło o zmyłkę, zawsze mogła mnie poprosić o podrzucenie do jakiejś podkijowskiej wioski. A odwiozłem ją do Odessy. Dziwne to wszystko...

– Wiecie, po co tu jestem? – upewniłem się.

– Wiem.

– Teczka personalna, którą otrzymałem z waszego resortu, nie jest specjalnie imponująca. Podejrzewam, że w życiorysie Wiery są spore luki. Moglibyście mi pomóc w ich uzupełnieniu?

– Oczywiście – odparł natychmiast i, jak się zdawało, z ulgą. – Znam ją od dziecka, jestem... byłem – poprawił się szybko – kolegą szkolnym jej matki.

– A co się z nią stało? Chyba Wiera jej nie...

- Nie! Skąd! – przerwał mi gwałtownie. – Łara, Łarisa... zmarła w czasie okupacji.
- Zmarła z przyczyn naturalnych? – drążyłem.
- Niezupełnie – wymruczał, spuszcżając głowę. – Znależiono ją powieszoną...
- Samobójstwo? – Zmarszczyłem brwi.

W całej sprawie było trochę za dużo przypadków: najpierw matka, później ojciec, teraz Wiera. A czułem, że i Sawczenko nie mówi mi wszystkiego. Nie żeby kłamał, co to, to nie! Ale czegoś wyraźnie nie dopowiadał.

– Trudno powiedzieć – odparł bezradnie. – Nigdy bym nie pomyślał, że Łarisa odbierze sobie życie, bardzo kochała Wierę. Z drugiej strony oboje z mężem działali w konspiracji. Kilkakrotnie tylko cudem uniknęli aresztowania. Być może, nie wytrzymała napięcia, życia w ciągłym strachu...

– Rozumiem, że to wszystko miało miejsce w Kijowie?

– Tak.

– Wiera mieszkała z rodzicami?

– Nie, studiowała w Odessie. Nie udało jej się uciec przed Niemcami, później wpadła podczas łapanki i skierowano ją na roboty przymusowe.

Zatem Wiera mnie nie oszukała, rzeczywiście mieszkała w Odessie. Tylko dlaczego nie zajechała najpierw do Kijowa? Nawet jeśli miała zamiar kontynuować studia, wypadaloby przecież zobaczyć się z ojcem. Chyba że nie chciała go widzieć...

– Rozumiecie, że jestem ostatnią szansą dla Wiery?

Sawczenko przytaknął bez słowa.

– To może powiecie mi to wreszcie?

– Co takiego?

– To, co przemilczeliście. Jeśli mam jej pomóc, muszę wiedzieć wszystko. Dosłownie wszystko!

– Ja...

– Sawczenko! – warknąłem zniecierpliwiony.

– No dobrze, już dobrze... To raczej nie ma żadnego związku ze sprawą, ale skoro nalegacie. – Wzruszył ramionami.

– Słucham.

– Łara nie kochała Witalija. Męża – dodał wyjaśniająco. – Gdyby nie wojna, rozwiodłaby się z nim. Chciała wyjechać do córki, do Odessy.

– Wiecie, o co się poróżnili?

– Nie – stwierdził zdecydowanie.

– Czy Wiera mogła mieć mu to za złe do tego stopnia, że...

– Wykluczone! Po pierwsze oni już przed wojną żyli osobno i Wiera o tym wiedziała. Po drugie, tak jak powiedziałem, nie wiem, o co poszło, ale nie było to nic drastycznego. Odniosłem wrażenie, że Łarisa po prostu rozczarowała się mężem. Postępowanie Witalija nie wywoływało w niej żadnych gwałtownych uczuć, raczej

coś w rodzaju umiarkowanej pogardy.

– Zdrada?

Sawczenko spojrział na mnie z niesmakiem i westchnął cierpiętniczo.

– Być może – odpowiedział niechętnie. – Ale chyba nie o to chodziło. No a przynajmniej nie tylko o to.

– Czy Łarisa przed śmiercią kontaktowała się z córką?

– A to w jaki sposób? Łara zmarła pod koniec czterdziestego trzeciego, tuż przed odbiciem Kijowa, Wiera w tym czasie była gdzieś w głębi Rzeszy. Choć teoretycznie rzecz biorąc, Łarisa mogła wysłać list na adres córki w Odessie albo przekazać informację przez znajomych. Być może coś z tego dotarło do Wieri, kiedy wróciła z Niemiec.

– No dobrze, co Wiera miała przy sobie, gdy ją aresztowano?

– Nic szczególnego, tylko torebkę z rzeczami, jakie kobiety przeważnie w niej noszą. No i broń...

– Przyjechała do ojca, prawda?

– Na to wygląda.

– I co, nie miała żadnych ubrań na zmianę?

– Nie – odparł ponuro Sawczenko.

– Znaczący nie zamierzała zatrzymać się w Kijowie, przyjechała tylko zabić ojca...

– Razumowski!

– To akurat nie ulega wątpliwości, przecież to zrobiła – przypomniałem.

– Może się broniła?

– Przed własnym ojcem? Bzdura!

– Wiecie, zdarzają się różne sytuacje... – wymamrotał.

– Pewnie tak, choć to bardzo mało prawdopodobne. Bo jeśli Witalij prześladowałby córkę, prześladował w taki sposób, jaki macie na myśli, żona żywiłaby do niego chyba coś więcej niż umiarkowaną pogardę?

– Łara nigdy by na to nie pozwoliła – przyznał. – Prędzej by go zabiła. A i on raczej nie miał takich skłonności. Po prostu czepiam się brzytwy. Jednak trudno mi uwierzyć, że Wiera ot tak go zastrzeliła.

– Nie „ot tak”, władowała w niego cały magazynek – zauważyłem. – Przestała strzelać, dopiero kiedy skończyły jej się naboje. Żeby zrobić coś takiego, trzeba nienawidzić.

– Kiedy ona nie miała powodów do nienawiści. Nie widziała ojca trzy lata!

– Może miała mu za złe śmierć matki?

– Wątpię, Witalij nie miał z tym zdarzeniem nic wspólnego, w tym czasie był na naradzie kijowskiego podziemia. Sprawdzalem tę hipotezę i potwierdzają to zeznania świadków, w tym i takich, którzy niespecjalnie go lubili.

– Może źle traktował żonę i Wiera się o tym dowiedziała?

Sawczenko pokręcił przecząco głową.

– On był typem kombinatora, ale nie tyrana. Zresztą Łara nie pozwoliłaby sobą pomiatać.

– Niech będzie, lecz nie mówimy o faktach, ale o wyobrażeniach Wiery. Ona sporo przeszła tam, w Niemczech. Nie sądzicie, że mogła...? – zawiesiłem wymownie głos.

– Możliwe, lecz co to nam daje? – spytał gorzko Sawczenko. – Nie wytłumaczymy zabójstwa pierwszego sekretarza kijowskiej organizacji partyjnej załamaniem nerwowym. Nikogo to nie wzruszy, tak czy owak, Wierę rozstrzelają!

Odchrząknąłem niepewnie: co prawda w maju zniesiono karę śmierci, ale wątpiłem, czy taki stan potrwa dłużej niż dwa, trzy lata. Nie sądziłem też, aby warto było przypominać o tym Sawczence, wreszcie Wiera mogła zginąć i w czasie śledztwa, tak jak Swieta Wołkowa. O ile, rzecz jasna, wyjdzie z komy...

Cała sprawa budziła wiele wątpliwości, lecz nie miałem czasu ani możliwości, aby je teraz wyjaśniać – priorytetem było śledztwo w sprawie śmierci Swiety. No i powstrzymanie Wołkowa. Co prawda obiecałem Lidii Zosimownie, że go nie zabiję, ale – tak jak i on – miałem zamiar traktować przyrzeczenie dosłownie. Przecież nie musiałem kropnąć go osobiście... Jakimś szóstym zmysłem czułem, że Wołkow mimo wszystko stanowi dla mnie śmiertelne zagrożenie.

– Racja! – przyznałem. – To chyba wszystko, nie mam więcej pytań.

– I co, zostawicie tak tę sprawę? – spytał z pretensją w głosie. – Bo rozumiem, że nie przyszła wam do głowy żadna genialna idea?

– Nie jestem cudotwórcą! – odburknąłem ze złością. – Gdyby ta mała idiotka miała choć na tyle rozumu, żeby wykończyć tatusia w mniej ostentacyjny sposób, bez świadków, pewnie niejedno dałoby się zrobić. Ale tak? Ona nawet nie próbowała uciekać, po prostu stała nad trupem i czekała, aż po nią przyjdą! W Breslau zrobiła na mnie wrażenie rozsądniejszej, najwyraźniej powrót do kraju nie wyszedł dziewczynie na dobre.

– Nie nazywajcie Wiery idiotką! I co za Breslau? Znacie ją?

– Spotkaliśmy się we Wrocławiu w czterdziestym piątym – odparłem niechętnie. – Można powiedzieć, że już raz uratowałem jej życie.

– Nie rozumiem. Służyliście w armii Głuzdowskiego?

– Nie musicie rozumieć – uciałem. – Teraz i tak nie ma to żadnego znaczenia.

– Więc rezygnujecie?

– Jeszcze nie, choć sytuacja nie wygląda najlepiej. Chciałbym obejrzeć rzeczy Wiery.

– Poczekajcie tu – rzucił. – Nie ma sensu, żebyście chodzili ze mną do magazynu, i tak was tam nie wpuszczą.

Nie miałem nic przeciwko, zwiedzanie Łubianki nie wchodziło w moje plany...

Kiedy zostałem sam, podszedłem do łóżka i ściągnąłem z dziewczyny kołdrę.

Ubrano ją w krótką, odsłaniającą kolana i przedramiona koszulkę, zapewne miało to ułatwić zadanie personelowi. Ostrożnie przewróciłem Wierę na bok: ani śladu odleżyn, skóra dobrze ukrwiona. Znaczą ktoś o nią dba, naprawdę dba. Swego czasu przekonałem się, jak trudno utrzymać w takim stanie pacjenta, który nie może się ruszać.

Odgłos kroków uprzedził mnie o nadejściu Sawczenki, kiedy ten wszedł do izolatki, stałem już przy oknie.

– Proszę. – Podał mi niewielką damską torebkę.

– A ubrania?

– Tam nic nie ma – zapewnił. – Sprawdziliśmy każdy centymetr, rozpruliśmy szwy.

Otworzyłem torebkę: puder, szminka, buteleczka perfum Krasnaja Moskwa, szczotka do włosów, portmonetka z odrobiną bilonu, klucze i notes. Nic szczególnego, nic nadzwyczajnego.

– Kartki są niezapisane, sprawdzałem – uprzedził Sawczenko, widząc, że otwieram notes.

Rzeczywiście, żadnych notatek czy rysunków. Tylko pierwsza strona została wyrwana.

– Daliście to do laboratorium?

– Po cholere? Tam nic nie ma. Myślicie, że użyła atramentu sympatycznego? – dodał z ironią.

Westchnąłem w duchu – nie pierwszy raz przekonywałem się, że wygląd bywa mylący. Sawczenko może i sprawiał wrażenie intelektualisty, jednak nie wyróżniał się na tle innych czekistów...

Obejrzałem kartkę pod światło, wydało mi się, że coś dostrzegam.

– Trzeba to zbadać – oświadczyłem.

– Niemożliwe! Nie mogę wam dać notesu, to dowód rzeczowy. A nasze laboratorium też go nie przyjmie, bo dochodzenie oficjalnie zamknięto. Może udałoby mi się za miesiąc czy dwa...

Przerwałem Sawczence stanowczym gestem.

– Nie możecie dziewczyny chronić w nieskończoność. Za miesiąc może być za późno.

– Ale...

– Jeden dzień – poprosiłem. – Dajcie mi tylko jeden dzień.

Sawczenko nerwowo potarł skronie, widziałem, że nadzieja walczy w nim z poczuciem obowiązku.

– W porządku! – powiedział wreszcie. – Ale pamiętajcie! Jeden dzień!



Nacisnąłem klamkę: laboratorium było zamknięte. Jak pech, to pech. Pół biedy, jeśli Katia gdzieś wyszła, gorzej, jeśli wysłano ją do jakiejś podmoskiewskiej wiochy. Zanim wróci, zanim zbada notes... Szlag! No nic, tak czy owak, trzeba sprawdzić, dlaczego nie ma jej w pracy.

Zaczepiłem na korytarzu kilka osób, żadna nie miała pojęcia, co dzieje się z panną Romanienko. Cóż, przyjdzie mi odwiedzić wydział kadr.

Major Panina była tak samo zasuszona i kostyczna jak dawniej, kancelistki równie sympatyczne. Brakowało tylko Archipowa – Poliakov wywalił go na zbity pysk...

– Katia? – spytała z udanym zdziwieniem Panina. – Czy to aby nie twoja dziewczyna? Sam powinieneś wiedzieć, gdzie jest.

– Ariadno Pawłowna – odparłem z wyrzutem – gdybym wiedział, nie zawracałbym wam głowy.

Mimo że od czasu ostatniej popijawy byliśmy po imieniu, wolałem nie nadużywać tego przywileju. Są kobiety, z którymi lepiej się nie spoufalać, Ariadna Pawłowna była jedną z nich.

– Katia zawiadomiła, że jest chora. Przez telefon. Trochę to dziwne, bo pracuje u nas już trzy lata i przez ten czas ani razu nie chorowała. Może to coś poważnego? – dodała z odcieniem niepokoju w głosie.

– Sprawdzę – obiecałem.

– Jakby co, dzwoń – poleciła.

– Tak jest! – Zamarkowałem salut.

Dziewczęta zachichotały, a Panina pogroziła mi pięścią, po czym opuściła wzrok na zawalone papierami biurko, dając do zrozumienia, że audyencja zakończona. Wymknąłem się, cicho zamykając za sobą drzwi, z doświadczenia wiedziałem, że lepiej żyć w zgodzie z kadrowcami...

Katia mieszkała jakieś pół godziny drogi od MUR-u, ale znana mi skądinąd czternastka zatrzymywała się niedaleko jej domu. Postanowiłem przejechać się tramwajem i przy okazji sprawdzić, czy Cichy dotrzymuje słowa. Co prawda już od dłuższego czasu pasażerowie czternastki nie składali żadnych skarg, ale co mi szkodzi się upewnić?

Kupiłem bilet u młodej, sympatycznej dziewczyny ze znaczkiem Komsomołu w klapie, stanąłem tuż przy stanowisku motorniczego, tak aby mieć na widoku wszystkich pasażerów. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, żadnych porozumiewawczych gestów czy spojrzeń, żadnych ukradkowych ruchów. Znaczący Cichy nie próbował mnie wykiwać. No i dobrze: w razie czego musiałbym

zareagować, a nie miałem ochoty na szukanie kolejnego *wora w zakonie*, który zarządzałby podziemnym światem Arbatu...

Wysiadłem na przystanku usytuowanym tuż obok kina, przeszedłem przez ulicę; Katia mieszkała na pierwszym piętrze okazałej, dziewiętnastowiecznej kamienicy ozdobionej figurą Fortuny dzierżącej w dłoniach koło symbolizujące zmienność losu. Słyszałem, że nie zniszczono jej po rewolucji, bo partyjni decydenci doszli do wniosku, iż skąpo ubrana bogini to proletariuszka pracująca w branży transportowej...

Wcisnąłem elektryczny dzwonek, odpowiedziała mi cisza. Może Katia śpi? Trudno, będę musiał ją obudzić. Nie znałem nikogo innego, kto mógłby zbadać notes Wiery Gurin. A czas naglił.

Zapukałem energicznie, po chwili użyłem pięści. Tym razem usłyszałem jakiś szmer, jakby ktoś na bosaka podszedł do drzwi. Kolejny dźwięk nie budził żadnych wątpliwości – to był szczęk odwodzonego kurka. Strzelba! Błyskawicznie uskokczyłem pod ścianę.

– Katia, to ja! – zawołałem.

Z mieszkania doszło mnie ni to ciche westchnienie, ni to stłumiony płacz. Ki czort?

– Otwórz!

I znowu cisza. Po chwili trzasnęły drzwi. Znaczą Katia, czy ktokolwiek to był, odeszła w głąb mieszkania. Ech, chuj by to strzelił! I co mam teraz robić? Wywalić drzwi? Toż zaalarmuję wszystkich sąsiadów, nie mówiąc o tym, że dziewczucha może poczęstować mnie kaczym śrutem.

Po krótkim namyśle wyszedłem na ulicę, niedaleko znajdowała się budka telefoniczna. Przynajmniej tyle dobrego: szczęście w nieszczęściu... Wrzuciłem piętnastokopiejkową monetę, wykręciłem numer Tichonowa.

– Słucham! – odezwał się szorstki męski głos.

– Razumowski do Cichego – zaanonsowałem się lakonicznie.

– O co chodzi? – Stary złodziej nie silił się na uprzejmości.

– Potrzebuję fachowca, który poradzi sobie z zamkniętymi drzwiami. Czekam na Perejasławskiej przy budce telefonicznej.

– Na teraz?

– Albo jeszcze szybciej – odparłem ponuro.

– To coś ważnego?

– Owszem, sprawa osobista. I niech to będzie ktoś, kto potrafi trzymać język za zębami.

– Ślusarz przyjedzie za dwadzieścia minut, wcześniej nie da rady.

– Rozumiem. I dziękuję – dodałem po namyśle.

Nie ulegało wątpliwości, że Cichy z sobie tylko wiadomych powodów postanowił wyświadczyć mi przysługę. Nasza umowa była niewiele więcej niż rozgraniczeniem stref wpływów. I choć przy ostatnim spotkaniu zademonstrowałem mu, kto tu rządzi,

nie byłem idiotą: nie uśmiechało mi się zadzieranie z bandyckim półświatkiem. Czego jak czego, ale wrogów mi nie brakowało... Tym bardziej że Cichy w odróżnieniu od takiego Miszki mógł liczyć na wsparcie *blatnych*, a kto wie czy i nie innych *worow w zakonie*.

Czas dłużył mi się niemiłosiernie, co chwila spoglądałem na zegarek. Przez moment zastanawiałem się, czy nie lepiej jednak wyważyć drzwi, w końcu sąsiadów dałoby się jakoś uspokoić, a i z Katią pewnie bym sobie poradził, ale kto zbada mi notes, jeśli dziewczyna wpadnie w histerię albo się na mnie obrazi? Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy...

Dokładnie po dwudziestu pięciu minutach przed budką telefoniczną zatrzymała się obdrapana pobieda i z wozu wysiadł sam Cichy. A ten tu na cholere? Myślałem, że przyśle jednego ze swoich włamywaczy.

– Co tu robisz? – spytałem nieprzyjaźnie. – Gdzie ten fachowiec od zamków?

– Właśnie go widzisz – odparł z ironią. – Raczej już nie praktykuję, ale jak to mówią: talentu nie przepijesz. Prosiłeś o dyskrecję, więc pofatygowałem się osobiście. To coś skomplikowanego?

– Nie, zwykłe drzwi. Tędy – dodałem, kierując się w stronę kamienicy.

– Trzeba to zrobić dyskretnie?

– Skąd! W razie czego mogę się wylegitymować. Właścicielka mieszkania nie przyszła dziś do pracy i nie otwiera drzwi. A jest mi potrzebna na wczoraj. Aha, jeszcze jedno: ma broń i niewykluczone, że spróbuje jej użyć.

– Wystraszyłeś ją?

– Nie ja! – warknąłem. – A teraz bierz się do roboty!

– No, no – mruknął Tichonow, przyglądając się zamkom.

– Co znowu?!

– Nie wiem, czego lub kogo boi się twoja znajoma, ale jedno jest pewne: to jakaś stara historia. Zamontowano je kilka lat temu, dwa z nich są zagraniczne. Yale to solidna firma, ale u nas takich nie dostaniesz. Musiała je sprowadzić.

– I co teraz? Dasz radę je otworzyć?

Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że drzwi Katii zabezpieczone były trzema solidnie wyglądającymi zamkami.

– Dam – zapewnił, wyjmując z kieszeni pęk dziwnie wyglądających narzędzi. – To jednak potrwa. Jeden zamek to ręczna robota z dziewiętnastego wieku, wątpię, czy w kraju znalazłoby się więcej niż dziesięć osób, które potrafią go otworzyć. Dwa pozostałe to zamki Yale, jak już mówiłem. Najwyższa jakość – dodał z zadowoleniem.

Odszedłem na bok i zapaliłem papierosa, nie chcąc słuchać pełnych satysfakcji pomruków starego złodzieja. Ten najwyraźniej przypomniawszy sobie dawne czasy i świetnie się bawił...

– Gotowe – oznajmił wreszcie. – Teraz twoja kolej.

Uchyliłem drzwi i wśliznąłem się do mieszkania Katii. Przez moment zastanawiałem się, czy nie wyjąć broni, ostatecznie zrezygnowałem z tego pomysłu. Lepiej nie ryzykować – dziewczyna była mi potrzebna żywa. A jak zaczną strzelać i zadziałają odruchy...?

Poruszałem się bezszelestnie, moje kroki tłumił gruby dywan, mimo to Katia musiała coś usłyszeć, bo nagle pojawiła się w drzwiach z wycelowaną we mnie dubeltówką starego typu.

– Ani kroku dalej! – krzyknęła dziko.

Zatrzymałem się, odruchowo uniosłem ręce. Ku mojemu zdziwieniu w mieszkaniu pojawił się i Cichy.

– Kim jest ten facet z tobą?!

– To złodziej! – odburknąłem ze złością. – Sam nie dałbym rady otworzyć drzwi, a nie chciałem ich wyważać. Bałem się, że coś ci się stało, zasłabłaś albo co. W kadrach powiedzieli, że jesteś chora.

Zdawało się, że wzmianka o zasłabnięciu nieco uspokoiła Katię. Dziewczyna zniżyła lufę strzelby, choć nadal trzymała palec na spuście. Nie żeby mnie to podniosło na duchu: wcześniej celowała w serce, teraz w okolice podbrzusza...

– Opuść ręce – szepnął mi Tichonow. – Ona nie boi się twojej broni, boi się ciebie jako mężczyzny. Widziałem już takie przypadki.

Obrzuciłem go zdziwionym spojrzeniem, ale usłuchałem. Katia nie zareagowała. Cholera, a jeśli to prawda? Tylko co mogło wywołać taki atak paniki?

– Nie musisz się mnie bać – powiedziałem głośno. – Wiesz, że nie zrobiłbym ci krzywdy. Nie mógłbym zrobić ci krzywdy – zaakcentowałem.

Na twarzy Katii pojawił się błysk zrozumienia i dziewczyna odłożyła broń. Po chwili szłochała już w moich ramionach.

– Co się stało? – spytałem łagodnie.

– Mój kuzyn...

– Tak?

– Jest w Moskwie. Z kumplami.

– Nie rozumiem? No i co z tego?

– Przyszedł do mnie, do laboratorium. Powiedział, że mnie odwiedzą. Zanim przyjechałam do Moskwy... Kiedyś zwabił mnie do starej szopy, a tam już czekali na mnie...

– Rozumiem.

– Bydlaki! – wycedził stary złodziej z obrzydzeniem. – Trzeba im udzielić lekcji.

Uniosłem ze zdziwieniem brwi: a jemu co do tego?

– On jest sekretarzem rejonowego...

Przerwałem Katii, kładąc palec na ustach.

– Przede wszystkim jest kretyńcem – powiedziałem. – Zdajesz sobie sprawę, że

gdybyś poskarżyła się komuś ze starszych oficerów, facet nie wyszedłby żywy z Pietrowki? Nie jesteś już sama, Katia! Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego tak niewielu zabójców milicjantów jest w stanie doczekać procesu? To przesłanie pod adresem bandziorów: naszych się nie rusza! Nie bezkarnie. No nic, mniejsza z tym. Jak on się nazywa?

– Iwan Zadarin.

– Zatrzymał się w hotelu?

– Tak, nie wiem w jakim. Ja...

– Spokojnie, zajmę się wszystkim.

– Obiecuj mi, że go nie zabijesz – poprosiła.

Westchnąłem ciężko: kobiety...

– No dobrze – mruknąłem. – Obiecuję. A teraz wracaj do laboratorium i zajmij się czymś pożytecznym.

– Ale...

– Odwiozę cię do MUR-u i przywiozę z powrotem – przerwałem jej bezceremonialnie. – Ubieraj się!

Katia skinęła posłusznie głową i pomaszerowała do łazienki. No i dobrze, jedna sprawa z głowy. Pozostaje tylko porozmawiać z Wańką i poprosić grzecznie, żeby nie denerwował więcej kuzynki...

– Co masz zamiar zrobić z tymi gnojkami? – zainteresował się Cichy.

– Bo ja wiem? Zastanowię się – odparłem niechętnie. – Skoro mam ich pozostawić przy życiu...

– Gdybyś wsadził ich do pierdła, mógłbym się tym zająć – zaproponowałem.

– A to z jakiej racji?

– Wiesz, warto, żebyś od czasu do czasu pogadał z tą swoją przyjaciółką – zauważył z irytacją. – Mogłaby ci wyjaśnić pewne kwestie.

– Z Nataszą?

– Owszem. Jestem *worem w zakonie* i jako taki mam obowiązek karać każdego, kto nie stosuje się do złodziejskich zasad. Na przykład gwałcicieli. *Wor*, który tego nie robi, sam podlega karze.

– Znaczy jak? Wszystkich i wszędzie?

– Nie, w zasadzie tylko na swoim terenie.

– Ale oni nie są z Arbatu, pewnie nawet tu nie mieszkają!

– To nie ma znaczenia: *schodniak* zrobił mnie *smotriaszczim* Moskwy, teraz całe miasto to mój teren.

No tak, już wiem, skąd ta nagła chęć pomocy: Cichy chciał za moim pośrednictwem dogadać się z Poliakovem... Z drugiej strony dlaczego nie? Facet dowiódł, że nie rzuca słów na wiatr, lepiej mieć do czynienia z nim niż jakimś wariatem typu Miszki Czorta.

– Ostateczną decyzję podejmie Poliakov – uprzedziłem.
– To oczywiste – wzruszył ramionami Tichonow. – A co ty o tym sądzisz?
– Nie mam nic przeciwko. Możesz liczyć na moją... rekomendację. Choć nie wiem, czy będzie coś warta – zaznaczyłem. – Nie mieszam się do interesów Poliakowa.

Złodziej podziękował skinieniem głowy.

– Wracając do sprawy...

– Tak?

– Aresztuj ich na dzień czy dwa. Ja zajmę się resztą.

– Jesteś pewien, że dasz radę? To jakieś miejscowe gwiazdy: mają pieniądze, układy i gwarancję bezkarności. Tę ostatnią pewnie tylko u siebie, na prowincji, ale tak czy owak, nie chciałbym, żeby się otrząsnęli i zemścili na Katii. A obiecałem, że przeżyją...

– Nie otrząsną się – zaręczył Cichy. – I szybko przestaną być gwiazdami. Gwarantuję.

Przez jego twarz przewinął się zimny, bezlitosny uśmiech. Niewiele wiedziałem o złodziejskim półświatku, ale z tego, co powiedział mi kiedyś Poliakov, wynikało, że słowo *wora w zakonie* ma swoją wagę. Cóż, podejrzewałem, że nie ma czego zazdrościć towarzyszowi Zadarinowi i jego kumplom...

– To co, idziemy? – spytała Katia.

Dziewczyna przebrała się i zrobiła makijaż, gruba warstwa pudru nie dodawała jej urody, za to skutecznie maskowała cienie pod oczyma i chorobliwą bladość skóry.

– Idziemy – potwierdziłem.



Szefa wydziału zabójstw znalazłem w stołówce, w sumie nic dziwnego, pora była obiadowa, a Maksimow lubił dobrze zjeść... Pan major dyskutował z Lizą i nieznanym mi kapitanem. Przysiadłem się bez słowa, gestem dałem znać, że chcę porozmawiać z Maksimowem sam na sam. I Liza, i kapitan posłusznie zmienili stolik.

– Co się stało? – Maksimow zmarszczył brwi.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziałem bez ogródek. – Dokończ najpierw obiad. To nieprzyjemna sprawa.

– Jakoś przeżyję – mruknął. – I tak powinienem mniej jeść. No, gadaj!

– Chodzi o Katię.

– Co z nią? Słyszałem, że zachorowała.

– Nie zachorowała, śmiertelnie się wystraszyła. Do Moskwy przyjechał jej kuzyn. Z kumplami. Parę lat temu ją zgwałcili, teraz obiecali powtórkę z rozrywki –

poinformowałem szorstko. – Mam pomysł, jak załatwić tę sprawę, ale muszę ich wsadzić do pierdła na parę dni. Problem w tym, że trzeba to zrobić tak, żeby nikt się później nie czepiał. Znacząco do powodu aresztowania. No i najlepiej, żeby to załatwił kto inny: jakby co, będę pierwszym podejrzanym.

Maksimow skinął głową, z namysłem przeżuł kawałek kotleta.

– Chcesz to załatwić w sposób... ostateczny? – spytał.

– Nie mogę, obiecałem Katii, że przeżyją – odparłem z westchnieniem.

– Kobiety... – rzucił markotnie Maksimow.

– Mnie też niezbyt się to podoba – przyznałem. – Tylko że ich jest czterech, czy może nawet pięciu. Trudno byłoby utłuc wszystkich i upozorować to na przypadek. Tym bardziej że to jakieś lokalne gwiazdy, aktywiści partyjni. Lepiej załatwić całą sprawę w białych rękawiczkach.

– Gdzie się zatrzymali?

– W jakimś hotelu. Zaraz podzwonię...

– Ja się tym zajmę – przerwał mi Maksimow. – Co do aresztowania: potrzebny będzie pretekst. Jeśli to takie koguty, najlepiej będzie podesłać im jakieś ładne dziewczyny, żeby ich podpuściły, a potem wywołały awanturę i wezwały milicję. Przy świadkach. Znam kilka prostytutek, tylko nie jestem pewien, czy to zadziała, bo dziewczuchy mają już swoje lata i ogólnie rzecz biorąc, nie wyglądają zbyt reprezentacyjnie...

– A tym to ja mogę się zająć. I co dalej?

– To w zasadzie wszystko. Wyślę pod hotel odpowiednio poinstruowany patrol i nasi przyjaciele w ciągu godziny znajdą się za kratkami. Zatrzymamy ich w celu wyjaśnienia okoliczności zajścia. Te panienki będą musiały złożyć zeznania – uprzedził.

– Złożą – zapewniłem.

– Nie wycofają się później?

– Nie.

Uśmiechnąłem się mimowolnie: jeszcze czego! Po tym, jak na ich oczach skrzyłem kark sutenerowi? Założę się, że do dzisiaj widzą tę scenę w sennych koszmarach...

– W takim razie do roboty! Kiedy tylko ustalę, gdzie się zameldowali, natychmiast do ciebie zadzwonię – oznajmił, wstając od stołu.

– Borys...

– Tak?

Maksimow zatrzymał się, zaalarmowany moim tonem.

– Jeśli ktokolwiek dowie się o Katii... – zawiesiłem znacząco głos.

– Nie dowie się – obiecał.



Gdy otworzyłem drzwi dawnej stajni, usłyszałem charakterystyczne pobrękiwanie. Znaczy poeta Bugrowski już ćwiczy...

Rozebrany do pasa chłopak stał w szerokim rozkroku, wymierzając w powietrze ciosy z regularnością metronomu. Metaliczny odgłos wydawały żelazne bransolety na przedramionach, każda z nich ważyła niemal ćwierć kilograma. Według Doskonałych taki trening wzmacniał siłę ciosu i uodparniał przedramiona na urazy. Kto wie, może to i prawda? Przez kilka pierwszych miesięcy musiałem chodzić w koszuli z długimi rękawami, aby zakryć siniaki. Nie ma co ukrywać, cała procedura była dość nieprzyjemna.

Cóż, i mnie nie zaszkodzi wypuścić trochę pary. Kiedy tylko Maksimow poinformował mnie, że kuzynek Katii wraz z koleżkami zameldowali się w hotelu „Moskwa”, natychmiast wysłałem tam kilka dziewcząt z burdelu na Twerskiej. Teraz pozostawało jedynie czekać...

Bugrowski zdjął bransolety i sięgnął po jeden z ziołowych specyfików. Zlany potem tors i poobijane bransoletami ramiona świadczyły, że chłopak się nie oszczędzał. Ciekawe, co go tak pcha do treningu? Nie lepiej by mu było pisać wiersze?

Rozebrałem się do podkoszulka, rozsmarowałem na kostkach pięści nieprzyjemnie pachnącą maź. Kiedyś zdarzyło mi się pominąć tę procedurę i przez dwa tygodnie musiałem leczyć popękana skórę. Teraz przestrzegałem co do joty wskazówek zawartych w „Żelaznej księdze”.

– *Komandir?* – odezwał się Bugrowski.

– Czego?

– Kiedy będę mógł ćwiczyć z workiem? Bo minęło już sześć tygodni...

Obrzuciłem go taksującym wzrokiem: wyglądał na zdeterminowanego. Teoretycznie rzecz biorąc, mógłby już rozpocząć trening utwardzania, tyle że w odróżnieniu ode mnie nie miał w sobie ani kropli krwi Doskonałych. A jeśli robi sobie krzywdę? Po cholere mi problemy z jego ojcem generałem? Z drugiej strony długo go nie powstrzymam, poeta Bugrowski wyglądał, jakby miał ochotę rozedrzeć kogoś na strzępy...

– Po czorta ci to wszystko? – westchnąłem. – Ćwiczysz, jakbyś miał zamiar wystartować w mistrzostwach świata.

– Bili was kiedyś na podwórku, *komandir?* – odpowiedział pytaniem.

– Niespecjalnie – przyznałem. – Co prawda był taki jeden dupek...

– Tak?

– Starszy ode mnie trzy lata, syn trenera boksu. Uwielbiał terroryzować słabszych, a ja nie byłem zbyt duży.

– I co?

– Pewnego razu zacząłem się na niego wieczorem. Miał wtedy może z szesnaście lat. Wiedziałem, że będzie pijany, bo tego dnia ukradł ojcu parę butelek wina.

– Daliście mu radę? – spytał z akcentem niedowierzania w głosie.

– To nie było nic trudnego. Ledwo trzymał się na nogach, a ja miałem klucz francuski. Duży klucz francuski... Stłukłem go tak, że przez tydzień nie wychodził z domu.

– Nie poskarżył się?

– Ależ poskarżył! Powiedział, że pobiło go kilku pijanych traktorzystów. Milicja szukała ich dobre parę miesięcy.

– Nie próbował się mścić?

– Skąd! Wiedział, że jak mi odpłaci pięknym za nadobne, to pójdzie siedzieć, a na to nie miał ochoty. Poza tym nie był w najlepszej kondycji.

– To znaczy?

– Coś mu tam połamałem – odparłem obojętnie. – Wiesz, wtedy jeszcze nie bardzo orientowałem się w anatomii: wytłukłem mu przednie zęby, złamałem rękę i parę żeber.

– Musiał być z was rozkoszny młodzieniec.

– Hej, kochały się we mnie dwie koleżanki z klasy!

– Ładne chociaż?

– Jedna niezbyt, za to miała rower...

Bugrowski parsknął śmiechem, po czym spojrzał na mnie prosząco.

– To jak z tym workiem?

– No dobrze – przyzwoliłem z rezygnacją. – Na razie weź ten najłżejszy.

– *Tak toczno!*



– Nie ma chleba! – poskarżył się Bugrowski, wychodząc z kuchni.

Owinąłem się szlafrokiem, starannie wytarłem głowę. Jak zwykle po treningu braliśmy u mnie prysznic, ostatnio poczęstowałem chłopaka kanapkami, najwyraźniej postanowił to potraktować jako nową świecką tradycję...

– Przysięgłbym, że jeszcze rano było pół bochenka – mruknąłem z roztargnieniem.

– Jesteś pewien, że nie wpadł ci w ręce?

– *Komandir!* – zaprotestował z oburzeniem.

– No dobra, pożyczę u sąsiadki.

Zgarnąłem klucze z komody w przedpokoju, wyszedłem na korytarz. Tak jak się spodziewałem, Nataszy nie było w domu, ale zamki pozostały te same co dawniej...

Na progu kuchni zatrzymałem się jak rażony gromem: na stole leżało pół bochenka chleba. Moje pół bochenka, zauważyłem ślad po krzywo uciętej kromce – wstałem dziś zbyt późno i przyszło mi spieszyć się ze śniadaniem.

Otworzyłem stary miedziany pojemnik. Wewnątrz znalazłem kilka czerstwych kromek. Co, do cholery?! Ludzie co prawda nadal głodowali – mimo kiepskich zbiorów władze zdecydowały się eksportować zboże, ale przecież nie dotyczyło to... Kurwa! Jak mogłem się nie domyślić?! Natasza nie mogła pracować, zabraniał tego kodeks *błatnych*, a najwyraźniej nie potrafiła też kraść jak oni. Dlatego brała ode mnie resztki chleba... Pieniądze nie stanowiły problemu – ostatnio miałem ich tyle, że nie wiedziałem, co z nimi robić, jednak zdawałem sobie sprawę, że Natasza nie przyjmie forsy ot tak. Ani nie naruszy sumy, jaką przekazałem jej na opłacenie opiekującej się Lońką baby. Chyba że dam jej robotę. Tylko jaką? Złodziejski kodeks nie pozwoli jej pracować jak „frajerzy”. To musiałyby być coś ekstra. Najlepiej nielegalnego, ale nieniosącego wielkiego ryzyka. Hmm...

– I co? – Bugrowski zajrzał przez otwarte drzwi. – Jest chleb? – zapytał z nadzieją.

– Nie ma. Skocz do sklepu, forsa jest w puszcze na stole – poleciłem.

Myślałem, że chłopak zaprotestuje: ojciec dawał mu hojne kieszonkowe i kupno bochenka chleba nie stanowiło dla niego problemu, jednak skinął tylko posłusznie głową i wrócił do mojego mieszkania. Po chwili usłyszałem, jak zbiega po schodach. Taaak, trzeba przyznać, że towarzysz Bugrowski jest chyba najbardziej inteligentny z moich podwładnych, brakuje mu jedynie doświadczenia. Jeśli przeżyje najbliższe dziesięć lat, nie będę musiał się wstydzić, że go uczyłem...

Wróciwszy do siebie, nastawiłem wodę na herbatę – przyda się, gdy wróci Bugrowski. Bo chłopak raczej nie zrezygnuje z kanapek... Mógłby trochę mniej zjeść, choć ostatnio jakby wysmukłał. Cóż, ćwiczenia Doskonałych były dość fatygujące. Postanowiłem, że wieczorem pogadam z Nataszą. Miałem już ogólną koncepcję, musiałem tylko dopracować szczegóły. Może czas zrobić użytek ze swoich... aktywów? Byłem dumnym posiadaczem burdelu i kasyna, lecz obie te instytucje działały na sposób *błatnych*, to znaczy przynosiły zysk, bazując na określonej klienteli: hazardzistach i niedopieczonych samcach. A gdyby tak połączyć je w jedno i zamienić w coś w rodzaju elitarnego klubu, jedynie dla wybranych? Jeśli dawne damy dwory dałyby radę ucywilizować nieco dziewczęta, można by pomyśleć o wejściu w wyższe sfery. Przy czym rzecz nie tylko w pieniądzech. Nie od dziś wiadomo, że mężczyźni za dużo mówią w towarzystwie pięknych kobiet. A gdyby do klubu zwabić partyjne kierownictwo... Tak, ten pomysł warty był rozważenia. No i przy okazji rozwiązałbym problemy mojej sąsiadki. Natasza mogłaby koordynować

całe przedsięwzięcie, rzecz jasna, nie za darmo...



Natasza w skupieniu wysłuchiwała mojej propozycji, po czym zaaprobowała ją bez najmniejszego sprzeciwu. Dziwne: żadnych pytań o detale czy choćby wynagrodzenie. Tak jakby zajmowały ją ważniejsze sprawy. Tyle że przecież nic nie robiła, stan jej finansów świadczył o tym wyraźnie.

– Jeszcze herbaty? – spytała, widząc, że opróżniłem filiżankę.

– Poproszę. Z konfiturami.

Skinęła głową i wyszła do kuchni.

– Słoik jest w szafce nad zlewem! – zawołałem.

Z czystego łakomstwa skubnąłem słodką bułeczkę, jedną z kilku, jakie kupił Bugrowski. Ciekawe, skąd je wziął? Żaden z okolicznych sklepów nie oferował tego typu wypieków. Wiedział, gadzina, że nie będę miał nic przeciwko małemu urozmaiceniu jadłospisu. Ten chłopak zaczynał mnie zastanawiać...

Natasza bez słowa postawiła przede mną herbatę, usiadła na brzeżku krzesła. Co ona taka nerwowa?

Dokończyłem bułeczkę, popijając aromatycznym naparem. Herbata była idealna – mocna, z lekko cierpkim posmakiem, nie za gorąca. Ot, co znaczy kobieca ręka!

Nie za gorąca... Jakim cudem, skoro Natasza przed chwilą zalała ją wrzątkiem? Podniosłem wzrok: po twarzy dziewczyny spływały nieocierane łzy. Niemożliwe... Natasza?! Spróbowałem podnieść dłoń, ale nie dałem rady, środek, którego dodała do herbaty, musiał działać błyskawicznie.

Dźwięk elektrycznego dzwonka brutalnie rozdarł ciszę i Natasza pobiegła do drzwi. Nie mogłem otrząsnąć się z oszołomienia. Co jest grane, do cholery?! Chcą mnie porwać? A może wykończyć? Czyżby towarzysowi Berii skończyła się cierpliwość? Tylko dlaczego akurat teraz? Od dłuższego czasu nie podejmowałem żadnych działań związanych z wyjaśnieniem losu Święty Wołkowej. Czekałem na ruch jedyne go człowieka, który mógł pomóc mi w śledztwie. I wydawało mi się, że nikt o tym nie wie. Może się myliłem?

Mężczyzna, który wszedł do pokoju, na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym szczególnym: regularne, ale niezapadające w pamięć rysy twarzy, przeciętny wzrost i budowa ciała. Wyglądał na pięćdziesiąt lat, choć równie dobrze mógł mieć czterdzieści kilka albo sześćdziesiąt. Mimo pozorów przeciętności dawało się zauważyć, że nie jest zwykłym zjadaczem chleba. Otaczająca go mroczna aura krzyczała o zagrożeniu. Jedno było pewne: to nie jest ktoś, komu warto wchodzić

w drogę.

– Kim jesteś?! – warknąłem.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że mogę normalnie mówić. Większość błyskawicznie działających preparatów wpływa nie tylko na mięśnie, ale i mózg, pozbawiając przytomności. Ten najwyraźniej nie.

– Wołkow – przedstawił się krótko.

Zagryzłem wargi. Nie chciałem dostępu do akt Wołkova, bo wówczas śledzono by mnie nie sporadycznie, lecz regularnie i nie miałbym żadnej swobody ruchów – wszystkie informacje na temat byłego generała *wojennej rozwiadki* opatrzone gryfem „ściśle tajne”. Teraz nie wydawało mi się to już takim świetnym pomysłem. Może gdybym wiedział, jak wygląda, nie dałbym się zaskoczyć? Bo Wołkow musiał mnie śledzić, zbadać teren. Z drugiej strony agent tej klasy potrafił zmieniać wygląd lepiej niż zawodowi aktorzy...

– Czego chcesz?

– O tym porozmawiamy za chwilę. Tymczasem...

Z nieprawdopodobną, wręcz cyrkową zręcznością Wołkow przywiązał mnie do krzesła. Znaczący efekt preparatu nie potrwa zbyt długo, warto zapamiętać.

– A teraz do rzeczy – powiedział. – Czego chcesz? To proste: zabić wszystkich, którzy przyczynili się do śmierci mojej córki.

– Mnie też?

– To zależy.

– Od czego?

– Na ile będziesz mi przydatny.

– Jesteś wariatem, wiesz? Po tym jak ogłosiłeś, że zaczynasz polowanie na Stalina, nie dopuszczą cię do niego nawet na kilometr! To samo dotyczy Berii i Abakumowa. Nie tylko nie masz szans na sukces, co więcej: już przegrałeś!

– Rozumiem, że doradziłeś mu już, jak uniknąć zamachu w Dzień Zwycięstwa? – spytał z ironicznym uśmiechem.

– Owszem – przyznałem. – I co z tego? Czyżbyś miał plan B?

– Ja zawsze mam nie tylko plan B, ale i C, i D. Dlatego wciąż żyję. A to, co zrobiłeś, stanowi część mojego planu. No i najważniejsze: nie ma żadnego znaczenia. Stalin już nie żyje, tylko jeszcze o tym nie wie.

– Nie rozumiem?

– Ta doprawiona herbata nie dała ci do myślenia? To ciekawy środek, prawda?

– Rzeczywiście.

– Znam takich więcej. Dużo więcej. Sprzątaczką, która podłożyła list w gabinecie Stalina, zrobiła coś jeszcze: dodała czegoś i do jego herbaty.

– Niemożliwe! Ochrona robi regularne analizy toksykologiczne! To...

– To całkiem możliwe – przerwał mi Wołkow. – Nie mówiłem o truciźnie, tylko

czymś w rodzaju zanieczyszczeń mechanicznych. Cząsteczek tak drobnych, że niewidocznych gołym okiem. Kiedy znajdują się w krwiobiegu, porysują ściany tętnic. Osłabiają je, to wszystko. Jeśli wypiłby to ktoś młodszy, w niczym by mu to nie zaszkodziło. Jednak człowiek w starszym wieku... Za kilka lat Stalin umrze na wylew – oznajmił rzeczowo. – Nic go nie uratuje. Ten list nie był ostrzeżeniem, był wyrokiem śmierci...

– Jakim cudem sprzątaczką uzyskała dostęp do magazynu z żywnością?

– Wpuścił ją jeden z ochroniarzy. Człowiek, któremu Stalin zabił żonę dwadzieścia lat temu.

– Przecież безпеka musiała sprawdzić wszystkich pracowników Kremla! I to nie raz, i nie dwa!

– Sprawdziła. Tyle że ten człowiek zmienił tożsamość. No i wstąpił do OGPU tylko w jednym celu: zabić Stalina. Przez ten czas nie było takiego świństwa i podłości, jakich by nie popełnił, żeby wkupić się w łaski przełożonych. I udało mu się.

– Ty ich tam umieściłeś? Bo rozumiem, że ta sprzątaczką miała podobny życiorys...

Wołkow milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy odpowiedzieć na moje pytanie.

– Nie – odparł wreszcie. – Jedyne skorzystałem z okazji. Kiedyś, dawno temu, towarzysz Stalin poprosił mnie o konsultację. Chodziło o sprawdzenie pracowników Kremla, rozumiesz, on nie dowierzał bezpiece. Otrzymałem wszelkie potrzebne akta, no i tym sposobem natrafiłem na dwoje ludzi, którzy nie byli tymi, za których się podawali. Oczywiście mogłem ich wydać i wzmocnić swoją pozycję, jednak dobrze wiedziałem, ile warta jest wdzięczność Stalina... Więc zachowałem tę informację na wszelki wypadek. – Wzruszył ramionami.

– Wzmianka o wdzięczności to jakaś aluzja?

– Aluzja? Jesteś pionkiem na szachownicy Stalina, pionkiem otoczonym przez ważniejsze figury, takie jak Beria, Abakumow i czort wie kto jeszcze. Żyjesz tylko dlatego, że Stalin nie zdecydował się jeszcze, czyjej głowy chce w pierwszej kolejności. Kiedy odkryjesz sprawcę tego całego zamieszania, poświęci cię bez mrugnięcia okiem. Żeby zbić figurę. Jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy, jesteś głupszy, niż myślałem.

– Czego ode mnie chcesz?

– To proste: pomożesz mi zabić Abakumowa i Berię.

Mimo powagi sytuacji – wiedziałem, że jestem na łasce Wołkowa – parsknąłem śmiechem.

– Ja?! A to w jaki sposób?! Być może, dawniej mógłbym się znaleźć z którymś z nich sam na sam, teraz to niemożliwe. Niezależnie od tego, czy i na ile są winni, wiedzą, że jestem po drugiej stronie barykady. Nie zaryzykują. No i nie mam skłonności samobójczych. Gdybym nawet miał okazję zabić któregoś z nich, to tylko

za cenę życia.

– Nigdy nic nie wiadomo – wycedził Wołkow ze złym błyskiem w oku. – Zostawmy na razie ten wariant. Powiedzmy, że to plan B, może nawet C.

– Słucham.

– Beria teraz jest nie do ruszenia, zostaje Abakumow. Musisz przekonać Stalina, że to właśnie on był inspiratorem całej afery.

– Afery? Możesz mi wyjaśnić, o co im chodzi? Dlaczego zabili twoją córkę?

– W tym momencie to nieistotne – odparł Wołkow.

Mówił równym, spokojnym głosem, jakby nasza rozmowa dotyczyła pogody, ale jego twarz przybrała kolor kości słoniowej, a na policzkach zarysowały się mięśnie.

– Podobno istnieje pewien film – powiedziałem ostrożnie.

To, co wyczytałem w oczach Wołkowa, nie było gniewem ani nawet wściekłością, przez chwilę myślałem, że mnie zabije, zdołał jednak się opanować i podszedł do okna. Teraz widziałem tylko jego plecy.

– Istnieje, i to nie jeden – odparł głucho. – Lecz nie mam zamiaru dać ci żadnego z nich.

– Ale...

– To nie miałoby sensu. Najmniejszego – zapewnił. – Jeśli przekażę ci którykolwiek z filmów, jakie mi przysłali, bezpieka natychmiast dojdzie do wniosku, że kontaktowaliśmy się ze sobą. A wtedy wszystko inne stanie się nieważne i zginiesz na rozkaz Stalina. Ale nie martw się, nie tylko ja mam filmy – roześmiał się bezradośnie.

– Kto jeszcze?

– To już będziesz musiał odkryć sam.

– Jeśli nie dostarczę Stalinowi dowodów, że Abakumow specjalnie cię sprowokował, zginę tak czy owak. A wtedy twój plan się zawali!

– Owszem – przyznał natychmiast. – Plan A. Tyle że pozostanie jeszcze kilka innych wariantów. Wiesz, że obiecałem Lidii, że cię nie zabiję?

– Tak.

Wołkow dwoma krokami znalazł się przy mnie, przyklęknął.

– Ja zawsze dotrzymuję słowa. Ale jeżeli załatwi cię ktoś inny... – Wymownym gestem rozłożył ramiona. – Niech los zadecyduje.

Wzdrygnąłem się: oczy Wołkowa były pełne mroku, odcieniem przypominały czarny krzemień. Jakimś cudem udało mu się zachować pełnię zdolności intelektualnych, jednak wiedziałem, że jest szalony. Nie jestem specjalnie bojaźliwy, ale poczułem dreszcze wzdłuż kręgosłupa, wreszcie zrozumiałem, dlaczego do tej pory nikt go nie schwytał. Wołkow działał jak dobrze naoliwiony mechanizm, bo nie dbał ani o swoje, ani o cudze życie. Przeważnie ścigany, kimkolwiek by był, działa w stanie ogromnego stresu i prędzej czy później popełnia błędy. Wołkow nie bał się

już nikogo i niczego, był martwy za życia...

– Twoja córka była narkomanką! Musiałem ją...

Zaparło mi dech: Wołkow uderzył mnie w brzuch z siłą parowego młota. Po chwili znowu stał przy oknie. Odwrócony.

– Była – potwierdził. – I wiem, że musiałeś ją schwytać. Dlatego jeszcze żyjesz.

– Co oni z nią zrobili? – spytałem cicho.

– Wszystko, co tylko mógłbyś sobie wyobrazić, i sporo takich rzeczy, które nie przyszłyby ci na myśl. Wracając jednak do sedna...

– Tak?

– Jeśli oskarżysz Abakumowa, Beria prędzej czy później zwróci się przeciwko niemu. Ich sojusz to jedynie taktyczna zagrywka, potrzeba chwili. Obaj wiedzą, że przeżyć może tylko jeden z nich.

– No dobrze, założmy, że dam radę. Co dalej? Jakim cudem zlikwiduję Berię? I niby dlaczego mam to zrobić? Obiecałeś, że mnie nie zabijesz, pamiętasz?

– To prawda, obiecałem. Nie zabiję nawet twojej córki... Kiedy umrze Stalin, rozpocznie się jatka. Do walki o stanowisko generalnego sekretarza rzuci się wataha partyjnych wilków. Nie obchodzi mnie, kto wygra, byleby nie był to Beria. A jego można powstrzymać tylko w jeden sposób: strzałem w tył głowy.

– Jakiej córki? – parsknąłem lekceważąco, choć czułem, jak żółć podchodzi mi pod gardło.

– Myślałem, że masz tylko jedną – odparł z udanym zdziwieniem w głosie Wołkow. – Jak myślisz, ile pożyje Aleksandra von Bredow, kiedy Beria dowie się, że to twoje dziecko? I pamiętaj, że nie będzie już Stalina, żeby go powstrzymać...

Napiąłem mięśnie w potężnym zrywie, ale więzy wytrzymały. No i nic dziwnego: to były alpinistyczne liny, a nie sznur do bielizny. Wołkow niczego nie pozostawiał przypadkowi.

– Wiesz, że cię zabiję, jeśli coś jej się stanie?

– Wiem – potwierdził zmęczonym głosem. – I tak jest mi wszystko jedno...

Znienacka pociemniało mi w oczach, kiedy uniosłem wzrok, Wołkova nie było już w pokoju. Za to przy moim krześle klęczała Natasza. Z nożem w ręku. Zapewne kolejny pomysł Wołkova na „losowe rozstrzygnięcie”, bo moja sąsiadka musiała wiedzieć, co ją czeka, jeśli mnie oswobodzi...

Zacisnąłem zęby, czując ostrze na szyi, lecz Natasza tylko przecięła krępujące mnie liny. Zerwałem się na nogi, potrząsnąłem nią brutalnie.

– Dlaczego to zrobiłaś?! – wysyczałem.

– Lońka... – wyszeptała, opuszczając bezwładnie ręce. – On porwał Lońkę i zagroził, że go zabije.

No tak, że też o tym nie pomyślałem... Natasza zrobiłaby wszystko dla swojego syna. Tak jak ja dla córki.

– Co z Kalininą?

– Zabił ją. Kiedy parę dni temu poszłam odwiedzić Lońkę, była już martwa. Wołkow posadził ją w fotelu, a w usta włożył list do mnie.

– Jak zabił?

– Nożem.

Pokiwałem głową. Wołkow przemyślał wszystko, do ostatniego detalu. Gdyby tylko porwał chłopca, być może, Natasza poprosiłaby mnie o pomoc. Zabójstwo Kalininy dodawało groźbie autentyczności, bo moja sąsiadka nie wiedziała, kim jest Wołkow. No i ten nóż... Pewnie nie przespała spokojnie ani jednej nocy, wyobrażając sobie, jak Wołkow masakruje jej syna. W podobnych przypadkach broń palna robi dużo mniejsze wrażenie.

– Proszę – wyszeptała. – Pozwól mi żyć dla Lońki.

– Co z nim?

– Ten człowiek obiecał, że jeszcze dziś wieczorem... Jak myślisz, dotrzyma słowa?

– Dotrzyma – odparłem zimno. – Idź teraz do siebie, muszę to wszystko przemyśleć.

Zamknąłem starannie drzwi i pomaszerowałem do sypialni, zabierając po drodze butelkę z wódką. Wiedziałem, że będzie mi potrzebna. Mięśnie paliły żywym ogniem, jakbym rozładował wagon węgla, w głowie miałem mętlik. Cokolwiek postanowię, trzeba najpierw odpocząć, wyłączyć mózg. Nieważne, jakim sposobem.

Zwaliłem się na łóżko w ubraniu, pociągnąłem spory łyk prosto z butelki; nie ma co zawracać sobie głowy kieliszkiem czy nawet szklanką. Miałem mnóstwo problemów do rozwiązania – wiedziałem, że jeśli czegoś nie wymyślę, moje życie liczyło się na dni, góra tygodnie. Ale to jutro. Wszystko jutro...



Katia bez słowa pokazała mi kartkę z notesu Wiery Gurin. Nasycony chemikaliami papier przybrał żółtobrązowy kolor, jednak teraz wyraźnie widać było, co napisała Wiera. Inna sprawa, że notka okazała się nad wyraz lakoniczna: AA/SuG/K223/4. Ot i wszystko...

– Masz jakiś pomysł, co to znaczy? – spytałem.

– Nie.

Dziewczyna znużonym gestem przetarła oczy – nie dziwiłem się jej, całą noc spędziła w laboratorium.

– Zbieramy się! – rzuciłem krótko.

– Odwieszysz mnie do domu?

– Tak, ale później. Teraz jesteśmy umówieni.
– Umówieni?! Ledwo trzymam się na nogach!
– Wypadaliby pożegnać twojego kuzyna i jego przyjaciół. Właśnie zbierają się do wyjazdu.

Katia cofnęła się z lękiem w oczach, powstrzymałem ją uspokajającym gestem.

– Będę z tobą – obiecałem.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”! Ubierasz się i jedziemy!

Nie byłem w najlepszym humorze: musiałem zdecydować, czy i w jaki sposób ukarać Nataszę za zdradę, a głowa pękała mi z bólu, mimo że zażyłem aspirynę. W jakiś sposób odbiło się to na mojej twarzy, bo Katia bez słowa protestu zamieniła laboratoryjny fartuch na palto.

– Boję się – powiedziała cicho.

– Przecież widzę! – odburknąłem. – Dlatego musisz się z nimi zobaczyć.

– Nie rozumiem...

– Zrozumiesz na miejscu.

– Gdzie jedziemy?

– Do więzienia. Za godzinę mają ich wypuścić.

– Myślisz, że się wystraszyli? Tylko dlatego, że zatrzymano ich na dobę?

– Nie tylko.

Na ulicy otoczyli nas ludzie Siemionowa, wsiedliśmy do samochodu. Jak zauważyłem, eskortowały nas dwa wozy. Sam nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle. Z jednej strony świadczyłoby to, że zagrożenie utrzymuje się na stałym poziomie, z drugiej – nie powiedziałem nikomu o wizycie Wołkowa.

– Po czorta jedziemy do więzienia? – odezwał się Siemionow. – Nie masz co robić? Lada moment Stalin zażąda raportu. A co my mamy? Jedno wielkie nic...

– Niezupełnie – mruknąłem. – Najpierw jednak musimy załatwić tę sprawę.

– To znaczy?

– Kilku wieśniaków groziło Katii. Już wcześniej miała z nimi problemy, więc doszedłem do wniosku, że trzeba dać im do zrozumienia, iż nie są mile widziani w Moskwie.

– Sasza!

– Chcesz, żebym coś z tym zrobił?

– Nie trzeba – odpowiedziałem, ignorując protest dziewczyny. – Zająłem się już wszystkim. Ale dobrze by było, żeby ktoś miał na nich oko, póki nie wrócą do siebie.

– Saszka, oni są naprawdę niebezpieczni!

Siemionow parsknął śmiechem, po chwili mu zawtórowałem, mimo bólu głowy.

– Czego rechoczenie, matoły?!

– Ktoś, kto jest postrachem Muchosrańska, niekoniecznie wzbudza przerażenie

w Moskwie – wyjaśnił jej zwięźle Siemionow.



Iwan Zadarin nie wyglądał najlepiej, podobnie jak jego kumple. Posiniaczone twarze i niepewne ruchy przywodzące na myśl pacjentów po długotrwałej chorobie świadczyły, że mieli za sobą ciężką noc.

Poczekalem, aż odejdą kawałek od więziennej bramy, wysiadłem z samochodu i zastąpiłem im drogę. Zatrzymali się, widząc milicyjny mundur.

– Katia? – ponagliłem.

Jekatierina Romanienko wyszła z wozu niechętnie i z wyraźnym wahaniem. Siemionow stanął tuż przy niej, kładąc opiekuńczym gestem dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Cóż, Wańka, może chciałbyś jeszcze raz pogrozić Katii? – spytałem z dobrodusznym uśmiechem. – A może któryś z pozostałych?

Wyraz twarzy Zadarina świadczył, że dopiero teraz skojarzył to, co go spotkało, z Katią.

– Nie wiecie, kim jestem! – wycharczał z nienawiścią. – Ja wam...

– Jesteś sekretarzem chuj wie czego w Muchosrańsku – przerwałem mu lekceważąco. – I wiesz co? Tu, w Moskwie, nikogo to nie obchodzi. Ważne natomiast jest co innego: Katia jest jedną z nas, milicjantką. Zadzierając z nią, zadzieras z całą milicją i MUR-em. Jedno jej słowo i nie tylko znajdziesz się z powrotem w celi, ale i wylądujesz na zonie. Jako dziewczynka... A teraz powiedz, że mi nie wierzysz, albo postrasż wujkiem czy innym pociotkiem trzęsącym twoją rodzinną wiochę – zaproponowałem.

Odpowiedziało mi milczenie. Najwyraźniej Zadarin przeanalizował to, co mu powiedziałem, i wyciągnął wnioski.

– Co... co z nami będzie? – wyjąkał.

– Macie czas do wieczora, żeby wynieść się z miasta. Jeśli którykolwiek z was tu wróci, nieważne, z jakiego powodu, zabiję. Jeżeli ktoś z was choćby pomyśli o Katii, zabiję. Pytania?

Przeraźliwie błądy Zadarin wolno pokręcił głową.

– Won stąd! – rozkazałem.

Rzucili się do biegu, przepychając wzajemnie.

– To chyba załatwia sprawę – mruknął Siemionow. – Widziałeś ich palce? Będą teraz mieli mocno pod górkę...

– O czym on mówi? – odezwała się Katia. – I po co mnie tu przywlokłeś?

– Chciałem, żebyś zobaczyła, że nie są kuloodporni. Przez zeszłą noc doświadczali rozkoszy, ekhmm... penetracji. Wątpię, żeby któryś odważył się teraz choćby pomyśleć o skrzywdzeniu jakiegokolwiek kobiety. Zresztą nie będą mieli okazji.

Twarz Katii przybrała kolor papieru, dziewczyna wyglądała, jakby miała wymiotować.

– To... obrzydliwe.

– Jak i to, co ci zrobili – odparłem chłodno.

– Co z tymi palcami? – spytała, przełykając ślinę.

– *Błatni* naznaczyli ich do końca życia. Takimi tatuażami piętnuje się w więzieniach gwałcicieli. „Opuszczonych” gwałcicieli. W naszym kraju miliony ludzi przeszły przez więzienia i kolonie karne, niemal wszyscy znają symbolikę stosowaną przez *błatnych*. Kariera twojego drogiego kuzyna właśnie się zakończyła, do końca życia będzie pariasem.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć.

– Wystarczy „dziękuję” – podesunąłem. – A teraz wsiadaj, odwieziemy cię do domu.



Poliakow spojrzał na karteluszek, po czym wzruszył obojętnie ramionami.

– Nigdy nie widziałem podobnych oznaczeń – stwierdził.

Westchnąłem ciężko: od rana pokazałem notkę Wiery Gurin przynajmniej trzydziestu osobom, żadna z nich nie była w stanie jej z niczym skojarzyć. Tymczasem czułem, że rozwiązanie jest w zasięgu ręki, miałem wrażenie, że widziałem kiedyś coś podobnego. Pewnie w końcu sobie przypomnę, problem w tym, że mogło być już za późno – Wiera odzyskała przytomność, jednak nie potrafiła wyjaśnić motywów swojego postępuku. Nic dziwnego, uraz mózgu nikomu nie poprawia pamięci... Lekarze prognozowali, że w ciągu kilku miesięcy wróci do normy, jednak wątpiłem, czy tego dożyje. Za tydzień mieli ją wypisać ze szpitala, a wtedy stanie przed sądem. Kiedy zostanie skazana, wyląduje pewnie wśród najgorszych morderców w kolonii karnej *strogowo reżima* albo więzieniu specjalnego przeznaczenia. Już sędziowie się o to postarają. A tam dziewczyna taka jak ona nie przeżyje nawet tygodnia...

– Co tak stękasz? To coś ważnego?

– Owszem, choć raczej z mojej branży. Aha, prawie bym zapomniał, Cichy został *smotriaszczim* Moskwy. Facet chce z tobą pogadać.

– Dopiero teraz mi o tym mówisz?!

- Dowiedziałem się o tym wczoraj – odburknąłem.
 - I co proponujesz?
 - Tichonow udowodnił, że potrafi dotrzymać słowa, i pewnie zapamiętał lekcję, jakiej mu kiedyś udzieliłem, więc nie powinien być zbyt pewny siebie. No i przestrzega złodziejskiego kodeksu, co też nie jest bez znaczenia.
 - Jasne!
 - Większość znanych mi prominentów nie ma żadnych zasad – zauważyłem.
 - Też mi dygnitarz!
 - Daj spokój! Gdyby nie miał władzy, nie gadałbyś z nim.
 - Więc proponujesz, żeby go zaakceptować?
 - Uhm.
 - No dobrze, w takim razie umów mnie z Cichym na jutro. A jak tam twoja dzielnica? Wszystko w porządku?
 - Owszem. Jednak jest sprawa, którą powinniśmy przedyskutować.
 - Tak?
 - Nie tutaj. Chodź, postawię ci piwo.
- Poliakow wskazał podbródkiem zavalone dokumentami biurko, ale kiedy ponagliłem go gestem, wstał, mamrocząc coś pod nosem.
- No dalej! Nie pożałujesz.
 - Niech będzie – mruknął. – Tylko dorzucisz coś do piwa, bo zgłodniałem.
 - Załatwione!



Poliakow zamówił solankę po moskiewsku i bitki à la Skobielew, ja poprzestałem na zupie z raków i zrazach cielęcych z kaszą.

- Znakomite – pochwalił, odsuwając pusty talerz.

Panienka Tatiana podała z ukłonem zakąski do piwa, na szczęście mundur pułkownika milicji na tyle ją onieśmielił, że darowała sobie białogwardyjskie wstawki.

- No dobrze, w czym rzecz? – zapytał Poliakow.

Otworzyłem drzwi, tak żeby widzieć korytarz prowadzący do kuchni. Lepiej, aby naszej rozmowy nikt nie podsłuchiwał.

– Gabinet, w którym siedzimy, to część nielegalnego kasyna. Chcę je połączyć z pobliskim burdelem i stworzyć coś w rodzaju klubu towarzyskiego dla wybranych. Klientelę werbowałbym spośród partyjnej nomenklatury.

- No dobrze, a po co ci jestem potrzebny? Myślę, że doskonale dasz sobie radę.

- Nie robię tego dla pieniędzy. To element dość ryzykownego projektu.
- Słucham.
- W ciągu kilku najbliższych lat nastąpią spore przetasowania na szczytach władzy.
- Jesteś pewien? Stalin...
- Stalin długo już nie pożyje...

Poliakow spojrział na mnie ostro, gdyby ktoś doniósł, że rozmawiamy o śmierci Stalina, nie uratowałyby nas nawet anielskie zastępy.

- Jesteś pewien?
- Tak. Powiedzmy, że jest chory, tylko jeszcze o tym nie wie.
- Co dalej?
- Po jego śmierci zacznie się kotłowanie, jednym z pretendentów do fotela generalnego sekretarza będzie Beria.
- Na pewno – przyznał Poliakow. – A jaki to ma związek z twoim... klubem?
- Muszę go zabić.
- Rozumiem – odparł tonem, jakim mówi się o pogodzie. – To coś nowego czy stare porachunki?

– I to, i to. Jedno jest pewne: któryś z nas będzie gryzł ziemię. Ten klub to przykrywka, w rzeczywistości pomoże mi gromadzić informacje, a nie pieniądze. Chciałbym, żebyś wiedział, jakie będą stawki w tej grze.

- Masz jakieś wsparcie? Polityczne wsparcie?
- Owszem, będę pracował dla grupy Chruszczowa.
- Chcesz ich poszczuć na siebie? – spytał domyślnie.
- Nie sądzę, żeby była taka potrzeba. Ci ludzie zdają sobie sprawę, że nie mogą zostawić Berii żywego. Ja po prostu skorzystam z okazji i dopilnuję, żeby cała operacja przeszła bez zakłóceń.

- Rozumiem. Jaka w tym wszystkim moja rola?
- Być może, będę potrzebował twojej pomocy. – Wykonałem nieokreślony gest.
- A co będę z tego miał?
- Moje kontakty. Myślę, że klub odwiedzi niejedna interesująca persona...
- W porządku. Potrzeba ci pieniędzy na rozkręcenie tego przedsięwzięcia?
- Nie, mam dosyć swoich. Co do pieniędzy jeszcze... Jeśli chcesz, mogę przerzucić część twoich za granicę. Bo tutaj są w zasadzie bezużyteczne.

Poliakow skinął z namysłem głową, zapalił papierosa. Wiedziałem, nad czym się zastanawia: na ile może mi zaufać.

- Jaka kwota wchodziłaby w grę?
- Dowolna.
- To ci ludzie Chruszczowa?

Potwierdziłem nieartykułowanym mruknięciem.

- A sam próbowałeś?

– Mam zamiar, na dniach.
– Co z nimi zrobisz? Tam, po drugiej stronie?
– Powierzę znajomej. Ona ma własną firmę i z tego, co mi wiadomo, znakomicie nią zarządza.

– Mogłaby wziąć i moje pieniądze? Nie wszystkie, rzecz jasna, ale okrągłą sumkę?
– Pewnie tak.
– Ile chcesz za przerzucenie forsy na Zachód?
– Obejdzie się – burknąłem. – Ale tamci biorą dwadzieścia procent.
– Skrzywiłeś się niczym uszczypnięta w pupcię dziewica – zauważył Poliakov z rozbawieniem. – Gdyby kto inny mi to zaproponował, pomyślałbym, że chce mnie obrobić. Spokojnie! – zawołał na widok mojej miny. – To tylko żart. Może nie najmądrzejszy...

– Ja jednak kiedyś przejdę się na te wasze zajęcia sambo, poczekam, aż zdejmiesz mundur, i wytłumaczę ci to i owo...

– To mogłoby być interesujące – zarechotał wyraźnie ubawiony Poliakov. – Wracając do sprawy: ile wzięłaby ta twoja przyjaciółka za zajęcie się moimi pieniędzmi?

Nie zareagowałem na słowo „przyjaciółka”, wiedziałem, że Poliakov celowo mnie podpuszcza. Pewnie ciekawi go, kim dla mnie jest owa tajemnicza dama...

– Pięć procent od wyjściowej sumy i zysku – odparłem bez mrugnięcia okiem.
– Zgoda! W jakiej formie mam przekazać te aktywy? Bo rozumiem, że nie w naszych rublach.

– Złoto, ewentualnie kosztowności. Carskie ruble i dolary też mogą być. O jaką kwotę chodzi?

Poliakov wyciągnął pióro i nabazgrał coś na serwetce, po czym podsunął mi ją z obojętnym wyrazem twarzy. Zamrugąłem z zaskoczeniem: albo pomylił się o jedno zero, albo...

– Umiem liczyć – uprzedził moje pytanie. – Więc?
– Załatwione!
– Tatiana! – zawołałem. – Tatiana!
Chwilę potrwało, zanim dziewczyna podeszła do nas.
– *Wasze wysokobłagorodie?*
A jednak nie wytrzymała, bestia... Cóż, może dołączyć do zabawy?
– *Gospodin połkownik* będzie tu czasem zachodził. Zatrósz się, żeby mu niczego nie brakowało – poleciłem.

– *Słuszajus', wasze wysokobłagorodie.*
Poliakov milczał, dopóki Tatiana nie wróciła do kuchni, później wybuchnął śmiechem.

– Co znowu?

– Nic takiego, pomyślałem tylko, że jak się dobrze przyjrzeć, to rzeczywiście wyglądasz na *wysokobłagorodie*.

– To znaczy?

– No, na szlachcica, może nawet arystokratę. Tylko wiesz, pozbawionego tej całej dworskiej otoczki, wykwintnych manier i subtelności...

– Matoł!

– *Nie grubitje starszemu po zwaniu, gospodin kapitan!*



Monotonny szum silnika sprawił, że przymknąłem oczy, jednak nie mogłem zasnąć, mimo że Siemionow był znakomitym kierowcą. Dręczyło mnie zbyt wiele problemów. Udało mi się załatwić wszystkie sprawy z Dato – Inga powinna w ciągu paru tygodni otrzymać pieniądze moje i Poliakowa, jednak pozostawały inne nierozwiązane kwestie. Przede wszystkim tajemnicza notatka Wiery, no i nie wiedziałem, co zrobić z Nataszą... Do tej pory nie zdarzyło się jeszcze, żebym komuś wybaczył zdradę, z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że Natasza działała pod presją. Czort wie, co bym zrobił, gdyby ktoś zagroził, że zabije moje dziecko... No i kto zastąpi Nataszę? Dziewczyna była mi potrzebna do zarządzania klubem, mogła też przydać się jako łącznik z *błatnymi*. I jak spojrzę w oczy Lońce, jeśli zabiję mu matkę? Wołkow dotrzymał słowa i dzieciak wrócił do domu w godzinę po jego wizycie. Szlag...

– O co chodzi? – spytał z ciekawością Siemionow. – Coś się stało?

– Owszem – odparłem niechętnie. – Nie mogę odczytać notki, mimo że widziałem już coś takiego. A to dość ważna sprawa.

– To jakiś szyfr czy kod?

– Żebym to ja wiedział...

– Pokażesz?

Bez słowa podsunąłem mu karteluszek.

– To sygnatura – stwierdził po chwili.

– Jaka, do licha, sygnatura?!

– Niemiecka. Nic dziwnego, że wydała ci się znajoma.

– No, gadaj!

– AA to *Abwehr Archiv*, a SuG to *Spionageabwehr und Gegenspionage*.

– No tak: Kontrwywiad i Zwalczanie Szpiegostwa...

– To chyba sygnatura akt jakiegoś agenta Wydziału Trzeciego Abwehry – stwierdził.

Powstrzymałem go gwałtownym gestem, musiałem pomyśleć. Jeśli Siemionow miał rację – a byłem przekonany, że tak jest – pozostaje druga część notki: K223/4. Cyfry to pewnie numer ewidencyjny, a „K”... Czy to czasem nie skrót od słowa „Kiew”? Chyba rozwiązałem zagadkę Wiery Gurin...

– Na Łubiankę! – poleciłem.

– Pierwszy raz w życiu widzę kogoś, kto sam pcha się na Łubiankę – zauważył ironicznie.

Nie odpowiedziałem na zaczepkę, zastanawiałem się, co robić. Wiedziałem, że w sprawie Wiery nie wystarczą domysły, musiałem znaleźć dowody na potwierdzenie mojej tezy. Jeśli mi się nie uda, nie wypełnię zobowiązania wobec Dato, a jego pomoc była mi potrzebna. Och, jak potrzebna! Chyba że pomoże mi wdzięczny za uratowanie syna Malicyń...



ROZDZIAŁ ÓSMY

Pokoik, w którym kiedyś mieszkała Wiera Gurin, nie porażał ani metrażem, ani wyposażeniem. Widać dziewczyna rzeczywiście nie utrzymywała kontaktów z ojcem.

– Czego szukamy? – odezwał się Sawczenko.

Do Odessy przylecieliśmy samolotem. Przez całą drogę major namawiał mnie, żebym wyjawiał mu swoje podejrzenia. Odmówiłem. Może i był pozytywnie nastawiony do Wiery, ale niekoniecznie do pułkownika Razumowskiego. Nie potrzeba mi dodatkowych kłopotów z bezpieczeństwem.

– Listu albo dokumentów – wyjaśniłem. – To może być pojedyncza kartka lub plik, może nawet teczka.

– List Łary do córki?

– Tak.

– No dobrze – westchnął. – To do roboty.

Zacząłem od biblioteczki, Sawczenko zajął się szafą z ubraniami. Badałem dokładnie każdą książkę, sprawdzając, czy czegoś nie schowano między kartkami lub za okładką. Sawczenko, nie siląc się na delikatność, pruł ubrania nożem. Obaj wiedzieliśmy, że to ostatnia szansa, aby uratować Wierę. Na podłodze rósł stos pociętych na szmaty ciuchów i sterta brutalnie potraktowanych książek.

– Nic tu nie ma – oznajmił po półgodzinie Sawczenko.

Zakląłem z bezsilną wściekłością.

– Jesteście pewni, że...

– Nie jestem! Ona mogła to wyrzucić.

– Co takiego, na litość boską?!

No proszę: czekista, a wzywa Boga. Nic, tylko zakablować...

– Szukajcie listu albo dokumentów po niemiecku! – warknąłem.

Sawczenko zmarszczył brwi – najwidoczniej dałem mu do myślenia, lecz posłusznie wrócił do pracy. Tym razem zabrał się do biurka.

– Mam! – zawołał po chwili. – Tu coś jest!

– Gdzie?!

– Przyklejone pod blatem.

– Ciekawe, kto tu robił rewizję?! To dopiero fachowcy!

– Tylko miejscowa milicja, sprawdzili, czy w pokoju nie ma więcej broni, i poszli – wzruszył ramionami Sawczenko.

Czekista przewrócił mebel kopniakiem. Pod blatem przyklejono szarą kopertę. Wyciągnąłem rękę, ale był szybszy.

– List do Wiery, tak jak mówiliście. I kartka po niemiecku. Co to, do licha, jest?

– Pierwsza strona z dossier agenta Abwehry.

– Ale to zdjęcie... To przecież Witalij...

– Jeszcze nie rozumiecie? Facet pracował dla Niemców w czasie okupacji, założył się, że wsypał pół kijowskiego podziemia. Jego żona, Łara, musiała się o tym dowiedzieć, być może chciała go zdemaskować, tak czy owak, zdobyła ten dokument. I wysłała go córce z ostrzeżeniem. Jak przypuszczam, przez zaufanego człowieka. Będąc w podziemiu, musiała mieć pewne kontakty. Wiera otrzymała list po powrocie z Niemiec i od razu domyśliła się, jak zginęła matka.

– Przecież Witalij...

– Nie musiał robić tego sam, wystarczyło, że wydał rozkaz albo poskarżył się swoim niemieckim mocodawcom.

– Więc Wiera...

– Tak, pojechała do Kijowa zabić ojca. Człowieka, który wydał rozkaz zamordowania jej matki. Bała się zabrać ten dokument, bo to jedyny dowód, że Witalij był agentem, przepisała więc sygnaturę. Wiedziała, że ojciec ją rozpozna...

– Myślicie, że ją uniewinnią?

– Nie żartujcie! Dziewczyne komunistkę, tak oddaną partii, że zlikwidowała własnego ojca agenta? Zostanie bohaterką.

– Ja... Nie wiem, jak wam dziękować.

– Nieważne – mruknąłem. – Może kiedyś będziecie mieli okazję się zrewanżować.

– Co tylko zechcecie – zapewnił.

Jasne, a pewnego dnia słońce wzejdzie na zachodzie...



Malicyn i Dato bez słowa wysłuchali moich wyjaśnień w sprawie otwarcia klubu dla prominentów, choć widać było, że projekt niespecjalnie ich interesuje. Zapewne pojmowali pomysł w kategoriach biznesowych. Tyle że nie wypadało im za bardzo protestować: w końcu uratowałem syna Malicyna i Wierę Gurin. Zapewne teraz zastanawiali się, czy i na ile forsa uderzyła mi do głowy...

– Przestańcie! – warknąłem z rozdrażnieniem.

– Przestańcie co? – zainteresował się Malicyn.

– Gapić się na mnie jak na niedorozwinięte dziecko! Tu nie chodzi o pieniądze!

– A o co?

– Tę całą waszą konspirację można o kant dupy potłuc – powiedziałem bez ogródek. – Myślicie, że jesteście pierwszymi osobami, które zawarły „luźny pakt” przeciwko Berii? A teraz pytanie: kto przeżył? Spiskowcy czy może Ławrentij Pawłowicz?

– Co według ciebie powinniśmy zrobić? – zainteresował się Dato.

– Potraktować rzecz całościowo. Kiedy umrze Stalin, a nie będzie przecież żył wiecznie! rozpocznie się walka o władzę. Tylko wiecie co? Bardzo wątpię, żeby była to walka wyłącznie polityczna. Bo Beria podporządkował sobie wszystkie służby specjalne i okazałby się idiotą, gdyby tego nie wykorzystał. Spodziewacie się zaciekłych dyskusji na jakimś nadzwyczajnym zjeździe partii? A może zakulisowych rozgrywek? Zapomnijcie! – Roześmiałem się sarkastycznie. – Nie minie tydzień od śmierci Stalina, jak ludzie Berii zapukają w wasze drzwi. A później oskarżą was o szpiegostwo, zamordowanie Stalina albo ludożerstwo. Nieważne, i tak wszystko potwierdzicie. Taki będzie wasz koniec. Nie zdążycie wykorzystać ani pieniędzy, ani wpływów, zdechniecie w jakiejś bezimiennej katowni, a wasze zwłoki pochowają w zbiorowej mogile. Jak tylu innych przed wami...

Teraz ich zainteresowałem. Malicyn zacisnął usta, a Dato frasobliwie potarł skronie.

– Na czele Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego stoi Abakumow – zauważył Malicyn. – To przecież konkurent Ławrentija Pawłowicza.

– I tak, i nie. Jak wiecie, prowadzę obecnie śledztwo w sprawie śmierci córki Wołkowa...

Obaj przytaknęli.

– Coraz więcej wskazuje, że to inicjatywa Abakumowa. Istnieją filmy, które go w bezpośredni sposób obciążają. No a przynajmniej jego ludzi, co na jedno wychodzi... Jeśli Beria ma choć jeden z nich, a trzeba założyć, że ma, towarzyszy

Abakumow zrobi wszystko, żeby nie dostał się on w moje ręce i w konsekwencji nie dotarł do Stalina. Tak więc na razie nie ma mowy o żadnej konkurencji. A za rok czy dwa Beria wykończy rywala, ujawniając filmy. Zrobiłby to już teraz, gdyby nie to, że chce upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: załatwić nie tylko Abakumowa, ale i mnie. Bo jeśli nie zdobędę dowodów winy bezpieki, Stalin osobiście mi za to podziękuje...

– Co proponujesz? – powtórzył Dato.

– Trzeba od razu, już teraz, założyć, że po śmierci Stalina dojdzie do fizycznej konfrontacji z Berią. Musimy się do niej przygotować. To wszystko. – Wzruszyłem ramionami.

– Więc ten twój burdel...

– Tak. To będzie nasze źródło informacji. Ja zajmę się przeszkoleniem panienek, tak żeby potrafiły wyciągnąć od klientów maksimum informacji, wy będziecie ich kierować do mnie. Jednym słowem: przeprowadzicie selekcję. To da nam potrzebną wiedzę i kontrolę nad poczynaniami różnych frakcji partyjnych i specsłużb, bo do burdelu muszą trafić i funkcjonariusze tych ostatnich. Do tego trzeba będzie utworzyć grupę zdolną zabić albo aresztować Bериę, a to niełatwe zadanie, bo on otacza się tabunami ochroniarzy. Miną lata, zanim stworzymy taki oddział. Tym też mogę się zająć. Wreszcie musimy już teraz osłabić pozycje i Abakumowa, i Berii, najlepiej znajdując dowody ich winy. Coś, w co uwierzyłby Stalin. No i najważniejsze: muszę pozostać przy życiu. Jeśli nie znajdziemy tych filmów...

– Czy ty aby nie próbujesz przerzucić na nas swoich problemów? – zapytał nieufnie Dato. – Dochodzenie dla Stalina to twoja i tylko twoja sprawa.

– Jak uważasz. – Wzruszyłem ponownie ramionami. – Tylko wiesz co? Myślę, że nie przeżyjecie mnie więcej niż o kilka lat... Bo operacje siłowe to nie wasza specjalność. A Bериę powstrzyma jedynie kula w łeb!

– Spokojnie, panowie! – Malicyn uniósł dłoń. – Myślę, że możemy znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Niestety, nikt nic nie wie na temat okoliczności śmierci Swięty Wołkowej. Nikt poza uczestnikami operacji – powiedział, zwracając się do mnie. – A naprawdę próbowałem...

Zagryzłem wargi, szlag by to trafił! A już miałem nadzieję, że Malicyn znajdzie mi jakiegoś świadka. Kogoś niewymienionego na liście Wołkowa. Pytanie, czy rzeczywiście się starał?

– Straciłem dwóch ludzi – dodał, jakby czytał w moich myślach.

– Bezpieka?

– Tak.

– Myślicie, że MGB może was powiązać...

Pokręcił przecząco głową.

– W żadnym wypadku! Ale nie da rady zrobić drugiego podejścia. Wprowadzili

nowe procedury bezpieczeństwa. Podobno śledzą nawet własnych ludzi.

– To akurat nic dziwnego, nerwowe czasy – mruknąłem. – A moglibyście zdobyć adres mieszkania generała Parfimowa?

– Ktoś taki jak on pewnie miał niejedno – zauważył Dato.

– Możliwe – przyznałem. – Więc?

– Trudno powiedzieć – odparł ostrożnie Malicyn. – Dostęp do tego typu informacji mają tylko pracownicy wysokiego szczebla. Spróbuję – obiecał.

– Jeszcze jedno: czy mógłbym przekazać list tym waszym dyplomatycznym kanałem? Muszę udzielić wskazówek osobie, która ma się zająć moimi pieniędzmi.

– Oczywiście – odparł Dato. – To żaden problem. Jeśli chcesz, możemy też przekazać ci odpowiedź.

– Byłbym wdzięczny. Jednak wolałbym, żeby nikt tego nie czytał...

– Masz moje słowo.

Podziękowałem, bo i cóż innego mi pozostawało? Jeżeli Dato postanowi przeczytać mój list, nic na to nie poradzę. A głupio byłoby obrażać go, zakładając z góry nieszczerłość.



Natasza usiadła na brzeжку krzesła, wbiła wzrok w dywan. Nie próbowała błagać o litość, jedynie splecione jak do modlitwy dłonie i pobladła twarz świadczyły o napięciu. Milczałem jak i ona, zastanawiałem się, co powiedzieć. Odezwała się pierwsza:

– Więc postanowiłeś darować mi życie – powiedziała bezbarwnym tonem. – W innym wypadku już dawno byś mnie zabił – dodała, widząc moją minę.

– Zajmiesz się tym burdelem na Twerskiej, tak jak ustaliliśmy – rzuciłem szorstko.

Pokiwała głową, jakby niczego innego się nie spodziewała.

– Pewnie zastanawiasz się, na ile możesz mi ufać?

Nie odpowiedziałem.

– Nie musisz mi grozić – roześmiała się bezradośnie. – I tak jestem nieprzytomna z przerażenia. Nie, nie boję się śmierci! Czasem chciałabym sama... Gdyby nie Lonia... Jestem taka zmęczona. Boję się, że to ty mnie zabijesz, jedyna osoba, którą... – urwała, zaciskając zęby.

– To wszystko, wiesz, co robić – oznajmiłem zimno.

Wstała powoli, niczym zreumatyzowana staruszka, bez słowa skierowała się do wyjścia. Zatrzymała się w przedpokoju, jakby czekała na jakiś gest, słowo, cokolwiek. Przez moment cisza zdawała się głośniejsza niż krzyk, wreszcie usłyszałem szcęk

drzwi. Zostałem sam.

Począpałem do kuchni, otworzyłem lodówkę – tak, skorzystałem z sugestii panny Szewieliewej! – sięgnąłem po butelkę wódki. Sam także czułem się jak osiemdziesięciolatek, a przecież darowałem Nataszy życie... Cóż jeszcze mogłem zrobić?

Napełniłem szklanę do połowy, kilkoma wprawnymi ruchami otworzyłem konserwę. Zanim podniosłem szkło do ust, zadźwięczał dzwonek u drzwi. Ki czort? Bo przecież nie Natasza...

Nie kojarzyłem nazwiska osoby, która wysłała telegram, choć miejscowość była mi znana: Kotowsk niedaleko Tambowa. Wieści zapewne nie były pomyślne, bo listonosz oddał mi blankiet, nie przymawiając się o drobne ani nawet poczęstunek. Dziwne... Co prawda w Kotowsku mieszkała moja ciotka, jednak...

IRINA KONSTANTINOWNA NIE ŻYJE STOP PRZYJEŹDŹAJCIE
NATYCHMIAST STOP

Zamrugąłem z zaskoczeniem, jeszcze raz rzuciłem okiem na nadawcę: Pelagia Mstisławowna Rostowa. Nadal żadnych skojarzeń. Ciotka... Ostatni raz widziałem ją bodajże trzynaście lat temu, na pogrzebie ojca: to ona załatwiała wszelkie formalności, bo ja dostałem raptem trzy dni urlopu. Skąd jednak ten nagły, niemal paniczny ton telegramu? I kim dla mojej ciotki była tajemnicza Pelagia Mstisławowna? I co to w ogóle za imię? Jakieś... anachroniczne. A i otczestwo... Moda na takie słowiańskie imiona przeminęła pod koniec zeszłego wieku. W sumie nic dziwnego: jeśli owa Pelagia jest w wieku ciotki, musi być po sześćdziesiątce. Zatem jej ojciec mógł się urodzić w połowie dziewiętnastego wieku. Choć dlaczego akurat Mstisław? Chłopi i mieszczenie nadawali swoim dzieciom imiona takie, jak: Iwan, Borys, Wasilij czy Dymitr. Popularne i bez specjalnego zadęcia. Szlachta wzorowała się na Zachodzie albo naśladowała rodzinę panującą, stąd co drugi arystokrata miał na imię Nikołaj, Aleksander lub Piotr. Nie żeby to było regułą, czasem sięgali po nie i przedstawiciele niższych stanów. Hmm... Mstisław...

Z zamyślenia wyrwało mnie stłumione przez odległość dudnienie tramwaju. Czort z Mstisławem! Trzeba zdecydować, jechać do Kotowska czy nie? Niby nie tak daleko. W linii prostej niewiele ponad czterysta kilometrów. Z drugiej strony pociągiem nie mniej niż dzień w jedną stronę. A pogrzeb? Formalności? Zejdzie minimum trzy dni. Żeby nie to cholerne śledztwo dla Stalina...

Wychyliłem duszką wódkę, ponownie napełniłem szklanę. Pamięć podsuwała wspomnienia – szczupłe, wypielęgnowane dłonie, łagodny głos, opowiadane wieczorami bajki, zapach świeżo upieczonych wafli... Szlag! Nie widzieliśmy się

ponad dekadę i nie był to mój wybór. Odkąd zacząłem pracować dla *wojennej rozwiadki*, nigdy nie brakowało mi wrogów, którzy chętnie zemściliby się, zabijając kogoś z moich bliskich. Dlatego przez całe lata kontaktowaliśmy się jedynie korespondencyjnie, a i to z rzadka. A teraz nie mogę pojechać nawet na pogrzeb ciotki, bo przecież pierwszeństwo ma dochodzenie dla Stalina...

Zgniotłem z wściekłością telegram, rzuciłem na dywan. Odruchowo sięgnąłem po butelkę, ale po namyśle odsunąłem ją stanowczo – to nie był czas na chlańsko. Pomyślmy: dlaczego znajoma ciotki tak przynagla mnie do przyjazdu? Pogrzeb pogrzebem, lecz miałem wrażenie, że jest w tym coś jeszcze. Tylko co? Formalności związane z pogrzebem? Wątpliwe. W takim wypadku dzień czy dwa nie robią wielkiej różnicy, ciałem zajmują się odpowiednie służby. Zaraz, zaraz! A dlaczego nie dostałem oficjalnego powiadomienia o śmierci ciotki? To standard w takich sytuacjach. W dokumentach byłem wymieniony jako jedyny krewny. Taaak... Ciekawe. Przecież formalności spadkowe wymagają... Spadek! Po ciotce zostało mieszkanie!

Zgrzytnąłem zębami. A to skurwysyny! Teraz wszystko jasne – miejscowi chcieli zabrać mieszkanie ciotki. Nie miałem wyboru, musiałem jechać do Kotowska. I nie chodziło o chałupę – chuj z nią! – ale jeśli zostały tam jakieś pamiątki po rodzicach, lepiej będzie, jak dotrę do nich pierwszy. Bo rzeczy w rodzaju papierośnicy ojca mogły zainteresować nie tylko lokalnych handlarzy, ale i bezpiekę...

Bogiem a prawdą nigdy nie interesowałem się przeszłością moich rodziców – byli tacy zwyczajni! – jednak ostatni prezent od ciotki mógł świadczyć, że nie znałem ich tak dobrze, jak mi się wydawało. Do tego jeszcze miałem na karku Wołkowa i dochodzenie dla Stalina. Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy... Nie ma co, trzeba zwołać naradę wojenną.



Postukałem łyżeczką w szklanę, uciszyłem gwar. Moi goście posłusznie przerwali rozmowy. Nie żeby był tłok: Lewartow, Elena, Siemionow i Liza. Ot i wszyscy. Jednak poczęstunek (Liza pełniła honory pani domu) wprowadził ich w dobry humor. Tak jak chciałem. Nikomu nie zaszkodzi odrobina odprężenia.

- Muszę wyjechać jutro do Kotowska, zmarła moja ciotka – zagałem bez wstępu.
- To naprawdę konieczne? – Siemionow zmarszczył brwi. – Bo Stalin...
- Konieczne – uciałem. – Oczywiście masz rację, niedługo będę musiał złożyć raport i z tym też trzeba coś zrobić. Zakładam, że będę śledzony...
- Mogę się tym zająć – zaproponował Siemionow.

– Nie, nie ma potrzeby! Niech się przejadą do Kotowska, w końcu mam prawo być na pogrzebie krewnej. Na pewno i Beria, i Abakumow dostaną natychmiast raporty o mojej podróży. I dobrze! Może poczują się bezpieczni... Dopiero kiedy załatwię swoje sprawy w Kotowsku, przejdziemy do drugiej fazy...

– To znaczy? – odezwała się Liza.

– Pozbędę się agentów bezpieki i pojedę prosto do Włodzimierza. A tam aresztujemy wszystkich zamieszanych w sprawę śmierci Święty Wołkowej. Ty i Siergiej będziecie czekać w pobliżu więzienia. Z ekipą.

– Zwariowałeś?! Chcesz zaatakować *Władimirskij Central*?!

– Nie tyle zaatakować, co opanować – poprawiłem. – Nie mamy wyjścia, przy życiu zostali jedynie kapitan Naryszkin, major Rubcow i obecny naczelnik *Centrala* Trochimow. A od czasu naszej wizyty żaden z nich nie opuścił więzienia. Nawet baby im sprowadzają.

Siemionow przytaknął ruchem głowy.

– Moi ludzie obserwowali ich przez kilka dni – wyjaśnił. – Jest dokładnie tak, jak powiedział Sasza.

– Przez kilka dni? Może sytuacja się zmieniła i nie trzeba będzie tak ryzykować?

– Nie zmieniła się – zapewniłem.

– Ale co nam szkodzi sprawdzić?

Wywróciłem oczyma: ech, Lizka, Lizka...

– To zawodowcy – odparł łagodnie Siemionow. – Nieustannie obserwują teren wokół więzienia, a teraz pewnie ze zdwojoną czujnością. Wiesz, na wypadek gdyby ktoś chciał zorganizować ucieczkę czy odbić więźniów. Bo niektórzy z nich to naprawdę ważne osoby. Ci klawisze nie mogą mierzyć się z nami w walce, ale jeśli chodzi o działalność kontrwywiadowczą, są w tym naprawdę dobrzy: tylko w ciągu ostatniego roku udaremnili przynajmniej trzy takie próby. Nie ma sensu ryzykować.

– Ale...

– Nie!

– No dobrze, a co będą robili Anton i Elena?

– Nic specjalnego, pojedą ze mną. Muszę mieć jakieś wsparcie w tym Kotowsku. Na wszelki wypadek.

– Nie lepiej byłoby wziąć kilku ludzi Sierioży?

Otworzyłem usta, żeby poinformować kapitan Wierchońską, co sędzę o jej pomysłach, przeszkodziło mi kopnięcie w kostkę. Silne kopnięcie. Elena dyskretnie uniosła lewą dłoń i zacisnęła w pięść. Gest oznaczający tyle co „uwaga”! Co, do cholery? Wtedy dostrzegłem wyraz twarzy Lizy: dziewczyna nie miała zamiaru udzielać mi porad w zakresie taktyki, ale najzwyczajniej w świecie martwiła się o mnie. Brawo, Razumowski! Cóż za spostrzegawczość...

– Nie daliby rady mnie obronić. Paru ludzi to za mało przy stawkach w tej grze.

A Anton i Elena będą mieli przewagę zaskoczenia. Jakby co.

– Nie rozumiem.

– Anton pojedzie osobno, a Elena będzie udawała moją kochankę – wyjaśniłem spokojnie.

Panna Szewieliewa nawet nie mrugnęła okiem; znaczy zahartowała się wśród tych swoich gołych modeli, bo jeszcze rok temu reagowała rumieńcem na każdą wzmiankę o seksie.

– Niech będzie, chociaż jesteście dla mnie trochę za starzy, *komandir* – stwierdziła wyniośle.

Pogroziłem jej palcem, w odpowiedzi pokazała mi język.

– W takim razie zbieramy się! – zarządziłem. – Wiecie, co robić!



Za oknem migały słupy telegraficzne, koła postukiwały na złączach szyn: rozwijaliśmy sporą szybkość. Aż dziw, bo niektóre odcinki torów pochodziły jeszcze z czasów carskich. Uchyliłem okno, podmuch zerwał popiół z papierosa. Powietrze pachniało dymem i deszczem, nadchodziła noc. Z sąsiednich przedziałów dochodził szmer rozmów i dźwięki trącanego szkła, czasem jakiś okrzyk. Odsunąłem się, przepuszczając ładniutką kelnerkę pchającą wózek z napojami. Dziewczyna podziękowała uśmiechem.

– Saszka? – Elena wychyliła się z przedziału. – Wracaj wreszcie!

Ze względu na odgrywaną rolę pozwoliłem jej mówić sobie po imieniu, co robiła z upodobaniem, niczym dziecko powtarzające brzydkie słowo.

– A teraz siadaj. Narysuję twój portret – zakomenderowała, kiedy zamknąłem drzwi.

Cóż było robić? Usiadłem. Na szczęście mieliśmy przedział tylko dla siebie, jeszcze na dworcu w Moskwie wsunąłem kierownikowi pociągu w łapę pięćdziesiąt rubli. Dałbym i więcej, ponieważ potrzebowałem chwili spokoju, ale bałem się, że nadmierna hojność wzbudzi podejrzenia.

– No to rysuj – westchnąłem.

Nie musiałem dwa razy powtarzać. Panna Szewieliewa usadziła mnie bliżej okna i zaczęła szkicować. Przez dłuższy czas słyszałem jedynie skrzypienie ołówka i szorstkie, niecierpliwie komendy. Wykonywałem je odruchowo, myśląc o czym innym. Co czeka mnie w Kotowsku? Jak umarła ciotka? Czy uda nam się aresztować pozostałych przy życiu oficerów z listy Wołkowa? Pytania, pytania, pytania...

– Już – powiedziała.

Spojrzałem na kartkę. Portret był zdecydowanie wyidealizowany. Nie chodziło o wygląd – Elena oddała moje rysy ze zdumiewającą precyzją, ale w oczach mężczyzny na rysunku dostrzegłem to, czego nigdy nie widziałem w lustrze: ciepło i rodzaj pogodnej życiowej mądrości.

– To nie ja – stwierdziłem stanowczo.

– Jak najbardziej ty – odparła równie kategorycznie Elena.

– Bzdura!

– Spytajmy kogoś – zaproponowała. – O, idzie ta kelnerczka! Niech ona to rozstrzygnie. Tylko nie gap się gdzie nie trzeba – dodała z dobrze udaną zazdrością w głosie.

Zakląłem pod nosem, daj gadzinie palec, a wyrwie ci rękę... Otworzyłem drzwi przedziału i zaprosiłem kelnerkę gestem. Dziewczyna stanęła w progu i rozejrzała się ostrożnie. Nie dziwiłem się jej, w swojej pracy widziała pewnie niejedno: w pociągach dalekobieżnych popełniano najwięcej przestępstw.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

– Chodzi o portret – poinformowałem. – Jak myślicie, jest podobny?

Elena pokazała rysunek. Wyraźnie uspokojona kelnerka podeszła bliżej.

– Znakomity! – stwierdziła z podziwem. – Jak udało wam się uzyskać srebrny odcień oczu samym ołówkiem?

– To nic trudnego – odparła Elena z nietypową dla niej skromnością. – Ale spieramy się, czy jest podobny do oryginału. – Wskazała mnie kciukiem.

– Bardzo. Wygląda jak...

– Chodzi o oczy – przerwałem niecierpliwie. – Te na portrecie to oczy jelonka Bambi, nie moje.

– Jelonek Bambi to postać z filmu Disneya – poinformowała Elena. – Puszczali go rok temu w Moskwie.

– Oglądałam – zapewniła kelnerka. – Oczy... Bo ja wiem? Z jednej strony podobne, z drugiej... Kiedy się złościacie, wasze oczy zmieniają kolor. Robią się podobne do kostek lodu.

– Nie złoścę się!

– Oczywiście – przyznała natychmiast. – Tak tylko mi się powiedziało...

– Widzisz?! – zawołała tryumfalnie Elena. – Podobny!

– Siła złego na jednego – odburknąłem. – I babska solidarność.

Kelnerka otworzyła usta, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, do przedziału wszedł otyły, łysawy mężczyzna w mundurze konduktora.

– Wzywają cię do wagonu specjalnego – poinformował ze złośliwym uśmiechem.

Dziewczyna zbladła jak ściana, jej twarz w jednej chwili pokryła się kroplami potu. Ciekawe, co to za specwagon? Bo nasza nowa znajoma nie wygląda na zachwyconą...

– Wiktorze Abramowiczu – odezwała się błagalnie – może by ktoś inny?

– Kiedy pasażerowie domagają się Żannoczki – odparł, przesuając lubieżnie językiem po grubych wargach.

Złapałem konduktora za kołnierz, powoli, niespiesznie zmiąłem w garści grube sukno.

– Jak śmiecie?! – zawył. – Co sobie wyobrażacie?! Ja was zaraz...

Bez słowa przyparłem go do ściany, nacisnąłem przedramieniem tłustą szyję. Nieco pod kątem, z boku, tak żeby nie uszkodzić tchawicy. Nie ma co ukrywać: byłem wściekły. Sam nie wiem dlaczego, bo przecież ratowanie dziewczyc w potrzebie to raczej nie moje hobby...

– A jak ty, gnido, śmiesz włączyć tu bez pukania, jak do własnego sracza, i urządzać awantury?

Konduktor nie odpowiedział, źrenice uciekły mu w górę, zwiotczał. Co za delikatna gadzina! Teoretycznie dopiero półminutowy nacisk na tętnicę szyjną prowadzi do utraty przytomności, a ten tutaj nie wytrzymał nawet dziesięciu sekund. Chyba że nacisnąłem mocniej, niż mi się zdawało...

Cofnąłem ramię, niezbyt delikatnie poklepałem mężczyznę po twarzy.

– Pobudka! – warknąłem.

Tłuścioch zacharczał spazmatycznie, złapał się za szyję. Cóż, nie dziwota: blokada tętnicy ogranicza dopływ tlenu, a jak zrobi się skrzep, udar mózgu gwarantowany.

– Oni mnie wysłali, musiałem... – wymamrotał z przerażeniem. – To już nie pierwszy raz. Ostatnio Żanka dała po pysku towarzyszowi Chrestuńskiemu, no i się porobiło...

– Pójdę już – wymamrotała niepewnie dziewczyna.

Wyglądało, jakby Elena chciała zaprotestować, uciszyłem ją jednym spojrzeniem. Pod koniec wojny musiałem przeprowadzić z panną Szewieliewą rozmowę na temat ratowania germańskich dziewczyc przed losem gorszym od śmierci. Nie ma co ukrywać – w dość stanowczym tonie. Widać zapamiętała...

– Co za Chrestuński? – spytałem bez większego zainteresowania, kiedy za kelnerką zamknęły się drzwi.

Konduktor przełknął nerwowo ślinę, rozejrzał się niczym zapędzony w kąt szczur. A przecież odpowiedź na proste w końcu pytanie nie powinna sprawiać mu problemu. Ciekawe...

– No?

– MGB – wyszeptał wreszcie.

Zmarszczyłem brwi: zbieg okoliczności? Co prawda z relacji konduktora wynikało, że ów Chrestuński nie pierwszy raz podróżuje pociągiem Moskwa – Saratow via Tambow, a więc raczej nie ma nic wspólnego ze mną, ale kto wie? Lepiej sprawdzić. Nie wierzyłem w przypadki.

– On pracuje w Moskwie? – kontynuowałem.

– Nie, w Tambowie.

Złożyłem usta do bezgłośnego gwizdnięcia. Nawet jeśli to rzeczywiście przypadek, grzech byłoby nie skorzystać. Na pewno bezpieka w takiej dziurze jak Kotowsk podlegała MGB pobliskiego Tambowa.

– Funkcja?

– Jest naczelnikiem tambowskiego oddziału Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

No to rzeczywiście figura, nic dziwnego, że zajął z kumplami cały wagon i zażądał ekstraobsługi. Cóż, trzeba będzie pogadać z towarzyszem naczelnikiem...

– Elena, przypilnuj tego tutaj – poleciłem. – Nie wypuszczaj go, dopóki nie wrócę.

Panna Szewieliewa posłusznie skinęła głową, prawą dłoń wsunęła do torebki.

– Pospieszcie się, *komandir* – poprosiła.

Westchnąłem ciężko, lecz nie podjąłem dyskusji. Szkoda czasu, Elena i tak się nie zmieni. A skoro mam pokazać Chrestuńskiemu, kto tu rządzi, równie dobrze mogę to zrobić, zanim nieznana mi bliżej Żannoczka straci cnotę...

Dwa najbliższe wagony nie wyglądały na zajęte przez elitę, ot, ludzie jak ludzie: paru wojskowych, chłopci w walonkach i kufajkach, kilku urzędasów, wysztafirowana panienka w fikuśnym kapeluszu, wreszcie trzech urków z wytatuowanymi na palcach pierścieniami. Nic nadzwyczajnego. Wagon restauracyjny okupowała już nieco inna klientela, tu było zdecydowanie więcej palt i garniturów niż waciaków, a bufet obsiadł młody aktyw partyjny, dyskutujący – a jakżeby inaczej! – o geniuszu towarzysza Stalina. Przyspieszyłem kroku, szarpnąłem kolejne drzwi. No, wreszcie! Drogę zastąpił mi zwalasty mężczyzna o ponurej, ospowatej twarzy. Ani chybi strażnik pilnujący, aby motłoch nie podglądał uciech, jakim oddawały się partyjne elity. Pokazałem wydane przez Stalina upoważnienie, ale facet nie zamierzał niczego czytać: bez najmniejszego ostrzeżenia czy choćby błysku w oku uderzył podbródkowym, po czym sięgnął po broń. Kurwa mać! Zrobiłem unik, lecz nie dość szybko – cios i tak rzucił mnie na ścianę. Nie zważając na ból, natychmiast skoczyłem naprzód, usztywnionymi palcami zadałem cios w gardło i jednocześnie kolaniem w krocze. Zdażyłem: pistolet wypadł z bezwładnej dłoni, facet osunął się na podłogę, usiłując sięgnąć do kołnierzyka. Cóż, trochę za późno, przyjacielu, pomyślałem. Zmiażdżone chrząstki spowodują opuchliznę, która niedługo cię zabije, i nie będzie to przyjemna śmierć. Rozpięcie paru guzików w niczym ci nie pomoże...

Przestąpiłem obojętnie przez umierającego i pospieszyłem dalej. Wokół rozlegały się wrzaski i pijackie śpiewy, najwyraźniej specpasażerowie świetnie się bawili. Tylko w jednym przedziale panowała cisza, a szyba zasłonięta była firankami. Oto i cel mojej wędrówki...

Dwóch mężczyzn trzymało rozebraną do naga kelnerkę, trzeci ściągał spodnie. Kopnąłem go w tyłek bez specjalnej brutalności, ot tak, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Kiedy odwrócił się, podtrzymując opadające gacie, podsunąłem mu pod nos dokumenty wydane przez kancelarię Stalina.

– Chrestuński?! – warknąłem, nie ukrywając zniecierpliwienia.

– Ja...

– Mam powtórzyć pytanie?!

– Tak, to ja – odparł, dopinając spodnie.

Nie był specjalnie otyły, jednak nalana twarz i cienie pod oczyma świadczyły, że nie odmawia sobie ani jedzenia, ani picia. Jak to bezpieczniacy. Przypadek Żannoczki dowodził, że folguje sobie i w kwestiach damsko-męskich. Na wzór towarzysza Berii. Ten też nie przejmował się znaczeniem słowa „nie”...

– Puśćcie dziewczuchę i jazda stąd! – zwróciłem się do akolitów Chrestuńskiego.

Mężczyźni zniknęli w mgnieniu oka, najwyraźniej i oni zdążyli zerknąć na moje papiery. Pobladła kelnerka skuliła się w kącie, zasłaniając piersi.

– A ty ubieraj się i zmiataj! – poleciłem szorstko. – Żwawo!

Dziewczyna narzuciła na siebie to, co zostało z jej ubrania, i opuściła przedział chwiejnym krokiem. Wreszcie zostaliśmy sam na sam z towarzyszem Chrestuńskim...

– Nazywam się Razumowski, prowadzę dochodzenie na rozkaz generalnego sekretarza. Jak widzieliście, moje pełnomocnictwa pochodzą bezpośrednio od towarzysza Stalina – zagałem.

Chrestuński gorliwie skinął głową.

– Co to za sprawa? W czym mogę pomóc? Ja... My dla towarzysza Stalina...

– Nie macie dopuszczenia do informacji tej wagi – uciałem zimno. – Niemniej jednak jest coś, co musicie wyjaśnić. Niedawno zmarła moja ciotka, Irina Konstantinowna Razumowska. W Kotowsku. Kotowsk to wasz rejon?

Chrestuński przytaknął z ociąganiem.

– Nie dostałem zawiadomienia o jej śmierci, mimo że odpowiednie organy powinny się tym zająć, bo jestem jej jedynym krewnym. Ciotka zostawiła mieszkanie, być może, w tym sedno problemu... Jeśli okaże się, że to sabotaż, rozumiecie: sabotaż skierowany personalnie przeciwko mnie, będę musiał uwzględnić to w meldunku dla towarzysza Stalina. Wraz z oceną miejscowych organów bezpieczeństwa...

Przez chwilę myślałem, że Chrestuński zemdleje. Twarz pokryła mu niezdrowa, apoplektyczna purpura, pot zalewał oczy, facet łapał powietrze niczym wyjęta z wody ryba. Tak to już u nas jest: jeszcze przed chwilą wydawało mu się, że jest panem świata (i Żannoczki), a teraz zastanawia się, czy dożyje do następnego tygodnia...

– Nic o tym nie wiedziałem! – zapewnił drżącym głosem. – Ale natychmiast... Jak tylko dojedziemy do...

– Postarajcie się! – przerwałem bezceremonialnie. – Macie czas do jutra, znajdziecie mnie w mieszkaniu ciotki. I jeszcze jedno: zróbcie coś z tym osiłkiem, który pilnował wejścia do wagonu.

– Pilnował?

– Umiera. A może już umarł? Zaatakował mnie, mimo że pokazałem mu dokumenty. Jak myślicie, towarzysz Stalin ucieszy się, kiedy zamelduję, że funkcjonariusze MGB z Tambowa mają gdzieś jego polecenia?

– Ja...

– A dziewczę zostawcie w spokoju. I w ogóle podobne rozrywki. Bo najwyraźniej nie wystarczy wam czasu, żeby zajmować się swoimi obowiązkami.

Odszedłem, nie czekając na odpowiedź, nie interesowały mnie wyjaśnienia Chrestuńskiego. Bo i o czym tu gadać? Bezpieczeniak wiedział, że jeśli doniosę o jego zachowaniu, resztę życia spędzi w łagrze. I to bynajmniej nie dlatego, że sprzeniewierzył się zasadom moralnym czy złamał przepisy – dla większości pracowników bezpieki słowo „moralność” stanowiło jedynie hasło w słowniku, a i z przestrzeganiem przepisów bywało różnie. Po prostu podpadł komuś, kto może rozduśić go jak pluskwę, to wystarczy...

Konduktor dalej kulił się w kącie przedziału, a Elena nadal siedziała, trzymając dłoń w torebce, ale nie dałem się nabrać: kolejarz wyglądał, jakby wpadł pod ciężarówkę. Nie żeby przybyły mu jakieś siniaki w widocznych miejscach – panna Szewieliewa nie popełniała takich błędów – jednak jego poza i wysilony oddech świadczyły, że utrzymuje się na granicy utraty przytomności. Najwyraźniej dziewczyna postanowiła mu pokazać, co sądzi o stręczeniu kobiecego personelu wpływowym podróżnym...

– Wynocha! – burknąłem.

Nie musiałem dwa razy powtarzać, konduktor natychmiast runął do wyjścia. Prawda, że zgięty wpół i trzymając się za nerki...

– Głupie dziewczyszysko!

Elena przybrała niewinną minę – a miała w tym sporą wprawę, bestia! – i odłożyła torebkę.

– Ja?

– Ty! Musiałaś go łać?

– Chętnie bym się z wami zamieniła, wiecie: wy konduktora, a ja Chrestuńskiego.

Roześmiałem się mimo woli – a to dobre! Znając podejście Eleny do gwałcicieli, towarzysz Chrestuński miałby szczęście, gdyby tylko stracił pewną część anatomii, szczególnie ważną dla każdego mężczyzny...

– Co z Żaną? – spytała.

– Jak to co? Ocaliłem jej cnotę, tak jak chciałaś.

Pocałowała mnie w policzek. Szturchnąłem ją karcąco łokciem, ale bez najmniejszego gniewu. Oboje wiedzieliśmy, że nie mam jej za złe ani obicia konduktora, ani wstawienia się za kelnerką. Ja też nie przepadałem za gwałcicielami.

– Do Tambowa jeszcze dwie godziny – powiedziała. – Trzeba czymś się zająć.

– Masz jakąś propozycję?
– W zasadzie tak. Co powiedzielibyście na akt? – zaproponowała z szelmowskim błyskiem w oku. – Wiecie, dla pani von Bredow. Podobno niedawno spotkaliście się z jej synem. Moglibyście wysłać jej w prezencie swoją podobiznę. A ja bym się postarała, wiecie, mogłabym was nie tylko narysować, ale to i owo przerysować...



Mieszkanie ciotki wydało mi się mniejsze niż w czasach dzieciństwa, choć i tak spore, jak na samotną kobietę bez układow: dwa pokoje, kuchnia i mikroskopijna łazienka. Luksus. Nie zauważyłem niczego niezwykłego. Dywany, meble i sprzęty domowe były dobrej jakości, lecz miały swoje lata. Żadnych złocień, portretów cara czy walających się w szufladach carskich rubli. Odetchnąłem.

– Trochę to wszystko kontrrewolucyjne – stwierdziła z namysłem Elena.
– Zwariowałaś?! Przyznaję, że chałupa wygląda zadziwiająco zasobnie, ale część mebli pochodzi z domu moich rodziców. Pewnie ojciec splądrował jakiś pałacyk czy dwa zaraz po rewolucji. Wtedy wszyscy tak robili. – Wzruszyłem ramionami.
– Wątpię – odparła Elena. – Wiecie, w Akademii mamy wykłady z historii sztuki i pokrewnych dziedzin. Poznałam od razu te meble.
– Nie rozumiem, przecież one nawet nie pasują do siebie!
– Zgadza się. Na przykład te trzy krzesła są z jednego kompletu, a biurko wykonano w zupełnie innym stylu. Tylko wiecie co? Wszystko wyszło z pracowni jednego człowieka, mistrza Nikołaja Sybirskiego. Dostawcy carskiego dworu...

– To jakiś żart? – spytałem niepewnie.
Dziewczyna pokręciła głową.
– Niestety nie.
– No dobrze, niech będzie, to rzeczywiście zastanawiający fakt. Jednak...
– Rzecz nie tylko w meblach – przerwała mi Elena.
– Co jeszcze?
– Zwróciliście uwagę na obrazy?
Zmarszczyłem brwi, przyjrzałem się ozdabiającym ściany portretom: kilka kobiet w sukniach z zeszłego wieku i paru poważnie wyglądających gentlemanów z bokobrodami. Zapewne ostatni krzyk dziewiętnastowiecznej mody.
– Co w nich niezwykłego?
– Przede wszystkim to wasi przodkowie...
– Zwariowałaś?! Nie jestem ani trochę podobny do żadnego z tych zarośniętych szympansów!

– Bo nie macie bokobrodów. Ktoś specjalnie dobrał takie, a nie inne portrety. Jednak kształt czaszki i rysy twarzy nie budzą żadnych wątpliwości: to wasi krewni. Wierzcie mi, znam się na tym.

Zagryzłem wargi – ostatni argument był nie do odbicia, wśród wykładowców Akademii Elena cieszyła się opinią wybitnie utalentowanej. No i nie raz sam widziałem, co potrafi. Czyżbym rzeczywiście miał jakichś szlacheckich przodków? Szlag...

– To Razumowscy?

– Na pewno nie – odparła zdecydowanie. – Nie macie nic wspólnego z tą rodziną, sprawdziłam.

– A to kiedy?!

– Już dawno. Z ciekawości. To bardzo znana familia, podobizny Razumowskich rozpoznałby każdy historyk.

– Ale moje nazwisko...

– To tylko wybieg, nic więcej. Pułapka w pułapce. Załóżmy, że wasza rodzina rzeczywiście pochodzi z arystokracji...

– Nie szlachty? Od razu z arystokracji? – spytałem ubawiony.

– Z arystokracji – powtórzyła zdecydowanie. – W jaki sposób najlepiej to ukryć? Można oczywiście zmienić nazwisko na „proletariackie”, lecz to dość zawodna metoda. Czasem wystarczy słowo lub gest, żeby wzbudzić wątpliwości wśród znajomych, a o donos u nas nietrudno... Lepiej przybrać nazwisko arystokratyczne, ale fałszywe. Ktoś zechce sprawdzić? Proszę bardzo! Niech szuka związków z rodziną Razumowskich...

– Bzdury! Mój ojciec arystokratą? Był taki... zwyczajny. Po czorta od razu zakładać, że istnieje jakiś spisek? Może to wszystko zbieg okoliczności? Meble zrabowane z carskiego pałacyku, a portrety może i podobne, ale niemające żadnego związku z moją rodziną. Kto wie? Może ojczulek specjalnie takie wybrał? Dla żartu.

– Oczywiście – odparła ironicznie Elena. – Te męskie „poprawił” też dla żartu.

– Gadaj normalnie! – warknąłem zirytowany. – Co znaczy „poprawił”?

– Zauważyliście, że wszystkie kobiece portrety mają te same rozmiary i identyczne ramy? Nie, nie wyszły spod pędzla jednego malarza! Jednak widać, że ktoś starał się, aby pasowały do siebie.

– Owszem, i co z tego?

– Męskie są nie tylko w różnych ramach i różnych rozmiarów, ale daje się zauważyć zaburzone proporcje. Ten przedstawia jedynie głowę, tamten urywa się tuż pod drugim guzikiem surduta.

– Wniosek?

– Po rewolucji rodziny wywodzące się z arystokracji obcinały dolną część portretów, żeby nie było widać odznaczeń. Wysokich odznaczeń, po których można

by ustalić nazwisko osoby na obrazie...

Sapnąłem gniewnie, choć nie zaprzeczyłem, trochę za dużo tych zbiegów okoliczności: najpierw ojcowska papierośnica ozdobiona symbolem elitarnego carskiego pułku, teraz meble i obrazy. Cóż, być może, nie znałem swoich rodziców tak dobrze, jak mi się wydawało... Myśl, że ojciec był kimś więcej niż tylko buchalterem w kołchozie „Czerwony Sztandar”, nie budziła mojego zachwytu, jednak musiałem wziąć pod uwagę i taką możliwość. Cóż, nikt nie jest nieomylny, grunt, żeby nie tracić czasu na obronę błędnych przekonań, bo bywa, że liczy się każda minuta. Tak jak teraz...

– W porządku, niech ci będzie. Tak czy owak, trzeba przeszukać chałupę. Ja zajmę się pokojami, ty łazienką i kuchnią. Do roboty! – rzuciłem szorstko.

– Nie wiecie przypadkiem, gdzie wasza ciotka trzymała gumowe rękawice? – spytała markotnie dziewczyna.

– Ostatni raz widzieliśmy się kilkanaście lat temu – odparłem zgodnie z prawdą.

Elena wywróciła cierpiętniczo oczyma, jednak posłusznie wyszła z pokoju. Przeszukiwanie łazienki to brudna robota, no cóż, sama tego chciała: gdyby nie jej uwagi, nawet bym o tym nie pomyślał.

Tymczasem sam zacząłem od biurka. Nie wyglądało, aby solidny mebel posiadał jakieś skrytki, ale lepiej sprawdzić, niż później żałować. Opukałem blat i ścianki, zbadałem, czy nogi są przymocowane na stałe. Niczego nie znalazłem. W sumie nie ma się czemu dziwić, jeśli Elena ma rację i w mieszkaniu są jakieś skrytki, to na pewno nie takie, które dałoby się wykryć przy pobieżnym przeszukaniu.

Zwinąłem dywan, dokładnie obejrzałem wszystkie klepki. Znowu nic. Przeszedłem do szafy. Ta była jeszcze masywniejsza niż biurko. Zobaczmy: lite drewno i ani śladu głuchego pogłosu. Zastanówmy się – założmy, że jestem śledczym i prowadzę rewizję, gdzie najmniej chciałoby mi się zaglądać? Opadłem na kolana z lekkim stęknieniem, zerknąłem pod szafę. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu. Hmmm... Niby nic nadzwyczajnego – dywan nie sięgał pod szafę, a przy codziennych porządkach łatwo było pominąć to i owo, a jednak kontrast między resztą mieszkania a zaniedbanym kątem był zbyt duży. Kurz pod szafą mogła omijać leniwa służąca, a nie pedantyczna pani domu. Coś było nie tak.

Zdjąłem mundur i krzywiąc się lekko, zacząłem obmacywać mebel od spodu. W minutę później natrafiłem na lekką nierówność. Sęk w rękodziele rzemieślnika tej klasy? Jeśli, jak twierdzi Elena, Sybirski był takim mistrzem? Wolne żarty! Rzecz przypominała metalowy bolec. Po trwających w nieskończoność manipulacjach udało mi się go poruszyć. Moje starania nagrodził lekki szcęk. Znaczący mechanizm zadziałał...

Ledwo znalazłem schowek: w bocznej ścianie szafy, od wewnątrz, pojawiła się cienka jak włos szczelina. Wsunąłem w nią ostrze noża, podważyłem. W środku

znalazłem fotografię i kilkanaście odznaczeń. Zgarnąłem je wszystkie, wyłożyłem na stół.

Fotografia... Kaligraficzny, wykonany wprawną ręką napis na odwrocie nie pozostawiał złudzeń: „Lejb-Gwardyjski Keksholmski Pułk imienia Cesarza Austriackiego, 1908 rok”. Zbiorowe zdjęcie przedstawiało oddział w pełnym składzie, na oko blisko tysiąc żołnierzy. Poznałem ojca od razu – siedział w trzecim rzędzie, dwa pierwsze zajmowali muzykanci. W biurku znalazłem lupę, ale nawet z jej pomocą nie potrafiłem dojrzeć odznaczeń na pagonach. Nie żebym miał wątpliwości co do statusu ojca: był oficerem elitarnego carskiego pułku, jednego z zaliczanych do „starej gwardii”.

Odznaczenia... Pierwszy rzucił mi się w oczy Order Świętej Katarzyny. I nic dziwnego: był wysadzany diamentami. Znaczący order drugiej klasy, pierwsza klasa to brylantowa gwiazda, a przede mną leżał owalny medalion z postacią świętej i napisem *Aequant munia comparis* na rewersie. Jak wszyscy pracownicy wojennej rozwiędki wiedziałem sporo o carskich nagrodach – bywało, że naszymi wrogami byli zwolennicy dawnego reżimu. Napis oznaczał „Przez czyny równa mężowi”. Order przyznawano wielkim damom imperium za działalność charytatywną, decydowała o tym osobiście aktualna małżonka cara. W hierarchii ważności order plasował się na drugim miejscu, zaraz za Orderem Świętego Andrzeja Powołańca. Chuj by to strzelił...

Nieco spłowiałą czerwoną wstęgę ozdabiał srebrny napis: „Za miłość i ojczyznę”, dewiza orderu. Tkanina miała nie więcej niż kilkadziesiąt lat. Znaczący początek stulecia, ewentualnie sam koniec dziewiętnastego wieku. Wolałem się nie zastanawiać, kto był właścicielem orderu...

Pozostałe nie wywarły na mnie już takiego wrażenia: Order Świętego Jerzego trzeciej klasy, Aleksandra Newskiego, Świętej Anny. Nic nadzwyczajnego dla zdolnego oficera arystokraty...

Z zadumy wyrwało mnie dyskretne chrząknięcie, za moimi plecami stała Elena. Dziewczyna położyła na stole szablę, kolejną garść odznaczeń i zdjęcie.

– Dwa schowki. Jeden w kuchni, drugi w łazience – poinformowała zwięźle.

Sięgnąłem po szablę, na połączanej rękojeści wygrawerowano dwa słowa: *Za chrabrost'*. Zdjęcie przedstawiało ojca w mundurze podporucznika i kobietę we wspaniałej sukni ślubnej. A więc tak wyglądała moja matka – w domu nie było ani jednego jej zdjęcia. Zagryzłem wargi, poznałem kobietę z mojego snu, którą ujrzałem w majakach po postrzeleniu przez niemieckiego dywersanta...

– Widzicie tę suknię, *komandir*? – spytała Elena.

Potwierdziłem nieartykułowanym mruknięciem.

– Oglądałam w bibliotece stare żurnale: to wzór z początku naszego stulecia, przypomina najwytworniejsze paryskie kreacje. Tylko że jest dużo ładniejsza, wykonano ją z najwyższej jakości jedwabiu i ozdobiono haftami. Macie pojęcie, ile to

musiało kosztować?

– Zaczynam się domyślać – odburknąłem niegrzecznie.

– Wszystkie te... pamiątki można by ewentualnie potraktować jako swego rodzaju kolekcję – powiedziała niepewnie dziewczyna. – Jednak niektóre chyba lepiej zlikwidować...

Zmarszczyłem brwi. Dopiero teraz zauważyłem znak z oksydowanego srebra w formie cierniowego wieńca z mieczem. W rodzaju tych, jakie przypina się do munduru. Jasna cholera! Toż to nic innego jak pamiątkowa odznaka, którą nagrodzono uczestników „lodowego marszu” znad Donu do Kubania, ustanowiona przez generała Denikina, dowódcę „Ochotniczej Armii”! A tuż obok emblemat z trupią czaszką i mieczami oraz napisem „Korniłowcy”. To ci dopiero księgowy! Jeszcze raz pogratulowałem sobie decyzji o przyjeździe do Kotowska. Być może, darowano by mi arystokratyczne pochodzenie, ale na pewno nie ojca żołnierza Korniłowskiego Pułku Szturmowego. Weterani wojny domowej do dziś bledli na samo wspomnienie o korniłowcach. Ci podobno szli do ataku wyprostowani, nie uchylając się przed kulami, do taktu muzyki. Czerwonoarmiści często uciekali na sam ich widok lub ginęli w walce na bagnety, w czym korniłowcy byli niepokonani.

– Zastanowię się – odparłem. – Muszę... to wszystko przemyśleć.

– Zrobię herbaty – zaproponowała dziewczyna.

Podziękowałem skinieniem głowy, odruchowo wziąłem jeden z orderów: numer na odwrocie został wytrawiony kwasem. Też mi, kurwa, kolekcja! Rodzinne pamiątki, ot co! Bo nikt nie zadawałby sobie trudu niszczenia numeru, gdyby nie bał się ustalenia nazwiska właściciela.

Ledwo zasiedliśmy do stołu, rozległo się pukanie do drzwi. Ki czort? Czyżby towarzysz Chrestuński? Chyba trochę za wcześnie – zanim przejrzy akta, zanim skontaktuje się ze swoimi ludźmi w Kotowsku, zejdzie do wieczora. Z drugiej strony nieźle go zmotywowałem, wiedział, że walczy o życie. Nie pozostawało mu nic innego, jak wyjaśnić, dlaczego miejscowe władze usiłowały ukryć przede mną śmierć ciotki. A było co wyjaśniać: przedstawiciel administracji wydał mi klucze niechętnie i dopiero wówczas, gdy pokazałem mu milicyjną legitymację. Taaak, coś było na rzeczy...

Kobieta miała na oko pod sześćdziesiątkę, poorana zmarszczkami twarz świadczyła, że nie spędziła życia w luksusie, jednak schludny, choć skromny ubiór i miły, ciepły głos czyniły ją sympatyczną. Wyglądała na emerytowaną nauczycielkę albo przedszkolankę.

– Pelagia Mstisławowna Rostowa – przedstawiła się nieśmiało. – Wysłałam wam telegram.

Zaprosiłem ją gestem do mieszkania, podsunąłem krzesło. Usiadła, podziękowawszy lekkim ukłonem. Na szczęście panna Szewieliewa zdążyła uprzątnąć

ze stołu wydobyte ze skrytek przedmioty.

Dokonałem krótkiej prezentacji, zaproponowałem herbatę.

– Chętnie się czegoś napiję – powiedziała. – Czekam na was od rana.

– Nie rozumiem. Jak to czekacie?

– Spacerowałam po ulicy – wyjaśniła. – Chciałam mieć pewność, że nikt was nie śledzi.

– A to dlaczego?

Rostowa przyjrzała mi się z niepokojem, widać było, że się boi, ale nie ponaglałem jej.

– Wiecie, w ostatnich latach zaprzyjaźniłam się z waszą ciocią, często się odwiedzałyśmy...

– Rozumiem.

– Ona... umarła w chwilę przed moim przyjściem. Jakiś tydzień wcześniej źle się poczuła, wtedy poprosiła mnie, abym w razie czego was powiadomiła. Zależało jej bardzo, żebyście to właśnie wy przejęli mieszkanie.

No, to akurat nic dziwnego, zważywszy na rodzinne... pamiątki.

– Tymczasem zaraz po tym, gdy odkryłam jej zwłoki, pojawiła się karetka, rozumiecie, zanim zdążyłam gdziekolwiek zadzwonić. Tak jakby wiedzieli, gdzie i kiedy przyjechać – kontynuowała. – W dodatku...

– Tak?

– Razem z medykami przyjechało kilka osób z miejscowego MGB, nie przedstawili się, ale poznałam ich od razu. Kotowsk to niewielka miejscowość, tu wszyscy wiedzą, kto czym się zajmuje. Ci ludzie byli bardzo zdenerwowani. Jakby się czegoś bali...

– Bezpieczniacy? – upewniłem się.

Przytaknęła.

– Przeszukiwali dom? – spytałem szybko.

– Nie, odniosłam wrażenie, że pilnują, żeby jak najszybciej wywieźć... Irinę Konstantinownę. Rozumiecie, do kostnicy. I od razu zabrali mi klucze. Irina mi ufała, czasem, kiedy musiała wyjechać, podlewałam jej kwiatki.

– Czy lekarze powiedzieli coś na temat przyczyny śmierci?

– Tak, stwierdzili, że to zawał. Pewnie to prawda, bo Irina skarżyła się na serce.

– Zarządzono sekcję zwłok?

– Nie mam pojęcia – odparła, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

– Kiedy pogrzeb?

– Jutro.

– Co o tym wszystkim sądzicie?

Nie odpowiedziała od razu, najpierw zamieszała herbatę, odłożyła starannie łyżeczkę – dziwna rzecz, bo przeważnie nikt nie zawraca sobie tym głowy – po czym upiła kilka łyków.

– Chyba chodzi o mieszkanie – odezwała się z wahaniem w głosie. – Jest tu taki... urzędnik. Przewodniczący komisji lokalowej. Podobno robi różne szwindle z mieszkaniami zmarłych, którzy nie mają na miejscu krewnych.

– A skąd tu czekał ci?

Kobieta skrzywiła się, jakby rozgryzła coś nieprzyjemnego, najwyraźniej nie przypadło jej do gustu użyte przeze mnie określenie. Czyżby było zbyt... kolokwialne? No ale czego można się spodziewać po arystokracji z kilkuminutowym stażem? Mało nie parsknąłem śmiechem, choć sytuacja wcale nie była zabawna.

– Oni się znają – wyjaśniła. – Robią rozmaite... interesy. Poparcie MGB gwarantuje miejscowym kombinatorom bezkarność.

– Rozumiem. Dziękuję za informacje.

– Nie ma za co, oni i tak robią, co będą chcieli – powiedziała gorzko.

– Nie tym razem – zapewniłem. – Jeszcze jedno, czy moglibyście zaopiekować się mieszkaniem ciotki? Bo ja muszę wracać do Moskwy, a wolałbym, żeby nie szarogęsił się tu nikt obcy.

Wyraz twarzy Rostowej upewnił mnie, że kobieta zrozumiała aluzję, widać ciotka szepnęła jej to i owo, choć pewnie nie wtajemniczyła w rodzinne... sekrety.

– Teoretycznie i owszem. Mieszkam kilka domów dalej, jednak nie dam rady ich powstrzymać, jeśli zechcą po waszym wyjeździe zabrać mieszkanie. Tym bardziej że nie jestem nawet krewną Iriny Konstantinowny.

– Pozostawię wam odpowiednie pełnomocnictwa – obiecałem.

– Cóż, jeśli tak, chętnie zajmę się mieszkaniem Iriny.

Wyciągnąłem z kieszeni marynarki paczkę sturublowych banknotów, położyłem na stole.

– To na koszty.

– Nie mogę tego przyjąć, tu musi być kilkanaście tysięcy. – Kobieta odsunęła pieniądze.

– Tylko pięć – sprostowałem. – Bądźcie rozsądni, przecież nie mogę od was żądać, żebyście dokładali do tej chałupy z własnej pensji! Być może, trzeba będzie przeprowadzić jakieś naprawy, a i wasz czas się liczy...

– Przecież mogłabym to wziąć i uciec. Powinniście być ostrożniejsi! – pouczyła mnie z troską.

– Moja ciotka wam ufała, a ona znała się na ludziach. No i nie wyglądacie mi na oszustkę...

Nie dodałem, że gdyby rzeczywiście uciekła z pieniędzmi, odszukanie jej zabrałoby mi dwa, góra trzy dni. Nie więcej. I że żadne pieniądze nie są warte, żeby dla nich ryzykować życie.

– No dobrze – westchnęła. – Jeśli nalegacie...

– Nalegam.

Wstała z zastanawiającą w jej wieku gracją, pożegnała mnie przyjaznym skinieniem. Taaak, tego nie uczą na kursach dla kołchożnic. Podejrzewałem, że i znajoma mojej ciotki miała interesującą przedrewolucyjną przeszłość. Z takim wdziękiem poruszały się tylko wychowanki klasztornych szkół albo *Institutow Błogorodnych Diewic*. Trochę szkoda, że już tego nie uczą...



Towarzysz Chrestuński odwiedził mnie dopiero około północy. Ponieważ trudno go było podejrzewać o opieszałość, należało przypuścić, że sprawa się skomplikowała. Ech, jeszcze tego mi brakowało...

– Meldujcie – rzuciłem krótko, kiedy tylko usiadł za stołem.

Błada, spotniała twarz bezpieczeniaka świadczyła, że nie myliło mnie przecucie: coś było nie tak.

– No, dalej! – ponagliłem. – Po czorta wasi ludzie tu przychodzili? Rozpracowywali moją ciotkę?

– Skąd! – zaprzeczył natychmiast. – Nic z tych rzeczy! I nie chodziło o mieszkanie. Mamy akta waszej ciotki i wiemy, kim jesteście. Nikt by się nie ośmielił.

– Więc w czym rzecz?

Chrestuński otarł szeroki kark przybrudzoną chustką, pot nieustannie zalewał mu brwi.

– Do Kotowska przyjechał jeden z ludzi towarzysza Berii.

– I co z tego?

– To wzbudziło czujność u miejscowych, rozumiecie, wystraszyli się, że to jakaś niezapowiedziana kontrola...

– Nazwisko?

– Nie wiem, nasi ludzie tego nie ustalili, nikt nie palił się, żeby go legitymować. Rozpoznano go przypadkiem, bo dowódca miejscowego oddziału MGB widział go na Łubiance w towarzystwie Ławrentija Pawłowicza. Kilka lat temu.

– I?

– Śledzono go. Bardzo, bardzo dyskretnie. On odwiedził waszą ciotkę...

– Co takiego?!

– Odwiedził ją – powtórzył bezradnie Chrestuński.

– Może zauważył ogon i wszedł do pierwszego lepszego mieszkania?

– Wątpię. Widzicie, w Kotowsku pracuje niejaki Watutin. Kapitan Watutin. Swego czasu był gwiazdą wydziału inwigilacyjnego w Moskwie, prowadził szkolenia i wykłady. Przeniesiono go tu po skandalu korupcyjnym. To nie jest człowiek, który

dałby się zauważyć.

– No dobrze, jednak skąd to zainteresowanie MGB moją ciotką i dlaczego nie powiadomiono mnie o jej śmierci?

– Szef miejscowego oddziału, niejaki Paniewicz, doszedł do wniosku, że lepiej was nie informować. Na wszelki wypadek.

– Nie rozumiem.

– Nie był pewien, czy zmarła własną śmiercią...

Zamroczyło mnie jak po uderzeniu w splot słoneczny, lecz zmusiłem się do chłodnej kalkulacji. Gdyby bezpieka wiedziała o przedrewolucyjnej przeszłości mojej rodziny, siedziałbym teraz na Łubiance niezależnie od wydanych przez Stalina pełnomocnictw. I nikt by nie wysyłał ukradkiem agentów, załatwiono by to oficjalnie. A nie było żadnego innego powodu, dla którego ciotka mogłaby zainteresować Abakumowa czy Berię. Obaj wiedzieli, że nie kontaktowałem się z nią całe lata. Chociaż lepiej to sprawdzić.

– Obejrzał ją lekarz?

– Pobieźnie. Żadnych śladów przemocy – dodał, uprzedzając kolejne pytanie. – Ale jeśli chcecie, zarządzę sekcję zwłok.

– Owszem. I chcę przy tym być.

– Jak sobie życzycie...



Lekarz sądowy był młody i arogancki, ale zauważyłem, że nie brakuje mu doświadczenia. Uczestniczyłem w wielu sekcjach zwłok i potrafiłem docenić wykonywane z nonszalancką maestrią czynności: otwarcie jamy brzusznej, piersiowej, czaszki...

– Czego mam szukać? – odezwał się medyk, kiedy odłożył narzędzia. – Bo na pierwszy rzut oka wszystko jest w porządku. Widać, że nieboszczka miała problemy z sercem.

Zacisnąłem zęby, nie było sensu straszyć go tylko dlatego, że nie przejmował się zgonem nieznanym mu przecież osoby.

– Zbadajcie plamy opadowe – poleciłem.

Zrozumiał od razu, o co chodzi, wykonał kilka nacięć. Często powstałe za życia siniaki przypominają do złudzenia plamy opadowe, jednak kiedy wykona się głębokie nacięcie, widać wyraźnie różnice: tkanka podskórna w siniakach ma intensywny ciemnoczerwony kolor.

– Wszystko w porządku – zameldował.

– Analiza toksykologiczna?

– Mogę zbadać krew z żyły udowej, choć starsza pani nie wygląda mi na alkoholicką – odparł wesoło. – Do tego pobiorę całą resztę, ale analiza trochę potrwa.

– Bierzcie się do roboty! – poleciłem.

Blady jak ściana Chrestuński obserwował z wyrazem obrzydzenia, jak lekarz pobiera treść żołądkową, a później zabiera się do jelit. Odesłałem go gestem, jeszcze mi się tu porzyga, pieprzony delikatniś...

Tymczasem medyk pracował metodycznie, niczym na egzaminie: treść i ścianka jelita cienkiego, nerka, wątroba, żółć...

– Dobrze to znosicie, towarzyszu – rzucił mimochodem, nie odwracając głowy. – Większość ludzi na waszym miejscu starałaby się znaleźć jak najdalej stąd.

– Przyzwyczailem się, choć tak czy owak, nie jest to moje ulubione zajęcie – odparłem sucho.

– Wyobraźcie sobie, że moje też nie. Byłem obiecującym chirurgiem.

– Co się stało? – spytałem bez specjalnego zainteresowania.

– Mój kolega zrobił skrobankę córce pewnego urzędnika. Spaprał robotę i dziewczucha dostała krwotoku. Miałem wtedy dyżur, przybiegł do mnie po pomoc. Zabrałem się do ratowania dziewczyny, a on w tym czasie zadzwonił na milicję i do tatusia. Zastali mnie nad ciepłym jeszcze trupem...

– Życie jest ciężkie – odparłem z udanym współczuciem.

Tym razem lekarz zaszczycił mnie spojrzeniem, ale, o dziwo, nie wyglądał na rozgniewanego.

– Bywa – potwierdził. – To wasza krewna?

– Skąd wam to przyszło do głowy?

– Rysy twarzy. Macie takie same kości policzkowe i kształt nosa. Więc?

– Owszem, to moja ciotka.

– Zarządziliście tę sekcję tak sobie, dlatego że możecie, czy macie konkretne powody, aby podejrzewać, że coś jest nie tak?

– To drugie.

– Zrobię, co w mojej mocy, ale sami rozumiecie, na tym zadupiu nie przeprowadzę nawet połowy potrzebnych analiz.

– Co o tym sądzicie?

– To raczej wy powinniście się zastanowić.

– Nie rozumiem...

– Uważam, że ten przypadek powinno się wyjaśniać raczej drogą logicznego rozumowania niż sekcji zwłok. Oczywiście zbadam próbki tkanek, lecz moim zdaniem są dwa wyjścia: albo zabito ją w pośpiechu i wtedy analiza coś wykaże, bo morderca nie miał czasu specjalnie kombinować, albo to robota zawodowca i wtedy badania na nic. Tacy ludzie nie zostawiają śladów. Przeciwno pierwszej wersji

przemawia brak śladów przemocy, bo po czorta używać na przykład trucizny, która zostanie wykryta przy rutynowych badaniach? Nie lepiej pogrzebacza? Skutek będzie ten sam... Jeśli to zawodowiec, niczego nie udowodnimy. I tu właśnie miejsce na logikę: tylko wy wiecie, czy ktoś miał interes w zabijaniu waszej ciotki.

Zastanowiłem się nad słowami lekarza. W sumie niby racja, ale...

– Nie miało być żadnej sekcji – przypomniałem. – Gdyby nie przypadek, dowiedziałbym się o jej śmierci nie wcześniej niż za miesiąc, o ile nie później, a wtedy nie zostałyby już wielu śladów.

– Rozumiem, że miejscowe władze postanowiły nie zawracać wam głowy?

– Owszem.

– Czy hipotetyczny morderca mógł to przewidzieć?

– Raczej nie – przyznałem. – No dobrze, skończcie tu sami, ja muszę się zbierać.

Ile czasu potrzeba wam na analizy?

– Pobieżne: trzy dni. Dokładne: tydzień.

Wyrwałem kartkę z notesu, zapisałem swój adres i numer telefonu, położyłem na stoliku przy wejściu.

– Informujcie mnie na bieżąco – poleciłem.

– Tak jest! – Medyk zamarkował salut dłonią w upapranej na czerwono rękawicy.

Wyszedłem, energicznie zatrzaskując za sobą drzwi, nadstawiłem twarz na podmuchy lodowatego wiatru. Niby zwykła sekcja, jakich widziałem dziesiątki, a jednak żółć podchodziła mi pod gardło niczym nowicjuszowi. Żeby się tylko nie porzygać, bo wstyd: nieopodał służbowej pobiedy dreptał wyraźnie zmarznięty Chrestuński.

– Co robimy? – spytał.

– Podwieźcie mnie do mieszkania ciotki, a później na dworzec.

– Wsiadajcie! – zaprosił gestem.

Ulga, jaka odmalowała się na twarzy bezpieczniaka, świadczyła, że nie ma nic przeciwko zakończeniu mojej wizyty w Kotowsku. Cóż, niech mu będzie. Bogiem a prawdą miałem większe problemy. Prawdę powiedziawszy, dużo większe.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zołnierze stali w dwuszerogu, pozornie nieczuli na ukąszenia lodowatego wiatru. Padał śnieg. Siemionow po raz kolejny zlustrował każdego z osobna, wreszcie podjął decyzję.

– Do wozów! – zawołał.

Wskoczyłem na siedzenie gazika, kolumna ruszyła naprzód: dwie ciężarówki, nasz gazik, trzy samochody pancerne BA-64. No cóż, nadszedł czas, żeby porozmawiać z towarzyszami z więzienia we Włodzimierzu. Tyle że tym razem wybrałem się z wizytą w większym towarzystwie...

Zacisnąłem dłonie, sprawdziłem magazynek automatu. Nie spodziewałem się walki, wystawione przez Stalina dokumenty upoważniały mnie do aresztowania każdego pracownika MGB, a ludzie Siemionowa dopilnują, żeby obyło się bez incydentów, ale strzeżonego...

Z zadymki wyłonił się masyw więzienia, pojazdy rozjechały się na boki, utrudniając celowanie ewentualnemu przeciwnikowi. Rutyna, bo przecież miejscowi klawisze...

Siemionow wyskoczył w biegu i stanąwszy na wprost bramy, skrzyżował ręce nad głową w geście oznaczającym tyle co: „Odwrót!”. Cholera, ledwo go widać w tej zawiei. Co on wyprawia?

W sekundę później i ja usłyszałem basowy pomruk. Zerwałem się na równe nogi i powtórzyłem gest Siemionowa. Może mnie zauważą! Kurwa mać!

Huk do złudzenia przypominał odgłos gromu, jedna z pancerek stanęła nagle

w ogniu, zamieniając się w stos płonących blach, niczym uderzona pięścią Boga. Drugi wóz wyprysnął naprzód, taranując bramę. Na moment wszystko zdominowało ujadanie karabinu Diegtiariowa. Zagryzłem wargi: chłopaki dali nam szansę. Za cenę własnego życia... Nie musiałem wydawać polecenia kierowcy, ten zawrócił z takim impetem, że mało nie wypadłem. Szlag! Ile czasu może dać nam lekko opancerzony wóz? Dziesięć? Piętnaście sekund? Nie więcej niż dwadzieścia, nie w walce z czołgami...

– Siergiej! – wrzasnąłem. – Siergiej!

Siemionow wskoczył w bieg, cisnąłem w stronę bramy podany przez kierowcę granat. W samą porę, bo zamajaczył tam jakiś potężny kształt. Pewnie nawet nie uszkodziłem nacierającego czołgu, ale może będą ostrożniejsi?

– Gazu! – zawył Siemionow. – To szczuka!

Skurczyłem się, chroniąc za cienką blachą gazika – bezsensowny odruch, ot, coś jak tarcza z gazety. Ciężkie czołgi typu IS-3, nazywane popularnie „szczupakami” ze względu na kształt pancerza, dysponowały studwudziestodwumilimetrową armatą. Ich pociski przebijały stalowy pancerz grubości stu dziesięciu milimetrów z odległości półtora kilometra.

– Jeśli taka pogoda utrzyma się jeszcze trochę, to mamy szansę – powiedział nieco spokojniejszym tonem Siemionow.

Przytaknąłem posepnie, nie zdejmując palca ze spustu automatu. Kilka minut później zatrzymaliśmy się na chłostanej śnieżną zadymką drodze. Dwóch żołnierzy z panzerfaustami przyczaiło się na poboczu, inni zrywali kostkę brukową. Miałem nadzieję, że Siemionow nie liczy za bardzo na „pancerne pięści” – pancerz czołowy „szczupaków” oscylował pomiędzy dziewięćdziesiąt a sto dwadzieścia milimetrów, a duże nachylenie płyt pancernych zwiększało jeszcze jego skuteczność. Gdybym miał wybór, zdecydowanie wolałbym być w czołgu, niż próbować zatrzymać stalowego potwora pociskiem o zasięgu trzydziestu metrów. Szansa jak na wygraną w loterii – bez boskiej pomocy ani rusz. Tylko że w GRU nie było świętych, więc wątpiłem, czy On, o ile istnieje, będzie zawracał sobie nami głowę...

– Co chcesz zrobić? – spytałem.

– Ustawię AKS – odparł ponuro Siemionow. – Może to ich zatrzyma.

Pokręciłem z podziwem głową: to się nazywa paranoja! Żeby brać na akcję zatrzymania paru klawiszy nie tylko panzerfausty, ale i minę przeciwczołgową, trzeba być świrem. Inna rzecz, że być może dzięki temu przeżyjemy. Bo z oddali dochodził już ryk silników. Znaczą ściąga nas gady! Czołgi nas nie dogonią, nie ma mowy: *szczuki* rozwijały szybkość nie większą niż czterdzieści kilometrów na godzinę, ale jeśli wysłali za nami regularną grupę pościgową...

– To wystarczy na IS-a?

– Rozjebie ich w pizdu! – zapewnił Siemionow. – Mam nadzieję – dodał, widząc

mój wzrok. – Od spodu pancierz jest najsłabszy, a AKS ma sześć kilo trotylu.

– Oby! – mruknąłem. – Bo...

– Zwijamy się! – przerwał mi bezceremonialnie. – Nadjeżdżają!

Żołnierze błyskawicznie załadowali się na ciężarówki, ruszyliśmy. Na opustoszałej szosie pozostał jedynie niewielki kopczyk śniegu, musieliśmy jakoś zamaskować antenę miny. Teraz wystarczy, że ktoś na nią najedzie...

Zawieja tłumiła dźwięki, wszelkie odgłosy dochodziły do nas jak przefiltrowane przez grubą watę, ale wybuch usłyszeliśmy dobry kilometr dalej.

– Na naszą niespodziankę nadziało się coś większego – orzekł po chwili Siemionow. – Nie gazik, a ciężarówka albo *szczuka*.

Miałem nadzieję, że to czołg, ten sam, który załatwił nam pancerki. Straciliśmy nie tylko pojazdy, ale i ludzi...



Zerknąłem na zegarek: szesnasta czterdzieści. Cóż, mogło być gorzej, nie jestem generałem czy marszałkiem, a i tym przecież zdarzało się, że oczekiwali godzinami na towarzysza Stalina. Jedno było pewne – genseka nie zachwycały postępy w śledztwie i dawał mi to do zrozumienia. Ponieważ jeszcze żyłem, a nawet nie podróżowałem na koszt państwa na Kołymę, najwyraźniej miałem jakąś szansę. Nie żeby wielką...

– Razumowski!

Oficer dyżurny otworzył przede mną drzwi gabinetu, wątpiłem, żeby gensek informował go, co o mnie myśli, lecz suchy ton i pominięcie stopnia świadczyły wyraźnie, że i ochrona Kremla zdaje sobie sprawę, iż popadłem w niełaskę.

Stałem naprzeciwko biurka Stalina, zameldowałem się regulaminowo. Generalny sekretarz obrzucił mnie ponurym spojrzeniem podpuchniętych z niewyspania oczu, przesunął w moją stronę kartonową teczkę. O ile się nie myliłem, zawierała raport towarzysza Abakumowa na temat zajścia we Włodzimierzu. Nie zdziwiłbym się, gdyby skurwysyn napisał go jeszcze przed całym incydentem.

– Czytajcie! – polecił Stalin.

Przeczytałem. Tak jak się spodziewałem, raport był oskarżeniem pod adresem *wojennej rozwiadki* w ogólności i niejakiego Razumowskiego w szczególności. Zarzucano mi ni mniej, ni więcej, tylko próbę wtargnięcia siłą na teren więzienia.

– Wasz komentarz?

– To wszystko bzdury – odparłem zwięźle. – Istotnie, nie uprzedziliśmy personelu *Władimirskiego Centrala* o naszym przyjeździe, ale przecież wydane mi pełnomocnictwa na to zezwalały. Tyle że nie mieliśmy szansy pokazać im

dokumentów, bo kiedy tylko podjechaliśmy do więzienia, otwarto do nas ogień.

– I grupa szturmowa *wojennoj razwiedki* została pokonana przez paru strażników więziennych? Gratuluję, towarzyszu Razumowski!

Z trudem opanowałem przyływ wściekłości. Paru strażników? Akurat!

– Nie miałbym nic przeciwko, aby spotkać się z tymi strażnikami, albo jeszcze lepiej z ludźmi towarzysza Abakumowa w jakimś... przyjacielskim turnieju walki wręcz – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – A w więzieniu we Włodzimierzu czekali na nas nie klawisze, tylko żołnierze elitarniej dywizji pancernej i czołgi IS-3.

– Czołgi, powiadacie?

– Owszem.

– Rozumiem, że chcieliście aresztować i przesłuchać funkcjonariuszy MGB z listy Wołkowa?

– Zanim spotkają ich jakieś wypadki losowe – doprecyzowałem zjadliwie.

– I co, jesteście pewni, że ci ludzie wiedzą coś na temat córki Wołkowa? Mam na myśli konkretną wiedzę, tak żeby można było stwierdzić, czy cała sprawa to przypadek, niedbalstwo i brak profesjonalizmu funkcjonariuszy, czy też jeszcze coś innego?

– Samo stwierdzenie, że brali udział w przesłuchaniach Swiety Wołkowej...

– ...niczego nam nie daje – wszedł mi w słowo Stalin. – Bo już teraz można założyć, że brali. Inaczej nie znaleźliby się na liście. I co z tego? Powiedzą, że wykonywali rozkazy przełożonych, i tyle. A generał Parfimow nie żyje... Moglibyśmy oczywiście uzyskać od nich zeznania dotyczące samego przebiegu przesłuchań, a nawet przyznanie, że działali w spisku przeciwko mnie, towarzyszowi Berii i samemu papieżowi, tylko znowu: co nam to da? Rozstrzelać ich zawsze zdążymy...

Uniosłem głowę, w głosie Stalina zabrzmiała nowa, nieznana mi nuta. Dopiero po chwili zrozumiałem, o co chodzi: gensek się bał. Był jak człowiek, który uderzył nieposłusznego psa kijem, ale kundel, zamiast podkulić ogon, rzucił mu się do gardła. I teraz Stalin zastanawiał się, czy kontynuować walkę, czy może cisnąć kij i uciec... Co takiego mógł mu powiedzieć Abakumow? Jak zdołał go nastawić przeciwko mnie? A może to Beria? Tak czy owak, żaden z nich nie zagroziłby mu wprost. Nie ośmieliliby się. Więc o co chodzi? Myśl, Razumowski! Myśl! Jak można było zastraszyć Stalina, nie grożąc mu wprost? O cholera! To przecież oczywiste! Te gnojki musiały wykorzystać moją analizę i przypomnieć Stalinowi, że każdy kolejny trup z listy Wołkowa przybliży go do śmierci. Bo w końcu Wołkow przyjdzie i po niego. To dlatego ci klawisze byli nietykalni! Stanowili bufor pomiędzy Stalinem a Wołkowem. Szlag! Teraz ich nie dostanę. Nie pozwolą mi...

– Porucznik Renn zeznał, że przesłuchanie, a ściślej mówiąc, tortury Swiety Wołkowej filmowano – przypomniałem. – Zaznaczyłem to w swoim raporcie. Być może, któryś z pozostałych mógłby powiedzieć coś więcej na ten temat.

– A gdyby nawet? Wołkowa została zakwalifikowana jako wróg narodu, a w takich wypadkach prawo sankcjonuje użycie siły przez oficerów śledczych.

– Siła to jedna sprawa, a zakatowanie na śmierć druga. Ciekawe też, czy córce Wołkowa zadawano w ogóle jakieś pytania? Rozumiecie, towarzyszu: jakiegokolwiek? Bo jeśli nie, świadczyłoby to o tym, że MGB od początku chciało jedynie sprowokować Wołkowa.

– Generał Abakumow zapewnił mnie, że nie było żadnego filmu – Stalin uciął zimno moje dywagacje.

– I dlatego porucznik Renn popełnił samobójstwo. Czyżby komuś jednak zależało, żeby nie wypowiadał się na temat nieistniejącego filmu? Bo tylko to zdążył mi powiedzieć...

– Gdyby okazało się, że ten film jednak istnieje – odparł gensek po chwili milczenia. – Rozpatrując rzecz hipotetycznie... Tak, to zmieniłoby sytuację.

Pewnie! Ale najpierw trzeba go znaleźć. Sprawa była oczywista: Stalin nie mógł sobie pozwolić na dezorganizację resortu bezpieczeństwa z powodu paru pogłosek. Nie teraz, kiedy kraj zalewała fala przestępczości, jakiej nie widziano od lat. Z drugiej strony, jeżeli rzeczywiście filmowano Wołkową, rozkaz musiał przyjść z samej góry. A wówczas nie ma mowy o przeoczeniu, braku kompetencji śledczych czy przypadkowej śmierci, taki film świadczyłby albo o spisku, albo kompromitacji Abakumowa, a być może i Berii. Tylko najpierw trzeba – bagatela! – znaleźć taśmę filmową z przesłuchania Swiety, a potem załatwić sprawę Wołkowa. Definitywnie załatwić.

– Rozumiem, że Wołkow ma ten film? – kontynuował Stalin.

– Na pewno – potwierdziłem.

– Jak myślicie, oddałby go w zamian za gwarancje bezkarności?

– W żadnym wypadku! Ten film to jego ostatni atut na wypadek schwytania. As w rękawie. Do tego Wołkow ma świadomość, że nie będzie żadnych negocjacji, bo przecież zagroził najwyższym dostojnikom państwa. Każdą próbę kontaktu potraktuje jako zasadzkę.

– W takim razie musicie znaleźć ten film samodzielnie. Macie na to dokładnie tydzień.

Stalin nie podniósł głosu, nie zmienił wyrazu twarzy, lecz jego spojrzenie mówiło wyraźnie, że to moja ostatnia szansa. Cóż, niczego innego się nie spodziewałem...



Elena podała herbatę, siedzieliśmy wszyscy w stołowym – ja, Siemionow, Liza

Wierchońska i poeta Bugrowski. Nastrój, z oczywistego powodu, był nienadzwyczajny. No i nie dziwota: w rajdzie na więzienie straciliśmy czterech ludzi, a mnie zostało siedem dni życia, o czym przypominał każdy zegar. Tik-tak, tik-tak...

– Może pułkownik Poliakov... – zaczęła niepewnie Liza.

– Nic nam nie pomoże, nie na tym etapie – przerwałem jej bezceremonialnie. – Jeśli dowiem się, gdzie jest film, wtedy co innego.

– Macie jakieś pomysły, *komandir*? – spytała Elena z troską w głosie.

– Być może – mruknąłem. – Jest pewna możliwość...

– Tak? – ponaglił mnie Siemionow.

– Prawdopodobnie Parfimow miał w Moskwie mieszkanie. Nie mówię o służbowym, chodzi o całkiem prywatne gniazdko. Założę się, że nie wiedzieli o nim nawet ludzie z jego resortu. To nasza jedyna szansa.

– A jeśli nic tam nie znajdziemy? – odezwał się Bugrowski.

Chłopak wyglądał na zdenerwowanego, najwyraźniej zaczął się zastanawiać nad własną śmiertelnością. Albo nad tym, w jaki sposób krach dochodzenia wpłynie na jego ojca generała.

Wzruszyłem ramionami: nie ma o czym gadać. Jakby co, za tydzień będzie o jednego pułkownika mniej. Ot i wszystko...

– Myślałeś o wyjeździe?

Spojrzałem spod oka na Lizę, wyglądało na to, że mówi poważnie. Ech, kobiety...

– Złapałoby mnie w kilka dni. A wy wraz z rodzinami i znajomymi znaleźlibyście się w łagrach. W najlepszym wypadku. Bo możliwa byłaby też inna opcja: ślepy mur i pluton egzekucyjny. Zapomnij!

– Więc przeszukamy mieszkanie Parfimowa? Myślisz, że to coś da? Jeżeli rozkaz przyszedł z samej góry, na pewno mocodawca lub mocodawcy Parfimowa pilnowali, żeby film nie dostał się w niepowołane ręce.

– Bez wątpienia! Tylko że tacy ludzie jak Parfimow zwykli zabezpieczać się na wszelki wypadek. Rozumiesz: może przyjąć czas, a nie mówię tu o naszym dochodzeniu! kiedy ta taśma będzie na wagę złota. Jako dowód na łamanie prawa przez Berię lub Abakumowa.

– I po czorta to komu? – zainteresowała się Elena.

– Zastanów się – burknąłem. – Towarzysz Stalin ma już sześćdziesiąt dziewięć lat, kiedy umrze, rozpocznie się walka o władzę. Tu nie Zachód, nie wygra ten, kto dostanie największą liczbę głosów, tylko sprytniejszy i bardziej bezwzględny. I wszystkie strony konfliktu, ile by ich nie było, będą szukać haków na opozycję. A taki film to hak idealny.

– Więc myślicie...

– Myślę – przytaknąłem. – Parfimow byłby idiotą, gdyby nie sporządził własnej kopii. A idioci raczej rzadko zostają generałami.

– To co, kończymy naradę wojenną? – zaproponował Bugrowski.

Uniosłem brwi: chłopak najwyraźniej gdzieś się spieszył. Czyżby jakaś ślicznotka wpadła mu w oko? Ech, żeby tak jeszcze raz mieć dwadzieścia lat...

– Kończymy – zdecydowałem. – Nie, ty jeszcze zostań, Siergiej – powiedziałem, widząc, że Siemionow wstaje od stołu.

Poczekalem, aż wszyscy wyjdą, postawiłem na stole butelkę wódki.

– Domyślam się, że to nic przyjemnego – zagaił Siemionow.

– Owszem – przyznałem.

Rozlałem alkohol do niewielkich szklaneczek, ot tak, po sto pięćdziesiąt gramów. Ani za dużo, ani za mało.

– W czym rzecz?

– Znalezienie filmu to tylko połowa roboty, trzeba też zabić Wołkowa. Inaczej Stalin się nie uspokoi.

Po chwili milczenia Siemionow skinął potakująco głową.

– Jest tylko jeden problem: jeśli go trzasnę, wykończą mnie nasi albo Lidia Zosimowna. Jeśli tego nie zrobię, Stalin.

– Mistrzowska analiza! – pogratulował ironicznie Siemionow. – Co wymyśliłeś?

– O ile Wołkow jest naprawdę taki dobry, jak mówią, a pewnie jest, musiał przewidzieć podobny rozwój sytuacji. Znaczący konieczność sfingowania własnej śmierci. Mówią, że każdy ma swojego sobowtóra, więc pewnie i Wołkow...

– A odciski palców i dokumentacja stomatologiczna?

– To jest do przeskoczenia, nawet jeśli bezpieka ma już tego typu dane, co wcale nie jest takie pewne. Bo przecież zamierzali go ściągnąć do kraju poprzez córkę.

– Błąd. Na pewno mają. Wątpię, żeby całe akta, ale zdjęcie, odciski palców i informacje o uzębieniu na pewno. Pewnie sam Stalin kazał je przekazać bezpiece, zaraz jak znalazł się na liście Wołkowa.

– No dobrze: mają. Można je podmienić.

– A kto to zrobi? Ja nie mam takich dojsć. A może ty?

– Lidia Zosimowna – odparłem krótko.

– Zwariowałeś?! A niby skąd?

– Ona prowadzi swoją grę i Wołkow jest jej potrzebny. Żywy – podkreśliłem. – Nie wiem, w jakim celu, ale sam fakt, że potrzebuje Wołkowa, jest niepodważalny. A bezpieczeństwo można mu zapewnić tylko w ten sposób. Bo on nie może ukrywać się wiecznie, prędzej czy później wpadnie.

– Bo ja wiem? – mruknął Siemionow. – Może gdyby sfingował własną śmierć i zrobił operację plastyczną?

– No właśnie...

– Dobrze, umówię cię z Lidią Zosimowną, reszta to twój problem.

– Jasne – potwierdziłem bez entuzjazmu.

Czego jak czego, ale problemów ostatnio mi nie brakowało. Jeden więcej, jeden mniej...



Kiedy tylko wszedłem do burdelu na Twerskiej, od razu zorientowałem się, że coś jest nie tak: brakowało damskich chichotów, szmeru męskich głosów, a przy wejściu stała jedna z panienek w fartuszkach pokojówki. Przy czym ów strój nie był jedynie rekwizytem (co nie dziwiłoby w takim miejscu), lecz uniformem służbowym. Dziewczyna dygnęła skromnie, wzięła ode mnie palto i kapelusz, po czym wskazała drzwi do salonu. Cóż było robić? Skorzystałem z zaproszenia...

Ludmiła Olegowna Szwarz z kamienną twarzą siedziała przy stole. Piła kawę. Wokół krzątała się wyglądająca na góra dwadzieścia lat dziewczuszka w wytwornej sukni. Pamiętałem ją z ostatniej wizyty: należała do personelu. Pozostałe... pensjonariuszki chodziły wokół pokoju, każda ze stosem książek na głowie.

– Saszka!

No tak, dawne damy dworu także były na posterunku i najwyraźniej świetnie się bawiły. Nie widziałem tylko Nataszy.

– Przyszedłeś sprawdzić, jakie robimy postępy? – spytała figlarnym tonem Maria Aleksandrowna.

– A jakże! – odparłem z bladym uśmiechem.

Z zachowania starszych pań wywnioskowałem, że wiedzą już, kto jest właścicielem... interesu, i nie ma co ukrywać, bałem się, jak to przyjmą. Jednak nie wyglądały na zbulwersowane tym faktem. Raczej rozbawione.

– Dziewczęta uczą się poruszać z wdziękiem, podawać do stołu, prowadzić konwersację, tańczyć, opanowały też podstawowe zwroty w kilku obcych językach – zaraportowała.

– Świetnie! – mruknąłem.

– Od tygodnia nie przyjmujemy klientów – poinformowała madame Szwarz, patrząc w przestrzeń.

Uniosłem brwi. Burdelmama całą swoją osobą sygnalizowała, że jest niezadowolona ze zmian.

– Nataszka na naszą prośbę zawiesiła działalność... zakładu – pospieszyła z wyjaśnieniami Praskowia Aleksandrowna. – Uznałyśmy, że to przyspieszy proces szkolenia.

– Natasza wykonywała moje polecenia – odparłem twardo. – Jeśli ktoś nie jest zadowolony z tego, co się tu dzieje, może w każdej chwili zrezygnować z pracy.

Pani Szwarc skuliła się w krześle, a dziewczęta pobladyły, zapewne przypomniały sobie, w jaki sposób rozwiązałem stosunek pracy z ochroniarzem. Cholera! Jeszcze mi tu któraś zemdleje...

– Miałem na myśli zwyczajną rezygnację – doprecyzowałem. – Niezadowolonej wypłacę nawet miesięczną pensję.

Rozejrzałem się po pokoju: nie było chętnych.

– Ludmiło Olegowna, proszę przyprowadzić tu tę... poszkodowaną dziewczynę – poleciłem.

– Natychmiast! – obiecała, zrywając się z miejsca.

– Poszkodowaną? – zdziwiła się Maria Aleksandrowna. – Czyżby ktoś ją skrzywdził?

– Były ochroniarz.

– Co się stało?

Westchnąłem ciężko, nie miałem ochoty wtajemniczać starszych pań we wszystkie niuanse, ale z drugiej strony i tak nie dałoby się utrzymać tajemnicy w nieskończoność. Prędzej czy później dziewczuchy im opowiedzą...

– Pociął jej twarz – poinformowałem krótko. – To było zaraz po tym, jak przejąłem zakład.

– Mam nadzieję, że został ukarany! – wykrzyknęła z oburzeniem staruszka.

– Już tu nie pracuje. I nigdy nie skrzywdzi żadnej kobiety – zapewniłem chłodno.

Spodziewałem się dalszych indagacji, lecz ku mojemu zdziwieniu Maria Aleksandrowna jedynie skinęła głową. Cóż, pewnie domyśliła się, w jaki sposób rozliczyłem się z winnym. Arystokratom, którzy przeżyli rewolucję, można było zarzucić wszystko, ale z pewnością nie naiwność.

– Może napijesz się herbaty i poczęstujesz ciasteczkami? – zaproponowała starsza pani. – Przy okazji dziewczęta pokażą, czego się nauczyły.

– Dlaczego nie?

Jedna z dziewczyn natychmiast znalazła się przy mnie, stając po prawej stronie niczym wyszkolona kelnerka. Postawiła na stole dzbanek wrzątku i czajniczek z zaparzoną esencją, najwyraźniej czekając, aż sam sobie naleję. W chwilę później podała ciasteczka.

Praskowia Aleksandrowna usiadła do pianina i zagrała żywą, skoczną melodię, a dwie dziewczyny zaczęły tańczyć. Musiałem przyznać, że nieźle im to idzie: ich ruchy były płynne i pełne gracji. Zauważyłem zmiany i w innych dziedzinach – zniknęły gdzieś prostackie komentarze, głośny śmiech i wyzywające zachowanie. Ze zdumieniem stwierdziłem, że moje pracownice na pierwszy rzut oka nie przypominają już prostytutek. Na drugi nie było już tak dobrze, ale przynajmniej robiły wrażenie kokot wyższej klasy... Starsze panie musiały mieć dużo wolnego czasu i niebagatelne talenty pedagogiczne.

– I jak? – spytała nieśmiało Maria Aleksandrowna.

Wstałem i skłoniłem się im z rewerencją.

– Znakomicie! – pochwaliłem. – I nauczycielki, i uczennice otrzymają premię. Będziecie też kontynuować zajęcia, a zakład pozostanie zamknięty do odwołania.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie madame Szwarc z podopieczną. Dziewczyna nosiła kapelusz z zasłaniającą twarz gęstą woalką. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, czego doświadczyła.

– Zdejmij kapelusz – poleciłem.

Praskowia Aleksandrowna wydała cichy jęk, jej siostra zbladła, jakby miała zemdleć. Cóż, miała powody – dziewczyna nie wyglądała ani odrobinę lepiej niż ostatnio. Jej twarz pokrywały głębokie sinoczerwone szramy i sączące się rany. Dziw, że nie doszło do gangreny...

– Jak masz na imię? – spytałem.

– Bella – wyszeptła.

No tak, zdrobnienie od Izabella.

– Jeszcze dzisiaj zgłosisz się do dawnego szpitala numer trzynastie na oddział chirurgiczny. Dyrektorem jest niejaka Emma Wasiliewna Kuntze, przekażesz jej pozdrowienia ode mnie. Ona się tobą zajmie.

Dziewczyna przytaknęła posłusznie.

– Później do wydziału paszportowego – kontynuowałem. – W przyszłym tygodniu pojedziesz do Szwajcarii. Na operację plastyczną – dodałem, widząc, że patrzy na mnie ze zdziwieniem.

Zanim się zorientowałem, klęczała już przede mną, pokrywając moje dłonie pocałunkami. Podniosłem ją z kolan i wyprawiłem do szpitala, gestem nakazałem wyjść i pozostałym dziewczętom. I tak pewnie niewiele by się dzisiaj nauczyły: za dużo wrażeń.

– Ludmiło Olegowna, słyszałyście, co powiedziałem?

Burdelmama skinęła, mierząc mnie zdumionym spojrzeniem. Cóż, w tej branży rzadko kiedy okazywano komukolwiek miłosierdzie.

– Dopilnujcie wszystkiego.

– Ale paszport...

– Jeszcze dziś zadzwonię do wydziału paszportowego – obiecałem. – Będą was tam oczekiwać. Idźcie już! – burknąłem, widząc, że otwiera usta.

Nie miałem ochoty wysłuchiwać podziękowań. Nie żebym był przesadnie skromny, tyle że to bynajmniej nie miłosierdzie skłoniło mnie do zafundowania dziewczynie operacji. Cały czas tłukły mi się po głowie słowa Lizy Wierchońskiej. Te o ucieczce. Wiedziałem, że w tym momencie to nierealne: albo wygram tę partię, albo zdechnę na Łubiance. Chyba że zdążę strzelić sobie w łeb. Jednak w przyszłości... Miałem pieniądze i kontakty za granicą, jednak podstawową sprawą była zmiana

powierzchności. Nie raz i nie dwa widziałem efekty pracy naszych chirurgów i, szczerze mówiąc, nie byłem zachwycony, choć pewnie i najlepsi lekarze mieliby problemy z rekonstrukcją twarzy czołgisty lub lotnika, którą ogień zamienił w jedną bryłę spalonego mięsa. Bez brwi, nosa, warg... Z drugiej strony podobno na Zachodzie chirurgia plastyczna stała na dużo wyższym poziomie. Cóż, zobaczymy. Jeśli mała Bella wróci ze Szwajcarii podobna do ludzi, może i ja odważę się położyć pod nóż?

– Jesteś dobrym człowiekiem, Saszka. – Maria Aleksandrowna otarła oczy. – Postąpiłeś dzisiaj jak prawdziwy szlachcic i gentleman.

Nie zaprzeczyłem. Kto wie? Może w moich żyłach rzeczywiście płynie błękitna krew? Kiedyś to wyjaśnię. O ile dożyję...



Dato Petrosian położył przede mną teczkę z pieczęcią Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego i gryfem „ściśle tajne”. Zapewne prezent od Malicyna.

– Co z mieszkaniem Parfimowa? – spytałem szybko.

– W aktach osobowych jest tylko adres służbowej kwatery, za to udało nam się ustalić, gdzie miał prywatne gniazdko – odparł Dato.

Jednak mina mojego rozmówcy świadczyła wyraźnie, że jest on daleki od entuzjazmu. Pospiesznie przewertowałem dokumenty: tak jak myślałem, nie było w nich najmniejszej wzmianki o drugim mieszkaniu generała.

– W czym rzecz? – ponagliłem. – Bo nie wyglądasz na zachwyconego...

– Coś tu nie gra – powiedział, pocierając fraszobliwie skronie. – Rozumiesz, za łatwo nam poszło.

– Nie rozumiem?

– Kiedy Malicyn usiłował dowiedzieć się czegoś na temat Święty Wołkowej, od razy padły trupy. Można więc założyć, że wszystkie sprawy związane z twoim śledztwem i listą Wołkowa znajdują się pod osobistym nadzorem Abakumowa czy Berii. A może obu naraz. I bezpieczniacy otrzymali rozkaz, żeby się nie szczypać, jakby co.

Przyznałem mu rację nieartykułowanym pomrukiem, sam doszedłem do podobnych wniosków.

– Tymczasem adres tego mieszkania ustaliliśmy z dziecinną łatwością. Przy wynajmie Parfimow użył panińskiego nazwiska swojej matki. No i nikt nie starał się nam przeszkodzić: żadnych gróźb, żadnych pytań, zero reakcji...

Zakląłem wściekle, sprawa rzeczywiście wyglądała dziwnie. Błąd, a może niedopatrzenie bezpieczeństwa? Bzdura! Nie w takiej sprawie. Mógłbym się założyć, że

i Beria, i Abakumow zmobilizowali swoich najlepszych ludzi. Jeśli Parfimowa zabił Wołkow, ci musieli sprawdzić, czy nie zostawił w mieszkaniu jakichś notatek lub niewygodnych dla przełożonych materiałów. To rutyna. Podobnie jak i sprawdzenie, czy drogi zmarły nie dysponował niejawną kwaterą. Jeżeli Malicyn ustalił z łatwością adres sekretnego gniazdka Parfimowa, czekałoby także nie mieli z tym problemu. Znaczący pewnie dawno przetrząsnęli chałupę. Szlag! Podobnie jeżeli Parfimowa zabito na rozkaz przełożonego, aby nie wygadał tego, co wie o całej aferze. Wniosek? I w drugim mieszkaniu niczego nie ma...

Znienacka poczułem ucisk w dole brzucha, sensacja, której pozbyłem się całe lata temu. Wysiłkiem woli stłumiłem zimny, szarpiący trzewia strach. Chciałem żyć. Po raz pierwszy od wielu lat miałem dla kogo. Jeśli nie znajdę filmu, nie zobaczę więcej Saszki...

– Tak czy owak, wypada sprawdzić tę chałupę – powiedziałem. – Co z moimi aktywami?

– Wszystko gotowe, umieściliśmy je w trzech różnych bankach. Od teraz wystarczy, że wydasz dyspozycję, i twoje pieniądze bądź kosztowności zostaną wysłane do jednego z nich. Forsa na konto, błyskotki lub złoto do skrytki bankowej. To wszystko w ciągu paru dni.

– Za tę samą cenę? W sytuacji, kiedy kanał został już ustanowiony, dwadzieścia procent to trochę dużo – zauważyłem.

– Właśnie chciałem cię poinformować, że od teraz będziemy pobierać tylko piętnaście. Jeśli zechcesz wysłać coś pocztą dyplomatyczną, to w ciągu doby, góra dwóch twoja przesyłka trafi do adresata.

– A w drugą stronę?

– To potrwa nieco dłużej, bo moi ludzie będą musieli się upewnić, że osoba, która zechce się z tobą skontaktować, nie jest śledzona: to kwestia procedur.

– W porządku, na dniach przekażę ci list.

– Nie ma problemu. I ja miałbym pytanie...

– Tak?

– Co z naszym... przedsięwzięciem?

– Burdelem?

– Burdelokasynem – doprecyzował Dato z leciutkim uśmiechem.

– Dziewczęta są prawie gotowe, pozostaje jedynie doszlifować detale. Za miesiąc będziemy mogli rozpocząć działalność.

– Rozumiem...

Po minie Petrosiana widać było, że nurtuje go coś jeszcze. Nietrudno było się domyślić, w czym problem...

– Nie martw się! Zostawię odpowiednie polecenia, jakby co, przejmiecie ten interes. Tylko będziecie musieli dogadać się z Poliakovem co do kwestii

finansowych, bo to rejon pod jego kontrolą.

– Czyli zapłacić za ochronę?

– Coś w tym rodzaju. I moja rada: nie próbujcie z nim pogrywać. Ci, co zaryzykowali, mają teraz dużo czasu, żeby zorientować się, gdzie popełnili błąd. Można powiedzieć, całą wieczność...

– Rozumiem.

– Mogę wziąć te akta?

– Oczywiście.

Dato pożegnał mnie zdawkowym uściskiem dłoni – po co tracić czas na wymianę uprzejmości z potencjalnym nieboszczykiem? – i wyszedłem prosto w szalejącą na dworze śnieżycę. W sumie nic dziwnego w grudniu. Ciekawe, czy dożyję kolejnej zimy? Ech, szlag by to...



Natasza wpatrywała się we mnie z napięciem, jakbym był gwiazdą kina albo znanym muzykiem. Tyle że jej zachowanie było motywowane raczej strachem niż podziwem. Cóż, trudno, żeby było inaczej, po tym jak wpuściła do mojego domu Wołkowa. Do tej pory nikomu nie wybaczyłem zdrady i dziewczyna w jakiś sposób to wyczuwała. Jej lęk podszyty był zdziwieniem, że jeszcze żyje. Prawdę powiedziawszy, sam się sobie dziwiłem...

– A co, jeśli je złapią? – spytała.

– Po pierwsze niespecjalnie mnie to martwi – odparłem zimno. – Mam ważniejsze problemy niż troska o bezpieczeństwo kilku dziwek. Po drugie nic im nie będzie. Bo i co mogą im zrobić za spacerowanie po ulicy? Tym bardziej że dziewczuchy mają profesję wypisaną na twarzy. Jeżeli zatrzyma ich bezpieka, czekałszy dojdą do wniosku, że kurewki wybrały się na polowanie. Ot i wszystko...

– One nie są profesjonalistkami w dziedzinie inwigilacji. Mogą coś przeoczyć – powiedziała cicho Natasza.

– Owszem – przyznałem. – Jednak nie mam innego wyjścia, muszę wiedzieć, czy ta chałupa jest pod obserwacją. A swoich ludzi nie wyślę, bo bezpieka ma ich fotografie.

– Może ja sama?

– Nie! – warknąłem. – Ani się waż! Oni mają i twoje zdjęcie. Choć będziesz w okolicy. Jako koordynatorka akcji.

– A co stanie się z tobą? Jeżeli coś pójdzie nie tak?

Nie zwierzałem się Nataszy z zamiaru przeszukania mieszkania Parfimowa, lecz dziewczyna nie była głupia. Wiedziała, że cokolwiek planuję, rzecz jest ryzykowna.

– To nie twój problem. Być może za jakiś czas ktoś się do ciebie zgłosi w celu przejęcia tego całego... interesu. Wykonuj wszelkie jego rozkazy jak moje. To wszystko.

Wyglądało, jakby moja sąsiadka chciała coś powiedzieć, w końcu tylko skinęła głową, a próbując moje wyjaśnienie. No i dobrze, nie miałem zamiaru niczego jej tłumaczyć. Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym jej ufał. A nie ufałem. Już nie...

Poczekalem, aż Natasza wróci do siebie, po czym podszedłem do telefonu. Czas zaplanować akcję. Nie mogłem poprosić o pomoc Siemionowa – w tej akurat kwestii *wojennaja razwiedka* musiała zachować neutralność, tak więc pozostawała tylko Liza. Już wcześniej ustaliłem, że Tima i Elena będą ubezpieczali nas z zewnątrz. Przez jakiś czas zastanawiałem się nad Bugrowskim, ale ostatecznie postanowiłem nie brać ze sobą chłopaka. Co prawda poeta uczył się w błyskawicznym tempie, ale lepiej na zimno dmuchać, w takich sytuacjach brak doświadczenia był równie groźny, co działania wrogich agentów. A jeśli nie znajdziemy filmu we dwójkę, nie znajdziemy go i z Bugrowskim...

Liza podniosła słuchawkę niemal natychmiast, tak jakby czekała na mój telefon.

– Za pół godziny w „Anastazji” – powiedziałem krótko.

– Jak mam się ubrać?

– W cywilne ciuchy.

– Coś specjalnego?

– Tak, koniecznie załóż koronkową bieliznę! – burknąłem.

Odłożyłem słuchawkę z trzaskiem. Zasoby cierpliwości kurczyły mi się gwałtownie przed akcją.



Otarłem usta serwetką, z westchnieniem odsunąłem talerz. Nieoczekiwanie robocze spotkanie zamieniło się w ucztę: daniem dnia był pieczony dzik faszerowany kaszą gryczaną. Cóż było robić? Żadne z nas nie oparło się pokusie...

– Już nie mogę – jęknęła Liza. – Ale to takie smaczne!

Za obopólnym porozumieniem nie poruszaliśmy tematu koronkowej bielizny.

– Może miętowej herbaty? – zaproponowała Tatiana.

Zerknąłem na nią spod oka: dziewczyna wyglądała na zaniepokojoną. Ale czym? Bo ani ja, ani Liza nie daliśmy jej najmniejszego powodu do zdenerwowania – jedliśmy wszystko, co podano, i chwaliliśmy kucharza.

– No co tam? – spytałem.

Tatiana nawet nie udawała, że nie wie, o co chodzi.

– Jakiś kwadrans temu przyszło trzech urków i od razu zaczęli się awanturować. Najwyraźniej uznali, że należy im się darmowa wyżerka. To chyba jacyś kumple Miszki Czorta. Nakarmiłabym ich dla świętego spokoju, ale Dima mi nie pozwolił – powiedziała.

– Co za Dima?

– Wasz człowiek, Bugrowski – odparła ze zdziwieniem.

No, no, poeta nie tracił czasu, skoro byli już z panienką Tatianą po imieniu...

– Powiedział, że jak nie zapłacą, to ich wyrzuci – kontynuowała z troską w głosie. – Ciocia Mira podała im wódkę i zakąski – dodała wyjaśniająco.

Westchnąłem rozdzierająco. Nie chciało mi się wstawać, a fakt, że musiałem poluźnić pasek o dwie dziurki, stawał pod znakiem zapytania moją zdolność do ćwiczeń gimnastycznych. Przynajmniej jeśli chodzi o te bardziej wymagające, jak na przykład knajpiane bójki...

– Zostańcie tu. Obie – poleciłem, widząc, że Liza również podnosi się zza stołu.

Przeszedłem przez kuchnię, ostrożnie rozchyliłem zasłone oddzielającą restaurację od zaplecza i luksusowych gabinetów. Bugrowski blokował drzwi wejściowe, obserwując z gniewną miną biesiadujących urków. Trzeba przyznać, że ci sobie nie żalowali, świadczyły o tym opróżnione butelki po wódce i brudne talerze. Tak czy owak, uczta najwyraźniej zmierzała ku końcowi, jeszcze chwila i poeta zarobi nożem pod żebro, a *blatni* wyjdą, nie płacąc i mając na koncie kolejnego „frajera”. Zjawiłem się zdecydowanie w ostatnim momencie.

Przyzwałem go stanowczym gestem, na szczęście chłopak nie próbował dyskutować i wykonał polecenie.

– Oni zaraz zwieją! – poinformował mnie ze wzburzeniem. – Ja...

– Znam sytuację – zgasłem go krótko. – Chcesz ich zatrzymać i zmusić do płacenia? Z Panem Bogiem! Weź tylko pod uwagę, że jest ich trzech i chcą cię zabić.

– Nie rozumiem. Zabić? Ale...

– Widzę, że nie rozumiesz – burknąłem. – Dlatego słuchaj i rób, co ci mówię. Uciezka przed jednym „frajerelem” to dla nich dyshonor. Być może chcą też przejąć knajpę. W tym momencie to i tak nieważne. Oni nie uciekną. Czekaają, aż podejdziesz do stolika i ponownie zażadasz zapłaty. Wtedy dwaj przytrzymają cię za ręce, a ten w kraciastej marynarce pchnie nożem. Widzisz? Już odchylił połę, żeby mu było łatwiej sięgnąć po majcher.

– Co mam zrobić? – spytał Bugrowski.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że w głosie chłopaka nie słychać było strachu. Widać krajanie trupa na coś się przydało, a może i zabicie jednego z porywaczy zrobiło swoje? Tak czy owak, Bugrowski wyglądał na gotowego do akcji. Cóż, jest jedna rzecz, której nie można nikogo nauczyć ani w żaden sposób nadsztukować: szczęście. Za chwilę okaże się, czy Pani Fortuna sprzyja poecie Bugrowskiemu...

– Podejdiesz do nich z tacą zastawioną zakąskami i wódką. Podniesiesz jedną butelkę i w ostatniej chwili zmienisz chwyt, tak żeby złapać za szyjkę. To da ci dodatkowe trzydzieści centymetrów zasięgu. Najpierw uderzysz w łeb kraciastego. To prowodyr i jest najbardziej niebezpieczny, bo trzyma rękę w pobliżu broni. Tylko pamiętaj! Wal z całej siły, bo chodzi o twoje życie! Później zajmiesz się tym z prawej, najlepszy będzie cios w skroń. Ostatni będzie musiał przeskoczyć przez stolik albo zwłoki kumpla, więc powinieneś mieć trochę czasu.

– Zwłoki?! Wierzę zakładacie od razu, że ich...

– Zakładam – stwierdziłem zimno. – I ty też zakładaj, o ile zależy ci na przeżyciu.

– To test, prawda? Kolejny sprawdzian?

– I tak, i nie. Powiedziałeś kiedyś, że chcesz zostać oficerem śledczym, musisz zatem wyrobić sobie reputację.

– Reputację zabójcy?!

– Reputację kogoś, kto da sobie radę z paroma prowincjonalnymi urkami.

– Skąd wiecie, że nie są z Moskwy? I że zabijając ich, nie popadniemy w konflikt z Cichym?

– Wtedy wiedzieliby, kto tu rządzi. Idź już! – uciąłem.

Bugrowski obrzucił mnie spojrzeniem spod ściągniętych brwi, posłusznie pomaszerował do kuchni. Za moment wrócił z zastawioną tacą.

Błatni powitali go urągliwymi gwizdami, ale wyglądało na to, że nie mają nic przeciwko dodatkowej wyżerce. Pewnie uznali, że mogą go zabić za chwilę...

Zauważyłem tylko ruch ramienia – chłopak stał do mnie tyłem – i na głowie jednego ze zbirów roztrzaskała się butelka. Bugrowski wykorzystał ruch powrotny, aby uderzyć w skroń kolejnego urkę. Jak zauważyłem, wypuścił przedtem ukruszoną szyjkę butelki, aby nie pokaleczyć się szkłem. Mądra decyzja! Zaciśnięta pięść trafiła w cel z siłą bojowego topora i *błatny* runął na podłogę bezwładny niczym worek zboża. Nie wróżyłem mu długiego życia. Jeśli poeta zdruzgotał mu kość skroniową, a ta uszkodziła tętnicę, facetowi zostało kilka minut.

Ostatni z *błatnych* udał, że ucieka, i skoczył ku drzwiom. Bugrowski bez namysłu ruszył za nim, tamten w ostatniej chwili odwrócił się, uderzając nożem. Szlag! Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, Dima zablokował cios przedramieniem, skontrolował, po czym poprawił kolanem w krocze. No proszę, rzadka kombinacja: talent i szczęście...

Bugrowski zaatakował bark bandyty pod złym kątem, lecz suchy trzask świadczył, że i tak złamał przeciwnikowi obojczyk. Urka w mgnieniu oka przerzucił nóż do drugiej dłoni, ale zanim zdążył zrobić coś więcej, zmiażdżyłem mu pięścią tchawicę. Test testem, a lepiej nie przesadzać. Jak na pierwszy raz, chłopak i tak spisał się całkiem nieźle. No dobrze – lepiej niż nieźle...

– *Komandir!* – wydyszał Bugrowski. – Chciałem sam!

Złapałem go za ucho, szarpnąłem, bynajmniej nie delikatnie.

– Auć!

– On był lepszy od ciebie – poinformowałem chłodno. – Być może, dałbyś mu radę za pół roku, jednak nie teraz.

– No dobrze, co z nimi? – Wskazał porozrzucane ciała. – Do rzeki?

– Zgłupiałeś?! Wezwij patrol, dwie karetki i trupowóz. Załatwimy wszystko oficjalnie. Nie masz się czego wstydzić, może nawet dostaniesz jakiś medal? W końcu starałeś się zapobiec naruszeniu prawa...

– Dlaczego tylko dwie karetki? – Bugrowski zmarszczył brwi.

– Bo ten już jest trupem. – Wskazałem *blatnego* przy drzwiach.

– Jeszcze się rusza...

– Ma zmiażdżoną tchawicę, żeby go uratować, potrzebna by była skomplikowana operacja. Zanim lekarze dojadą, facet umrze.

– Ja...

Twarz poety Bugrowskiego przybrała odcień świeżo pobielonej ściany, podszedłem szybko do stołu i naląłem setkę wódki.

– Pij! To wskazanie lekarza!

– Kiedy ja nie bardzo...

– Właśnie widzę, że nie bardzo. Pij! – powtórzyłem.

Chłopak skrzywił się, w końcu wychylił kieliszek.

– Ohydztwo! – stwierdził, otrząsając się z obrzydzeniem.

Chrząknąłem z rozbawieniem: na twarz Bugrowskiego powróciły kolory, a i głos brzmiał pewniej niż przed minutą.

– Do roboty! – rozkazałem.

– A wy?

– Ja wracam do swojego stołu, zostawiłem tam dwie interesujące kobiety. Nie wypada, żeby długo czekały.

– O Boże! Co powie Tatiana...? – wymamrotał chłopak.

– Nie rozumiem.

– Wiecie, ona jest taka wrażliwa, a zrobiłem tu jatkę.

Zagryzłem wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Żebym ja miał takie problemy...

– Być może, panienka Tatiana pozytywnie cię zaskoczy – powiedziałem pocieszająco. – Stałaś w jej obronie, kobiety to cenią.

– Ale oni... Trupy!

– Na razie jest tylko jeden – zauważyłem.

– Nie chodzi o liczbę, ale o sam fakt!

– Dima, na mózg ci padło?! Przecież oni chcieli cię zabić! Myślisz, że Tatiana uzna, że lepiej, żebyś ty tu leżał? Nie żartuj! A gdyby nawet, to chyba powinniście się rozstać. Bo ty wybrałeś już zawód, a ona może zaaprobować twój wybór albo poszukać sobie innego chłopaka. Trzeciej możliwości nie ma. Chyba że chcesz zostać

buchalterem.

Chłopak pokręcił przecząco głową.

– Nie chcę.

– W takim razie przestań się zamartwiać i zajmij formalnościami. Jakby co, jestem w gabinecie.

Liza i panienka Tatiana czekały tam, gdzie je zostawiłem, obie zdenerwowane. Jak przypuszczałem – z całkowicie różnych powodów.

– Co z Dimą? – spytała szybko kelnerka.

– Wszystko w porządku, tylko narobił trochę bałaganu.

– Mogę już iść?

– Oczywiście, pomożesz mu sprzątać.

Dziewczyna zniknęła, zanim zdążyłem dokończyć zdanie.

– Kiedy przeszukamy mieszkanie Parfimowa? – odezwała się Liza.

– Dzisiaj w nocy. I jeszcze jedno: pytałaś wcześniej, jak się ubrać...

– Tak?

– No to słuchaj...



Skręciliśmy w lewo, jeszcze jedna ulica i będziemy u celu: *Kotielniczeskaja nabierieżnaja* niemal na wyciągnięcie ręki. Minęliśmy idącą z przeciwnej strony Nataszę, ta, przechodząc obok, poprawiła pasek torebki. Znaczący wszystko w porządku; dziewczyny nie zauważyły nikogo podejrzanego. Inna sprawa, że niejedno mogły przeoczyć – szkoliły się w nieco innej profesji, ale darowanemu koniowi... Z drugiej strony w ich zawodzie trzeba mieć instynkt. Więc kto wie? Może naprawdę nikt nie obserwuje mieszkania Parfimowa?

Liza potknęła się na nierównym chodniku, po raz kolejny rzuciła mi wściekłe spojrzenie. Krótka czarna sukienka wyraźnie krępowwała jej ruchy, a i buciki na wysokich obcasach niespecjalnie nadawały się do biegu. Rozpięty, zbyt lekki, jak na tę pogodę, płaszczyk eksponował zgrabną figurę i długie, obleczone w nylonowe pończochy nogi dziewczyny. Wokół rozchodził się zapach perfum i wódki, którą skropiłem jej palto. Kapitan Wierchońska wyglądała na przedstawicielkę najstarszej profesji świata. Prawda, że z wyższej półki...

– To tutaj – powiedziałem.

Kamienica była zdecydowanie przedwojenna, na oko z lat dwudziestych. Cóż, nie ma sensu się czaić, cała nadzieja w naszym przebraniu – i ja wyglądałem jak hulaka z wyższych sfer: markowy garnitur, czapka z soboli i narzucone na ramiona, rozpięte

futro. Zobaczymy, czy kogoś to zwiedzie...

Gdzieś niedaleko czaili się Elena i Kotuszew, choć żywiłem nadzieję, że nie będę musiał korzystać z ich umiejętności. Oboje zainterweniują jedynie w wypadku, jeśli sytuacja wyrwie się spod kontroli. Nie, nie mieli się bić z czekistami! Jeżeli безпеca urządziła zasadzkę, opór na nic się nie zda. Oboje uzbrojeni byli w karabiny snajperskie. Nie mogłem walczyć z Berią czy Abakumowem. Nie wprost. Jednak mogłem odebrać im satysfakcję: wiedziałem, że w razie czego ani ja, ani Liza nie trafimy żywi na Łubiankę...

Prywatne gniazdko Parfimowa znajdowało się na pierwszym piętrze, naprzeciwko drugie mieszkanie. Znaczący po dwa na piętro. Dobrze, im mniej sąsiadów, tym lepiej. Otworzyłem drzwi dorobionym kluczem, zapaliłem światło – na dworze było już ciemno.

– Co teraz? – odezwała się Liza.

– Bierzemy się do przeszukania. Ty zaczniesz od kuchni, ja od salonu.

– Nie mogę się nawet schylić w tej kiece!

– To ją zdejmij! – mruknąłem. – I do roboty, musimy się zmieścić w dwie, góra trzy godziny! Około północy większość ludzi pójdzie spać i ktoś może zwrócić uwagę, że w pustej chałupie pali się światło.

– W porządku, tylko mi tam nie włącz.

– Gdzieżbym śmiał!

Sapiąc gniewnie, pomaszerowałem do pokoju. W tym momencie zupełnie nie obchodziło mnie, jak wygląda kapitan Wierchońska w bieliźnie. Niechby i koronkowej...

W myśli podzieliłem pomieszczenie na sektory, rozpocząłem rewizję. Taśma filmowa to nie szpilka, jeżeli tylko jest w mieszkaniu, na pewno ją znajdziemy. Gorzej, jeśli nie...

Skończyłem w godzinę, salon był największym pomieszczeniem. Niczego nie znalazłem i na pewno nie dlatego, że się nie starałem. Podważałem nawet klepki podłogowe. Szlag!

Zajrzałem do łazienki, ale tam krzątała się już Liza. Dziewczyna klęczała, zaglądając pod wannę.

– Co z kuchnią? – spytałem szorstko.

– Pusto! – warknęła wściekła. – Jak chcesz, to sam sprawdź.

Przeszedłem do kuchni, starając się wyrzucić z myśli widok kapitan Wierchońskiej na czworakach i w mocno niekompletnym stroju. Zostało mi kilkadziesiąt, może kilkanaście godzin życia, to nie był najlepszy czas na podziwianie kobiecej urody. Choć z drugiej strony...

Kuchnia wyglądała jak pobożowisko, Liza rozmontowała nawet drewnianą boazerię, przypuszczając słusznie, że jeśli znajdziemy film, nikt nie będzie miał

pretensji o zdemolowanie mieszkania. No a w przeciwnym wypadku czekają nas większe problemy niż oskarżenie o wandalizm...

Nagle usłyszałem kroki w korytarzu: kuchnia usytuowana była na wprost drzwi wejściowych. Skoczyłem do łazienki, gasząc po drodze światło, złapałem Lizę w ramiona.

– Ktoś idzie – szepnąłem, zatykając jej na wszelki wypadek usta.

Pociągnąłem ją na podłogę. Jeżeli nieproszony gość wejdzie i zapali światło, zyskamy sekundę czy dwie – mało kto w takiej sytuacji patrzy pod nogi.

Poruszyła się niespokojnie, próbując ułożyć się wygodniej. Nie wyszło, niechcący naparła na mnie piersią, pod palcami poczułem koronkowy biustonosz i jędrne ciało. Zamarliśmy, w chwilę później rozległ się zgrzyt klucza, ktoś otwierał drzwi.

Tymczasem tajemniczy intruz zatrzymał się w przedpokoju, jakby bał się wejść w głąb mieszkania. Nie wyglądało to na zasadzkę bezpieczeństwa, czekał zawsze chodzili w kilkuosobowych zespołach, ale może to podstęp? Mijały sekundy i minuty, wreszcie usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi. Nieoczekiwanie kombinacja zagrożenia i bliskości na wpół rozebranej dziewczyny podziałała jak afrodyzjak, zamknąłem usta Lizy pocałunkiem, a moja dłoń – tym razem świadomie – ześliznęła się między jej uda. Oboje wiedzieliśmy, że musimy zachować absolutną ciszę – kto wie czy zagrożenie już minęło? – więc wyjąłem nóż i dwoma cięciami wyswobodziłem dziewczynę z bielizny.

Moje wargi odnalazły piersi Lizy, jej skóra miała aromat miodu z cynamonem. W ciszy przerywanej tylko naszymi oddechami darzyłem ją dzikimi, zwierzęcymi pieszczotami. Nie myślałem o zagrożeniu, a przecież tuż obok leżał nóż. Gdyby chciała go użyć...

Liza zacisnęła zęby na mojej ręce, oplótła mnie nogami. Wszedłem w nią, słysząc w uszach szum krwi, czując śliski dotyk nylonu i gładką skórę ud. Biodra Lizy falowały niczym łódka w czasie sztormu, paznokcie orały mi plecy. I ja znaczyłem jej ciało zębami i paznokciami, skręciłem w garści jej włosy. Kiedy w końcu wygięła się w łuk, musiałem ponownie zatkać jej usta. Widać nie tylko ja byłem wyposzczony... Nie wiem, jak długo leżeliśmy zdyszani, nasłuchując w mroku każdego dźwięku. Dźwignąłem się wreszcie niechętnie, ktoś musiał zachować odrobinę zdrowego rozsądku, a biorąc pod uwagę zachowanie Lizy, która nawet na moment nie zwolniła uścisku obejmujących mnie ramion, padło na mnie...

– Zbieramy się! – zarządziłem.

Pomogłem jej doprowadzić się do porządku i w świetle latarki zebrałem to, co pozostało z bielizny kapitan Wierchońskiej. Lepiej nie pozostawiać śladów. Choć te akurat zaskoczyłyby pewnie nawet bezpieczeństwo. Trudno uznać resztki koronkowych majteczek za ślad działania wrogich agentów.

Wymknęliśmy się cicho z mieszkania, nie zapaliłem światła na korytarzu. Jeśli

trafimy na ciekawskiego lokatora, to lepiej go spotkać po ciemku. Odetchnąłem, kiedy znaleźliśmy się na ulicy. Tu osłaniali nas już moi ludzie.

– To była zasadzka? – spytała powątpiewająco Liza. – Ten intruz?

– Raczej nie. Wiem jedno: drzwi otwarto kluczem, a nie wytrychem.

– Może to właściciel?

– Możliwe, to tłumaczyłoby jego niezdecydowanie. Pewnie nie wiedział, czy może już bezpiecznie wrócić. Bo śmierć generała to żadna tajemnica, nietrudno się domyślić, że sprawa może mieć polityczny podtekst i wywołać zainteresowanie bezpieczeństwa.

– Wątpię, żeby Parfimow mu się przedstawił.

– Nie musiał. Wystarczyło, że właściciel zapamiętał twarz. Nekrolog generała wraz ze zdjęciem ukazał się w kilku gazetach, zatajono tylko powód śmierci.

– Co teraz zrobimy?

Z tonu mojej towarzyszki wywnioskowałem, że nie chodzi jej o film. No a przynajmniej nie tylko...

– Nie wiem – przyznałem szczerze. – Skończyły mi się pomysły, to była nasza ostatnia szansa.

– My...

– Chciałbym cię zabrać do siebie – wszedłem Lizie w słowo. – Ale jeśli wolisz trzymać się na dystans, zrozumieć.

– Na dystans? Myślisz, że codziennie kotłuję się z kimś na podłodze?! Ja...

Położyłem jej palec na ustach. Umilkła.

– Chodzi o Stalina – powiedziałem z wysiłkiem. – Beria i Abakumow zażądają przede wszystkim mojej głowy. Ty masz szansę. O ile nie będziesz się specjalnie ze mną afiszować.

– Jasne! Po obsłużeniu kilku generałów MGB!

Nie zaprzeczyłem, scenariusz był bardzo prawdopodobny. Nawet jeśli bezpieczniecy darują kapitan Wierchońskiej życie, to przecież nie za darmo...

Zakląłem, kiedy przejeżdżający mimo samochód ochlapał nas błotem. Liza włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła przeraźliwie. Ku mojemu zdumieniu maszyna zatrzymała się przy krawężniku.

– Czego wam? – rzucił burkliwie potężnie zbudowany mężczyzna o prostackiej twarzy.

– Podrzucisz?

– Gdzie?

Dziewczyna podała adres. Mój adres.

– Dwadzieścia rubli – zdecydował kierowca, popatrując na nas chytrze.

Bez słowa podałem mu pieniądze. Najwyraźniej znowu ktoś podjął za mnie decyzję. Cóż, przez lata wojaczki zdążyłem się przyzwyczaić. A gorąca dziewczyna

w chłodny wieczór to z pewnością lepszy wariant od chlania w samotności. Kto wie ile jeszcze takich wieczorów dane mi będzie przeżyć?



Wstałem z łóżka z uśmiechem: obudził mnie zapach wafli. A i na sen się nie skarżyłem, choć nie ma co ukrywać, że kapitan Wierchońska robiła wszystko, aby nie był on zbyt długi...

Poczłapałem do łazienki, wszedłem pod prysznic. Nie zdenerwował mnie nawet fakt, że z rur leciała tylko zimna woda.

– Kawy? – spytała Liza, uchylając lekko drzwi.

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem. Chwilę później siedziałem już przy kuchennym stole i pochłaniałem w równych ilościach kawę i wafle. No dobrze: przede wszystkim wafle. Dziewczyna nie zapomniała nawet o bitej śmietanie. Nic dziwnego, że żonaci faceci szybko tracą kondycję i figurę. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę ilość kalorii, jakie straciłem w nocy, może nie będzie tak źle. O ile serce wytrzyma. I jeśli przeżyjemy...

Dziewczyna milczała, nawet kiedy skończyłem ostatniego wafła i oblizałem palce po śmietanie, ale przez cały czas wyczuwałem, że chce coś powiedzieć. W końcu zachęciłem ją gestem.

– Musimy wrócić do akt Parfimowa – stwierdziła stanowczo. – Nie mam zamiaru poddać się bez walki. Musimy je jeszcze raz dokładnie przejrzeć i...

– Nie ma potrzeby, mam je tutaj. – Klepnąłem się w czoło. – Znam je na pamięć, tyle że tam nic nie ma. Wierz mi, analizowałem je godzinami.

– Być może nie ma niczego oczywistego – odparła, łagodząc kategorię tonu uśmiechem.

– No dobrze – westchnąłem. – Co chcesz wiedzieć?

– Rodzina?

– Ojciec i matka zmarli w latach trzydziestych, młodsza siostra zginęła w czasie blokady Leningradu, starsza mieszka gdzieś w Gruzji. Nigdy chyba nie była w dobrych stosunkach z bratem, bo nie przyjechała nawet na pogrzeb. Jest żoną drobnego aparaczyka – dodałem wyjaśniająco, widząc pytający wzrok Lizy. – Gdyby skorzystała z poparcia brata, oboje z mężem staliby dużo wyżej w partyjnej hierarchii.

– Żona? O ile pamiętam...

– Rozwiódł się zaraz po wojnie – wszedłem jej w słowo. – Margarita Władimirowna zaszła cudownym sposobem w ciążę, podczas kiedy jej mąż ganiał zeków na zonie. Faceta nie było ponad rok w domu, a tu taki podarek... Nic dziwnego,

że rzucił babę. – Wzruszyłem ramionami.

– Kochanki?

– Anna Rodionowna Iretyńska. Rok temu, później nic.

– Jak to nic?

– W aktach nie ma najmniejszej wzmianki.

– Ile on miał lat?

– Kiedy zginął? Pięćdziesiąt dwa.

– I co, nagle stał się eunuchem? Facet, który zaraz po rozwodzie z żoną znalazł sobie panienkę? A może nadal kombinował z tą Anną Rodionowną?

– Wątpię. Baba wyszła za mąż za jakąś szychę w ministerstwie handlu. Nie odważyłby się. Za wysokie progi.

– Więc musiał mieć inną – oświadczyła stanowczo Liza.

– Wiesz, w tym wieku bywa, że pewne, ekhm... organy zawodzą – odparłem dyplomatycznie. – Być może, nie miał czasu albo ochoty latać za babami, a może wystarczały mu przelotne kontakty? W końcu zarządzał siecią łagrów, a tam miał do dyspozycji wszystkie więźniarki...

– Nie rozumiem.

Opowiedziałem jej o „kołymskim tramwaju” i „rublowych” kobietach. Kapitan Wierchońska miała minę, jakby zamierzała wymiotować.

– Pamiętasz daty jego wyjazdów z Moskwy? – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Nie, niedokładnie, ale nie było ich wiele – przyznałem.

– Więc mogę mieć rację?

– Teoretycznie...

– A jak to udowodnić? No i znaleźć tę kochankę?

Skrzywiłem się niechętnie, nie było sensu robić sobie nadziei, teoria o kochance wyglądała na mocno wydumaną, jednak rozumiałem nastawienie Lizy – dziewczyna nie chciała czekać bezczynnie, aż po nią przyjdą. Teoretycznie zostało nam jeszcze trochę czasu, wyznaczony przez Stalina termin upływał dopiero pojutrze. Inna rzecz, czy Beria będzie przestrzegał zasad gry? Cóż, w sumie można zaryzykować...

– No dobrze – mruknąłem. – Pojedziemy na cmentarz.

– Gdzie?!

– Na cmentarz Nowodziewiczny. Tam pochowali Parfimowa.

– I co, myślisz, że zastaniemy przy grobie ostatnią kochankę generała?

– Pewnie nie, ale może chociaż jakieś kwiaty lub wieniec? O ile w twojej teorii jest jakieś racjonalne sedno, generał musiał ukrywać swój związek z tą kobietą. Inaczej jej dane byłyby w aktach, jak tej poprzedniej.

Liza przytaknęła gestem.

– A to mógł robić tylko z jednego powodu: jeśli coś do niej czuł – kontynuowałem.

– Wtedy i tylko wtedy, być może, natrafimy na jakiś dowód uczuć i z jej strony.

- Bo ja wiem? Trochę to naciągane.
- Tak jak i teoria o kochance – zrewanżowałem się złośliwością. – Z drugiej strony co nam szkodzi sprawdzić? – Wzruszyłem ramionami.
- To co, zbieramy się?
- Za chwilę, jest jeszcze jedna sprawa.
- Tak?
- Być może, Stalin już oddał nas Berii, to w jego stylu...
- Przecież termin jeszcze...
- Termin terminem, a życie życiem – przerwałem Lizie bezceremonialnie. – Towarzysz Stalin bardzo nie lubi stawać otwarcie po czyjejkolwiek stronie. Jeśli Beria dostał zielone światło, wszystko pójdzie na konto Ławrentija Pawłowicza, nie genseka. Bo mógł dostać, nieoficjalnie...
- A co to da Stalinowi?
- Jeśli Beria mnie zabije? Wrogość między *wojennoj razwiedkoj* i Berią wejdzie na nowy, wyższy poziom, a Stalin jak zwykle będzie mógł odgrywać rolę arbitra. Nie bez znaczenia jest też fakt, że w takim wypadku wywiad wojskowy będzie od tej pory jeszcze uważniej patrzył na ręce Berii, co uniemożliwi albo przynajmniej utrudni temu ostatniemu knucie spisków przeciwko generalnemu sekretarzowi. Pewnie zastanawiasz się, po co ci to mówię? Wczoraj dwójka moich ludzi ubezpieczała nas w czasie akcji. Gdyby безпеka chciała nas aresztować, mieli nas zastrzelić. Oboje – dodałem, widząc pobladłą twarz Lizy. – Rozumiesz, gdybyśmy zostali złapani w mieszkaniu Parfimowa, można by to podciągnąć pod szpiegostwo, dywersję lub Bóg wie co jeszcze. Zanim informacja o naszym zatrzymaniu doszłaby do Stalina, przyznalibyśmy się do wszystkiego.
- Przecież masz upoważnienie Stalina na prowadzenie śledztwa!
- Poniosłem klęskę i Stalin o tym wie. A on nagradza jedynie zwycięzców. Teraz te dokumenty są warte tyle co papier, na jakim je wydrukowano – odparłem brutalnie. – Ten siedmiodniowy termin na dokończenie dochodzenia to tylko teatralny gest, nic więcej. Być może, obliczony na uśpienie mojej czujności, żeby Beria mógł zaatakować, kiedy nie będę się tego spodziewał. Nieważne! Dziś nie robimy niczego kompromitującego, tak że masz szansę się wywinąć, nawet jeśli nas aresztują. A ja muszę wydać dyspozycje swoim ludziom...
- Ja... nie wiem.
- Skinąłem głową, nie spodziewałem się niczego innego. Podeszedłem do telefonu i wybrałem numer Kotuszewa.
- Tylko ja! – rzuciłem w słuchawkę.



Cmentarz Nowodziewiczny powstał w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku przy klasztorze Nowodziewicznym. Choć władza radziecka niemal natychmiast zlikwidowała klasztor w zapale walki z „religijnym zabobonem”, potraktowała nekropolię jako szczególne miejsce. Na Nowodziewicznym chowano jedynie prominentów.

Oprószone świeżym śniegiem nagrobki nadawały cmentarzowi dziwnie odświętny wygląd. Mijaliśmy mogiły artystów, uczonych, żołnierzy i działaczy partyjnych. Niektóre oznaczono krzyżem, inne czerwoną gwiazdą, były i takie, na których wyryto jedynie imię, nazwisko oraz daty urodzin i śmierci. Zdarzały się kwatery ozdobione wspaniałymi rzeźbami. Ludzie pozostawali sobą nawet tutaj: jedni starali się za wszelką cenę przyciągnąć uwagę otoczenia, inni podawali tylko podstawowe dane, tak jakby udzielił im się zimny majestat śmierci...

Grób Parfimowa znaleźliśmy w nowej części cmentarza. Nie porażał ani oryginalnością, ani wyglądem: ot, prosta marmurowa płyta, ozdobiona – a jakże! – pięcioramienną czerwoną gwiazdą. Jediną ekstrawagancją było zdjęcie nagrobne przedstawiające generała w mundurze galowym NKWD. Ciekawe, czy nie mieli bardziej aktualnego, czy też Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego chciało się w ten sposób nieco zdystansować od swojego pracownika?

– Popatrz, kwiaty – powiedziała Liza.

Rzeczywiście, nagrobek ozdabiała smętna wiązanka dawno zwiędłych kwiatów.

– Jeśli to nie siostra, to kto? Bo przecież nie współpracownicy. Ci daliby wieniec ze stosownym napisem, i na pogrzebie, a nie ponad dwa miesiące później.

Mruknąłem potakująco, coś było na rzeczy.

– Może to jacyś pionierzy? – powiedziałem po namyśle. – Oni czasem robią takie akcje. Wiesz: „Naród nie zapomina o swoich bohaterach” i takie tam...

– Robią, ale nie zimą. Bo wtedy trudno o kwiaty.

Zgiąłem kolana z niechętnym stęknieniem, zmarszczyłem brwi: ktoś narysował na nagrobku krzyż. Kredą na jasnym marmurze. Gdybym podnosząc kwiaty, nie naruszył warstwy śniegu, nic bym nie zauważył. Ki czort? Generał raczej nie był religijny.

Dotknąłem kwiatów. Bukieciak przewiązано jasnoniebieską wstążką. Tkanina, choć rozmokła, zachowała ślady wyraźnych, drukowanych liter. Te ostatnie najwidoczniej skreślono ołówkiem, atrament zmyłby pierwszy deszcz. *W dien' ang...ła.*

– *W dien' angiela* – przeczytałem na głos.

– Co takiego? – spytała Liza.

– Tu jest jakiś napis: „W dniu anioła” – powtórzyłem.

– Co to znaczy?

– Żeby to ja wiedział... Nie ma co, trzeba znaleźć jakiegoś duchownego.

– I gdzie go znajdziesz?

– Niedaleko, od paru lat klasztor znowu jest czynny. Znaczy nie jako klasztor, ale seminarium czy coś w tym rodzaju. Na pewno popów tam nie brakuje.

– Czynny? Naprawdę władze pozwoliły...?

– Naprawdę. Wiesz, w czasie wojny okazało się, że nie na wszystkich działa hasło: *Za rodzinę, za Stalina!* Stąd ukłon w stronę cerkwi. Komuniści doszli do wniosku, że przeżycie jest ważniejsze od zwalczania zabobonów religijnych – dodałem z ironią.

– No dobrze, chodźmy.

Nakryte charakterystycznymi cebulowatymi kopułami budynki tętniły życiem, od czasu do czasu po łączących je alejkach przemykali ubrani na czarno, brodaci mężczyźni, udowadniając, że mimo wysiłków socjalistycznego państwa religia nie tylko nie odeszła w zapomnienie, ale i ma się całkiem dobrze.

– Może podejźmy do któregoś z nich? – zaproponowała z wahaniem Liza.

Zauważyłem, że dziewczyna czuje się niepewnie. Tak jak większość obywateli naszego kraju nie była przyzwyczajona do obecności duchownych ani przebywania w pobliżu czynnych cerkwi. Te ostatnie, o ile ich nie zburzono, pełniły przeważnie funkcje muzeów ateizmu albo toalet publicznych...

– Czy mógłbym wam w czymś pomóc?

Odwrociłem się gwałtownie. Mężczyzna, który podszedł do nas niepostrzeżenie, nie wyglądał na nieprzyjaźnie nastawionego. Mimo szczupłej, wyprostowanej po wojskowemu sylwetki i szerokich barów budził zaufanie, nie niepokój, choć ascetyczna w wyrazie twarz i surowe rysy nieznanego nie skłaniały do poufałości.

– Owszem, o ile jesteście... stąd – odparłem, starając się opanować zaskoczenie.

W ostatniej chwili powstrzymałem się od nazwania go „towarzyszem”. Był w cywilnym ubraniu, jednak sprawiał wrażenie duchownego, i to raczej nie z najniższego szczebla hierarchii.

– Owszem, jestem – potwierdził z przelotnym uśmiechem.

Czyżby wyczuł moje rozterki? Mimo nadrabiania miną podobnie jak Liza byłem nieco... zdenerwowany kontaktem z zawodowym szerzycielem zabobonów. No i nie miałem zielonego pojęcia, jak się do niego zwracać. A nie mogłem sobie pozwolić, żeby urazić go jakimś niezręcznym zwrotem. Szlag!

– Mówcie mi „ojcze Andrzeju” albo po prostu „Andrzeju” – powiedział, jakby odczytując moje myśli.

– Mam pytanie z waszej... branży.

– Tak?

– Co to jest „dzień anioła”? Jakies święto kościelne?

– Cóż, cerkiew istotnie obchodzi święto aniołów, oddając cześć Arcystrategowi

Michałowi i anielskim zastępom – odezwał się z namysłem.

– Kiedy ono wypada? – spytała szybko Liza.

– Dwudziestego pierwszego listopada.

– To może być to! – krzyknęła dziewczyna. – Te kwiaty miały parę tygodni!

Zmarszczyłem brwi: coś było nie tak. Duchowny nie odchodził, jakby oczekiwał dalszych indagacji. Dlaczego? Jasne, Liza mu przerwała! A i ja z jakiegoś powodu wyczuwałem, że choć nie skłamał, nie powiedział też wszystkiego.

– Czy ktoś mógłby z tej okazji złożyć kwiaty na grobie bliskiej osoby? Rozumiecie, ktoś religijny?

– W żadnym wypadku, święto aniołów nie ma nic wspólnego z kultem zmarłych.

Kategoryczna odpowiedź nie pozostawiała cienia wątpliwości, a jednak termin „dzień anioła” wywoływał u mnie jakieś niejasne skojarzenia. Tylko skąd? W cerkwi byłem wszystkiego parę razy w życiu, na szkoleniu. Żeby w razie czego móc udawać wierzącego...

Nieoczekiwanie zakręciło mi się w głowie, z otchłani niepamięci wychynął obraz małego dziecka klęczącego ze złożonymi jak do modlitwy rączkami, poczułem zapach znajomych perfum i szept: „Wszystkiego najlepszego w dniu anioła, kochanie”.

– Nie – wymamrotałem na głos. – To nie to. Nie chodzi o „dzień aniołów”, tylko „dzień anioła”! Andrzej... Ojciec Andrzej!

Nie bez przyczyny użyłem słowa *otiec*, w ten sposób rzucałem naszemu rozmówcy wyzwanie na gruncie religijnym: jeśli nie odpowie, sprzeniewierzy się własnym przekonaniom. Nawet jeżeli sklasyfikował nas jako prowokatorów, nie będzie mu łatwo skłamać...

– Wy już wiecie, prawda? – odpowiedział pytaniem.

– Nie rozumiem...

– Przypominacie sobie, co znaczy „dzień anioła”.

– Mam jakieś dziwne skojarzenia – przyznałem niechętnie. – Absurdalne. Moja rodzina nigdy nie miała nic wspólnego z religią, a i ja sam... – urwałem, uświadamiając sobie, że to, co odkryłem w mieszkaniu ciotki, stawiało pod znakiem zapytania całą moją wiedzę o rodzicach.

– To urodziny? – rzuciłem niepewnie.

– W pewnym sensie. Rocznica chrztu. I owszem: ktoś religijny i zatroskany o los duszy bliskiej osoby mógłby złożyć kwiaty na jej grobie w rocznicę chrztu...

No tak, teraz wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce – kochanka Parfimowa rzeczywiście istniała! Jeżeli generał wyjawiał jej fakt, że został ochrzczony, musiał mieć do niej całkowite zaufanie. I można przypuścić, że to właśnie u niej, a nie w swoim mieszkaniu, zostawił to, co chciał ukryć przed bezpieką: film z przesłuchania Święty Wołkowej... Tylko jakim cudem czekał ją przegapili? Bo nie ulega wątpliwości, że interesowali się życiem prywatnym generała; w MGB to rutyna,

każdy z pracowników jest prześwietlany pod tym względem. A jednak ostatnia kochanka Parfimowa w jakiś sposób umknęła czujnemu oku ludzi o „gorących sercach i czystych dłoniach”. Profesjonalistka? Wątpliwe. Taka nigdy nie zostawiłaby na cmentarzu kwiatów z sentymentalno-religijnym przesłaniem. Z drugiej strony przeciętna kobieta, a tym bardziej kobieta z religijnymi ciągotami, w żadnym wypadku nie uszłaby uwagi bezpieki. Nie w bezpośrednim otoczeniu generała. Niepodobieństwo...

– Pomogłem wam? – spytał duchowny.

– Bardzo – potwierdziłem.

– Bo widzicie, towarzyszu, mamy tu taki mały problem, w którego rozwiązaniu wy z kolei moglibyście pomóc...

– Słucham.

– W jednej z podmoskiewskich miejscowości odbudowaliśmy cerkiew. Za tydzień miała mieć miejsce pierwsza msza. W odpowiednio uroczystej oprawie, odprawiana przez samego biskupa. Niestety, brakuje dzwonu. To znaczy dzwon jest: został odlany i przygotowany do transportu, jednak władze z sobie tylko wiadomych powodów zablokowały konto, na którym zgromadzono środki na zakup dzwonu. Ściślej mówiąc, część środków. Tak czy owak, brakuje sporej sumy. Jeśli nie wykupimy dzwonu na czas, ceremonii nie będzie, a kiedy uzyskamy zezwolenie na kolejną, wie tylko Wszechmogący. Ta msza to efekt ponad dwuletnich zabiegów. Sami wiecie, jak to jest...

Mimo powagi sytuacji z trudem powstrzymałem uśmiech. A to spryciarz! Kawał czorta, a nie duchowny! Ojciec Andrzej, kimkolwiek by był, błyskawicznie wybił piłkę na moją stronę boiska i tak jak ja wcześniej rzucił mi wyzwanie: jeśli nie dam datku na cerkiew, przyznam tym samym, że nie jestem w stanie wynagrodzić go według zasług. I okażę swoją miałkość...

– Ile wam potrzeba? – spytałem.

Bez mrugnięcia okiem wymienił kwotę. Astronomiczną. Przeciętny człowiek nie zarobiłby tyle i przez pół wieku. Tylko że ja nie byłem przeciętny. Nie z wpływami z zarządzanej przeze mnie dzielnicy.

– To musi być duży dzwon – mruknąłem, wyciągając pasek ze spodni.

– Spory – odparł z kamienną twarzą.

Dobrze, że nie grałem z nim w pokera, nie miałbym żadnych szans.

– Co robisz? – zainteresowała się Liza.

– Potrzymaj – poprosiłem.

Rozprułem szew, ostrożnie wyłuskałem z pasa kilkanaście imperialów: zabezpieczenie, na wypadek gdyby aresztowano mnie wprost na ulicy.

– Wystarczy? – upewniłem się.

– W zupełności! – potwierdził, ważąc w dłoni złote monety. – Niech cię Bóg

błogosławi, synu!

- Jeśli pozwolicie, wolałbym nie zwracać Jego uwagi – stwierdziłem kwaśno.
- Obawiacie się, że mógłby was nagrodzić przedwcześnie? – rzucił z lekką, ledwie dostrzegalną ironią.
- Coś w tym rodzaju.
- Cóż, co komu sądzone... – odpowiedział, tym razem ze śmiertelną powagą w głosie.



Major Sawczenko nie wyglądał na zachwyconego spotkaniem, jednak sam fakt, że zgodził się ze mną porozmawiać, świadczył na jego korzyść. Wątpiłem, aby znał detale, ale pewnie doszły go słuchy, że jestem w niełasce u Abakumowa i Berii, a to nie wróżyło długiego i szczęśliwego życia...

- Spokojnie, nikt nas tu nie zobaczy – powiedziałem uspokajająco. – To mój teren.
- Bezpieczeniak jeszcze raz obrzucił nieufnym spojrzeniem pomieszczenie. Siedzieliśmy w „Anastazji”, a ja odesłałem gestem Tatianę. To nie był czas na delectowanie się choćby i najbardziej wytwornymi potrawami.
- Słucham was! – rzucił krótko.
- Potrzebne mi dane operacyjne na temat mieszkańców kamienicy, w której wynajmowałem lokal Parfimow.
- Skąd wiecie, że je mamy? – spytał podejrzliwie Sawczenko.
- Nie wiem, mam nadzieję, że macie. Albo będziecie w stanie zdobyć do jutra.
- Zwariowaliście?! Zdajecie sobie sprawę, ile czasu wymaga zebranie choćby podstawowych informacji?!
- Jakąś godzinę – odparłem zimno. – Wiek, zawód, miejsce pracy, to wszystko, czego mi potrzeba. No i zdjęcia lokatorów – dodałem po namyśle.
- Tylko tyle?
- Tylko tyle – potwierdziłem. – Przypuszczam zresztą, że dokumenty już są w waszym archiwum. Przecież wiedzieliście o nieoficjalnym lokum Parfimowa i na pewno sprawdziliście jego otoczenie. To rutyna.
- Być może – odparł ostrożnie Sawczenko. – Musiałbym sprawdzić, nie zajmuję się inwigilacją naszych pracowników. Jednak nie bardzo rozumiem, dlaczego miałbym wam pomagać. Gdyby to doszło do kierownictwa...
- Może dlatego, że uratowałem życie waszej córce? I to dwukrotnie: raz w Breslau, a drugi teraz?
- Sawczenko wzdrygnął się jak dotknięty rozpalonym żelazem, jego twarz przybrała

barwę papieru.

– Skąd...

– Skąd wiem? – poddałem. – To kwestia logiki. Od początku było widać, że jesteście osobiście zaangażowani w tę sprawę. No i Wiera jest do was podobna, choć uświadomiłem to sobie dopiero niedawno. Jej matka chciała się rozwieść z mężem nie tylko dlatego, że ten ją rozczarował. Byliście kochankami, prawda?

Sawczenko nie odpowiedział, zaciśnięte w wąską linię usta świadczyły, że pytanie niespecjalnie mu się spodobało.

– Dziś o dwudziestej w tym samym miejscu – odparł wreszcie.

Skinąłem głową, nie zwracając uwagi na fakt, że mój rozmówca wyszedł bez pożegnania. Żeby tylko przyniósł te materiały...



Sawczenko bez słowa położył na stole pękatą teczkę.

– Tu jest wszystko, czego potrzebujecie – oświadczył posepnie. – Jedna uwaga: jeszcze dziś te dokumenty muszą być z powrotem w archiwum.

– A to dlaczego? Nie wiem, czy zdążę...

– To nie podlega negocjacjom! – warknął gniewnie Sawczenko. – Obejrzycie je teraz, w mojej obecności. Muszę je zabrać z powrotem. To część podwójnej dokumentacji.

– Nie rozumiem.

– Dotarliście do oficjalnej teczki Parfimowa, prawda?

Zastanowiłem się nad odpowiedzią: nie miałem zamiaru narażać Dato ani Malicyna, z drugiej strony co mi szkodziło powiedzieć prawdę? Bezpieczniak nie mógł przecież polecieć z donosem, bo musiałby zadenuncjować i siebie samego...

– Owszem – przyznałem. – A co?

– To, że kiedy spodziewamy się wycieku informacji, w dokumentach zamieszczamy tylko podstawowe dane, wszystko, co naprawdę ważne, odnotowywane jest w aktach drugiego poziomu. Te zaś znajdują się w osobnej sekcji archiwum, pod specjalnym nadzorem. I nie róbcie takiej zdziwionej miny! *Wojennaja razwiedka* nie raz i nie dwa wykradała tajne dokumenty z naszego archiwum. No a przynajmniej tak wam się wydawało...

Najwyraźniej nie zdołałem ukryć zaskoczenia, bo mój rozmówca zachichotał krótko.

– My też co nieco potrafimy – zapewnił. – A teraz zaczynajcie, nie mamy wiele czasu.

Sięgnąłem po teczkę, przeczytałem kilka pierwszych stron, później tylko przewracałem kartki, koncentrując się na fotografiach. Tak jak powiedział Sawczenko, w odróżnieniu od oficjalnych te dokumenty zawierały informację o prywatnym gniazdku generała Parfimowa. Na szczęście nie znalazłem ani słowa o kochance. Może jeszcze nie jest za późno...

Sprawa była prosta: jeżeli Parfimow rzeczywiście miał kochankę, to mogła ona uniknąć uwagi bezpieki tylko w jeden sposób – mieszkając w tej samej kamienicy. Bo inwigilacja inwigilacją, ale przecież czekiści nie wystawiali posterunku pod drzwiami generała.

Nie musiałem długo szukać, w kamienicy znajdowało się szesnaście mieszkań i pięćdziesięciu siedmiu lokatorów. I tylko dwie kobiety można było określić jako ładne: szesnastoletnią Marusię Gusakową i liczącą sobie trzydzieści osiem wiosen Annę Troszczenko. Pierwszą odrzuciłem bez chwili namysłu, w aktach Parfimowa nie było najmniejszej wzmianki, jakoby preferował on nieletnie ślicznotki. Wreszcie żona i poprzednia kochanka Parfimowa miały około trzydziestki, a człowiek w jego wieku rzadko zmienia upodobania. Pozostawała więc tylko panna Troszczenko. Chyba żeby nie...

Miałem jeszcze inny problem. Nawet założywszy, że moje domysły odpowiadają rzeczywistości, czekała mnie kolejna wizyta w kamienicy, w której uwił sobie gniazdko Parfimow. Tymczasem *Kotielniczeskaja nabierieżnaja* była dość specyficzną ulicą – położona nad brzegiem rzeki Moskwy, raczej nie ściągała tłumów. Każdy obcy będzie tam widoczny jak na dłoni, szczególnie w nocy. Numer z rozpustnym oligarchą partyjnym drugi raz nie zadziała. I tak dziw, że ostatnio nam się poszczęściło i nie natrafiliśmy na bezpieczeniaków obserwujących mieszkanie Parfimowa. Być może MGB uznało, że nie ma po co pilnować kamienicy, ale lepiej nie ryzykować. Taaak... Trzeba to dobrze przemyśleć.

– To wszystko – rzuciłem.

– Mogę uznać, że jesteście kwita? – spytał bezceremonialnie Sawczenko.

– Jesteśmy – potwierdziłem, wstając od stołu.

Nie ma co się zasiadywać: jeszcze dziś muszę odwiedzić sąsiadkę Parfimowa, termin wyznaczony mi przez Stalina zbliżał się ku końcowi. Cóż, jeszcze kilka godzin i okaże się, komu życie, komu śmierć...



Ulica wyglądała na opustoszałą. Nic dziwnego, właśnie minęła północ. Ostatnią godzinę spędziłem, obserwując kamienicę, nie zauważyłem jednak niczego

podejrzanego: żadnych spóźnionych przechodniów czy zaparkowanych samochodów. Być może, rzeczywiście bezpieka odpuściła sobie nadzór nad mieszkaniem Parfimowa? W końcu na pewno przewrócili chałupę generała do góry nogami i jak ja niczego nie znaleźli.

Wszedłem na piętro, stanąłem naprzeciwko drzwi sąsiadki Parfimowa i zastukałem lekko. Powinna otworzyć, jeszcze przed chwilą w jej oknie paliło się światło.

– Kto tam? – spytała niepewnie.

– Milicja! – odparłem krótko.

– Pokażcie legitymację – zażądała, uchyliwszy drzwi.

Pokazałem. Zazgrzytał łańcuch i kobieta wpuściła mnie do środka. Choć atrakcyjna, nie była piękną: nieco zbyt pełna twarz wyrażała niepewność, a w jej gestach brakowało zdecydowania. Od razu widać, że to ktoś, kto trzyma się na drugim planie.

– Gdzie jest film? – rzuciłem bez żadnego wstępu.

– Ten, który zostawił mi Pietia? – upewniła się, podnosząc wzrok.

Skojarzenie, że chodzi o Parfimowa, zajęło mi dobrą chwilę.

– Ten sam – potwierdziłem szorstko.

– W łazience, zamurowany.

– Jak to zamurowany?

– Mam tam niewielką wnękę, która pozostała po wymianie rur. Pietia ukrył tam taśmę, zamurował i z zewnątrz pokrył kafelkami, takimi jak na ścianach.

– I tak od razu mi o tym mówicie?

– Pietia przewidział, że go zabiją. Na miesiąc przed śmiercią powiedział mi, że sprawa się wydała i teraz to tylko kwestia czasu. Znaczący, że go zabiją. Swoi – dodała wyjaśniająco.

– Jaka sprawa?

– Nie wiem, nie chciał powiedzieć. Mówił tylko, że brał udział w czymś, co było wielkim grzechem, i że za to zapłaci. Tu i tam. – Wskazała palcem w górę.

– Ludzie z bezpieczeństwa nie pytali was o film?

– Nie bezpośrednio... Zadali kilka rutynowych pytań o Pietię, jak i wszystkim sąsiadom.

– Dlaczego im go nie oddaliście?

– Pietia mi zabronił. Powiedział, że film musi dotrzeć do towarzysza Stalina i że przyjdzie po niego ktoś z milicji albo *wojennej rozwiędki*. Ostrzegł mnie też, że jeśli dam go *gebesznikom*, ci mnie zabiją.

Zmarszczyłem brwi. Fakt, że wywiad wojskowy rywalizował z bezpieczeństwem, nie stanowił nijakiej tajemnicy, ale skąd ta milicja? Czyżby Parfimow spodziewał się, że to właśnie mnie Stalin powierzy dochodzenie? Dziwne to wszystko...

– No dobrze – westchnąłem. – Prowadźcie do łazienki.

– To tutaj – poinformowała, wskazując kawałek niczym niewyróżniającej się ściany.

Opukałem ją rękojęścią noża. Wyglądała na solidną, nie wychwyciłem żadnego głuchego pogłosu.

– Macie w domu jakieś narzędzia?

Skinęła głową, po chwili wróciła, niosąc okazały młotek i dłuto. Zerknąłem na zegarek: wpół do pierwszej. Jeśli zacznę kuć ścianę, obudzę sąsiadów, z drugiej strony nie ma sensu czekać do rana, zbyt duże ryzyko. Szlag...

Po namyśle kilkoma ciosami strzaskałem kafelki, później użyłem dłuta. Odetchnąłem z ulgą, przebiwszy się przez kilkucentymetrową warstwę betonu. Przynajmniej wiadomo, że znalazłem skrytkę...

Z zaciśniętymi zębami kontynuowałem kucie, słysząc, jak każde uderzenie wywołuje echo w uspionej kamienicy. Ile czasu minie, zanim ktoś zadzwoni po milicję albo co gorsza, zaczną dobijać się do drzwi? Gniewny wrzask piętro wyżej uświadomił mi, że niewiele...

– Może spróbujcie tym? – Troszczenko podała mi łom.

Użyłem go bez chwili namysłu, atakując osłabioną ścianę. Chuj by to strzelił! Że też Parfimow nie mógł przygotować skrytki mniej starannie! Będę się teraz bawił w budowańca...

W końcu udało mi się ukruszyć kawał betonu i we wnęce ukazała się okrągła metalowa puszka. Znalazłem taśmę!

– Jakby tu przyszli czekiści, powiedzcie, że wam zagroziłem bronią – powiedziałem, zabierając pojemnik z filmem.

Kobieta odpowiedziała mi smutnym półuśmiechem.

– Przecież wiecie, że i tak mnie zabiją – odparła.

Nie odpowiedziałem, popędziłem do drzwi: ktoś zbiegał po schodach. Zapewne któryś z sąsiadów postanowił wyjaśnić sprawę tajemniczych hałasów.

Ledwo wyszedłem na ulicę, usłyszałem za plecami krzyki. Z pobliskiego budynku wyskoczyło kilku mężczyzn, błysnęła broń. Rzuciłem się do ucieczki. Kurwa mać! To dlatego nie zauważyłem przed kamienicą niczego podejrzanego. Bezpieka założyła stały posterunek w domu naprzeciwko. Teraz mi nie odpuszczą, bo widzieli, co trzymam w ręku...

Od prześladowców dzieliło mnie jakieś czterdzieści metrów, sporo dla pistoletu, a światło nielicznych latarni bardziej zwodziło wzrok, niż ułatwiało celowanie. Niemniej jednak komuś może się poszczęścić.

Biegłem, zygzakując niczym ścigany przez myśliwych zając, istnieją pewne schematy pozwalające w podobnych okolicznościach sprowadzić możliwość trafienia do minimum, tyle że ich zastosowanie mocno ogranicza szybkość. Chaotyczna z początku palba zamieniła się w regularny ostrzał – czekiści opanowali zaskoczenie

i zaczęli następować mi na pięty. Oni nie musieli zawracać sobie głowy na wpół akrobatycznymi manewrami. Szlag! Całe szczęście, że okolica mało uczęszczana, bo jak się napatoczy jakiś patrol...

Skreśliłem gwałtownie, zatrzymałem się za załomem budynku, sięgnąłem do kieszeni. Nie spodziewając się zasadzki, zrezygnowałem dzisiaj ze wsparcia moich ludzi, ale zamiast tego zabezpieczyłem się w inny sposób. Na wszelki wypadek... Zbliżające się krzyki i tupot nóg świadczyły, że czekał ci są już blisko. Wyrwałem zawleczkę i przykucnąwszy, cisnąłem granat tuż przy ziemi. O F-1 krąży wiele mitów, młodzi żołnierze często obawiają się ich używać, przeczytawszy w instrukcji, że zasięg odłamków wynosi dwieście metrów. Z doświadczenia wiedziałem, że to bzdura. Fala uderzeniowa jest w stanie powalić przeciwników w promieniu kilku metrów, strefa śmierci wynosi pięć do siedmiu, a odłamki na tyle duże, żeby mogły kogoś poważnie zranić, rzadko lecą dalej niż na trzydzieści metrów. No chyba że ktoś nie ma szczęścia, wtedy może oberwać i z odległości dwustu metrów...

Rozległ się ostry huk i okrzyki urwały się jak ucięte nożem. Wyjrzałem zza węgła: na bruku leżało paru mężczyzn, jeden z nich usiłował podnieść się na kolana. Ponownie poderwałem się do biegu, nie zważając, że uciekam środkiem ulicy. Jeśli nawet ktoś przeżył i może utrzymać się na nogach, uraz ciśnieniowy na długo wyłączy go z akcji.

Skreśliłem w lewo, gdzie dwie ulice dalej zostawiłem wóz. Rzecz jasna, samochód nie należał do mnie, ukradłem go tego dnia po południu...

Ostatnie metry przeszedłem spacerowym krokiem – po co budzić zainteresowanie? Wtedy mnie dopadli: jeden wyskoczył z pobliskiej bramy, drugi pojawił się za moimi plecami. Rzuciłem puszkę z filmem, strzeliłem z przykłąku. Zachodzący od tyłu mężczyzna upadł z groteskowo rozrzuconymi ramionami, broń drugiego plunęła ogniem. Wykonałem przewrót przez bark, zdając sobie sprawę, że to jedynie odroczenie wyroku. Trudno chybić z odległości dziesięciu metrów, nawet jeśli przeciwnik kula się po ziemi.

Nieoczekiwanie zawył silnik pobliskiego samochodu i wóz ruszył na atakującego mnie czekistę. Tamten zwinął się w błyskawicznym skreśle, po chwili odgłosowi strzałów zawtórował dźwięk bitego szkła. Ki czort? Głuche łupnięcie świadczyło, że ostatni przeciwnik został zneutralizowany. Podniosłem się ostrożnie z palcem na spuście.

– Pospiesz się, Saszka! – usłyszałem i drzwiczki samochodu otworzyły się z trzaskiem.

Popędziłem do wozu. Liza...

– Co tu robisz?!

– Pilnuję swojej inwestycji – odburknęła z zaciśniętymi zębami.

Palto na piersi dziewczyny zabarwiło się na czerwono.

– Co ci jest?! – krzyknąłem.

– Bark – mruknęła. – Może obojczyk. A może...

Podtrzymałem ją, zanim osunęła się na siedzenie, kilkoma ruchami noża pociąłem na niej ubranie. Jeśli poszła tętnica podobojczykowa, dziewczyna umrze, zanim doliczę do trzydziestu...

Cały bark miała zalany krwią, światło pobliskiej latarni pozwalało tylko na pobieżne oględziny. Kurwa! Lada moment pojawią się tu bezpieczniacy! Pospiesznie przewiązałem ranę, nie przejmując się leżącym w błocie filmem. Żebym zdążył, żeby tylko zdążył...



Emma Wasiliewna Kuntze wyglądała na śmiertelnie zmęczoną, a jej ruchy, kiedy osunęła się na fotel, przywodziły na myśl ciężko chorą osobę. Bez namysłu podszedłem do niej i rozmasowałem jej barki. Zareagowała aprobującym pomrukiem.

– Tego mi było trzeba – wymamrotała.

– Co z Lizą? – spytałem.

– Wszystko w porządku, wyzdrowieje twoja Liza.

– Ciężko było? Mówię o operacji.

– Skąd! Banalna sprawa: ładna dziurka na wylot, żadnych komplikacji. Tyle że po południu na placu Komsomolskim ciężarówka zderzyła się z tramwajem i przywieźli mi ośmioro dzieciaków. Zajmowałam się nimi do późnej nocy. No a teraz twoją Lizą.

Chrząknąłem współczująco, po czym postawiłem na stole puszkę z pralinkami.

– Co to jest?

– Łapówka. A co, nie widać? – odparłem obrażonym tonem.

Lekarka zdjęła pokrywkę i z wyraźną przyjemnością wciągnęła w nozdrza zapach czekoladek.

– Jak się domyślam, imperialistycznej produkcji?

– Owszem, zawsze mogę je zabrać, jeśli miałyby to obciążać twoje proletariackie sumienie.

Doktor Kuntze, nadzieja radzieckiej chirurgii, odpowiedziała groźnym warknięciem, opiekuńczo obejmując pudełko.

– Ręce precz od moich czekoladek! Zasłużyłam!

– Zasłużyłaś – przyznałem zgodnie.

– Pychota! – stwierdziła, degustując czekoladkę.

Odruchowo sięgnąłem do pudełka, ale zanim zdążyłem się poczęstować, do gabinetu wpadła niczym huragan Warwara Siemionowna. Uniosłem ręce obronnym

gestem. Zbyt późno! I tak oberwałem po karku.

– Razumowski! – wrzasnęła. – Zabiję cię, gadzino!

– Kiedy ja nie chciałem...

– Co się stało? – zaniepokoiła się Emma Wasiliewna.

– Ten matoł wystraszył na śmierć Griszę!

– Trubeckiego?

– Trubeckiego! – potwierdziła siostra oddziałowa ze złością. – Nie widziałas tego, bo byłaś w operacyjnej. Dobrze chociaż, że dzieciaki spały. Zjawił się tu z tą swoją panną na rękach, cały we krwi, wymachując pistoletem. Położył ją na kanapie w gabinecie lekarza dyżurnego i kazał operować. Griszy!

Emma Wasiliewna potrzaskała głową jak pies wychodzący z wody, rozmasowała skronie.

– Nie bardzo rozumiem – stwierdziła, marszcząc z wysiłkiem brwi. – A w czym mógł jej pomóc ginekolog?

– Toż ja właśnie o tym! Sterroryzował biedaka, wetknął mu skalpel w garść i polecił ratować damę w opresji. Dobrze, że przechodziłam korytarzem, bo Grisza już się zabierał do sondowania rany.

– Ja tylko...

– Razumowski! Jest spora różnica między cipką a raną postrzałową, choć i tu, i tam dziura! Może następnym razem, zanim zmusisz kogoś do operowania, spytaj najpierw o specjalizację?!

– Spytam, Warwaro Siemionowna. Na pewno spytam – obiecałem ugodowym tonem.

Nie pomogło. Przez dobry kwadrans musiałem wysłuchiwać uwag na temat swojej inteligencji i zasad zachowania w szpitalu. Na szczęście Warwara Siemionowna była uprzejma odnieść się i do stanu Lizy. Z jej słów wynikało, że dziewczynie nic nie grozi. Cóż, dobre i to, choć wiedziałem, że jeśli nie załatwię sprawy ze Stalinem, żadne z nas nie będzie mogło czuć się bezpieczne.

– Mogę ją odwiedzić? – przerwałem przedłużającą się tyradę.

– Wykluczone! – stwierdziła stanowczo Emma Wasiliewna. – Teraz potrzebny jest jej sen, a nie wariat wymachujący pistoletem. Nie mamy nadmiaru środków nasennych ani penicyliny.

– Daliście jej penicylinę?

– A jakże! Wszystko dla przyjaciółek pułkownika Razumowskiego – powiedziała lekarka z przekąsem.

– Zróbcie mi na jutro listę najbardziej potrzebnych i trudnych do zdobycia leków – zaproponowałem po namyśle. – W granicach rozsądku! – zastrzegłem się natychmiast.

Przez moment moje rozmówczynie wyglądały jak dzieci w sklepie z cukierkami...

– I po czorta wam ginekolog? W szpitalu dziecięcym?

– Niektóre dzieci to dziewczynki – wyjaśniła z nieukrywanym sarkazmem Warwara Siemionowna. – Poza tym...

– Tak?

– Czasem przywożą je prosto z ulicy. Na przykład z krwotokiem. Więc sam rozumiesz: bywa, że przydaje się i ginekolog...

– Informujecie milicję o takich przypadkach?

– Oczywiście.

Z miny siostry oddziałowej wywnioskowałem, że rezultaty nie są nadzwyczajne.

– Od tej pory wystarczy, że zgłosicie to mnie. Ja zajmę się resztą – zaproponowałem.

– Nie myśl, że ci tak od razu daruję! – burknęła.

– Gdzieżbym śmiał...

Warwara Siemionowna szturchnęła mnie karcąco łokciem, lecz już bez wcześniejszej irytacji.

– To ja już pójdę.

Miny obu kobiet świadczyły, że to najlepsze, co mogą zrobić.



Uniosłem lekko wycieraczkę: cztery z sześciu herbatników były rozkruszone. Ich wygląd świadczył, że do mieszkania weszły przynajmniej dwie osoby. Wyjąłem broń – ot, dodatkowy środek ostrożności. Kto wie? Może to towarzyska wizyta? Choć prawda, że osoby, które mogły do mnie zajść bez uprzedzenia, można policzyć na palcach jednej ręki.

Natasza czekała na mnie w przedpokoju, widząc złowrogo połyskującą lufę tokariewa, wykonała uspokajający gest.

– Masz gościa – szepnęła. – Mówi, że przyjechał z Kotowska.

– W porządku – powiedziałem. – Zaczekaj u siebie.

Zamknąłem za nią drzwi, po czym pomaszerowałem do salonu. Od razu rozpoznałem lekarza, który badał zwłoki mojej ciotki. Ujrzawszy mnie, mężczyzna odchrząknął niepewnie, odpowiedziałem mu zimnym spojrzeniem: powinien już dawno przesłać mi telegram z wynikami sekcji.

– Co was tu sprowadza? – spytałem, nie starając się nawet ukryć ironii w głosie.

– Wiem, że powinienem wcześniej... Jednak... – urwał, najwyraźniej nie wiedząc, jak dokończyć.

Zmarszczyłem brwi. W Kotowsku medyk zrobił na mnie wrażenie aroganta, a teraz jąka się niczym uczeń na pierwszej randce. Coś było nie tak. Mocno nie tak.

- Co wykazała sekcja?
- W tym problem, niby nic. Jednak są pewne oznaki...
- Słucham! – przerwałem mu niecierpliwie.
- Testy nie wykazały niczego niezwykłego: żadnych trucizn czy choćby nadmiaru leków, żadnych siniaków ani śladów po igle.
- Jednak coś udało wam się wykryć? – zachęciłem. – Coś niezwykłego?
- Lekarz skinął głową.
- Wasza ciotka była chora na serce, więc zadałem sobie pytanie, jak najłatwiej zabić kogoś takiego. Jak ja bym to zrobił...
- Zgrzytnąłem zębami, medyk po raz kolejny przerwał relację.
- I?
- Wystarczyłoby zaburzyć krwiobieg. Tętnice szyjne...
- Mówiliście, że nie było żadnych śladów!
- Tętnice były w porządku – zapewnił. Ale kapilary tętnicze już nie. Zbadałem wycinki tkanki pod mikroskopem. Kapilary to rodzaj naczyń krwionośnych o niewielkiej średnicy. Praktycznie są niewidoczne gołym okiem – dodał wyjaśniająco.
- Co z nimi? – wycodziłem.
- Były rozerwane. Tak jakby ktoś ucisnął tętnice. To musiał być zawodowiec, wiedział, jak to zrobić, żeby nie pozostawić śladów. Jednak nie wziął pod uwagę, że ktoś może pod mikroskopem...
- Jesteście pewni? Bo może ciotka miała zawał i to naturalny objaw?
- Jestem. Teraz rozumiecie, dlaczego wołałem nie wysłać telegramu.
- No dobrze, a skąd ta nagła uczynność?
- Powiedziałem wam, dlaczego zesłali mnie do tej dziury – odparł medyk, nie odwracając wzroku. – Nie wiem, jaką grę prowadzicie, i nic mnie to nie obchodzi. Mam tylko nadzieję, że wygracie i, być może, wtedy...
- Liczycie na moją pomoc?
- Owszem.
- Macie pieniądze na powrót?
- Niewiele, ja...
- Sięgnąłem do szafy, wyjąłem gruby plik sturublówek.
- To dla was – powiedziałem. – Nie muszę chyba uprzedzić, że lepiej będzie, jeśli wszelkie kwestie związane z sekcją mojej ciotki pozostaną między nami?
- Nie musicie.

Kiedy zostałem sam, siedziałem długo w fotelu, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Nie sądziłem, aby lekarz kłamał – zbyt wiele mogłoby go to kosztować – a jednak cała ta historia nie trzymała się kupy. Niby dlaczego bezpieka miałyby mordować moją ciotkę? Gdyby wiedzieli o... rodzinnych pamiątkach, oboje

bylibyśmy już dawno na Łubiance. Żywi. Zemsta? Śmiechu warte! Zabijając ciotkę, Beria pozbawił się możliwości szantażowania mnie. Nie miałem więcej krewnych. Ostrzeżenie? To przekazał mi już bezimienny niemiecki dywersant. Chyba że nasłał go Wołkow. Tak czy owak, o czym tu gadać? Wiedziałem, że Beria zabije mnie przy pierwszej sposobności, a on wiedział, że ja wiem... Wariactwo.

W końcu podniosłem się z ciężkim westchnieniem i podszedłem do telefonu. Najwyższy czas rozmówić się ze Stalinem.

Dyżurujący w kancelarii genseka oficer umówił mnie na jutro na osiemnastą. Teraz tylko trzeba dożyć do przyszłego wieczora...

Po namyśle wykręciłem jeszcze jeden numer. Tima podniósł słuchawkę niemal natychmiast, jakby czuwał przy telefonie.

– Udało ci się zdobyć projektor?

– Tak.

– I co?

– To ten film.

Odetchnąłem z ulgą, dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak byłem zdenerwowany.

– *Komandir*?

– Co jeszcze?

– Pozwólcie mi zabić Berię.

– Zwariowałeś?!

– Wiem, że teraz to niemożliwe, ale później...

Milczeliśmy, dopóki cisza w słuchawce nie stężała niczym beton.

– Ten film...?

– Tak. To nie do opisanania.

W głosie Katuszewa brzmiała zimna wściekłość. Nie słyszałem u niego takiego tonu, odkąd został kontuzjowany.

– Pogadamy o tym później – uciąłem. – Najpierw musimy przeżyć.

– Uważajcie na siebie, *komandir* – powiedział poważnie chłopak.

– Postaram się, Tima – obiecałem. – Postaram się...



Przyszli do mojego gabinetu na Pietrowce, od razu pokazali pismo: wezwanie od samego Ławrentija Pawłowicza Berii. Cóż było robić? Nie można odmówić drugiej osobie po Stalinie. Zatroszczyłem się tylko, żeby wiedziano, gdzie i z kim wychodzę. Na ludziach Berii nie wywarło to żadnego wrażenia.

Na ulicy czekał już na nas czarny mercedes. Usadzono mnie z tyłu, nikt nie zażądał

ode mnie broni. Na razie...

Obaj konwojujący mnie bezpieczniecy wyglądali na rozluźnionych, a w ich gestach i zachowaniu nie dopatrzyłem się nawet cienia ostrożności, nie wychwyciłem ani jednego sygnału świadczącego, że wysłano po mnie zawodowców. A przecież Beria nie był idiotą... Może specjalnie wybrał taką ekipę, licząc, że spanikuję i ucieknę? A jeśli nie ucieknę i w rezultacie wyląduję na Łubiance?

Dyskretnie rozpiąłem rękaw koszuli, dotknąłem rękojeści przytroczonego do przedramienia noża. W ciasnocie lepiej posługiwać się ostrzem niż pistoletem. No i unika się hałasu...

– Gdzie jedziemy? – spytałem.

– Na stadion Dynamo – odparł kierowca, nie odwracając głowy.

Zamurowało mnie. Jak każdy mieszkaniec Moskwy wiedziałem o związkach bezpieczeństwa z Dynamem. To pracownicy jednego z wydziałów NKWD, Państwowego Zarządu Politycznego, wpadli na pomysł, aby stworzyć „proletariacki klub sportowy”, ale myślałem, że Beria wezwał mnie na rozmowę. Tę zaległą. A tu stadion... I po jaki chuj? Przecież mamy grudzień, żadnych meczów czy rozgrywek.

Milczałem, póki za oknami nie pojawiły się pierwsze drzewa: stadion zbudowano w Piotrowskim parku.

– Trochę chłodno na bieganie po boisku – zauważyłem zgryźliwie.

– Nie martwcie się, Ławrentij Pawłowicz oczekuje was w jednej z sal pod trybunami. A co do chłodu, to obiecuję, że się rozgrzejecie.

Uniosłem brwi, kiedy cała trójka wybuchnęła śmiechem. Cóż, zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni...

Wartownicy przy wejściu odebrali mi broń, któryś zaprowadził na trybunę. Salę obliczono na kilkuset widzów, pośrodku pomieszczenia ułożono kilkadziesiąt mat. Ku swojemu zdziwieniu zauważyłem wielu znajomych z *wojenno* *razwiedki*. Ki czort? Tyle dobrego, że mnie nie zaciukają na oczach tej całej publiki. Nie w sytuacji, kiedy jutro mam się widzieć ze Stalinem. Na to nie odważyłby się nawet Beria. No tak: o wilku mowa...

Ławrentij Pawłowicz rozpierał się na twardym krzeselku, jakby to był luksusowy fotel. Powitał mnie ociekającym złośliwością uśmiechem.

– Siadajcie! – zaprosił, wskazując miejsce tuż obok. – Mam nadzieję, że nasze skromne zawody was usatysfakcjonują. W końcu to był wasz pomysł.

– Nie rozumiem...

– Przecież kilkakrotnie proponowaliście turniej pomiędzy bratnimi służbami, pamiętacie? Oto i on...

– Turniej? – powtórzyłem bezmyślnie.

– A jakże! A to pierwsi zawodnicy.

Na sali rozległy się gwizdy i wiwaty – naprzeciwko muskularnego żołnierza

wojennej rozwiadki wyszedł otyły mężczyzna o dobroduszej twarzy Świętego Mikołaja. Rozpoznałem go natychmiast; kiedy ostatnio widziałem go na Łubiance, miał na sobie mundur majora. I był ochroniarzem Ławrentija Pawłowicza. A jako taki musiał być naprawdę dobry. Bardzo dobry. Bo Beria narobił sobie wrogów i na pewno nie trzymałby przy sobie niezdarne grubasa...

– Kapitan Paszutin kontra pułkownik Izunow! – ogłosił konferansjer.

Zagryzłem wargi. Sposób poruszania się Izunowa w niczym nie przypominał eksperta walki wręcz, a jednak nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że mężczyzna jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem.

Paszutin skoczył naprzód, wymierzając jednocześnie potężne uderzenie pięścią. Zamiast cofnąć się czy zablokować, Izunow wyszedł mu naprzeciw. Szybkość reakcji bezpieczniaka porażała, ledwo wychwyliłem jego ruch. W śmiertelnej ciszy Paszutin upadł na matę, trzymając się za gardło. Teraz dopiero mój mózg połączył przekazywane przez oczy obrazy: Izunow odchylił nieco cios Paszutina, uderzając jednocześnie czubkami palców w krtani przeciwnika. Mistrzowska i nie ma co ukrywać, ryzykowna technika. Szlag...

Po cholere Beria mnie tu ściągnął? Chyba nie wyobraża sobie, że sam stanę do walki?

Część sali zajęta przez bezpieczniaków eksplodowała oklaskami. Izunow zaprosił gestem kolejnego przeciwnika. Po krótkiej przerwie na ring wszedł Roma Czerkasow. Nie znałem go bliżej, ale wiedziałem, że jest jednym z instruktorów *wojennej rozwiadki*. Fama głosiła, że trenował u samego Oszczepkowa, ucznia Jigoro Kano. Cóż, może tym razem będzie lepiej? Nie było, choć walka trwała dobre kilka minut. Bez trudu rozpoznawałem techniki pochodzące ze starych szkół *jujutsu* i sambo, ale Izunow zawsze reagował na czas i w zupełnie niespodziewany sposób. Czerkasow był świetny, jednak starcie wyglądało tak, jakby jego rywal znał sekrety, o których się Romie nie śniło, jakieś – bo ja wiem? – zasady wyższego rzędu...

Walka zakończyła się równie niespodziewanie, co brutalnie: schwytny za rękaw Izunow potężnym kopnięciem złamał przeciwnikowi goleń, po czym błyskawicznym ruchem skręcił mu kark. Wokół rozległy się krzyki oburzenia – nikt nie miał wątpliwości, że Roma umarł, zanim upadł na matę, ale nie wyglądało, żeby Ławrentij Pawłowicz chciał przerwać zawody.

– Nie macie nic przeciwko, żebym przeszedł na drugą stronę? – spytałem, z trudem cedząc słowa przez ściśnięte z nienawiści gardło.

Ech, gdybym tylko mógł zostać z tym gnojem sam na sam... Chciałaby dusza do raju, ale czułem na sobie wzrok ochroniarzy Ławrentija Pawłowicza. Jeden gwałtowny ruch i zareagują...

– Ależ oczywiście! – wykrzyknął jowialnie Beria. – Róbcie, co chcecie, jesteście moim gościem. Możecie nawet wziąć udział w turnieju!

Akurat! Niedoczekanie twoje, skurwysynu! Przeszedłem przez trybuny, wmieszałem się między żołnierzy *wojennej rozwiadki*. Od razu poczułem się pewniej wśród swoich.

– Saszka!

Odwrociłem się, za moimi plecami stał Siemionow.

– Co tu robisz?

– Zaprosił mnie sam Ławrentij Pawłowicz – odparłem ponuro.

– Znalazłeś... – nie dokończył zdania.

– Znalazłem. Tylko nie wiem, czy dożyję, żeby przekazać go Stalinowi.

– Chcą cię sprowokować?

– Na to wygląda, choć nie wyobrażam sobie jak. Nie mogą mnie zmusić do walki zbyt wielu świadków.

– To instruktor nowego stylu walki – powiedział posepnie Siemionow, wpatrując się w zaimprovizowaną arenę. – Nikt z naszych nie da mu rady. Nikt poza mną...

– Zwariowałeś?! Beria tylko na to czeka!

– To zupełnie nowa jakość: zasady biomechaniki, opracowane jeszcze przez Bernsztajna, połączono z najlepszymi technikami rozmaitych sztuk walki, od japońskich poprzez chińskie do walki na gołe pięści włącznie – stwierdził, nie zwracając na mnie uwagi.

– Jakich, do licha, sztuk walki?!

– Za długo by tłumaczyć. Idę.

– Siergiej!

Siemionow przeskoczył barierkę i zdecydowanym krokiem wszedł na ring.

– Siemionow kontra Izunow! – ogłosił konferansjer, pomijając stopnie wojskowe przeciwników.

Zauważyłem, że Beria – po raz kolejny! – uśmiechnął się z zadowoleniem, a ciało Czerkasowa wyniesiono z sali. Ot, jeszcze chwilę temu żył sobie człowiek, a teraz to tylko ochłap mięsa. Dobrze, jeśli chociaż Paszutin wyjdzie z tego cało...

Siemionow rozpoczął pierwszy, dziwnym, powolnym ruchem. Jego dłonie wysunęły się naprzód niczym czułki gigantycznego owada, badając ostrożnie przestrzeń. Izunow odpowiedział tym samym. Przez ułamek sekundy, mgnienie, ich przedramiona się zetknęły. Mój wzrok nie zdążył wyłapać wszystkich zadanych z osłepiającą szybkością uderzeń i kopnięć. Po chwili obaj zwiększyli dystans. Izunow już nie wyglądał na Świętego Mikołaja: jego szczęka puchła w oczach, a na ustach dostrzegłem krew. Siemionow za to wyraźnie oszczędzał prawe ramię. Jeśli bezpieczniak złamał mu obojczyk...

Teraz zaatakował Izunow. Zmyliwszy przeciwnika pozorowanym natarciem, nagle znalazł się za plecami Siemionowa. Jego ręce przesunęły się pod pachami rywala, ale zamiast zapleść je w podwójnym nelsonie, zakrzywione niczym szpony palce wbił

w ramiona Siemionowa, tuż nad obojczykami. Siemionow natychmiast wykonał przewrót, uwalniając się z uścisku bezpieczniaka, lecz jego mina wyraźnie świadczyła, że atak na sploty nerwowe dał mu się we znaki. Jego dłonie próbowały kreślić obronne figury, widać jednak było, że reagują z opóźnieniem.

Izunow rozbił jego gardę zadaniem z ogromną siłą kopniakiem, po czym uderzył otwartą dłonią w pierś. Siemionow nagłym skrętem osłabił cios i na moment przytrzymał ramię napastnika pod pachą. Wszyscy usłyszeli głośny trzask i krzyk Izunowa: Siemionow zdążył złamać mu rękę w łokciu.

Zacisnąłem zęby – siły były wyrównane; z jednej strony złamana ręka i uszkodzona szczęka, z drugiej pęknięte, o ile nie złamane, żebra. Kilka żeber, widziałem to po ruchach Siemionowa...

Podniosłem wzrok na Berię, ale ten siedział z zaciętym wyrazem twarzy, najwidoczniej nie mając zamiaru interweniować. Szkoda, że nie zgłosił swojego udziału, bo chyba bym wtedy wystartował. Mimo wszystko...

Tymczasem na arenie doszło do kolejnego starcia, tym razem z wyraźną przewagą Siemionowa. Co prawda Izunow trafił go łokciem zdrowej ręki w podbródek, ale otrzymał za to uderzenie w szyję. Pozornie słaby, przypominający klepięcie cios otwartą dłonią nie wyglądał groźnie, ja jednak wiedziałem swoje: jeśli zareagują rozłokowane w ścianie tętnicy szyjnej baroreceptory, nagły spadek ciśnienia spowoduje niedokrwienie mózgu. A z tym jeszcze nikt nie wygrał...

Izunow postąpił trzy kroki naprzód, jakby zamierzał zaatakować, po czym runął na matę bezwładny niczym worek cementu. Siemionow z kamienną twarzą zmiażdżył stopą gardło powalonego.

Radosne wycie żołnierzy *wojennej rozwiadki* zagłuszył głos konferansjera:

– Trzy minuty przerwy i walki będą kontynuowane!

Gniewnym okrzykiem zawtórował szcęk przeładowywanej broni. Dopiero teraz zauważyłem, że wszystkie wyjścia z sali zostały obstawione przez ludzi Berii.

– On cię zmusi do walki – stwierdził rzeczowo Siemionow.

Podtrzymało go dwóch żołnierzy, trzeci bandażował żebra.

– Nie może...

– Może – zaprzeczył, zaciskając z bólu wargi. – Jest zdesperowany i gotowy na wszystko.

– Film i tak dotrze do Stalina, zatroszczyłem się o to!

– Możliwe, ale ty będziesz już martwy. Przypuszczam też, że bez twoich wyjaśnień uda mu się złagodzić oskarżenie. A przynajmniej on tak sądzi.

– Ale przecież nie może nas wszystkich wymordować! Jutro zdamy relację z tego zajścia i...

– I co? Zginął jeden bezpieczniak i jeden z naszych. Remis! Znacząca walka była uczciwa! Naprawdę ci się wydaje, że gensek zwróci się przeciwko Berii z powodu

zeznań paru żołnierzy? – dorzucił szeptem. – Zapomnij!

– Przecież nie zmusi mnie siłą!

– Nie zmusi – potwierdził Siemionow. – Sam wyjdiesz. Kiedy Warygin zabije paru naszych...

– Kto taki?!

Siemionow bez słowa wskazał na arenę: pupilek Berii pułkownik Warygin właśnie gramolił się przez barierki.

– Wiesz, że nie możemy sobie pozwolić na przegranie tego turnieju – kontynuował.

– A jeśli stchórzemy...

– On jest jeszcze lepszy od Izunowa – powiedziałem.

Siemionow wzruszył ramionami, nie musiał nic mówić. Po nim i po Czerkasowie byłem najlepszy w walce wręcz. Wiedziałem też, że chłopcy nie odpuszczą, choćby mieli tu paść jeden na drugim. I nie! Nie chodziło o kwestie ambicjonalne! Od momentu swojego powstania *wojennaja razwiedka* rywalizowała z czekistami. I nie był to przypadek – nasza organizacja została powołana jako przeciwwaga dla bezpieczeństwa. Problem w tym, że nigdy nie mieliśmy szans dorównać jej liczebnością, a i nakłady na wywiad wojskowy były dużo mniejsze niż te, które otrzymywali ludzie o „czystych dłoniach i gorących sercach”. Stąd jedynym czynnikiem, który utrzymywał nas w grze i powodował, że pozostałe specsłużby musiały się z nami liczyć, była skuteczność GRU. Jeśli przegramy ten idiotyczny turniej, będzie to początek końca *wojennoj razwiedki*. Bo plotki rozejdą się błyskawicznie, już Ławrentij Pawłowicz o to zadba... Być może nawet cała ta farsa nie została wcale zaplanowana dla mnie, byłem co najwyżej celem ubocznym. Tyle że nie zmieniało to w niczym sytuacji: jeśli przyjmę wyzwanie – zginę, jeżeli odmówię walki, umrze niepotrzebnie jeszcze kilka, a może kilkanaście osób, a ja stanę się dla swoich persona non grata. Bo w naszej firmie nie wybaczano nigdy dwóch rzeczy: zdrady i tchórzostwa. Szach i mat, towarzyszu Razumowski! A ja myślałem, że tylko Stalin gra w szachy. Po raz kolejny nie doceniłem Berii i wyglądało na to, że będzie to moja ostatnia pomyłka...

– Kto reprezentuje GRU? – zapytał głośno konferansjer.

– Gdyby był tu ten twój Kotuszew – mruknął Siemionow, podnosząc się ociężale. – Spróbuję, może jeszcze raz mi się uda...

Nim dokończył zdanie, stałem już na arenie. Czuję się jak po pół litra wódki: widziałem tylko Berię i Warygina. Obaj się uśmiechali.

– A już myślałem, że będę ci musiał powiedzieć, jak zabiłem twoją ciotkę – wyszeptał Warygin.

– Wolałbym, żebyś opowiedział, jak zabiłeś Olgę – odpowiedziałem.

Jego twarz zastygła w wyrazie zdumienia, w chwilę później runął w tył: udało mi się trafić go w podbródek.

Sala eksplodowała okrzykami: „Saszka! Saszka!”, a Warygin wstał, przetoczywszy się miękko po macie. Już się nie uśmiechał. Wiedziałem, że gdyby nie zaskoczenie, nie udałoby mi się go trafić, zdawałem sobie też sprawę, że zostały mi sekundy, w najlepszym wypadku minuty życia. Cóż, jak ginąć, to z muzyką...

Zaatakowałem ponownie. Ku mojemu zdziwieniu kilka ciosów dosięgło celu. Nie żeby zrobiły wielkie wrażenie na Waryginie, ale zawsze to coś.

Nagle znalazłem się na macie, zadane z ogromną siłą kopnięcie odrzuciło mnie na kilka metrów. Znaczący koniec, jak nic, poszło parę żeber, o ile nie mostek. Jednak wpajane latami odruchy zrobiły swoje i w mgnieniu oka stanąłem ponownie na nogach. O dziwo, nie czułem wielkiego bólu, bywało, że gorzej obrywałem na treningach. Zblokowałem kolejne uderzenie Warygina, skontrolowałem, ale ten natychmiast odskoczył. Co on, u licha, kombinuje? Czyżby chciał się ze mną pobawić? A może ośmieszyć, zanim zabije? Spojrzałem uważniej na swojego przeciwnika: nie wyglądało, aby udawał. Jego ruchy, zwężone w napięciu oczy, mina, wszystko świadczyło o ostrożności. Nieudawanej ostrożności. Ki czort?

Nieoczekiwanie dłonie Warygina zawirowały niczym niesione wiatrem liście, a on sam doskoczył do mnie, bijąc z obu rąk. Sparowałem kilka ciosów, ale bezpieczniak przedarł się przez moją gardę, poczułem uderzenie w dołek podsercowy, a zaraz potem w krtań. Odwzajemniłem się, atakując barkiem i łokciem, znowu rozeszliśmy się jak para tancerzy. Poczułem ból i gorąco w miejscach, gdzie trafił mnie Warygin, ale nadal stałem na nogach i mogłem walczyć. Żadnych duszności, zawrotów głowy, dławienia się własną krwią...

Ogłuszający aplauz żołnierzy *wojenno* *razwiedki* potwierdził, że i oni zauważyli, iż wytrzymałem ciosy, które powinny mnie zabić. Czyżby działała krew Doskonałych? A może ćwiczenia opisane w „Żelaznej księdze”? Tak czy owak, przeżyłem i ani Warygin, ani towarzysz Beria nie mieli już min zdobywców świata. Cóż, możliwe, że Warygin potrafił robić rzeczy, o jakich mi się nie śniło, ale wyglądało na to, że i ja go zaskoczyłem. Facet wyraźnie górował nade mną szybkością i koordynacją ruchów, jednak nie aż tak, żebym nie mógł go trafić. A skoro byłem w stanie to zrobić, taktyka narzucała się sama...

Skróciłem dystans i wdałem się w pozornie bezładną wymianę ciosów. Uderzenia Warygina szarpały moim ciałem, od czasu do czasu i mnie udawało się go trafić. Tyle że bez specjalnego skutku: zdawało się, że mój przeciwnik potrafi wchłonąć energię ciosu poprzez raptowne napięcie mięśni i niemal niewidoczny skręt ciała. Wreszcie, zamiast blokować, przyjąłem sierpowy Warygina na tułów i odpowiedziałem cięciem w skroń napastnika. Kant mojej dłoni uderzył z szybkością i siłą rzeźnickiego topora i choć Waryginowi udało się nieco zmienić kierunek siły, to jednak tym razem nie do końca... Poczułem, jak kość jarzmowa ustępuje pod moją dłońią, i Warygin zatoczył się w tył. Wiedziałem, że przez moment niewiele zobaczy, taki uraz powoduje

długotrwałe łzawienie, a jeśli odłamki kości uszkodziły gałkę oczną...

Udało mu się zablokować kopnięcie w pachwinę, lecz oburęczne uderzenie w uszy doszło do celu, podobnie jak kruszący żebra cios kolanem. Kiedy upadł, klęknąłem i zakrzywionymi na kształt szponów rękoma wydusiłem z niego życie.

– To za Olgę i ciotkę – wyszeptalem.

Zanim zdołałem wstać, chłopcy porwali mnie na ręce i zanieśli do Berii.

– To co, chyba zakończymy ten konkurs, towarzyszu? – zaproponowałem drwiąco.

– Konkurs tak – odparł, siląc się na nonszalancję, Ławrentij Pawłowicz.

Mimo pozorów opanowania emanowała z niego nienawiść. Gdyby spojrzenie potrafiło zabić, byłbym już trupem. Cóż, nic na to nie poradzę, za późno na jakiegokolwiek układy. Prędzej czy później jeden z nas zginie.

– *Hie gut Brandenburg allewege* – powiedziałem na odchodne.

Po błysku w oku Berii zorientowałem się, że trafiłem. A więc to ten skurwysyn nasłał na mnie snajpera, nie Wołkow. Dobrze wiedzieć. No nic, na razie jestem dla niego nietykalny. Bylebym dożył jutrzejszego spotkania ze Stalinem...

– Przenocujesz u nas, w koszarach. Tak na wszelki wypadek – oznajmił Siemionow nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Skinałem potakująco. Rzeczywiście, nie ma co ryzykować.

– Wiesz co? Kiedyś chciałem ci przyłożyć na treningu – kontynuował. – Teraz myślę, że jeszcze chyba trochę z tym poczekam...



Odetchnąłem głęboko, starając się choć przez chwilę nie zwracać uwagi na ekran. Nie wyszło: przeraźliwy krzyk gwałconej Swietłany Wołkowej ranił moje uszy, a kamera pokazywała poszczególne sekwencje z perwersyjną dokładnością. Nie zrobiło mi się lżej, nawet kiedy Swieta przestała krzyczeć. Zerknąłem na zegarek – minęła pięćdziesiąta dziewiąta minuta filmu.

Siedzący obok Stalin spojrzał na mnie pytająco.

– Wyłączyć projektor, zapalić światło – poleciłem.

Znajdowaliśmy się w prywatnej sali filmowej genseka.

– Nie ma sensu dalej tego oglądać, to strata czasu – powiedziałem. – Przygotowałem dla was zdjęcia przedstawiające wszystkie osoby uczestniczące w torturach Wołkowej.

– To ci sami, co na liście?

– Prawie. Poza wami, towarzyszami Abakumowem i Berią oraz mną jest jeszcze jeden wyjątek. Lecz o tym za chwilę.

– Co o tym sądzicie?

– Chodzi wam o to, jak zakwalifikować to... zajście?

Stalin przytaknął.

– To nie głupota ani wypadek przy pracy – rozpocząłem, starając się okiełznać ogarniający mnie gniew. – Wszystko starannie zaplanowano, tak żeby jak najbardziej rozdrażnić Wołkowa. Zwróciliście uwagę na tę kobietę w czterdziestej siódmej minucie?

Gensek ponownie przytaknął.

– To niejaka Arina Bystricka z Ministerstwa Kontroli Państwowej. Obecnie posługuje się dokumentami na nazwisko Marina Kowalenko.

– Mechlis? – uniósł brwi Stalin.

– Raczej nie – odparłem po zastanowieniu. – Do MKP dostała się z rekomendacji towarzysza Berii, o ile mi wiadomo, wcześniej pracowała w NKWD. Jeśli nawet Mechlis wiedział o jej misji, to tylko w ogólnych zarysach.

– No dobrze, chcieliście coś powiedzieć, a ja wam przerwałem.

– Ten film miał podsycać gniew Wołkowa, minuta po minucie. W pewnym momencie Swieta wpada w apatię, być może nawet w stupor, tak bywa, kiedy tortury się przedłużają...

– I?

– Wtedy na scenę wychodzi Bystricka. Kto jest w stanie ocenić głębię upodlenia gwałconej kobiety? – spytałem retorycznie. – Tylko inna kobieta. Ujrzawszy Bystricką, Swieta znowu zaczyna krzyczeć... Organizatorzy wzięli pod uwagę każdy najmniejszy szczegół.

– No dobrze, a cel tego całego przedstawienia?

– To już bardziej skomplikowane i nie jestem pewien, czy wyłapałem wszystkie niuanse. Generalnie rzecz biorąc, chodziło o napuszczenie Wołkowa na was i Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego na *wojennuju razwiedku*. Zagrożenie, jakie stanowił dla was Wołkow, powinno skutkować zwiększeniem uprawnień MBP i Ministerstwa Kontroli Państwowej. Zyskałby na tym przede wszystkim Abakumow, ale i pośrednio Beria jako nadzorujący pracę MKP. Do tego autorzy planu założyli osłabienie pozycji GRU, bo przecież Wołkow to nasz były agent... Na pewno zaskoczył ich fakt, że dochodzenie powierzyliście właśnie mnie.

– Nie bali się, że Wołkow dorwie i ich? – zapytał Stalin. – Przecież i oni są na liście.

– Niby tak, tylko że zagrożenie było i jest minimalne. Po pierwsze obaj mają potężną ochronę. Po drugie zabezpieczyli się, wysyłając Wołkowowi filmy z przesłuchania jego córki. Bo Wołkow to zawodowiec, wie dobrze, że gdyby zabił Abakumowa czy Berię, ich podwładni rozproszyliby się momentalnie. Szczególnie ci zamieszani w tę aferę. Gdyby okazało się, że powodem, dla którego zginął Beria czy

Abakumow, były tortury Swiety, wszyscy, którzy brali w nich udział, zostaliby na pewno zdegradowani. O ile nie gorzej... A wtedy znaleźliby się poza zasięgiem Wołkowa. No, przynajmniej na jakiś czas. Nie, on chce ich zabić osobiście. Wszystkich, którzy zgwałcili jego córkę i pokroili ją na kawałki...

– Pokroili?

– Dokumentuje to dalsza część filmu – wyjaśniłem sucho. – Miażdżenie palców, oblewanie wrzątkiem, zdzieranie skóry, wreszcie amputacja palców dłoni i stóp, centymetr po centymetrze...

– Jak myślicie, chcieli mnie zabić? To był spisek przeciwko mnie?

Zadając pytanie, Stalin nie zmienił wyrazu twarzy, lecz wiedziałem, że jest wściekły. W końcu znałem go nie od dziś...

– I tak, i nie – odparłem z wahaniem. – Wydaje mi się, że raczej chcieli zwiększyć swoje wpływy, niż odebrać wam życie. Z drugiej strony musieli brać pod uwagę wasz wiek i stan zdrowia...

– To znaczy?

– Mogli się spodziewać, że całokształt tej sytuacji wpłynie negatywnie na wasze zdrowie. Nie jestem lekarzem, ale wiele parametrów jest związanych bezpośrednio z systemem nerwowym: ciśnienie, praca serca...

– Przeciwdziałania?

Odchrząknąłem niepewnie: wątpliwe, aby Stalin zasięgał mojej opinii co do kwestii politycznych, do jakich należało zaliczyć sposób postępowania z Abakumowem i Berią. To nie byli ludzie, których dałoby się zlikwidować z dnia na dzień.

– Rozumiem, że interesuje was poziom operacyjny?

– Dokładnie tak!

– Gdybym miał układać plan mający na celu storpedowanie wysiłków Abakumowa i Berii...

– Układajcie! Mam nadzieję, że przemyśleliście to wcześniej?

– Owszem – przyznałem.

To nie był dobry moment na demonstrowanie skromności. Stalin domagał się konkretnych działań, dzięki którym będzie mógł zablokować posunięcia nadmiernie ambitnych współpracowników. I dać im do myślenia na przyszłość...

– Widzę tu dwa równie ważne cele – powiedziałem. – Pierwszy to ukaranie wszystkich podwładnych Abakumowa i Berii zamieszanych w aferę. Ze względu na wagę problemu istnieje tu tylko jedna opcja: fizyczna likwidacja. Coś takiego na długo zastępuje podobne inicjatywy, bo rozejdą się plotki na temat losu osób zaangażowanych w tę kombinację...

– A drugi cel?

– Likwidacja Wołkowa. Nie można lekceważyć zawodowca tej klasy. Dopóki Wołkow żyje, nigdy nie będziecie bezpieczni. Co ważne: osiągnięcie obu tych celów

jest łatwiejsze niż każdego z osobna.

– A to ciekawe, macie jakiś plan?

– Raczej zarys planu – odpowiedziałem ostrożnie.

– Słucham.

– Istnieją pewne kanały, za pomocą których mogę skontaktować się z Wołkowem. Zostały z czasów, kiedy Wołkow wypełniał jeszcze rozkazy GRU. Jestem pewien, że sprawdza je regularnie.

– I co chcielibyście mu przekazać?

– Coś, co go na pewno zainteresuje. Informację, że mogę mu oddać wszystkich zamieszanych w śmierć jego córki. Wszystkich co do jednego, włącznie z Bystricką, o której nie wiedział.

– Jak to nie wiedział?

– Myślę, że MGB wycięło z taśm, które mu przekazało, fragment, gdzie widać twarz Bystrickiej. To ledwo parę sekund.

– Jak myślicie, to przypadek?

– Nie sądzę. Beria kazał jej mnie szpiegować. Nie mógł wiedzieć, czy Wołkow nie przekaże *wojennoj razwiedkie* filmów, jakie mu przesłano. To była celowa asekuracja. Zapewne towarzysz Beria miał co do niej daleko idące plany.

– No dobrze, co dalej? – ponaglił mnie niecierpliwie Stalin.

– *Wojennaja razwiedka* aresztuje wszystkich ludzi Berii i Abakumowa zaangażowanych w sprawę Wołkowej. Tu nie może być żadnego udawania, bo Wołkow wyczuje to momentalnie! Wtedy ja zaproponuję mu oddanie całej grupy w zamian za wykreślenie mnie z listy.

Gensek nawet nie drgnął, słysząc ostatnie zdanie: zdawał sobie sprawę, że generał Wołkow musi wiedzieć o wpisaniu mnie na łże-listę, a zatem nie będzie wcale zaskoczony propozycją. No i na pewno nie wyprowadzi mnie z błędu, informując, że nigdy nie miał zamiaru na mnie polować. A raczej nie wyprowadziłby, gdyby nie Lidia Zosimowna i spotkanie oko w oko w moim mieszkaniu. Cóż, przyjdzie czas, kiedy zapłacę wam i za to, towarzyszu Stalin...

– Myślicie, że spotka się z wami?

– Żeby zabić winnych śmierci córki? Na pewno. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– A wtedy go zlikwidujecie?

– Nie od razu...

– To znaczy?

– Dotrzymam słowa: pozwolę mu ich zabić.

– A to w jakim celu?

– Przypuszczam, że Wołkow opracował pewne... procedury. Nikt nie potrafiłby zrobić z nimi tego, co on. Po co mu przeszkadzać? Kiedy go zabiję, wasi ludzie

zabiorą jego zwłoki celem identyfikacji. Reszta ciał pozostanie na miejscu. Beria ma w GRU kilku agentów, więc bez problemu zorganizuję przeciek na temat układu między *wojennej rozwiędki* a Wołkowem. Ponieważ podpiszecie osobiście rozkazy aresztowania, Beria pomyśli, że układ zawarto, aby wymazać wasze nazwisko z listy. I że Wołkow nadal żyje i poluje na niego oraz Abakumowa. A kiedy odnajdzie ciała, łącznie ze zwłokami Bystrickiej i pewnego lekarza, sądzę, że da mu to do myślenia. Przypuszczam, że i Abakumow nie będzie zachwycony, dowiedziawszy się, jak i z czyjej ręki zginęli jego ludzie. No i wyobrażacie sobie, ile wysiłków obaj włożą w zabezpieczenie się przed nieistniejącym zagrożeniem?

Po aprobującym błysku w oku Stalina zorientowałem się, że ostatnia część planu wyjątkowo mu się spodobała.

– Macie spis tych nazwisk?

– Owszem, pozwoliłem sobie przygotować go wcześniej...



Lidia Zosimowna Siwers wyglądała dziś nie tylko na swoje lata, ale i sprawiała wrażenie, jakby dopiero co wyszła ze szpitala po ciężkiej chorobie. Podkrążone oczy, blada twarz i drżące dłonie czyniły ją podobną do staruszki. Chorowitej staruszki... Nie tknęła nawet swojej ulubionej herbaty i ciasteczek – spotkaliśmy się jak zwykle w „Anastazji”. A przecież wszystko szło jak po maśle: nasi aresztowali ludzi Abakumowa i Berii, w podziemiach starej fabryki na peryferiach Moskwy czekał też sobowtór Wołkowa. W czym problem? Chyba że Lidia Zosimowna rzeczywiście źle się czuje. W końcu ma swoje lata. Po krótkim wahaniu spytałem ją o to wprost.

Odpowiedziała bezzadostnym uśmiechem.

– Wszystko idzie dobrze, powiadasz? Kiedy nie do końca – stwierdziła, przymykając oczy.

– Nie rozumiem...

– Widzisz, w tym całym twoim planie jest jeden słaby punkt. Był – poprawiła pedantycznie.

– Jaki?

– Lekarz, który swego czasu zajmował się Wołkowem. Uratował mu życie po jednej z akcji. W dokumentach od dawna znajdują się fałszywe dane Wołkowa: odciski palców, dokumentacja dentystyczna... W rzeczywistości należą one do jego sobowtóra. Jednak dopóki żył ten lekarz, istniała możliwość, że prawda wyjdzie na jaw. Dlatego go zabiłam. Ja... znam go... znałam od ponad dwudziestu lat. A i sobowtór... Nie wiem, kim on jest, nigdy nie chciałam wiedzieć, ale zginie teraz

tylko dlatego, że jest do kogoś podobny.

Milczałem, bo i co mogłem powiedzieć? I mnie zdarzało się zabijać ludzi, których śmierci żałowałem. Taki, kurwa, los...

Dotknąłem dłoni Lidii Zosimowny pocieszającym gestem, po czym podniosłem się ciężko od stolika. Miałem sprawę do załatwienia.



W podziemnej hali czuć było woń smaru i lekki, niemal niewyczuwalny zapach prochu. Zapewne w czasie wojny wytwarzano tu amunicję. Teraz wszystkie maszyny zostały zdemontowane, a puste – no, niemal puste – pomieszczenie oświetlało jedynie kilka żarówek. Elektryczne światło wydobywało z mroku zarysy umieszczonych pod sufitem stalowych kratownic. Nie miałem pojęcia, do czego służyły, teraz zamocowano do nich łańcuchy, którymi skuto wszystkie osoby w jakikolwiek sposób związane ze śmiercią Święty Wołkowej. Jedynie sobowtór Wołkowa przebywał w osobnym pomieszczeniu i nieskrępowany: na jego kostkach i nadgarstkach nie mogło być żadnych śladów.

Wszyscy milczeli – nic dziwnego, każdemu założono knebel. Nie żeby ich krzyki stanowiły jakiś problem, w promieniu kilometra od fabryki nie było żywej duszy, ale po cholere mi słuchać skamlania piesków Abakumowa lub Berii? Oni i tak jeszcze się nakrzyczą...

Podszedłem do lekarza, wyjąłem mu knebel. Natychmiast wybuchnął szlochem, błagając o litość. Uciszyłem go energicznym policzkiem.

– Kto ci kazał przyjechać do Moskwy i zawiadomić mnie, że moja ciotka została zamordowana? – spytałem. – Chrestuński?

– Nie, to był ten pułkownik! Pokazał mi legitymację, ale zapomniałem...

– Warygin?

– Tak, Warygin! Miał dokument podpisany przez samego towarzysza Berię!

– A ty stwierdziłeś, że lepiej stanąć po stronie Berii niż jakiegoś przyjezdnego milicjanta, prawda?

– Ja nie wiedziałem...

– To gra – poinformowałem go z pogardą. – I jak w każdej grze trzeba liczyć się z przegraną.

Odszedłem na dwa kroki i strzeliłem mu w głowę. Jego ciało zwisło bezwładnie, utrzymywane tylko przez łańcuchy, a pozostali więźniowie zaczęli rozpaczliwie szarpać się w okowach. Zapewne myśleli, że będę ich zabijał jednego po drugim. Nie, drodzy towarzysze, nic z tego! Wami zajmie się Wołkow. No, być może z jednym

małym wyjątkiem...

Arina Bystricka była zrobiona z twardszego materiału niż medyk, zamiast prosić o litość, zaczęła mi grozić.

– Zdechniesz na zonie! – wycedziła z nienawiścią. – Towarzysz Beria...

– Towarzysz Beria trzęsie się teraz jak świński ogon i zastanawia, czy i kiedy po niego przyjdą – przerwałem jej bezceremonialnie. – Zapomniał na moment, że i przed nim nie brakowało niemal wszechmocnych osobistości, takich jak choćby Jagoda czy Jeżow. A obaj od dawna gryzą piach. Bo w naszym kraju naprawdę nietykalny jest tylko jeden człowiek: ojczulek Stalin.

Bystricka zagryzła wargi. Zapewne przypomniała sobie, z czyjego rozkazu ją aresztowano.

– Czy mogę jakoś...? – zająknęła się, nie wiedząc, jak dokończyć.

– Ujść z życiem? – podpowiedziałem. – W żadnym wypadku! Rozumiesz, to osobisty rozkaz towarzysza Stalina. Jednak masz pewien wybór.

– Ciekawe jaki?! Nic ci nie powiem, gnoju! Strzelaj!

– Możesz odpowiedzieć na moje pytanie – kontynuowałem jakby nigdy nic. – Możesz też milczeć. Tylko wiesz co? W tym drugim wypadku będziesz marzyła o szybkiej śmierci.

– Nie strasz, mięczaku! – wycedziła z pogardą. – Nie byłbyś w stanie...

Urwała, kiedy złapałem ją za włosy i zmusiłem do uniesienia głowy. Zamilkła, spojrzawszy mi w oczy.

– Byłbym – zapewniłem szeptem. – Ale nie muszę. Bo za kilka minut pojawi się tu Wołkow. To taka umowa: ja mu was oddaję, a on mnie wykreśla z listy.

Uwierzyła mi od razu, uwierzyli i inni. Na spodniach przykutego tuż obok Bystrickiej więźnia pojawiła się mokra plama. No proszę, pułkownik Trochimow, naczelnik specwięzienia we Włodzimierzu, nie potrafił poradzić sobie z pęcherzem. Nie dziwiłem mu się specjalnie: jako jeden z pierwszych zgwałcił córkę Wołkowa. A teraz przyszedł czas zapłaty...

– Co chcesz wiedzieć? – rzuciła gorączkowo Bystricka.

– Dlaczego mnie szpiegowałaś?

– Jeśli odpowiem, to ty mnie... na pewno...?

– Obiecuję! – potwierdziłem.

– Beria był pewien, że Stalin prędzej czy później użyje cię przeciwko niemu, i chciał, żebym zdobyła twoje zaufanie, a najlepiej została twoją kochanką.

– To wszystko?

– Tak! Przysięgam, nic więcej nie wiem! Przysięgam!

Odetchnąłem z ulgą. A więc nie chodziło o rodzinę von Bredow, Beria nadal nie wiedział, że mam córkę...

Tymczasem trzasnęły drzwi wejściowe i do hali wszedł mężczyzna z pokaźnym

pakunkiem w rękę. Nie widziałem w półmroku jego twarzy, lecz poznałem go po ruchach: Wołkow. Biorąc pod uwagę sytuację, lepiej nie wiedzieć, co ma w tej torbie...

– Obiecałeś! – krzyknęła dziko Bystricka. – Obiecałeś!

Strzeliłem jej w usta, kierując lufę nieco w górę. Wystrzelony pod takim kątem pocisk zabija w ułamku sekundy, niszcząc ośrodki odpowiadające za większość funkcji życiowych, i momentalnie przerywa działanie centrów nerwowych.

– Razumowski! – ryknął Wołkow. – Nie waż się...

– Tych dwoje było ekstra – odparłem ze zmęczeniem. – Reszta jest twoja. Masz godzinę. Sobowtóra sam zastrzelę, ze swojej broni.

– Godzina to za mało! Ja...

Przystawiłem mu pistolet do brzucha, pchnąłem na ścianę.

– Godzina! – wysyczałem. – I ani minuty więcej! Bo ja w odróżnieniu od ciebie chcę żyć! A jeśli nie zjawię się niedługo na Kremlu, Stalin zacznie mnie szukać. Jest też druga opcja: rozwalę cię tu i teraz, a chłopakom i Lidii Zosimownie powiem, że ci odbiło i musiałem cię zastrzelić. I wiesz co? Myślę, że mi uwierzą. No już! Decyduj się! Co wybierasz?

– W porządku – mruknął Wołkow. – Godzina to godzina.

Idąc w stronę komórki, w której zamknięto sobowtóra, czułem ciarki między łopatkami. A co, jeśli Wołkow stracił do reszty poczucie rzeczywistości i strzelił mi w plecy? Nie strzelił.

Sobowtór z wyglądu do złudzenia przypominał generała, ale nie oszukał mnie nawet na chwilę: jego oczy błagały o litość, zamiast płonąć szaleństwem jak u Wołkowa. Okazałem mu miłosierdzie tak, jak mogłem, zabiłem strzałem w serce. Głowa musiała pozostać nienaruszona w celu identyfikacji...

Później rozległy się pierwsze krzyki. Najwyraźniej Wołkow uznał kneble za zbędne. O dziwo, zupełnie nie zrobiły na mnie wrażenia. Usiadłem, zapaliłem papierosa i czekałem, aż ucichną. Zanim umilkły, wypaliłem pół paczki.



Liza po raz kolejny wtuliła twarz w bukiet kwiatów. Kobiety... Choć prawda, że znalezienie kwiatów pod koniec grudnia graniczyło z cudem. Nie mówiąc o tym, że kosztowało krocie, gdyby nie dodatkowe dochody, poszedłbym na żebry.

– Są wspaniałe – oświadczyła z zachwytem.

Odchrząknąłem niepewnie, nie miałem doświadczenia w takich sytuacjach. Okazje, kiedy z własnej woli darowałem jakiejś kobiecie kwiaty, można było policzyć na

palcach jednej ręki.

– Kto jeszcze skorzystał z twojej hojności? – spytała, unosząc głowę.

– Masz na myśli...

– Mam na myśli! – potwierdziła groźnie. – Widziałam przez okno, że niosłeś trzy bukiety.

Cóż, problem z dziewczynami z MUR-u polega na tym, że zawsze widzą zbyt dużo...

– Warwara Siemionowna i dyrektorka szpitala – przyznałem. – Ta sama, która cię operowała.

– Aha.

– To znaczy, że jestem usprawiedliwiony?

– Tym razem...

– No dobrze, ubieraj się.

– Mundur? – Liza skrzywiła się z niesmakiem. – Po czorta? Mam jeszcze tydzień wolnego.

– Nie marudź – burknąłem. – Ludzie czekają. Pomóc ci?

– Dam sobie radę.

Kiedy weszła do łazienki – Warwara Siemionowna umieściła ją w izolatce dla prominentów – odwróciłem się dyskretnie i wyjąłem z kieszeni list, który otrzymałem pocztą dyplomatyczną z Wiednia. Powinienem go zniszczyć zaraz po przeczytaniu, ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć.

Kochany!

Z naszą córką wszystko w porządku, lekarze mówią, że takie rzeczy czasami się zdarzają przy fachowej – niech im będzie! – opiece. Wszelkie badania potwierdzają, że jest całkowicie zdrowa. Tylko doktor Lischke popatruje na mnie dziwnie i pytał mnie niedawno, czy nie mógłbyś jeszcze raz oddać krwi dla chorych dzieci.

Klaudia je po jednej czekoladce dziennie (po raz pierwszy nie muszę jej ograniczać!) i liczy dni do Twojego przyjazdu... Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze się zobaczymy, ale teraz najważniejsze jest bezpieczeństwo Aleksandry. Nie wyobrażasz sobie, jak ciężko mi to pisać, ale proszę: ożeń się albo przynajmniej znajdź sobie kobietę. Za miesiąc i ja wyjdę za mąż... Kochany...

Zdecydowanym gestem zmiąłem kartkę w garści: dość tych sentymentów! Trzeba iść dalej! Pstryknąłem zapalniczką, w chwilę później starannie przesiałem popiół przez palce. Moja córka jest zdrowa... Smakowałem w myśli tę frazę niczym stare wino.

– Jestem gotowa – przerwała mi zadumę Liza. – Palłeś tu coś? – Zmarszczyła

brwi.

– Nieważne – mruknąłem. – Lepiej przejrzyj się w lustrze – zaproponowałem z rozbawieniem.

– Co znowu? Ja...

Dziewczyna umilkła, wpatrując się z osłupieniem w swoje odbicie: na pagonach zamiast czterech kapitańskich gwiazdek pyszniła się jedna większa, oznaczająca majora.

– Gratuluję, pani major – powiedziałem z uśmiechem. – Nawiasem mówiąc, to stopień w pionie operacyjnym. Zostaniesz w mojej grupie. Oczywiście jeśli zechcesz...

Kapitan – nie, wróć! – teraz już major Wierchońska z radosnym piskiem rzuciła mi się w ramiona. Znaczący, że z jej barkiem wszystko w porządku. No i dobrze, w naszym fachu zdrowie to podstawa.

– A co z tobą? – spytała.

– Znowu dostałem awans z pominięciem stopnia – westchnąłem. – Jestem podpułkownikiem milicji. Katia jest już kapitanem, a Bugrowski sierżantem. Zostanie w naszej grupie, a jednocześnie będzie studiował w szkole milicyjnej. Zaocznie.

– Nie rozwiązali zespołu? Mówiłeś, że powstał tylko na potrzeby dochodzenia. No i co ze sprawą Wołkowa?

Westchnąłem. Wolalbym odłożyć tę dyskusję na później, ale nie dziwiłem się ciekawości Lizy – przez ostatnie dwa tygodnie mogłem się z nią widzieć nie dłużej niż kwadrans dziennie i tylko w asyście Warwary Siemionowny albo samej dyrektorki szpitala. Oczywiście wyłącznie ze względów medycznych. Jakby to była moja wina, że kiedy przywiozłem ranną Lizę, pierwszym lekarzem, jaki mi się napatoczył, był ginekolog. A mówią, że kobiety łatwiej wybaczą...

– A co ma być? Przeżyliśmy. Beria i Abakumow dostali po nosie, ten drugi zresztą pójdzie pierwszy do odstrzału. Słyszałem, że już zbierają na niego materiały. Parę lat i będzie po nim, tym bardziej że wykończeniem go zainteresowany jest sam Beria.

– Przecież oni razem zorganizowali tę całą aferę!

– Owszem, tyle że im nie wyszło i teraz musi spaść czyjaś głowa. Taka jest cena przegranej.

– Dlaczego nie zaraz?

– Stalin to mistrz manipulacji, wie, że przez jakiś czas i Beria, i Abakumow będą wychodzili ze skóry, aby zatrzeć złe wrażenie. I on im na to pozwoli. A później zabije Abakumowa, żeby jeszcze bardziej zmotywować Berię. W końcu rozliczy się i z Ławrentijem Pawłowiczem. O ile zdąży...

– Nie rozumiem?

– Wy tłumaczę ci to kiedy indziej, teraz czas się zbierać.

– A my? Co z nami? – szepnęła, spuszczać niepewnie wzrok.

– Może zastanowimy się nad tym później? U mnie?

Zadowolony i nieco figlarny błysk w oku Lizy uświadomił mi, że tym razem chyba powiedziałem, co trzeba...

Na szpitalnym dziedzińcu oczekiwało nas pół MUR-u. Uściskom i pocałunkom nie było końca, choć jak zauważyłem, większość zebranych wołała obcałowywać major Wierchońską, nie mnie...

– Dajcie im już spokój! – zawołał wreszcie Poliakov, odgradzając nas potężnym cielskiem od tłumu. – Jutro też jest dzień.

– Dlaczego Starcew ma podbite oko, a Bugrowski taką zadowoloną minę? – spytała Liza, kiedy znaleźliśmy się w samochodzie.

– Nie domyślasz się? To przecież elementarne: Starcew od dawna próbował poderwać tę kelnereczkę z „Anastazji”, jednak wygląda na to, że poeta Bugrowski był szybszy i to właśnie on posiadał duszę i dziewicze ciało naszej „arystokratki”. A na dniach panowie wymienili poglądy. Ot i wszystko.

– Bugrowski dał radę Igorowi? Przecież on jest taki niezgrabny...

– Widać nie aż tak – odparłem sucho. – Naprawdę nie masz większych problemów? Mogłabyś na przykład zacząć planować, jak osiąść inne warte grzechu, choć zdecydowanie niedziewicze ciało...

Liza zachichotała i przytuliła się do mnie tak, żeby nie przeszkadzać mi w prowadzeniu. Po kilku minutach jej głowa opadła bezwładnie na moje ramię. Uśmiechnąłem się, to był miły ciężar. Za szybko wirowały płatki śniegu, odmierzając ostatnie godziny tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Jaki będzie następny? Na pewno spokojniejszy, wiedziałem, że Abakumow i Beria na długo dadzą mi spokój. A później... Cóż, zobaczymy. Na razie będę się cieszył towarzystwem Lizy i tym, że daleko stąd rośnie moja córka. I zacznę grać w go. A kiedy przyjdzie czas na kolejną rundę, będę gotowy.

Koniec



ZWROTY OBCOJĘZYCZNE I CIEKAWOSTKI

Wor – dosłownie „złodziej”, jednak w rosyjskim półświatku słowo to oznaczało nie tylko kogoś, kto kradnie, ale i osobę należącą do elity w bandyckiej hierarchii.

Wor w zakonie – nieprzetłumaczalny termin oznaczający bandyckiego herszta, kogoś, czyje słowo stanowiło prawo dla stojących niżej w hierarchii. Aby zostać *worem w zakonie*, inni, posiadający już wcześniej taki status, musieli „koronować” pretendenta do tego tytułu. Dawniej każdy *wor w zakonie* musiał przestrzegać specyficznego kodeksu, między innymi nie mógł mieć rodziny i osobistego majątku. Podstawowe zasady obowiązujące złodziejskie bractwo to: nigdy nie współpracuj z władzami, nie okłamuj swoich, nie pracuj na wolności ani w więzieniu czy na zonie, nie okradaj samotnych, biednych i nieszczęśliwych. Swego czasu swoistą „ochroną” *blatnych* cieszyły się też niektóre grupy zawodowe. Jeden z twórców złodziejskiego kodeksu, Miszka „Japończyk”, ogłosił, że nauczyciele i lekarze mają przywilej nietykalności, a obrabowanie czy skrzywdzenie któregoś z nich uchodziło za poważne złamanie zasad.

Suka – w bandyckim żargonie ktoś, kto współpracował z władzami. Pojęcie to obejmowało zarówno pospolitych donosicieli wysługujących się więziennej

administracji, jak i cieszących się autorytetem *worow*, którzy wzięli udział w walce z Niemcami, łamiąc bandyckie zasady zakazujące jakiegokolwiek współdziałania z organami radzieckiego państwa.

Komandir – dowódca.

Moskowskij Ugołownyj Rozysk (MUR) – Moskiewska Służba Kryminalna.

Wojennaja razwiedka – wywiad wojskowy.

Gospoda – panowie.

Barysznia – panienka.

Wasze błagorodie – tytuł przysługujący młodszym oficerom, a także urzędnikom cywilnym i dworzanom niższego stopnia (według Tabeli Rang opracowanej za czasów Piotra I należał się osobom zaliczanym do rang od XIV do IX włącznie).

Gensek – skrót od słów *gienieralnyj siekrietar'* (sekretarz generalny / pierwszy sekretarz), tytuł przysługujący przywódcy partii komunistycznej.

Wasze wysokobłagorodie – tytuł przysługujący starszym oficerom za czasów carskich (i urzędnikom od VIII do VI rangi włącznie). Od 1884 roku tytułowano tak wojskowych od stopnia kapitana wzwyż. Jeśli chodzi o rangi w policji, sprawa była nieco bardziej skomplikowana, ale uznałem, że panienka Tatiana nie musiała o tym wiedzieć.

Carte blanche – dosłownie „biała karta”, nieograniczone pełnomocnictwa.

Waprosow niet – nie ma pytań.

I kto dwa raza w dien' nie pjan, tot – izwinitie! – ***nie ułan*** – Kto dwa razy dziennie się nie upije, ten – wybaczcie! – nie jak ułan żyje.

Hie gut Brandenburg allewege – dewiza elitarniej hitlerowskiej jednostki dywersyjnej „Brandenburg”.

Mutti – niem. mama.

MGB – *Ministerstwo Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* (Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego), organ powołany w 1946 roku, do jego zadań należały między innymi wywiad i kontrwywiad. W latach 1946–1951 kierował nim Abakumow. W książce używam zamiennie skrótu MGB/MBP.

GRU – *Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenie* (Główny Zarząd Wywiadowczy), wojskowy wywiad ZSRR. W 1947 roku częściowo połączono siły wojskowego i cywilnego wywiadu, tworząc Komitet Informacji, w wojsku zaś pozostała jedynie niewielka *Razwiedywatielno-Diwersionnaja Służba* (Służba Wywiadowczo-Dyweryyjna). Jednak już na początku 1949 roku odtworzono struktury GRU w armii, powróciła też poprzednia nazwa. Dlatego aby nie komplikować nazewnictwa, w powieści używam terminu GRU.

Ni pucha, ni piera – zwrot początkowo popularny wśród myśliwych, oznaczający życzenie, aby polowanie się powiodło. Odpowiednik polskiego „Złam kark!”. Odpowiedź brzmi zawsze: *K czortu!* (Do diabła!).

Kommunałka – mieszkanie zajmowane przez kilka rodzin lub osób, zakwaterowanych w osobnych pokojach. Łazienka, kuchnia i toaleta były wspólne. Choć *kommunałki* istniały i przed rewolucją, powszechne stały się dopiero po 1917 roku. Komuniści albo odbierali mieszkania „burżujom” i arystokracji, oddając je swoim zwolennikom, albo dokwaterowywali im dodatkowych lokatorów. Ciasnota, różnice społeczne i brak jakiegokolwiek intymności w takich lokalach powodowały wiele problemów.

Babło pobeżdżajet zło – ironiczne przysłowie rosyjskie: „Forsa zwycięża zło”.

Smotriaszczij – nadzorca, ktoś, kto pilnuje przestrzegania *poniatij* (zasad obowiązujących *błatnych*). Dawniej w każdej celi więziennej czy baraku znajdował się *smotriaszczij*, który rozstrzygał wszelkie spory i wątpliwości, w razie konieczności konsultując się ze *smotriaszczim* całego więzienia lub kolonii karnej. Administracja więzienna popierała *błatnych*, starając się, żeby w każdej celi i baraku przebywał odpowiedni procent bandytów przestrzegających złodziejskich praw, co pomagało w utrzymaniu porządku.

Tak toczno! – Tak jest!

OGPU – *Objedinionnoje Gosudarstwiennoje Politiczeskoje Uprawlenie* (Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny). Policja polityczna, następczyni osławionej CzeKi, poprzedniczka NKWD.

Gospodin pułkownik – pan pułkownik. Zwrot używany przed rewolucją.

Słuszajus' – słucham.

Nie grubitie starszemu po zwaniu, gospodin kapitan – Niech pan nie będzie nieuprzejmy wobec starszego stopniem, kapitanie.

Za chrabrost' – za męstwo.

Institut Błogородnych Diewic – Szkoła dla Szlachetnie Urodzonych Panienek.

Gebesznik – bezpieczeniak, funkcjonariusz organów bezpieczeństwa.

Czajura – w rosyjskiej gwarze więziennej: czifir. Recepturę napoju opracowano na Syberii dla wzmocnienia sił w ekstremalnych warunkach. Czasem stosowali go myśliwi, gdy byli zmuszeni do dalekich marszów przy wielostopniowym mrozie. Później trafił do więzień, bo jego działanie poniekąd przypomina efekt spożycia alkoholu lub też lekkich narkotyków. To odpowiednio zaparzona, bardzo mocna czarna herbata. Dawniej napój ten pito ze wspólnego naczynia, po dwa łyki. Kiedy na dnie zostawała mniej więcej jedna piąta (Rosjanie nazywali to „złodziejską piątką”) płynu, miał on takie stężenie, że nawet najbardziej doświadczeni czerwienieli na twarzy po łyknięciu. Picie czifiru obudowane jest wieloma rytuałami, które umożliwiają przeżycie tej przygody (nieprzyzwyczajeni wymiotują lub dostają biegunki po kilku pierwszych łykach) i zbratanie się ludzi siedzących pod jedną celą. Pić można tylko z zaufanymi, bo napój ten powoduje szybko gadatliwość. Stąd jest to także rodzaj testu mającego wyjawic prawdziwy charakter współwięźniów. Ktoś, kto zachowa powściągliwość i dyscyplinę umysłową po wypiciu czifiru, jest uważany za osobę godną zaufania.

Sucza wojna – walka pomiędzy dwoma bandyckimi ugrupowaniami: *worow*, przestrzegających starych praw (zabraniających między innymi jakiegokolwiek współpracy z władzami ZSRR), i *suk* (bandytów, którzy zgłosili się na ochotnika do wojska lub zostali zmobilizowani, kiedy Niemcy zaatakowały Związek Radziecki).

Według niektórych przekazów zasada zakazująca bandytom współpracy z władzami pojawiła się dopiero po śmierci Miszki „Japończyka”, który w czasie wojny domowej stanął po stronie bolszewików, wnosząc niebagatelny wkład w ich zwycięstwo. Jego sukcesy wzbudziły zawiść niektórych przedstawicieli nowej władzy i Miszka został rozstrzelany bez sądu i śledztwa.

Samo słowo „suka” funkcjonowało już wcześniej i oznaczało bandytę współpracującego z więzienną administracją, jednak dopiero po II wojnie światowej „zszuceni” stali się problemem dla *błatnych*. Aby odróżnić weteranów od zwykłych donosicieli czy osób kolaborujących z władzami dla własnej korzyści, czasem używano określeń *awtomatcziki* (od słowa automat/pistolet maszynowy) lub *poliskije wory* (polscy złodzieje). Ten ostatni termin jest niejednoznaczny, co wynika przede wszystkim stąd, że wszelkie informacje dotyczące bandyckiego środowiska przekazywano tylko ustnie i jedynie wtajemniczonym na przestrzeni dziesiątków lat. *Polskimi worami* nazywano ponoć złodziei samotników, niewchodzących w układy z bandyckimi ugrupowaniami, ale szanujących złodziejskie prawa. Po raz pierwszy termin ten miał się pojawić jeszcze za carskich czasów, kiedy imperium rosyjskie obejmowało i polskie ziemie. Podobno polscy bandyci już wówczas posiali ferment w rosyjskim półświatku, podając w wątpliwość niektóre z obowiązujących w nim zasad i szkodząc wysokiemu morale rosyjskich przestępców.

Po zakończeniu II wojny światowej nazywano tak rosyjskich bandytów, którzy wraz z Armią Czerwoną doszli do Polski i po powrocie do kraju kontynuowali przestępczą karierę. Prędzej czy później trafiali oni do więzień i kolonii karnych, gdzie stykali się z bandytami „starego chowu”. Taki był początek wojny...

Trwała ona dziesięć lat (od 1946 do 1956 roku) i zakończyła się niemal całkowitym pogromem *worow w zakonie* (bandytów przestrzegających starego kodeksu). Według danych rosyjskich służb specjalnych liczba *worow w zakonie* dochodziła po wojnie do kilku tysięcy. Przywódcy bandyckiego świata rządili złodziejskim bractwem nie tylko na swobodzie, ale i w więzieniach oraz koloniach karnych, gdzie ich władza często przewyższała lub co najmniej dorównywała władzy administracji. Dlatego spodziewali się, że bez problemu podporządkują sobie suki. Pomylili się... Bandyci, którzy przeszli przez piekło karnych batalionów i dotarli wraz z Armią Czerwoną do Berlina, nie bali się nikogo i niczego, a na agresję *worow w zakonie*, odpowiedzieli krwawym terrorem. Wspierani przez więzienną administrację (ta stanęła po stronie frontowców), urządzili prawdziwą rzeź. Przyszło to im tym łatwiej, że przeszli szkolenie wojskowe, a w więzieniach czy łagrach pełnili funkcje dające im dostęp do zaimprovizowanej broni (bandyci przestrzegający tradycyjnych zasad nie mogli pracować jako na przykład fryzjerzy czy kucharze). Zdając sobie sprawę z problemu, jaki stanowiło bandyckie „państwo w państwie”, władze radzieckie specjalnie i z rozmysłem dopuściły do konfrontacji między *worami w zakonie* i sukami,

wspierając to ostatnie ugrupowanie. Gdzieniedzie przyjmowało to skrajnie brutalne formy. Na przykład w 1951 roku w jednym z Poprawczych Obozów Pracy z inicjatywy niejakiego podpułkownika Warszawczika stworzono tak zwaną Brygadę numer 21, złożoną z chorych na syfilis suk. Jeśli któryś z *worow* odmówił przejścia na stronę suk (w przypadku zgody musiał dopełnić pewnych rytuałów, na przykład pocałować nóż), wysyłano go do Brygady 21, gdzie był gwałcony i zarażony syfilisem.

W efekcie po dziesięciu latach wojny ocalało zaledwie około trzech procent *worow* w *zakonie*.

Wiersz – autorką wiersza, który przypisałem Bugrowskiemu, jest Natasza Hebart.

Dzień Zwycięstwa w ZSRR – w 1945 roku 9 maja stał się dniem wolnym od pracy jako Święto Zwycięstwa. Jednak już 23 grudnia 1947 roku Prezydium Rady Najwyższej ZSRR podpisało dokument ogłaszający go dniem roboczym. Tak więc od 1948 roku obywatele Związku Radzieckiego świętowali zakończenie II wojny światowej, bijąc rekordy we współzawodnictwie pracy. Dopiero w 1965 roku, z okazji dwudziestej rocznicy zakończenia wojny, 9 maja znowu stał się dniem wolnym od pracy. Według niektórych źródeł powodem likwidacji święta była osobista niechęć Stalina do Żukowa, którego radzieckie społeczeństwo uważało wówczas za prawdziwego autora zwycięstwa nad Niemcami.

Tortury, gwałty i „kołymski tramwaj” – fakt zezwolenia radzieckich władz na stosowanie tortur wobec „wrogów narodu” nie jest moim wymysłem, niektóre dokumenty wskazują, że taka praktyka istniała już od 1937 roku (oficjalnie wprowadziło ją rozporządzenie Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej ze stycznia 1939 roku). Podobnie jeśli chodzi o traktowanie kobiet w łagrach czy „kołymski tramwaj”. Opisy takich praktyk można spotkać we wspomnieniach więźniarek i opracowaniach dotyczących systemu obozów w ZSRR. Nie jest też fantazją gwałcenie kobiet w czasie śledztwa. Jeden z najbardziej znanych przykładów takiego bestialstwa związany jest z represjonowaniem komunistycznego działacza polskiego pochodzenia Stanisława Kosiora (jednej z osób odpowiedzialnych za wywołanie wielkiego głodu na Ukrainie w latach 1932–1933).

W 1938 roku Kosior został aresztowany pod zarzutem przynależności do Polskiej Organizacji Wojskowej (jak wielu innych Polaków w tym okresie). Kosior odrzucił absurdalne oskarżenie i nie przyznał się do winy mimo długotrwałych tortur. Wówczas aresztowano jego szesnastoletnią córkę Tamarę (niektóre źródła podają, że Tamara była jego pasierbicą) i oprawcy zgwałcili ją na oczach ojca. Załamany Kosior

podpisał wszelkie dokumenty, jakie podsunęli mu śledczy, a Tamara popełniła samobójstwo, rzucając się pod pociąg.

Lejb-Gwardyjski Keksholmski Pułk im. Cesarza Austriackiego – oddział sformowano 29 czerwca 1710 roku, początkowo jako Grenadierski Pułk Księcia Bariatyńskiego. Określenie „Keksholmski” otrzymał w 1727 roku (w związku z udziałem w odbiciu z rąk Szwedów Keksholmu w 1710 roku). W 1814 roku uzyskał nazwę Pułku im. Cesarza Austriackiego. W 1831 roku włączono go w skład korpusu gwardii. Wyróżnił się w wielu wojnach, za udział w wojnie z Turcją (w latach 1877–1888) został nagrodzony sztandarem św. Jerzego, srebrną trąbką za zdobycie Berlina w 1760 roku, specjalnymi znaczkami dla żołnierzy za męstwo w bitwie pod Arcis-sur-Aube w 1814 roku (w ramach kampanii przeciwko Napoleonowi). Rozkazem z dnia 6 grudnia 1894 roku pułk otrzymał prawa i przywileje należne „starej gwardii”.

Przez długi czas pułk stacjonował w Warszawie (do 1914 roku). Pozostałością z tego okresu jest kościół Wniebowstąpienia Pańskiego przy ulicy Puławskiej (dawna cerkiew pod wezwaniem św. Piotra i Pawła). Swego rodzaju pamiątką jest też znajdujący się na cmentarzu prawosławnym charakterystyczny nagrobek z płaskorzeźbą przedstawiającą dwójkę młodych ludzi: Wierę Onacewicz i podporucznika Gieorgija Jacuna. Oboje umarli tego samego dnia – 9 listopada 1906 roku. Młodziutka, licząca sobie osiemnaście lat dziewczyna i dwudziestoletni oficer Keksholmskiego Pułku popełnili razem samobójstwo, kiedy okazało się, że różnice społeczne uniemożliwiają im zawarcie małżeństwa (szerzej opisałem to w „Wilczym Legionie”).

Pułk oficjalnie rozformowano w 1918 roku. W czasie rosyjskiej wojny domowej po stronie „białych” walczyło siedemdziesięciu siedmiu oficerów pułku. W 1951 roku Stowarzyszenie Oficerów Lejb-Gwardii Keksholmskiego Pułku liczyło dwudziestu dwóch członków. Znakiem pułku jest stylizowany krzyż o srebrnej obwódce, z wkomponowanym wewnątrz złotym krzyżem i monogramem Piotra I, na którego rozkaz utworzono oddział. Świętem pułkowym jest 29 czerwca, dzień apostołów Piotra i Pawła. Do dzisiaj zachowały się fotografie przedstawiające żołnierzy pułku, do jednej z nich nawiązałem w swojej powieści.

Zniesienie kary śmierci w ZSRR – rozporządzeniem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 26 maja 1947 roku zniesiono karę śmierci, uznając, że stosowanie jej nie ma uzasadnienia w czasie pokoju. Jednak radość obywateli Związku Radzieckiego trwała krótko, już w styczniu 1950 roku ze względu na „liczne prośby ludzi pracy” przywrócono karę śmierci dla „zdrajców ojczyzny, szpiegów i dywersantów”. Co więcej, kara ta mogła zostać wymierzona za przestępstwa dokonane w latach 1947–

1950, to znaczy w okresie, kiedy nie istniała... W ten sposób ZSRR złamał powszechnie obowiązującą w cywilizowanym świecie zasadę, że prawo nie działa wstecz. Później karę śmierci zaczęto stosować także wobec osób, które popełniły przestępstwa kryminalne.

Mina przeciwpancerna AKS (*antikliensnaja*) – mina przeciwdenna w dyspozycji Armii Czerwonej od przełomu 1939/1940 roku. Mina ważyła dziewięć kilogramów, w tym sześć kilogramów stanowił materiał wybuchowy (trotyl). Minę ustawiano na trasie przypuszczalnego przejazdu czołgu i maskowano tak, że widać było jedynie długą na około osiemdziesiąt pięć centymetrów antenę (wybuch następował, gdy pojazd na nią najechał i odchylił od pionu). W czasie II wojny światowej i w latach powojennych spód kadłuba stanowił przeważnie najbardziej czuły punkt każdego wozu bojowego. Np. w czołgu IS-3 jego grubość wynosiła zaledwie 20 milimetrów.

Granat F-1 – radziecki granat obronny, stworzony na bazie francuskiego granatu z 1915 roku o tej samej nazwie (Rosjanie zmienili nieco kształt korpusu i zapalnik). Oficjalnie podawane w języku polskim charakterystyki F-1 różnią się znacznie od realnych, w rzeczywistości dystans 200 metrów, jaki mają osiągać odłamki, dotyczy raczej odległości, z jakiej można obserwować bez ukrycia wybuch granatu. Rosyjskie źródła podają, że na dystansach powyżej 50 metrów porażenie celu jest niemal niemożliwe, tym bardziej że groźne są tylko odłamki o masie przynajmniej 2 gramów. W idealnych warunkach eksplozja F-1 może wytworzyć około 270 odłamków zagrażających życiu przeciwnika. W praktyce ich liczba waha się pomiędzy 150 a 200. W razie rozerwania się granatu na ziemi liczba odłamków spada o połowę, bo te z nich, które wyrzucane są w dolną półsferę, nie przedstawiają niebezpieczeństwa. Ten typ granatu można ponownie zabezpieczyć po wyrwaniu zawlecзки, oczywiście o ile żołnierz nie odpuścił wcześniej dźwigni.

Wojenne straty, czyli mężczyźni na wagę złota – powojenna dysproporcja płci to zjawisko, które szczególnie ostro uwidocznilo się w ZSRR. Złożyły się na to trzy główne czynniki: generalnie większa umieralność mężczyzn, przedwojenne stalinowskie czystki i wreszcie wojna, w której zginęło zdecydowanie więcej mężczyzn niż kobiet. Jeszcze w 1959 roku na tysiąc kobiet urodzonych między 1889 a 1928 rokiem (to znaczy z roczników zmobilizowanych do walki w okresie II wojny) przypadało jedynie 641 mężczyzn. Przy czym największe różnice występowały na wsi. Przykładowo w 1945 roku stosunek kobiet do mężczyzn w kołchozach wynosił 2,7 : 1 (przy stosunku 1,1 : 1 w 1940 roku). Deficyt mężczyzn nie mógł się nie przełożyć na kwestie obyczajowe. Co prawda w 1946 roku zarejestrowano wzrost

liczby zawieranych małżeństw (12,3 na 1000 osób), ale już w kolejnych latach nastąpiła wyraźna tendencja spadkowa (na przykład w 1947 roku współczynnik zawieranych małżeństw wynosił jedynie 10,4). Wzrosła natomiast liczba rozwodów. W 1946 roku wynosiła ona 7,9 na 1000 małżeństw, w 1947 – 17,5, w 1948 – 25,8, w 1949 – 34,2, w 1950 – 40,7, a w 1955 aż 68,3. Podane wyżej statystyki ukazują wyraźnie, że fama o powojennym rozluźnieniu obyczajów nie wzięła się znikąd; Rosjanki uganiały się za mężczyznami, a ci nie mieli nic przeciwko i skwapliwie korzystali z okazji...

(Dane wg: A. N. Bohanow, M. M. Gorinow, W. P. Dmitrienko, *Istoria Rossii. xx wiek*, Moskwa 2008; *Podrobno o poteriach Wielikoj Oteczestwiennoj*, „Демоскоп Weekly”, nr 559–560; J. A. Poliakow, W. B. Żiromskaja, N. A. Arałowicz, *Demografi czeskoje echo wojny* [w:] *Wojna i obszczestwo. 1941–1945*, red. G. N. Sewostianow, t. 2, Moskwa 2004)

Go – gra znana w Europie pod japońską nazwą „go” powstała w Chinach, prawdopodobnie w okresie dynastii Zhou, choć według legendy wymyślił ją cesarz Yao (2357–2255 p.n.e.) w celu kształcenia syna Dan Zhu. Zasady gry nie są nadmiernie skomplikowane: pole bitwy stanowi plansza (goban) złożona z dziewiętnastu przecinających się poziomych i pionowych linii, co tworzy 361 przecięć (skrzyżowań), na których gracze kładą na przemian białe i czarne kamienie. Rozpoczyna gracz dysponujący czarnymi. Celem gry jest otoczenie swoimi kamieniami terytorium większego niż zajęte przez przeciwnika. Kamienie nie przesuwają się, ale można je zbijać, jeśli zostaną otoczone. Każdy kamień posiada tzw. oddechy – puste sąsiednie skrzyżowania połączone z kamieniem linią prostą. I tak kamień stojący w rogu planszy posiada dwa oddechy, na brzegu trzy, a w pozostałych przypadkach cztery. Kamienie tego samego koloru mogą tworzyć łańcuchy, o ile połączone są liniami prostymi. Aby zbić grupę połączonych ze sobą kamieni, trzeba wszystkim odebrać oddechy, co jest o wiele trudniejsze niż w przypadku pojedynczych. Wreszcie nie można powtarzać w czasie jednej gry tego samego układu kamieni i wykonywać ruchów samobójczych. Ot i wszystko. No, prawie wszystko...

Jednak ta pozorna prostota, która sprawia, że gry może nauczyć się nawet dziecko, jest zwodnicza: w go istnieje ogromna liczba możliwych kombinacji (dużo większa niż w szachach), którą można określić jako 10 do potęgi 750, w sytuacji kiedy liczbę atomów w obserwowalnym wszechświecie określa się jako 10 do potęgi 80...

Go (jak i szachy) od dawna traktowano jako grę strategiczną przygotowującą przyszłych dowódców. Biorąc pod uwagę stopień komplikacji, niektórzy uważają, że gracz w go zawsze będzie miał przewagę nad szachistą.



ADAM PRZECHRZTA

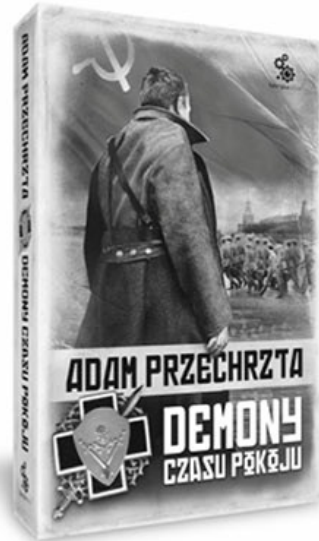
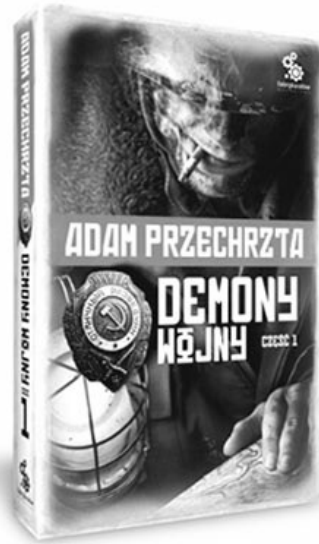
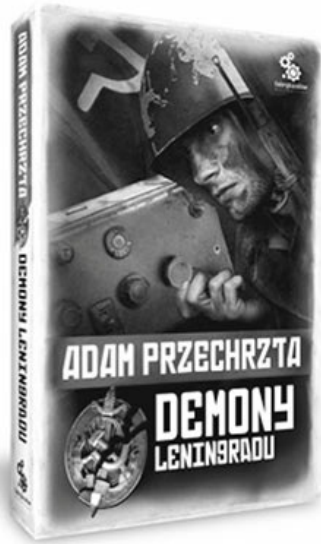
Historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, walki nożem i okinawańskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Jako pisarz zadebiutował w 2006 roku, od tego czasu wydał sześć powieści oraz tom opowiadań.

Jest laureatem Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, w 2014 roku otrzymał Srebrne Wyróżnienie za „Gambit Wielopolskiego”.

Zwolennik czytania przy jedzeniu.

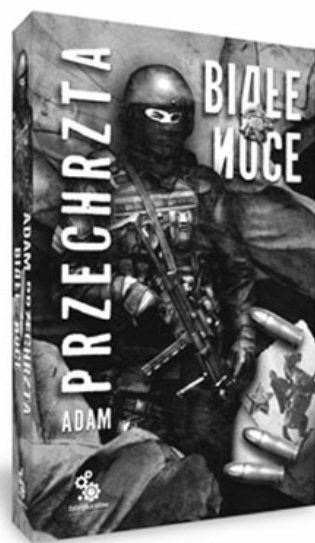
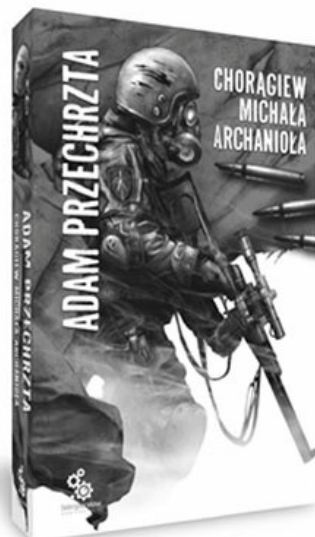
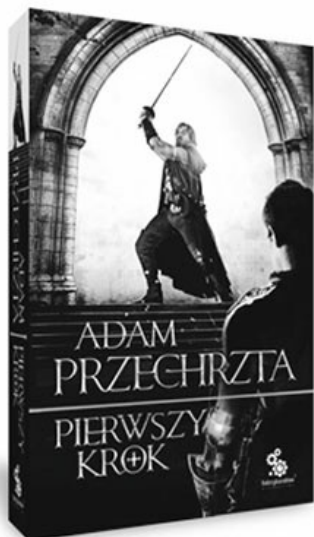
Czytuje wszystko, od podręczników pszczelarstwa poprzez literaturę głównonurtową i fantastyczną aż po romanse dla pań. Te ostatnie przeważnie w poczekalni u dentysty.

Marzy o świętym spokoju.



Cykl Wojenny Adama Przechrztka:

1. Demony Leningradu
2. Demony wojny, cz. 1
3. Demony wojny, cz. 2
4. Demony czasu pokoju



Nakładem naszego wydawnictwa ukazały się:

Pierwszy krok

Chorągiew Michała Archanioła

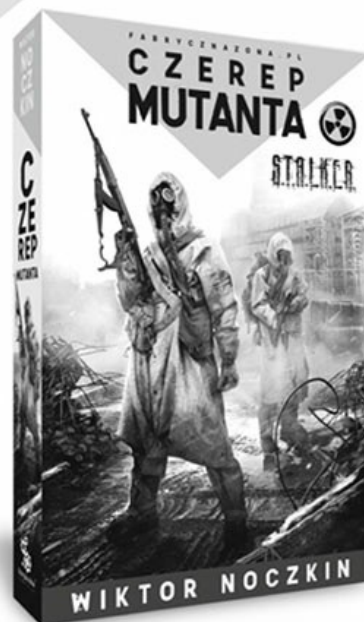
Wilczy Legion

Białe noce

F A B R Y C Z N A Z O N A . P L



F A B R Y C Z N A Z O N A . P L



COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2015

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-072-0

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA ORAZ PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka

ADAM PRZECHRZTA

DEMONY CZASU PĘKŁU

**Wojnę przeżyli tylko najlepsi,
najtwardsi i najsprytniejsi.**

Druga połowa 1947 roku. Do kraju powróciła armia, która zobaczyła, jak wygląda życie poza granicami Związku Radzieckiego. Wrócili nie tylko zwykli żołnierze, rozbastwieni frontową swobodą i oszłomieni bogactwem zamieszkałych przez burżujów państw, ale i ci, których rozkaz Stalina wyciągnął z więzień i łagrów, którzy mieli własną krew odkupić swoje winy. I odkupili. A teraz chcą powetować sobie czas spędzony w okopach i za kratami.

Kraj ogarnia niespotykana wcześniej fala zbrodni. Milicja nie daje sobie rady z doświadczonymi, kutymi na cztery nogi, zaprawionymi w walkach frontowymi. Ktoś musi zaprowadzić porządek. Razumowski otrzymuje propozycję nie do odrzucenia. Niestety, to nie koniec jego kłopotów: towarzysz Stalin szykuje dla niego coś specjalnego. Jak zwykle...



Wyłączny
dystrybutor



Patroni medialni



NERD KOBIECZA

KAWERNA